

FEDERICO MOCCIA

Ho voglia de ti

Tylko Ciebie chcę

„Chcę umrzeć”. Z tą myślą wsiadłem do samolotu niemal dwa lata temu. Chciałem ze sobą skończyć. Właśnie, jakiś banalny wypadek byłby w sam raz. Żeby nikogo nie obarczać winą, żebym nie musiał się wstydzić, żeby nikt się nie dopytywał dlaczego... Pamiętam, że rzucało samolotem przez całą drogę. Była burza i wszyscy zamarli, spięci i przerażeni. Ja nie. Tylko mnie jednemu chciało się śmiać. Kiedy jest ci źle, kiedy widzisz wszystko w czarnych barwach, kiedy nie masz przed sobą przyszłości, kiedy nie masz nic do stracenia, kiedy... każda chwila jest dla ciebie ciężarem. Ogromnym. Nie do udźwignięcia. I nic, tylko ciągle się gryziesz. I chciałbyś za wszelką cenę się od tego uwolnić. W jakikolwiek sposób. A choćby i w najprostszy, ten najpodlejszy, tak by uniknąć tego zmartwienia, ciągłego pamiętania dziś i nazajutrz tego samego: nie ma jej. Już jej nie ma. A skoro tak, to chciałbyś po prostu, żeby i ciebie już nie było. Chciałbyś zniknąć. Cyk. Bez zbędnych problemów, bez zawracania głowy. Tak, by nikt nie musiał dopytywać się z troską: „Ojej, słyszałeś? Tak, dokładnie ten... Nie wiesz, co się stało...”. Właśnie, zamiast tego koleś opowie, jak skończyłeś. Bóg jeden raczy wiedzieć z iloma i jak bardzo wymyślnymi szczegółami, wyjedzie z czymś absurdalnym, jakby cię znał od niepamiętnych czasów, jakby tylko on jeden miał naprawdę pojęcie o tym, co cię gnębiło. Jakie to dziwne... Tym bardziej że być może nawet ty sam nie zdążyłeś się w tym wszystkim na dobre połapać. I nic już nie będziesz mógł poradzić na to jedno wielkie „podaj dalej”. Zawracanie dupy. Pamięć o tobie padnie ofiarą pierwszego lepszego złamasa, a ty nic nie będziesz mógł na to poradzić. Właśnie, jaka szkoda, że tamtego dnia nie spotkałem jednego z tych dziwacznych magików. Zarzuca taki pelerynę na gołębia, którego sam dopiero co wyczarował i, trach, już po ptaku. Nie ma go, i już. A ty po skończonym przedstawieniu wychodzisz cały zadowolony. Być może tancerki, które widziałeś, były trochę za bardzo przy kości, może siedziałeś akurat na jednym z przestarzałych foteli, ciut przytwardym, w pomieszczeniu zaaranżowanym, w najlepszym wypadku, w piwnicy. Owszem, czuć było pleśń i wilgoć. I tylko jedno jest pewne. Nigdy więcej nie będziesz zachodzić w głowę, co się stało z gołębiem. Ale nas to nie dotyczy. My nie możemy tak po prostu zniknąć. Sporo czasu upłynęło. Dwa lata. A teraz popijam sobie piwo. I kiedy przypomina mi się, jak bardzo zazdrościłem temu gołębiowi, to się uśmiecham, a zarazem robi mi się trochę wstyd.

- Może jeszcze jedno?

Steward uśmiecha się do mnie i nie odstępuje swojego wózka z napojami.

- Nie, dziękuję.

Wyglądam za okno. Chmury, zabarwione na różowo, ustępują nam z drogi. Miękkie, lekkie, nieskończone. Gdzieś w dali zachodzi słońce. Wprost nie mogę w to uwierzyć. Wracam. A27. To jest właśnie moje miejsce w samolocie.

Rząd po prawej, tuż za skrzydłami, środkowe przejście. Bardzo ładna stewardesa znowu się do mnie uśmiecha, przechodząc blisko mojego miejsca. Zbyt blisko. Wygląda, jakby ją przysłała Nirvana: *If she comes down now, oh, she boks so good...* Ładnie pachnie, ma na sobie nienaganny mundurek, do tego lekko przezroczystą bluzkę, na tyle by dało się docenić koronkowy stanik pod spodem. Krąży to tu, to tam, bezkolizyjnie, beztrosko, uśmiechnięta. *If she comes down now...*

- Przepiękne imię: Eva.

- Dziękuję.

- Jest pani trochę jak pierwsza Ewa, wodzi mnie pani na pokuszenie...

Przez chwilę nic nie mówi i tylko badawczo mi się przygląda.

Uspokajam ją.

- Ale to dozwolona pokusa. Czy mogę dostać jeszcze jedno piwo?

- Ale to już trzecie...

- Pewnie, że trzecie, skoro pani tak tu krąży... Piję, żeby o pani zapomnieć.

Uśmiecha się. Wygląda na szczerze rozbawioną.

- Czy zawsze pani liczy, ile piją pasażerowie, czy to ja tak szczególnie zapadłem pani w pamięć?

- Proszę samemu ocenić. Niech pan tylko uwzględni, że jako jedyny zamawiał pan piwo.

Uśmiecha się znowu. Po czym odchodzi seksownie kręcąc biodrami. Wychylam się nieznacznie. Świetne nogi, nieprzezroczone rajstopy, obciskające, bez połysku, ciemne, do tego buty identyczne jak te, które noszą pozostałe stewardesy. Włosy blond z delikatnym balayagem zebrane do tyłu, w kucyk, przesadnie wymyślny. Przystaje. Widzę, jak rozmawia z mężczyzną, który siedzi po tej samej stronie co ja, tyle że bardziej z przodu. Słucha, w czym może pomóc. Przytakuje skinieniem głowy, w milczeniu. Po czym mówi coś uśmiechnięta i go uspokaja. Po raz ostatni, zanim się oddali, odwraca się w moją stronę. Patrzy na mnie. Zielone oczy. Delikatnie podkreślone. Na górnej powiece odcień hebanowy, w oczach przeblask zainteresowania. Rozkładam ręce. Tym razem to ja się do niej uśmiecham. Mężczyzna mówi jej coś jeszcze. Odpowiada mu kompetentnie, po czym odchodzi.

- Bardzo ładna ta stewardesa.

Siedząca obok mnie kobieta wtrąca się, przerywając, ni stąd, ni zowąd, mój tok myślenia. Czujna i uśmiechnięta, bystre spojrzenie zza grubych szkielec. Około pięćdziesiątki, niezłe się trzyma, w odróżnieniu od swoich zbyt dużych kolczyków i od przesadnie niebieskiego, ciężkiego turkusu na powiekach.

- Tak, gnocca, superlaska.

- Co takiego?

- Gnocca. Właśnie tak mówimy w Rzymie na stewardesy takie jak ta. - Tak naprawdę, to jesteśmy o wiele bardziej dosadni, ale to chyba nie czas i miejsce.

- Gnocca. - Potrząsa głową. - W życiu nie słyszałam.
- Gnocca, a jakże... Czasami piękna gnocca. To takie figlarne określenie zapożyczone od klusków. Zna pani gnocchi, prawda?
- Ech, jakżeby inaczej. O tych to się nasłuchałam, a i zjadałam się mmi nie raz.
- Śmieje się rozbawiona.
- Właśnie, i co? Smakowały pani?
- I to jeszcze jak.
- Widzi pani, jakie to proste. Kiedy jakiejś dziewczynie mówi się, że jest gnocca, to znaczy właśnie, że jest taka „smakowita” jak danie, którym się pani zjadała.
- Tak, ale śmiać mi się chce, kiedy zaczynam myśleć o niej jak o klusku. Jest w tym coś... no, jak to się mówi... o, wiem: nieporadnego!
- No nie! Musi pani myśleć o gnocchi okraszonych ciepłym sosem, o smakowitym pomidorze, o rozpluwających się w ustach kopytkach, które niemal przyklejają się do podniebienia, tak że trzeba je potem odrywać językiem.
- Dobrze, z grubsza rozumiem. Pan uwielbia gnocchi?
- Są całkiem, całkiem.
- Często je pan te kopytka?
- W Rzymie nawet i bardzo często. W Nowym Jorku ani razu nie zjadłem nic włoskiego, bo ja wiem, tak dla zasady.
- Dziwne. A mówią, że jest tam mnóstwo wyśmienitych włoskich restauracji. Oho, proszę, właśnie wraca ta... gnocca.
- Kobieta zaśmiewa się rozbawiona i wskazuje stewardesę, która zbliża się, uśmiechnięta, ze szklanką piwa. Obrazek prawie jak z reklamy, taka jest piękna.
- Niech jej pani powie, że prawdziwa z niej gnocca, zobaczy pani, że się ucieszy.
- Nie, nabiera mnie pan.
- Ależ skąd, zapewniam panią, że to komplement.
- To co, mam jej to powiedzieć?
- Jasne, że tak.
- Stewardesa podchodzi, podaje mi małą tackę, na której jest szklanka, pod szklanką papierowa podstawka.
- Proszę, piwo dla pana. Więcej nie będę mogła panu podać, bo schodzimy do lądowania.
- I tak więcej bym już nie zamawiał. Zaczynam panią zapominać. Choć wcale nie jest to łatwe.
- Ach tak... Cóż, dziękuję. Pociągam łyk piwa.
- Jest znakomite, dziękuję, idealne, zmrożone w sam raz. A już zaserwowane przez panią, wygląda zupełnie jak to piwo z reklamy.
- Niechże mi pan zdradzi tylko jedną tajemnicę, co zapomni pan w pierwszej kolejności?
- Może to, w co była pani ubrana...

- Nie podobają się panu nasze mundurki?
- Ależ wręcz przeciwnie. Tyle że będę sobie panią jakoś inaczej wyobrażał. ...

Patrzy na mnie lekko zaskoczona, ale nie zostawiam jej czasu na odpowiedź.

- Na długo się pani zatrzyma w Rzymie?

- Na kilka dni... Wrzesień w Rzymie jest wprost bajeczny. Chcę się wybrać do miasta, na zakupy. Może uda mi się znaleźć coś, co sprawi, że nie sposób będzie o mnie zapomnieć.

- O, nie mam najmniejszych wątpliwości. Z pewnością znajdzie pani coś w sam raz dla siebie. Bo pani to... jakby to powiedzieć... no, jak to się mówi?

Odwracam się w stronę kobiety siedzącej tuż obok mnie.

- Może pani mi pomoże.

Kobieta robi wrażenie cokolwiek onieśmiałej, ale po chwili zbiera się na odwagę: - Pani to... po prostu gnocca!

Stewardesa w pierwszej chwili patrzy na nią zdezorientowana, potem spogląda na mnie. Unosi brew i ni stąd, ni zowąd wybucha śmiechem. Bogu dzięki. Udało się. Śmieję się razem z nią.

- O tak, znakomicie się pani spisała, dokładnie to samo bym powiedział!
Stewardesa o imieniu Eva odchodzi potrząsając głową.

- Proszę zapiąć pasy.

Jej wysoko ściągnięty kucyk faluje i wygląda idealnie, jak zresztą i wszystko pozostałe. Jest doskonała jak skrzydła motyla. Jak motyl, który aż się prosi, by go schwytać. Leciał w Stanach taki kawałek, na którego punkcie miałem totalnego świra, to angielski numer sprzed kilku lat... *I'm gonna keep catching that butterfly...* Verve. Staram się przypomnieć go sobie w całości. Ale mi się nie udaje. Czyjś głos mnie rozprasza. Kobieta obok wyraźnie się z czymś mociuje. I bynajmniej nie robi tego bezszelestnie.

- O rety, nigdy nie mogę znaleźć pasa w tych wszystkich samolotach.
Pomagam jej, kobieta dosłownie się na nim rozsiadła.

- Jest tutaj, proszę pani, pod spodem.

- Dziękuję, choć zupełnie nie pojmuję, czemu właściwie ma to służyć.
Przecież i tak nie zdoła nas utrzymać.

- A, co to, to z pewnością nie.

- Otóż to, właśnie... Dlatego mówię, jeśli dojdzie do kolizji, to przecież zupełnie nie to samo, co taki samochód.

- Nie, z samochodem to nie ma rzeczywiście nic wspólnego... Denerwuje się pani?

- Jakbym szła na ściecie. - Patrzy na mnie i niemal zaczyna żałować, że użyła tego sformułowania.

- Proszę pani, jeśli tak chce przeznaczenie, to nie ma rady.

- Co to ma znaczyć?

- To, co powiedziałem.
- Tak, ale co takiego pan powiedział?
- Świetnie pani rozumiała.
- Tak, ale łudziłam się, że nie rozumiem. Panicznie boję się samolotów.
- Nie było widać nic a nic. - Widzę, jak bardzo jest zaniepokojona, uśmiecha się do mnie, kompletnie zaschło jej w ustach. Popijam swoje piwo i postanawiam się rozerwać.

- Proszę tylko pomyśleć, że do większości katastrof lotniczych dochodzi podczas startu albo...

- Albo?...

- Przy lądowaniu. Czyli już niedługo.

- Ale co też pan opowiada?

- Prawdę, szanowna pani, należy zawsze mówić prawdę. Pociągam duży łyk piwa, a tymczasem kątem oka widzę, że wpatruje się we mnie jak zahipnotyzowana.

- Proszę pana, niechże mi pan coś opowie.

- Ale proszę pani, co takiego chciałaby pani usłyszeć?

- Proszę odwrócić moją uwagę, niech mi pan nie da myśleć o tym, co by się mogło...

Ściska moją rękę z całej siły.

- To boli.

- Ach, przepraszam. - Rozluźnia uścisk, ale nie przestaje się mnie trzymać.

Zaczynam jej opowiadać to i owo. Kawałki z mojego życia, trochę bez ładu i składu, to, co mi akurat przychodzi do głowy.

- Skoro tak, może chce się pani dowiedzieć, dlaczego wyjechałem? - Kobieta przytakuje. Nie jest w stanie wydobyć z siebie słowa. - Proszę wziąć pod uwagę, że to długa historia... - Tym razem, z większym zapałem, skinieniem głowy daje mi do zrozumienia, że tak, cała zamienia się w słuch, wszystko, byle tylko nie myśleć o najgorszym. Mam wrażenie, jakbym rozmawiał z dobrym znajomym, z moim przyjacielem. .. - Nazywał się Pollo, właśnie. Dziwne imię, nieprawdaż? - Kobieta nie bardzo wie, czy ma przytaknąć, czy zaprzeczyć, jest gotowa na wszystko, bylebym tylko opowiadał dalej. - Właśnie, to przyjaciel, którego straciłem ponad dwa lata temu. Nie rozstawał się ze swoją dziewczyną. Pallina to niesamowita panna, o figlarnym, bystrym spojrzeniu, świetna, wygadana, ma cięty język... - Słucha w milczeniu, spogląda zaintrygowana, przejęta moimi słowami. Jakie to dziwne... Czasami czujesz się lepiej z człowiekiem, którego nie znasz, łatwiej przychodzi ci opowiadanie o sobie. Otwierasz się na poważnie. Może dlatego, że nie przywiązujesz wagi do tego, co sobie pomyśli. - Ja z kolei byłem wtedy Z Babi, najlepszą przyjaciółką Palliny. - Babi. Opowiadam jej wszystko... Jak ją poznałem, jak zacząłem się śmiać, jak się zakochałem, jak bardzo mi jej brakowało... Piękno miłości dostrzegasz w pełni dopiero wtedy, kiedy ją tracisz. Być może człowiek czuje się tak, kiedy

idzie na terapię. Zawsze się nad tym zastanawiałem. Ale czy z tymi gośćmi, tam, naprawdę można być tak do końca szczerym? Muszę zapytać kogoś, kto ma to za sobą. Rozmyślam, nie przestając opowiadać. Co pewien czas, na moment, przerywam. Kobieta, rozbawiona i zaintrygowana, często coś wtrąca, jest już znacznie spokojniejsza, nawet wypuściła moją rękę z uścisku. Zapomniała o katastrofie lotniczej. Teraz, jak sądzi, zaprzęta ją moja własna.

- A z tą Babi słyszał się pan jeszcze?

- Nie. Raz na jakiś czas słyszałem się z bratem. Kilka razy z ojcem. Ale niezbyt często, telefony z Nowego Jorku kosztują fortunę.

- Czuł się pan samotny?

Udzielam jej wymijającej odpowiedzi. Nie jestem w stanie tego powiedzieć. Czułem się mniej samotny niż w Rzymie. Potem nieuchronnie wspominam o mamie. Ponosi mnie, a świadomość, że sprzeniewierzam się zasadom kobiety obok, wręcz mnie bawi. Moja matka zdradziła mojego ojca. To ja ją nakryłem z tym, który mieszkał naprzeciwko nas. Prawie w to nie wierzy. Ta wiadomość postawiła ją na nogi. Samolot? Nawet nie pamięta, że nim leci. Zarzuca mnie pytaniami... Ledwo za nią nadążam. Jak to jest, że ludzie tak uwielbiają się babrać w cudzym życiu? Pikantne opowieści, zakazane szczególiki, niechlubne uczynki czy też rozkoszne grzeszki. Może dlatego, że w ten sposób, jedynie słuchając, sami się nie ubrudzą. Odnoszę wrażenie, że kobieta z jednej strony napawa się moją opowieścią, z drugiej zaś - cierpi z jej powodu. Nie wiem, czy tak jest naprawdę, ale nic mnie to nie obchodzi. Opowiadam jej o wszystkim bez ogródek. O brutalności, z jaką potraktowałem kochankę mamy, o moim milczeniu w domu, o tym, że nie pisałem choćby słowa ani własnemu ojcu, ani nawet bratu. I o procesie też. Moja matka siedziała tam, naprzeciwko mnie. W milczeniu, nie miała odwagi przyznać się do tego, co zrobiła. Nie zdobyła się na to, by wyjawić swoją zdradę i usprawiedliwić w ten sposób moją brutalność. I w tym wszystkim ja, beztroski, niemal śmiałem się w twarz sędziemu, który obwinił mnie za czyn, w moim przekonaniu całkiem naturalny: za zmasakrowanie chuja, który pogwałcił łono kobiety, to samo, które wydało mnie na świat. Moja sąsiadka patrzy na mnie z otwartymi ustami. Szanowna pani, owszem, można to samo powiedzieć na tysiąc różnych sposobów... Ale to zupełnie co innego, niż zgrywanie się, jak to zrobił Benigni, wskakując na Raffaellę Carra. Tutaj natomiast w grę wchodziła moja matka. Kobieta zdaje sobie z tego sprawę. Nagle znów poważnieje. Cisza. Wobec tego staram się jakoś rozładować sytuację.

- Jakby to powiedział Pollo, mnie *Moda na sukces* mogłaby co najwyżej zrobić łaskę!

Zamiast się oburzać, zanosi się śmiechem, mam w niej już swojego sprzymierzeńca. - A potem? - pyta ciekawa, co jest w następnym odcinku. A ja nie przestaję opowiadać jakby nigdy nic, bez abonamentu. Moja opowieść nic nie kosztuje. Wyjaśniam jej, skąd się wzięła Ameryka, chęć, by wyjechać, pod

pretekstem kursu dla grafików tam, w Stanach... - A ponieważ nie tak trudno jest natknąć się na siebie nawet w wielkim mieście... wobec tego lepiej już w ogóle się gdzieś wynieść. Nowe realia, sami nowi ludzie, a przede wszystkim żadnych wspomnień. Rok wypełniony niepozabawionymi wysiłku pogawędkami po angielsku, które, dzięki pomocy przypadkowo spotkanych Włochów, stawały się znośniejsze. Wszystko bardzo zabawne, świat pełen barw, muzyki, dźwięków, pojazdów, imprez, nowin. Cały ten wielki rozgardiasz podszyty ciszą. Nic z tego, co ludzie ci opowiadali, nie miało z nią absolutnie nic wspólnego, nie mogło jej przywołać ani tchnąć w nią życia. Babi. Dni na nic, by dać odpocząć sercu, żołądkowi, głowie. Babi. Totalna bezsilność, by cofnąć czas, by choć na chwilę znaleźć się pod jej domem, by spotkać ją na ulicy. Babi. W Nowym Jorku nie ma obaw... W Nowym Jorku nie ma miejsca dla Battistiego. *Kiedy sobie ciebie przypomnę, wystarczy pomyśleć, że cię nie ma, że cierpię nadaremnie, bo wiem, ja to wiem, że już nie wrócisz.* Falszywe dźwięki, by starać się omijać wszystkie te miejsca, które zna i w których się pojawia właśnie ona. Babi. Kobieta się uśmiecha.

- Też znam tę piosenkę. - Nuci coś nieudolnie.

- Tak, to ta sama. - Staram się położyć kres temu koszmarnemu popisowi rodem z *Corridy*.

Ale wybawił mnie samolot. Kra-aach. Suchy, metaliczny dźwięk. Mocne szarpnięcie i mały wstrząs pojazdu.

- O mój Boże, co to? - Kobieta chwytą moją prawą rękę, tę niezajętą.

- To wózek, niech się pani nie martwi.

- Jakże mam się nie martwić! Niby przez to ten cały hałas? Zupełnie jakby się urwał...

Stewardesy i inni członkowie załogi siadają nieopodal, w wolnych fotelach, zajmują także kilka dziwnych miejsc z boku, koło wyjścia. Rozglądam się za Evą, znajduję ją, ale ona nie patrzy teraz w moją stronę. Kobieta stara się nie myśleć o tu i teraz. Z powodzeniem. Puszczą moją rękę w zamian za ostatnie pytanie.

- Dlaczego się rozstaliście?

- Bo Babi związała się z innym.

- Ale jak to? Pana dziewczyna? I to po tym wszystkim, co mi pan opowiedział?

Tym razem to ona wydaje się bawić moim kosztem. Samolot i samo lądowanie zeszły na dalszy plan. I do ostatniej chwili zarzuca mnie pytaniami, wręcz, niczym w amoku, zaczęła się do mnie zwracać per ty. Wali prosto z mostu. Od czasu, kiedy ją zostawiłeś, czy kochałeś się z inną kobietą? I dalej nie odpuszcza, zupełnie jak stukasy z kreskówki o Fistaszkach, z Linusem i czerwonym baronem. Wróciłbyś do niej? Atmosfera się zagęszcza, teraz

bardziej przypomina krwawe komiksy Pazienzy z jego nieodłącznymi strzelaninami. Co z przebaczeniem, czy jest możliwe? Czy rozmawiałeś z kimś o tym? Albo to wina piwa albo też ona i te jej pytania przyprawiają mnie o zawrót głowy. Albo to wina bólu, jaki zadała mi ta miłość, o której wciąż pamiętam. Nic już kompletnie nie rozumiem. Słyszę warkot silnika samolotu i turbiny, która w fazie lądowania zmienia kierunek obrotu. O właśnie, mam pomysł, mogę się uratować przed tym przesłuchaniem...

- Niech pani spojrzy na światła przy pasie startowym. Nie damy rady - mówię jej roześmiany, znów jestem panem sytuacji.

- Chryste Panie, to prawda, widzę je... - Przeżona patrzy przez okno, na samolot i na skrzydła, które niemal dotykają ziemi i trzęsą się rozklekotane. Jak stara pantera jednym zdecydowanym ruchem dopada w locie mojej prawej ręki. Znowu patrzy przez okno. Jeszcze w ostatniej chwili opada gwałtownie na fotel, ląduje głową na oparciu, wyciąga nogi przed siebie, prawie jakby chciała wyhamować własnymi stopami. Wrzyna mi się paznokciami w rękę. Kilkakrotnie lekko nami zarzuca, gdy samolot dotyka ziemi. I zaraz turbiny w silnikach zmieniają kierunek obrotu, ta olbrzymia masa stali trzęsie się jak szalona, razem ze wszystkimi fotelami, włącznie z kobietą obok. Ale ona nie daje za wygraną. Zaciska oczy i cała drży, wyzywając się na moją rękę.

- Kapitan informuje, że wylądowaliśmy na Roma Fiumicino. Temperatura powietrza na zewnątrz...

Z głębi samolotu docierają niewyraźne oklaski, ale prawie zaraz cichną. To już wyszło z mody.

- No tak, daliśmy radę.

Kobieta wzdycha: - Bogu dzięki!

- A nuż jeszcze się kiedyś spotkamy.

- Oj tak, ogromnie miło mi się z tobą rozmawiało. Ale czy wszystko, co mi opowiedziałeś, to prawda?

- Tak samo jak prawdą jest to, że mi pani ścisnęła rękę. - Pokazuję jej moją prawicę ze śladami jej paznokci.

- Ojej, tak mi przykro.

- Nic nie szkodzi.

- Niechże pan pokaże.

- Ależ nie, poważnie, wszystko w porządku.

Rozdzwaniają się komórki. Uśmiechy i błogość po udanym lądowaniu. Prawie wszyscy otwierają luki bagażowe nad swoimi miejscami i wyciągają na zewnątrz naręczą prezentów prosto z Ameryki, tak na oko same zbędne rzeczy; gotowi od razu stanąć w kolejce, byle niezwłocznie dostać się do wyjścia. Po godzinach spędzonych w bezruchu, kiedy w samolocie jest się zmuszonym do podsumowania minionych lat, aż do chwili obecnej, wraca się do pośpiesznego niemyślenia, do fałszywych trosk, do pogoni za najnowszym celem.

- Do widzenia. Dziękujemy. Miłego wieczoru. - Ładne stewardesy żegnają nas przy wyjściu z samolotu. Eva, jak na profesjonalistkę przystało, z uśmiechem przyklejonym do twarzy żegna wszystkich, jest bez zarzutu.

- Dziękuję za piwo.

- Taką mamy pracę. - Uśmiecha się do mnie bardziej naturalnie, chyba.

- Jeśli będziesz miała jakieś problemy... - Zostawiam jej wizytówkę.

Patrzy na nią zaskoczona, jest na niej mój numer w Rzymie.

- To był mój egzamin na kursie grafiki.

- Dobrze ci poszło?

- Wszyscy byli bardzo zadowoleni. Zestawienie białego z niebieskim uznali za genialne.

- Ładne.

Wkłada ją do kieszeni. Nie ryzykowałem wyznania, że kibicuję Lazio. Zaraz potem schodzę na dół.

Letni wiatr. Wrzesień. Zachód słońca, jest prawie wpół do dziewiątej. Wszystko zgodnie z planem. Po tym, jak się leciało przez osiem godzin, fajnie jest znów sobie chodzić. Wsiadamy do autobusu. Przyglądam się towarzyszom podróży.

Kilku Chińczyków, jeden krzepki Amerykanin, jakiś miody chłopak, który wciąż słucha czegoś na samsungu YP-T7X 512 MB, takim, jaki widziałem też w Nowym Jorku. Dwie przyjaciółki, które wracają z wakacji, wcale się do siebie nie odzywają, być może zdążyły się już do woli nacieszyć wzajemnym

towarzystwem w czasie długiego, wspólnego pobytu. Para zakochanych. Śmieją się, co i raz mówią coś bardziej lub mniej sensownego, przekomarzają się ze sobą. Zazdroszczę im, albo lepiej, z przyjemnością na nich patrzę. Moja

współpasażerka, korpulentna pani, która tak się składa, wie wszystko o moim życiu, podchodzi do mnie. Spogląda na mnie uśmiechnięta, jakby chciała

powiedzieć: Daliśmy radę, co? Przytakuję. Prawie żałuję, że aż tyle jej opowiedziałem. Ale zaraz się uspokajam. Nigdy jej więcej nie zobaczę.

Kontrola paszportowa. Kilka wilczurów na smyczy przechadza się nerwowo tam i z powrotem, w poszukiwaniu kokainy albo trawy. Niezadowolone

wyposzczone psy patrzą na nas swymi poczciwymi oczami, wykończone ciągłym trenowaniem. Policjant niedbale zagląda mi do paszportu. Potem jednak

zmienia zdanie, umyka mu jedna strona, odwraca ją powtórnie i przygląda jej się z większą uwagą. Serce zaczyna mi szybciej bić. Nic. Nie wzbudzam jego

zainteresowania. Zwraca mi dokument, składam go i wkładam do plecaka. Odbieram mój bagaż. Wracam wolny, znów jestem w Rzymie. Przez dwa lata

byłem w Nowym Jorku, ale czuję się, jakbym wyjechał raptem wczoraj. Szybkim krokiem zmierzam w stronę wyjścia. Mijam się z ludźmi, którzy

ciągną za sobą walizki, jakiś koleś pędzi zdyszany do samolotu, który być może odleci bez niego. Za barierkami krewni czekają na kogoś, kto jeszcze się nie

pokazał. Piękne dziewczyny, wciąż opalone, wypatrują ukochanych albo i nie. Przechadzają się z założonymi rękami albo stoją w miejscu, ze wzrokiem

niespokojnym, bądź niewzruszonym, tak czy inaczej, wyczekują. - Taksówka,

może potrzebna taksówka. - Jakiś pseudotaksówkarz biegnie mi naprzeciw, udając uczciwego: - Tanio panu policzę. - Nic nie odpowiadam. Orientuje się, że na mnie nie zarobi i daje sobie spokój. Rozglądam się wokół. Piękna elegancka kobieta w białej sukience, z delikatną złotą biżuterią na szyi, nie odrywa ode mnie swojego spokojnego wzroku. Jest naprawdę piękna. Uśmiecham się do niej. Ona w odpowiedzi wysyła mi prawie niedostrzegalny sygnał, który jednak mówi sam za siebie. Zdrada, chciałabym, ale nie mogę, jej pragnienie wolności. Potem odwraca z rezygnacją wzrok. Nie przestaję się rozglądać. Nic. Głupiec ze mnie. Pewnie, że tak. Czego się spodziewałem? Kogo wypatruję? Czy po to właśnie wróciłeś? W takim razie nic nie rozumiesz, wciąż nic a nic nie zrozumiałeś. Chce mi się śmiać na samą myśl o tym, jaki to ze mnie palant.

- Powinien już przyjechać...

Schowana za kolumną, po cichu, ale serce wali jak szalone, szeptem mówi sama do siebie. Może po to, by zagłuszyć to serce, które tak naprawdę wali jeszcze szybciej. Wreszcie zbiera się na odwagę. Bierze głęboki oddech i powoli się wychyla. - To on. Wiedziałam, wiedziałam! - Ani drgnie, choć rozpiera ją dzika radość.

„Nie mogę w to uwierzyć... Step. Wiedziałam, wiedziałam, byłam pewna, że dzisiaj wróci. Nie mogę w to uwierzyć. Matko jedyna, od razu widać, że sporo schudł. Ale się uśmiecha. Tak, wygląda na to, że dobrze się czuje. Czy jest szczęśliwy? A nuż było mu tam dobrze. Aż za bardzo. Ale jak to, czyżbym już doszczętnie skretyniała? Robię się zazdrosna? Niby jakie ja mam do tego prawo? Żadnego... A skoro tak? O rany, co ze mną. Poważnie, kiepsko, i to bardzo. Znaczący, jestem taka szczęśliwa. I to jeszcze jak. On wrócił. Nie mogę w to uwierzyć. O Boże, patrzy w moją stronę!”

Znowu błyskawicznie chowa się za kolumną. Wzdycha. Zamyka oczy, zaciska je z całej siły. Tkwi tak bez ruchu, oparta głową o biały, zimny marmur, z rękami wyciągniętymi wzdłuż kolumny. Cisza. Oddycha głęboko. I raz. Wdech... I dwa. Wydech... Otwiera oczy. Właśnie w tej chwili mija ją jakiś turysta i spogląda na nią zaskoczony. Nieznacznie się uśmiecha, chcąc dać mu do zrozumienia, że wszystko jest w porządku. Ale przecież nie jest. Nie ma co do tego wątpliwości.

„Cholera, widział mnie, czuję to. O Boże, Step mnie widział, ja to wiem”. Ponownie się wychyla. Nic. Step przeszedł jakby nigdy nic.

„No pewnie, co za kretynka. A poza tym, nawet gdyby, to co?”

Oto jestem. Wróciłem. Rzym. A dokładniej: Fiumicino. Zmierzam w stronę wyjścia. Przechodzę przez przeszklone drzwi i wychodzę na ulicę. Wprost na taksówki. Ale właśnie w tej chwili doznaję dziwnego uczucia. Wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje. Odwracam się gwałtownie. Nie ma nic gorszego niż człowiek, który się czegoś spodziewa... I którego nic nie spotyka.

Zachód słońca miejscami zabarwia na pomarańczowo chmury rozsiane tu i tam. Błady księżyc już pojawił się na niebie, skrywa się teraz za najwyższymi gałęziami bujnej korony drzewa. Dziwnie odległy hałas lekko nerwowego ruchu ulicznego. Zza okna dobiegają pojedyncze dźwięki powolnej i przyjemnej dla ucha muzyki, to dźwięki fortepianu, słyhać postęp, widać czas zrobił swoje. Ten sam chłopak, tylko starszy, przygotowuje się do nowych egzaminów, na specjalizację. Nieco niżej białe, idealnie proste linie kortu tenisowego jaśnieją w bladej poświacie księżyca, a dno pustego basenu, osowiałe, jak co roku, nie może doczekać się lata. Także i w tym sezonie nadgorliwy dozorca przedwcześnie opróżnił basen. Na pierwszym piętrze budynku, wśród ładnie utrzymanej roślinności, za krawędzią uniesionej drewnianej okiennicy, widać dziewczynę, która zanosi się śmiechem.

- Daniela, czy skończyłaś wreszcie gadać przez telefon? Macie przecież komórkę, wasz ojciec doładowuje ją wam właściwie codziennie! Dlaczego ciągle wisicie na domowym telefonie?

- Ale bo to nie wiesz, mam, że tutaj nie ma zasięgu? Odbiera tylko w salonie, ale wy tam ciągle siedzicie i wszystko słyszycie!

- Tak się akurat składa, że też tutaj mieszkamy.

- Dobra, mam. Gadam z Giuli. Powiem jej jeszcze tylko jedną rzecz i się rozłączam.

- Ale przecież dopiero co widziałyście się przez pół dnia w szkole. Niby co takiego mogło się przez ten czas wydarzyć! Co? Co znowu masz jej do opowiedzenia!

Daniela zakrywa ręką słuchawkę.

- Zrozum, że nawet jeśli miałyby to być najgłupsza rzecz na świecie, to i tak decyzyję, czy koniecznie mam opowiedzieć o tym wszystkim naokoło, czy też nie, wolałabym podjąć sama, okay?

Daniela odwraca się plecami do Raffaelli przeświadczona, że gest ten oznacza, iż w jakiejś mierze ma rację. Matka wzrusza ramionami i odchodzi. Kątem oka Daniela sprawdza, czy została sama.

- Giuli, słyszałaś? Muszę kończyć.

- To w końcu jak się umawiamy?

- Widzimy się na miejscu.

- Nie... nie to miałam na myśli!

- Słuchaj, ja już się zdecydowałam. - Daniela rozgląda się niespokojnie dookoła. - To nie jest najlepszy moment, żeby rozmawiać o tym przez telefon, zważywszy, że wszyscy kręcą się po domu!

- Ale, Dani, to sprawa największej wagi! Nie możesz podejmować decyzji ot tak... jakby to był jakiś abstrakcyjny problem!

- Słuchaj, czy nie możemy o tym pogadać już na imprezie?
- Okay, jak chcesz. W takim razie widzimy się na miejscu za trzy kwadranse. Dasz radę?
- Nie, spotkajmy się za co najmniej godzinę z kwadransem! - Okay, cześć.
Dani się rozłącza. Ta Giuli czasami potrafi być doprawdy nieznośna. Co z nią, nie dociera do niej, że człowiekowi przydałoby się te pół godziny więcej. Muszę być doskonała, prześliczna. Rzadko w życiu zdarza się przecież przygotowywać na wieczór taki jak ten. Wręcz przeciwnie, śmieje się w duchu, nigdy się nie zdarza. Zazwyczaj „to” ma miejsce wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewasz. Idzie do swojego pokoju, po raz pierwszy niezdecydowana, co ma założyć pod spód. Czuje się jakoś inaczej, jest dziwnie niepewna siebie. Ale zaraz się uspokaja. To normalne, że się tak czuje, nie można być pewnym tego, jak wypadnie Bul pierwszy raz, kiedy się będzie z kimś kochać. Oddycha głęboko. To prawda. Jedyna rzecz, jakiej jestem pewna, to ta, że zrobię to dziś wieczorem, właśnie z nim. Dokładnie w tym momencie Raffaella wpada na nią w korytarzu.

- Daniela, czy można wiedzieć, co takiego chodzi ci po głowie?

Nic, mam... same bzdury.

- Skoro to rzeczywiście same bzdury, to pomyśl raczej o ważniejszych rzeczach!

W pierwszej chwili Daniela chciałby jej wszystko opowiedzieć. Wyznać jej swoje ważne postanowienie, a co więcej, nieodwołalne. Ale zaraz się rozmyśla. Dociera do niej, że sprawa skończyłaby się fiaskiem.

- Pewnie, mam, masz rację.

Dyskusja z nią i tak nie ma najmniejszego sensu. Uśmiechają się do siebie.

Raffaella spogląda na zegar w salonie.

- Ojej, jak grochem o ścianę. Prosiłam twojego ojca, żeby wrócił wcześniej, bo mamy się spotkać z Pentestimi, u nich w domu, trzeba dojechać do samej Olgiaty. Marzenie ściętej głowy, żeby choć raz to on zrobił coś dla mnie...

3

- Stef ano! - Wprost przede mną, na samym środku ulicy stoi mój brat. Uśmiecham się. - Cześć, Pa'. - Rozpiera mnie radość, że go widzę. Jestem prawie wzruszony, nie daję tego po sobie poznać.

- No i jak tam? Nawet nie masz pojęcia, ile o tobie myślałem. Mocno mnie obejmuje. Przyciska do siebie. Tak się cieszę. Na chwilę staje mi przed

oczami ostatnie Boże Narodzenie, które spędziliśmy razem. Zanim wyjechałem. I ten makaron, który przygotował, a potem myślał, że mi nie smakuje...

- No więc... Nieźle się bawiłeś tam, w Stanach, co? Bierze ode mnie jedną torbę. Oczywiście tę lżejszą.

- Tak, dobrze mi było tam, w Stanach. Właściwie dlaczego tam?

- Bo ja wiem, tak się mówi.

Mój brat, co to niby wie, jak się mówi. Nie ma co, czasy się zmieniły, i to jeszcze jak. Patrzy na mnie szczęśliwy i się uśmiecha. Ma pogodny wyraz twarzy. Rzeczywiście mnie kocha. Ale nic a nic nie jest do mnie podobny.

Przypomina mi Johnny'ego Stecchino.

- Ejże, czego się tak śmiejesz?

- E, nic. - Baczniej mu się przyglądam. Cały odpicowany, nowa koszula, nieskazitelna, lekkie spodnie w odcieniu ciemnego brązu z mankietem na dole, marynarka w kratkę, a do tego...

- Ej, Paolo, gdzie posiałeś krawat?

- E tam, latem go nie noszę. A co, źle wyglądam? Nawet nie czeka na odpowiedź.

- No już, jesteśmy. Tylko spójrz, co sobie sprawiłem... - Wykonuje szeroki gest ręką, tak by zaprezentować mi go w całość, jak sądzi, okazałości. - Audi A4, najnowszy model. Podoba ci się?

Jakże można zaprzeczyć, w obliczu takiego entuzjazmu?

- Piękny, nie ma co.

Naciska pstryczek, który trzyma w dłoni. Po dwóch sygnałach bip i mignięciu obydwu kierunkowskazów alarm cichnie. Paolo otwiera bagażnik. - Chodź, załaduj tutaj.

Wrzucam do tyłu dwie torby, choć już bez tej małej, bo mój brat skrupulatnie załadował ją sam. - Ej, delikatnie.

Sam nieświadomie podsuwa mi pewien pomysł. - A nie dałbyś mi poprowadzić?

Patrzy na mnie. Zmienia mu się wyraz twarzy. To cios w samo serce. Ale miłość do brata bierze w nim górę.

- Jasne, trzymaj. - Uśmiecha się z niejakim wysiłkiem i rzuca mi kluczyki razem z pilotem. Wariat. W żadnym razie nie należy darzyć uczuciem brata takiego jak ja. Zwłaszcza, jeśli prosi cię o kluczyki do takiego audi A4. Jest nowiuteńkie. Siadam za kierownicą. Pachnie nowością, bez najmniejszej skazy, odrobinę przyciasny. Przekręcam kluczyk w stacyjce, podświetlam deskę rozdzielczą i odpalam silnik.

- Fajnie się prowadzi.

- Pamiętaj, że silnik dopiero się dociera... - Patrzy na mnie niespokojnie i zapina pas.

A ja, czy to dlatego, że dopiero co wróciłem do Rzymu, czy też dlatego, że chce mi się krzyżeć albo, bo ja wiem, może dlatego, że w jakiś sposób chciałbym,

się uwolnić od tych dwóch lat wypełnionych ciszą, od złości przeżywanej gdzieś daleko, ruszam gwałtownie, dodając gazu. Rozlega się pisk opon, samochód zarzuca na boki, audi A4 podrywa się z miejsca, silnik wyje, opony wrzynają się w rozgrzany asfalt. Paolo chwyta oburącz za klamkę w drzwiach.

- No tak, wiedziałem, wiedziałem, że tak będzie. Jak to jest, że z tobą zawsze się tak kończy?

- Co ty wygadujesz! Przecież dopiero co wsiadłem do auta!

- Chciałem powiedzieć, że z tobą to nigdy nic nie wiadomo!

- Okay... - Przyspieszam, biorę zakręt i dla zabawy manewruję kierownicą tak, że niemal ocieram się o bandę.

- Tak lepiej?

Paolo poprawia się na siedzeniu, obciągając sobie marynarkę.

- Trudno, z tobą nie ma ani chwili spokoju.

- No weź... przecież doskonale wiesz, że to tylko tak dla żartu. Tylko się nie zamartwiaj, zmieniłem się.

- Jeszcze? Na ile się zmieniłeś?

- Tego nie wiem, wróciłem do Rzymu, żeby się przekonać.

Siedzimy w milczeniu.

- Można tu zajarać?

- Wolałbym nie.

Wkładam sobie papierosa do ust i wciskam zapalniczkę.

- Co ty wyprawiasz, palisz i tak?

- To twoje „wolałbym” cię załatwiło.

- Widzisz... Zmieniłeś się. Na gorsze.

Z uśmiechem patrzę na niego. Kocham go. Być może rzeczywiście się zmienił, jakby dojrzał, zmężniał. Zaciągam się marlboro medium, po czym proponuję mu macha.

- Nie, dzięki.

W ramach odpowiedzi opuszcza lekko szybę. Po chwili pogodnieje.

- Wiesz co? Jestem z taką jedną.

Mój brat jest ode mnie siedem lat starszy. To niesamowite, czasami zachowuje się jak sztubak, zbiera mu się na opowiadanie mi różnych rzeczy, że aż miło słuchać. Postanawiam dać mu tę satysfakcję.

- A jaka ona jest, ładna?

- Ładna? Jest piękna! Wysoka, jasna blondynka, musisz ją poznać.

Nazywa się Fabiola, zajmuje się projektowaniem wnętrz, lubi bywać tylko w określonych miejscach, ma świetny gust...

- Ee... Jasne, jasne, oczywiście...

- Okay, okay. Podśmiewasz się, gorzej, podśmiechujki sobie robisz, nieźle, co? Fabiola ciągle to powtarza!

- Trochę dwuznaczne, nie sądzisz? Powinna uważać, kiedy mówi coś takiego. W każdym razie dla mnie to już jasne, dlaczego wam tak razem dobrze.

- Zresztą, tak czy owak, jesteśmy bardzo zgodni.

Bardzo zgodni. Ale co to ma właściwie znaczyć? Zgodność jest wtedy, kiedy wiersz jest do rymu. Albo, co brzmi gorzej, kiedy w umowie wszystko się zgadza. A o miłości to można mówić wtedy, kiedy brak ci tchu, kiedy jest bezrozumna, kiedy odczuwasz brak, kiedy jest pięknie, chociaż nic się nie rymuje, kiedy jest szal... Kiedy już, na samą myśl o tym, że mógłbyś ją ujrzeć u boku innego, przesadziłbyś cały ocean, rozszarpując po drodze wszystko, co popadnie.

- No, skoro jesteście zgodni, to bardzo ważne. Poza tym... - Staram się jak najzręczniejsz spuentować. - Piękne imię: Fabiola.

Ale banał. Lecz nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Właściwie mi to wisi, ale gdybym mu powiedział, że panna ma imię do dupy, to znając go, nie byłby najszczęśliwszy. Paolo jest zawsze spragniony opinii wszystkich wokół. To największa bzdura, jaką można sobie zafundować. Bo niby kim są ci wszyscy? Nawet nasi starzy nie byli dla nas wszystkim.

Jakby czytał mi w myślach. - Tata też jest z taką jedną, wiesz?

- Niby skąd mam wiedzieć, skoro nikt mi nic nie mówi.

- Monica, piękna kobieta. Pięćdziesięciolatka, ale świetnie się trzyma. Zrewolucjonizowała mu dom. Wywaliła część staroci, wszystko jest jak nowe.

- Tata też?

Paolo zanosi się dzikim śmiechem. - A to ci się udało.

Mój brat i jego nieodłączny entuzjizm przygłupa. Wcześniej też taki był? Kiedy wracasz z podróży, wszystko wydaje ci się jakieś inne.

- Mieszkają razem, musisz ją poznać.

Musisz. Co znaczy musisz? Raz a dobrze naciskam klakson, by przepłoszyć gościa, który nie chce usunąć się z drogi. Już, zjeżdżaj! Migam światłami, nic z tego. Dodaję gazu, przyspieszam. Samochód, żeby wyprzedzić, wrywa na prawy pas.

Paolo nogami zapiera się do przodu i przytrzymuje podpórki, która znajduje się między nami. Zjeżdżam na lewy pas i uspokajam brata.

- Wszystko w porządku. W Stanach nigdy nie mogłem tego zrobić, kontrolują cię co do milimetra.

- Wobec tego wróciłeś specjalnie po to, żeby się wyżyć i porozbijać moim samochodem, czy tak?

- Mama jak się miewa?

- Dobrze.

- Co znaczy dobrze?

- Co w takim razie znaczy: jak się miewa?

- Ale ty kombinujesz. Czy jest spokojna? Ma kogoś? Dzwonicie do siebie? Spotykają się, rozmawiają z ojcem?

Pytała o mnie? - tego ostatniego pytania jakoś nie jestem w stanie mu zadać.

- Często o ciebie pytała. - W końcu tylko na nie udziela mi odpowiedzi. - Chciała wiedzieć, czy rozmawiałem z tobą, kiedy siedziałeś w Nowym Jorku, jak ci szło na kursie itede, itepe.

- A ty co?

- A ja mówiłem jej to wszystko, co wiedziałem, niewiele. Że kurs jest w porządku, że o dziwo, z nikim się jeszcze nie pobiłeś, no i poza tym trochę pozmyślałem.

- W stylu?

- Że od dwóch miesięcy spotykasz się z dziewczyną, ale z Włoszką. Gdybym powiedział, że z Amerykanką, od razu stałoby się jasne, że to kit, przecież byście się nie dogadali.

- Cha, cha, cha. Daj znać, kiedy mam się śmiać. Czy to aby nie osławione podśmiechujki?

- Powiedziałem jej jeszcze, że dobrze się bawisz, że wieczorami co raz wychodzisz się rozerwać, żadnych drągów, za to kupa przyjaciół. Słowem, że nie masz zamiaru wracać i że w sumie to dobrze ci tam. Jak mi poszło?

- Jako tako.

- Znaczy?

- Byłem związany z dwiema Amerykankami i rozumieliśmy się w lot. Nie zdąża się roześmiać, przyspieszam i zjeżdżam, zmieniając pas na prawy.

Zostawiam za sobą obwodnicę, na zakręcie dodaję gazu, opony wydają ostry pisk, jakieś stare auto trąbi na mnie z tyłu, ja skręcam dalej, jakby nigdy nic i wjeżdżam na rozjazd. Paolo poprawia się na siedzeniu. Obciąża marynarkę. Potem wtrąca swoje trzy grosze.

- Nie włączyłeś kierunkowskazu.

- Właśnie. - Przez chwilę jadę w milczeniu. Paolo wygląda przez okno, ale raz po raz spogląda też na mnie, starając się przyciągnąć uwagę.

- Co jest?

- Jak się skończyła sprawa z procesem?

- Zostałem ułaskawiony.

- To znaczy? - Patrzy na mnie zaciekawiony. Odwracam się i przez jakiś czas wytrzymuję jego spojrzenie. Siedzi w milczeniu. Przygląda mi się spokojny. Pogodny. Nie sędzę, żeby kłamał. A może jest wytrawnym aktorem. Dobry brat z Paola, ale wśród jego potencjalnych zalet trudno byłoby mi wskazać akurat kunszt aktorski. Znów patrzę na drogę.

- Nic, zostałem ułaskawiony, koniec, kropka.

- To znaczy, rozwiń trochę.

- I kto to pyta? Znasz te wszystkie amnestie, które ogłaszają w sprawie płacenia podatków albo przy samowoli budowlanej właśnie wtedy, kiedy zbliżają się wybory? No, to jest właśnie jeden z takich przypadków, wykroczenia takie jak moje zostają wymazane z kartoteki, a zamiast tego pozostaje pamięć o wspaniałomyślnym prezydencie.

Uśmiecha się.

- Wiesz, przez cały ten czas zadaję sobie pytanie, dlaczego właściwie sprąłeś tego gościa, który mieszkał naprzeciwko nas.

- I dałeś radę przeżyć, zadręczając się tak bez wytchnienia?

- Tak, miałem jeszcze parę innych rzeczy na głowie.

- W Stanach, stary, ani jednego dnia byś nie przeżył. Tam nie masz czasu na takie rozmyślenia.

- Ale ponieważ nie ruszałem się z Rzymu, to między cappuccino a aperitifem znalazłem czas na to, by sobie o tym porozmyślać. I udało mi się także dojść do pewnego wniosku.

- Niesamowite! I co?

- Mianowicie, że nasz sąsiad w jakiś sposób narzucał się mamie, prawil jej siermiężne komplementy i trochę się zagalopował. Ty, nie wiem w jaki sposób, dowiedziałeś się o tym i trzask prask, przyłożyłeś mu tak, że wylądował w szpitalu...

Nie odzywam się ani słowem. Paolo nie spuszcza ze mnie wzroku. Wolałbym, by nasze oczy się nie spotkały.

- Jest jednak coś, czego nie rozumiem, nie potrafię tego rozgryźć... Sorry, przecież mama była na procesie i nic nie powiedziała, nawet nie wspomniała o tym, co się stało, o tym, co jej mógł powiedzieć ten gość, słowem, dlaczego zareagowałaś właśnie w ten sposób. Gdyby tylko zabrała głos, a nuż sędzia okazałby się wyrozumiały.

Paolo. Co takiego naprawdę wie Paolo. Przyglądam mu się przez moment, po chwili znów patrzę na drogę. Białe pasy na jezdni, jeden za drugim, audi A4 w żaden sposób nie maćci ich regularnej linii. Jeden za drugim, niekiedy lekko nadgryzione. Szum jazdy. Tutum, tutum, audi quattro miękko unosi się i opada na każdej najmniejszej wypukłości. Każdorazowo można się zorientować, w którym miejscu stykają się ze sobą krawędzie betonowych płyt, ale to wcale nie przeszkadza. Czy powinno się mówić prawdę? Dać komuś poznać od innej strony znajomą już osobę? Paolo kocha mamę taką, jaka jest. Kocha ją za to, jaka jest według niego. Lub za to, jaką on chce ją widzieć.

- Paolo, ale właściwie dlaczego mnie o to pytasz?

- Tak sobie, żeby wiedzieć...

- Coś ci się tutaj nie zgadza, nieprawdaż?

- No właśnie.

- A dla takiego specja od finansów jak ty to prawdziwy koszmar.

O tym, że nasz sąsiad nazywał się Giovanni Ambrosini, dowiedziałem się dopiero na rozprawie. Chociaż nie, nazwisko poznałem wcześniej. Kiedy zadzwoniłem do niego do mieszkania, nazwisko widniało na tabliczce. Otworzył mi drzwi w bokserkach. Jak tylko mnie zobaczył, od razu je zatrzasnął. Ja zajrzałem do niego jedynie po to, by zamienić z nim kilka słów. By poprosić go grzecznie o ściszenie muzyki. I nagle cios w samo serce. Przez szparę w drzwiach, jakby oprawioną w drewnianą framugę, ujrzałem jej twarz. To spojrzenie na zawsze połączyło nas i rozdzieliło zarazem. Nigdy tego nie

zapomnę. Naga, jakiej jej nigdy przedtem nie widziałem, piękna, jaką ją zawsze kochałem... Moja mama. W pościeli obcego faceta. Nie pamiętam nic, poza tym papierosem, który trzymała w ustach. I to jej spojrzenie. Jakby miała ochotę na coś jeszcze po tym facecie, papierosie i wreszcie... na mnie. Patrz, synku... taka jest rzeczywistość, takie jest życie. Wciąż czuję rozpalone do czerwoności serce. Do tego jeszcze ten Giovanni Ambrosini. Wyciągnąłem go za włosy z domu. Rzuciłem na ziemię. Jeden kopniak w kark wystarczył, by roztrzaskać mu obydwie kości policzkowe. Schował się za poręcz schodów, a ja nie przestawałem zadawać mu ciosy obcasem w prawe ucho, w twarz, między żebra, deptać palców dłoni, póki nie zamieniły się w jedną miazgę. Te same dłonie, które jej dotykały. I... Dosyć. Dosyć. Dosyć, proszę. Dłużej nie wytrzymam. Takie wspomnienia, które nigdy cię nie opuszczają. Nigdy. Patrzę na Paola. Oddycham głęboko. Tylko spokój. Jeszcze głębiej. Spokój i kłamstwa.

- Przykro mi, Paolo, ale czasami bywa tak, że nie wszystko się zgadza. Tamten koleś mnie wkurwił, to wszystko. Mama nie ma tu nic do rzeczy, no co ty.

Wygląda na zadowolonego. Odpowiada mu taka wersja zdarzeń.

Spogląda przez szybę.

- Aha, nie powiedziałem ci jednej rzeczy. Patrzę na niego zaniepokojony.

- Co takiego?

- Przeprowadziłem się. Nie wyniosłem się wprawdzie z Farnesiny, ale kupiłem mieszkanie na poddaszu.

Nareszcie jakaś normalna wiadomość. - Ładne?

- Genialne. Musisz je zobaczyć. Dziś wieczór i tak śpisz u mnie, nie?

Numer telefonu mam ten sam. Udało mi się go przenieść dzięki przyjacielowi z Telecomu.

Uśmiecha się zadowolony z tej swojej namiastki władzy. Cholera, ogóle o tym nie pomyślałem! Dobrze chociaż, że zachował numer telefonu. Właśnie ten numer umieściłem na mojej wizytówce. Tej samej, którą dałem stewardesie. Evie, superlasce. Uśmiecham się sam do siebie. Mijam Corso Francia, Vigna Stelluti, jadę dalej w stronę piazza Giochi Dellfici. Przejeżdżam przed via Colajanni - przecznicą, która prowadzi do piazza Jacini. Nieoczekiwanie jakiś skuter zatrzymuje się przy znaku stop. Dziewczyna. O Boże. Ona. Włosy blond o odcieniu popielatym, długie, na głowie kask. Do tego czapeczka z daszkiem. Ma niebieskiego i-poda i błękitną kurteczkę, dokładnie pod kolor oczu. Tak, wygląda zupełnie jak ona... Zwalniam. Kiwa głową w rytm muzyki i się uśmiecha. Staję. Ona rusza. Puszczam ją przed sobą. Skręca z wdziękiem przed naszym samochodem. Z ruchu warg poznaję, że mi dziękuje... Serce przestaje mi walić jak szalone. Nie, to nie ona. Ale ogarnia mnie wspomnienie. To tak jakbyś był w wodzie, w morzu, z samego rana, kiedy jest zimno. Ktoś cię woła. Oglądasz się i z nim witasz... Ale właśnie gdy się odwracasz, by iść dalej przed siebie, nagle napotykasz falę. Tak samo teraz, wbrew własnej woli, znów trafiam w to samo miejsce, jak rozbitek, wyrzucony na brzeg jednego z tych dni,

sprzed bez mała dwóch lat. Jest noc. Jej starzy są poza domem. Dzwoniła do mnie. Powiedziała, żebym przyszedł. Wchodzę po schodach na górę. Drzwi są otwarte. Przymknęła je. Powoli otwieram je na oścież.

- Babi... Jesteś tu? Babi...

Nic nie słyszę. Zamykam drzwi. Idę korytarzem. Na palcach, w stronę sypialni. Cicha muzyka dobiega z pokoju jej rodziców. Dziwne, powiedziała, że pojechali do Circeo. Zza przymkniętych drzwi sączy się wątle światło. Podchodzę bliżej. Otwieram drzwi. Ona pojawia się nagle koło okna. Babi. Ma na sobie rzeczy matki, cienką, jedwabną beżową bluzkę, rozpiętą i przezroczystą. Spod spodu wystaje kremowy stanik. Do tego długa kaszmirowa spódnica we wzory. Włosy zebrane do góry, upięte w niedbały kok. Wydaje się starsza, chce tak wyglądać. Uśmiecha się. W rękę ma kieliszek szampana. Właśnie nalewa także i dla mnie. Wkłada butelkę do stojącego na komodzie kubelka pełnego lodu. Wokół palą się świece i unosi się woń dzikich róż, która stopniowo odurza nas coraz bardziej. Opiera jedną stopę na krześle. Spódnica rozszerza się, odsłaniając rozcięcie, opada na bok, ukazując najpierw kozak, potem nogę. Ma na sobie pończochy, kabaretki, w cielistym kolorze. Babi czeka na mnie z dwoma kieliszkami szampana w rękę, a jej oczy nagle zmieniają swój wyraz. Zupełnie jakby nieoczekiwanie stała się dorosła.

- Weź mnie, jakbym była nią... Nią, która cię nie chce, nią, która każdego dnia wykańcza mnie, chcąc nas rozdzielić... - Podaje mi kieliszek. Wypijam szampana jednym haustem. Jest zimny, jest dobry, jest doskonały. Po chwili całuję ją namiętnie i mocno, bo tak też jej pragnę. Nasze języki mają smak szampana, są senne, zagubione, pijane, znieczulone... Nagle się budzą. Przejeżdżam jej dłonią po włosach i wpadam w sidła ciasnych splotów kunsztownej fryzury. Trzymam jej głowę w swoich dłoniach, należy tylko do mnie, całkowicie i nieodwołalnie... tymczasem jej pocałunek staje się coraz bardziej nienasycony. Jest absolutną panią moich ust, sprawia wrażenie, jakby chciała wdrzeć mi się do środka, pożreć mnie, przeniknąć aż do samego serca. Co ty robisz? Stój. Przecież ono i tak jest już twoje. Po chwili Babi przerywa i patrzy na mnie. Naprawdę wygląda jak swoja matka. I przeraża mnie intensywność, którą wyczuwam i której nigdy dotąd nie widziałem. Bierze mnie za rękę, unosi sukienkę z boku i wsuwa tam moją dłoń. Przesuwa nią w górę, jeszcze wyżej... wzdłuż nogi, prowadzi mnie coraz wyżej. Odrzuca głowę do tyłu. Ma zamknięte oczy. Uśmiecha się. Leciuteńko. Wzdycha, głęboko i wyraźnie. Moja dłoń dociera jeszcze wyżej. Niespiesznie przykłada ją sobie do majtek. O tak. Delikatnie je przesuwam i palcami zanurzam się w nią, rozplątuję w jej rozkoszy. Babi wzdycha teraz głośniej. Rozpina mi spodnie i szybko je ze mnie ściąga, znów nienasycona, jak nigdy wcześniej. I delikatnie go odnajduje. Zastyga. Patrzy mi w oczy. Uśmiecha się. Oblizuje mi wargi. Kąsa mnie. Jest głodna. Ma na mnie ochotę. Opiera się, popycha mnie, przywiera swoim czołem do mojego, uśmiecha się, wzdycha, przesuwam dłoń w górę i w dół i ztraca się, wygłodniała, w moim spojrzeniu, a ja w jej... Po czym | pozbywa się majtek,

delikatnie całuje mnie po raz ostatni i ręką pieśczośliwie muska mnie pod brodą. Wchodzi na łóżko, jest na czworakach, podnosi spódnice i odkrywa się z tyłu. Zarzuca ją sobie na plecy i odwraca się w moją stronę.

- Step, proszę cię, weź mnie z całej siły, tak jakbym była moją matką, zadaj mi ból... Proszę cię, przysięgam, chcę tego.

Sam nie mogę w to uwierzyć. Ale to robię. Ulegam jej, a ona zaczyna krzyczeć, tak jak jeszcze nigdy dotąd, prawie mdleję z rozkoszy, z pożądania, z niewiarygodności tej sytuacji, z miłości do tego, co wydawało mi się niemożliwe. We wspomnieniu wciąż dyszę z rozkoszy i prawie brak mi tchu...

- Ej, Step!

- Tak?

Nagle znów jestem tu i teraz. To Paolo.

- Co się dzieje? Zatrzymałeś się na środku ulicy.

- Doprawdy, zadziwiasz mnie. Ni stąd, ni zowąd zrobiłeś się uprzejmy? Nigdy nie widziałem, żebyś się tak zachowywał: przepuszczasz jakąś dziewczynę, mimo że ona wcale nie ma tutaj pierwszeństwa! Niesamowite. Albo Stany rzeczywiście wyszły ci na dobre, albo zmieniłeś się nie do poznania. Albo...

- Albo?

- Albo wzięłeś tę dziewczynę za kogoś innego.

Odwraca się w moją stronę i na mnie patrzy.

- Ej... Nie zapominaj, że jesteśmy braćmi.

- Dokładnie i właśnie to mnie martwi... Takie tam podśmiejuchy, gdybyś przypadkiem nie zajarzył.

Paolo się śmieje. Ja z powrotem prowadzę, starając się odzyskać nad sobą panowanie. Udaje mi się. Następnie oddycham głęboko. Jeszcze głębiej. Zostaje tylko bolesna świadomość, że ta wysoka fala będzie mi towarzyszyła już zawsze.

4

Z4 to genialne auto. Oddałbym wszystko, byle je tylko mieć. Claudio Gervasi jest przy Porta Pinciana, stanął tuż przed witryną dealera BMW. Przygląda mu się zupełnie jak małe dziecko, pożądlwym wzrokiem, przejęty, niezadowolony, bo jest poza jego zasięgiem. Gdyby tylko Raffaella dowiedziała się, czego tak bardzo pragnie, dopiero by pożałował. A gdyby na dodatek dowiedziała się o całej reszcie, już byłoby po nim. Woli o tym nie myśleć. Nigdy się nie dowie. Ale skoro już tu jestem, to w takim razie zajrzę sobie do środka. Nie ma nic złego w samej chęci posiadania czegoś. Czy to także podpada pod kategorię grzechów przeciwko społeczeństwu? Claudio usiłuje przekonać samego siebie. Przecież nie to, żebym się do czegoś zobowiązywał... chcę się tylko dowiedzieć,

ile by mi zaproponowali, gdybym w ramach transakcji dał im w rozliczeniu własne auto na wymianę z dopłatą. A nuż dobrze mi tu policzą za mojego mercedesa 200. Jasne, że przebieg ma potężny. Ale za to jak jest utrzymany... Krąży wokół samochodu. Nie licząc tej niewielkiej rysy z winy Babi i Daniela, a zwłaszcza sposobu, w jaki parkują ich wspólny skuter. Cóż, posłuchajmy, co takiego mają mi tu do zaproponowania... Wchodzi do salonu. Od razu podchodzi do niego młody sprzedawca, wygląda bez zarzutu, ma na sobie krawat z windsorskim węzłem, niebieski, tak jak i cały garnitur, począwszy od marynarki na miarę, a skończywszy na idealnie skrojonych spodniach, zwężanych, z mankietem, które miękko załamują mu się na ciemnych mokasynach, prostych, ale doskonale wypolerowanych. Dokładnie tak samo jak i cały samochód. Z bliska wygląda jeszcze piękniej. Delikatny błękit, wewnątrz nieco ciemniejsze, wykończone w kolorze lekkiego beżu, z czarnym akcentem, wszędzie tam, gdzie pojawia się skóra, od kierownicy po dźwignię zmiany biegów. Pokusa, której nie sposób się oprzeć.

- Dobry wieczór, w czym mogę panu pomóc?

- Otóż chciałbym się dowiedzieć, w jakiej cenie jest to bmw. Z4, nieprawdaż?

- Zgadza się, proszę pana. Więc pełen pakiet, klucze do ręki, z ABS-em włącznie i stalowymi felgami oczywiście... sprawdźmy... Proszę pana, ma pan szczęście, właśnie mamy promocję. Jak dla pana, czterdzieści dwa tysiące euro. Euro mniej, euro więcej, ma się rozumieć.

Z pewnością więcej. Grunt, że mam szczęście i że akurat trafiłem na promocję. Na to sprzedawca, który dostrzega, że Claudio jest lekko rozczarowany, uśmiecha się do niego.

- Proszę zauważyć, że to samochód samego Jamesa Bonda.

Claudio nie wierzy własnym oczom.

- Dokładnie ten sam?

- Ależ skąd, nie dosłownie! - Sprzedawca wpatruje się w niego, starając się zrozumieć, czy aby specjalnie go nie nabiera. - Tym bardziej, sędzę, iż w filmie wykorzystali model Z3, bmw z poprzedniej serii, tak gwoli ścisłości, to niechybnie zostało ono doszczętnie zdemolowane albo i wystawione na jakąś aukcję! Ale to auto jest jeszcze bardziej dopracowane i też pojawiło się w filmie, *Ocean's Twelve*, a może *Eleven*?

Sam dokładnie nie pamiętam. Tak czy inaczej, jeździli nim: George Clooney, Matt Damon, Andy Garcia, Brad Pitt, a teraz... pan!

Claudio uśmiecha się niewyraźnie.

- Być może...

Sprzedawca orientuje się, że ma przed sobą faceta wiecznie niezdecydowanego. Nie zna prawdy. Bo ma przed sobą okrutny cień, potworny hologram, rzut laserem, to nikt inny tylko Claudio zaprzątnięty myślą o własnej żonie. Chłopak decyduje się rozruszać potencjalnego klienta, dostarczając mu dodatkowych informacji. Krąży wokół samochodu, podając osiągi: prędkość, ile

pali, rozmaite możliwe parametry oraz oczywiście wszelkie ewentualne oferty leasingu.

- A propos... - słysząc ostatnią propozycję, Claudio nabiera odrobiny otuchy - w wypadku zakupu przyjmujecie w rozliczeniu stary samochód, prawda?

- Ależ oczywiście, jakżeby inaczej! Chociaż akurat teraz rynek samochodów używanych ma się tak sobie, proszę pana.

Claudio nie miał co do tego wątpliwości.

- Czy może pan rzucić na niego okiem? Stoi na zewnątrz.

- Jasne. Chodźmy go zobaczyć.

Claudio wychodzi z salonu w towarzystwie sprzedawcy.

- Jesteśmy, oto on.

Cały dumny pokazuje swojego mercedesa 200, grafitowosrebrny metalik. Chłopak w okamgnieniu staje się czujny, poważny, dokładny. Przypatruje mu się, co pewien czas go dotyka, sprawdza ślady prawdopodobnych napraw, chytrze ukryte. Claudio próbuje go przekonać.

- Zawsze oddawałem go do przeglądu, dopiero co wymieniałem też opony...

Sprzedawca krąży wokół samochodu i ogląda drugi bok, ten zniszczony przez skuter. Wówczas Claudio stara się odwrócić jego uwagę.

- Akurat w zeszłym tygodniu był na kompleksowym przeglądzie.

Ale sprzedawcy takiemu jak ten nic nie umknie.

- Tak... tyle że tutaj ładnie ktoś pana urządził, co!

- Ano tak, moje córki. Tysiąc razy im mówiłem, żeby parkowały skuter pod samą ścianą, na próżno!

Sprzedawca wzrusza ramionami, jakby chciał powiedzieć: „A cóż ja mogę na to poradzić?”.

- No właśnie, tak czy inaczej, się to naprawi. Poza tym trzeba zrobić przegląd silnika, nieprawdaż? Auto trafi do głównego mechanika. No tak, jeśli wykluczemy ewentualne problemy, to jego wartość szacowałbym na około... cztery tysiące, cztery i pół tysiąca euro.

- Aha... - Claudiowi brak słów. Liczył na co najmniej dwa razy tyle. - Wyprodukowany w dziewięćdziesiątym dziewiątym.

- Prawdę powiedziawszy, myślałem, że w dwutysięcznym, tak czy owak, cena, jaką panu podałem, wymaga jeszcze potwierdzenia, dobrze?

Czy dobrze? Ależ jasne, że tak! Dobrze bez cienia wątpliwości! Ja za to powinienem wam dać trzydzieści siedem tysięcy pięćset euro, euro mniej, euro więcej. Ale Claudio postanawia o tym nie myśleć.

- Tak, dobrze... jasne...

- W takim razie do zobaczenia. W razie czego jesteśmy do dyspozycji. Młody sprzedawca wymienia z nim mocny uścisk dłoni, pewien, że w mniejszym lub większym stopniu udało mu się go przekonać. Zaraz potem wręcza mu wizytówkę z wszystkimi zamiarami i logo BMW. Claudio patrzy,

jak się oddala. Kiedy sprzedawca jest już w salonie i nie może go zobaczyć, Claudio drze wizytówkę i wyrzuca ją do kosza nieopodal. Brakuje jeszcze tylko, żeby Raffaelli wpadło to w ręce. Wsiada do swojego mercedesa. Opiera ręce na kierownicy. Kochana, wiesz przecież, że i tak nigdy bym cię nie zdradził! Po czym sięga po komórkę, rozgląda się naokoło i pisze SMS-a. Wysyła go i po upływie sekundy, naturalnie, kasuje. Wreszcie, w ostatnim odruchu bezgranicznej wolności, zapala sobie marlboro.

5

To tutaj Step, pod dwieście trzydzieści siedem. Poczekaj, otworzę bramę. Zaparkuj w tym miejscu. Numer sześć, to mój. - Paolo jest wyraźnie dumny. Bierzemy bagaże. - Można wjechać windą z samego garażu. - Jest dumny także i z tego. Wjeżdżamy na piąte piętro. Otwiera drzwi, jakby to był sejf. Alarm, dwa zamki, drzwi pancerne. Powyżej widnieje jego nazwisko. Paolo Mancini, wydrukowane na wizytówce umieszczonej w złotej ramce. Coś okropnego, ale mu tego nie mówię.

- Widziałeś? Na tabliczce umieściłem jedną z moich wizytówek. Jest i numer telefonu. Niezły pomysł, co? Z czego się śmiejesz? Nie podoba ci się, tak?

- Jak to nie. Dlaczego uważasz, że miałbym cię ciągle okłamywać? Naprawdę mi się podoba, słowo. - Paolo uśmiecha się wyraźnie rozluźniony i wpuszcza mnie do środka.

- Okay, chodź, tylko popatrz, proszę...

Samo mieszkanie jest niczego sobie, nowy parkiet, jasne kolory, białe ściany.

- Trochę za mało tu mebli, ale pomyśl tylko, zarządziłem totalny remont. Popatrz, mam zdalnie sterowane gniazdko, dzięki temu możesz sobie regulować oświetlenie według własnego widzimisię, kumasz?

Wypróbuj pierwsze z brzegu, ustawia je tak, że świeci raz mocno, to znów słabo.

- Niezłe, co?

- Zajebiste, - Stoję w drzwiach, objuczony torbami. Paolo uśmiecha się, szczęśliwy, że sam na to wpadł.

- Pokażę ci, gdzie się możesz zainstalować. Otwiera drzwi w głębi korytarza. - Tara!

Paolo staje w wejściu, uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Ech... - Niechybnie czeka mnie jakaś niespodzianka. Wchodzę.

- Zebrałem do kupy twoje manatki i przeniosłem je tutaj. Jakies swetry, koszulki, bluzy. I popatrz na to... - Pokazuje mi obraz wiszący na ścianie. - Zostało jedno płótno Andrea Pazienzy. Tego nie spaliłeś.

Niechący przypomina mi o tamtym Bożym Narodzeniu sprzed dwóch i pół roku. Chyba to do niego dociera i trochę tego żałuje.

- Dobra, ja idę do swojego pokoju. Czuj się jak u siebie. Kładę torbę na łóżku, rozpinam suwak i zaczynam wyładowywać rzeczy. Swetry, kurtki, track jacket Abercrombie. Sprane džinsy marki Junya. Bluzę w piaskowym kolorze Yinatge 55. Starannie złożone koszule Brooks Brothers. Wkładam je do białej szafy. Ma pełno szuflad. Drugą torbę też otwieram i zapełniam je wszystkie. Na samym dnie bagażu leży zawinięta paczka. Biorę ją i idę do niego. Paolo jest u siebie w pokoju, leży wyciągnięty na łóżku, stopy wystają mu poza krawędź.

- Trzymaj. - Rzucam mu pakunek na brzuch. Zachowuje się, jakbym mu dał kuksańca, zwija się skulony, przytrzymując pakunek, który łąduje obok niego.

- Dzięki, a to dlaczego? - Zawsze doszukuje się wyjaśnienia.

- To w Ameryce ostatni krzyk mody.

Rozpakowuje i rozkłada prezent przed sobą. Jest nieco zdezorientowany.

- To kurtka marki Fire. Tam noszą ją ci, którym się udało. - Teraz, po tym, jak mu to powiedziałem, jakoś bardziej mu się podoba.

- Zmierzę! - Zakłada ją na marynarkę i przegląda się w lustrze. Staram się nie śmiać.

- Kurwa, zajebicie! - U niego taka reakcja jest co najmniej nietypowa. Najwyraźniej rzeczywiście mu się podoba.

- Idealnie utrafiłeś z rozmiarem!

- Dbaj o nią. Jest warta tyle, co skrawek twojego domu.

- Poważnie aż tyle kosztuje?

- Ejże, co by nie mówić, twój pokój jest jakiś ładniejszy, większy.

- Tak, Step, wiem, ale...

- Paolo... ja żartuję.

Paolo oddycha z ulga.

- Nie, poważnie, naprawdę odwaliłeś kawał dobrej roboty.

- Nie masz nawet pojęcia, ile mnie to kosztowało.

Właśnie, jak na księgowego przystało. Wracam do siebie do pokoju. Zaczynam się rozbierać. Chętnie wezmę prysznic. Paolo wchodzi do mnie, wciąż ma na sobie kurtkę z metką, która mu dynda tuż przy szyi, w rękach trzyma pakunek. - Ja też mam dla ciebie niespodziankę. - Robi zamach, jakby mi go chciał rzucić, ale się rozmyśla i podaje mi go niespiesznie. - Nie wolno tym rzucać. To delikatna rzecz.

Otwieram go zaintrygowany. - To na twoje urodziny. - Udaje mu się mnie spieszyć. - Znaczą, tak naprawdę na urodziny, które obchodziłeś w Ameryce. Jedyne, co mogliśmy wtedy zrobić, to do ciebie zadzwonić.

- Tak, odsłuchalem na sekretarce. - Nie przerywam rozpakowywana prezentu. Staram się nie myśleć o tamtym dniu. Ale mi się to nie udaje. 21 lipca... Cały dzień poza domem specjalnie po to, żeby nie przesiadywać bezcelowo przy telefonie. Potem powrót do domu i widok migającej lampki na sekretarce. Jedna wiadomość, dwie, trzy, cztery. Cztery wiadomości, cztery zarejestrowane telefony. Cztery możliwości. Cztery szanse. Dawaj, pierwszą: - Halo, cześć Stefano, to ja, tata... Wszystkiego najlepszego! Myślałeś pewnie, że zapomniałem, co?

Mój ojciec. Zawsze wszystko, co robi, musi okraszyć żartem. Wciskam klawisz i przewijam do przodu. - Sto lat! Sto lat niech żyje nam... - Mój brat. Mój brat we własnej osobie, wyśpiewuje mi życzenia do słuchawki. Co za młotek! Zostały jeszcze dwie. Kolejna wiadomość, przedostatnia. - Cześć, Stefano... - Nie. To moja matka. Odsłuchuję ją w milczeniu. Mówi swobodnie, powoli, w jej głosie słychać miłość, może nawet lekkie zmęczenie. Słyszając ją, zaciskam oczy. I pięści też. I powstrzymuję napływające łzy. I mi się to udaje. Dziś są moje urodziny, mam. Chcę się cieszyć, chcę się śmiać, chcę się dobrze czuć, mam... Tak, też mi Ciebie brakuje. Jest tyle rzeczy, których mi brakuje... Ale dziś chcę o tym nie myśleć. Proszę Cię. - Raz jeszcze wszystkiego najlepszego, Stefano, i pamiętaj, dzwoń, kiedy tylko możesz. Całuję. - I tak oto zostaje mi już ostatnia wiadomość. Zielona lampka miga bezgłośnie. Patrzę na nią w milczeniu. Powoli, raz po raz włącza się i wyłącza. To zielone światełko mogłoby się okazać moim najpiękniejszym prezentem w życiu. Jej głos. Myśl, że jej także mogłoby mnie brakować. Że można by w okamgnieniu wrócić do tego, co już było, zacząć wszystko od nowa... Wciąż marzę o tym okamgnieniu. Po chwili wciskam klawisz. - Cześć, bohaterze! I co tam u Ciebie? Ojej, cóż za absurdalna przyjemność, móc usłyszeć Twój głos, mimo że tylko na sekretarce. Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo mi Ciebie brakuje... Do szaleństwa. Bez Ciebie Rzym jest całkiem pusty. Chyba mnie poznajesz, co? To ja, Pallina. Jasne, głos teraz zrobił mi się bardziej kobiecy. No więc, mam Ci kupić rzeczy do opowiedzenia. Od czego by tu zacząć? Pomyślmy... Tak czy siak, nie muszę się spieszyć, moich starych nie ma, dzwonię z domu i mam zamiar wydać, ile się da, zważywszy, że nieźle mnie wkurzyli. Będą mieli za swoje, co tam... - Rozśmiesza mnie, słucham jej z przyjemnością, z uśmiechem na twarzy. Ale nie mogę się okłamywać, nie siebie samego. Nie na ten telefon czekałem. Bo bez jej głosu urodziny w ogóle się nie liczą. Mam wrażenie jakbym się wcale nie urodził. A tymczasem teraz, po upływie ponad dwóch lat, znów tutaj jestem.

- No i co ty na to, podoba ci się?

Kończę rozpakowywanie i patrzę na pudełko.

- Ej, zauważ, że to najnowszy model: Nokia, mózg staje.

- Komórka?

- Zajebista, co? Zawsze ma zasięg. Sam tylko pomyśl, mam go dzięki jednemu kumplowi, bo w sklepach jeszcze takiego nie kupisz. To model N70,

ma wszystko, a do tego jest taki mały. Mieści się w kieszeni kurtki. - Chowa go, żeby mi pokazać, że mówi najszczerzą prawdę.

- To ci dopiero, masz tych przyjaciół nie od parady, co?

- I voila, widzisz? Tak się go otwiera, a na dodatek możesz wyłączyć dzwonek i zostawić samą wibrę. Trzymaj. - Nawet nie zwrócił uwagi. Że robię sobie jaja. Czeka tylko na moją reakcję.

- Dzięki. - Jedyne tyle udaje mi się powiedzieć. - Komórka, oto czego mi było trzeba.

- Masz już nawet numer: trzysta trzydzieści pięć osiemdziesiąt osiemdziesiąt osiemdziesiąt, łatwy, nie? To wszystko zasługa tego mojego kumpla, który pracuje dla Telecomu.

Jest z siebie jeszcze bardziej zadowolony. Mój brat razem z tymi twoimi przyjaciółmi. Teraz mam już własny numer. Jestem zarejestrowany. Rozpoznawalny. Osiągalny. Może.

- Genialnie, za to teraz muszę bezwzględnie wziąć prysznic.

Rzucam telefon na łóżko

Paolo wychodzi, kręcąc głową: - Jeszcze zobaczysz, długo ta komórka nie pociągnie, *jak* będziesz nią tak rzucał.

Mój brat. Szkoda gadać. Co za nudziarz! A przecież obydwaj pochodzimy z tego samego nasienia, mojego ojca, a w każdym razie mam taką nadzieję. Włączam radio, które stoi na szafce i ustawiam na odpowiednią częstotliwość. Rozbieram się i jednocześnie zaczynam śmiać się sam do siebie. Moja matka, która wydała na świat Paola jako owoc związku z innym facetem. To byłby maks. Przynajmniej coś by to wyjaśniło. Ale to akurat wykluczam. Wtedy były inne czasy. Czasy miłości. Podoba mi się kawałek, który leci. Zaczynam coś tam sobie nucić.

Stoję pod domem Paola. Widziałam zapalone światła. Wiem, że to nowe mieszkanie jego brata. O właśnie, widzę go. Step przechodzi koło okna. To musi być jego pokój. Ej, akurat się rozbiera. I coś sobie nuci. Zakładam bezprzewodową słuchawkę. Włączam sobie radio w komórce. Zmieniam stację, aż mi się wydaje, że trafiam na to, co Step nuci pod nosem. Patrzę, jaka to stacja. Ram Power 102,70. Tym żyjesz, to pamiętasz. Kto wie, co woli Step... Patrzę, która godzina. Jest późno, muszę wracać do domu. Rodzice już tam pewnie na mnie czekają.

- Paolo, czy masz jakiś ręcznik?

- Przecież sam ci położyłem w łazience. Tylko zobacz, wszystko poukładane kolorami, ten błękitny jaśniejszy masz do twarzy, ten ciemniejszy koło bidetu do higieny intymnej i wreszcie niebieski płaszcz kąpielowy wisi za drzwiami.

Nie ma co, przy nim nawet chorobliwy pedant, taki jak filmowy Furio, jest nieznośnym bałaganiarzem.

- Ej, Step, pokaż się no!

Staję w drzwiach.

- Ja cię kręcę, dobrze wyglądasz. Schudłeś?

- Tak. W Stanach mają inny zestaw ćwiczeń na siłowni. Bardzo dużo boksują. W czasie pierwszych treningów zrozumiałem, jak bardzo jesteśmy tutaj w Rzymie powolni.

- Masz superrzeźbę.

- A ty od kiedy opanowałeś takie fachowe słownictwo? Celowo zwracam się do mego z siermiężnym rzymskim akcentem.

- Zapisalem się na siłownię.

- Własnym uszom nie wierzę. Najwyższy czas! Ale jak to, właśnie ty, który ciągle się mnie czepiałeś. Nic, tylko po co tak przesiadujesz na tej siłowni, co cię obchodzą mięśnie i cała reszta... A sam w końcu co robisz?

- Fabiola mnie przekonała.

- Aha, proszę. Widzisz, ta Fabiola już mi się podoba.

- Powiedziała, że za dużo czasu spędzam w pozycji siedzącej i że mężczyzna musi się w końcu zdecydować, jakie chce mieć ciało w wieku trzydziestu trzech lat.

- W wieku trzydziestu trzech lat?

- Właśnie tak powiedziała.

- W takim razie miałeś jeszcze wówczas dwa lata laby.

- Wolałem nie spełniać wszystkich warunków tej zasady.

- Fajna ta Fabiola. - Idę do łazienki. - A gdzie się zapisałeś?

- Do Roman Sport Center. - Ciszka. Znów staję w drzwiach.

- Czy o tym także zdecydowała Fabiola?

- Nie. - I śmieje się cały dumny, przeświadczony, że wybór należał do niego. - Ja... no tak, prawda jest taka, że ona już się tam wcześniej zapisała.

- Aha, to tak... - Wracam do łazienki i zamykam za sobą drzwi. Nie mogę w to uwierzyć. Nie ma nic gorszego, niż chodzić na siłownię z własną dziewczyną. Siedzisz tam i myślisz o niej nawet wtedy, kiedy podnosisz ciężary, wciąż sprawdzasz, kto do niej podchodzi, co takiego do niej mówią, czy aby jakiś fajfus się nie zgrywa i nie wciska jej kitu, podsuwając niezawodne ćwiczenia... i co ona na to, i jak odpowie. Koszmar. Co raz to widzę takie parki. Buziaczek pod koniec każdej serii ćwiczeń. A na sam koniec treningu obowiązkowe pytanie: - To co robimy dziś wieczór?

Bo każda para musi przecież zawczasu mieć własny program. Jakżeby inaczej, w przeciwnym razie, co to za para. Tak... Za to jeśli jesteś „odparowany” to Roman Sport Center jest w sam raz. Mięsień odruchowo zaczyna pracować dwa razy intensywniej, sam się bierze do roboty, byle tylko coś wyrwać. Sprzęt i sztangi nieomal udają, że pracują, niemi Świadkowie, Bóg jeden raczy wiedzieć, ilu wyrachowanych zauroczeń. A tak, bo po zakończeniu każdej serii ćwiczeń trzeba się na siebie popatrzeć, jedno taksuje wzrokiem drugie, uśmiech i dawaj gadka szmatka. Kim jesteś, gdzie byłeś wczoraj, jaki

lokal dzisiaj otwarto, jakie masz plany na wieczór, co takiego porabiasz jutro i ile masz kasy. Słowem, czy warto cię przelecieć.

Odkręcam wodę i wchodzę pod prysznic. Zimna. Opieram się plecami o ścianę i napieram na nią z całej siły, bezskutecznie starając się ją Zburzyć. Nabrzmiwiają mi barki i czuję, jak woda, która po mnie spływa, robi się cieplejsza. Po chwili odchylam głowę do tyłu, mam otwarte usta. Woda ni stąd, ni zowąd zmienia swój bieg. Nieduża, porywista rzeczka, która znajduje sobie zatoczki i kryjówki pomiędzy moimi oczami, między nosem a ustami, między zębami a językiem. Oddychając, wypluwam ją z buzi. Mój brat. Mój brat, który chodzi do Roman Sport Center. Mój brat i jego nowe audi A4. Mój brat i jego kobieta. Mój brat, który trenuje razem z nią, raz po raz wybucha śmiechem, a w przerwie postanawia, co będą robić wieczorem. Teraz już jest wszystko jasne. On to tata, bez cienia wątpliwości. Im starszy, tym wyraźniejszą staje się kserokopia. Ja za to tkwię sobie w kącie, wyblakły. Chciałbym się dowiedzieć, kto mi podpieprzył mój tusz. Wychodzę spod prysznic. Zakładam na siebie płaszcz kąpielowy i wycieram włosy błękitnym ręcznikiem, dokładnie tak, jak mi przykazał. Przejeżdżam energicznie po krótkich włosach, które dopiero co zgoliłem, tak że schną w okamgnieniu. Ręcznik zostawiam sobie na głowie i idę do pokoju. Paolo mnie widzi.

- To niesamowite, jak bardzo jesteś podobny do mamy. Zadzwoń do niej, będzie przeszczęśliwa.

- Dobra, później. - Dziś nie chce mi się nikogo uszczęśliwiać.

6

Z głębi korytarza dobiega odgłos kluczy przekręcanych w zamku drzwi wejściowych. Raffaella się odwraca.

- Och... jest i Claudio!

Drzwi otwierają się powoli. Ale zamiast niego, w całej krasie, odmieniona wkracza Babi. Raffaella wybiega jej naprzeciw.

- Coś ty zrobiła!

- O co ci chodzi?

- No jak to, nie dość, że się spóźniłaś, to jeszcze obcięłaś sobie włosy!

- O Boże, mamu, przeraziłaś mnie nie na żarty! Spodziewałam się najgorszego! Tak, obciąłam je dzisiaj rano. Ładnie? Arturo, który mnie strzygł, powiedział, że tak jest mi bardziej do twarzy.

- Tak... ale właściwie prawie wszystko dobierałyśmy pod kątem twoich długich włosów!

- Mamu, ale raptem przecież tylko je wycieniowałam. - Babi uśmiecha się do niej. - Wiedziałam, że tak powiesz. Spójrz... - Otwiera małą torebkę Furii i

wyciąga z niej trzy zdjęcia zrobione polaroidem. - Masz, specjalnie wpierw zrobiłam je sobie na próbę. I co ty na to? Czy nie wyglądam lepiej?

Raffaella je ogląda. Po chwili uśmiecha się wyraźnie zadowolona i szczerze usatysfakcjonowana zarówno własną córką, jak i jej nową fryzurą oraz wszystkim, co zostało uwiecznione na zdjęciu. Ale nie ce tak łatwo jej odpuścić. Nie, w żadnym razie nie chce być wyuczana, jeśli chodzi o podejmowanie decyzji, a już zwłaszcza wtedy, kiedy w grę wchodzi sprawy takiej wagi.

- Tak, dobrze wyglądasz. Ale wariant, który wybrałyśmy, wydawał mi się lepszy... właśnie ten z długimi włosami.

- Daj spokój, nie bądź taka nieprzejednana! Mamo, sama zobaczysz, mamy czas, zdążą mi jeszcze odrosnąć. Ale do rzeczy, wróciłam wcześniej, bo dziś wieczór mamy jeść kolację u Mangiliego, prawda?

- Nie, przełożyłam to na przyszły tydzień.

- Ale, mamo, wybacz, skoro tak, mogłaś mnie uprzedzić! Specjalnie wcześniej wróciłam, bo miałyśmy się do niego wybrać! Wystarczyłby jeden telefon, nie? Zawsze mam przy sobie komórkę! Byle głupstwo i już do mnie dzwonisz, a jak rzeczywiście coś się dzieje, to wcale się nie odzywasz!

- Nigdy nie dzwonię do ciebie z byle głupstwem.

- Tak, wiem, ale strasznie mi zależało na tym, by załatwić tę sprawę.

Naburmuszona Babi chwyta się pod boki. Kiedy jest wytrącona z równowagi, zachowuje się zupełnie jak małe dziecko. Brakuje tylko, by zaczęła tupać nogami.

- Babi, nie zachowuj się tak, do Mangiliego wybierzemy się w przyszłym tygodniu...

- Dobra, ale od razu! Chcę się upewnić co do tego Mangiliego, jeszcze go nigdy dotychczas nie wypróbowałyśmy. Nikt go nie zna.

- Ale przygotowuje przecież kolacje dla samego Watykanu.

- Tak, wiem, ale tamci i tak nigdy nigdzie nie chodzą, nie są wyrobieni, jeśli chodzi o jedzenie! Jakie oni mają w ogóle pojęcie, czy to, co im serwują tam w klasztorze, jest smaczne, czy też nie?

- Babi, nie zachowuj się tak. Zobaczysz, wszystko pójdzie znakomicie. Raffaella próbuje ją uspokoić.

- To tylko zwykła kolacja...

- Tak, ale to moja kolacja i jest dla mnie ważna! I każdy życzy sobie, by nie stała się ona ostatnią, ale żeby, jak w tym wypadku, była jedyną w swoim rodzaju!

Mówiąc to, Babi idzie do siebie, zamyka się w pokoju, trzaska drzwiami. Raffaella wzrusza ramionami. To normalne, że w takiej sytuacji ludzie robią się nerwowi. Dokładnie w tym samym momencie otwierają się drzwi wejściowe i wkracza Claudio.

- Kochanie, już jestem!

- Dobrze i to. Ale gdzieś ty się podziewał przez cały ten czas?

Claudio całuje ją pospiesznie w usta.

- Przepraszam, musiałem zrobić przegląd spraw w biurze. - Przecież nie może jej powiedzieć, że zamiast tego dokonał przeglądu wszelkich możliwych dodatków, osiągnięć i parametrów dotyczących spalania w bmw Z4. Nie tylko. Na dodatek na własne życzenie przedstawiono mu wprost nedorzeczenie śmieszną wycenę jego mercedesa.

- Zmień sobie koszulę i załóż inny krawat. Szybko. Wszystko ci już przygotowałam, leży na łóżku.

- Ale przepraszam, czy aby nie mieliśmy pójść do mojego przyjaciela Mangiliego, przetestować catering? Czy rzeczywiście jest sens, bym się przebierał?

- Claudio, gdzie ty masz głowę? Specjalnie dzisiaj rano dzwoniłam do ciebie do biura. Kompletnie zapomniałam, że dziś wieczór mamy iść do Pentestich. Mangiliego przełożyłam na przyszły tydzień! No raz-dwa, zajmij się sobą, już i tak jesteśmy spóźnieni

- Aha, słusznie.

Claudio idzie do pokoju i stara się nadrobić stracony czas. Szybko się rozbiera, zdejmując z siebie marynarkę. Dokładnie w tej samej chwili komórka wydaje natarczywy dźwięk. Claudio wyjmując ją z kieszeni marynarki. To odpowiedź na jego SMS-a. Czyta, uśmiecha się, w porę udaje mu się ją skasować, zanim pojawia się Raffaella.

- Pospiesz się, co tak tracisz czas na tę komórkę. Kto to był?

- Tak, przepraszam, to Filippo Accado przesłał mi SMS-a.

- Filippo? A od kiedy to pisujecie do siebie SMS-y?

- Oj, żeby było szybciej.

Claudio zdejmując koszulę i wkładając czystą, rozpina *tylko* guziki przy kołnierzyku byle nie tracić czasu, ale też aby zasłonić twarz.

- Nic takiego, pisze, że w poniedziałek nie ma brydża, nie wiem, co się stało.

- To nawet lepiej. Tym samym w poniedziałek możemy zorganizować próbę cateringu u Mangiliego. No już, pospiesz się, czekam na ciebie w salonie.

Claudio kończy wkładać koszulę, wyczerpany pada na łóżko. Tak niewiele brakowało, jak jeszcze nigdy dotąd. Masz ci, i tak oto przepadł snu brydż. Cóż, to była pierwsza rzecz, jaka przyszła mu do głowy, z czegoś w końcu trzeba zrezygnować. Wiąże sobie krawat, odwijając kołnierzyk koszuli i robi węzeł. A jeśli u Pentestich pojawią się też Accadowie? Kurwa, o tym akurat nie pomyślałem. A jeśli Filippo, który jest strasznym ćwokiem, nie załapie od razu? Wydaje mu się, jakby już go słyszał: „Ależ, Claudio, co ty opowiadasz? Ja naprawdę nie wysyłałem ci żadnego SMS-a”. I tym samym uświadamia sobie, że wolałby nie iść na tę imprezę. Zaciska wokół szyi elegancki niebieski krawat, który wybrała mu Raffaella. Po czym przegląda się w lustrze. I przez chwilę ten krawat jawi mu się jako potworny sznur wisielca.

Paolo siedzi w pokoju i ogląda telewizję, jednocześnie gada przez telefon, wyciągnął się na łóżku, nogi mu wystają, a kciuk podryguje pilocie w poszukiwaniu czegoś, co okazałoby się bardziej: interesujące dla rozmówcy, który jest tam gdzieś po drugiej stronie.

- Cześć, ja wychodzę.

- Dokąd idziesz?

Patrzę na niego, tym razem się nie uśmiecham:

- Przejechać się.

Żałuję, że w ogóle mnie zapytał i natychmiast stara się to naprawić.

- Duplikat kluczy znajdziesz w kuchni, w szafce, po lewej stronie, tuż przed drzwiami, w ceramicznej doniczce. - Precyzyjny jak zwykle. Po czym wyjaśnia osobie, z którą wisi na telefonie, co takiego właśnie robi, dla kogo i dlaczego. Jestem bratem, który wrócił z Ameryki. I zaraz krzyczy do mnie ze swojego miejsca. - Znalazłeś? - Wkładam klucze do kieszeni i znów przechodzę obok niego. - Znalazłem. - Uśmiecha się. Już ma podjąć przerwana rozmowę, ale zamiast tego niespodziewanie zasłania słuchawkę lewą ręką i z napięciem w głosie pyta: - Ale... Chcesz, żebym pożyczył ci samochód? - Mówi to z wyraźną troską, żałuje swojej propozycji, wydaje się zrozpaczony, iż mógłbym na nią przystać. Specjalnie chwilę zwlekam z odpowiedzią. Rozkoszuję się tym. Z drugiej strony przecież to nie ja go o to prosiłem.

- Nie, daj spokój.

- Aha, okay, okay. - Oddycha z ulgą. Od razu się rozluźnia. Po czym stara się w jakiś sposób ułatwić mi życie. - Widziałeś, Step? Sprowadziłem ci tutaj twój motocykl, stoi na dole w garażu.

- Tak, widziałem, dzięki. - Ale moje życie jest nieco bardziej skomplikowane. Wsiadam do windy i zjeżdżam do garażu. Pod szarą plandeką, w głębi parkingu widzę wystające koło. Poznaję go. Lekko nadwerżony, ale wciąż na chodzie, trochę kurzu i cała masa przejechanych kilometrów. Jednym gestem niczym torreador zrywam z niego plandekę. Oto i on. Honda Custom VF 750, niebieski metalik. Gładzę zbiornik paliwa. Palcami rysuję znak w miękkim kurzu, który drzemie na niebieskiej karoserii. Po chwili podnoszę kanapę, podłączam kable akumulatora, z powrotem ją opuszczam. Dosiadam go. Wyciągam kluczyki z kieszeni kurtki i wkładam je do stacyjki. Tuż obok silnika. Breloczek dynda rezolutnie, obraca się i odbija, raz po raz uderzając o zimny silnik. Powyżej słabe światło podświetla na zielono i czerwono zegar zapłonu. Akumulator się wyładował. Próbuję tak sobie dla picu, ale nie ma szans, żeby udało mi się odpalić. Prawą ręką wciskam czerwony przycisk. Próżne nadzieje teraz stają się faktem. Nic już się nie da zrobić. Muszę pchać. Wychodzę z garażu, prowadząc motocykl, przechylam go i opieram sobie na boku z prawej strony, największy ciężar spoczywa mi na nogach. Mięśnie mi się napinają.

Krok za krokiem, powolutku, coraz szybciej. Odgłos kroków raz po raz przeplata się z chrzęstem drobnych kamyków, raz, dwa, trzy, coraz szybciej. Zostawiam za sobą podwórko i wyprowadzam go na ulicę. Teraz jeszcze szybciej. Kilka kolejnych kroków. Już wrzuciłem dwójkę. Lewą ręką wciskam sprzęgło. Właśnie teraz jest odpowiedni moment. Puszczam sprzęgło. Motocykl gwałtownie hamuje. Ale ja nie przestaję pchać, a on warkotać. Pociągam za sprzęgło i ponownie je puszczam. Krztusi się. Teraz, jeszcze raz, z całej siły. Jestem zlany potem. Wystarczy pchnąć po raz ostatni, czuję to. I rzeczywiście nagle odpala. Wyrывa do przodu. Pociągam za sprzęgło i prawą ręką dodaję gazu. Silnik się ożywia i ryczy pośród nocy, pod oknami, na ciemnej ulicy. Więcej gazu. Z rury wydechowej wydostają się stare spaliny, olbrzymie kłęby, które krztuszą się przeszłością, latami bezczynności. Więcej gazu. Rozsiadam się wygodnie i włączam światła. Po chwili puszczam sprzęgło i ruszam przed siebie w noc niesiony wiatrem. Cały spocony, pędzę przed siebie via Famesina i momentalnie robię się suchy. Przejeżdżam pod wiaduktem. Wjeżdżam w zakręt, biorę go, niemal kładąc się na jezdni, nie zwalniam. Spuszczam trochę z gazu po to tylko, żeby dodać go w połowie zakrętu i ponownie spieszyć. Zarzuca motorem. Dodaję więcej gazu, na co maszyna, niczym posłuszne psisko, razem ze mną pruje przed siebie w stronę Ponte Milvio, za kościołem stoi Pallotta, te tysiące pizz, które tam zjadłem, na lewo Gianfornaio i kwiaciarnia nieopodal. Kurwa mać, ileż kwiatów stamtąd wysłałem, właściciel dawał największe zniżki ze wszystkich. Zatrząśnienie kwiatów, za każdym razem innych, za każdym razem dla Jednej i tej samej. Wcale o tym nie myślę, nie chcę o tym myśleć. Pistola, sprzedawca arbuźów, stoi na zewnątrz i wypróbowuje komórkę. Naciskam dwa razy na klakson, patrzy na mnie. Witam się z nim, ale mnie nie poznaje. Później go odwiedzę, by mu o sobie przypomnieć. Mam to gdzieś, dodaję gazu i przepadam w ciemnościach. Ja pierdolę... Jakiż ten Rzym piękny. Brakowało mi Ciebie. Dodaję więcej gazu i jadę przed siebie Lungotevere. Wymijam zygzakiem samochody. Z prawej, z lewej... Wreszcie rozpedzony zjeżdżam na pobocze. Ocieram się o sosny rosnące wzdłuż Poro Italico. Jakieś kurewki już się rozlokowały przy swoich jeszcze nierozpalonych ogniskach. Wałki tłuszczu, które formują im się na nogach, są podtrzymywane jedynie przez przyciasne podkolanówki. Jedna z nich zgrywa nie w ciemną bitą albo rzeczywiście jest niegłupia i czyta gazetę. Rozdziawia usta i śmieje się ordynarnie z jakiejś bzdury, którą dopiero co przeczytała. Może chodzi o coś smutnego, tyle że do niej to nie dotarło. Inna z kolei rozsiadła się na małym rozkładanym leżaku, ma przy sobie krzyżówki i z długopisem w ręku rozwala jedną po drugiej. Pisze co popadnie albo rzeczywiście zna hasła. Dodaję więcej gazu i jednocześnie redukuje biegi. Piątka, czwórka, trójka, ostry zakręt po prawej. Kawalek dalej hamuję przed cineporto - kinem pod gołym niebem. Wystawiam podnózek i zsiadam z motoru. Dziewczyny zbite w grupki zaśmiewają się rozbawione i palą papierosy, poza zasięgiem wzroku rodziców, wciąż żyjących złudzeniami. Jedna

blondynka z krótkimi włosami i przesadnym makijażem przygląda mi się i szturcha łokciem przyjaciółkę. Brunetkę, z orzechowymi oczami, fryzurą na pieczarkę, która siedzi z nogą na nogę na hondzie SH 50 w kolorze szarobrunatnym. Ta z kolei patrzy na mnie porażona, zastyga z otwartymi ustami. Przeciągam sobie dłonią po krótkich włosach z tyłu głowy. Jestem opalony, szczupły, uśmiecham się, dopisuje mi dobre samopoczucie. Jestem wyluzowany. Mam ochotę na zimne piwo i na oglądanie filmu. Mam ochotę na coś jeszcze, szczerze powiedziaławszy, ale wiem, że nic z tego.

- Step, nie wierzę własnym oczom!

Brunetka zsiada z hondy SH 50 i biegnie mi na spotkanie, wydzierając się jak szalona. Patrzę na nią, usiłując dojść, co to za jedna. Ale już po chwili doznaję olśnienia: to Pallina. Wierzyć się nie chce... Pallina. Pallina, kobieta mojego przyjaciela, mojego najlepszego przyjaciela. Pollo, towarzysza pierwszych ekscesów alkoholowych, pierwszych spotkań z dziewczynami, tysięcy bzdetów, żartów i poszturchiwań, walk, kiedy to tarzaliśmy się na ziemi, w deszczu, w błocie, w środku nocy, podczas mrozu, w upał, gdy wakacje od życia trwały w najlepsze. I te wspólnie wypalone papierosy, te setki litrów wypitego piwa, właśnie. Pollo i tysiące wyścigów na motorze, z ostatnim włącznie...

- Pallina. - Rzuca mi się na szyję i obejmuje mnie z całej siły. I właśnie ten jej mocny uścisk przypomina mi go, mojego przyjaciela, którego już nie ma. Usiłuję o tym nie myśleć. Przytulam ją mocno, jeszcze mocniej i oddycham z twarzą w jej włosach, staram się opanować, wrócić do teraźniejszości, do życia.

- Pallina. - Odchyła się i nieruchomieje, wpatrując się we mnie przejętym wzrokiem. Chce mi się śmiać.

- Ja pierdolę, zrobiła się z ciebie megalaska!

- Oho, wreszcie zajarzyłeś!

Śmieje się rozbawiona, śmieje się i płacze, jak zwykle, szalona jak to ona, piękna, co widać jak na dłoni. Pociąga nosem i wyciera go sobie ręką.

- I kto by cię tam poznał!

Obraca się przede mną uśmiechnięta, z wyrazem miłości w oczach. Paraduje mi tuż pod nosem, jakby była na wybiegu.

- No i jak wyglądam? Schudłam, co, a jak ci się podobają moje krótkie włosy? Co ty na to? Znasz tę fryzurę?

- Nie, wcale.

- O kurwa! Weź przestań, to ostatni krzyk mody! Jak to i to właśnie ty, byłeś przecież w Stanach i nie wiesz! - Śmieje się jak szalona. - Jestem modna! Ściągnęłam ją z „Cosmopolitana” i z „Vogue'a”. Kojarzysz Angelinę Jolie i Cameron Diaz, właśnie, pomieszałam jedną z drugą i je przebiłam!

Trudny moment mamy już za sobą. Szturcha mnie.

- Strasznie mi ciebie brakowało. Step. - I znowu mnie obejmuje.

- Mnie ciebie też.

- Ejże, ale ty też obłędnie wyglądasz. Pokaż się. Schudłeś. A czy one wciąż tam są?

Dotyka mojej koszulki i przejeżdża mi ręką po mięśniach brzucha.

- A gdzieżby indziej miały być... I to lepsze niż kiedyś!

Łaskocze mnie.

- Ajaj, zostaw.

Śmieje się.

- O rany, szczęka opada na twój widok. Chodź, to cię przedstawię. To moja przyjaciółka Giada.

- Cześć.

- To Giorgio, a to Simona. - Spoglądamy na siebie i pozdrawiamy się skinieniem. Tę jedną chwilę za długo przypatruję się twarzy Giady, która się rumieni i tym samym jej policzki już i tak przesadnie umalowane, wyglądają jakby raz jeszcze przejechała sobie po nich różem. Pallina to dostrzega.

- No to pięknie. Dopiero co przyjechałeś, a już siejesz spustoszenie.

Giada się obraca, tak że włosy spadają jej na twarz. Chowa się, uśmiecha, zielonymi oczami spoziera zza jasnej gęstwiny zmierzwionych włosów. Zupełnie jak Bambi. Pallina kręci głową.

- No tak... Nie ma co... Już po niej. A skoro tak, to nic tu po nas, spadamy. Wejdzmy do środka na piwo. Ej, w razie czego potem się do nas przyłączycie, co? Musimy powspominać stare dzieje.

Nie starcza mi czasu, by się pożegnać, bo Pallina już mnie za sobą ciągnie. - O rety, mam ci do opowiedzenia masę rzeczy. Ej, gdybyś chociaż napisał kilka słów, przedzwonił, wysłał kartkę. A czy chociaż pamiętasz mój numer telefonu?

Bez zająknięcia mówię go jej z pamięci. Zaraz potem mnie ponosi: -

Wykręcałem go, ilekroć chciałem pogadać z Pollo. - Kurwa mać, żałuję, że to powiedziałem. Na szczęście stoimy przy samym wejściu. Pallina ratuje mnie z opresji. Albo nie usłyszała, albo tylko udaje. Wita się z cherlawym bramkarzem:

- Cześć, Andrea. To co, wpuścisz nas?

- Jasne, Pallina, przyprowadziłaś ze sobą tylko jednego kumpla?

- Tak, a wiesz kto to?

Andrea nie odpowiada.

- No co ty, to Step, pamiętasz, opowiadałam ci...

- No pewnie. - Uśmiecha się: - Ja pierdołę, a czy to wszystko, co o tobie słyszałem, to prawda?

- Powiedzmy, że zaledwie jakieś sześćdziesiąt procent ma w sobie krzytnę prawdy.

Pallina kręci głową, ciągnie mnie za rękę i wchodzi do środka.

- Jest skromny. - Pallina klepie go po plecach. - Dzięki, Andrea.

Idę za nią rozbawiony.

- Nie ma co, czasy się zmieniły...

- A to dlaczego?

- To takich teraz stawiają na bramce?

Pallina patrzy na Andree, który wodzi za nami niepewnym wzrokiem. Może nie jest tak do końca przekonany, że właśnie ja to Step, o którym tyle się nasłuchał.

- Ale uwierz mi, Step, to akurat bardzo przykładowy koleś.

- Właśnie, przykładowy. Co to ma właściwie znaczyć? Za dawnych dobrych czasów, zanim postawili cię na bramce, to dawali ci nieźle popalić, żeby sprawdzić, czy dasz sobie radę, czy też nie. Wiesz, że raz w Green Tunele powiedzieli mi, żebym zaniósł pieniądze do pomieszczenia w głębi lokalu... Wszedłem tam, rzuciło się na mnie trzech naraz. - Zaczynam opowiadać. Pollo też tam był. Tym razem jednak udaje mi się go w to nie mieszać, nie burzyć jego spokoju, pozostawić go na swoim miejscu, gdziekolwiek by ono było. Mam tylko nadzieję, że mnie teraz słucha, i że bawi go to wspomnienie.

- Słowem, że niby ja miałbym im zostawić kasę, takiego wała.

Błyskawicznie zdjąłem z siebie pasek i trach! Wszystkim trzem jak nie sieknę po twarzy. Jednego trafiłem sprzączką w kość policzkową. Z pozostałymi dwoma uwinąłem się raz-dwa. Zainkasowali po kilka ciosów w maskę. Od tamtego dnia przez cztery bite miesiące stałem na bramce w Green Time'ie. Stówa za wieczór. Życ nie umierać, a do tego każda laska była twoja.

- Pollo miał ślad na twarzy, pod lewą kością policzkową. Powiedział mi, że oberwał paskiem.

Nic jej nie uniknie. - Może ojciec mu przylał.

Patrzy na mnie i się śmieje. - Kłamczuch z ciebie. Wcale się nie zmieniłeś.

Siadamy przy plastikowym stoliku na białych krzesłach i zastygamy w milczeniu. Odwracam się, żeby popatrzeć, co jest grane. Za nami znajduje się coś w rodzaju gigantycznego pontonu po byle jakich przeróbkach, który pełni funkcję basenu. Mieszane towarzystwo popiskuje i pluska się zanurzone w środku. Jedna z osób siedzi na brzegu, zaczyna wydierać się jak szalona, obejmuje podkurczone nogi i rzuca się w sam środek niczym torpeda. Woda bryzga wszędzie wokół. Jakaś gruba kobieta w niebieskim kostiumie zasłania sobie włosy. - Najświętsza... - Zaklina, wyciągając ręce w stronę chłopaka, który zanosi się śmiechem w gronie swoich przyjaciół. Kobieta mamrocze coś jeszcze i wraca do przerwane spaceru w tym basenie wypełnionym ciepłą i spienioną wodą. Wyleniały i otyły mąż śmieje się, patrząc na nią z przeciwległego brzegu. Kręci głową i pali papierosa. Z pewnością właśnie się odlewa. Po chwili zaczyna się krztusić. Papieros wpada mu do wody i gaśnie, na co on lekko odpycha go od siebie ręką, w głąb basenu, gdzie akurat pływa dziecko, próbując swoich sił w cokolwiek nieporadnym stylu wolnym.

- To powiedz, jak się masz?

- Świetnie, a ty?

- Dobrze. Dobrze. - Milczymy przez chwilę, zawstydzeni tym, co już przeminęło. Na szczęście z wszędzie rozmieszczonych głośników rozlegają się dźwięki piosenki: *The lion sleeps tonight*. Kto wie, które z nas jest teraz lwem.

A przede wszystkim, czy ten lew aby zapadł w sen. Kelner podchodzi, żeby odebrać zamówienie.

- Poczekaj, niech zgadnę. Corona z kawałkiem cytryny.

Uśmiecham się: - Nie, teraz Bud.

- No co ty, ja też strasznie je lubię. Dwa razy Bud, dzięki. Kto wie, czy mówi poważnie.

- Wiesz, często o tobie myślałam, kiedy tam siedziałeś... W Nowym Jorku, tak?

- Tak. - Bawi mnie, wcale się nie zmieniła, wyrzuca z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego, czasami jedynie po to, by sobie pogadać. Tak często o mnie myślała, że aż sama nie była pewna, gdzie się właściwie podziewałem. Kurwa mać, Step, to przecież Pallina. Daj jej spokój. To kobieta twojego przyjaciela Pollo. Nie zabieraj się za ocenianie także i jej, przestań w kółko roztrząsać każde jej słowo. No już, odpuść sobie. Mój mózg zbiera zasłużone razy. - Tak, w Nowym Jorku. Zajebiście się tam bawiłem.

- Wyobrażam sobie. Dobrze zrobiłeś, że wyjechałeś. Tutaj wszystko było takie ciężkie. - A oto i nasze piwo. Unosimy je. Już wiemy, za co wzniesiemy toast.

- Za niego... - Mówię to ściszym głosem. A ona mi przytakuje. W jej oczach czai się miłość, wspomnienia, przeszłość. Ale jesteśmy tu i teraz. Butelki gwałtownie uderzają jedna o drugą. Po chwili wlewam w siebie schłodzoną zawartość, prawdziwa rozkosz dla podniebienia. Tak bym chciał nic tylko pić i pić, ale w połowie przerywam i biorę oddech. Stawiam butelkę buda na stole. - Dobre. - Sięgam do kieszeni kurtki. Ale Pallina jest ode mnie szybsza. Wyciąga paczkę marlboro light z jasnozielonej koszuli z wojskowymi rękawkami i kieszeniami na suwak. Wyjmuje sobie jednego i podaje mi paczkę. Częstuję się i uświadamiam sobie, że brakuje papierosa odwróconego filtrem do dołu. Tego od życzenia. Koniec z marzeniami? Ogarnia mnie smutek. Zamykam paczkę i jej zwracam. Wkładam sobie papierosa do ust. Od razu wystawia w moją stronę rękę z zapalniczką, mało tego, wręcz *nalega*, by mi go podpalić. Ma zimne dłonie, ale jest uśmiechnięta. - Czy wiesz, że od tamtej pory nie byłam z żadnym mężczyzną. - Biorę macha, zaciągam się mocno, zawiesisty dym wypełnia mi całe płuca.

- Mężczyzną? Chłopakiem! - Próbuję zbagatelizować całą sprawę.

- Dobra, słowem, na jedno wychodzi. - Może to przez piwo, papierosy, natłok zdarzeń, cały ten syf wokół nas. Śmiejemy się. I wszystko staje się takie jak dawniej, nieskomplikowane. Opowiadamy sobie o wszystkim, co popadnie, wspomnienia, nowiny dotyczące nas samych oraz innych. Bzdety. Te same, co zwykle bzdety. Ale jest nam dobrze. Przekazuje mi rzymskie aktualności. - Ej, no weź, tamta, pamiętasz ją, nie? Nie wiesz nawet, jak teraz wygląda!

- Bosko?

- To babsko. - Śmiech.

- Za to Frullina znowu zapuszkowali.

- Nie, przysięgnij!

- Tak, wdał się w bójkę z Papero, bo ten związał się z jego kobietą, więc tamten na niego doniósł.

- Wierzyć się nie chce, że też ludzie za grosz sumienia już nie mają.

- Tak było, przysięgam.

Zanosimy się śmiechem.

- Bracia Bostoni otworzyli pizzerię.

- Gdzie?

- We Flarninio.

- I jak?

- Fajnie, możesz tam spotkać wszystkich po trochu, ale też kupę nowych ludzi. Naprawdę w dechę, a poza tym nie jest drogo. Za to Giovanni Smanella wciąż jeszcze nie zrobił matury.

- Nie, w życiu w to nie uwierzę, co mu się rzuciło na mózg?

- Bo ja wiem, weź sobie tylko pomyśl, że zeszedł zimy chciał mnie poderwać.

- No co ty... Co za kawał fiuta!

Odżywają stare, dobre czasy. Pallina przygląda mi się zmartwiona.

- Ależ nie, to było miłe. Zaprzyjaźniliśmy się, dotrzymywał mi towarzystwa. Często opowiadał mi o Pollo.

- I co z tego! - Milknę.

- Kurwa, Step... - Pallina pociąga długi łyk piwa. - Nic a nic się nie zmieniłeś!

Jestem cały spięty, ale zaraz sobie odpuszczam. A co tam, zwisa mi to. Nic takiego złego się nie stało. W gruncie rzeczy życie toczy się dalej.

- Zmieniłem - mówię z uśmiechem.

- Ech, całe szczęście, wobec tego wolno poruszać także i inne tematy? - Uśmiecha się i przybiera ten swój niezapomniany, chytry wyraz twarzy.

- Ała... - Najwyraźniej moja mina mówi sama za siebie. - I masz ci, drażliwa kwestia. Oho, sam się o to prosiłeś. - Pociąga ostatni łyk piwa, ale już po chwili wygląda jak rasowa kobieta. - A więc... rozmawiałeś z nią jakoś? Od kiedy nie masz z nią kontaktu? Czy próbowałeś do niej stamtąd dzwonić? Zupełnie jak automat, jakby się nie mogła zatrzymać.

- Ej, wyluzuj, kurwa. To chyba nie przesłuchanie, a ty nie jesteś jednym z gliniarzy, którzy mnie przyskrzynili! - Staram się nie okazywać, że ta cała rozmowa cokolwiek mnie kosztuje. Ale nie wiem, czy mi się to uda. - Nie, wcale się z nią nie kontaktowałem.

- Wcale?

- Wcale.

- Przysięgnij!

- Przysięgam.

- I tak ci nie wierzę.

- Cholera jasna. Myślisz, że ci kłamię? Wobec tego, kontaktowałem się z nią.

- Nie, no dobra, wierzę ci. Za to ja ją spotkałam.

Po czym robi pauzę. Długą. Zbyt długą. Wcale się nie odzywa. Robi to specjalnie. Patrzy na mnie i się uśmiecha. Chce, żebym to ja coś powiedział. Wciąż czeka, przegina. Ale dlaczego? Do dupy. Świnia. Nie wytrzymuję.

- No weź, Pallina, śmiało. Wyrzuć to z siebie. Opowiadaj.

- Wyglądała bardzo ładnie jak zwykle, ale...

- Ale?

- Była jakaś inna. Sama nie wiem, jak ci to powiedzieć. O właśnie, zmieniła się.

- A tam, co do tego, to nie miałem najmniejszych wątpliwości, wszyscy się zmieniliśmy.

- Tak, wiem... Ale ona... Zmieniła się w taki sposób... Bo ja wiem, o właśnie, w całkiem inny sposób.

- Powtarzasz się! Ale co ma znaczyć ten „całkiem inny sposób”?

- Słuchaj, sama nie wiem. Jest jakaś inna, i już. Mówię ci, jak jest, inaczej nie potrafię. Albo wiesz, o co mi chodzi, albo, żeby to pojąć, musisz ją zobaczyć na własne oczy.

- Wielkie dzięki. I zaraz, sam nie bardzo wiem jak, ale zadaję jej pytanie. Przychodzi i to naturalnie. Pomyślałem o tym, ale nie chciałem wypowiadać tego na głos. A jednak i tak mi się wymknęło, i oto proszę, mówię to wbrew własnej woli, jakbym nie ja sam je zadawał.

- Ale... czy była sama?

- Tak. A wiesz, dokąd się wybierała? Na zakupy.

Chce mi się śmiać. Pamiętam ją, wyobrażam sobie i nagle ona sama staje mi przed oczami. Babi. - Poczekaj tutaj. Tylko się stąd nie ruszaj. Step, nigdzie nie znikaj jak zwykle. Nie, poważnie, nigdzie nie chodź, bo masz mi doradzić...

- Zostawia mnie przed witryną. Wchodzi, rozgląda się, wybiera, po czym mnie woła. - Popatrz, zdecydowałam, wezmę to. Podoba ci się? - Ale i tak nie zostawia mi nawet czasu na odpowiedź. Rozmyśla się, zmienia fason. Mierzy kolejną rzecz, dobrze jej w niej. Teraz znowu wydaje się zdecydowana.

Przechadza się jak na wybiegu, po czym patrzy na mnie: - I co?... Ej, a co ty na to?

- Wydaje mi się, że jest ci w tym świetnie.

Przeogląda się w lustrze. Ale dopatruje się, że jednak jest coś nie tak, ona jedna wie, co to takiego.

- Przepraszam, ale chcę się jeszcze trochę zastanowić. Wreszcie wychodzi ze sklepu i mnie obejmuje.

- Nie, nie, postanowiłam, że nie. Za drogie.

Jest cała szczęśliwa, bo bez względu na wszystko podjęła słuszną decyzję. W końcu i tak kilka dni później dostawała to ode mnie w prezencie. Bawiło ją

to. Przerodziło się to w grę. Jeszcze jedną grę. Babi, dlaczego odechciało ci się grać? Ale nie nadążam ze znalezieniem odpowiedzi.

- Oj, ale wiesz, że nie jest już z tamtym?

- Nie, nie wiem. Skąd niby miałbym wiedzieć? Przecież ci powiedziałem, że wcale się z nią nie kontaktowałem. Że niby co, mam swoje tajne wtyczki?

- Myślę, że nie jest teraz z nikim związana. - Mówi to specjalnie, uśmiechnięta, przekonana, że się ucieszę. Nie wiem, co takiego sobie myśli i nie chcę się nad tym zastanawiać. - A tam, Babi mnie nie obchodzi.

Słyszając moją odpowiedź, przybiera pełen niedowierzania wyraz twarzy. - Co takiego?

- Nie obchodzi mnie. Poważnie. Skądinąd ktoś kiedyś powiedział, że jeśli sobie poradzisz w Nowym Jorku, to wszędzie indziej też. A ja, jak sądzę, sobie poradziłem.

- Rozumiem. Nie ktoś, tylko wzięłeś to z *Coś się zmieniło*. Dobra, wierzę ci. - Uśmiecha się, unosi brew. Pociągam jeszcze jeden łyk piwa.

- Słuchaj, naprawdę mnie nie obchodzi.

- Sorry, ale po co mi to powtarzasz.

Zaczyna dzwonić komórka. Ale dzwonek nie brzmi normalnie. Brzmi jak dzwonek polifoniczny, tyle że niemelodyjny, burczący, brzydki. Jakiś chłopak siedzący przy stole nieopodal naszego, wyciąga telefon z kieszeni i przykłada go do ucha. Ale to nie jego. Nie przerywa rozmowy z dziewczyną, którą ma naprzeciwko, jest lekko zarumieniony. Nie wiadomo, kto taki mógł do niego dzwonić. Dziewczyna udaje, że nic się nie stało. Komórka nie przestaje dzwonić. Dzwonek nie odpuszcza, robi się jeszcze donośniejszy. Gruby facet wyciąga maciupętki telefon z kieszeni koszuli i patrzy na niego. Widzi nie najlepiej i przykłada go sobie do samego ucha. Nie, jego też nie. Bierze zamach, jakby chciał nim rzucić o stół. - Zawracanie dupy z tymi komórkami.

- Ja swoją zostawiłam w domu - mówi Pallina - dlatego to na pewno nie moja. Czasami, kiedy mi się odechciewa, to ją wyłączam, ale dzisiaj wieczorem po prostu o niej zapomniałam. - Dzwonek nie daje za wygraną.

- Słuchaj, coś mi się wydaje, że to twoja. - Wychylam ostatni łyk piwa, niewiele brakuje, żebym się nim udławił. Kurwa, to prawda, w ogóle o tym nie pomyślałem. Wyciągam ją z kieszeni. To ona. Teraz dzwoni jeszcze głośniejsze. To Paolo musiał wybrać taki sygnał. Ludzie się na mnie gapią. Pallina też. Próbuję się usprawiedliwić. - Paolo podarował mi ją dziś wieczór. - Pallina przytakuje.

- Halo. - No tak, to moja jak nic.

- Całe szczęście, myślałam, że jesteś na dyskotecce. Nie słyszałeś, że dzwoni? - Ładny kobiecy głos, który pod koniec przechodzi w śmiech. - Zastanawiasz się pewnie, kto taki może mieć numer do ciebie na komórkę. Twój brat wszystko mi wytłumaczył. Mam tylko nadzieję, że ja go zainaugurowałam. To ja, Eva.

Przez chwilę nic nie mówię. Eva? Ależ oczywiście... Eva, stewardesa. Eva, która mi serwuje piwo za piwem, Eva, która hasa tu i tam, po całym

samolocie. Eva - gnocca, smaczny kasek. I oto dlaczego warto mieć brata. I komórkę.

- To co... Jesteś tam?

- Jakżeby inaczej.

- Dotarło do ciebie, kim jestem, czy na serio rzeczywiście udało ci się mnie zapomnieć?

- Jakże mógłbym zapomnieć... - Ciśnie mi się na usta: Eva - gnocca, ale sam się orientuję, że to nie jest właściwy moment. - Eva. Myślałem tylko, że komórka nie działa. Jak na razie nikt jeszcze do mnie nie dzwonił.

- A ilu to dziewczynom zdażyłeś dać swój numer?

Już lekko zazdrosna. Śmieję się. - Żadnej...

- Gdzie jesteś?

- Tutaj, razem z jedną moją przyjaciółką. Cisza po drugiej stronie. - Gdzie tutaj?

- To tu, to tam...

Komórka ma do siebie jedną dziwną rzecz, a mianowicie że możesz być wszędzie i nigdzie zarazem.

- I jaka jest ta twoja przyjaciółka?

- Jak to przyjaciółka.

- A co twoja przyjaciółka na to, że tak długo wiesz na telefonie? Pallina się rozgląda i wita z przyjaciółmi, którzy dopiero co weszli.

- Nic na to. Już ci powiedziałem. To przyjaciółka. - Słyszę, że robi jej się różniej.

- Posłuchaj, jeśli chcesz, możemy się gdzieś spotkać. Może wybierzemy się na przejażdżkę.

- Jest jeden problem.

- Twoja przyjaciółka?

- Nie, mój motor. Jestem na motorze.

- Aha, to rzeczywiście problem.

- Boisz się?

- Nie boję, a powinnam?

- Nie. - Podoba mi się ta dziewczyna.

- Problem polega na tym, że nie mogę na nim jeździć. Mam zakaz, w związku z ubezpieczeniem w liniach lotniczych.

Sam nie wiem, czy mam jej wierzyć. Ale to bez znaczenia.

- Jasne, jeśli zaliczysz lot na motorze, to ci nie zapłacą.

- Dlaczego właściwie nie miałbyś do mnie wpaść? Jestem w hotelu Villa Borghese.

Pallina patrzy na mnie i robi ruch ręką, jakby chciała powiedzieć: „Oho, co tyle gadasz?”.

- I potem weźmiemy taksówkę? A może twoje ubezpieczenie tego także nie obejmuje?

Eva się śmieje. - Potem sami zobaczymy.

Rozłączam się.

- Całe szczęście. Dyskusja z kobietą?
- Ciekawska się zrobiłaś, co? Wstaję i biorę rachunek.
- Co robisz, idziesz sobie?
- Tak, ale zapłacę.

Pallina jest trochę zawiedziona. - Czy spotkamy się jakoś w tych dniach, czy też znów wyruszasz w świat?

- Nie, zostaję.
- Daj mi swój numer telefonu, to jakoś cię namierzę.
- Nie znam go na pamięć.

Spogląda na mnie, ma taką śmieszoną buzię. Przechyla ją na jedną stronę. I wpatruje się we mnie. Jest teraz ładniejsza, bardziej kobieca. I taka mi droga. Ale nic się nie da zrobić. I tak mi nie wierzy.

- No to wobec tego wyślę ci sygnał. Albo dzwoń do domu, tam mnie złapiesz, zatrzymałem się u brata, numer ma wciąż ten sam.

Robi się spokojniejsza. Wstaje i całuje mnie na pożegnanie. - Cześć, Step. Dobrze, że wróciłeś. - I przyłącza się do przyjaciół.

8

Motocykl odpala od razu. Silnik z łatwością odzyskał dawną moc. Jedyńka, dwójka, trójka. W okamgnieniu jestem pod wiaduktem na *corso* Francia. Mam pewien pomysł i zawracam. Takiej jak Evie ma szansę się to spodobać. A przede wszystkim sam mam na to ochotę. Pięć minut później. Corso Francia, piazza Euclide, viale Parioli. Skupisko restauracji i samochodów ustawionych w dwóch szeregach. Elegancy pseudoparkingowi, najprawdopodobniej Polacy dukający po włosku. Jakaś kobieta, cokolwiek nieudolna, sili się na manewr, chcąc prawidłowo zaparkować. A w każdym razie jej się tak wydaje. W rzeczywistości zablokowała cały zakręt. Chłopaki i dziewczyny wystający pod Dukiem utrudniają przejazd. Zjeżdżam szybko w boczną uliczkę, klucząc między samochodami, odpieram pokusę, żeby stamtąd zawrócić i docieram na piazza Ungheria. W prawo, a potem cały czas prosto aż do samego zoo. W głębi ulicy w lewo, a potem znów w prawo. Hotel Villa Borghese. Parkuję motor, zsiadam i zabieram ze sobą reklamówkę. - Dobry wieczór. - Kurwa, nie pomyślałem o tym. Nie wiem, jak ma na nazwisko. - Dobry wieczór... - Zaczynam od nowa. Kto wie, skąd mogę spodziewać się inspiracji. Portier, mężczyzna około sześćdziesiątki, misiowaty i sympatyczny, postanawia przyjść mi z pomocą.

- Panienska już na pana czeka. Pokój dwieście dwa, drugie piętro. Chciałbym go zapytać, dlaczego myśli, że idę akurat do niej. A gdybym chciał wynająć pokój albo co innego? Lub choćby najzwyczajniej o coś zapytać. Ale

zdaję sobie sprawę, że lepiej milczeć. - Dziękuję. - Patrzy, jak się oddalam. Uśmiecha się półgębkiem, wzdycha. Kiwa głową. Zazdrości Evy i tych lat, które minęły bezpowrotnie, piękniejszych nawet ód niej. Wchodzę po schodach. 202. Zatrzymuję się i pukam.

- Czy to szampan? - Pyta rozbawiona, podchodząc do drzwi.

- Nie, piwo.

Otwiera. - Cześć, wejdz. - Całuje mnie w policzek, raz i drugi.

Przemieszcza się spokojnie, lekko, wyuczonym krokiem, choć już znacznie swobodniej niż w samolocie. Kolosalna różnica. Ma rozpuszczone włosy.

- Żarty żartami, ale może się czegoś napijesz? Zadzwońię do recepcji, żeby przynieśli.

- Tak, już ci mówiłem. Piwa.

- To akurat jest w lodówce. - Pokazuje mi małą lodówkę w rogu, po przeciwnej stronie pokoju. Idę się poczęstować. Kiedy się odwracam, ona siedzi już na kanapie. Rozłożyła szeroko ręce, jedną trzyma na oparciu, drugą na poduszce. Nogi ma spuszczone, kolana jedno przy drugim. - Jestem kompletnie padnięta. Wybrałam się na zakupy, tak jak mi radziłeś.

- I jak ci poszło?

- Dobrze. Kupiłam koszulę nocną i śliczny niebieski komplet w wyjątkowym odcieniu, „mętny niebieski”, tak go sobie nazwałam. Podoba ci się?

- Bardzo.

Uśmiecha się i siada bardziej wyprostowana. - Chcesz zobaczyć, jak na mnie leży? - Pełna energii, uważna, rozbawiona. I uśmiecha się do mnie. Patrzy na mnie, tym razem nieco natarczywiej. Dziwnie przewrotnie. Chce tym coś udowodnić, własną domniemaną elegancję, czy też Bóg jeden raczy wiedzieć co takiego. Czy to wyzwanie? Przyjmuję je. - Ależ oczywiście.

Bierze ze sobą reklamówkę. Patrzy na mnie, po czym unosi brew i rozbawiona odchodzi. Ale wiem, że tylko czeka, aż ją zapytam.

- Dokąd się wybierasz?

- Do łazienki. A ty co myślałeś? - I zamyka za sobą drzwi, widzę, jak uśmiecha się po raz ostatni, w stylu: „Ale zaraz jestem z powrotem, nie myśl sobie”.

W samą porę kończę swoje piwo. Oto i ona. Eva.

- I jak wyglądam? - Ma na sobie przezroczystą koszulę nocną, która otula jej ciało niczym łagodna fala, tak łagodna, że prawie rzeczywiście czuję obecność morza. To spopielały niebieski. Mętny niebieski, jak sama powiedziała. Nawet włosy sobie uczesała. A wreszcie i uśmiech, sam nie wiem, też jest jakiś inny.

- Ładna. Bardzo. Skoro tak wygląda koszula nocna, to teraz chętnie obejrzałbym ten komplet.

Śmieje się. Zaraz zmienia jej się wyraz twarzy, podchodzi bliżej, sprawia wrażenie kompetentnej. Znow jest stewardesą. - Czy to pan dzwonił? Czego pan

sobie życzy? - Nic nie przychodzi mi do głowy. Poza jednym: „Jakby to powiedziała tamta pani: Ej, ty, gnocca”. Ale to beznadziejny pomysł. Opuuszczam sobie. I słusznie.

Ona jednak nalega.

Trzyma twarz tuż przy mojej. I na moment przypominam sobie piosenkę Nirvany: *If she comes down now...*

- No więc, czego sobie życzysz?

- Zatracić się w odmętach tego twojego mętnego niebieskiego.

To akurat jej się podoba. Eva się uśmiecha. Odwdzięcza mi się pięknym za nadobne. Teraz jej kolej. Dobrze, wolno mi się zatracić od razu. Całuje mnie. Cudownie dobrze, długo, jest spokojna i delikatna. Przekomarza się, ssąc moją dolną wargę, lekko ją do siebie przyciąga, trzyma w ustach. Po chwili, niespodziewanie, uwalnia ją. Korzystam z okazji.

- Przyniosłem ci coś.

Właściwie to nie ma się co spieszyć. Lądowanie nie wchodzi w grę. Nie teraz. Odstępuję od niej i sięgam po reklamówkę. Jest zaskoczona, nie spuszcza ze mnie wzroku. Pod cienkimi fałdami koszuli nocnej odznaczają jej się sutki. Ale nie chcę w tej chwili zatracić się w jej odmętach. Rozchyłam torbę.

- Nie, bosko! Dwa kawałki arbuza!

- Mam je od przyjaciela z Ponte Milvio. Nie widziałem go jakieś sto lat, dał mi je w prezencie.

Podaję jej jeden.

- Ma najlepsze arbuzy w całym Rzymie. - To znaczy twoje są na pierwszym miejscu, chciałbym dorzucić. Ale ten tekst jest jeszcze gorszy Od poprzedniego. Wgryza się w miąższ i od razu palcem ściera sobie Strużkę soku, która spływa jej z warg, ssie, starając się nie uronić ani kropelki. Śmieję się. Tak. Nie ma się co spieszyć. Ja też wgryzam się w moją porcję. Arbuz jest chłodny, słodki, dobry, zwarty, bez najmniejszej grudki. Eva nie przerywa jedzenia. Smakuje jej. Pochłaniamy go Uśmiechnięci, patrząc na siebie. Trochę przypomina to zawody. Zostajemy z zaróżowionymi półksiężycami w ręku. Ale usta wciąż mamy bitne miąższu. Sok ścieka nam po brodach. Kładzie swój zielony brzег na stole i nie ocierając sobie ust, znów mnie całuje.

- Teraz ty jesteś moim arbuzem. - Kąsa mnie w brodę i oblizuje mi krawędź wokół ust, jedyną przeszkodą, jaką napotyka, jest mój na razie krótki zarost. Jest zdecydowana, nienasycona, rozbawiona. Jeszcze bardziej kobieca.

- Wiesz, pragnęłam cię w samolocie i teraz też cię pragnę...

Nie wiem, co jej odpowiedzieć. Dziwnie się czuję, ilekroć ją słyszę. Milczę, gdy tymczasem ona uśmiecha się do mnie. - To mój pierwszy raz z pasażerem.

Spokojnie wyciągam z kieszeni komórkę. Myślę o dzwonku i ją wyłączam. Nie ma co, zważywszy na to, jaki obrót przybierają sprawy, to najpiękniejszy prezent, jaki Paolo mógł mi podarować.

- Za to ty byłaś jedyną stewardesą, z którą jeszcze tego nie robiłem. Próbuje mnie spoliczkować. Przytrzymuję jej rękę, zanim jej się to udaje i całuję ją czule. Złości się, udaje, że się dąsa i obrusza.

- Ale nie ma co, jesteś też najlepszym arbuzem, jakiego kiedykolwiek próbowałem.

Kręci głową rozbawiona i uwalnia się z uścisku. Siada przede mną z nogą założoną na nogę. Jest zdecydowana, wyzywająca, gotowa na wszystko. Specjalnie wsuwa mi rękę właśnie tam, z przodu. Powoli, delikatnie. Sama dobrze wie, gdzie. I ja też dobrze to wiem. Patrzy mi w oczy wyzywająco, bez cienia wstydu. Ja też na nią patrzę, ani na chwilę nie spuszcza wzroku, uśmiecham się. Wobec tego przyciąga mnie do siebie pożądliwie, nienasycona, nieomal wdrapując się na mnie. Daję się ponieść, tak po prostu. Zatracam się w tym skądinąd już eksmętnym niebieskim, z przyjemnością dając się ponieść słodyczy wszystkiego naraz, z arbuzem włącznie.

9

Daleko. Wzdłuż Aureli, przed Fregene, w Castel di Guido. Stary opuszczony zamek jest jak nowy. Pięćdziesięciu writerów spędziło dwa dni, by zamalować go graffiti. Pięć kratownic umieszczono na samej górze i zainstalowano na nich wszelkie możliwe lampy, tak by w każdej chwili dało się go oświetlić, by było widno jak w dzień. W środku ustawiono trzy konsole z dwustoma głośnikami o mocy 100 kW, podłączono je wzdłuż opuszczonych komnat, wysoko, na skałach, w salach pełnych zabytkowych fresków, od dawna już wyblakłych, a nawet w piwnicach. Pięć tysięcy świec trafiło do ogrodu i samego zamku, stoją wszędzie. I jakby tego było mało, dwie ciężarówki wyładowane ponad dwustoma materacami, wciąż w plastikowych pokrowcach. Tak, nigdy nic nie wiadomo... No właśnie, bo temu, że nigdy nic nie wiadomo, Alejandro Barberini z całą pewnością nie da się zaskoczyć. To jego wieczór. Na jego dwudzieste urodziny ojciec sprezentował mu czarną kartę kredytową Diners. A jakaż lepsza okazja może się nadarzyć, by ją zainaugurować, od takiej jak ta? 200 000 euro, wystarczy raz machnąć kartą i voila, wszystko gra. A Gianni Mengoni oczywiście nie pozwolił, by takie wydarzenie przeszło mu koło nosa. To on wziął się za to wszystko. Zamówił ponad tysiąc butelek alkoholu i trzysta szampana, czterdzieści pięć dmuchanych basenów wypełnionych lodem i dwudziestu kelnerów... skądinąd, po co się szczytać? On sam, tylko za zajęcie się organizacją tego wszystkiego, kazał sobie wystawić czek na 30 000 euro. Już go zresztą zrealizował. - Wiesz, z tą arystokracją, częstokroć podupadła, nigdy nic nie wiadomo - powiedział biednemu Ernesto, na którego spadł rzeczywisty ciężar zorganizowania całości. Z czego Ernesto przypadło w udziale 1800 euro plus cały wysiłek, który trwa już ponad miesiąc. Ale dla niego te 1800 euro to

jak manna z nieba. Chce zdobyć serce pięknej Maddy. Już od miesiąca kręcą ze sobą, ale wciąż mu jeszcze nie dała. Dziś wieczór czuje, że ma to jak w banku. Kupił jej kurtkę, która bardzo jej się podoba. Okrągłe 1000 euro za wytartą, poszarpaną różową skórę. Ale grunt, że ma, czego chce... bo wtedy i on swoje dostanie. Ukrył pakunek w samo-chodzie i kiedy wróci już po wszystkim, o świcie... albo też wtedy, kiedy nadarzy się okazja... nie ma najmniejszych wątpliwości, że zasłużył sobie na ten jej uśmiech. To uśmiech, który zrobił na nim niesamowite wrażenie, do tego stopnia, że przekonał go, by zatrudnić ją do pomocy także na dzisiejszy wieczór. I to za jedyne 500 euro. Słowem, jeśli wszystko dobrze pójdzie, już po wszystkim Ernesto schowa sobie do kieszeni 300 euro, ale w zamian dostanie coś bezcennego. Niektóre stany szczęśliwości mają za nic stojące w karnym rzędzie zera.

- Dani, gdzieś ty się podziewała? Już od godziny sterczę tu na zewnątrz i na ciebie czekam.

- Wiem, ale musieliśmy zostawić samochód tam w głębi. Zawsze się boi, że mu go porysują.

- Zaraz, zaraz, ale z kim ty przyjechałaś?

- Jak to z kim? Już ci przecież mówiłam, z Chicco Brandellim!

- Nie wierzę!

- Słuchaj, kiedy coś mówię, to tak jest.

- Wciąż sobie nie odpuścił? Słuchaj, on cię namierzył tylko po to, żeby się zemścić za twoją siostrę!

- Jeszcze czego. Ile w tobie złości. Wobec mnie jest akurat przemiły. A poza tym, to co ty możesz o tym wiedzieć. Chwileczkę, a choćby taki Giovanni Franceschini, ten, który się zawsze uganiał za tamtą, no... z trzeciej A, jak jej tam?

- Cristina Gianetti.

- O! A jak poznał jej młodszą siostrę, to co, niby się z nią nie związał?

- Wielkie dzięki, starsza to zdeklarowana mniszka, a młodszą podobno odstawia takie numery, że w porównaniu z nią gwiazda porno, taka choćby Eva Hengren, to same nudy!

- A tam, dla mnie Brandelli jest zajebisty, a poza tym już ci przecież powiedziałam, za trzy dni mam urodziny i już postanowiłam.

- A ty wciąż to samo? Słuchaj, nie ma tak, że jak kończysz osiemnaście lat, to automatycznie jesteś przeterminowana! Zafiksowałaś się. Nawet jeśli swój pierwszy raz przeżyjesz za dwa lata, i tak jakie to ma znaczenie?

- Za dwa lata? Czyś ty oszalała? A kiedy ja to zdążę nadrobić? Jak to, właśnie teraz, kiedy zebrałam się na odwagę, ty chcesz mnie akurat zdołować? A poza tym, sorry, a ty ile miałaś, kiedy to zrobiłaś?

- Szesnaście.

- A widzisz, nic dziwnego, że sama pleciesz.

- Ale co to ma do rzeczy, ja byłam już wtedy z Luigim dwa lata.

- Słuchaj, nie truj. Chicco Brandelli zajebicie mi się podoba i już postanowiłam, że dziś wieczór to z nim zrobię. Cholera, choć ten jeden raz pokaż, że jesteś moją przyjaciółką!

- Właśnie masz tego najlepszy dowód.

Dani się odwraca i widzi go z daleka.

- No już, dosyć, wystarczy. Właśnie do nas idzie. Wyluzuj, teraz wchodzimy i więcej nie będziemy o tym gadać.

- Ciao, Giuli. - Chicco Brandelli wita się z nią, całując ją w policzek. - Jak ładnie wyglądasz, strasznie dawno cię nie widziałem. Wyglądasz ekstra... To co? Czy dobrze się spisałem, zdobyłem bilety na dzisiejszy wieczór? Cieszyacie się, lalki? No już, wchodzimy.

Chicco Brandelli bierze Daniele za rękę i zmierza do wejścia. Za jego plecami krzyżują się spojrzenia Giuli i Daniela, Daniela powtarza za Brandellim, przedrzeźniając go: „Lalki”. Po chwili krzywi się z obrzydzeniem, jakby chciała powiedzieć: „Matko, ależ to paskudne”. Daniela od tyłu, tak by nie było widać, usiłuje sprzedać jej kopniaka. Giuli odsuwa się roześmiana. Chicco znów przyciąga Daniellę do siebie.

- Co wy wyprawiacie? No już, bądźcie grzeczne, nic tylko się wygłupiacie. Teraz wchodzimy. - Zbliża się do czterech bramkarzy, gigantycznych koleśków, czarnoskórych, z włosami na zero, całych w czerni, bez wyjątku. Koleś sprawdza bilety. Zaraz potakuje, widząc, że wszystko jest jak należy. Odchyła pozłacany sznur, pozwalając im wejść. Mała grupka przechodzi, a za nią dalsza część towarzystwa, które dopiero co tu dotarło.

10

Niewiele później albo i nawet całkiem sporo później. Jak się tak zaśnie w cudzym łóżku, to zupełnie traci się rachubę, która właściwie może być godzina. Budzę się, ona leży tuż obok. Jej rozpuszczone włosy giną gdzieś w załamaniach poduszki, przy samych ustach, rozchylonych, złaknionych tchu. Zaczynam ubierać się w milczeniu. Kiedy wciągam na siebie koszulę, Eva się budzi. Szybko przejeżdża ręką po miejscu obok. Widzi, że mnie tam nie ma. Odwraca się. Znajduje mnie i się uśmiecha.

- Idziesz już?

- Tak, muszę iść do domu.

- Strasznie mi smakował arbuz.

- Mnie też.

- Wiesz, co takiego zwłaszcza mi się podobało?

Przypominam sobie wszystko to, do czego między nami doszło i wszystko bez wyjątku wydaje mi się absolutnie piękne. A w ogóle to po co się tak zwierzać?

- Nie, co?

- Że mnie nie zapytałeś, jak mi było?

Słowem się nie odzywam.

- Wiesz, wszyscy mnie o to zawsze pytają, a mnie wydaje się to takie... głupie, sama nie wiem, jak to określić.

Wszyscy. Jacy wszyscy? - chciałbym zapytać. Ale w sumie to nic takie ważne. Kiedy uprawiasz wyłącznie seks, to nie szukasz powodów. Dopiero kiedy nie tylko o sam seks ci chodzi, wówczas doszukujesz się całej reszty.

- Nie pytałem cię o to, bo i tak wiem, że było ci dobrze.

- Palant! - zwraca się do mnie z miłością, aż nazbyt ewidentną. Niepokoi mnie to. Podchodzi do mnie, kładzie mi ręce na nogach i wtula się we mnie, całuje mnie poniżej karku.

- To w takim razie jak ci było?

- Cudownie.

- A nie mówiłem?

Dorzuca zdecydowana: - A nawet jeszcze lepiej.

- Wiem. - Całuję ją pospiesznie w usta i już zaraz jestem w drzwiach.

- Chciałam ci powiedzieć, że zostaję tu jeszcze kilka dni...

Kobieca i odrobinę niezadowolona.

- Żeby chodzić na zakupy?

- Tak... - Uśmiecha się lekko nieprzytomna z rozkoszy. - Też...

Nie zostawiam jej czasu na dalsze dywagacje.

- Zadzwoń do mnie, mój numer już masz. - I zaraz, czym prędzej, wychodzę. Kiedy już jestem na schodach, zwalniam. Znów sam. Zakładam na siebie kurtkę i wyciągam z kieszeni papierosa. Dokonuję oceny sytuacji. Jest w pół do czwartej. Portiera w holu zastąpił jakiś inny. Ten jest młodszy. Drzemie na krześle. Wychodzę na ulicę i odpalam motocykl. Wciąż pachnę arbuzem oraz wszystkim innym. Szkoda. Chętnie podziękowałbym portierowi, który był tu wcześniej. Bo ja wiem, dałbym mu napiwek albo pośmiałbym się z nim, zapaliłbym sobie. A nuż coś bym mu opowiedział, te same bzdety, co to zwykle się opowiada, o tym, ile się nadokazywało. Kto wie, w przeszłości on też być może przechwalał się przed przyjaciółmi. Nie ma nic zabawniejszego, niż dzielenie się z przyjacielem szczegółami. Zwłaszcza, jeśli ona nie zawładnęła naszym sercem. Nie tak jak wtedy. Ona. Nigdy nikomu niczego o niej nie opowiadałem, nawet Pollo. Wystarczy raptem jedna chwila. Nic, nie da się nic zrobić. Kiedy uprawiasz wyłącznie seks, wówczas minioną miłość wraca, by się o ciebie upomnieć. I od razu cię dopada. Nie stuka do drzwi. Wchodzi jakby nigdy nic, niespodziewanie, bezczelna i piękna, tak jak to tylko ona sama potrafi. I rzeczywiście w okamgnieniu znów zatracam się w jej kolorze, w błękicie jej oczu. Babi. Tamten dzień.

- No już, prędzej, ile czasu ci to zajmuje.

Saubadia. Nad samym morzem. Motor stoi pod sosną, przy wydmach.

- I co? Step, bo sama już nie wiem. To w końcu chcesz tego łoda, czy nie?

Jestem schylony, zakładam łańcuch na motor.

- Co znaczy sama już nie wiem, ty niezła jesteś. Powiedziałem ci, że nie, Babi, nie, dziękuję.

- Ależ wiem, że właśnie chcesz.

Babi, słodki uparciuszek.

- A skoro tak, to przepraszam, po co mnie w ogóle pytasz A poza tym, Babi, czy tobie się zdaje, że gdybym chciał, to bym go sobie sam nie kupił? Przecież to kosztuje tyle co nic.

- O właśnie, widzisz, jaki jesteś... Od razu myślisz o pieniądzach pałasz żądzą pieniądza.

- Ależ skąd, chodziło mi o to, że sam lód jako taki niewiele kosztuje. Nie wszystko ci jedno. Babi, można kupić jeden więcej, bo i tak na to samo wyjdzie, a w razie czego potem się wyrzuci.

Babi podchodzi z dwoma nasączonymi syropem lodami w rękę.

- I jak widać, kupiłam dwa. Trzymaj, ten pomarańczowy jest dla mnie, a ten miętowy dla ciebie.

- Ale miętowy wcale mi nie smakuje.

- Jak to, sorry, wcześniej wcale nie miałeś ochoty, a teraz narzekasz, że smak ci nie pasuje! Popatrz, popatrz, ty to masz tupet. Zresztą sam zobaczysz, że będzie ci smakował.

- Teraz tak mówisz, bo się uparłeś. No weź, przecież cię znam. Wpierw odpakowuje tego mojego i zaczyna go lizać. Sama próbuje, po czym dopiero mi go podaje.

- Hm... Ten twój jest przepyszny...

- W takim razie go sobie weź!

- Nie, teraz mam ochotę na tego o smaku pomarańczowym. Patrząc na mnie, uśmiecha się i oblizuje swój sopel lodowy. I staje się wyzywająca, bo lód szybko się rozpuszcza, a ona wkłada go sobie w całości do ust. I się zaśmiewa. I zaraz znów chce koniecznie polizać mojego loda.

- No już, daj mi trochę swojego. - Specjalnie tak mówi, cała roześmiana, i się o mnie ociera, jesteśmy oparci o motocykl, rozstawiam szerzej nogi, a ona staje pomiędzy nimi, zaczynamy się całować. Lodowe sople zaczynają się rozpuszczać, spływają nam po dłoniach, po rękach, aż do samych ramion. Raz po raz zgarniamy językiem a to odrobinę pomarańczy, a to znów mięty. Z rąk, z palców, z nadgarstków, z przedramion. Gładka. Słodka. Zupełnie jak mała dziewczynka. Ma na sobie długie pareo, jasnobłękitne, w ciemniejsze wzory. Przewiązała je w pasie. Ma błękitne sandały, a wyżej górę od bikini, też w kolorze błękitnym, i długi naszyjnik z białymi muszelkami, zaokrąglonymi, niektórymi mniejszymi, innymi większymi. Znikają, roztańczone, między jej ciepłymi piersiami. Całuje mnie w szyję.

- Ała! - Specjalnie przystawiła mi sopel do brzucha.

- Maluszkę ty mój, ała... - Przedrzeźnia mnie. - Co się stało, zrobiłam ci krzywdę? Zimno ci?

Napinam mięśnie, a ją bawi to jeszcze bardziej. Przejeżdża mi lodem po mięśniach brzucha, raz za razem. Ja jednak się mszczę.

- Ała.

- A masz! Trochę mięty na biodra dobrze ci zrobi. - I oddajemy się temu w najlepsze, smarujemy się pomarańczą i miętą po plecach, karku, po nogach, wreszcie także smaruję miętą między jej piersiami. Sopel się łamie. Kawalek wpada jej pod kostium.

- Ała, zgłupiałeś, przecież to lód!

- Pewnie że lód, i to zamrożony sopel!

Zanosimy się śmiechem. Zatraceni w lodowatym pocałunku, w upalnych promieniach słońca. W ustach spotykają się ze sobą dwa smaki: pomarańczowy i miętowy, a my tymczasem toniemy.

- No już, Babi, chodź ze mną.

- Ale dokąd?

- Chodź...

Rozglądam się na prawo i lewo, po czym przechodzę szybko przez ulicę, ciągnąc Babi za sobą, ona biegnie, prawie się potyka, odrywając sandały od rozgrzanego asfaltu. Porzucamy morze, drogę, żeby wdrapać się tam, na wydmy. Biegniemy jeszcze dalej w głąb. Wreszcie, nieopodal kempingu dla turystów z zagranicy, przystajemy. Tam, schowani za krzakami, wśród spłowiełej zieleni, na piasku, pod wścibskim niebem, kładę się na jej pareo. Teraz jesteśmy na ziemi. Ona kładzie się na mnie, bez kostiumu, cała moja. Jest gorąco, spływające z niej krople polu, wsiąkają w strużki blond włosów o popielatym odcieniu, zraszają jej już opalony brzuch, docierają niżej, do nieco ciemniejszych kędziorów i jeszcze niżej, do moich własnych... I ta słodka rozkosz, nasza wspólna. Babi rusza się na mnie, w górę i w dół, powoli. Po chwili odchyła głowę w tył i śmieje się w stronę słońca. Szczęśliwa, że jest kochana. Piękna, i kapana w pełnym świetle. Mięta. Pomarańcza. Mięta. Pomarańcza. Mięta... Pomarańczaaaaa...

Dosyć. Mam to już za sobą. Wspomnienia. Przeszłość. Ale razem z nimi postradałem chyba zmysły. Wcześniej czy później sprawy, które za sobą zostawiłeś, same cię dopadną. I nawet najgłupsze rzeczy, kiedy byłeś zakochany, zapamiętujesz jako coś najpiękniejszego. Bo ich prostoty nie da się porównać z niczym innym. I chce mi się wyć. W tej ciszy, która tak rani. Dosyć. Daj spokój. Odłóż wszystko na swoje miejsce. Właśnie. Zamknij. Na dwa razy. W głębi serca, tam z tyłu, za rogiem, w tamtym ogrodzie. Kilka kwiatów, odrobina cienia i wreszcie ból. Wszystko tam zostaw, dobrze schowaj, nie byle jak, tylko tak żeby już nie bolało, tam gdzie nikt ich już nie dojrzy. Tam, gdzie nawet ty sam ich nie dojrzysz. Właśnie. Znów wszystko pogrzebane. Teraz jest już lepiej. Znacznie lepiej. I oddalam się od hotelu. Jadę wolno. Via Pinciana, via Paisiello, prosto w stronę piazza Euclide. Wokół ani żywego ducha. Wóz policyjny stoi zaparkowany przed ambasadą. Jeden śpi. Drugi czyta, nie wiadomo co. Przyspieszam. Mijam światła, jadę dalej via Antonelli. Czuję

orzeźwiający powiew wiatru, który pieści mi skórę. Na moment zamykam oczy i wydaje mi się, że wznoszę się w powietrzu. Głęboki wdech. Pięknie. Do tego obsługa ze strony stewardesy była bez zarzutu. Eva. W odmętach swojego „mętnego niebieskiego”. Piękna. Ma doskonale ciało. A poza tym podoba mi się kobieta, która nie wstydzi się swojego pożądania. Słodka. Słodka jak arbuz. Nawet bardziej. Skręcam w corso Francia. Jest późna noc. Żeby przedłużyć trasę, wjeżdżam na wiadukt. Teraz zrobiło się prawie zimno. Znad Tevere wzbiło się w niebo stadko mew. Siadają na moście. Zupełnie jakby, onieśmiałe, chciały się pożegnać. Zaraz potem dają nura w dół, w stronę rzeki. Wydają z siebie ciche dźwięki, coś jak nawoływanie, prośbę. Krótkie, zduszone okrzyki, jakby się bały, że kogoś obudzą. Wspinam się i podjeżdżam pod górę via di Vigna Stelluti. I zaraz sam z siebie zaczynam się śmiać. Eva... Dziwne. Nawet nie wiem, jak ma na nazwisko.

11

W Castel di Guido impreza rozkręciła się na dobre. Muzyka w środku jest ogłuszająca. Czerwone, fioletowe i niebieskie światła. Tancerki wiją się na walcach siana, są całkiem nagie. Skuty łańcuchami kulturysta, w kapturze na głowie, ma całe ciało wysmarowane olejkami, ubrany jest jedynie w stringi w stylu grecko-rzymskiej przepaski, udaje rozjuszoną bestię, która próbuje wyswobodzić się z łańcuchów, byle tylko dopaść tancerki. Dani i Giuli krzyczą rozbawione. Rycerz razem z nagą partnerką przemierzają konno komnatę. Chłopaki i dziewczyny wylegują się na kanapie, zrelaksowani, piją, śmieją się, całują pod osłoną mroku, raz po raz rozświetlani zielonym błyskiem z małego reflektora, który przenika z sali do sali, pulsując w rytm muzyki. Kelnerzy w nienaganych białych marynarkach krążą z tacami, serwując wszystkim najlepsze alkohole, od rumu John Bally aż po gin Sequoia. Chicco korzystając z okazji, bierze od razu dwa kieliszki i natychmiast je opróżnia. Po czym tańczy, nie ruszając się z miejsca i podnosząc ręce wysoko do góry.

- To miejsce jest boskie! To piekło tylko dla bogaczy, czyli wyłącznie dla nas... Rewelacja! - I zaraz wyciąga Daniele i obraca ją w rytm muzyki, śmieje się razem z nią, obejmuje i delikatnie całuje w usta. Po czym zostawia ją samą sobie, tanecznym krokiem wykonuje niezbyt udany obrót.

- Zaczekajcie tu, lalki, pójdę wziąć wam coś innego do picia!

Giuli patrzy, jak odchodzi, odwraca się w stronę Daniela i wpatruje się w nią bez słowa.

- Dani... rzeczywiście jesteś tego pewna?

- Nie dam rady...

- A, widzisz!

- Ależ nie, zajebicie mi się podoba, tyle że muszę dać się ponieść, a ty nic, tylko wszystko mi jeszcze utrudniasz.

- Ja?

- A niby kto inny! Muszę się odurzyć. Tylko że jeśli będę pić, to potem zrobi mi się niedobrze.

- Dani popatrz, a ten tam to nie aby Andrea Palombi?

- Tak, to on. O matko! Nie widziałam go od niepamiętnych czasów!

- Zmienił się. Co mu się stało? Ktoś mu przyłożył?

- Nie, tylko od czasu, kiedy się rozstaliśmy, kompletnie się załamał.

- Total! A właśnie, to z nim powinnaś przeżyć swój pierwszy raz. Z kolesiem, który przynajmniej naprawdę cię kochał. To ile wy w końcu byliście razem?

- Sześć miesięcy.

- I przez te sześć miesięcy nie nadarzyła się okazja?

- Pewnie i tak, ale skoro jestem w takiej a nie innej sytuacji, to znaczy, że w sumie nie! A zatem... Tak czy owak, to nie są sprawy, które można wykalkulować na zimno!

- Co ty wygadujesz! Przecież to właśnie dzisiaj wieczorem zachowujesz się, jakbyś wszystko sobie kalkulowała na zimno!

- Dostyc, odwracasz kota ogonem. Za Chiny sobie teraz nie poradzę. Muszę wziąć ecstasy! Właśnie, tego mi trzeba.

- Tak, zajebicie. Ja wzięłam na imprezie u Giady, to ci z pewnością pomoże.

- I jak ci było?

- Normalnie. Czułam się świetnie. Był tam też Giovanni, kochaliśmy się. Było mi z nim cudownie.

- Wyobrażam sobie, byłaś przecież na ecstasy.

- I co z tego, z Giovannim jest mi zawsze świetnie! Jeśli o to chodzi, zawsze było mi z nim dobrze, w łóżku rozumiemy się bez słów, a co ty sobie myślisz?

- Pewnie, on akurat w łóżku rozumie się bez słów ze wszystkim, co się rusza!

- Cóż, teraz to ciebie żółć zalewa, co? W takim razie sorry, ale mogłaś od razu wziąć się za Giovanniego, zamiast zatruwać sobie życie, nie?!

- Dostyc, no już, nie kłóćmy się. Tylko skąd ja to wezmę?

- Co takiego?

- Giovanniego?! No co ty... ecstasy! Ejże, ocipiałaś?

- Patrz, tam jest gangsta.

- Kto?

- Gangsta. W ogóle nie jarzysz. Gangsty to takie twardzielki, te, które mają towar. Widzisz tę tam, z warkoczykami? Weź się skup! No tam, przy konsoli? Właśnie, ona ma wszystko, czego dusza zapragnie. Widziałam ją przy wejściu. Zrozumiałaś, o którą chodzi? Właśnie tam, widziałaś?

- Tak, tylko że tuż obok niej stoi Madda.

- Kto?

- Madda Federici. Ta sama, która dwa lata temu pobiła się z moją siostrą.

- Co cię to obchodzi. A poza tym, sorry, ale co to ma do rzeczy? Tak czy inaczej, te dwie pracują razem. Weź się z nią przywitaj, a zobaczysz, że pójdzie jak po maśle.

- Tak uważasz?

- Idź już.

Daniela zbiera się na odwagę i przemierza komnatę. Madda już z daleka widzi, że się do nich zbliża. I natychmiast ją poznaje. Nigdy ich nie zapomniała. Ani jednej, ani drugiej. Zwraca się do gangsty.

- Sophie, co ci zostało?

- Jedna pastylka ekstazy i jedna pigułka gwałtu.

- Ej, a widzisz tę, która właśnie tu idzie?

Gangsta spogląda na Daniele.

- Tak, no i?

- Więc tak, wszystko jedno, co będzie chciała, ty i tak daj jej pigułkę gwałtu.

- A na ile mam ją skasować?

- Chuj mnie to obchodzi.

Nadchodzi Daniela. Staje przed nimi. Gangsta unosi brodę, jakby chciała zapytać: „A ty tu czego?”. Daniela najpierw wita się z Maddą.

- Cześć, co u ciebie?

Madda nie odpowiada. Daniela mówi dalej.

- Sorry, chciałam się zapytać, czy masz ekstazy?

- A ja się ciebie pytam, czy masz kasę - rzuca jej gangsta. He miałabym ci dać?

- Pięćdziesiąt euro.

- Okay, trzymaj. - Daniela wyciąga banknot z kieszeni spodni. Gangsta błyskawicznie chowa go do jednej z kieszeni, które ma z przodu. Po czym wyciąga z przegródki w bransoletce białą pastylkę. Daniela bierze ją od niej i zbiera się do odejścia.

- Ej, stój. - Madda zastępuje jej drogę. - Nie będziesz się tutaj kręciła z towarem w ręku. Masz to wziąć tu i teraz. Trzymaj. - I podaje jej piwo, które sama dopiero co piła, zostało jej jeszcze poi butelki.

Daniela patrzy na nią zaniepokojona.

- Ale czy w połączeniu z piwem mi nie zaszkodzi?

Skoro przyszedł aż tutaj, to może ci wyjść jedynie na zdrowie! Daniela wkłada sobie pastylkę do buzi i popija dużym łykiem. Opuszcza głowę i bierze głęboki wdech. Połyka i się uśmiecha.

- Już.

- Pokaż? Podnieś język?

Daniela robi, co ta każe. Madda sprawdza dokładnie. Tak, rzeczywiście połknęła tę pastylkę.

- Okay, cześć i baw się dobrze.

Daniela odchodzi, a Chicco Brandelli w tym samym czasie już stoi obok Giuli z dwiema butelkami szampana. Madda i Sophie nie spuszcza jej z oczu.

- Zobaczysz, kompletnie straci głowę. Jeśli nigdy wcześniej niczego nie brałaś, to pigułka gwałtu rozwala cię równo. Nawet nie pamiętasz tego, co wyprawiałaś.

- W sam raz dla niej. Potem będzie mogła pozdrowić ode mnie swoją siostrę!

- Biada temu, kto ci się narazi, co?

- Biada! To tylko kwestia czasu.

- No dobra, Madda, ja się zwijam.

- A co zrobiłaś z ostatnią pigułką ecstazy?

- Sama ją sobie w domu zapodałam. Akurat Damiano wraca wcześniej dziś wieczór. Przynajmniej pouprawiamy sobie trochę seksu.

- Okay, siostrzyczko, nie żałuj sobie. Czy wyświadczysz mi ostatnią przysługę? Wiesz, który to samochód Ernesto?

- Tak, ten niebieski, po stłuczce.

- Właśnie, chodź, to ci pokażę, co masz zrobić.

Wydaje się, że muzyka jest coraz głośniejsza. To pigułka gwałtu zaczyna działać. Dani tańczy przed Giuli w amoku.

- I jak ci jest?

- Bosko.

- Czujesz, że zaczyna działać?

- Skąd mam wiedzieć? Nie wiem. Nic już nie rozumiem, wiem tylko, że chcę się pieprzyć! Chcę się pieprzyć!

Daniela podskakuje jak szalona i się wydziera, czasami to muzyka ją zagłusza, a czasami nie. Dzieje się tak akurat, kiedy ma przed sobą Andreę Palombiego.

- Chcę się pieprzyć! - drze się na całe gardło Daniela. Andrea uśmiecha się do niej.

- Nareszcie! - odkrzykuje jej. - Ja też!

- Tak, tylko, że ja nie z tobą!

I Daniela pędzi przed siebie, krzycząc, podskakując z radości, wywołując zamieszanie, co raz w ramionach kogoś innego, popijając z kubków, które akurat wpadają jej w ręce, tańcząc z obcymi, póki nie trafia na te właśnie ręce, te właśnie usta, tę twarz, ten uśmiech... Właśnie.

To ciebie szukałam. Podobasz mi się. Jesteś naprawdę śliczny. Wpierw jawi jej się jako blondyn, potem brunet, a potem w ogóle przestaje go widzieć. A jeszcze później trafia do pokoju i widzi, jak się rozbiera.

I widzi, że ona sama też się rozbiera. Plastikowa folia z materaca zostaje zdarta niczym papierek z lodu, z lodu do lizania. I ona właśnie to robi. Po czym opada, przęając się, na zimny materac. Jakieś ręce unoszą ją od spodu, rozchylają jej nogi. I stopniowo czuje, jak ktoś ją pieści. Ala, boli... To boli... Ale czy to ma boleć? Pewnie tak, myśli sobie. Tak, właśnie tak. Cały urok polega również na tym, że boli. I wciąż widzi wokół siebie to przedziwne morze. Wszystko faluje. W górę i w dół. W górę i w dół. Tak jak to ciało na niej. I zaraz się uśmiecha. I już się śmieje. I ma tylko jedno pytanie. Czy jutro rano ktoś napisze dla mnie coś na murze? Bo przecież tak to jest, nie? Miłosne wyznanie tylko dla mnie... I się uśmiecha. Zapada w sen. Nieświadoma, że żadnego napisu nie będzie, obojętnie w jakiej formie. Ani nawet imienia, skoro już o tym mowa.

Później. O świcie.

- Nie, nie mogę w to uwierzyć! - Załamany Ernesto pędzi w stronę swojego niebieskiego samochodu.

- Wybili mi szybę!

- Widzisz - zwraca się do niego Madda, wsiadając do samochodu - i tak jest już cała poobijana!

- Nie, nic nie rozumiesz, podpieprzyli mi genialną rzecz, którą kupiłem ci w prezencie! Nawet nie masz pojęcia, wydałem na to kupę kasy. To ta różowa kurtka, ta która tak ci się podobała!

- Akurat, że niby szarpnąłeś się i wydałeś na mnie okrągłe tysiąc euro?! I co takiego oczekiwałeś w zamian? Co? Cwaniaczek z ciebie! Ale kit. Odwieź mnie do domu, byle szybko, bo jestem zmęczona i spać mi się chce!

- Przysięgam ci, Madda! Kupiłem ją dla ciebie.

- Tak, tak, dobra. Słuchaj, muszę wracać do domu, bo jutro wyjeżdżam wcześniej rano.

- Dokąd?

- Do Florencji, nie będzie mnie przez tydzień. Może się zdzwonimy, jak wrócę.

- I co będziemy robić?

- Bo ja wiem, a nuż znów trafi się jakaś praca, jakaś impreza, czy coś. A ty co, przesłuchanie mi robisz, czy jak? Słuchaj, ej, w ten sposób tylko mnie stresujesz... cały czas za mną łazisz, daj mi spokój!

I Madda czym prędzej wysiada i wskakuje do pierwszego lepszego samochodu, który akurat tamtędy przejeżdża. To auto Mengoniego, toteż tym bardziej się cieszy, że właśnie z nim wraca. Ernesto biegnie za nią, krzyżąc.

- Dokąd jedziesz? Zaczekaj!

Madda uśmiecha się do siebie. Zaczekaj, ale na co? Różowa kurtka już czeka na mnie w domu. A ja wcale ci nie dałam. Co za wieczór. Jak marzenie! Do tego nieźle urządziłam małą Gervasi. To było coś naprawdę pięknego! Madda nie ma nawet pojęcia, że to, co zrobiła, przerodzi się już wkrótce w autentyczny koszmar.

Letarg. Słyszę, jak Paolo urzęduje w kuchni. Mój brat. Przystawia rzeczy, usiłując nie hałasować, domyślam się tego po dźwięku, jaki wydają talerze, które stawia na stole i szuflady, kiedy je zamyka. Mój brat to kobieta. Przywiązuje wagę do tych samych rzeczy co matka. Moja matka. Minęły już dwa lata, odkąd jej nie widziałem, kto wie, jaką ma teraz fryzurę. W ciągu ostatniego roku często ją zmieniała. Zależało jej, by modnie wyglądać, słuchała rad przyjaciółek, chciała wyglądać jak na zdjęciu z gazety. Nigdy do mnie nie dotarło, dlaczego kobieta przywiązuje aż taką wagę do swoich włosów. Przychodzi mi na myśl taki jeden film z Lino Venturą i Francoise Fabianem: *Szczęśliwego Nowego Roku. 1970*. On łąduje w więzieniu. Ona go odwiedza. Ciemno. Słyszeć tylko ich głosy.

- Co jest?... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Zmieniłaś fryzurę.

- Nie podobam ci się?

- Nie o to chodzi, tylko że kiedy kobieta zmienia fryzurę, to znaczy, że wkrótce zmieni również mężczyznę.

Uśmiecham się. Moja matka wiele razy widziała ten film. A nuż wzięła sobie do serca te słowa. Jedno jest pewne: za każdym razem, kiedy ją spotykam, ma inną fryzurę. Paolo staje przy drzwiach, uchyla je po cichu, ostrożnie, żeby nie zaskrzyphiały. - Stefano, przyjdiesz na śniadanie?

Odwracam się w jego stronę. - Czy przygotowałeś jakieś smakołyki?

Przez chwilę stoi zbity z tropu. - Tak, tak mi się wydaje.

- Dobra, w takim razie przyjdę. - Nigdy nie rozumie, kiedy żartuję. Tego nie odziedziczył po matce. Zakładam bluzę, bokserki mam już na sobie.

- A niech cię, ale schudłeś.

- Znowu... Już mi to mówiłeś.

- Też powinienem przenieść się na rok do Stanów. Bierze między dwa palce wałek tłuszczu i pokazuje mi go. Sam popatrz.

- Władza i majątek tuczą.

- Wobec tego powinienem mieć tylko skórę i kości. Stara się obrócić to w żart. Również i tym różni się od mamy, bo mu się nie udaje.

- O czym myślisz?

- Że jesteś specem od nakrywania do stołu.

Siada zadowolony. - No tak, lubię to... - Podaje mi kawę. Biorę ją od niego i na oko dolewam do niej trochę zimnego mleka, nawet nie próbuję, po czym wgryzam się w duże czekoladowe ciacho. - Dobrze.

- Z gorzkiego kakao. Kupiłem je dla ciebie. Mnie nie smakują. Są zbyt gorzkie. Mama zawsze ci je kupowała, kiedy mieszkaliśmy wszyscy razem.

Siedzę bez słowa i popijam kawę z mlekiem. Paolo patrzy na mnie. Przez moment wygląda, jakby chciał coś dodać. Ale się rozmyśla i zabiera się za przygotowanie swojego cappuccino.

- Ej, wczoraj wieczorem dzwoniła do ciebie dziewczyna, Eva Simoni, dodzwoniła się do ciebie na komórkę?

Eva. Proszę, oto jak się nazywa: Simoni. Mój brat wie nawet, jak ma na nazwisko.

- Tak, dodzwoniła się.

- I co, widziałeś się z nią?

- Skąd te wszystkie pytania?

- Ciekaw jestem, miała ładny głos.

- Tak jak i całą resztę.

Kończę dopijać caffè latte. - Cześć, Pa', do zobaczenia.

- Ale masz dobrze.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Paolo wstaje i zaczyna odstawiać wszystko na miejsce. - No wiesz, że tak masz, jesteś wolny, dobrze się bawisz, robisz, co ci się żywnie podoba.

Wyjechałeś, wciąż jeszcze jesteś w zawieszeniu, nic nie jest przesądzone.

- Tak, szczęściarz ze mnie. - Spadam. Zbyt wiele rzeczy musiałbym mu opowiedzieć. W sposób kulturalny musiałbym mu wyjaśnić, że właśnie powiedział haniebną, kolosalną, potworną bzdurę. Że człowiek szuka wolności dopiero wtedy, kiedy czuje się zniewolony. Ale jestem zmęczony. Teraz zwyczajnie mi się nie chce, szkoda gadać. Wchodzę do pokoju, patrzę na budzik na szafce nocnej i nagle wypalam:

- Kurwa mać, jest dopiero dziewiąta, a ty już zdążyłeś mnie obudzić?

- Tak, niedługo muszę być w biurze.

- Ale ja nie!

- Tak, wiem, ale skoro masz iść do taty... - Patrzy na mnie zdezorientowany. - Jak to... nie mówiłem ci o tym?

- Nie, słowem nie wspomniałeś.

Jeszcze przez chwilę wygląda, jakby był pewny swego. Po chwili patrzy na mnie z lekkim powątpiewaniem, sam już nie wie, czy mi o tym mówił, czy też nie. Czy rzeczywiście jest tak święcie przekonany, że to zrobił, czy tylko ma zadatki na świetnego aktora.

- No cóż, tak czy owak, spodziewa się ciebie o dziesiątej. Miałem rację, że cię obudziłem, nie?

- No pewnie, jakżeby inaczej. Dzięki, Paolo.

- Nie ma za co.

Nic. Zero ironii. Właśnie wkłada do zlewu filiżanki i kafeterkę, wszystko karnie i skrupulatnie w komorze po prawej, zawsze tylko i wyłącznie w tej po prawej.

Niebawem wraca do tematu.

- Ej, ale nawet nie zapytasz, dlaczego tata chce się z tobą spotkać o dziesiątej, nie jesteś ciekaw?

- Bo ja wiem, skoro chce się ze mną zobaczyć, to myślę, że powie mi, o co chodzi.

- No tak, pewnie. Widzę, że jest trochę zawiedziony.

- Okay. Niech ci będzie... Dlaczego chce się ze mną zobaczyć? Paolo przerywa mycie filiżanek i odwraca się do mnie, równocześnie wycierając ręce w ścierkę. Aż kipi entuzjazmem.

- Nie powinienem ci tego mówić, bo ma to być niespodzianka. Dociera do niego, że zaczyna mnie to wkurwiać.

- Ale i tak ci powiem, cała przyjemność po mojej stronie. Myślę, że znalazł ci pracę! Jesteś szczęśliwy?

- Ogromnie.

Nie ma co, zmieniłem się na lepsze. Potrafię dobrze udawać, nawet kiedy słyszę pytanie takie jak to.

- No i co ty na to?

- A to, że jeśli będę dłużej z tobą gadał, to spóźnię się na spotkanie. Idę się przygotować.

Jesteś szczęśliwy? To najtrudniejsze pytanie. „By być szczęśliwym powiada Karen Blixen - potrzeba odwagi”. Czy jesteś szczęśliwy...? Takie pytanie mógł zadać jedynie mój brat.

13

Za minutę dziesiąta. Spoglądam na moje nazwisko, które widnieje tuż przy dzwonku. Ale to dom mojego ojca. Jest napisane odręcznie, nierówno, bez polotu, wygląda surowo, o tym, żeby prezentowało się fajniej, nawet nie ma co wspominać. W Ameryce coś takiego by nie przeszło. Ale kogo to obchodzi. Jesteśmy w Rzymie, na małym placu przy corso Trieste, niedaleko sklepu, który handluje pseudoeleganckim towarem. Stos rzeczy na wystawie, wszystko po 29,90 euro. Tak jakby pierwszy lepszy frajer sam nie wiedział, że każda z tych zasranych rzeczy jest warta akurat tyle: 30 euro. Zmysł handlowy, cwaniactwo grubymi nićmi szyte i wymuszony uśmiech. Dzwonię.

- Kto tam?

- Cześć, tato, to ja.

- Jesteś punktualnie. Ameryka cię zmieniła - śmieje się. Chciałbym wrócić do siebie, ale skoro już tutaj jestem... - Na którym piętrze mieszkasz?

- Na drugim.

Drugie piętro. Wchodzę i zamykam za sobą furtkę. Dziwne, drugie piętro jakoś nigdy mi się nie podobało. Zawsze uważałem je za coś pośredniego między apartamentem na ostatnim piętrze a ogrodem, to ciemne miejsce dla

tych, co wegetują. Wciskam dwójkę. To samo dotyczy windy. Odcinek, który urywa się w połowie. Nie przyda się tym, którzy mieliby ochotę trochę potrenować, a dla pozostałych i tak jest niewygodny. Tata stoi w drzwiach i czeka, aż się pojawię. - Cześć.

- Jest wzruszony i mocno mnie przytula. Trochę długo, aż za bardzo. Coś ściska mi gardło, ale pozbywam się tego zdecydowanymi kopniakami. Nie chcę o tym myśleć. Wymierza mi lekkiego kuksańca w plecy.

- To jak... co tam słyhać?

- Świetnie. - Kopniaki się przydały. Mówię normalnie. - A ty? Co u ciebie?

- W porządku. Jak ci się podoba to mieszkanie? Przeprowadziłem się już sześć miesięcy temu i dobrze mi tutaj, sam je urządziłem.

Chciałbym dorzucić: „To widać”, ale sobie odpuszczam. Nie żeby mnie to akurat specjalnie obchodziło.

- A poza tym jest wygodne, niezbyt duże, ma około osiemdziesięciu metrów kwadratowych, dla mnie akurat, mieszkam tu prawie zawsze sam. Patrzy na mnie. Spodziewa się albo ma nadzieję, że to „prawie zawsze” naprowadzi mnie na jakiś trop. Ale nic z tego. Jeśli o mnie chodzi... Tkwi w miejscu, przykurzony. Niepotrzebnie się uśmiecha, po chwili znów się odzywa:

- Trafiłem na tę okazję i skorzystałem z niej, a swoją drogą to wiesz co? Zawsze myślałem, że drugie piętro nie będzie mi odpowiadało, a tymczasem jest nawet lepsze, bardziej... izolowane.

Mam nadzieję, że nie zapyta mnie, co to znaczy. Słyszałem to już pewnie jakieś tysiąc razy. To jeden z tych terminów, których nie znoszę.

- A poza tym jest wygodniejsze, cichsze.

Zbyt wiele przymiotników na raz to zwykle sposób na usprawiedliwienie złego wyboru.

Pamiętam takie zdanie Sachy Guitry: „Są osoby, które nic tylko mówią i mówią... póki nie mają czegoś do powiedzenia”.

- Tak, zgadzam się z tobą. - Szkoda, że nie jest równie zgodny w sprawie cytatu, ale nie bardzo może. Tylko tak sobie pomyślałem. Ale nic mu nie powiem.

Uśmiecha się do mnie.

- I co?

Patrzę na niego rozzalony. I co? Co też takiego ma znaczyć pytanie „I co?”. Pamiętam, że kiedy chodziłem do liceum, to w klasie był Ciro Monini, ten z pierwszej ławki, który w kółko zagadywał: - I co? I co? - A Zakochany, ten który siedział za nim, wiecznie odpowiadał to samo: - I co? Jajco! - I zanosił się śmiechem. Straszne jest to, że tamten też się śmiał. I to samo powtarzało się prawie codziennie. Nie wiem, czy wciąż się spotykają. Ale obawiam się, że nadal zabawiają się w ten sam sposób, być może już z kimś innym... I co? Ano to, że kocham mojego ojca. Kurwa, źle mi się siedzi w tym fotelu, strasznie

niewygodny. Ale daję z siebie wszystko. - Nawet nie masz pojęcia, jak mi było dobrze w Nowym Jorku, wprost fantastycznie.

- Był tam ktoś? - Patrzę na niego. - Chodzi mi o Włochów. - Przez moment przestraszyłem się nie na żarty.

- Tak, mnóstwo, ale to całkiem inni ludzie od tych, jakich zwykle spotyka się tutaj.

- W jakim sensie inni?

- A bo ja wiem. Inteligentniejsi, uważniejsi. Wszyscy pieprzą zdecydowanie mniej głupot. Czują się swobodnie, rozmawiają na luzie, opowiadają sami z siebie...

- Co znaczy, że opowiadają sami z siebie?

Gdybyśmy chociaż byli na kolacji. Przy stole każdemu bym wybaczył. Nawet własnym krewnym. Kto to powiedział? Pamiętam to z liceum, rozśmieszyło mnie to. Może Oscar Wilde. Obawiam się, że nie dam rady. Ale chociaż próbuję.

- Że się nie ukrywają. Konfrontują się z własnym życiem. A poza tym... przyznają się, że mają problem. Nieprzypadkowo prawie każdy ma swojego psychoanalityka.

Patrzy na mnie zmartwiony. - Jak to, ty też miałeś? Cały ojciec, zawsze zadaje chybione pytanie w najmniej stosownym momencie.

Uspokajam go. - Nie, tato, nie miałem. - Chciałbym dodać: „Ale może powinienem był. Może ten amerykański psychoanalityk rozgryzłby te moje włoskie problemy”. A może i nie. Chciałbym mu to powiedzieć, ale sobie odpuszczam. Nie wiem, ile ze sobą wytrzymamy. Staram się nie komplikować sytuacji.

- Ja nie jestem Amerykaninem. A my Włosi jesteśmy zbyt dumni, by się przyznać, że kogoś potrzebujemy.

Siedzi w milczeniu. Zamartwia się. Tak mi przykro. Wobec tego staram się mu jakoś pomóc sprawić, by nie myślał, że to on jest czemuś winny.

- A poza tym, sorry, że niby co, miałem wyrzucać w błoto własną kasę? Wybrać się do psychoanalityka i nawet nie być w stanie zrozumieć tego, co mówi do ciebie po angielsku... To by dopiero oznaczało, że z moją głową rzeczywiście jest coś nie tak! - Ojciec wybucha śmiechem. - Wolałem wydać pieniądze na kurs językowy, nawet jeśli je przepuściłem, to przynajmniej się nie łudziłem, że się lepiej poczuję!

Znów się śmieje. Ale coś mi się wydaje, że się zmusza. Kto wie, co takiego chciałby ode mnie usłyszeć.

- Tak czy owak, niekiedy sami przed sobą nie jesteśmy w stanie wyznaczyć własnych problemów.

Poważnieje.

- To prawda.

- Przeczytałem, że z tego samego powodu jest coraz mniej ludzi, którzy chodzą do kościoła się wyspowiadać.

- Właśnie...

Nie dał się przekonać. - Ale gdzieś to wyczytał?

Tego się spodziewałem. - Nie pamiętam.

- Więc wróćmy do nas.

A co, że niby gdzieśmy byli? Wróćmy do nas... Co za język? Jest mi źle. Niewygodnie. Zaczynam się irtować.

- Czy Paolo coś ci mówił?

- O czym? - Kłamać własnemu ojcu. Ja już nie spełniam warunków, o których mowa w tamtym artykule na temat spowiedzi. Nie chodzę do kościoła. Już nie. - Nie, nic mi nie mówił.

- No tak... - Uśmiecha się do mnie rozentuzjasmowany. - Znalazłem ci pracę.

Staram się udawać najlepiej, jak to możliwe. - Dzięki. - Uśmiecham się. Powinienem zostać aktorem. - Mógłbym się dowiedzieć, o co chodzi?

- Ależ oczywiście. Gapa ze mnie. No więc, pomyślałem sobie, skoro byłeś w Nowym Jorku i zaliczyłeś kurs grafiki komputerowej i fotografii, prawda? Nieźle nam idzie. Najwyraźniej nawet on sam nie bardzo wie, co takiego porabiał w Nowym Jorku jego własny syn. I aż wierzyć się nie chce, że to właśnie on miesiąc w miesiąc płacił mi za szkołę.

- Tak, zgadza się.

- Właśnie, optymalnie by było, gdybym zdołał ci znaleźć coś, co ma związek z twoim wykształceniem. I to mi się udało! Przyjęli cię do programu telewizyjnego, masz się zajmować grafiką komputerową i oprawą wizualną!

Mówi to takim tonem, jakby tłumaczył na włoski wręczanie amerykańskich Oscarów: *And the winner is...* zwycięzcą jest... czy to aby nie ja?

- No wiesz, oczywiście będziesz asystentem, to znaczy kimś, kto podlega człowiekowi odpowiedzialnemu za oprawę graficzną i dba o całą stronę wizualną, tak myślę.

A zatem to nie ja jestem zwycięzcą. Uplasowałem się na drugim miejscu.

- Dzięki, tato, myślę, że to naprawdę świetna sprawa.

- Albo coś takiego, słowem, sam nie bardzo potrafię ci to wyjaśnić.

Jak zwykle bierze rzecz z grubsza. Nie precyzuje. Właściwie to jest piski prawdy albo czegoś takiego. Mój ojciec. Czy w ogóle dotarło do niego, co takiego zaszło z mamą? Myślę, że nie. Czasami samego siebie zapytuję, co takiego mam z niego? Wyobrażam sobie to dymanko, które powołało mnie do życia. Patrzę na niego, leży na mamie. Chce mi się śmiać. Gdyby tylko wiedział, o czym teraz myślę. Dzwoni domofon.

- Aha, to pewnie do mnie. - Wstaje pospiesznie, lekko speszony. Jasne że tak, a do kogo innego? Ja już tu nie mieszkam, nie to co Alice. Tata wraca, ale nie siada. Stoi w miejscu, wykonuje nerwowe ruchy rękami. - Wiesz, nie wiem jak ci to powiedzieć, ale chciałbym, żebyś kogoś poznał. Dziwnie mówić o tym własnemu synowi, ale wiesz jak to jest między nami mężczyznami, co? Chodzi

o kobietę. - Śmieje się, żeby jakoś rozładować sytuację. Nie chcę mu jej utrudniać.

- Ależ oczywiście, tato, żaden problem... między nami mężczyznami.

Milknę. Tkwi w miejscu i patrzy na mnie. Nie wiem, co powiedzieć. Widzę, że unika mojego wzroku. Dzwonek do drzwi, idzie otworzyć.

- No proszę, to jest Monica.

Urodziwa. Niezbyt wysoka, za mocno umalowana. Używa perfum o intensywnym zapachu, ubrana jest raczej przeciętnie, ma zbyt napuszone włosy, a na ustach za dużo konturówki. Uśmiecha się, żeby ma takie sobie. W sumie to nie jest aż taka piękna. Podnoszę się, tak jak nauczyła mnie matka, i podajemy sobie ręce.

- Miło mi.

- Tyle mi o tobie opowiadał, niedawno wróciłeś, tak?

- Wczoraj.

- Jak ci tam było?

- Dobrze, bardzo dobrze.

Siada, opanowana, i zakłada nogę na nogę. Nogi ma długie, bardzo piękne, za to buty lekko schodzone, trochę nawet za bardzo. Wyczytałem, że po butach widać, czy mamy do czynienia z osobą elegancką, czy też nie. Mnóstwo czytam, tylko jakoś nigdy nie mogę sobie przypomnieć co gdzie. Aa, już wiem, „Class”, w samolocie. Zamieścili wywiad z selekcjonerem. Mówił, że właśnie w zależności od tego, jakie kto ma buty, postanawia, kogo do lokalu wpuścić, a kogo nie. Ona by nie weszła.

- To ile czasu spędziłeś w Nowym Jorku?

- Dwa lata.

- Dużo. - I uśmiecha się, patrząc na mojego ojca.

- Ale minęły jakby nigdy nic, ani się obejrzałem.

Mam nadzieję, że nie będzie mnie dalej zarzucać pytaniami. Chyba się domyśla. I przestaje. Wyciąga z torebki paczkę papierosów. Diana, niebieskie. Chyba to także skonsternowałoby selekcjonera. Po czym zapala jednego kolorową zapalniczką Bica i po pierwszym machu rozgląda się wokół. Niczego tak naprawdę nie szuka, daje w ten sposób tylko coś do zrozumienia.

- Już, proszę, Monico. - Ojciec rzuca się w jej stronę z popielniczką, którą zgarnął w okamgnieniu z komody stojącej tuż za nim.

- Dziękuję. - Próbuje strzepnąć popiół do popielniczki. Ale za bardzo się pospieszyła. Na papierosie widnieje odbity kształt połowy jej ust, to ślad po czerwonej szmince, pełen rowków i załamania. Nienawidzę szminki na papierosie.

- No to ja już sobie pójdę, do widzenia.

- Cześć, Stef ano, miło mi było cię poznać. - Uśmiecha się trochę za szeroko. I patrzy, jak się oddalam.

- Poczekaj, odprowadzę cię.

Razem z ojcem zmierzam w stronę drzwi.

- Znamy się od kilku miesięcy. Wiesz, w gruncie rzeczy już od czterech lat nie spotykałem się z żadną kobietą. – I się śmieje. Za każdym razem, kiedy musi się uporać z czymś, co wydaje mu się trudne, to się śmieje. Co go tak, kurwa, śmieszy? A poza tym za bardzo się tłumaczy. Sprawia wrażenie, jakby samego siebie chciał przekonać o słuszności własnych wyborów. Tak czy inaczej, mam to gdzieś. Wprost nie mogę się doczekać, by już mieć to z głowy.

- Wiesz, jest taka fajna...

Coś mi tam o niej opowiada. Ale ja go nie słucham. Widzę, że nic tylko gada, gada i gada. Ale myślę o czymś innym. Przypominam sobie, że kiedy byłem mały, moja matka żartowała razem z nim u nas w jadalni. Potem się poderwała i zaczęła biec, a on w ślad za nią, korytarzem, gonił ją aż do samych drzwi sypialni, a ja biegłem za tatą i wykrzykiwałem: - Tak, złapmy ją, schwytajmy ją! - Przez chwilę mocowali się z drzwiami. Mama się śmiała i usiłowała zamknąć się w środku, a on z kolei próbował się do niej dostać. W końcu mama puściła drzwi i pobiegła w stronę łazienki. Ale on ją dogonił i rzucił na łóżko, tata się śmiał, bo mama zaczęła go łaskotać. Tamtego dnia ja też się śmiałem.

Później zjawił się Paolo. I wówczas mama z tatą wyprosili nas z pokoju. Powiedzieli, że muszą porozmawiać, ale zanosili się śmiechem, kiedy to mówili. W takim razie razem z Paolo przenieśliśmy się do nas do pokoju, żeby się pobawić. Wreszcie, trochę później oni z kolei przyszli do nas. Ale zagadywali do siebie po cichu, leniwie, ich twarze byty wyraźnie odprężone. Zapamiętałem ich skąpanych w poświacie, jakby bił od nich blask. Nawet z ich włosów, z ich oczu, z uśmiechu. I przyłączyli się do nas, razem się bawiliśmy, mama mnie przytulała, śmiała się i w kółko poprawiała mi włosy. Zgarniała mi je do tyłu, czasami trochę mnie przy tym szarpała, chciała, żeby mi było widać twarz. Drażniło mnie to, ale jej na to pozwalałem. Bo jej sprawiało to przyjemność. Bo była moją mamą.

- Sorry, tato, ale naprawdę muszę już lecieć... - przerywam mu, nie mając najmniejszego pojęcia, o czym mówi.

- Ale czy słyszałeś, co powiedziałem? Czy wszystko już jasne? O drugiej u Vanniego. Pan Romani czeka na ciebie w związku z programem. - To o tym mówił.

- Tak, jasne, zrozumiałem. Z panem Romani, o drugiej, u Vanniego. - Niecierpliwie się. - A teraz przepraszam, dobra?

I zbiegam szybko po schodach, nie zatrzymuję się, nie oglądam za siebie. Już po chwili siedzę na motorze. Nie mogę się doczekać, kiedy ruszę. Mam ochotę znaleźć się daleko stąd. Zmieniam biegi i dodaję gazu. Sam nie wiem dlaczego, ale dziś sprawia mi to jeszcze większą przyjemność niż zwykle.

Babi, co się z tobą stało? Jest taka piękna piosenka, która mówi o tym, że można się spotkać nawet w wielkim mieście. Już od tyłu dni je przemierzam. Wbrew własnej woli i tak jej szukam. Sam nie wiem, jak i kiedy ląduję pod jej domem. Po Fiore, portierze, nie ma ani śladu. Szlaban jest opuszczony. Tam, gdzie dawniej był garaż, teraz znajduje się nowy sklep z ubraniami. Nawet Lazzareschi zniknął. Jest za to owa restauracja, Jacini. Elegancka, cała utrzymana w bieli. To tak, jakby ktoś niemal na siłę chciał nakłonić nas do poprawy. Ale ja nic sobie z tego nie robię, jestem jaki jestem, siedzę na motorze w trochę poszarpanej kurtce Levi'sa, a silnik pracuje na zmniejszonych obrotach.

- Ej, czy ty aby nie jesteś Step?

Odwracam się i własnym oczom nie wierzę. A niech mnie, a to kto? Siedzę na motorze naprzeciwko kiosku, a tymczasem w moją stronę zmierza ta przedziwna „maskotka” o jasnobrązowych włosach, ze śmieszoną buźką i szelmowskim wyrazem twarzy, wzięła się pod boki. Jakby mi chciała pogrozić.

- No więc? To ty czy nie?

- Ale kim ty jesteś?

- Nazywam się Martina, mieszkam tu, na Stellari. Mógłbyś łaskawie odpowiedzieć?

- Dlaczego mnie o to pytasz?

- No, odpowiadaj... co, boisz się?

Niewiele brakuje, bym wybuchnął śmiechem, niezła jest. Ma góra jedenaście lat.

- Tak, to ja, Step.

- Naprawdę ty jesteś Step? Nie wierzę. Nie wierzę. Wprost nie mogę w to uwierzyć... Nie wierzę.

Patrzę na nią rozbawiony. Tak się składa, że to ja nie mogę w to uwierzyć.

- No i?

- Ty mnie pewnie nie pamiętasz, to było jakieś dwa lata temu, stałam sobie na schodach na placu z moimi dwiema przyjaciółkami i jadłam pizzę z sosem pomidorowym i ty akurat wchodziłeś i powiedziałeś do mnie: „Mmm, ta pizza wygląda bardzo apetycznie”, a ja nic ci na to nie odpowiedziałam, ale pomyślałam sobie tyle różnych rzeczy i chętnie sama dałabym ci jej spróbować!

- Pewnie byłem głodny...

- Nie, to nie ma nic do rzeczy.

- Nic już z tego nie rozumiem.

- Nie, chciałam ci powiedzieć, że dla mnie, to znaczy dla nas, to, co zrobiłeś, było niesamowite. Zawsze o tym gadamy z moimi przyjaciółkami, mówię ci, ten napis na moście przy corso Francia... Ja i ty... Trzy metry nad niebem. O matko, ciągle o tym myślimy. Jak ty na to wpadłeś? Ale naprawdę ty sam to zrobiłeś?

Nie wiem, co odpowiedzieć, ale to bez znaczenia. I tak bym nie zdążył.

- Bo dla mnie ten napis jest najpiękniejszy na świecie. Kiedy mama odwoziła mnie do szkoły, wpatrywałam się w niego. A wiesz, że później inni też

zaczęli pisać to samo. Znaczący, spapugowali po tobie! Ten sam napis jest już też w innych miejscach Rzymu, mówię ci, niesamowite, można się na niego natknąć w tylu innych miejscach! A latem tego roku, nad morzem, jedna moja przyjaciółka powiedziała mi, że widziała go nawet we własnym mieście!

- Prawdę powiedziawszy, nie miałem zamiaru lansować takiej mody.

Przez chwilę wyobrażam sobie, jakby to było, gdyby właśnie teraz moi przyjaciele, ci sprzed lat, natknęli się na mnie i zobaczyli, jak sterczę tutaj razem z tą niewydarzoną „maskotką”, która mnie zabawia... Choć nie przeczę, podoba mi się.

- A tam, tak czy inaczej, to niesamowite, wszystkie marzymy o chłopaku, który wykonałby dla nas taki napis. Ale wcale nie jest łatwo znaleźć takiego koleś!

Patrzy na mnie i się uśmiecha. Uważa, że powiedziała mi komplement.

- O właśnie, widzisz tego tam...

Pokazuje mi, sama starając się zbytnio nie rzucać w oczy, chłopaczka, który stoi w pobliżu wyjścia z osiedla. Siedzi sobie na łańcuchu wiszącym między dwoma słupkami. Buja się, odpychając nogami obutymi w wielkie trampki. Ma długie włosy, zebrane w coś w rodzaju kucyka, obwiązane na końcu kolorową wstążką. Jest trochę pucułowaty.

- Nazywa się Thomas, obłędnie mi się podoba i wie o tym. - Koleś ją dostrzeżę. Uśmiecha się z daleka. Unosi nieco brodę, jakby się chciał z nią przywitać. Wydaje się zaciekawiony tym, że Martina rozmawia ze starszym chłopakiem.

- Tak, według mnie wie o tym. Specjalnie przystawia się do moich przyjaciółek, i tak mnie wkurza. Jak tylko dorwę tego, kto mu to wygadał... Ale dopóki nie jestem na sto procent pewna... Ale czy takiemu jak on w ogóle przyszłoby do głowy, żeby zrobić taki piękny napis, jak ty, co?

Patrzę na Martinę i myślę o tym wszystkim, co ją jeszcze w życiu czeka. O tym, jak piękna jest pierwsza miłość, o tym, co będzie, o tym, co w głowie ci się nie mieści, by się mogło kiedyś skończyć.

- W najlepszym razie zrobi jakiś napis dla swojej drużyny. A oprócz tego wiesz co? Nie ma przebaczyć, muszę ci to opowiedzieć. Raz, moja matka i mój ojciec, którzy są już ze sobą całe wieki, a przynajmniej od czasu, kiedy mnie jeszcze na świecie nie było, no więc pewnego dnia kłócili się jak szaleni u nas w domu, ja siedziałam sobie w pokoju i wszystko świetnie słyszałam, w pewnym momencie matka powiedziała do ojca: „Z twojej strony to nie jest miłość, wykalkulowałeś to sobie, zobaczyłeś, że jestem porządną dziewczyną i że będę w sam raz... ale miłość nie na tym polega, rozumiesz? Miłość nie polega na kalkulowaniu, jakby się było w spożywczych. Miłość jest wtedy, kiedy robi się coś szalonego, tak jak ten napis na moście. Ja i ty... Trzy metry nad niebem. Właśnie, to jest miłość”. Tak mu powiedziała, kumasz? Piękne, co? Ej? Jak myślisz. Step, moja matka ma rację, prawda?

- Ten napis był dla jednej dziewczyny.

- Oj tak, wiem, jakżeby inaczej, dla Babi. Mieszka tutaj, na Stellari, w budynku D, znam ją, czasami ją widuję, wiem, że był dla niej, nie myśl sobie, ja wszystko wiem.

Zaczyna mnie wkurzać. Co ona tam może wiedzieć? Co takiego wie? Co mnie to obchodzi.

- No to dzięki, Martina, na mnie już czas.

- Zawsze byliśmy z przyjaciółkami zgodne, że z niej prawdziwa szczęściara. I na dodatek taki napis. W życiu nie zostawiłabym chłopaka, który namalował dla mnie taki napis. Mogę cię o coś zapytać?

Nie zdążam odpowiedzieć.

- Ale dlaczego właściwie się rozstaliście?

Przez chwilę nic nie mówię. Po czym odpalam motor. To jedyne, co mogę zrobić.

- Nie wiem. Gdybym sam znał odpowiedź, to przysięgam, że bym się nią z tobą podzielił.

Wygląda na wyraźnie zasmuconą. Ale już po chwili znów się rozpromienia.

- A tam, w każdym razie, jeśli znów będziesz tędy przejeżdżał, to może zjemy razem po kawałku tej pizzy z pomidorowym sosem, co?

Patrzę na nią i uśmiecham się do mej. Ja i Martina, lat jedenaście, razem raczymy się pizzą. Moi przyjaciele by oszaleli. Ale nie mówię jej tego. Tak by przynajmniej ona, ta jedenastolatka, mogła sobie jeszcze pomarzyć.

- Pewnie, Martina, jeśli będę tędy przejeżdżał.

15

Paolo się nie pojawił. Może nie wraca do domu na obiad. Wszędzie panuje nienaganny porządek. Przesadny wręcz ład. Chowam rzeczy do torby. Podkolanówki, koszulkę, spodenki, bluzę i slipki. Slipki. Pollo zawsze się ze mnie nabijał, że wszystko zdrabniam. - Zróbmy sobie rundkę po mieście. Nie napiłbyś się kawki? Kluseczki by się zjadło... - Musiałem się tego nauczyć od matki. Raz nawet przyznałem się do tego Pollo. Na co on zaczął się śmiać: - Z ciebie to jest dopiero kobieta - mówił mi - w głębi duszy jesteś kobietą. - Mama też się śmiała, kiedy jej to powiedziałem. Zamykam torbę na suwak. Brakuje mi ciebie. Pollo. Brakuje mi mojego najlepszego przyjaciela. I nie mogę zrobić nic, żeby go tutaj ściągnąć z powrotem. Nie mogę się z nim spotkać. Biorę torbę i wychodzę. Ja pierdołę, nie chcę o tym myśleć. W oczekiwaniu na windę przeglądam się w lustrze. Tak. Nie chcę o tym myśleć. Zaczynam podśpiewywać jakąś amerykańską piosenkę. Słów nie pamiętam. Jedyń, jakiej słuchałem w kółko w Nowym Jorku. Stary przebój Bruce'a. Kurwa, fajnie jest tak sobie pośpiewać. A ja chcę, żeby mi było fajnie. Wsiadam z windy z torbą

przerzuconą przez ramię. Nuć: *Needs a local hero, somebody with the right style...* Tak, mniej więcej tak to szło. Nieważne. Pollo i tak już nie ma. Bohater z sąsiedztwa. *Lookin' for a local hero, someone with the right style...* Tak bardzo chciałbym z nim choć przez chwilę porozmawiać, ale to niemożliwe. Za to moja matka gdzieś tam sobie mieszka, ale nie chce mi się z nią gadać. Znów zacznym nucić... *Lookin' for a local hero*. Ni chuja nie pamiętam z tej piosenki.

Flex Appeal, moja siłownia, nasza siłownia. Nasza, naszych przyjaciół. Zsiadam z motocykla. Jestem wzruszony. Co takiego się zmieniło? Czy wstawili jakieś nowe urządzenia? A tak w ogóle to kogo tam zastanę? Zatrzymuję się na chwilę na placyku przed wejściem. Zaglądam przez zaparowaną od wysiłku i potu szybę.

W dużej sali grupa dziewczyn tańczy w rytm jakiejś amerykańskiej piosenki. Wśród nich jest zaledwie dwóch mężczyzn, którzy rozpaczliwie usiłują nadażyć za instruktorem bodywork - Jimem. Tak przynajmniej wynika z kartki przyklejonej w wejściu, która informuje o specjalnych zajęciach, czy jak to się tam nazywa. Prawie wszystkie mają na sobie markowe body, kostiumy, topy i buty. Wyglądają jak na wybiegu. Arabesque, Capezio, Gamba, Freddy, Magnum, Paul, Sansha, So Dańca, Venice Beach albo Dimensione Danza. Tak jakby chowając się za jakąś marką, miały same lepiej tańczyć. Jak to, kurwa, jest, że tych dwóch facetów jeszcze nie spaliło się ze wstydu, oddając się tym swoim pożałowania godnym popisom gimnastycznym. I to na dodatek pośród tych wszystkich kobiet. Obcisłe i kolorowe body, perfekcyjny makijaż, czarne legginsy, spodenki albo przylegające dresy... a tuż obok dwóch facetów w krótkich gaciach. Jeden łysy, drugi prawie. Mają na sobie szerokie koszulki, po to, by ukryć brzuch. Podskakują, wykonując nieskoordynowane ruchy, zdyszani rozpaczliwie usiłują złapać rytm. Ale bezskutecznie. Najwyraźniej już w dzieciństwie ktoś musiał go dobrze przed nimi schować. Słowem, są politowania godni. Idę dalej i wchodzę do środka. W recepcji siedzi chłopak z długimi ufarbowanymi włosami, ma opaloną twarz. Ścisłym głosem rozmawia, przypuszczalnie ze swoją kobietą. Dostrzega mnie i dalej gada, po chwili wznosi oczy do góry i zaczyna przeproszać jakąś Fede, z którą wisi na telefonie.

- Słucham.

- Chciałbym wyrobić sobie kartę. Na cały miesiąc. Rozglądam się wokół, potem patrzę na niego.

- A co z Marco Tullio, nie ma go?

- Nie. Jest na mieście. Zastaniesz go jutro rano.

- Okay, w takim razie zapiszę się jutro, jestem jego przyjacielem.

- Jak wolisz...

Specjalnie się nie wysiła, skądinąd pieniądze nie są jego. Idę do szatni. Dwóch chłopaków właśnie się przebiera, zaraz mają trening. Śmieją się i wygłupiają. Gadają o wszystkim i o niczym, i o jakiejś dziewczynie. - No nic, byliśmy na kolacji w Montecarlo, tej pizzerii. Stary, nie uwierzysz... Co dwie

minuty brzęczała jej komórka. Wydzwaniał do niej koleś, który jest teraz w wojsku. A ona na luzie wciskała mu kit.

- No co ty, przysięgasz?!

- Przysięgam.

Przebieram się i jednocześnie ich słucham, ale i tak już z góry wiem, jak to się skończy: - Mówiła: „Ależ nie, skąd, jestem na kolacji z Dorą. No weź, pamiętasz przecież, to ta, która ma własny zakład, fryzjerka”...

- Ale jaja, a on co?

- A co miał zrobić? Uwierzył jej. W końcu poszliśmy do niej do domu i akurat kiedy robiła mi laskę, znów zadzwoniła jej komórka.

- No nie! I co zrobiłeś?

- Ja? Odebrałem, a co miałem zrobić?

- I co mu powiedziałeś?

- Żałuję, ale akurat teraz naprawdę nie może odebrać, właśnie dyskutuje zawzięcie z Dorą.

- No nie! Zajebicie! - I zanoszą się śmiechem.

- Od tamtej chwili Dora to przezwisko dla mojego ptaka. Proszę, oto on...

- Wyciąga go na wierzch i pokazuje przyjacielowi. - Cześć, Dora, przywitaj się z Mariem!

Wyją ze śmiechu, a koleś z „Dorą” w dłoni pląsa na bosaka po mokrej posadzce. W końcu traci równowagę i upada na ziemię. Jego kumpel ryczy jeszcze głośniejsze, a ja tymczasem idę potrenować.

- Przypilnuj mi kluczy, kładę ci je tutaj. - Wkładam klucze, którymi zamknąłem szafkę, do pojemnika na długopisy u niego na biurku. Koleś w recepcji kiwa głową, potakując i dalej gada przez komórkę. Po chwili zmienia zdanie. Zasłania ręką komórkę i postanawia mi coś powiedzieć.

- Ej, szefie, dzisiaj możesz sobie potrenować, ale jutro musisz postarać się o kartę.

Patrzy na mnie cały zadowolony, po twarzy widać, że frajer zgrywa twardziela. Z debilnym uśmieszkiem wraca do przerwanej rozmowy.

Odwraca się do mnie plecami. Rozpiera go duma. Śmieje się. Docierają do mnie jego ostatnie słowa:

- Wyobrażasz to sobie, Fede? Dopiero co przyszedł, a już się czuje jak u siebie w domu.

Nie udaje mu się dokończyć. Chwytam go za włosy. Całą garść. Niemal podrywam go z krzesła. Staje na baczność z głową lekko przekrzywioną w moją stronę. Kiedy ciągnie się za włosy, szarpiąc wszystkie naraz, to ból jest nie do wytrzymania. Wiem o tym. Sam dobrze to pamiętam. Ale tym razem chodzi o jego włosy.

- Rozłącz się, ćwoku. - Mamrocze:

- Oddzwonię do ciebie, co, sorry. - I przerywa połączenie.

- To do rzeczy, po pierwsze to *jest* mój dom. A poza tym... - Ciągnę go jeszcze mocniej za pióra.

- Ała, ała, to boli.

- Chciałbym tylko, żebyś wysłuchał mnie uważnie: już nigdy więcej nie mów do mnie *szefie*. Zrozumiałeś?

Stara się skinąć na znak, że zrozumiał, ale ledwo ledwo udaje mu się ruszyć głową.

- Nie słyszałem... Zrozumiałeś?

- Ała, ała... Tak.

- Nie słyszałem.

- Tak. - Prawie krzyczy z bólu. W oczach ma łzy. Niemal robi mi się go szkoda. Puszczam go, lekko przy tym popychając. Pada na krzesło. Od razu zaczyna masować sobie głowę.

- Jak się nazywasz?

- Alessio.

- No już, uśmiechnij się. - Raz i drugi klepię go lekko w policzek. - Możesz sobie do niej teraz zadzwonić, jeśli ci się chce, a co tam, powiedz jej nawet, że mi nie przepuściłeś, że przepędziłeś mnie z siłowni, że sprąłeś mnie na kwaśne jabłko, mów, co ci się tylko żywnie podoba, ale... zapamiętaj sobie raz na zawsze. Już nigdy więcej nie mów do mnie *szefie*.

I zaraz zza pleców dobiega mnie głos.

- Tym bardziej, że sam powinieneś wiedzieć, jak się do niego zwracać. On się nazywa Step. - Odwracam się zaskoczony, lekko się wręcz asekurując. Nie spodziewałem się usłyszeć swoje imię. Nie widziałem tu żadnego spośród moich przyjaciół, nikogo, kto mógłby wiedzieć, jak się nazywam. Ale najwyraźniej któryś tu jest. On. Szczupły, wręcz chudy. Wysoki, długie ręce, fryzura jakich wiele, brwi raczej gęste, zrastają mu się pośrodku tuż nad długim nosem, który sterczy nad wąskimi i szerokimi ustami. Być może są takie szerokie dlatego, że się uśmiecha. Wygląda jak Francuz. Jest pewny siebie, spokojny, trzyma ręce w kieszeniach i patrzy rozbawiony. Ma na sobie długie spodnie od dresu i poszarpaną bluzę w kolorze spranego różu. Do tego jasna kurtkę Levi'sa. Nie umiem go zidentyfikować.

- Nie przypominasz mnie sobie, prawda? - Nie, nie przypominam. - Przyjrzyj mi się dobrze, chyba nieco wyrosłem. - Uważniej mu się przyglądam. Ma szramę na czole, ale zasłaniają mu ją włosy, nie wygląda to poważnie. Dostrzega, w co się tak wpatruję. - To przez wypadek samochodowy, no co ty, sam nawet przyjechałeś odwiedzić mnie w szpitalu.

Kurwa, jakże mogłem zapomnieć!

- Guido Balestri! Kopę lat... Razem byliśmy w gimnazjum.

- Tak, i przez dwa lata chodziliśmy do jednego liceum. Potem rzuciłem szkołę.

- Oblali cię? Nie wszystko pamiętam.

- Nie, wyjechałem razem z ojcem.

Ach, tak, rzeczywiście. Jakżeby inaczej! Balestri. Jego ojciec jest ważną figurą, sam nie bardzo wiem, czym się zajmuje, wciąż robi jakieś interesy, spółki akcyjne i takie tam. Zawsze tylko jeździł po całym świecie.

- No i... jak się masz?

- Dobrze, a ty?

- Ja też dobrze. Fajnie znów cię spotkać. Tyle o tobie słyszałem, Step, tu, w Vigna Gara, jesteś postacią kultową.

- No nie, ja bym tego nie powiedział.

Spoglądam na Alessio. Porządkuje papiery i udaje, że nie słyszy. Nie potrafi się powstrzymać i przejeżdża sobie ręką po włosach. Guido śmieje się rozbawiony.

- A co to ma do rzeczy, jesteś postacią kultową dla tych, którzy znają nasze przygody. Wciąż mówi się o tych legendarnych bijatykach... Sam pamiętam, jak pobiłeś się z Toscano w lasku, za Villa Flaminia.

- Byliśmy wtedy dziećmiakami...

Guido wygląda na lekko rozczarowanego.

- Wiem, że byłeś w Nowym Jorku.

- Tak, siedziałem tam dwa lata.

- Mamy się spotkać dziś wieczorem. W szerszym gronie, idziemy na pizzę. Może byś się wybrał razem z nami?

- A kto tam będzie?

- Trochę ludzi z Villa Flaminia. Musisz ich pamiętać, no wiesz... Pardini, Blasco, Manetta, Zurlì, Bardato, całe to towarzystwo. Niektórzy z dziewczynami, inni bez, rozumiesz. No weź, chodź, kurwa, wszyscy się ucieszą, że cię znów zobaczą. Wybieramy się do Bracciano, do Acqua delie donne.

- Nigdy tam nie byłem.

- To genialne miejsce, zwłaszcza jeśli masz kobietę, weź ją ze sobą. Miejsce jest obłędne. A jak się już najecie, to potem... będzie z góry... wszystko pójdzie gładko jak po maśle. Deser masz gwarantowany... tyle że u niej w domu. Udaje mu się mnie rozśmieszyć. - Na którą jesteście umówieni?

- Koło dziewiątej.

- Przyjdę coś zjeść, ale deser sobie daruję...

- Czyli bez kobiety. - Śmieje się jakoś dziwnie. Kiedyś wydawał mi się przytomniejszy. Ma nadłamany jeden z przednich zębów. Nigdy nie był zbyt wylewny. Teraz lepiej go pamiętam. Nazywaliśmy go Dętką. Wszystko odbywało się zgodnie ze stałym schematem. Biegał jak skończona łamaga. Kiedy trenowaliśmy w szkole na bieżni w Villa Flaminia, ścigał się w ostatniej trójce. „Świnki”, takich nazywał Cerrone, nasz psor od wychowania fizycznego. Ten psor też był ostro pogięty. Kiedy ćwiczyliśmy, brał się za lekturę działu sportowego, a żeby mieć nas na oku, robił w gazecie dwie dziury pośrodku. Tak jakby myślał, że tego nie widzimy. Ale jeśli chodzi o trzy świnki, to nie miał sobie równych. Docierali do celu we trzech: on, Biello i Zakochany, trupio bladzi, z wywalonymi językami. - Świnki mlecznobiałe! - wrzeszczał psor. -

Powinniśmy nadzieć was na rożen i troszkę przyrumienić. - I śmiał się jak szalony. Ale akurat tego Balestriemu nie przypominam. Chyba lepiej nie. W końcu, zaprosił mnie przecież na kolację. Co więcej, specjalnie mi o tym przypomina.

- Ej, w takim razie do zobaczenia o dziewiątej w Acqua delie donnę, co? Z kobietą albo i nie.

- Dobra.

Żegna się ze mną i znika. Po co w ogóle przychodzi na siłownię? Nie ma ani kilograma masy, nie przybiera na wadze, jest chudy jak moje najwątłejsze wspomnienie. Chuj z tym, jego sprawa. Za to jest fajny.

Właśnie. Wiedziałam! Wiedziałam, że Step przychodzi trenować na siłownię. Byłam tego pewna. Co więcej, byłam pewna, że przychodzi właśnie na tę siłownię! Ale ze mnie czadowa dziewczyna! A z niego straszna konserwa. Straszna. Mam nadzieję, że choć pod pewnymi względami się zmienił!!! No cóż, czas już na mnie. Nie widział mnie. Za to ja usłyszałam to, po co tu przyszedłam.

Od razu zabieram się do ćwiczenia na urządzeniach, robię szybką rozgrzewkę, powtarzam całe serie, jedna po drugiej, na rozluźnienie mięśni. Ustawiam sobie małe obciążenie, najmniejsze możliwe. Widzę, jak dziewczyna w pomarańczowej czapeczce nasuniętej na głowę wychodzi w pośpiechu. Nie ma co, na tym świecie aż roi się od dziwnych ludzi. Nieopodal dwie inne dziewczyny rozmawiają między sobą i z czegoś się śmieją. Opowiadają sobie pewnie, co takiego wydarzyło się poprzedniego wieczoru albo też to, co dopiero ma się stać. Jedna z nich ma lekki makijaż, balayage na krótkich włosach, które sobie wciąż poprawia. Ma świetne ciało i stoi w rozkroku świadoma swoich walorów. Ta druga jest nieco bardziej pulchna i nie taka wysoka, ma włosy do ramion, chyba ciemniejsze niż zazwyczaj, bo przetłuszczone. Trzyma ręce na biodrach, jest w szarym, lekko poplamionym dresie, spod którego wystaje jej kawałek brzucha.

- Do roboty! Tu na siłownię przychodzi się do roboty... - Mijam je uśmiechnięty. Ta niska w odpowiedzi wykrzywia twarz w grymasie. Ta druga jest bardziej wyluzowana: - Właśnie sobie odpoczywamy.

- Po czym?

- Po wyciskaniu ciężarów.

- Myślałem, że po czymś przyjemniejszym.

- Na to przyjdzie czas później...

- Nie wątpię. - Teraz śmieją się obydwie. Szczerze powiedziawszy, to co do tej drugiej mam pewne zastrzeżenia. Ale kobieta tak czy owak zawsze postawi na swoim. Nie ma na to rady, powinniśmy być bardziej jednomyślni, przynajmniej w niektórych przypadkach. Przyglądam jej się uważniej. Mówi coś do przyjaciółki, patrząc na mnie znacząco. Ta druga też na mnie patrzy. Widzę

jej odbicie w lustrze, stoi uśmiechnięta. Ładnie jej w krótkich włosach, ma małe piersi, których doskonały kształt podkreśla jeszcze opinające body. Odznaczają jej się sutki. Wie o tym, ale nic sobie z tego nie robi. Uśmiecham się i myślę o moich mięśniach brzucha. I od razu robię sto brzusków za jednym zamachem. Skończyłem, ale tych dwóch dziewczyn już nie ma. Pewnie poszły pod prysznic. Kto wie, czy je rozpoznam, kiedy się na nie natknę. To niesamowite, jak dziewczyna, która dopiero co wyszła z przebieralni, może się różnić od tej, którą zaledwie przed chwilą widziałeś z hantlami w rękach. Ale jedno jest pewne, każda wygląda lepiej. W najgorszym wypadku kończy się to tak, że wyobrażałeś sobie, iż laska jest elegancka, a ta wychodzi, i co widzisz? Ma na sobie kozaki ze złotymi sprzączkami i inne temu podobne. Ale tak czy inaczej, widać różnicę. Makijaż potrafi zdziałać cuda. Właśnie dlatego udaje im się postawić na swoim. Druga seria stu brzusków. Patrzę w sufit i ani na chwilę nie przestaję ćwiczyć, raz i dwa, z rękami za głową, łokcie równo, naprężone, szeroko rozstawione. Raz i dwa. Dociskam jeszcze bardziej. Już dłużej nie dam rady, ból daje mi się we znaki, myślę o moim ojcu, o jego nowej kobiecie. Ćwiczę dalej, bez przerwy. 88, 89,90. Myślę o mojej matce. 91,92. Od kiedy to się z nią nie widziałem. 94, 95. Muszę do niej zadzwonić, powinienem do niej zadzwonić. 98,99,100. Wystarczy.

- Własnym oczom nie wierzę. Step! - Odwracam się, mięśnie brzucha tak mnie boją, że praktycznie nie jestem w stanie wykrztusić z siebie słowa. Przez chwilę staje mi przed oczami film Troisiego, kiedy to on, byle tylko zobaczyć kobietę, która ogromnie mu się podoba, biega wokół budynku i gdy wreszcie ją spotyka, brakuje mu tchu, żeby się do niej odezwać. Troisi to był gość.

- Co ty tu robisz? Aha, wróciłeś... Słyszałem, że wyjechałeś do Nowego Jorku!

Znowu? Oj, nie ma rady. Nie da się ukryć, że nie udało mi się pozostać incognito.

Wreszcie doszedłem do siebie i z łatwością udaje mi się go rozpoznać.

- Cześć, Żeglarz, jak się masz?

- Wciąż pamiętasz tę ksywę. Wiesz, że już nikt tutaj tak się do mnie nie zwraca?

- Czy to znaczy, że się zmieniłeś?

- Ale że niby w jakim sensie? Sam nigdy tak na dobrą sprawę nie rozumiałem, dlaczego wszyscy nazywaliście mnie Żeglarz, przecież ja nawet nie przepadam za łódkami, właściwie prawie wcale na nich nie pływałem.

- Naprawdę nie masz pojęcia, skąd się wzięła twoja ksywa?

- Nie, przysięgam.

Patrzę na niego. Ma trochę za szerokie zęby, tak samo jak wtedy poszarpaną bluzę, krótkie seledynowe spodenki, spuszczone, postrzępione podkolanówki, w sam raz pasują mu do adidasów Stansmith, które wyglądają, jakby lada moment miały się rozlecieć. Cały Żeglarz.

- No i co? Kłamię.

- Nazywaliśmy cię Żeglarz, bo tak bardzo uwielbiałeś morze.

- A, właśnie! Nareszcie zrozumiałem, to prawda. Faktycznie mi się podoba.

Teraz jest zadowolony, cały dumny ze swojej ksywy. Wygląda, jakby przeglądał się w lustrze, tak bardzo czuje się dowartościowany. W rzeczywistości zawsze był bez grosza przy duszy, trzymał się nas, byle tylko zjeść sobie pizzę i coś wysepić. Dlatego wszyscy mówili, że „odpływał na cudzy koszt”. Biedny Żeglarz. Raz nawet, niedaleko Aniene, tam gdzie są kręgle, jedna kurewka spuściła mu tęgi łomot, bo już po tym, jak wykonała dla niego, sam dobrze nie wiem jaki numer, ten jeszcze domagał się od niej zniżki. Miał przy sobie zaledwie 10 euro, a ta dogodziła mu za co najmniej 20.

- O rany, strasznie się cieszę, że cię widzę.

Patrzy na mnie cały zadowolony, nie widać, żeby udawał.

- Spotkałeś już kogoś?

- Nie, przyjechałem dopiero wczoraj. Nikogo jeszcze tu na siłowni nie widziałem.

- Ale wiesz, teraz trenują w różnych miejscach. Co poniektórzy poszli do pracy, inni wyjechali za granicę. O właśnie, patrz, kto idzie.

Za oknem widać, jak ciemnoniebieska torba wędruje sobie, unoszona na plecach mężczyzny z krótkimi włosami.

- Nie poznaję go. - Uważnij mu się przyglądam. Nic. Żeglarz próbuje jakoś mi pomóc.

- No weź, to przecież Murzyn. Nie pamiętasz go?

- Aha, już wiem, tak, ale znałem go tylko z widzenia.

Koleś wchodzi i wita się z Żeglarzem. - Cześć, Andre. Co robisz, trenujesz?

Żeglarz z niedowierzaniem wskazuje na mnie cały dumny. - Ty, widziałeś z kim tu jestem? To Step.

Murzyn wpatruje się we mnie przez chwilę. I zaraz się uśmiecha. Z twarzy wygląda sympatycznie, jedną kość policzkową ma lekko zdeformowaną, rusza w moją stronę. - No jasne. Step... Oczywiście, jakżeby inaczej. Nie widzieliśmy się kopę lat.

Teraz go poznaję. Ma krótkie włosy. Wcześniej miał je zawsze trochę dłuższe, natłuszczone, zawsze w niebieskiej kurtce przesiadywał na Euclide w Vigna Stelluti.

- Nie wiedziałem, że masz taką ksywę. Murzyn. Pamiętam, że nazywałeś się Antonio.

- Tak, ale od czasu tej historii z Tysonem mówi się, że jestem do niego podobny.

Ma dosyć masywny kark, skórę z rozszerzonymi porami i lekko zdeformowany nos, do tego krótkie włosy a la Tyson. Oczy ma trochę wyłupiaste, a górną wargę wydatniejszą niż normalnie.

- Bo ja wiem, aż tak to znów podobny nie jesteś.

- Ale nie fizycznie! - Śmieje się ordynarnie i zaraz zaczyna się krztusić. - To przez tę rozróbę! Bo jak inni też wybrałem się na wybory miss do Terracina i tam chciałem wyrwać taką jedną, która też startowała. Kumasz? To dlatego mówią na mnie Tyson. Ta cipa zaprosiła mnie do pokoju na górę, ja chciałem ją sobie wydymać, a ta myślała, że ją będę żartami zabawiać. Na dodatek się obraziła i za nic nie chciała się zgodzić. Ale wtedy ja raz-dwa jej pokazałem, że jedyny problem, jaki ma, to w tej swojej łepetynie, i to od tamtego czasu nazywają mnie Murzyn. - Obydwaj, on i Żeglarz, śmieją się jak szaleni.

- No nie, słuchaj, pisali o tym we wszystkich dziennikach w Borgo Latino, tam niedaleko jak jest Latina. Tyson z Pontiny, kultowa postać. A na sam koniec i tak się okazało, że to ja miałem rację, bo dogodziłem jej jak nigdy.

Żeglarz dorzuca jeszcze od siebie: - Mejo de Tyson. - I nie przestają się śmiać i krztusić na przemian.

- A propos, wiem, że byłeś w Ameryce, w Nowym Jorku, o ile się nie mylę.

I znów to samo, od początku.

- Tak, wyjechałem. Siedziałem tam dwa lata, zrobiłem kurs i wczoraj wróciłem. A teraz mam ochotę potrenować. - Staram się skończyć jak najszybciej.

- Ej, a może masz ochotę machnąć parę razy? Wszyscy mi mówili, że w boksowaniu byłeś dobry.

Murzyn uśmiecha się na myśl o swojej propozycji. Jest pewny siebie i ciągnie dalej:

- No tak, chyba że nie trenujesz już od dawna, jeśli ci się nie chce, to nie ma sprawy. Tyle że wszyscy naokoło nic tylko gadali o „żywej legendzie”, „kultowej postaci” i masz ci, nareszcie mam go na wyciągnięcie ręki...

Murzyn śmieje się rozbawiony, aż nazbyt pewny siebie. Musi należeć do tych, co trenują dzień w dzień, i to przynajmniej po półtorej godziny.

- No nie, coś ty. Chętnie.

- W takim razie od razu idę się przebrać.

Dostrzegam w jego lekko przymkniętych oczach jakiś inny błysk, wzrok ma przytomniejszy, wyostrozony.

Za to Żeglarz nic się nie zmienił, taki sam idiota jak zawsze. - O rany, ale czad ta walka. Pić mi się chce, ale jak. Te, Murzyn, wziąłbym na ciebie jeden Gatorade, bo kompletnie jestem dzisiaj splukany, co?

Murzyn potakuje skinieniem głowy i idzie prosto do szatni. Żeglarz dziarskim krokiem zmierza do baru, potwierdzając w ten sposób zasadność swojej ksywki. Ja natomiast zostaję sam. Alessio z recepcji wpatruje się we mnie. Zasysa sobie chupa-chupsa i patrzy na mnie jakoś inaczej 100 niż poprzednio. Spuszcza wzrok i pogrąża się w lekturze „Parioli Pocket”, który rozłożył sobie na blacie. Przewraca dwie strony, po czym znów na mnie patrzy i się uśmiecha. - Sorry, Step, za to, co wcześniej. Nie znałem cię. Nie wiedziałem, kim jesteś.

- Bo co, kim takim, kurwa, jestem?

Na chwilę dał się zbić z tropu i próbuje na poczekaniu wymyślić jakąś odpowiedź. Ale nie udaje mu się nic wykombinować. Po chwili jednak coś przychodzi mu do głowy i zbiera się na odwagę.

- No, jesteś kimś, kogo się zna.

- Kimś, kogo się zna... - Namysłam się przez chwilę. - Tak, a to ci dopiero ciekawa sprawa. Świetnie. Sam widzisz, czasami to naprawdę... Zupełnie o tym nie pomyślałem.

Uśmiecha się, szczęśliwy, kompletnie nieświadomy, że robię sobie z niego jaja.

- Słuchaj...

- Jasne, Step, mów.

- Wiesz może, czy nie ma gdzieś czegoś do boksowania?

- No pewnie.

Wychodzi z tyłu recepcji i zmierza szybkim krokiem do ławy przy wejściu. Podnosi siedzenie.

- Tu w środku są rzeczy Marco Tullio. Zawsze powtarza, że nie chce, by ktokolwiek ich używał.

- Dzięki.

Patrzy na mnie cały rozentuzjasmowany. Siadam na ławie i zaczynam zakładać rękawice. Nie patrzę na niego, ale czuję na sobie jego spojrzenie.

- Chcesz, żebym ci je zasznurował?

Patrzę na niego przez moment. - Okay.

Podbiega do mnie błyskawicznie. Chwyta ostrożnie za sznurówki, owija je wokół rękawic, robi to bardzo dokładnie. Teraz już się nie śmieje, zrobił się poważny. Lekko zagryza wargi, a tymczasem jego długie włosy raz po raz spadają mu na oczy. Drugą ręką odgarnia je sobie do tyłu i ani na chwilę nie odrywa się od pracy. Powoli, ostrożnie, zaciskając bardzo dokładnie. - Zrobione! - Uśmiecha się. Wstaję. Uderzam rękawicami jedną o drugą.

- Dobrze są, nie?

Chce się upewnić, że dobrze się spisał.

- Świetne!

Z damskiej przebieralni wychodzą te dwie dziewczyny, które były tu wcześniej. Ta wysoka ma czarne wąskie spodnie do kostek, delikatny makijaż i szminkę, która sprawia, że jej usta wyglądają na łagodne i przytulne. Do tego biała koszula z małymi perłowymi guziczkami, przewieszona przez ramię torba, a wszystko to pozostaje w harmonii z jej eleganckim chodem. Ta niska z kolei jest ubrana w przykrótką jak na swoje nogi szkocką spódnicę w niebiesko-brązową kratę i czarne mokasyny, które kłóca się z jej błękitną koszulą. Makijaż na jej twarzy sprawia wrażenie, jakby wynikał z przekonania, że wiara czyni cuda. Ale przynajmniej dzisiaj ekipa z Lourdes musiała wziąć sobie wolne. Podchodzą do recepcji. Alessio okrąża pulpit i podaje im karnety.

Ta wysoka podchodzi do mnie. - Cześć, mam na imię Alice.

- Stefano. - Wyciągam w jej stronę rękawicę, jakbym się chciał z nią przywitać.

Ona ściska mi ją roześmiana. - A to moja przyjaciółka Antonella.

- Cześć.

- Co robisz, walczysz?

- Tak, próbuję.

- Masz coś przeciwko, żebyśmy chwilę zostały i popatrzyły na spotkanie?

- Niby dlaczego miałbym mieć coś przeciwko. No, a jeśli na dodatek będziecie mi kibicować, to tym bardziej zostańcie.

Śmieją się. - Dobra, stawiamy na ciebie. Jak jest nagroda?

W tej samej chwili wychodzi Murzyn. Ma na sobie niebieskie spodenki, miękkie i długie, takie same jak prawdziwy bokser. Jest już w rękawicach. Ma kilka śladów na ramionach i o dwa albo trzy tatuaże za dużo. Jest dobrze zbudowany. Nie zapamiętałem go takim.

Alice podchodzi do mnie. - To ty walczysz z Murzynem?

Czyli, że on też jest znany.

- Tak, a bo co?

- Coś mi się zdaje, że popełniłyśmy błąd, stawiając na ciebie. Przyglądają mi się, wyglądają na szczerze zatroskane.

Staram się je uspokoić. - Dobra, nie traćcie ducha, najwyżej szybko będzie po wszystkim.

Murzyn nam przerywa. - To co... wchodzimy? Spiesz mu się.

- No pewnie. Ty pierwszy.

Idzie na salę gimnastyczną. Dwie dziewczyny robią brzuszki na matach z niebieskiej gumy. Niecierpliwia się, widząc nas, jak wkraczamy.

- O nie, tylko mi nie mówcie, że mamy się zbierać.

Staram się obrócić sprawę w żart. - No, chyba że wy też chcecie z nami powalczyć.

Murzyn nie ma za grosz poczucia humoru. - No, już was nie ma. - Znikają w okamgnieniu. - Trzy bite rundy, co ty na to? - Zwraca się do mnie przesadnie zawziętym tonem.

- Jak na lato, dobra. Zróbmy sobie porządny trening. - Murzyn uśmiecha się nieprzyjemnie.

- Okay, jak sobie życzysz. - Alice stoi przy oknie. - Będziesz nam mierzyć czas?

Uśmiecha się przytakując. - Tak, ale na czym to polega?

- To proste. Co półtorej minuty krzyczysz „Stop.”.

- Dobra. - Patrzy na zegarek gotowa, by dać znak startu. Ja tymczasem podskakuję w miejscu. I rozgrzewam ramiona. Przychodzi mi coś do głowy. Antonella, ta niska, po upływie półtorej minuty mogłaby wkraczać z planszą i wypisanym na niej numerem rundy, i robić rundkę po sali gimnastycznej, kręcąc tyłeczkiem tak jak na najlepszych filmach amerykańskich. Ale to nie Ameryka. Ani nie film. Jesteśmy na siłowni. Murzyn też zaczyna podskakiwać,

nieustannie uderza rękawicami jedną o drugą, wpatruje się we mnie. Alice unosi twarz znad zegarka. Jej spojrzenie krzyżuje się z moim. Jest trochę zmartwiona. W jakiś sposób czuje się odpowiedzialna. Ale w końcu postanawia, że dłużej czekać już nie może. Tak że prawie krzyczy, dając znak, żebyśmy zaczęli.

Murzyn rzuca się na mnie od razu. Śmieję się w duchu. Jedyłą rzeczą, jakiej nigdy nie zarzuciłem w czasie całego mojego dwuletniego pobytu w Ameryce, było właśnie uczęszczanie na siłownię. I trenowanie boksu, gwoli ścisłości. Tyle że tam aż roi się od autentycznych kolorowych, a każdy z nich jest szybki i silny. Ciężko było stawić im czoło. I to jeszcze jak. Ale wkładałem w to całe moje serce. I nie było tak źle. Co ja najlepszego wyprawiam? Nie koncentruję się jak należy... W samą porę.

Murzyn wymierza mi dwa silne ciosy w twarz. Robię unik. I uchylam się, kiedy próbuje założyć mi haka. Po czym łapię oddech i oddalam się, podskakując. Padają kolejne dwa ciosy, których udaje mi się uniknąć, a ja zaczynam skakać wokół niego. Murzyn z powodzeniem robi zmyłkę i uderza mnie nisko, w sam żołądek. Aż mną rzuca, zwijam się skulony. Kurwa, tchu mi brakuje. Wydaję z siebie dźwięk, który przypomina rżenie, a sala zaczyna wirować mi przed oczami. Tak, trafił mnie bez pudła. Ledwo zdołałem się podnieść, a tu już dostrzegam, jak z prawej spada na mnie jego rękawica. Instyktownie robię kolejny unik. Ale dosięga mnie i tak, udaje mu się mnie drasnąć, rozwała mi dolną wargę. Kurwa. Kurwa. Obeszłoby się bez tego. Co za skurwysyn. Patrzę na niego. Szczerzy się do mnie.

- No i jak tam, Step, bohaterze?

Z tym chujem nie ma żartów. Zaczynam podskakiwać. - Teraz już lepiej, dzięki.

Odzyskuję siły. Wraca mi przytomność umysłu. Krążę wokół niego. Przy oknie zgromadził się tłumek gapiów. Wśród nich rozpoznaję Alice i jej przyjaciółkę Antonellę, Alessio, Żeglarza i kogoś jeszcze. Przestaję się rozglądać i cała moja uwaga koncentruje się na nim. Teraz moja kolej. Zatrzymuję się. Murzyn podskakuje i wychodzi do przodu, wyprowadza cios z lewej i zbiera się, by dosięgnąć mnie prawą. Przepuszczam go bokiem, robiąc unik w prawo, po czym swoją lewą zadaję mu cios dokładnie nad łukiem brwiowym. Wracam do poprzedniej pozycji i z całej siły trafiam go prawą pięścią w twarz. Pod rękawicą czuję chrzęst gruchotanego nosa. Nie ma czasu się wycofać, wymierzam mu dwa ciosy w lewe oko, przed pierwszym udaje mu się osłonić, ale już po chwili traci czujność i ten drugi dosięga go niczym rozpędzony bolid. Cofa się, potrząsa głową. Otwiera oczy, w samą porę, by zobaczyć, jak się przymierzam do haka. Rozwalam mu prawy łuk brwiowy. Krew natychmiast zalewa mu policzki, jakby płakał różowymi łzami. Próbuje zasłonić się rękawicami. Wyprowadzam uppercut w sam środek jego żołądka. Zgina się w pół i opuszcza rękawice. Błąd. Jak widać... Błąd. W Stanach raz widziałem coś takiego i instyktownie sam to teraz powtórzyłem. - Ej, Murzyn, teraz to ty mi powiedz, jak tam? - Nie czekam na odpowiedź. Z góry wiem, jaka by była.

Zamierzam się prawą i uderzam go z całej siły. Od dołu w górę, w brodę, od spodu. Murzyna niemal odrzuca w tył, zadany cios okazuje się miażdżący. Leci w głąb, aż miło. Ląduje na różowych i liliowych stepperach, które przewraca. Po czym wpada na lustro, przywiera do niego twarzą i osuwa się po nim powoli, pozostawiając na jego powierzchni niewyraźną smugę. Wreszcie upada na ziemię, na beżowe linoleum, które natychmiast zalewa krwią.

Patrzę na Alice. - To co, ile jeszcze?

Alice spogląda na zegarek. Brakuje kilku sekund.

- Stop. Właśnie jest koniec.

- Widziałas, a nie mówiłem? Rach-ciach i już po wszystkim. Wychodzę z sali gimnastycznej. Żeglarz rzuca się przed siebie, by zobaczyć, jak się miewa Murzyn.

- Nic się nie martw, już sprawdzałem, oddycha. Żeglarz się rozluźnia. - Rany, Step, zmasakrowałeś gościa.

- Tak mu zależało, żeby walka nie była na niby... no to ma.

Idę do lustra. Oglądam sobie wargę. Jest rozwalona i już mi cała spuchła. Za to łuk brwiowy ma się dobrze. Podchodzi do mnie Alice.

- Gdyby to była prawdziwa walka, a ja postawiłabym wszystkie moje pieniądze, to bym je straciła.

- Co to ma do rzeczy, w takim wypadku byśmy się dogadali i po pierwszym ciosie już bym się nie podniósł.

Podchodzi do mnie Alessio. - Za to ja wygrałbym całą zainwestowaną kasę. A tam, nie wiedzieć czemu, ale czułem, że to ty zwyciężysz.

- Jak to nie wiedzieć czemu? - Znów widzę, że czuje się niezręcznie, chciałby coś powiedzieć, ale sam jakoś nie bardzo wie co. Przychodzę mu z pomocą.

- No już, zdejmij mi rękawice, dawaj...

- Trzymaj. Przyniosłam ci trochę lodu, żebyś przyłożył sobie do wargi.

To Alice. Podchodzi do mnie z chusteczką higieniczną, w której jest kilka kostek lodu.

- Dzięki, powiedz swojej przyjaciółce, żeby wzięła trochę zimnej wody i połała nią twarz Murzyna, wyjdzie mu na zdrowie.

- Właśnie to robi.

Alice patrzy na mnie i dziwnie się przy tym uśmiecha. Zaglądam do środka. Antonella jest w sali gimnastycznej i pomaga Żeglarzowi. Robią Murzynowi okłady na twarz. Makijaż albo cud, jeśli wszystko dobrze pójdzie, to dziewczyna dopnie swego. Żeglarz albo Murzyn. Sam nie wiem, co gorsze. Ten pierwszy w najlepszym razie na coś ją naciągnie, ten drugi zaś zgwałci. Ale nic mi do tego. I siadam sobie spokojnie na ławie. Przykładam chustkę do wargi. Widzę Alice, patrzy na mnie. Ona też chciałaby coś powiedzieć. Ale jakoś nie bardzo wie co. Nie czekam, aż to zrobi. Nie chce mi się. A w każdym razie nie teraz. - Sorry, ale idę pod prysznic. - I tak oto znikam z pola widzenia.

Zostawiam ich samym sobie. Przez moment wyobrażam sobie Alessio i Alice na

wspólnej kolacji, ich wysiłki, by pogadać o tym i o owym. Fede pewnie byłaby niepokieszona. Ale to też nie moja sprawa. Po czym, nie zawracając już sobie dalej głowy, wchodzę pod prysznic.

16

Kto sam nie widział Vanniego, ten nie zrozumie. A być może nawet ten, kto go widział, też nie. Zatrzymuję motocykl przed wejściem i zsiadam. W tym lokalu aż roi się od barwnych postaci. Jakaś kobieta, z ustami prawie tak samo wydatnymi jak jej biust, gada z facetem z gigantycznymi zakolami, które ukrył, czesząc się na pożyczkę. Ma na sobie krótką spódnicę, kobieta naturalnie, spod niej widać parę świetnych nóg sięgających jej aż pod same balony, również zrobione. Oczywiście zanosi się śmiechem, słuchając opowieści „zapożyczonego” gościa, po chwili odbiera telefon i z pewnością kłamie rozmówcy jak z nut. Zapożyczony udaje, że nie słucha, wkłada ręce do kieszeni spłowiełej marynarki w prążki. Znajduje papierosa i go zapala. Zaciąga się, zgrywając zadowolonego, ale ani na moment nie odrywa wzroku od biustu kobiety. Ona uśmiecha się do niego. Kto wie, a nuż zdoła przedmuchać ją także. W głębi, trochę dalej, panuje chaos. Wszyscy gadają, ktoś zamawia mrożony jogurt, towarzystwo rozsiadło się na motorach i zastanawia się, co począc z tak pięknie rozpoczętym wieczorem. Kilka maserati, jeden za drugim, krąży nieopodal w poszukiwaniu wolnego miejsca. Za to mercedes obstawia drugi szereg. Wszyscy się ze sobą witają, wszyscy się znają. Jest Gepy, który siedzi na hondzie SH50, ma króciutkie włosy, wytatuowaną obręcz w maoryskim stylu na ramieniu i spłowieły ślad po jakimś starym tatuażu, który zrobił sobie lata temu na kostkach prawej dłoni. Wciąż jeszcze można dojrzeć, co takiego ma na nich wypisane. „Boli”. Może ma nadzieję, że tym samym ciosy pięściami, które zadaje, są skuteczniejsze. Ten sam co zawsze nieobecny uśmiech. Rozgląda się wokół, nie szukając niczego konkretnego. Ma na sobie poszarpaną bluzę, specjalnie wyciętą tak, by wyeksponować te 48, maksymalnie 50 w obwodzie, jakie liczy jego ramię, kiepsko skądinąd wytrenowane, wyraźnie niedostatecznie wyrzeźbione. Patrzy na mnie rozkojarzony i mnie nie poznaje. To i lepiej. Ja mam się spotkać z tym, który ma coś do powiedzenia, a on się do nich nie zalicza. Cokolwiek by to miało zresztą znaczyć. Tak przynajmniej sobie wyobrażam, z opisu, jaki przedstawił mi ojciec. Mówił o inteligentnym mężczyźnie, wysokim, elegancjom, szczupłym, zawsze nienagannie ubranym, z długimi włosami, ciemnymi oczami, w krawacie w poprzeczne kolorowe prążki, z kołnierzykiem rozpiętym przynajmniej z jednej strony. Ojciec specjalnie mnie na to wyczulił. - Odpięty róg kołnierzyka odgrywa niebagatelną rolę, Step, tyle że nikomu nigdy nie udało się odkryć ją.

Wyobrażam sobie, że nikt nigdy nawet go o to nie zapytał. Rozglądam się wokół. Nie ma nikogo, kto by wyglądał na uosobienie władzy. Kiedy przyglądam się jeszcze uważniej, to dochodzę do wniosku, że nie ma tu właściwie nikogo szczupłego. Gepy. Cóż, Gepy może i nawet jest na swój sposób szczupły. Tyle że brakuje mu całej reszty. Wciąż tam jest, siedzi na swojej hondzie SH50. Obok przechodzi gruba Cyganka około pięćdziesiątki. Gepy nie zwraca na nią uwagi, a tymczasem ona chwyta go za rękę i przyciąga do siebie.

- Jeden euro za twoją przyszłość. Szczęście ci przyniesie.

- Ejże, ale o co ci chodzi? Prosił cię ktoś o coś. No co, zgłupiałaś?

- Zobaczysz, Cyganka prawdę ci powie, pan dobry.

Cyganka zaczyna palcem wodzić po dłoni Gepy'ego, jakby mu z niej miała wyczytać przyszłość. - A więc, proszę, widzę, że los będzie ci sprzyjał...

Gepy wpada w panikę i próbuje wyrwać jej swoją rękę.

- Weź ty się odpiardol! Wcale nie chcę znać swojej przyszłości.

Ale Cyganka nalega i nie chce jej wypuścić.

- Daj mi się przyjrzeć, tylko jedno euro, już mówiłam.

- Ejże, skończyłaś, czy nie? Zaczynasz mnie wkurwiać, odpuść sobie!

Ale Cyganka nalega. Zależy jej, by mu przepowiedzieć przyszłość. Nie za frajer przecież, tylko za kasę! Dochodzi między nimi do absurdalnej walki. W pewnym momencie Gepy ni stąd, ni zowąd spluwa jej w twarz i zaczyna się śmiać. Cyganka unosi rąbek spódnicy, odsłaniając przy tym brązowe podkolanówki, i się wyciera. Jaśniejsza smuga wykwita jej na policzku, a tymczasem ciemne wargi zaczynają miotać przekleństwa.

- Łajdaku! Jeszcze popamiętasz, ty...

- No co? O co ci chodzi, co? No co? Posłuchajmy, co takiego, bo jak cię zaraz pogonię kopniakiem... - Gepy zsiada błyskawicznie ze swojej hondy, żeby jej sprzedać kopniaka, ale Cyganka sama się ulatnia. Są tacy, którzy się temu przyglądają. Ale już po chwili wszyscy zachowują się jakby nigdy nic i wracają do przerwanych rozmów. To był raptem materiał na anegdotę, którą by można potem opowiedzieć podczas kolacji albo sięgnąć po nią w jakichś innych okolicznościach. Jedno jest pewne. Gepy z całą pewnością nie jest mężczyzną, którego szukam. I wtedy go dostrzegam. To ten tam. Wygląda jak ktoś, kto na dobrą sprawę nie ma nic wspólnego z tym, co dzieje się wokół niego. Siedzi samotnie przy stoliku i popija coś jasnego, a w jego kieliszku unosi się oliwka. Ma długie włosy, zgodnie z opisem, garnitur z ciemnoniebieskiego lnu, białą koszulę, nienagannie odprasowaną. Letni krawat w niebieskie i czarne prążki układa mu się miękko na torsie i sięga poniżej paska, tak że jego brzeg dotyka skrzyżowanych nóg. Nieco poniżej mankietu, spod nogawek spodni wystają mu top-sidery, ani specjalnie nowe, ani też stare, które wyglądają na wystarczająco często noszone, by nie odstawać od paska spodni. Jeśli w ogóle miałbym jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, to brzeg kołnierzyka, rozpięty po jednej stronie, rozwiewa je za jednym zamachem. To on. - Witam.

Podnosi się z miejsca. Wygląda na szczęśliwego, że mnie widzi. - O, dzień dobry, to pan jest Stefano? - Wymieniamy uścisk dłoni.

- Pana ojciec opowiadał mi o panu w samych superlatywach.

- Cóż innego mógł zrobić.

Śmieje się. - Przepraszam. - Dzwoni mu komórka. - Cześć. Jasne, nic się nie martw. Wszystko już powiedziałem. Wszystko już zrobiłem. Już wszystko w porządku. Zobaczysz, że podpiszą.

Uosobienie władzy, kocha wyraz „wszystko”.

- A teraz wybaczyć, ale jestem na spotkaniu. Tak, cześć. Ależ jasne.

Oczywiście, że się cieszę, już ci powiedziałem... Strasznie upierdliwy koleś. - Rozłącza się i uśmiecha. - Przepraszam raz jeszcze. Właśnie mi pan mówił?

Odzywam się ponownie i opowiadam mu o kursie, który zrobiłem w Nowym Jorku.

- Czyli grafika w 3D.

- Tak.

- Świetnie. - Potakuje zadowolony. Wygląda na doskonale zorientowanego w tej dziedzinie. Znowu dzwoni jego komórka. - Przepraszam pana, ale dzisiejszy dzień to prawdziwy horror.

Potakuję, udając wyrozumiałego. Wyobrażam sobie, że ma tak codziennie. Przypominam sobie, że ja też mam ze sobą komórkę. Jak głupek prawie się rumienię. Wyciągam ją z kurtki i wyłączam. Chyba zauważył. A może nie.

Kończy rozmawiać.

- Słusznie, ja też swój wyłączę, w ten sposób będziemy mogli spokojnie pogadać.

A jednak zauważył.

A więc zostaniesz asystentem naszego stałego grafika na etacie. Nazywa się Marcantonio Mazzocca. Jest świetny. Wkrótce go poznasz, właśnie tutaj idzie, to z nim niedawno rozmawiałem.

Mam nadzieję, że to nie ten od tej pierwszej rozmowy telefonicznej, bo przecież po tym, jak się rozłączył, nazwał gościa „upierdliwym”.

- Pomyśl tylko, to arystokrata, na północy ma bezkresne połacie gruntów, wzgórze całe porośnięte winnicami. W Weronie... to znaczy należą do jego ojca. On sam zaczął od malowania, malował obrazy. Przyjechał tu do Rzymu, zaczął krążyć po lokalach i wykonywać, no wiesz, różne takie okolicznościowe zaproszenia na imprezy i przyjmować inne tego typu zlecenia. W końcu, stopniowo wyspecjalizował się w grafice komputerowej i wreszcie ja go do siebie ściągnąłem.

Słucham, jak opowiada. Pewnie, by zacytować ten wielki film *W sieci pająka*, „Każdy robi to, czym sam jest”. Ale postanawiam tego nie mówić.

Wcześniej chcę go poznać, tego Mazzocę. Pociąga łyk aperitif.

Wita się z kimś, kto akurat tędy przechodzi. Po chwili wyciera sobie usta papierową serwetką. Uśmiecha się. Jest dumny z władzy, jaką posiada, z

decyzji, które podejmuje, z tego, że zatrudnił arystokratę tylko po to, by pracował jako grafik przy jego produkcjach telewizyjnych.

- Zatem mam nadzieję, że będzie ci się z nim dobrze pracowało. Nie da się ukryć, że bywa trochę upierdliwy...

Jednak to ten od pierwszej rozmowy telefonicznej.

- ... Ale jest niesłuchanie dokładny w pracy, a poza tym...

Nie zdąża dokończyć zdania. - Step, to ty? - Podnoszę wzrok. Lepiej by było, gdyby sobie darował. Gepy stoi przede mną rozpromieniony, z twarzą jak przygłup i rozpostartymi, uniesionymi w górę ramionami. Wygląda jak lekko zidiociały kaznodzieja, gdyby nie te kłaki, które mu wystają spod niewymiarowej bluzy, i jego krótkie włosy.

- Wierzyć się nie chce, to ty! - Wali jedną dłonią w drugą z przesadną siłą.

- Nikt inny, tylko właśnie ty. Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?

- Cześć, Gepy, jak się masz?

- Świetnie i nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię widzę. Co ty tu porabiasz taki cały odpalony. Ej, nie mogę w to uwierzyć. Step wrócił na stare śmieci.

Chciałby to komuś wykrzyknąć, rozgląda się wokół, ale jakoś do niego nie dociera, że ten jego popis odbywa się przy pustej widowni. Nie licząc mnie. No i pana Romani... Choć, prawdę powiedziawszy, nie sądzę, by zaliczał się do jego grupy docelowej.

- Sorry, Gepy, ale właśnie rozmawiamy. - Patrzę na pana Romani w poszukiwaniu, nie wiedzieć czemu, jego wsparcia. Uśmiecha się do mnie rozbawiony i robi taką minę, jakby chciał powiedzieć: „Ależ nic się nie martw, takie rzeczy się zdarzają, nawet nie masz pojęcia, ilu palantów takich jak ten spotykam na każdym kroku”. A przynajmniej taka interpretacja wyrazu jego twarzy najbardziej mi odpowiada.

- Ej, Step, wciąż pamiętam, jak spraeś Mańkuta. Byliśmy wtedy u Giovanniego, tego lodziarza, pamiętasz, co? Koleś tam siedział i zgrywał ważniaka, a potem ty się zjawiłeś. Nawet nie zdążyłeś zsiąść z motoru, co tam, wcale go nawet nie zauważyłeś, a ten jak ci nie wyjedzie. Spuścił ci taki łomot, rany Julek. Mańkut myślał, że już po tobie, a tymczasem...

Gepy śmieje się ordynarnie.

- Trach, wyjechałeś mu z kopa w brzuch i nie dałeś mu ani sekundy do dyspozycji. Trach, trach, trach, cios za ciosem w twarz, coś niesamowitego.

Gepy podskakuje na naszych oczach, wymachując rękami w powietrzu. - Trach, trach, trach, pamiętam to jak dziś. Rzeźnia, koleś leżał jak nieżywy. A innym razem, wtedy na stacji benzynowej przy corso Francia, u Beppego. Kiedy w renault cztery przyjechało tych dwóch burasów, którzy mi potem dopiero powiedzieli, że są przyjaciółmi Mańkuta, i jak cię otoczyli...

- Gepy, zrozum, przecież ci mówię, że właśnie rozmawiam z tym panem.

- Ależ nie, nic się nie przejmuj. - Romani sący sobie aperitif, wygląda na szczerze zainteresowanego. - Niech opowiada.

Gepy spogląda na mnie pytająco i zaraz, nawet nie czekając na choćby najmniejszy sygnał z mojej strony, kontynuuje niewzruszony:

- Na dodatek mieli ze sobą łańcuch. Ej, nic, co?... nie wyszło im to na dobre... Wygląda na to, że Mańkutowi nie został już ani jeden przyjaciel! Achychychy!

Zaczyna się śmiać jeszcze bardziej ordynarnie niż poprzednio.

- Żywa legenda! Te czasy już się skończyły, minęły, i tyle. Teraz wszyscy złagodnieli, wszyscy się ustatkowali jak stado owiec, anonimowi, żadnych zasad, za grosz honoru... Pomyśl tylko, że jak teraz zaczniesz wrywać dziewczynę innego kolesia, to ten nawet się nie podkurwi. Ludzie w nic już nie wierzą.

Ten jego ostatni wywód rozpięty między nostalgią a goryczą utwierdza mnie w przekonaniu, że najwyższy czas położyć temu kres.

- Posłuchaj, może spotkalibyśmy się któregoś wieczoru, co?

- No pewnie. Trzymaj, dam ci mój numer. - Z tylnej kieszeni džinsów wyciąga wizytówkę. Najchętniej w ogóle bym jej nie oglądał. Jest na niej numer do niego na komórkę, a na odwrocie zdjęcie Gepy'ego, idealnie wydrukowane, czarno-białe, widać na nim jego nagą klatę, pozuje, udając kulturystę, czy coś takiego. - Zajebiste, nie? Kazałem sobie zrobić takich dwa tysiące. - I zaraz poważnieje. - W pracy też mi się przydają, no!

Następnie zaczyna się cofać, twarzą zwrócony w naszą stronę, przybiera przy tym klasyczną pozę. Kciuk, mały palec, ucho, usta.

- Zadzwoń do mnie, Step, to wybierzemy się na pizzę. Liczę na to!

Potakuję, uśmiechając się niewyraźnie.

Gepy kręci głową i odchodzi, podrygując.

- Wygląda mi na sympatycznego kolesia. - Romani spogląda na mnie niepewnie. Nie jest w pełni przekonany o słuszności tego, co mówi.

- No, na swój sposób... Od lat go nie widziałem. Swego czasu był bardzo zabawny.

- Swego czasu? Myślałby kto, że to było przed naszą erą. A przecież to historia sprzed zaledwie kilku lat.

Jego pytanie pozostaje bez odpowiedzi. W gruncie rzeczy to rzeczywiście było przed naszą erą.

Romani kończy swój aperitif. - Oto i on. Właśnie idzie. To Marcantonio.

Przedziwna krzyżówka Jacka Nicholsona z Johnem Malkovichem maszeruje roześmiana w naszą stronę, pałac papierosa. Ma wyraźne zakola, krótkie włosy tuż nad uszami i długie pejsy, które okalają mu policzki, wtrącone między dwa przecinki włosów. Ładny uśmiech, bystre spojrzenie. Zamaszystym ruchem odrzuca papierosa gdzieś daleko, po czym jakby wykonywał piruet, siada na wolnym krześle obok nas. - No i jak, co słyhać? Przez telefon byłem trochę upierdliwy, co?

Nie zostawia Romaniemu czasu na odpowiedź.

- Ale to moja główna zaleta. Dopiąć swego, powoli, ale dopiąć swego. Jak chińska kropla, plum, plum, dopóki nie skruszeje choćby i najtrwalsza nawet skała. To tylko kwestia czasu, wystarczy się nie spieszyć, a mnie wcale się nie spieszy. - Wyciąga paczkę błękitnych chesterfieldów light i kładzie je na stoliku, pod czarną zapalniczką Bic. - Marcantonio Mazzocca, podupadły arystokrata, choć powoli wraca do dawnej świetności. - Wyciągam do niego rękę. - Stefano Mancini, twój asystent, jak sądzę.

- Asystent, cóż za haniebne pojęcie ukuto, by przypisać nam określone role.

Romani mu przerywa: - Może być tak haniebne, jak ci się tylko żywnie podoba, ale on będzie twoim asystentem. No, to teraz was zostawiam. Wyjaśnij mu wszystko jak należy. Bo od poniedziałku zabieramy się do roboty. Za trzy tygodnie wchodzimy na antenę. Wszystko ma być bez zarzutu!

- I będzie bez zarzutu, szefie! Przyniosłem logo do tytułu, jeśli łaskawie raczy pan rzucić okiem... - I podaje mu małą teczkę, która pojawiła się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki wprost z wewnętrznej kieszeni jego letniej marynarki. Romani ją otwiera.

Marcantonio przygląda mu się spokojnie, zna wartość swojej pracy. Romani jest wyraźnie zadowolony, ale już po chwili się reflektuje.

- Mhm, logo powinno być trochę jaśniejsze, a poza tym... Trzeba się pozbyć stąd tych wszystkich zawijasów, tych strzałek tutaj... Wszystko ma być lżejsze!

Romani oddała się z teczką pod pachą.

- Zawsze musi dorzucić swoje trzy grosze, to sprawia, że czuje się pewniej. A my idziemy mu na rękę.

Zapala kolejnego papierosa. Po chwili się odpręża, wyciąga na krześle i wyjmuje z kieszeni jeszcze jedną teczuszkę. Otwiera ją. - Et voila. - To ten sam rysunek z jaśniejszym logo i bez strzałek, zupełnie taki sam, jak chciał Romani.

- Widziałeś? Gotowe!

Przeciąga się i rozgląda wokół. - Świetnie tu jest, nie sądzisz, asystencie? Popatrz tylko, co za kolory, co za kobiety... o, spójrz na tamtą!

Wskazuje krótkowłosą blondynkę, wysportowaną, konkretnie zbudowaną. Jej wysoko zawieszony tyłek znika pod obcisłą spódniczką, ma trochę zbyt wydatny nos w porównaniu z ustami, które mówią same za siebie, i to najgorsze bezceństwa, jeśli tylko wyobrazimy je sobie zaangażowane w jakiś przyjemny proceder.

- Poznałem ją dogłębnie. Należy do grona, no wiesz...

- To znaczy?

- Do grona... tego związanego z naszą pracą, to kobiety na pokaz. -

Zaciąga się i śmieje. - Widziałeś, jakie ma usta? Spła ze mnie wszystko, do ostatniej kropelki!

Czyli potwierdza, że trudni się przyjemnym procederem. - Czyli co? Chcesz powiedzieć, że one wszystkie są takie?

- Nie wszystkie są takie. Są jeszcze lepsze, przepiękne. Sam zobaczysz, przekonasz się. Są prawdziwe. To fantastyczne kobiety, schowane pod kolorowymi ubraniami, tancerki, starletki, statystki. Śmieją się, wystarczy byle co, żeby je rozpałcić, są zupełnie jak małe bomby z krótkim lontem. A za tymi ich piersiami, wciśniętymi w niepojęte gorseciki, za tymi jędrnymi tyłeczkami, opiętymi przez maciupęńkie stroje są ich historie. Smutne, wesołe, absurdalne. To dziewczyny, które jeszcze się uczą, i takie, które mają już dziecko, męża zaś już nie, również takie, które nigdy się nie uczyły i takie, które właśnie wychodzą za mąż albo się rozwodzą, takie, które nigdy nie wyjdą za mąż lub wciąż jeszcze marzą, że to zrobią. One wszystkie zebrane w tym samym miejscu, a łączy je tylko jedno: pragnienie, by wystąpić w tym zaczarowanym pudełku. Wystąpić...

- No, widać, że ci się podobają, i to jeszcze jak, skoro potrafisz o nich tak opowiadać. Zupełnie jak poeta.

- Jestem Marcantonio i przybywam z północy, i to nie z Mediolanu, tylko z najzamożniejszego Veneto. I nie mam grosza przy duszy. Jedyne, co mi pozostało, to błękitna krew i chęć, by obdarzyć miłością je wszystkie, bo tego zawsze będę miał pod dostatkiem. Musisz je zobaczyć... I zobaczysz, nieprawdaż?

- Myślę, że tak. - Nie, z pewnością tak. Jesteś w końcu moim asystentem, czy nie? A skoro tak, to setnie się ubawisz!

Klepie mnie w ramię i się podnosi. - No cóż, to do zobaczenia.

Bierze papierosy i zapalniczkę i chowa do kieszeni. Zaraz się uśmiecha i unosi brew. Idzie w stronę krótkowłosej blondynki i zaczyna krążyć wokół niej. Przez jakiś czas mu się przyglądam. Robi jeszcze jedno okrażenie, po czym się zatrzymuje i staje dokładnie naprzeciwko dziewczyny, z rękami w kieszeniach marynarki. Zaczyna coś mówić, spokojny, pewny siebie, uśmiechnięty. Ona słucha go zaintrygowana i zaraz zaczyna się śmiać. Dziewczyna kręci głową. On daje jej znak, ona zastanawia się przez chwilę, wygląda na to, że się zgadza, i zaczyna iść w stronę wejścia do Vanniego. Marcantonio patrzy na mnie, uśmiecha się i puszcza do mnie oczko. Po czym dołącza do niej. Kładzie jej z tyłu rękę, żeby jej „pomóc” wejść do baru. Ona daje mu się prowadzić i traci ich z oczu.

17

Muzyka rozlega się na cały regulator. *What if there was no light, nothing wrong, nothing right, what if there was no time...* Głos Chrisa Martina z Coldplay wypełnia cały pokój. Chyba po to, żeby zagłuszyć inny dźwięk. Ten niepokojący i nieprzerwany, który właśnie gniecie ją gdzieś w środku jak rzemień, zew, który nie przestaje jej zadreć, choć godziny upływają jedna po drugiej.

- Daniela, co ty, głucha jesteś? Może łaskawie trochę ściszysz? A może chodzi ci o to, żeby nawet Fiore, który pilnuje bramy, też się nauczył słów?

Przez moment wizja Fiore, który śpiewa łamaną angielszczyzną z domieszką dialektu rzymskiego podczas przycinania roślin, odciąga jej uwagę i ją rozśmiesza. Ale tylko przez moment. Bo zaraz znów ta sama wątpliwość, jej wątpliwość, daje o sobie znać, nie zostawia jej w spokoju. Tak, mam, jaka szkoda, że nie jestem głucha, a nuż wówczas przestałabym wreszcie słyszeć ten głos, bez przerwy powtarzający mi jedyną prawdę, której nie chcę słyszeć. Mało tego, lepiej będzie zrobić jeszcze trochę głośniejsze, lepiej zaśpiewać razem z Chrisem te słowa, które właśnie teraz wydają jej się takie prawdziwe, trafiające w samo sedno... Daniela zaczyna tłumaczyć w myśli. *Co by się stało, gdyby nie było światła, nic złego, hic dobrego, co by się stało, gdyby nie było czasu...* Otóż to. Gdyby nie było czasu. Gdyby go już nigdy więcej nie było. Dostyc. Trzeba coś zrobić, trzeba to wyjaśnić raz na zawsze.

- Halo, Giuli? Przeszkadzam? Co robisz?

- Cześć! Nie, spoko, właśnie o tobie myślałam.

- Myślałaś o mnie? No wiesz, sądziłam że masz lepsze rzeczy do roboty.

- No to pięknie, widzę że wprost pałasz miłością do bliźnich. A wiesz dlaczego?

- Powiedz.

- Właśnie ścigałam na komputer zdjęcia z komórki, które zrobiłam podczas imprezy. Są zajebiste! Dobrze wyszły, chociaż światło było kiepskie. Ty też na nich jesteś, jak tańczysz i na maksa dajesz czadu!

- Naprawdę?! W ogóle nie zajarzyłam, że robiłaś zdjęcia.

- I komu ty to mówisz, byłaś kompletnie nieprzytomna! Na jednym jesteś razem z Brandellim, na innym z dwoma kompletnymi oszołomami, którzy skakali wokół ciebie, na jeszcze jednym jesteś sama i krzyczysz nie wiadomo co i do kogo... i to by było na tyle, bo w pewnym momencie po prostu znikłaś! I już cię więcej nie widziałam! Gdzieś ty się, do licha, podziała, co? Teraz musisz mi opowiedzieć o tym wszystkim, czego nie udało mi się sfotografować!...

- Właśnie! Impreza była zajebista, prawda? Super się bawiłam! No i wreszcie to robiłam! Widziałas? Chicco był taki słodki, a ty zawsze tak źle o nim mówisz... Ale o której się stamtąd zwinęłam razem z nim? - Giuli nie zwraca uwagi na jej pytanie. Bo niby dlaczego? Głos Daniela zaczyna się lekko trząść, kiedy tak wypytuje, bo usiłuje sprawiać wrażenie możliwie pewnej siebie i niczego nie chce dać po sobie poznać. - Tak, czyli jak długo mnie z nim nie było? Ty przecież byłaś przytomna, chyba zwróciłaś na to uwagę, nie?! Po jakim czasie wróciłam do ciebie i kiedy się stamtąd zabrałyśmy?

- Kurczę, to ty naprawdę nic a nic nie pamiętasz?! Ecstasy najwyraźniej jakoś dziwnie na ciebie działa! Z nim sama nie wiem, bo szczerze powiedziawszy, widziałam Brandelliego, jak siedział na takiej małej kanapie i gadał sobie z jakimiś pannami, ale ciebie już nie było. Może oddaliliście się razem wcześniej. Do mnie przyszedł po co najmniej paru godzinach. Wobec

tego myślę, żeście sobie poszaleli! No weź, opowiesz mi? Jaki on był? Jak wam poszło? Podobało ci się?

- Było inaczej, niż myślałam, ale w gruncie rzeczy jak niby możesz sobie wyobrazić w najdrobniejszych szczegółach coś, czego nigdy wcześniej nie zaznałaś? Dopóki sama nie znajdziesz się w określonej sytuacji... a tam, opowiem ci wszystko następnym razem, jak się zobaczymy. Wszystko... raptem tych parę rzeczy, które pamiętam! Niby jak mam to teraz zrobić przez telefon? Przecież wiesz, że mnie słyhać. Jeśli mama akurat będzie przechodziła, to już po mnie. Nawet jeśli głośno nastawię muzykę, ta i tak ma słuch jak Indianin. Zobaczysz, niedługo do ciebie wpadnę. Teraz muszę już kończyć.

- Dobra, zawsze przerywasz w najlepszym momencie. Czekam na ciebie, wytrawna kochanko! Wcześniej wyślij mi SMS-a, tak żebyś na pewno mnie zastała. Kto by tam przegapił historię pierwszego razu małej Gervasi?

Jakże to ja bym chciała, Giuli, jakżebym chciała przerwać w najlepszym momencie. Przynajmniej teraz będę już słyszała tylko Coldplay, a nie tę wątpliwość, która nie dawała mi spokoju.

- Okay, cześć.

Nic. Nie udało mi się pozbyć tej jednej wątpliwości. Jest cienka, zupełnie jak zasłona, która skrywa prawdę. I nieznośnie uciążliwa, przez co odbiera wszelką pogodę ducha.

You don't have to be alone, you don't have to be on your own... Piosenki lecą jedna za drugą. *A message... Nie musisz być sama, nie musisz być zdana tylko na siebie...* Właśnie, dlaczego to ty do mnie nie przyjdiesz, żeby mi przekazać wiadomość, na którą czekam, to, czego nie wiem? Muzyka wciąż gra na cały regulator. Raffaella już całkiem się poddała. A Fiore, kto wie, może właśnie przyswajają sobie angielski. Słowa, które płyną z odtwarzacza, niezmiennie trafiają w samo sedno. Ale nie ma się czemu dziwić: dusza *zawsze potrafi* wybrać sobie najlepszą ścieżkę dźwiękową. A to, że akurat słyszysz tę, a nie inną piosenkę, nigdy nie jest dziełem przypadku. Tak samo jest zresztą i z prawdą.

- Halo? Chicco? Przeszkadzam ci?

- Cześć, małeńka, co u ciebie? Zajebicie było poprzedniego wieczoru, co? Ale impreza! Co powiesz na dziś wieczór? Przyjadę po ciebie, wybierzemy się razem na kawę?

- No, jeszcze zobaczymy, dobra? Tak, naprawdę świetny wieczór, zajebicie się bawiłam, nawet się nie spodziewałam! A ty byłeś naprawdę kochany! Taki słodki...

- Sam widziałem, miałaś niezły odjazd! Kochany, słodki, co ty mówisz? Przecież ja palcem nawet nie kiwnąłem! A szkoda, bo mogłem się okazać jeszcze lepszy, gdybyś nie przepadła tak, jak to zrobiłaś! Prawie od razu straciłem cię z oczu i potem już cię więcej nie widziałem. Gdzieś ty się podziewała? Puścili taki super wolny *E...* Vasco Rossi. Chciałem go z tobą

zatańczyć. Gdzieś ty była? Potem chciałem odwiedzić cię do domu, ale się okazało, że ciebie i Giuli już nie ma! Dlaczego?

To nie z powodu wolnego, który przegapiła. Ani nie dlatego, że ominęło ją podwiezienie do domu, żołądek jej się ściska, a serce zaczyna walić szybciej niż zwykle. To dlatego, że Daniela szuka odpowiedzi. Ale zamiast nich wciąż tylko przybywa nowych pytań.

- Tak, rzeczywiście, przepraszam, miałam ci o tym powiedzieć, Giuli zadzwoniła po brata, który po nas przyjechał, bo nie mogłyśmy cię znaleźć i nie odbierałaś komórki! Może wyładowała ci się bateria. Przepraszam, że tak znikłam... krążyłam bez wytchnienia, tańczyłam, śmiałam się do rozpuku i całkiem straciłam poczucie czasu! Dobra, nie ma co, dzwoniśmy się później i jeszcze zobaczymy, co z tą kawą.

- W porządku, maleńka, to na razie!

Maleńka. Dobrze by było... Wciąż być tą samą, co wcześniej, kiedy razem z Babi bawiły się tu w mieszkaniu, w jednym pokoju. Kiedy nie musiałam się o nic martwić. Kiedy znajdowałam wszystkie odpowiedzi, bo same pytania były takie proste. Nie to, co teraz. Trudne jak diabli. I na dodatek absurdalne. Tak bardzo, że nawet Giuli i Chicco nie udało się rozwiązać wątpliwości. A przecież byli tam oboje. Tak. Właśnie tam. Ale nie ze mną, nie w tamtym pokoju. Nic, tylko czas może mi teraz pomóc. Muszę tylko poczekać kilka dni... tylko... teoretycznie to takie proste.

Daniela otwiera szafę i przegląda się w lustrze. Próbuje doszukać się na swojej twarzy choćby jednego śladu, jakiejś zmiany, czegoś, co by jej pomogło zrozumieć, co by jej dało najmniejszy choćby pewnik, którego mogłaby się uchwycić. Zero. Tylko ten mały pryszcz, schowany pod grzywką, który jej wyskoczył nie wiedzieć kiedy, chyba w nocy. To zbyt mało, żeby pretendować do miana zwiastuna jakiejś głębokiej prawdy, która wychodzi na jaw. To pewnie przez tę czekoladę, którą wczoraj jadłam. I do tego jeszcze nieokreślone wrażenie, którego sama nie potrafi sprecyzować, coś, co ją ogarnia od dołu ku górze.

Ostatnia piosenka na kompakcie. *How do you see the world?* Kolejne pytanie. I nawet na nie niełatwo jest odpowiedzieć.

18

- I jak ci poszło spotkanie?

Jeszcze nawet nie wszedłem, a już Paolo daje upust swojej nieposkromionej ciekawości.

- Myślę, że dobrze.

- Co znaczy, „myślę, że dobrze“?

- Znaczy, że uważam, że dobrze mi poszło, że chyba zrobiłem dobre wrażenie.

- Czyli?

- Zaczynam od przyszłego tygodnia!

- Świetnie, tak trzymać! Musimy to uczcić. Przyrządę ci wyśmienitą kolację. W gotowaniu nie mam sobie równych. Wiesz, że w czasie twojej nieobecności zaliczyłem kurs u Costantiniego...

- Dziś wieczór nie mogę.

- Jak to?

- Wychodzę z przyjaciółmi.

- A może z Evą?

Patrzy na mnie ironicznie, jakbym miał w ogóle jakikolwiek powód, żeby go okłamywać. Śmieszy mnie. - Powiedziałem, że z przyjaciółmi. Zachowujesz się zupełnie jak mama.

- A propos, była tu, chciała się z tobą przywitać.

Jestem w pokoju i nie mam ochoty go słuchać. A przynajmniej nie jeśli o to chodzi. Ale Paolo oczywiście wcale się z tym nie liczy i krzyczy do mnie z drugiej części mieszkania: - Ale czy ty mnie w ogóle słyszysz? Do ciebie mówię.

- Jasne, do kogóż by innego? Jest nas tutaj tylko dwóch.

Co za koleś. Staje w drzwiach.

- Popatrz tylko. - W ręku ma przezroczystą reklamówkę. Patrzy na mnie zaskoczony: - No co ty, nie poznajesz? Morselletti! Pamiętasz je jeszcze? To te ciasteczka, które zawsze robiła mama, z miodem i orzechami. No weź, jak możesz ich nie pamiętać?! Zawsze je dla nas kładła na kaloryferze, żeby zrobiły się pulchniejsze, a my opychaliśmy się nimi jak szalem i za jej zgodą oglądaliśmy filmy, które puszczała w poniedziałek wieczorem. Wyciąga jedno. - No co ty, nie wierzę, że ich nie pamiętasz.

Trącam go, przechodząc obok.

- Tak, przypominam je sobie, ale teraz nie mam na nie ochoty. Wybieram się na kolację.

Paolowi jest przykro. Zastygł w miejscu z morselletto w ręku i przygląda mi się, kiedy wkładam kurtkę i zabieram klucze.

- No pewnie, zjem trochę jutro na śniadanie, dobra?

- Okay, jak chcesz.

Paolo przygląda się, jak wychodzę, po czym kieruje swoją uwagę na ciastko i próbuje je ugryźć:

- Ala, twarde...

- Włóż je na trochę do piekarnika.

Jestem już w windzie i zapinam kurtkę. Zawracanie gitary. Przeciągam dłonią po krótkich włosach i lekko je mierzwię, na tyle, na ile jest to możliwe. Morselletti to najlepsze na świecie ciasteczka, nie za słodkie, na początku ciężko je pogryźć, ale potem... Trochę przypominają gumę, są odrobinę twardsze, w

miarę jedzenia robią się coraz smaczniejsze, a czasami można nawet trafić na całego orzeszka.

Mama. Pamiętam, jak się krzątała u nas w kuchni. - Trzeba rozpuścić miód w garnku, mieszać, mieszać bez przerwy i co pewien czas próbować... - Nabierała trochę na długą drewnianą łyżkę i brała do buzi to, co było na samym jej brzegu, po czym unosiła wzrok, zarazem mrużąc lekko oczy, by móc się bardziej skupić na samym smaku. - Przydałoby się jeszcze trochę cukru. A ty, jak sądzisz? - I tym samym zachęca mnie, bym przyłączył się do zabawy, bym ja także sięgnął po drewnianą łyżkę, spróbował. Przystawałem na to. Zawsze we wszystkim zgodny z nią, z mamą. Z moją mamą. I wówczas zaczynała nucić: *I połykamy pastylkę, połykamy pastylkę*. Zdejmowała czerwoną pokrywkę ze słoika na cukier i wywijając nadgarstkiem, wsypywała trochę cukru do garnka. Tyle, ile było trzeba, przynajmniej według niej. Następnie zakręcała przykrywkę, odstawiała słoik na miejsce, wycierała sobie ręce w fartuszek w kwiatki, podchodziła do mnie, stawiała tuż obok i sprawdzała, jak mi idzie. - Jeśli szybko skończysz się uczyć, dostaniesz o jedno morselletto więcej od Paola... on i tak się o tym nie dowie. - I razem zanosiliśmy się śmiechem, a ona całowała mnie w kark, ja zaś ściągałem łopatki, kuląc się pod wpływem nagłego dreszczu...

Jakie to upierdliwe! Tak trudno jest wymazać z pamięci fajne rzeczy.

Pędzę na motorze. Wiatr tego wrześnieowego wieczoru jest ciepły i łagodny. Nie ma zbyt wielu samochodów. Wjeżdżam na corso Francia od Vigna Stelluti i na światłach skręcam we Flammię. Dodaję gazu. W oddali widzę zielone, jeszcze bardziej przyspieszam, zanim światło zmieni się na czerwone. Tu akurat jest trochę chłodniej, przechodzi mnie dreszcz. Wzdłuż ulicy rośnie dużo zieleni. Trasa przebiega przez wysokie wzgórza, gdzieniegdzie widać grotty ukryte pośród drzew, za którymi raz po raz chowa się księżyc. Motocykl sam zaczyna zwalniać. Właśnie jadę na rezerwie. Dziwne. Przecież zatankowałem do pełna. To pewnie przez brudny karburator. Dlatego pali więcej niż zwykle. Dodaję gazu i nie zmieniając biegu, przesuwam rękę na lewą stronę baku, póki nie trafię na dźwigenkę. Przekręcam ją w dół, w stronę rezerwy. Muszę zatankować. Mijam wielkie Centro Euclide po prawej i kawałek dalej dostrzegam światła stacji samoobsługowej. Zatrzymuję się z boku dystrybutora. Działa. Wyłączam silnik i wkładam kluczyki do korka od baku. Podnoszę się i wyciągam portfel z kieszeni džinsów. Cały czas stoję okrakiem, z motorem między nogami, wyciągam dwa banknoty po 10 euro każdy i wsuwam je do automatu. Drugie 10 euro trafia do mnie z powrotem. Wsuwam je ponownie i kiedy widzę, jak znikają w szczelinie, walę z góry pięścią w dystrybutor. Po kilku sekundach mechaniczny grzechot oznajmia mi, że także zostało przyjęte. Cofam się kawałek motorem i sięgam po pistolet od dystrybutora. Kurwa, niemożliwe. Niemożliwe. Na dystrybutorze z benzyną super wisi kłódka. Jest zablokowana. To nie jest taka zwyczajna kłódka od dystrybutora. Tylko większa. Na dodatek blokuje też przycisk, który wydaje resztę. To ci dopiero szwindel! Szwindel w

wydaniu jakiegoś pierdolonego *idoty*, który chce sobie *zatankować*, robiąc mnie w konia. Ten łachmyta orznął mnie na 20 euro... Kurwa. Kurwa. Kurwa. Nie mam czasu. Muszę jechać na spotkanie. Tylko tego brakowało mi do szczęścia! Zamykam bak, znów wkładam kluczyki do stacyjki i cały wkurwiony ruszam przed siebie na pełnym gazie. Samotny dystrybutor z benzyną pogrąża się w mroku nocy. Co raz to śmigają samochody, wyruszają naprzeciw. Bóg jeden raczy wiedzieć jakiego bajecznego weekendu, albo i choćby skuszone perspektywą kolacji nieopodal Prima Porta i jej okolic. Kot przemierza placyk przy stacji benzynowej. Nagle przystaje, jakby usłyszał jakiś niepokojący hałas. I tak zastyga nieruchomy, w półmroku, z odwróconą głową, skręconą szyją i przymkniętymi oczami. Zupełnie jakby czegoś szukał. Ale nic tam nie ma. Kot się odpręża i udaje się w swoją stronę, zmiierzając nie wiadomo dokąd. Pojedyncze chmury suną w szybkim tempie. Lekki wietrzyk sprawia, że co pewien czas widać księżyc. Zza niepozornego budynku pracownika stacji benzynowej rusza samochód. Wyjeżdża stamtąd micra ciemnoniebieska, z włączonymi jedynie światłami postojowymi. Podjeżdża niespiesznie do dystrybutora benzyny. Parkuje, silnik gaśnie i z auta wysiada niezbyt wysoki koleś, w czarnej czapce na głowie, trochę babskiej, ma na sobie ciemną kurtkę Levi'sa. Rozgląda się wokół. Jako że nikogo nie widzi, wyciąga z kieszeni klucze i otwiera nimi kłódkę. Nie zdąża w porę sięgnąć po wąż, a ja już go *dopadam*, rzucam na maskę i przygniatam własnym ciałem. - Choćbyś się zesrał, to i tak nie będziesz tankował za moją kasę! - Ściskam go za szyję, ale się rzuca. Podczas szamotaniny spada mu czapka. Kaskada czarnych, długich włosów wysypuje się na niebieską maskę. Prawą ręką robię zamach, by mu przyłożyć prosto w twarz, ale oto ni stąd, ni zowąd snop bladego, księżycowego światła pada mu na twarz.

- Kurwa mać... Jesteś dziewczyną!

Próbuje oswobodzić się z uścisku. Przytrzymuję ją jeszcze chwilę i opuszczam prawą rękę. - Kobieta, pieprzona kobieta.

Puszczam ją. Podnosi się z maski i poprawia sobie kurtkę.

- Okay, jestem kobietą i co z tego? Z czego się, kurwa, śmiejesz, chcesz się zmierzyć? Tylko sobie nie myśl, że się ciebie boję.

Laska jest niewąska. Przyglądam jej się lepiej: stoi okrakiem, ma na sobie džinsy biodrówki i sneakersy hi-tech. Do tego czarny T-shirt pod kurtką z ciemnego džinsu. Laska ma styl. Sięga po czapkę i wsuwa ją sobie do kieszeni spodni. - No i?

- Co, no i? Zauważ, że to ty chciałaś mi podpieprzyć pieniądze.

- No i?

- Jeszcze? No i nic. - Zaglądam do micry i wyciągam jej kluczyki ze stacyjki. - Dzięki temu nie będziemy musieli skutecznie żadnego pościgu. - Wkładam je sobie do kieszeni i odchodzę. Po chwili wyjeżdżam na motorze. Zawróciłem aż za żywoptot obok stacji benzynowej, miałem przy tym

wyłączony silnik. Teraz go odpalam i w okamgnieniu staję obok niej. Gaszę silnik i otwieram wlew baku.

- Podaj mi wąż.

- Ani mi się śni.

Kręcę głową, sam po niego sięgam i tankuję. Przychodzi mi do głowy pewien pomysł, wlewam do swojego baku równowartość jedynie 10 euro i przerywam tankowanie. Okrażam jej micrę z węzem w rękę, zdejmuję korek i równowartość pozostałych dziesięciu wlewam jej do baku. Patrzy na mnie zaintrygowana. Jest piękna, ma w sobie coś z twardzielki. A może jest najzwyczajniej poirytowana, że ją przyłapałem. Włosy opadają jej na twarz, sprawiają wrażenie bardzo wycieniowanych, ma duże i ciemne oczy i piękny uśmiech, na tyle, na ile udało mi się zorientować. Robi dziwny grymas, najwyraźniej jest ciekawa.

- A co teraz robisz?

- Tankuję ci benzynę.

- A po co?

- Bo jedziemy razem na kolację. - Przesuwam motor, parkuję go na tyłach budki pracownika stacji i zakładam blokadę.

- Mowy nie ma. Że niby ja mam iść z tobą na kolację? Akurat mam lepsze rzeczy do roboty... Mam imprezę, rave party, jestem umówiona z moimi przyjaciółmi.

Zgrywam twardziela, choć śmiać mi się chce. - Zatem postawmy sprawę w ten sposób, ty chciałaś tylko spędzić wieczór za moje dwadzieścia euro, a tymczasem dopisało ci szczęście i spędzisz go ze mną.

- Co ty powiesz.

- Albo, jeśli to niewystarczający argument dla twojego wybujałego ego... powiedzmy, że jeśli nie spędzisz ze mną wieczoru, to zawiadomię o wszystkim policję. Czy tak będzie prościej?

Laska uśmiecha się do mnie złośliwie. - No pewnie, czyli miałabym zapakować się do samochodu, a właściwie gwoli ścisłości do własnego samochodu, z nieznajomym?

- Już nie jestem nieznajomym. Jestem kimś, kto nieomal został przez ciebie obrabowany.

Znów się obrusza.

- Wobec tego przyjrzyjmy się całej sprawie z innego punktu widzenia. To ja miałabym wsiąść do mojego samochodu z kolesiem, który o mały włos nie został obrabowany, okay? I póki co, wszystko gra. Ale z jakiej racji nie miałabym sobie pomyśleć, że mnie wywieziesz, sama nie wiem gdzie, i mnie wykorzystasz? Daj mi choć jeden sensowny powód.

Stoję w milczeniu. Niech wypierdalają ci wszyscy, przez których one muszą się tak zamartwiać. Zastrane bydlaki, to przez was wszyscy mamy przechlapane, kanalie pozbawione choćby śladowych umiejętności uwodzenia, nic niewarte indywidua grasujące po tym cudownym świecie.

- Okay... okay...

Zaczynam się śmiać, ale wiem, że ma rację. - Wobec tego postawmy sprawę inaczej. - Widzisz tę komórkę?

Wyciągam ją z kieszeni.

- Czy wiesz, ile takich do „wykorzystania”, i to o niebo lepszych od ciebie, mógłbym sobie załatwić, wystarczyłoby tylko zadzwonić. A skoro tak, to bądź cicho i wsiadaj.

Widać, kiedy komórka okazuje się rzeczywiście przydatna!

Rzuca mi nienawistne spojrzenie i zmierza w moim kierunku. Staje tuż przede mną i wyciąga do mnie rękę, ma rozchyloną dłoń. Błyskawicznie unoszę ramię. Przychodzi mi na myśl, że chce mnie spoliczkować. Ale się mylę.

- Na razie cię nie spoliczkuję. Daj mi kluczyki, ja poprowadzę.

Uśmiecham się i wsiadam do niej do samochodu. - Mowy nie ma.

- Jak w ogóle możesz myśleć, że ci zaufam?

- Nie, to raczej jak ty możesz myśleć, że ja ci zaufam? Przecież ty usiłowałaś mnie naciągnąć jako pierwsza!

Wyciągam przed siebie rękę i otwieram przed nią drzwi. Uśmiecham się do niej.

- Mam rację, czy nie? No już, wskakuj.

Stoi tak przez chwilę dezorientowana, po czym naburmuszona wsiada do samochodu, ma skrzyżowane ręce i wzrok wbity gdzieś przed siebie. Przez jakiś czas prowadzę w milczeniu.

- Ej, fajnie się prowadzi ten twój wózek.

- Czy konieczność rozmowy została wliczona w całą transakcję? Dopiero co minęliśmy Saxa Rubra.

- Nie, ale właśnie możesz ubić kolejny interes. Sama zobacz, mógłbym cię tutaj wysadzić i odjechać sobie twoją bryką, oczywiście bez żadnego tam „wykorzystywania”, o którym sama wspomniałaś... Najnormalniej twoją bryką... ale z moim paliwem. Wobec tego postaraj się być miła, rozerwij się, uśmiechnij, masz taki śliczny uśmiech.

- Przecież go nawet jeszcze nie widziałeś...

- No właśnie... I na co czekasz?

Uśmiecha się do mnie na zawołanie, szczerząc zęby. - O proszę, zadowolony?

- Ogromnie.

Wyciągam do niej rozpostartą dłoń. Natychmiast się odsuwa.

- Oj, co robisz?

- O matko, ależ jesteś chorobliwie nieufna! Chciałem się przedstawić, nie, jak przystało na osobę dobrze wychowaną, taką, która nie kradnie. Jestem Stefano, dla przyjaciół Step.

Nie reaguje na moją wyciągniętą i rozpostartą w półmroku samochodu dłoń. - Dobrze... Cześć, Stefano, ja zaś jestem Ginevra, dla przyjaciółek Gin. Za to dla ciebie, choćby nie wiem co, Ginevra.

- Ginevra, dobre... Skąd twoi starzy wiedzieli, że powołają do życia księżniczkę twojego pokroju?

Patrzę na nią, unosząc brew, ale w końcu i tak nie wytrzymuję i wybucham śmiechem. - O Boże, sorry, strasznie chce mi się śmiać i sam nie wiem dlaczego. Księżniczka.

I nie mogę się uspokoić. Co na nią spojrzę, to wybucham śmiechem. Bawi mnie ta dziewczyna. Wzbudza moją sympatię. Może dlatego, że nie jest aż taka znowu piękna. Samochód pędzi przed siebie. Jej twarz pojawia się i znika w zależności od pozycji mijanych po drodze latami. Ich światło maluje ją to w jasnych, to znów w ciemnych barwach. A niekiedy księżyc składa na niej swój pocałunek. Ma wydatne kości policzkowe i małą brodę. Delikatne brwi, jak uciekający punkt, rozbiegają się w stronę nasady włosów. Ma orzechowe spojrzenie, intensywne, figlarne i radosne, mimo że jest cała poirytowana. Tak, najwyraźniej się co do niej pomyliłem. Nie jest aż taka znowu piękna. Jest wprost prześliczna.

- Twoi rodzice rzeczywiście świetnie się spisali. Idealnie utrafili z twoim imieniem: księżniczka Ginevra...

Patrzy na mnie w milczeniu.

- Stefano, moich rodziców już nie ma. Nie żyją.

Krew tężeje mi w żyłach. Najgorszy cios pięścią, jaki kiedykolwiek otrzymałem, i to w samą twarz, w brzuch, w zęby. Od razu rzednie mi mina.

- Przepraszam.

Przez jakiś czas jedziemy w kompletnej ciszy. Samochód mknie naprzód. Patrzę przed siebie, wprost na drogę, starając się gdzieś pomiędzy tymi śmigającymi białymi liniami pozbyć poczucia winy z powodu mojego głupiego błędu. Słyszę, jak wzdycha, może właśnie płacze. Nie dam rady się odwrócić, ale muszę. Muszę... Widzę ją w kąciku, jak mi się przygląda. Cała się skuliła i przywarła do szyby. Siedzi bokiem. W pewnym momencie, ni stąd, ni zowąd, wybucha dzikim śmiechem.

- O Boże, dłużej już nie wytrzymam, wcisnęłam ci totalny kit! To mamy remis, dobra? Rozejm. - I błyskawicznie wkłada płytę do odtwarzacza. - Sam chciałeś wojny i się doigrałeś. Łyso ci, co? Zgrywasz takiego twardziela, ale w głębi duszy... jesteś strasznym wrażliwcem. Taki malutki... - Ginevra zanosi się głośnym śmiechem i rusza się w rytm Red Hot Chili Peppers. - To w jakie fajne miejsce zabierasz mnie na kolację?

Teraz jest znacznie spokojniejsza, to ona stała się panią sytuacji. Nie odzywam się do niej ani słowem. Kurwa, zrobiła mnie w chuja. Celny cios, typowy dla wrednej suki. Jak można sobie żartować z takich rzeczy? Prowadzę, wciąż patrząc przed siebie. Kątem oka widzę, jak rozbawiona tańczy do *Scar Tissue*. Ma doskonałe wyczucie rytmu. Wije się, zarzucając włosami. Raz po raz się uśmiecha, przygryzając przy tym dolną wargę.

- Daj spokój, chyba się nie obraziłeś?

Patrzy na mnie.

- Bardzo cię przepraszam. Prowadzisz mój samochód. Jasne, jedziesz na swoim paliwie, mówię to zawczasu, zanim sam powtórzysz to po raz kolejny. Zabierasz dziewczynę na wspólną kolację z twoimi przyjaciółmi, prawda? A w każdym razie coś w tym stylu... W gruncie rzeczy nie masz najmniejszego powodu, żeby się dąsać, co nie? Sam przecież powiedziałeś... Rozerwij się... Uśmiechnij!!! I właśnie to zrobiłam. Dlaczego w takim razie ty też nie miałbyś wziąć ze mnie przykładu?

Wciąż się nie odzywam.

- A masz ci. Nabzdyczył się na amen. Zrobił nadąsaną minę. Wolałbyś, żeby naprawdę umarli? Dobra, w takim razie spróbujmy zafundować sobie taką krótką *conversation*... A co u twoich starych?

- Świetnie, są w separacji!

- I masz ci! Ale banał. O rany, jakież ty jesteś przewidywalny. Czy naprawdę nie jesteś w stanie wymyślić nic lepszego?

- Cóż ja na to poradzę, skoro taka jest prawda. Ty to naprawdę niezła jesteś. Widzisz, to twoja wina, że pozbawiłaś naszą rozmowę pozorów prawdopodobieństwa.

- Chyba nie mówisz poważnie...

- Już ci powiedziałem, że tak.

Teraz to ona przez jakiś czas milczy. Patrzy na mnie zbita z tropu. Usiłuje mnie rozgryźć, cokolwiek krzywo na mnie patrząc.

- To nieprawda.

- Przecież już ci powiedziałem, że tak.

Wciąż nie jest do końca przekonana, czy prawdą jest to, czego się ode mnie dowiedziała. Prowadząc, odwracam się do niej i zaczynam się jej przyglądać. Przez chwilę tak trwamy, wpatrujemy się sobie w oczy. Trochę jak byśmy ze sobą rywalizowali. To ona pierwsza opuszcza wzrok. Wygląda, jakby się zarumieniła. Ale jest zbyt ciemno, by dało się ocenić, czy jest tak rzeczywiście, czy też nie.

- Ej, patrz lepiej przed siebie, na drogę. Benzyna jest wprawdzie twoja, ale samochód mój, prawda? A skoro tak, to masz mi go nie skasować.

Uśmiecham się bezwiednie.

- Wcisnąłeś mi wierutną bzdurę, mam rację? Wcale nie są w separacji.

- Jak to nie, i to już od lat.

- No, jeśli to prawda, bardzo mi przykro. W każdy razie przeczytałam gdzieś, że ponad sześćdziesiąt procent par, które mają dorosłe dzieci, jest w separacji. A więc...

- A więc?

- To okoliczność, której nie możesz wykorzystywać, byle tylko zgrywać ofiarę.

- Ale kto tu chce zgrywać ofiarę. Co ty wygadujesz...

Chciałbym jej wszystko opowiedzieć, może dlatego że nic o mnie nie

wie albo dlatego, że wzbudza moje zaufanie, albo z jakiegoś jeszcze innego powodu, o którym sam nie mam pojęcia. Ale tego nie robię, coś mnie powstrzymuje.

- O czym myślisz? O twoich rodzicach?

- Nie, myślałem o tobie.

- A o czym to myślałeś, skoro mnie wcale nie znasz?

- Myślałem sobie, jak to jest fajnie, właśnie kiedy kogoś nie znasz i ten ktoś siedzi przy tobie, i ile problemów masz tym samym z głowy, jak możesz sobie tego kogoś wyobrażać, puszczasz wodze fantazji, dajesz się jej ponieść.

- I dokąd to cię poniosło?

Specjalnie robię pauzę.

- Daleko.

Nawet jeśli tak nie jest, i tak dobrze się bawię, kiedy jej to mówię.

- Przyznaję, jest inaczej, niż sądziłem, coś mi się zdaje, że to ty miałaś rację.

- To znaczy?

- Faktycznie wykorzystuję sytuację.

- Idiota. Skończony kretyn z ciebie. Chcesz zasiać we mnie niepokój, prawda? Ale i tak ci się to nie uda, przykro mi. Mam trzeci dan. Wiesz, co znaczy trzeci dan, czy też nie masz zielonego pojęcia? Cóż, wyjaśnię ci to raz-dwa.

Zalewa mnie potokiem słów, a ja słucham jej rozbawiony.

- To znaczy, że nawet nie zdążysz położyć na mnie ręki, a ja już ci ją przetrączę, rozumiesz? Trzeci dan, w karate. Trenowałam też kick boxing. Tylko spróbuj wyciągnąć do mnie rękę, a już po tobie. Po tobie.

- Całe szczęście. W takim razie jestem bezpieczny.

Nie zdążam nawet skończyć zdania, gdy nagle tracę panowanie nad kierownicą. Micra wpada w dziki poślizg. Błyskawicznie wykręcam kierownicę w przeciwną stronę i zdejmuję nogę z gazu. Ginevra ląduje wprost na mnie. Łagodnie zjeżdżam na prawą stronę, gdy tymczasem ona wraca na swoje miejsce. Przestraszyła się. Z całej siły uderza mnie pięścią w ramię, raz za razem, ciągle w to samo miejsce.

- Durniu, przestraszyłeś mnie! Skończony kretyn z ciebie!

Śmieję się. - Ała, przestań, bądź grzeczna. Słuchaj, nie mam z tym nic wspólnego. Coś mi się zdaje, że złapaliśmy gumę.

- Co ty wygadujesz! Zrobiłeś to specjalnie!

- Mówię ci, że nie.

Wysiadam z samochodu i zaglądam pod spód od strony maski, żeby sprawdzić koła.

- O tutaj, widziałaś?

Też wysiada i widzi przebitą oponę.

- I co teraz?

- Teraz mam nadzieję, że masz zapasowe koło.

- Pewnie, że mam.

- Świetnie!

Stoimy tak przez chwilę i się sobie przyglądamy.

- No i?

- No i co? Idź i je przynieś, nie?

- Sorry, ale to ty prowadziłeś. Czyli wina leży po twojej stronie.

- Może... Ale to twój samochód. A skoro tak, to sama zmienisz sobie koło.

Ginevra się obrusza i idzie w stronę maski samochodu.

- Będzie raczej z tyłu, nie z przodu!

- Tylko sprawdzałam, czy nic się nie wgniotło - kłamie.

- Jasne... Jasne... Jakżeby inaczej.

Otwiera bagażnik i unosi podłogę bagażnika, pod którą leży koło.

- Ale jak je stąd wyjąć?

- Widzisz tę wielką śrubę pośrodku? Odkręć ją, a potem pociągnij koło do siebie.

Stosuje się do wszystkich moich zaleceń, koło już jest odkręcone. Próbuje je wyciągnąć, ale w połowie koło wpada jej do środka bagażnika tak, że aż odbija się od spodu. Nie daje rady.

- Sorry, ale dlaczego mi nie pomożesz?

- A co to ma do rzeczy? Zachowuj się, jakby mnie tu nie było. Sama przecież powiedziałaś, że nie uwzględniałaś mnie w planach na swój dzisiejszy wieczór, tak? O tym całym gładzeniu na temat równości płci już nawet nie wspomnę, a poza tym jest coś jeszcze, coś znacznie ważniejszego.

Staje naprzeciwko mnie, trzymając się pod boki. - Posłuchajmy. Co to takiego?

- Sama powiedziałaś, że masz trzeci dan, zgadza się? Pomyśl tylko, jeśli teraz wymiękniesz przez jedno koło... Ha, ha...

Patrzy na mnie wkurwiona nie na żarty. Nieomal daje nura do bagażnika, obejmuje koło i wygina plecy w koci grzbiet. Wkłada w to mnóstwo wysiłku, zbliżam się do niej niezwłocznie, żeby pomóc, ale udaje jej się uwinąć, zanim się przy niej zjawiam.

- Sama sobie dałam radę, a coś ty myślał. - A już po chwili, kiedy mnie mija, specjalnie popycha mnie ramieniem i mówi: - Weź spadaj! Zejdź mi z drogi, bo nic tylko tu zawadzasz i tyle.

Toczy koło, niewiele brakuje, żeby popchnęła je na mnie.

- To co, spadasz stąd w końcu, czy jak?

- A jakżeby inaczej, co więcej pójdę, siądę tam pod drzewem i zapalę sobie papieroska. Ej, tylko weź się streszczaj, jasne?!

- Właśnie, idź sobie, ale już.

Idę na pobocze, przysiadam na murku i zapalam papierosa. Nie ruszam się stamtąd, przyglądam się jej ukryty w mroku. Po chwili krzyczę do niej z daleka:

- Zuch dziewczyna, rewelacja, świetnie ci idzie.

Wsuwa głowę pod samochód, żeby podstawić lewarek. Klęczy, ręce trzyma oparte na ziemi, palce ma uniesione w górę i patrzy, gdzie powinna go umieścić. Jej obciśnięty džinsami tyłek wyrasta niczym niewielkie wzniesienie wprost z samego asfaltu, wyraźnie odcinając się od karoserii samochodu, która wygląda jak niebo. Kręci pupą, starając się znaleźć odpowiednie miejsce dla metalowej nasadki lewarka. Coś pięknego.

- Ej, nawet nie masz pojęcia, jakie mam stąd widoki. Sama powinnaś to zobaczyć. Księżyc, i to w całej pełni, чудо. Wiesz, że jest pełnia? Podnosi się, otrzepując ręce. Palcami delikatnie strzepuje sobie z dłoni drobinki z asfaltu, które przywarły do jej miękkiej skóry.

- Jaki znowu księżyc, skoro nic nie widać.

- Jeszcze dwie minuty temu można go było zobaczyć, przysięgam, taki księżyc cały w dzinsie, coś wprost cudownego. Wyłaniał się spod twojego auta.

- Słuchaj, ani słowem się do ciebie nie odezwę.

Zaczyna regulować lewarek, machając wajchą raz w górę, raz w dół, przez co samochód lekko się kołysze.

- Daj znać, kiedy skończysz, a nuż uda mi się zdrzemnąć.

Wyciągam się na murku, leżę sobie na plecach na samym jego brzegu. Patrzę na chmury, które mkną mi nad głową po ciemnym niebie. Właśnie zaczęły się zlewać z dymem, który wypuszczam z ust. Zwiewne, przezroczyste, przetykane jakimś ukrytym światłem, to za sprawą tego księżyca hen, gdzieś wysoko, którego nie widać, choć przecież jest, tylko wyżej, i nie ma na sobie džinsów. Oddycham głęboko. Uśmiecham się i odwracam, żeby na nią popatrzeć. Wciąż tam jest i właśnie odkręca śruby. Mocuje się, usiłując przekręcić klucz. Nie daje rady i skacze, następując wprost na niego. Klucz zamocowany na śrubie odpada i ląduje na ziemi. Ona się złości, brzegiem dłoni, żeby się nie pobrudzić, odgarnia sobie włosy z twarzy. Taka piękna i rozpalona. Znowu mocuje klucz na śrubie i próbuje ponownie. Zbliża się jakiś samochód. Jest ciemny, przejeżdża obok z umiarkowaną prędkością, miga światłami i trąbi. Za chwilę słyszę, jak hamuje kawałek dalej i pospiesznie zawraca na wstecznym, jakby nim kierował jakiś buras. To toyota corolla. Cofa się w dzikim pędzie, lekko nią zarzuca. Wykonuje półobrót na wstecznym. Po czym zatrzymuje się przed micrą Ginevry. Wsiadają jacyś ludzie. Wracam do pozycji siedzącej. To trzech chłopaków. Wyrzucam papierosa na ziemię i zastygam w oczekiwaniu na to, co się będzie działo.

- Ej, cześć, co tak późno robisz tutaj sama?

- Złapałaś gumę, co? Ale pech.

- My to dopiero mamy pecha, przez chwilę wzięliśmy cię za tirówkę.
Zaczynają się śmiać.

Jeden z nich kaszle. Mają pewnie po jakieś mniej więcej dwadzieścia lat, włosy ostrzyżone na krótko, to pewnie żołnierze. Ginevra nie patrzy w moją stronę.

- Słuchajcie, czy bylibyście tak mili i pomogli mi zmienić koło?

- Jakżeby inaczej... Cała przyjemność po naszej stronie. Najmniejszy z nich przysiada na ziemi i kluczem zaczyna odkręcać śruby.

- A niech to szlag, ale pordzewiały.

- No, nigdy nie zmieniałam ani jednego koła w tym samochodzie...

Pierwszy raz złapałam gumę.

- Tak, zawsze musi być ten pierwszy raz.

Jeden z nich śmieje się oblesnie, inni mu wtórują.

- Całe szczęście, że przytrafiło ci się to właśnie dzisiejszego wieczora, kiedy akurat tędy przejeżdżaliśmy.

- Otóż to, całe szczęście, że się tu znaleźliście. - Tym razem Ginevra rzuca w moją stronę wymowne spojrzenie i wykonuje dyskretny ruch ręką, jakby chciała przez to powiedzieć: „Tere-fere, widziałeś? Oni mi pomogli”.

Knypek zmienia oponę w try miga, błyskawicznie odkręca wszystkie śruby i zdejmuje przebite koło. Rzuca je na ziemię nieopodal, tak że odbija się od podłoża, i od razu zakłada nowe. W okamgnieniu trafia w otwory i wkręca w nie śruby, jedną za drugą. Z grubsza przykręca je po kolei, ale nie do końca, po czym raz jeszcze dokręca do oporu każdą z osobna. Za dnia z pewnością jest mechanikiem. Ostatnie machnięcie klucza i podnosi się z ziemi.

- I proszę, już po wszystkim. Gotowe, panienko!

Wyciera sobie ręce w dżinsy, uderzając dłońmi o uda. Spodnie są tak brudne, że nawet nie zostawia na nich śladów.

- Dzięki, sama nie wiem, co bym bez was zrobiła.

Co tu dużo gadać, myślę sobie. Toż to urodzona księżniczka. Wie dokładnie, co i kiedy należy powiedzieć. Chyba że tego akurat mówić nie należy. Sposób taki sam dobry jak każdy inny, byle ich spławić w miłej atmosferze. Ale nie miałem żadnych wątpliwości, nic z tego.

- Ejże, nie tak prędko, coś ty? To tak się z nami żegnasz? Wyższy koleś, a zarazem nieco potężniejszy od pozostałych, przejmuje inicjatywę.

- No, przecież wam podziękowałam. Pewnie zajęłoby mi to trochę więcej czasu, ale nie myśl, że sama też nie dałabym rady zmienić sobie koła, a co!

Koleś spogląda na resztę i się uśmiecha. Ma luźną bordową koszulkę, ciasną przy samej szyi, z czarnym paskiem na klatce. - Dobra, ale daj nam przynajmniej całusa.

- Mowy nie ma.

- Ojoj, myślałby kto, że chcemy, żebyś nam zmarszczyła fredda...

Śmieje się zachwycony, a uśmiech, który wykrzywia mu twarz, dobija nawet mnie. Ma tak szczątkowe użębienie, że gdy się wyszczerza, zniekształca mu się twarz, jakby przywdział groteskową maskę.

- No weź, chyba przyznasz, że całus to niezbyt wygórowane żądanie.

Koleś w okamgnieniu chwyta Ginevrę i ją do siebie przyciąga. Ginevra jest wyraźnie zdezorientowana. A ten obejmuje ją w pasie i próbuje pocałować. Ginevra instynktownie odchyła głowę. Kolesiowi udaje się obślinić jej policzek, nie odpuszcza i usiłuje wepchnąć jej do buzi swój jęzor. Ginevra mu się wymyka. Koleś jest silny, ściska ją kurczowo. Ginevra próbuje kopnąć go kolanem między nogi, ale on za bardzo na nią napiera, dlatego jej się nie udaje. Knypek, ten sam, który zmienił koło, siedzi cicho, bez słowa przygląda się całej scenie. A wręcz sprawia wrażenie, jakby był tym lekko zniesmaczony. Ten trzeci zaś, tłusciuch, śmieje się, stojąc na uboczu, cały przejęty, raczej podekscytowany, kibicuje swojemu przyjacielowi.

- Świetnie, Pie', wepchnij jej język do gardła.

Pie', czyli Pietro, jak mi się zdaje, jednakowoż nie daje sobie z tym rady. A wręcz obrywa od Ginevry, która nie przestaje się miotać i przywala mu z główki.

- Ała, szlag by cię trafił. - Piętro łapie się za czoło.

- Będiesz miał nauczkę, ćwoku! - Ginevra poprawia sobie włosy, stoi na samym środku drogi, w niezbyt dużej odległości od niego, wcale nie ucieka, ani też nie wzywa mnie na ratunek.

- Do mnie ćwoku? Ja ci tu zaraz dam ćwoka. - Koleś rzuca się na nią z impetem. Ginevra pochyla głowę i zasłania się rękami, przyjmując pozycję obronną. Pietro chwyta ją za kurtkę.

Czas wkroczyć do akcji. - Ej, mieliśmy z tobą niezły ubaw, ale już wystarczy.

Piętro ją puszcza, dwaj pozostali są wyraźnie zaskoczeni, widząc, jak wyłaniam się z mroku. Zmierzam w ich stronę.

- A coś ty, kurwa, za jeden?

- Przypadkowy przechodzień. A za kogo ty się, kurwa, masz?

Staję przed nimi. Piętro patrzy na mnie. Ocenia, czy opłaca mu się mi odpowiedzieć. Słowem, czy da sobie ze mną radę, czy też nie. Decyduje, że jednak tak: - Ale weź ty się odpierdol, i to już. - Popełnia gruby błąd. Błyskawicznie wyjeżdżam mu z piachy prosto w maskę, aż miło. Nawet sam nie wie kiedy. Trafiam go z ukosa, ale nie za mocno, dość żeby roztrzaskać mu nos. Widzę, jak chwieje się na nogach i rozpaczliwie usiłuje mi się odwinąć. Znów go uderzam, z lewej, wprost w prawy łuk brwiowy, z całej siły, celnie, bezlitośnie, z premedytacją. Osuwa się na ziemię z głuchym tąpnięciem, nie zdąża się nawet ruszyć, kiedy z kopa wyjeżdżam mu prosto w samą twarz. Trach. Zanim jeszcze udaje mi się cofnąć nogę, już się zbiera kałuża krwi. Sący się obficie, płynna i jeszcze ciepła, z nosa wprost na jezdnię, powoli w mroku zlewa się z asfaltem. Piętro, czy też jak mu, kurwa, tam, ma otwarte usta,

oddycha, wypuszczając przy tym dziwne bąbelki, a strugi krwi zalewają mu wargi. Raz po raz wypluwa gdzie popadnie pojedyncze krople krwi przemieszanej ze śliną. Teraz już nie jest mu do śmiechu.

- No... - Patrzę na Ginevrę. - Chodźmy już, bo w przeciwnym razie jak nie się spóźnimy.

Sięgam po przebitą oponę, wrzucam ją z tyłu do bagażnika i go zamykam. Przechodzę koło knypka, który wymienił koło, mijam go. Tłuszcioch z kolei stoi nieopodal samochodu. Najwyraźniej wolno jarzy. Prawą ręką błyskawicznie wykonuję zamach. Kciukiem i wskazującym chwytam go za ucho, ściskam z całej siły, wykręcając mu je jednocześnie, przepełniony złością. Chętnie bym mu je urwał.

- Ała, kurwa, ała.

- Spadaj stąd, ćwoku. I schudnij. - Po raz ostatni wykręcam mu je bezlitośnie, po czym go puszczam. Zastyga skulony, z rękami złożonymi jak do modlitwy na swoim uchu, a ja tymczasem wsiadam do samochodu. Czekam, póki Ginevra nie zatrzaśnie za sobą drzwi i ruszam, dłużej nie zwlekając. Widzę całą trójkę w bocznym lusterku. Znikają gdzieś w oddali, spowici mrokiem nocy, która rozciąga się między nami.

- No i jak się czujesz?

Siedzi w milczeniu. Próbuje ją rozśmieszyć.

- Ci trzej nie mają nawet pojęcia, jakimi są farciarzami. Wystarczyłoby, żeby trzeci dan wpadł w furję i goście mieliby przechlapane, co?

Ale nic z tego. Zero, zastygła bez słowa. Patrzę na nią. Włosy jej opadają, jakby na znak porażki, zasłaniając część twarzy. Lekko rozchylone usta wynurzają jej się z kryjówki, niepewne i skonsternowane, lekko drżą.

- Ginevra, no co ty, już wszystko w porządku.

- Gówno prawda! Pomyśl tylko, gdybym złapała gumę i była sama.

- Ale tak się nie stało.

- Ale mogło. Tych trzech by się zatrzymało i co by było dalej?

- Ale mogło zdarzyć się i tak, że to ja przejeżdżałbym na motorze i najzwyczajniej w świecie pomógłbym ci zmienić koło. - Staram się ją uspokoić.

- Wierzyć mi się nie chce, że takie z was kutasy... We trzech się zasadać, żeby wykorzystać dziewczynę, która jest całkiem sama, co za pojeby!

Widzę, że się zafiksowała. Próbuje jakoś rozładować atmosferę.

- Dobra, powiedzmy, że masz świetny tyłek.

- A bo co, może to twoja zasługa?

- Skąd, nie moja. A nuż twoich rodziców. Masz naprawdę świetny tyłek, w pełnym tego słowa znaczeniu. Znaczy, było go widać w całej okazałości, jak zmieniałaś koło. Można powiedzieć, że to poniekąd twoja wina... Żeby przybierać takie pozycje, i to w ten sposób... Słowem, zbyt silnie podziałałaś na wyobraźnię tych nieszczęśników.

- Aha, czyli chciałbyś przez to powiedzieć, że mój tyłek, wciśnięty w najbanalniejsze na świecie dzinsy, stanowi zamach na cudzy spokój.

- Właśnie, dokładnie tak.

- Na jakim świecie ty żyjesz?! Wyobraź sobie w takim razie, co by się działo, gdyby gumę złapała taka chociażby Jennifer Lopez. Do czego by wówczas doszło? Rozpętałyby się wojna światowa.

- Ale co to ma do rzeczy. Ona swoją pupkę ma ubezpieczoną na miliony dolarów...

- I co z tego?

- Ostatecznie może ją poświęcić bez bólu.

- A weźże ty spadaj. Skończony idiota z ciebie.

- Próbowałem tylko cię rozśmieszyć.

- Cóż, najwyraźniej ci się nie udało.

Siedzimy w milczeniu, jadę przed siebie. Gin nastawia głośniej radio, chce nie myśleć. - Bardzo lubię tę piosenkę. Wiesz, o czym jest?

Staram się w nią wsłuchać. Ale samego siebie nie będę oszukiwał. Doskonale nauczyłem się obsługiwać komputer, znam się na grafice, 3D i całej reszcie, ale co do angielskiego to zawsze byłem z nim na bakier. - Coś tam rozumiem...

- Leci tak: *Nie mam pojęcia o historii, o matematyce...* - Gin nie przestaje tłumaczyć, wybawiając mnie z opresji.

Słucham jej. Mówi wolno, uśmiechając się przy tym, wydaje się, że nic jej nie umknęło.

- Bardzo ładna. - Sam nie wiem dlaczego, ale wygląda, jakby ją puścili specjalnie, w idealnym momencie. - Tak, piękna. - A zaraz po niej leci następna piosenka. Ale tym razem nie nastrecza mi ona najmniejszych problemów. *Ty - spowita w kwiaty i światła miasta, z mgłą lub kolorami, kiedy zrywasz róże, na bosaka, a potem...* Daję się ponieść. Patrzę przed siebie, w ciemność. To jeden z tych dziwnych zbiegów okoliczności, muzyka w odpowiednim momencie, samochód, który właściwie nie jest twój, droga bez świateł, zero ruchu, naprzeciw nieskończoności, z dziewczyną u boku. Do tego jeszcze piękną jak marzenie. Poprawia sobie kurtkę.

- Dużo jeszcze brakuje do spotkania?

Właśnie w tej samej chwili wjeżdżamy na rozjazd, tuż przed tunelem prowadzącym do Prima Porta. Wszyscy już tam są: Bardato, Manetta, Zurli, Blasco i kilka jeszcze innych osób. Wśród nich widzę też parę dziewczyn. Mijam ich, nawet się nie zatrzymując.

- Nie, już niedługo będziemy na miejscu. - Przyspieszam, choć i tak nie sądzę, by mnie rozpoznali. Spodziewali się, że przyjadę na motorze. I to sam. Ja zaś siedzę w samochodzie, i to razem z nią. Nadal się rozglądam, jakby nigdy nic. Gin wygląda przez szybę.

- Widziałeś? Tam jest grupka, która czeka na jakiegoś spóźnialskiego. Co za absurdalne miejsce na spotkanie.

A mówiąc to, spogląda na mnie. Serce mi wali. Nie mogę uwierzyć, że się połąpała.

- Właśnie, absurdalne miejsce.

Nie przestaje mi się przyglądać: - Dziwna jest ta cała sytuacja, prawda?

- Jaka sytuacja? - Mam nadzieję, że nie zachce jej się znów rozmawiać o tamtej grupce.

- No, że tak sobie siedzimy razem w samochodzie, ty i ja, dwoje całkiem obcych sobie ludzie. A zarazem wszystko zdążyło się już wydarzyć. Kiedy się spotkaliśmy, o mały włos nie doszło między nami do bójki... I to z powodu śmiesznych dwudziestu euro.

- Z których chciałaś mnie skroić.

- Tak, ale przestań wciąż się wdawać w zbędne szczegóły. Bo zaraz złapiemy gumę i znów będę musiała zmieniać koło.

- Mów dalej. Ty też przestań się wdawać w zbędne szczegóły. - Gin się uśmiecha.

- Zatrzymuje się trzech kolesiów, jeden z nich się do mnie podwala, ty dajesz im wycisk, a teraz jedziemy sobie razem na kolację z grupą twoich przyjaciół. Właściwie to już jakby jesteśmy jedną z takich klasycznych par... Typowy wieczór, z paroma nieprzewidzianymi incydentami na dodatek.

- Właśnie, tyle że my nie jesteśmy razem.

- Ach, oczywiście.

Jadę przed siebie, ale jej stwierdzenie brzmi dla mnie trochę nieswojo.

- Co ma znaczyć: „Ach, oczywiście”?

- Znaczą: „Ach, oczywiście”, ni mniej, ni więcej. - I zaczyna się śmiać.

- No, to „Ach, oczywiście” wcale nie znaczy wyłącznie: „Ach, oczywiście”. Za tym się kryje znacznie więcej, co?

Patrzę na nią w oczekiwaniu na odpowiedź.

- Ty chyba rzeczywiście musisz mieć lekkiego świra na punkcie tego, co z „tyłu”? To, co ja mam z tyłu, stanowi zamach na cudzy spokój, u ciebie zaś to, co z „tyłu” stanowi stały podtekst we wszystkich rozważaniach. Ej, sorry, ale czyżbyśmy byli razem?

- Na razie nie.

- Nie, odpowiedź w tym wypadku, skoro już o tym mowa, ma brzmieć tylko i wyłącznie „nie”, żadne tam „na razie nie”. Jasne?

Małeńka zaczyna się rozkręcać.

- Aha, jasne.

- Czyli nie jesteśmy razem.

- Nie.

- O, dobrze.

Odczekuję kilka sekund. - Na razie.

Gin patrzy na mnie poirytowana. - Zawsze chcesz postawić na swoim, co?

- Zawsze.

- Cóż, wobec tego umówmy się następująco. Nie jesteśmy razem, na razie i z całą pewnością aż do końca tego wieczoru. A jeśli nadał będziesz się ze mną spierał, wówczas wymienię jeszcze odleglejsze daty, mogę nawet posunąć się do najodleglejszych miesięcy, czy jasno się wyrażam?

- Tak jasno jak to tylko możliwe. Uśmiecham się.

- Jednak zdążyłem się już przekonać, że zbyt ostentacyjna pewność siebie jest synonimem czegoś wręcz przeciwnego. Czy mam wyrażać się jaśniej?

- Tak.

- Byłoby lepiej, gdybyś po prostu powiedziała „na razie”. - Uśmiecham się. Gin kręci głową.

- Na razie sobie odpuszczam, bo mam już tego dosyć. A poza tym do czego to doszło, że ty i ja spieramy się o to, że nie jesteśmy razem?

- Właśnie, zazwyczaj ludzie spierają się ze sobą, kiedy już są razem. Znaczy, że zaczęliśmy wszystko na odwrót.

- Ależ przecież niczego jeszcze nie zaczęliśmy. Hamuję powoli i zjeżdżam na pobocze.

Gin patrzy na mnie zaniepokojona. - A teraz co? Zacznieś się do mnie przystawiać?

- Nie, na razie. Tutaj byliśmy umówieni ale nikogo nie widzę. Pewnie już sobie poszli, spóźniliśmy się.

- To ty się spóźniłeś.

- Okay, to ja się spóźniłem.

- Jakim cudem przyznajesz mi rację?

- Jeśli zaczniemy się tak spierać o każdą rzecz, to się rozstaniemy, jeszcze zanim się ze sobą zwiążemy.

Gin tym razem wybucha śmiechem. Ja też się śmieję. Patrzymy na siebie roześmiani, z nieistniejącym spotkaniem w tle. Muzyka głośno gra. Puszczają właśnie stare i nowe przeboje, jeden za drugim.

- Ta jest świetna! Rewelacja!

I komu ty to mówisz: właśnie leci kultowa *Love me two times* Doorsów.

- *Love me two times, girl, one for tomorrow one just for today... Love me two times, I'm goin away...*, tego nie będę ci tłumaczyć.

- Myślę, że sam zrozumiałem, o co chodzi.

Wszędzie wokół jest ciemno. Ale „na razie”, może akurat ona ma rację, lepiej będzie już jechać.

- Dokąd mnie zabierasz?

- Ty i ja jedziemy razem na kolację. A to oznacza, że moich przyjaciół poznasz kiedy indziej.

- Jakie znów „kiedy indziej”?

Patrzę na nią w oczekiwaniu na reakcję. Postanawiam zawrzeć rozejm.

- No, o ile nadarzy się kiedyś jakaś okazja.

- Właśnie, o ile nadarzy się kiedyś jakaś okazja.

Cała zadowolona nastawiam głośniejszą muzykę i zmieniam stację, szukając gorączkowo sama nie bardzo wiem jakiej piosenki. Po chwili, nie bardzo zdając sobie z tego sprawę, w półmroku samochodu kątem oka spoglądam na Stepa.

Wprost nie mogę w to uwierzyć... Ja, Gin, w jednym samochodzie razem z nim. Gdyby tylko moi starzy się o tym dowiedzieli. Sama nie wiem dlaczego,

ale to nieodmiennie pierwsza myśl, jaka przychodzi mi do głowy. To znaczy, gdyby moi rodzice wiedzieli, że właśnie teraz siedzę w samochodzie z jakimś nieznanym, a właściwie kimś, kto według nich jest mi obcy, jakby na to zareagowali? Już sobie wyobrażam moją matkę: - No coś ty, oszalałaś? Ginevra, nigdy nie pozwalaj nikomu się ze sobą spoufalać. Z tysiąc razy ci to powtarzałam... - Oj, nic się na to nie da poradzić, cokolwiek by to było, nie wiedzieć czemu, moja matka zawsze Utrzymuje, że powtarzała mi to z tysiąc razy. Masz ci los. Jedno jest pewne: czego jak czego, ale tego nigdy by się nie spodziewała. A poza tym co takiego mogłabym jej powiedzieć? Ale wiesz, to po to, żeby zatankować. .. Jak zdołałabym jej wyjaśnić, o co tak naprawdę chodzi? Nie, nie chcę o tym myśleć. Skoro nawet ja sama nie mogę w to uwierzyć.

- Wiesz, z kim mi się wcześniej skojarzyłeś?

- Kiedy?

- Kiedy zmieniałam koło i pojawiło się tych trzech debili.

- Z kim ci się skojarzyłem?

- Z Richardem Gere'em.

- Z Richardem Gere'em?

- Tak, w scenie z *Oficera i dżentelmena*, kiedy on i jego przyjaciel umawiają się z tymi dwiema dziewczynami i idą do baru. Później, kiedy już wychodzą, pojawia się ten, który razem z innymi kumplami zaczepia dziewczyny, i Richard Gere robi wszystko, żeby uniknąć awantury, ale w końcu mu się to nie udaje i rozwala tamtemu gościowi twarz.

- Czy Richard Gere też miał trzeci dan?

- Nie, głupku. To były ciosy jak w walkach fuli contact.

- A jednak masz jakieś pojęcie.

- Już ci przecież mówiłam. Trenowałam też kick boxing i miałam kilka lekcji z walki fuli contact. Nie wierzysz mi? Prędzej czy później się o tym przekonasz.

- A, to z pewnością... a poza tym bardziej adekwatny od *Oficera i dżentelmena* wydaje mi się inny cytat. Ezechiel 25,17: „I dokonam na tobie srogiej pomsty w zapalczym gniewie i na tych, którzy chcą zatruć i zniszczyć moich braci; poznasz, że ja jestem Pan, kiedy wywrę na tobie moją zemstę!”.

- Ach, skromniacha z ciebie, co?! W każdym razie lubisz *Pulp Fiction*.

- Tak.

- I to nawet bardzo, biorąc pod uwagę, jak urządziłeś tamtych dwóch. Step się uśmiecha i jedzie przed siebie. Kto wie, co takiego miał na myśli, kiedy powiedział: „A, to z pewnością...”. Lepiej nie drażyć. Patrzę na niego, patrzę, jak prowadzi. Prawą ręką pewnie trzyma kierownicę, ma napięte mięśnie, ale jednocześnie sprawia wrażenie całkowicie odprężonego. Lewy łokieć opiera o krawędź przy oknie, a dłoń tej samej ręki podstawił sobie pod brodę. Prawą dłoń trzyma wyżej, na środku kierownicy, zaciska ją mocno i przytrzymuje, kiedy łagodnie wchodzi w zakręt. Na nadgarstku ma tatuaż, tuż

obok sztywnej złotej bransoletki. Tatuaz wygląda mi na... Przysuwam się, tak żeby się nie zorientował.

- To mewa.

- Co?

- To mewa, mój tatuaz na nadgarstku.

Uśmiecha się do mnie, odrywając na moment wzrok od drogi.

Czuję, jak się rumienię, ale jestem pewna, że nic nie widać. – Patrz na drogę.

- A ty na swoje tatuaze.

- Nie mam tatuazy.

- Nie pozwolili ci zrobić sobie choćby jednego?

Step uśmiecha się złośliwie, nabija się ze mnie.

- Moi rodzice nie mają z tym nic wspólnego, to mój wybór.

- Ach tak, oczywiście, rozumiem...

Patrzy na mnie cały wyrozumiały i unosi brew, ewidentnie robiąc sobie ze mnie jaja.

- To twój wybór...

- Tak, mój.

Siedzimy w milczeniu. Ale po jakimś czasie zaczyna mnie to drażnić.

- A tak w ogóle to cię okłamałam. Mam tatuaz, śliczny, ale wątpię, byś kiedykolwiek mógł go zobaczyć.

- Jest dobrze ukryty?

- Zależy od punktu widzenia.

- To znaczy?

- Och, założę się, że doskonale zrozumiałeś.

- Tak, ale nie wiem „na ile dobrze” zrozumiałem, albo raczej „gdzie” zrozumiałem.

- To taka malutka różyczka nisko na plecach, zadowolony?

- Świetnie. Uwielbiam zrywać kwiaty!

- To tatuaz jedyny w swoim rodzaju, wypukły.

- To znaczy?

- Cały w kolcach.

- Zawsze masz na wszystko gotową odpowiedź, co? Ale moje ręce są całe w odciskach.

Też się uśmiecha. Ma ładny uśmiech. Tego nie mogę mu odmówić. Ani też nie mogę mu tego powiedzieć. Ma dziwny dołek na lewym policzku. Ja pierdołę, zajebicie mi się podoba. A na dodatek jest zupełnie inny od Francesco. Sama nie wiem, dlaczego myślę o nim właśnie teraz. Może dlatego, iż wciąż nie mogę sobie darować, że z nim byłam. Francesco jest ostatnim facetem, z jakim byłam związana. A tak właściwie to zarazem jedynym. I największym kutasem, gwoli ścisłości.

Francesco. A wydawał się taki fajny. Ale prawdą jest również, że całą prawdę o miłości poznasz dopiero wraz z upływem czasu. Na początku wszystko wydaje ci się takie fajne. Wkrótce, jak już człowiek się rozpędzi, to, co wydawało się fajne, może się okazać piękne. A nawet nieskończenie piękne... Najczęściej wszakże okazuje się najzwyczajniej brzydkie. Właśnie tak. Francesco był prawdziwym wyjątkiem. Udało mu się sprawić, by wszystko stało się jeszcze gorsze. Potwornie paskudne. Jeden przewidywalny i typowy błąd w sztuce wszystko zepsuł. Nie mogę wymazać z pamięci tamtego wieczora.

- No to jak, co ty na to, żebyśmy sobie zahaczyli o Gildę, chce ci się?

- Nie, dzięki, France, jutro mam odpytywanie z historii, a wciąż nawet nie skończyłam rozdziału.

- Okay, jak chcesz... odwiozę cię do domu. - Tamtego wieczora jechał szybciej niż zwykle, ale ja, zaprzętnięta czymś innym, zupełnie nie zwróciłam na to uwagi. Wsiadłam z samochodu.

- Cześć, dobranoc... A ty co, zajrzysz do Gildy?

- Nie, nie, skoro ty się nie wybierasz, to i mnie się nie chce. A poza tym też jestem zmęczony.

Nie odprowadza mnie pod klatkę, skądinąd nigdy tego nie robił. Dziwne, ale tamtego wieczora jakoś mnie to rozdrażniło. Nie to, żebym sama należała do kobiet, które się boją, albo uwielbiają, by im wszędzie towarzyszyć. A jednak taka zwłoka, te kilka kroków do samej klatki zawsze kojarzyło mi się z czymś przyjemnym, czego nigdy tak naprawdę nie zaznałam. Może dlatego, że sprawia, iż czujesz się ważniejsza od czasu i pośpiechu, a może dlatego, że to szansa na jeszcze jeden ostatni pocałunek. Francesco tymczasem ledwie doczekał, aż przekręć klucz w zamku do mnie na klatkę i pożegnam go z daleka, i bezzwłocznie ruszył z piskiem opon, odpalając swojego najnowszego mercedesa 200 SLK. Szybko. Zbyt szybko. To raptem tylko przecucie. Głupie przecucie. A jednak może się okazać najmądrzejsze na świecie.

Trochę później. Zakuwałam, powtarzałam sobie cały rozdział i wreszcie poczułam, że coś z tego do mnie dotarło. Patrząc na zegarek. Wpół do trzeciej. Puszczę Fra' jeden sygnał, a co. Mam ochotę posłuchać, jak do mnie mówi tym swoim głosem i choć przez chwilę nie myśleć o całej reszcie. Nie mogę się przecież położyć, skoro głowa aż mi pęka od dat i faktów z wykutego rozdziału podręcznika do historii. Nic, telefon dzwoni w próżnię. Bardzo dziwne. Zajmuje malutkie mieszkanko tuż pod swoimi starymi, zostawiła mu je babcia, która przeniósł się do Rieti. Telefon wciąż dzwoni. Nie słyszy, a może już śpi jak zabity albo... Niemożliwe żeby nie słyszał. Kurczę, skoro siedzi w domu, to przecież musi słyszeć. Ma tam raptem wszystkiego dwa pokoje plus kuchnię i łazienkę. Dobrze znam jego mieszkanie, wiele razy spędzałam tam weekendy. Sama myśl, że spędziłam z nim tyle czasu, złości mnie jeszcze bardziej. Te

weekendy pełne takiej bliskości, a on nawet nie odbiera. Nic, i tak nie chce mi się spać. Wiesz, co zrobię? Wyjdę i zadzwonię do niego z dołu domofonem. Maskuję łóżko, jak tylko się da, wkładam poduszkę pod prześcieradło, tam gdzie zwykle sama leżę, a ubranie na jutro do szkoły już mam przygotowane na krześle. Potem powolutku, na paluszkach mijam pokój moich rodziców, biorę klucze do polo (wówczas jeszcze nie miałam mojej obłędnej micry) i ruszam przed siebie w noc. To co, chcesz się przekonać, czy ten kutas nie poszedł sobie do Gildy? Dziesięć po trzeciej. Lepiej zajrzeć najpierw tam. Parkuję w drugim szeregu na via Mario dei Fiori i idę w stronę drzwi. Jest Massimo, bramkarz, który się ze mną wita. - Ej, cześć, Gin, co ty tu robisz o tej porze?

- A jak myślisz?

- Chce ci się tańczyć, tak?

Idiota.

- Tak naprawdę to chciałam przez jedną noc postać sobie na bramce.

Śmieje się cały zadowolony. - Dobrze, to ci się dopiero udało.

- Posłuchaj, nie widzę mercedesa Francesca.

- Niezła bryka, co?

- Tak, fantastyczna. Wiesz przypadkiem, czy siedzi w środku?

- Nie, dziś wieczór w ogóle się tutaj nie pojawił. Wiem, bo się stąd nie ruszałem. A poza tym szukał go też Antonello, który zajrzał tu jakieś pół godziny temu. Rozglądał się za nim po całym lokalu, ale już sobie poszedł. Nie znalazł go, najwyraźniej Francesco go wystawił, bo Antonello sam mi powiedział, że mieli się zobaczyć. Proszę. - Wpuszcza grubego mężczyznę z kobietą, która ma na sobie więcej złota niż ciuchów, a do tego makijaż tak ciężki, że wpędza w popłoch nawet jej własne zmarszczki.

- Dobra, jeśli go zobaczysz, to mu powiedz, że go szukam.

- Okay, cześć. Gin. Dobranoc.

Akurat, dobranoc... fajnie by było! Fakt, że nigdzie nie mogę go znaleźć, coraz bardziej działa mi na nerwy. Przejeżdżam pod domem Francesca. Guzik, nie ma mercedesa. Zwykle parkuje na ulicy, bo i tak w pobliżu stoi wóz karabinierów, którzy pilnują jakiegoś na razie jeszcze nieskompromitowanego polityka albo świadka koronnego, bo ja wiem, nigdy tego nie rozgryzłam. Jeden karabinier stoi w pobliżu wozu. Witam się z nim, kiedy go mijam swoim polo. Staram się w jakiś sposób umilić mu wieczór. Patrzy na mnie, jak się oddalam. Widzę w bocznym lusterku, jak wciąż wpatruje się w moje polo, które jedzie przed siebie, i wiem, że facet zachodzi w głowę, z jakiej racji się z nim w ogóle przywitałam. W najgorszym wypadku po prostu wzbudziłam jego ciekawość. Daję sobie spokój z karabinierem i myślę o Francescu. Gdzież on się, do licha, podział? Niech to szlag trafi, już wpół do czwartej. Jutro jest odpytywanie. Zostały mi zaledwie cztery godziny snu. O ile oczywiście uda mi się go zawczasu odnaleźć. W mojej historii miłosnej postanawiam wcielić się w rolę karabiniera i zbadać dogłębnie całą sprawę. Szkoda, że nie ma ze mną Eleonory. Ele, bo tak ją nazywamy, to moja najlepsza przyjaciółka. Musiała wyjechać,

pojechała do Toskanii, żeby odwiedzić rodzinę. Ele z urodzenia jest florentynką, z czasem przeniosła się do Rzymu. Toscanaccia, tak na nią mówimy.

- Ej, ty, niekumata, ej, Ele... Śpiąca królewno...-Wszystkowiedząca. -
Twoja kolej, wstawaj do odpowiedzi, sprawa zwłoki niecierpiąca.

Żartujemy sobie, nabijamy się z niej, ilekroć siedzimy w klasie, a ona mogłaby zostać wezwana do tablicy. Kurczę, gdyby tylko tu była, to z pewnością dotrzymałaby mi towarzystwa. Każda wymówka jest dla Ele dobra, byle tylko nie wracać do domu przed świtem. Szkoda. Cóż, może zajrzę do Simony, zważywszy że mieszka tu w pobliżu. Simona to rzymianka z krwi i kości, blondynka, świetne ciało, ma trochę dziwny charakter. Ale jest fajna. Już od roku spędzamy razem czas i istotnie bardzo się ze sobą zżyliśmy. Oczywiście spotyka się to z dezaprobatą Ele. Utrzymuje, że w głębi duszy Simona to wredna suka.

- Możesz mieć do mnie zaufanie, możesz mi wierzyć jakem Toscanaccia, tym razem to ty jesteś niekumata. - A ja w śmiech. Ele jest zazdrosna. To oczywiste, nie może ścierpieć, że raz na jakiś czas ja i Simona się razem umawiamy. Właśnie zajechałam, już stoję pod jej domem i tutaj ma miejsce coś nieprawdopodobnego. Albo raczej coś bardzo prawdopodobnego, bo kiedy dzwonię domofonem do mieszkania Simony, otwierają się drzwi na klatkę i z budynku wychodzi Francesco. Jest za kwadrans czwarta. Jakby sama pora nie była wystarczająco wymowna, na dodatek pojawia się bez krawata, w rozpiętej koszuli i, co najgorsze, ma ten swój wyraz twarzy, który sama widziałam już nieraz. Widziałam go aż nazbyt często. Teraz żałuję, że miałam z nim cokolwiek wspólnego. Po miłosnych pieszczotach wszyscy robimy się łagodniejsi. Rysy twarzy nam się rozluźniają, oczy lekko wilgotnieją, usta stają się pełniejsze i łatwiej przychodzi nam się uśmiechnąć, chociaż zajmuje nam to trochę więcej czasu. Francesco nie zdąża wykrztusić z siebie ani słowa.

- Gin, ja... - próbuje się tłumaczyć, ale pluję mu w twarz. Nacharchałam na niego elegancko. Trafiony, zatopiony, nawet na niego nie spojrzę. Kiedy odchodzę, jedyne, o czym myślę, to że zaraz się wytrze.

- Gin, stój, wszystko ci wytłumaczę.

- Co wszystko? Co tu jest do tłumaczenia?

Wsiadam do polo, które zaparkowałam w drugim szeregu, a on leci za mną, próbuje uniemożliwić mi zamknięcie drzwi, ale się nie wyrabia. Zamykam się w środku i blokuję zamek.

- Gin, nie jest tak, jak myślisz. Pierwszy raz z nią byłem. Poczekaj, nie jedź jeszcze, Gin. - Odczekuje jeszcze chwilę, po czym mówi coś, czego nigdy nie chciałabym od niego usłyszeć. A w każdym razie nie w chwili takiej jak ta. -
Gin, ja cię kocham.

Opuszczam trochę szybko. - Ach, tak? I dlatego właśnie posuwasz taką pannę jak Simona. Wyobraź ty sobie, że jedyne, co w tobie kocham, to twoja bryka! -
Ruszam na pełnych obrotach i przejeżdżam kilka metrów, rozglądając się za nią. O, tam stoi. Zaparkował ją praktycznie pod samą klatką, nawet się nie wysilił,

żeby nie rzuciła się w oczy. Stoi sobie właśnie tam ten jego wypasiony mercedes 200 SLK srebrny metalik. Zatrzymałam się moim polo. Czuję się jak byk, który lada moment ma się zmierzyć z toreadorem, nadymam się i parskam, a nogą droczę się z pedałem gazu. Rozpędzam się, dociskam go tak ze dwa, trzy razy. Myślę o mamie i o jej polo. Cóż, będę musiała coś wykombinować, już na samą myśl czuję się niezdrowo podekscytowana. W lusterku widzę, że Francesco biegnie i jest coraz bliżej. Ale już za późno, za bardzo spodobał mi się mój pomysł... Co za rozkosz! Bajka! Zapinam pas. W życiu są rzeczy, których nie można sobie odpuścić, bezcenne. Właśnie teraz nadszedł taki moment. Puszczam sprzęgło i ruszam na pełnym gazie. O to chodzi. Widzę, jak w zawrotnym tempie zmniejsza się dystans, który dzieli mnie od auta. Jego mercedes, piękny, nowiusieńki, najświeższy model. Przyhamowuję dopiero w ostatnim momencie, instynktownie, głównie żeby nie zapłacić za to własnym życiem. Bum. Genialne zderzenie, zarzuca mnie na siedzeniu. Trafiony, i to jeszcze jak; z boku, w same drzwi. Wrzucam wsteczny. Polo wydostaje się z jakimś trudem, ale już po chwili jedzie jakby nigdy nic. Mam przed sobą mercedesa, jest kompletnie zdewastowany, nawet szyba mu popękła. Nie czuję się na siłach szacować strat własnych, ale jeśli chodzi o wyraz twarzy Francesco, to wyobrażam go sobie z nieukrywaną przyjemnością. Co więcej, mam go jak na dłoni, wygląda jak zaprogramowany. Co za frajda... Patrzy na swój skasowany samochód. Jest wstrząśnięty, nie wierzy własnym oczom, nie chce im wierzyć, ale musi. I to jeszcze jak musi... A wiesz co? Wjadę w niego raz jeszcze. Tak. Za dużą sprawia mi to frajdę, to coś pięknego. Ruszam rozpędzona, tym razem celuję bardziej w przód. Bum. Wjeżdżam mu w sam środek na pełnym gazie, teraz już się nie boję, nawet nie hamuję. Zdażyłam się już wyrobić. Ogarnia mnie nieposkromiona chęć, by zniszczyć mu go doszczętnie. Przedni zderzak całkiem się rozleciał, nawet maska jest ostro wgnieciona. Francesco tkwi w miejscu, naprzeciwko mnie, oniemiały. Patrzę na niego, wybucham śmiechem i odjeżdżam, machając mu na pożegnanie. Weź, idź się pierdol razem z tym twoim mercedesem. Chuju złamany. Kiedy okoliczności tego wymagają, trzeba posunąć się do ostateczności. A teraz czas pomyśleć o Simonie. Oj, już ja ją urządzę, tę wredną sukę, oj, urządzę. Ale to musi być przemyślana zemsta, na zimno, wykalkulowana, że aż jej w pięty pójdzie. Genialna. Chciałabym znaleźć jeszcze więcej epitetów, o ile to tylko możliwe. Parkuję pod domem i wysiadam z samochodu. Biedne małe polo. Cały przód jest w opłakanym stanie. Ma skasowaną maskę, która wygląda jak powykęciana przez artretyzm ręką, stłuczone obydwa światła i przebitą gumę. Cholera jasna, co ja teraz powiem mamie. W windzie nadal się nad tym zastanawiam. Coś tam w końcu wymyślę na potrzeby biednego małego polo oraz tej wrednej suki Simony. Tak, coś w końcu przyjdzie mi do głowy, jestem tego pewna. Rozbieram się i kładę do łóżka. Wciąż zaprzatają mnie te same dwie kwestie, zastanawiam się, jak by je tu rozwiązać. Stale myślę, cały czas mając w pamięci mocne uderzenie, roztrzaskanego mercedesa. Powolutku zaczynam zapadać w

sen. Ostatni przebłysk, zanim zasnę na dobre. Uśmiecham się. Bum! Co za uderzenie, coś pięknego! W całym tym ferworze w ogóle przestałam myśleć o Francescu. Pstryk. Zniknął. I, uśmiechnięta, łąduję w objęciach Morfeusza.

Następnego dnia rano budzę się przytomna jak nigdy przedtem. Jak na zawołanie mam już gotowe dwa pomysły. Wpierw biorę się za ten pierwszy, trzeba coś zrobić z polo. Dzwonię do Ale, mojego przyjaciela, który zawsze jest w niezłych tarapatkach, liczę, że tym razem wydobędzie mnie z moich.

- Halo... Kto mówi? - Ma zachrypnięty głos, pewnie położył się raptem przed niecałą godziną.

- Ale? To ja, Gin.

- Gin, o co, kurwa, chodzi? Która to godzina?

- Siódma

- Siódma? Coś ty, ochujałaś?

- Ale, musisz mi pomóc, błagam, weź mi powiedz, że masz pod ręką jakąś skradzioną brykę.

- Gin, nie przez telefon... kurwa mać!

- Sorry, Ale.

Uspokaja się. - Jakiego auta potrzebujesz?

- Jakiegokolwiek, byle kradzionego. Właściwie to potrzebna mi tylko rejestracja.

- Tylko rejestracja? No wiesz, jesteś jakaś porąbana.

- Proszę cię, Ale, to dla mnie strasznie ważne.

- Zawsze wszystko, co ciebie dotyczy, jest strasznie ważne, poczekaj chwilę.

Po jakichś dziesięciu sekundach wraca do telefonu. - No już, pisz. Roma er dwadzieścia siedem zero trzydzieści jeden. Niebieskie clio.

- Świetnie, dzięki Ale.

- Co tam, wszystko w porządku?

- Tak, wszystko w porządku.

- Świetnie. Skoro tak, to się kładę i wyłączam telefon.

- Dobra, zadzwonię do ciebie po południu i wszystko ci wytłumaczę.

- A chuj mnie to obchodzi. - I się rozłącza.

W samą porę. Zjawia się mama w szlafroku, dopiero co wstała. - Ginevra, co ty robisz? Już wstałaś?

- Mamo, nie masz pojęcia, co się stało. Wczoraj wieczorem jakiś szalenciec zderzył się ze mną samochodem.

- O mój Boże, córeczko, czy nic ci się nie stało?

- Nie, wszystko w porządku. Tyle że skasował polo i uciekł... Ale patrz, mam jego numery! - Podaję jej dopiero co zapisaną karteczkę. - To było ciemne clio. Musimy zawiadomić policję. - Mama bierze karteczkę.

- Nie ma co, musimy natychmiast powiedzieć ojcu. Całe szczęście, że tobie nic się nie stało. Jesteś pewna? Czy aby przypadkiem nie uderzyłaś się w głowę?

- Nie, mam, naprawdę wszystko w porządku.

- Całe szczęście. - Całuje mnie w czoło.
- Idź zjeść śniadanie, bo jeszcze się spóźnisz.
- Tak, mam. - Idę, jak na grzeczną dziewczynkę przystało, odprowadzana wzrokiem troskliwej matki. Mam poczucie winy. Przepraszam, mam, ale musiałam tak postąpić. Kto wie, może kiedy indziej o wszystkim ci opowiem. Kiedy indziej. Tymczasem skoncentrujmy się na dniu dzisiejszym. Udało mi się już znaleźć także i drugie rozwiązanie, które pozwoli mi rozprawić się z Simona. Chwilę później jestem już pośród szkolnych ławek. Właśnie skończyła się pierwsza lekcja. Religia. Dwukrotnie nasze spojrzenia się spotkały, ale wredna suka odwróciła się w drugą stronę. Nawet nie ma odwagi stawić czoła konsekwencjom własnych czynów. Najlepsze jest to, że dopiero co odpytywał ją don Peppino, bo tak właśnie nazywamy naszego księżulka od religii, a ona miała czelność mu odpowiadać... A niech ją szlag. Co tam, nie chcę wzywać imienia Pana Boga z powodu takich bzdetów. Ale druga godzina w całości należy już do mnie, i trzecia też. Jestem w swoim żywiole, chcę się rozerwać, dwie godziny szampańskiej zabawy. Dziś na zajęciach z włoskiego mamy pisać wypracowanie. Jak tylko się obudziłam i zabrałam za pakowanie plecaka, od razu wpadłam na pomysł. Wyrafinowany... O, nareszcie znalazłam właściwe określenie, ukute specjalnie na potrzeby zemsty. I mój długopis śmiga po białej kartce, zapisując na niej słowa, całe wersy, pełne faktów, wspomnień, wyrazów rozczarowania, przymiotników, wynurzeń i obelg. Długopis pruje, że aż miło, wygląda jak zaczarowany. I pomyśleć, że na włoskim zawsze szło mi tak sobie. Odbiegłam od tematu, co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości, ale za to co za rozkosz, jaka to frajda móc zadedykować wypracowanie mojej przyjaciółce, to znaczy mojej eks-przyjaciółce. Albo wręcz, gwoli ścisłości, tej wrednej suce. Zadedykowałam jej nawet tytuł: *Żaloszny kres przyjaźni*. Jestem pewna, że moja psorka od włoskiego mi to zaliczy, może nawet postawi mi czwórkę, a może nie, raczej nie, bo przecież piszę nie na temat. Może w takim razie mierny, ale za to jaki mierny! Z całą pewnością nie wysłał mnie jednak do dyrektora, i a nuż będzie chciała, żebym przeczytała to na głos przy całej klasie. Psorka weźmie moją stronę, tego jestem pewna. Nie tyle dlatego, byśmy były w jakichś wyjątkowo zażyłych stosunkach, ile dlatego, że od niedawna sama jest w separacji.

Tydzień później. Odbieram wypracowanie. A to ci dopiero, nie do wiary... Przerosło wszelkie moje oczekiwania. Cztery z plusem! Jeszcze nigdy nie dostałam takiej dobrej oceny z włoskiego. Ale to jeszcze nie koniec. Psorka musi mieć dla mnie nieprzebrane pokłady sympatii albo, co chyba nawet bardziej prawdopodobne, sama musiała rzeczywiście mocno się naciерpieć z powodu własnej separacji. W każdym razie faktem jest, że grzmotnęła ręką w pulpit.

- Cisz, dziewczynki. Teraz chciałabym poprosić, żeby swoje wypracowanie przeczytała nam pewna wyjątkowa dziewczyna. To jedna z waszych koleżanek z klasy, która zrozumiała, że to kultura, wychowanie oraz bycie

ludźmi cywilizowanymi stanowi najważniejszy oręż naszego społeczeństwa:
Ginevra Biro.

Wstaję i na moment prawie się rumienię. Przed wszystkimi. Przed innymi. Ale daję sobie spokój z rumieńcami. Kurwa, mowy nie ma! To mój dzień, dosyć tego, należy mi się. Jaki tam znowu wstyd, jacy inni. Bywa, że inni wcale się nie liczą. I tak jest właśnie teraz. Podchodzę do psorki i zaczynam czytać. Idzie mi to sprawnie, bardzo się przykładam i dobrze się przy tym bawię. Złość przeplata się z zapałem. Wiem, kiedy trzeba zrobić pauzę, moduluję ton. Sama daję się ponieść własnej historii Czy to naprawdę ja napisałam takie wypracowanie? Kurczę, uważam, że świetnie mi poszło! Wciąż czytam z przejęciem, dobrze się bawię, czuję się, jakbym śpiewała. Słowa same się układają w płynny ciąg, jedne podążają za drugimi, między wierszami, wznoszą się i opadają, bez wytchnienia, zupełnie jak fale na lazurowym morzu. Suną tuż obok siebie, są nierozłączne. W okamgnieniu docieram prawie do końca. Brakuje zaledwie dwóch wersów. Przerywam i kiedy podnoszę wzrok znad kartki, widzę Simone, jak siedzi i się we mnie wpatruje. Szczeka jej opadła, zbladła, wygląda, jakby dostała obuchem w łeb. Zrelacjonowałam całą naszą historię, naszą przyjaźń, moje zawiedzione zaufanie, jej zdradę. Robię ostatnią pauzę. Oddycham głęboko i przystępuję do finału:

- Proszę państwa. Teraz już wszyscy wiecie, kim jest Simona Costati. Gdyby jej matka miała choć odrobinę odwagi, to nazwałaby ją tak, jak na to naprawdę zasługuje: Wredna Suka!

Składam kartkę i rozglądam się zadowolona po całej klasie. Rozlega się autentyczny ryk. Wszystkie naraz wykrzykują zachwycone: - Świetnie, dobrze zrobiłaś, jesteś super, Biro! Tak, jeszcze, dawaj, musisz ją zakasować, właśnie tak, jesteś wielka!

Nagle, sama nie wiem z czyjej inicjatywy, z całą pewnością nie mojej, ani nie psorki, a już zwłaszcza nie Simony, rozlega się zgodny chór, niewątpliwie zainspirowany moim wypracowaniem na temat znaczenia kultury.

- Wredna suka, wredna suka, wredna suka!

Simona podnosi się z ławki. Przemierza salę, szurając nogami, ze spuszczoną głową, nie mając odwagi, by komukolwiek spojrzeć w twarz. Wreszcie wybucha płaczem i wychodzi z klasy.

- Świetnie, naprawdę, znakomite wypracowanie. - To głos psorki.

Niebywałe. Myślałam, że wywali mnie za drzwi za, bo ja wiem, oczernianie uczennicy? A tymczasem nic z tego. Widać, że forma przypadła jej do gustu. Albo treść... W każdym razie uśmiecha się do mnie. Kto wie, może przez moment poczuła żal. Żal, bo sama też by chciała móc coś podobnego napisać o własnym mężu.

- O czym myślisz?
 - O szkole.
 - Rzeczywiście, aż mi się wierzyć nie chce. Jedziesz samochodem ze mną, mrocznym przedmiotem pożądania całego Rzymu... a ty co? Myślisz o szkole!
 - Cóż, nawet szkoła może mieć swoje ciekawe oblicze.
 - Tak, chyba raczej srogie oblicze.
 - A ja myślę, że w głębi duszy ty też lubiłeś się uczyć.
 - Jasne, jakżeby inaczej: anatomii. Ale bezpośrednio na koleżankach!
 - O matko... Tobie tylko jedno w głowie, co?!
 - No, akurat ta dziedzina najbardziej mnie pasjonuje.
 - Tak, już cię widzę, jako dziecko zawsze bawiłeś się w doktora.
 - Jako dziecko? A wczoraj to niby co?! Chcesz, żebym cię od razu zbadał?

- Wiesz, może to dziwne, ale sprawiasz na mnie wrażenie kogoś raczej zabawnego niż niewyżytego!

- Cóż, zawsze to coś.

- Pewnie, bo tak się składa, że ogromnie mnie bawią ludzie zarozumiali.

A już zwłaszcza ktoś, kto się uważa za mroczny przedmiot pożądania całego Rzymu. Nie ma co, zupełnie jak w programie rozrywkowym.

Patrzy na mnie, wybucha śmiechem, szczerze rozbawiona. Ciemne włosy opadają jej na oczy, widać po nich, jaka jest wesoła, tak samo jak i po jej uśmiechu. - O Boże, nie dam rady, straszny błazen z ciebie. Nic tylko boki zrywać!

Zakręt nadarza się w samą porę. Bardzo ostry, i na dodatek po mojej Stronie. Chwytam kierownicę od dołu i z całej siły przekręcam ją w lewo. Gin spada na mnie, jakby ją kto katapultował. Hamuję gwałtownie, zatrzymuję samochód, trzymam ją w ramionach. Prawą ręką chwytam ją za włosy i zaciskam na nich pięść, nie za mocno, w sam raz. - Nikt nigdy nie nazwał mnie dotąd błaznem. - I całuję ją w usta. Zaciska wargi i próbuje mi się wywinąć. Trzymam ją przy sobie za włosy, mocno, nie przestaje się wić, usiłując się uwolnić. Ściskam ją jeszcze mocniej. Wreszcie daje się ponieść i rozchyła usta.

- Nareszcie - szepczę niewyraźnie i wpijam się w nią w namiętym pocałunku. - Ała. - Gryzie mnie mocno. Łapię się za wargi i wypuszczam ją z objęć.

Wraca na swoje miejsce. - To wszystko? Myślałam, że stać cię na więcej.

Przejeżdżam sobie palcami po ustach, sprawdzając czy nie mam na nich krwi. Ani śladu. Gin zastygła w jednej pozycji, ma uniesione dłonie, jest gotowa do obrony.

- A więc Stefano, Step, albo jak ci się tam, kurwa, podoba, chcesz się bić?

Patrzę na nią roześmiany. - Masz nawet wyrobione odruchy, co?

Mocno wali mnie w ramię, uderza raz za razem, wymierza mi całą serię ciosów pięścią z góry w dół, wciąż celując w to samo miejsce.

- Ała, to boli.

Błyskawicznie chwytam ją za rękę wpierw jedną, potem drugą. Trzymam ją mocno, tak że nie może ruszyć się z siedzenia. I zaraz się do niej uśmiecham, bo aż chce mi się śmiać od tych wszystkich ciosów.

- Przepraszam cię, Gin. Nie miałem zamiaru robić tego specjalnie. Tylko się zorientowałem, że właściwie też miałaś na to ochotę...

Znowu próbuje mnie uderzyć, ale trzymam ją tak, że nie ma szans się ruszyć.

- Właśnie dotarliśmy na miejsce, okay?

Wysiadam szybko z samochodu, zanim ponownie spróbuje się na mnie zamachnąć.

- Zamknij, jeśli chcesz. Ej, w sumie to rób sobie, co ci się żywnie podoba, bo to w końcu twój samochód, nie? Racja, kto by tam akurat doprowadził takiego gruchota jak ta micra... Na dodatek fatalnie wchodzi w zakręt.

Gin raz-dwa zamyka samochód i mnie dogania.

- Zważaj sobie, co. Nie zgrywaj przede mną twardziela, bo źle na tym wyjdiesz.

I po chwili Gin spogląda na szyld.

- Pułkownik. Naprawdę tak się nazywa?

- Dokładnie, tak się nazywa. A co myślałaś, że na miejscu szyldu wywiesili przezwisko restauracji?

- Czy rzeczywiście masz zamiar wyrwać dziewczynę podczas pierwszego spotkania, rzucając takie przezabawne teksty?

- Nie, z tobą jestem na totalnym luzie. To, że dasz się wyrwać, mam jak w banku!

- Ach, jasne, rzeczywiście jak w banku... Dopiero co się przekonałeś, nie?

- Zgoda, dobra? No już, zjedźmy sobie po porządnym befsztyku.

- Okay. Niech ci będzie zgoda, ale co do kolacji... ty stawiasz, prawda?

- To zależy...

- Od czego?

- Od tego, co będzie po kolacji.

- Ciągłe to samo? Posłuchaj: po kolacji możesz liczyć na to, że odstawię cię tam, gdzie masz motor, to wszystko. Jasne? Lepiej powiedz od razu, bo jak ci nie pasuje, to nie wezmę do ust choćby nawet jednej bruschetty. Co ty sobie w ogóle wyobrażasz, że wymusisz to na mnie za kolację? Ależ jesteś obleśny!

Gin wkracza do restauracji cała wzburzona, a przy tym taka zabawna. Idę za nią. Jest raczej pustawo. Siadamy przy stoliku dosyć oddalonym od pieca, bo bucha od niego żar nie do wytrzymania. Zdejmuję kurtkę. Zrobiłem się głodny.

Natychmiast pojawia się kelner gotów przyjąć zamówienie.

- No to co, moi mili, czym wam mogę służyć?

- A więc tak, dla panienki tylko jedna bruschetta. Dla mnie z kolei na pierwsze pyszne taglia telle z karczochami, a potem befsztyk z rusztu i do tego sałata.

Patrzę na nią rozbawiony. - A może panienka zmieniła zdanie i ma ochotę na coś jeszcze?

Gin patrzy na kelnera uśmiechnięta. - To samo co on. Dziękuję. A i do tego proszę mi jeszcze podać jakieś dobre piwo.

- Dla mnie też jedno piwo. - Kelner prędko wszystko notuje i się oddala, cały zadowolony, że tak łatwo uporał się z zamówieniem.

- Jeśli chcesz, żebyśmy podzielili się rachunkiem, wystarczy, że mi powiesz, gdzie mieszkasz, a jutro przekażę ci pieniądze, dobrze? Chodzi mi o to, żebyś pojął, że nie ma mowy o deserze.

- Ach, nie? Wiesz, popełniasz duży błąd. Mają tu obłędne lody trufłowe, które serwują oblane kawą.

- Cześć, Step. Co ty, zniknąłeś. Pewnie stałeś się burzujem, tak jak cała reszta. - Podchodzi Vittorio, Pułkownik, uprzejmy jak zwykle. - Całą paczką wybieramy się do Celestiny, zapodaj lansik, będzie podryw. Jak wszyscy, to wszyscy. Chociaż, szkoda gadać, ale totalne z was mięczaki. - Opiera się rękami o nasz stół. - Ej, a wiesz, że ci się schudło?

- Przez dwa lata siedziałem w Nowym Jorku.

- No co ty, czyli dlatego przestałeś się pokazywać. To tak kiepsko tam karmią?

Zaśmiewa się, rozbawiony własnym żartem.

- Ej, Vitto'... Jak zawsze jesteś tu bossem! Załatw, żeby nam tu zaraz dali jakąś apetyczną bruschettę, co?

Kładę kluczyki od samochodu Gin na stole, a Vittorio tymczasem zostawia nas samych. Odchodzi z wypiętym brzuszyskiem, rozkołysanym krokiem, zupełnie jak za dawnych lat. Postarzał się, ale humor wciąż mu dopisuje. Ma twarz jak dorodny dzieciak, rumiane policzki, zmierzwił *włosy* po bokach głowy, pojedyncze pasma srebrzystej siwizny błakają mu się po łysinie wiecznie ogorzałej od przyrządzania mięsa na rożnie i grillu. Rozglądam się dyskretnie wokół. Widzę zróżnicowane towarzystwo, niezbyt liczne, nie za głośne, niespecjalnie eleganckie. Zajadają ze smakiem, nie domagając się jakichś przesadnie fikuśnych potraw, sami zresztą też nie są zbyt dystyngowani, wyglądają na beztroskich, pewnie nawet mają za sobą pracowity dzień i na koniec raczą się porządnym posiłkiem. Para nieopodał je w milczeniu. Mężczyzna jest pochłonięty oddzielaniem pieczeni od kości. Kobieta dopiero co włożyła frytkę do ust i właśnie oblizuje sobie palce. Nasze spojrzenia się spotykają, uśmiecha się do mnie. Odwzajemniam jej uśmiech. A ona z powrotem zabiera się za frytki, obojętna wobec groźby nadwagi.

Gin przechodzi do ataku.

- Wobec tego wyjaśnijmy to sobie od razu: podpieprzyłeś mi kluczyki, podpieprzyłeś mi samochód, a co gorsza, zabrałeś się również za mnie.

- Fajnie by było! Co do tego ostatniego, to nie miałbym nic przeciwko. Gin siedzi naprzeciw mnie, chwyciła się pod boki cała naburmuszona.

- Ty kretynie, miałam na myśli, że spieprzyłeś mi wieczór. Postawmy sprawę jasno, bo w przeciwnym razie znów zaczniesz sobie wyobrażać niestworzone rzeczy. A więc przed chwilą w samochodzie...

- Z powodu takiego głupstwa... Ależ się uwzięłaś!

- Zatem przejdźmy do konkretów. Wyjaśnijmy to raz na zawsze. Kto za to zabuli?

- To znaczy?

- Rzniesz mi tu głupa?

- To się okaże, jeśli postarasz się, żeby było śmiesznie, to ja płacę. W przeciwnym razie...

- W przeciwnym razie co?

- Płacę i tak.

- Aha, w takim razie zostaję.

- Ale będziesz musiała zwrócić mi w naturze.

Z miejsca daje mi w twarz. Kurwa, ale ma refleks. Celnie wymierzony policzek.

- Ała.

Ta od frytek przerywa jedzenie i wpatruje się w nas razem z dwiema czy trzema osobami z pobliskich stolików.

- Musicie jej wybaczyć - Uśmiecham się, rozmasowując sobie policzek. - Zwyczajnie się zakochała. - Gin nie zwraca najmniejszej uwagi na ludzi, którzy się jej przyglądają.

- Wobec tego umówmy się tak, ty płacisz za kolację i nie żądasz niczego w zamian, a ja za to udzielenie ci paru lekcji dobrego wychowania. No już, dobiliśmy targu. Sam jeszcze na tym zyskasz.

Vittorio przynosi bruschettę na stół. - To co, panience też podać? Gin w okamgnieniu zwija mi bruschettę sprzed nosa i bierze olbrzymi kęs, pochłaniając na raz połowę świeżutkich pomidorów, które Vittorio kroi, wkładając w to tyle serca, nie to co inni; tamci już po południu drobno siekają pomidory, odstawiają je w naczyniu do lodówki i przetrzymują w chłodnej temperaturze.

- Przynieś mi jeszcze jedną, Vit.

- Mmm, pycha.

Gin bierze kawałek pomidora do buzi i oblizuje sobie palce.

- Genialnie się spisałeś. Step. Coś mi się zdaje, że całkiem dobrze tutaj karmią. Jak tam policzek?

- Świetnie! Przyznaj się sama, zrobiło ci się trochę przykro, że posunąłem się jedynie do pocałunku? Mamy czas, weź się nie obrażaj. Wy, laski, wszystkie jesteście takie same. Chcecie wszystko, i to od razu.

- Za to ty chcesz najwyraźniej jeszcze raz oberwać prosto w twarz, i to natychmiast?

- Masz świetny refleks. Gratulacje. W dzisiejszych czasach ciężko jest znaleźć dziewczynę, która nie tylko ujdzie w tłoku, ale i równie szybko potrafi zarówno się odgryźć, jak i przejść do rękoczynów.

- Mmm. - Gin uśmiecha się do mnie na siłę, jakby chciała powiedzieć: „Ale śmieszne...”.

- Co jest?

- Jakoś to „ujdzie w tłoku” nie bardzo przypadło mi do gustu.

- Za to moja bruschetta jak najbardziej. Praktycznie mało się nią nie udławiłaś.

Nagle docierają do mnie głosy.

- No co ty, Step! Wiedziałem. A nie mówiłem wam, że to on.

Wierzyć mi się nie chce. Są tu wszyscy, za moimi plecami. Żeglarz, Balestri, Bardato, Zurli, Blasco, Lucone, Bunny... Są wszyscy po kolei, nie mogę się nadziwić. Z wyjątkiem jednego: Pollo. Ścisną mi się serce, ale nie chcę o tym myśleć, nie teraz. Przechodzi mnie zimny dreszcz i na chwilę zamykam oczy, nie teraz, proszę cię... Na szczęście Schello rzuca mi się na szyję: - Ej, łobuzie, co ty, zabawiasz się w bułgarskiego separatystę?

- Amerykańskiego, jeśli już.

- A rzeczywiście, bo przecież był w Ameryce... W Stanach... Ale co to się stało, że nie pojawiłeś się na spotkaniu? Wszyscy tam czekaliśmy na naszego idola. Tyle że idol się skończył... Teraz chodzi sobie na kolacje, wpatruje się głęboko w oczy swojej kobiecie.

- Jeśli już, to zagląda jej za dekolt, tam to ma dopiero oczy!

Popatrz, jakie ma balony...

Po pierwsze, to nie jestem jego kobietą.

- A po drugie, uwaga chłopaki, bo to trzeci dan we własnej osobie.

- Dasz sobie wreszcie spokój z tym gadaniem, nic tylko w kółko trzeci dan? Powtarzasz się.

- Ja? Ale to przecież ty sama przechwalałaś się tym już ze trzy razy, od kiedy się poznaliśmy. A że masz trzeci dan w małym palcu, mogłem się przekonać, kiedy musiałem własnoręcznie rozprawić się z jednym takim, żeby cię obronić.

- Okay! Święty Tomaszu niedowiarku... od burasów. Sam tego chciałeś. - Gin wstaje od stołu, okrąży paczkę przyjaciół, patrzy na nich przez chwilę. Po czym, niewiele myśląc, odwraca się gwałtownie, chwyta Schello obiema rękami za kurtkę, zarzuca go sobie na biodro i prędko zgina się w przód. Jest bezbłędna, nie waha się ani chwili. Schello wybałusza oczy. Gin ugina prawą nogę i wykopuje ją w górę, pomagając sobie ramieniem. Schello przelatuje niczym piórko i plecami ląduje na stole milczącej pary. Wreszcie będą mieli o czym rozmawiać. Facet gwałtownie podrywa się od stołu.

- Co to, kurwa... - Subtelniachy, zarówno ona, jak i on. Wyrzucają to z siebie jednocześnie.

- Moje frytki... - Ona.

- Kurwa, moja marynarka z wielbłąda... - On.

Dla tej apatycznej pary mocne uderzenie Schello stanie się przynajmniej powodem do snucia w nieskończoność opowieści, która ma szansę przejść do legendy.

Schello podnosi się cały obolały. - Ala, kto to, kurwa, był?

- Posiadaczka trzeciego dana albo coś koło tego - odparowuje mu Gin od razu.

Wszyscy się śmieją: - Zabawne. Zajebista. Tak, twoja dziewczyna jest zajebista.

- Znowu... Nie jestem jego dziewczyną!

- Na razie.

- Dobre sobie, to co w takim razie robisz ze Stepem na kolacji? - To Carlona, tak ją chyba nazywają, od zawsze dziewczyna Lucone. Unosi brew, rozbawiona, jakby chciała powiedzieć: „Mnie nie oszukasz, już ja się znam na kobietach”. Gin się uśmiecha: - Właściwie to się nie mylisz. Cóż, znaczy to tyle, że naciągnę go na kolację, a potem spadam.

- Zjeść kolację na koszt Stepa, po czym się zmyć. *Mission: Impossible* to przy tym pikuś.

- I kto mi za to zapłaci?

Schello patrzy na niego osłupiały. Koleś zdjął z siebie marynarkę, która miała udawać tę z wielbłądziej wełny, teraz przyprawioną pieczenia i podstawia mu ją pod same oczy.

- No więc, do ciebie mówię... kto mi za to zapłaci?

- No co, czyżbyśmy się znaleźli w *Mamy cię*? Ejże, jaja sobie ze mnie robicie, czy jak? Gdzie jest ukryta kamera?

Schello zaczyna się miotać po całym lokalu, to w jedną, to w drugą stronę.

- Ej? Gdzie ją macie?... No gdzie?

Poszukuje domniemanej kamery praktycznie wszędzie, zagląda pod obrazy, za drzwi, a niektórym kobietom nawet do torebek powieszonych na oparciu krzesła. Podnosi wszystko jak leci, dotyka, za grosz szacunku jak zwykle, dowcipny i bezczelny, na skraju zidiocenia. No bo szukać kamery pod serwetką kogoś, kto właśnie je... facet oczywiście się obrusza.

- Skończyłeś? Jełopie! Co mi tu, kurwa, dotykasz? Chcesz się jeszcze raz przelecieć?

Podrywa się z miejsca, ręce zwisają mu wzdłuż ciała, są masywne, po samym ich kształcie widać, że ma za sobą wiele godzin ciężkiej pracy, poharatane i popękane, ogorzałe od wysiłku na świeżym powietrzu, wyrobione w budowlanym trudzie, w pyłe i przy malowaniu, gipsowaniu, tynkowaniu, przy odwalaniu gruzu, nadwreżone nadmiernym wysiłkiem.

- No i co? Dotarło do ciebie, chuju jeden?

- Ej... *Fly down*.

Schello sobie pozwala, gotów iść o zakład, że tamten ni w ząb nie zna angielskiego. Oczywiście racja jest po jego stronie.

- A tobie co, obrażać się zachciało? Już ja ci zajebię.

Murarz chwyta go oburącz za szyję, to jego elegancki sposób, by pokazać się dziewczynie od jak najlepszej strony.

- Tak naprawdę to w ten sposób chciałem przeprosić, ale sam rozumiesz, że po angielsku brzmi to niesłuchanie wykwinicie.

Murarz robi zamach pięścią, a my, rozbawieni, zanosimy się śmiechem, na szczęście Vit wkracza do akcji: - Dosyć tego, ale już, macie się zachowywać. Jestem przecież waszym pułkownikiem, nie? Dosyć, no już.

Wychodzi facetowi naprzeciw, tak by ten nie czuł się stratny. - Zaraz ci przyniosę wysmienite limoncello, ot co. Na koszt lokalu. - Po czym chwyta Schello za ramiona i odprowadza go do reszty. - Nic a nic się nie zmieniliście, co? Cieszę się, że was widzę, poważnie. Sam nie wiem jak to jest. Step, ale ilekroć się pojawiaasz, to wieczór zawsze się rozkręca. Chodźcie, rozgośćcie się. Nakryć wam od razu na dwanaście osób?

- Może Step nie chce sobie przerywać swojej romantycznej kolacji.

Patrzę na Gin. Rozkłada ręce.

- Umówimy się kiedy indziej, prawda, mój drogi?

Rzeczywiście jest zabawna. A jednak... Właśnie przez to jednak nie bardzo wiem, co mam myśleć: - Ależ tak, moja droga, umówimy się kiedy indziej. Jak tylko znów zostaniesz bez kasy i z pustym bakiem...

Gin się uśmiecha i zaraz wymierza mi cios pięścią w ramię, i to wcale nie byle jaki. Nigdy nic nie umyka uwagi Lucone. - Kurwa, ma parę maleńka, potrafi grzmotnąć, i to jeszcze jak, co!

Wszyscy potakują. Siadają, robiąc przy tym masę zamieszania, przestawiają krzesła, śmieją się, kłócą o miejsca. Tylko dziewczyny wymieniają między sobą spojrzenia pełne dezaprobaty dla Gin i udają, że nic ich nie obchodzi. Uznanie okazane innej kobiecie zawsze drażni, nawet gdyby chodziło o twoją najlepszą przyjaciółkę. Kolacja mija błyskawicznie. Usta im się nie zamykają, naraz chcą opowiedzieć mi o wszystkim, wielkie nowiny z lokalnego podwórka. - O, to ty jeszcze nie wiesz... Giovanni rozstał się z Francescą. Nie masz pojęcia, jaki numer mu wykręciła: związała się z Andrea, jego przyjacielem. A on nawet nie sprął go za to po pysku. Co za czasy! A, padniesz jak to usłyszysz: Alessandra Fellini nareszcie dała! Dała Davide. Teraz nazywają koleśka „Kropla”. Wiesz dlaczego. Step? Bo przez cztery bite lata nic tylko drażył, zupełnie jak ta chińska kropla. Mijały wiosny, lata, czy to w górach, czy nad morzem... nie odstępował jej na krok. Prezenty, prezenciki, liściki. Zasłużył sobie na nagrodę, nie? Cekał, czekał i w końcu się doczekał! Dała mu i ma. Tak, tyle że teraz, jak już się rozkręciła, to nabrała takiej pary, jakby co najmniej chodziło o rozgrywki olimpijskie. I nikt nie zostaje z pustymi rękami, wszyscy po kolei mogą liczyć na nagrodę.

- Dziwisz się, chce nadrobić stracony czas.

- Rany, ale jesteście podli. - Carlona usiłuje jej bronić, przemawia przez nią solidarność, łącząca dziewczyny tego samego pokroju.

- Wierz mi, to najszczęsza prawda... Tak czy siak, to zasługa Kropli.

- Pewnie, co pierwszy, to pierwszy. I to jeszcze jaka zasługa.

Guido Balestri podchwytuje i rozwija wątek całej historii.

- Sprawiała Kropli niezły prezent, brakowało tylko, żeby wyhodowała sobie pajęczynę w tej swojej podmokłej grocie. - Dzikie salwy śmiechu. - Aż wreszcie któregoś dnia zjawił się Davide i ogłosił wszem wobec, że bardzo się zasromał...

- No co ty.

- Przysięgam. Wszystkim się pochwalił, że jęczała z rozkoszy.

- Nie...

- Tak!

- Nic dziwnego, skoro przez cztery lata brała na wstrzymanie... No co, a poza tym kiedy człowiek wreszcie sobie odpuszcza, to rozumiałe, że chce dać czadu!

- Ej, nawet na księżycu było słyhać, jak jęczała. Wyła bardziej od niezapomnianej Lassie ze *Świntucha*. Pamiętasz?

- Jak nie! Kultowy film.

- Davide rzeczywiście nie ma sobie równych, koleś jest wielki.

- Tak, wielki to mało powiedziane. On ma wielkiego! W pełnym tego słowa znaczeniu. A co, jakby mu przyszło zmierzyć się z Goliatem, to by go dopiero upokorzył!

Ten komentarz akurat nie wzbudza powszechnej wesołości. Gin śmieje się jako jedyna. A to autentyczny powód do dumy. Cały wieczór mija w podobnej atmosferze, co raz to słyhać śmiechy, ciągle coś się dzieje. Przyglądam się im, jak jedzą. Nic. Wcale się nie zmienili. A to ci dopiero widowisko. Opychają się jak zwykle, momentalnie wciągają wszystko, co tylko pojawia się na stole, nadziewają na widelce plastry rozmaitych wędlin: szynki, salami. Pożerają całe płyty i nie przestają gadać, nic sobie nie robią z tego, że na raz nie mieszczą im się w ustach i zwisają im z buzi aż do brody. Na stół wjeżdżają szaszłyki. Wszyscy się rzucają, każdy chce chwycić coś dla siebie. Są jeszcze gorące, aż parują: serdelki i pikantne kiełbaski, dopiero co usmażone, stają się wonnymi szpadami w rozpaczliwym pojedynku szermierskim między Schello a Lucone. Przyłącza się do nich także Hook i walka zaczyna się na dobre. Słyhać szcęk żelaza, niekiedy wytłumiony przez świeżo upieczone mięso. Pchnięcie Schello błyskawicznie odparte przez Lucone. Zamach, jeden serdelek śmiga w górę. Gin wyciąga prawą rękę i chwyta go w locie, ma świetny refleks, i zaraz, niezwłocznie, zjada kęs ciągle jeszcze parującego mięsa.

- I co? Widziałeś, jakie tempo? Założę się, że kojarzysz to z takim jednym filmem, no już, wysił mózgownicę...

- To prawda, z czymś mi się to kojarzy, była taka scena w jakimś filmie, tak, tylko w jakim?

- Niech ci będzie, podpowiem ci, opowiada o prostytutce, właściwie to taka bajka o prostytutce.

Wtrąca się Lucone, jak zwykle nie potrafi zachować umiaru. - Ja już wiem: Królowna Śnieżka i siedmiu krasnoludków. - Gin patrzy na niego z obrzydzeniem, krzywiąc usta i przełykając ostatni kęs serdelka.

- Jaki jesteś ordynarny... To *Pretty Woman*. Tylko spróbuj się przyznać, że go nie widziałeś, a tym razem spiorę cię na kwaśne jabłko.

Spogląda na mnie, unosząc brew. *Pretty Woman*, a jakże, z Julią Roberts.

- No i co, pamiętasz czy nie?

Ni stąd, ni zowąd cofam się w czasie. Ja i Babi, Hook i Sycylijszyk, sam nie wiem jakim cudem, siedzimy razem w jednym kinie. Hook i Sycylijszyk zmyli się po połowie.

- Co to za pierdoły. Co wy, zwariowaliście już doszczętnie?

- Tak, spadamy stąd.

I nareszcie mogłem wziąć Babi za rękę i trzymać ją tak przez cały film, gdy tymczasem ona wpychała mi do buzi popcorn.

- Tak, pamiętam.

Ale nie dzielę się z nią historią mojego seansu.

- No, bo tam była taka scena, kiedy kelner chwyta w locie ślimaka, którym Vivien, tak się nazywała Julia Roberts w tym filmie, wystrzeliła z talerza, gdy usiłowała go zjeść.

- Tak, no pewnie. I to pomimo tego, że wcześniej dyrektor hotelu sam ją przeszkolił.

- Widziałeś, a jednak pamiętasz? Step zgrywa twardziela, ale w głębi duszy jest taki czuły i wrażliwy!

- Bardzo w głębi.

- Ale ja lubię drażnić. Komu się spieszy? Kiedy byłem mała, chciałam zostać archeologiem. A później... Później okazało się, że cierpię na klaustrofobię i nigdy nie zdołałabym choćby tylko wejść do piramidy.

- Słowem wolisz być na górze niż na dole.

- Czy doprawdy to wszystko, na co cię stać?

Daj mi chwilę, a bardziej się przyłożę. - Chwytam się za skronie, udając, że się koncentruję. Po chwili opuszczam ręce na stół i się do niej uśmiecham.

- Nie, przykro mi bardzo, to wszystko, na co mnie stać.

Ale dokładnie w tej samej chwili rozlega się plask! I Gin obrywa po twarzy kromką nasączonego pieczywa. Rozbryzguje jej się ona na policzku, a kawałki miększu lądują jej we włosach. Nie mogę się nie śmiać. Lucone z przeciwnej strony stołu zaczyna się kajać.

- Ojej, przepraszam, kurwa, celowałem w Stepą.

- Skoro tak, to masz oko do dupy!

Gin rozmasowuje sobie policzki, zaczerwieniony i wciąż jeszcze wilgotny.

- To bolało... Już ja ci zaraz pokażę! - I jakby ktoś wydał rozkaz rozpoczęcia bitwy. Wszyscy zaczynają obrzucać się czym popadnie. Schello, jakby tego było mało, wyciąga swojego „jamniora” i od razu włącza play.

- Bitwie potrzebna jest porządna ścieżka dźwiękowa.

Jeszcze zanim udaje mu się skończyć, plaster mięsa uderza w sam środek głośnika jego aiwy, z którego na cały regulator rozlega się *Hair*. Wszyscy, mimo że wciąż siedzą, zaczynają się wić, unoszą w górę ramiona, starając się w porę zrobić unik, tak by nie oberwać śmigającym jedzeniem. Tym razem Gin dostaje kartoflem w samo czoło i podrywa się gwałtownie, niczym poparzona. Oho, myślę sobie, teraz dopiero na serio ją poniesie. Ale jej wyczyn przechodzi moje najśmielsze oczekiwania. Sam nie byłbym w stanie wyobrazić sobie nic piękniejszego. Staje na krześle i zaczyna swój popis. Do złudzenia przypomina niezapomnianego Treata Williamsa z *Hair*. Drugą nogę stawia na stole i rusza przed siebie, krok za krokiem. Gin stąpa roztańczona, zarzuca sobie włosy na twarz, by po chwili znów odrzucić je do tyłu. Uśmiecha się przy tym, na moment poważnieje, robi się cała zmysłowa, i zaraz przybiera surowy wyraz twarzy, w każdym wcieleniu jest prześliczna. Naprawdę robi wrażenie. Wszyscy podchwytyją i dają się wciągnąć. Jak tylko się do nich zbliża, od razu przedstawiają opróżnione już talerze, sztucce, szkło. Hook, Lucone, Schello. Nawet dziewczyny idą w ich ślady. Wszyscy zgarniają to, co przed nimi stoi. Udają zaszokowanych ekstrawaganckim zachowaniem, zupełnie jak goście zebrani wokół tego długiego stołu w *Hair*. Gin tańczy wprost obłądnie. Za to Schello jak zwykle wszystko psuje. Wskakuje na stół i zaczyna tańczyć tuż za plecami Gin. Bez wdzięku, psując całe wrażenie, ruszając się kompletnie nie do rytmu. Kopniak w prawo. Kopniak w lewo. I tak w kółko. Dziewczyna Hooka nie zdążyła w porę zgarnąć mu spod nóg talerza. Rozdeptany clarks Schello trafia w talerz od samego spodu i jednym zamachem wykopuje go ze stołu. Teraz talerz szybuje przed siebie... Bezbłędnie. Jakby to był karny w wykonaniu samego Di Canio, specja od takich rzutów. Gol! Trafia kobietę murarza w sam środek czoła. Facetka jak nie grzmotnie z krzesła na ziemię. Rękami zakrywa sobie twarz i wydaje z siebie porażający ryk, który zagłusza wszystko inne, włącznie z „jamniorem” Schello. Vit pędzi z obłądem w oku.

- Kurwa mać, co z wami, powariowaliście? Już, schodzić mi stamtąd. Proszę pani, jak się pani czuje?

Vittorio pomaga jej się podnieść. Na szczęście nic jej nie jest, a w każdym razie prawie nic... Słowem, nie ma rozciętej skóry. Tylko olbrzymiego guza z przodu, po prawej stronie. Ni stąd, ni zowąd stała się rogowcem, nawet nie wiedzieć czemu, choć może nie jest to wcale aż takie znów przypadkowe.

- Kto to zrobił?

- Ale co to w ogóle ma do rzeczy?

Schello w pewnych sprawach wykazuje się zadziwiająco wprost refleksywnie, zwłaszcza kiedy istnieje ryzyko, że on sam za coś beknie.

- To był przypadkowy zbieg okoliczności, wypadek.

- Tak, już ja ci zaraz dam wypadek.

natychmiast staje między nimi i powstrzymuje murarza.

- Spokojnie, proszę się opanować. Lepiej, żeby pan tego nie robił.

A, nie, bo co, może mi postawisz jeszcze jedno limoncello? A wiesz, co takiego zrobię, jak tylko je dostanę? Wypucuję sobie nim fiuta.

- A, skoro tak pan stawia sprawę, to proszę bardzo, już się nie wtrącam.

Murarz rzuca się w pościg i próbuje od razu dorwać Schello, który wciąż jest na stole. Ten zaczyna się cofać i leci do tyłu, nogą przebija wiklinowe obicie krzesła i grzęźnie w nim na dobre, a plecami ląduje na ziemi.

Murarz bynajmniej się tym nie zraża, pędzi, okrąża stół. Schello leży na ziemi, z nogą wbitą w krzesło, nie daje rady się podnieść. Murarz, mając w pamięci swoją kobietę, rozpędza się z zamiarem wymierzenia mu kopniaka prosto w twarz. Chyba liczy na remis. Ale nic z tego. Ktoś z tyłu nagle podrywa go do góry. Murarz kopie w próżnię. Lucone obraca nim i wypuszcza go z uścisku kawałek dalej. - No już, dosyć tego dobrego, to naprawdę był... wypadek.

Tak...

Do akcji wkracza Hook.

- Sorry, co, ale czy nie powinieneś raczej zadbać o swoją kobietę i zrobić jej okład z lodu, zajmij się nią lepiej.

- Wiesz, gdzie ja ci przyłożę ten okład z lodu? W dupę ci go wsadzę!

- Skoro tak stawiasz sprawę, to najwyraźniej nic się już nie poradzi.

Jeszcze potem będą się mnie czepiać, że w chuja sobie lecę.

Hook zanoszą się śmiechem, murarz najwyraźniej nie kuma, chce coś powiedzieć, ale Hook błyskawicznie zadaje mu pierwszy cios. Wyjeżdża mu z piachy prosto w twarz, jest cholernie szybki. Bum. Hook się wyrobił, nie ma co. Musiał się nieźle wziąć za siebie w czasie mojej nieobecności. Murarz leci gdzieś w tył, aż miło patrzeć. Ląduje nieopodal, spada na krzesło, które się przewraca do góry nogami i łamie pod jego ciężarem. Leży jak długi. Wszyscy zaczynają krzyczeć. Ktoś spośród zgromadzonych w lokalu zaczyna się oburzać. Towarzystwo goszczące w głębi pomieszczenia podrywa się od stolików. Jakaś kobieta chwyta za komórkę i zaczyna gdzieś wydzwaniać. Nic tu po nas. Nawet nie mamy co się na siebie oglądać. Lucone, Hook, Żeglarz, Balestri, Zurli, Bardato chwytają za ręce dziewczyny i ciągną je za sobą.

- Kurczę, nic a nic nie zjadłam.

Ja też nie.

- Nie marudź, no, chodź, już po wszystkim postawię ci superlody u Giovanniego.

- Już ja tam wiem, co on ci da. Zwykłego śmietankowego na patyku.

I w śmiech, nawet Schello zdołał się uwolnić, kopnął z całej siły w krzesło, a to, pechowo, trafia akurat w murarza, który chyba dopiero co zaczął kojarzyć, gdzie tak naprawdę się znajduje. Chwytam Gin za ramię i ściągam ją ze stołu. Niewiele brakuje, żeby upadła, ale łapię ją w locie.

- Co jest, co się dzieje?

- Na razie nic, ale lepiej się stąd zmyć.
- Czekaj... kurtka. - Wraca się i w pośpiechu zgarnia ciemną kurtkę Levi'sa, i w nogi
- Nara Vit, wybacz, ale mamy imprezę.
- Tak, imprezę... z wami to tak zawsze, co? Już ja bym wam dał imprezę!!! - Wygląda na poirytowanego, ale tak naprawdę, jak zawsze, świetnie się bawi. Tkwi tuż przy samych drzwiach. Patrzy, jak pędem wychodzimy, nieźle przy tym rozrabiając. Schello wzbija się w górę, stopami uderza jedna o drugą niczym John Belushi, reszta się śmieje, Lucone i Bunny podkradają z innych stolików coś do zjedzenia: a to bruschettę, a to kawałek kielbaski, i co tam jeszcze popadnie. Balestri kroczy niespiesznie. Ma zmęczone spojrzenie, trochę wyniosłe, zresztą kto go tam wie. Tak czy owak, uśmiecha się i rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „Tacy już są, jarają się z byle powodu”. Choć tak naprawdę, to on akurat „ujarał się” najbardziej. Schello podprowadza kawałek kurczaka jednej kobiecie, wrywając go jej dosłownie sprzed samych ust; kobieta z rozpędu kłapie zębami, choć po upragnionej porcji nie ma już ani śladu. Niewiele brakuje, by przegryzła sobie język i oburzona wali pięścią w stół.

- Doprawdy to już szczyt wszystkiego! Najlepszy kąsek. Specjalnie zostawiłam go sobie na sam koniec.

Vit, który akurat sączył wino, wybucha śmiechem i wylewa na siebie zawartość kieliszka. Właśnie w tym samym momencie przechodzimy obok razem z Gin, a ja, by nie okazać się gorszy, zwijam kobiecie sprzed nosa jedną frytkę. Zjadam kęs: - Wyśmienita, jeszcze ciepła, takie duże frytki robi tylko Vit, kroi je własnoręcznie, żadne tam mrożonki, trzymaj.

Drugą połowę frytki podaję Gin.

- I żebyś mi tylko potem nie narzekała, że ci nie postawiłem kolacji. Już nas nie ma, biegniemy za resztą, trzymamy się za ręce. Ona się śmieje, kręcąc głową, z połówką frytki w buzi.

- Parzy...

Niby, że się skarży, ale już po chwili się zaśmiewa i pędzi jak szalona. Wyrzuca nogi przed siebie, rozpuszczone włosy rozwiewa jej wiatr, ma na sobie ciemną kurtkę. I właśnie w tym momencie, w nocy, myślę tylko o jednym. Jestem szczęśliwy, że zwinęła mi 20 euro na benzynę.

22

Trochę później, w samochodzie.

- Masz fajnych przyjaciół, może trochę nadpobudliwych, ale sympatycznych. Bywa, że nam, dziewczynom, zdarza się umówić z kompletnie niemrawymi kolesiami.

- Nam, dziewczynom... Nam, dziewczynom, czyli komu?

- Okay, wobec tego powiedzmy, że to mnie zdarzyło się umówić z kolesiami, którzy byli totalnie niemrawi... Czy tak jest lepiej?

- Trochę.

- Dobra. Co wobec tego mam powiedzieć: masz boskich przyjaciół! Czy to bardziej ci odpowiada?

- Boskich. Co za straszne powiedzenie. Jakby chodziło o tytuł jednego z tych filmów braci Vanzina. Jeśli już, to mów na nich zwyczajni niezwyčajni.

Gin zaczyna się śmiać: - Okay, *ouche*.

I zaraz spogląda na mnie i marszczy brwi.

- Ups, sorry. Ty przecież nie znasz francuskiego?

- Jak nie, *ouche, ouche* znaczy...

Niespodziewanie biorę bardzo ostry zakręt. Zarzuca ją wprost na mnie. Właściwie mam ją teraz w garści, jej piersi są w zasięgu moich rąk.

- Właśnie, czy to aby nie znaczy *ouche*? Mam rację?

Usiłuje mnie spoliczkować, ale tym razem jestem szybszy od niej. W porę udaje mi się zasłonić.

- Ups, sorry. Albo inaczej: pardon! Nie miałem najmniejszego zamiaru cię „touchować”, ale *tu es tres jolie!* I jak mi idzie francuski? W każdym razie „dotarliśmy”. Tyle, że akurat nie wiem, jak to się mówi.

Wysiadam z samochodu. Gin jest wściekła.

- Wyjaśnij mi jedną rzecz: skoro twoi przyjaciele to tacy zwyczajni niezwyčajni, jak sam twierdzisz, to dlaczego, kiedy ich mijalesz o umówionej godzinie, udalesz, że ich nie widzisz?

Kurwa mać. Jest niesłychana. Nic jej nie umknie. Idę przed siebie, mam ją za plecami. Czuję ucisk w żołądku.

- A to, bo być może nie wiesz, nazywa się *tombe*, czyli trafiony zatopiony, ty świnio!

Gin wsiada do swojego samochodu, natychmiast odpala i rusza na pełnym gazie z piskiem opon. Biegnę w stronę motocykla. Jeszcze tylko jeden metr i go dopadam.

- Widział kto coś podobnego? Weź się pierdol. I to jak się wywyższa, za kogo on się ma? Okay, nazywa się Step, i co z tego? Kto go tam, kurwa, zna... Owszem, koleś uchodzi albo raczej uchodził za boskiego, tyle że wśród swoich przyjaciół. Tych zwyczajnych niezwyčajnych, jak sam ich nazywa. I co z tego?

- A to, że jakoś tam ci się podoba.

Od kiedy byłam mała, zawsze lubiłam się bawić w Gin 1 mścicielkę i Gin 2 chodzącą mądrość. A przynajmniej ja sama tak je sobie nazywałam. Ta pierwsza, Gin 1 mścicielka, jest Dzika. Poza tym, jako dziecko, miałam przyjaciółkę, która nazywała się dokładnie tak samo i zawsze sobie myślałam, że strasznie bym chciała podkraść jej to nazwisko. Ta druga, Gin chodząca mądrość, jest Pogodna, to ucieleśnienie romantyzmu i równowagi. Dzika i Pogodna bez przerwy się ze sobą spierają.

- Tak, podoba mi się, i co z tego?
- A to, że popełniłaś błąd.
- Wyjaśnij, co masz na myśli.
- Okay, bardzo mi się podoba! Podobają mi się jego krótkie włosy, jego pełne usta, jego wesołe i dobre oczy, jego ręce... aha, tak, i jeszcze strasznie mi się podoba jego zajebisty tyłeczek.
Ależ ty jesteś wulgarna.
- O matko, co tak trujesz.
- Ach tak?
- Tak! - Ale skoro tak się nim zachwycasz, to w takim razie wytłumacz mi... dlaczego zwinęłaś mu kluczyki od motoru?
- Bo nikomu nie wolno macać mnie po piersiach, o ile ja sama go do tego nie upoważnię. Jasne? A Step, boski albo raczej zwyczajny niezwykajny nie otrzymał upoważnienia. A te piękne klucze zatrzymam sobie na pamiątkę.
- Jestem pewien, że właśnie o mnie myślałaś.
Kurczę, to Step, i to na motorze, jak mu się udało odpalić?
- Zatrzymaj się, zjedź na bok, bo w przeciwnym razie skopię ci tego gruchota, tak że już sobie nim nie pojeździsz.
Z pewnością odpalił na styk, zamknął obwód, cholera jasna. Gin zwalnia i w końcu się zatrzymuje. Skoro tak szybko poradził sobie z blokadą i od razu ruszył, to choćby nawet nie był boski, i tak odznacza się dużą przytomnością umysłu.
- I co? Świetnie się spisałaś, bardzo zabawne.
- Co takiego?
- Aha, czyli jeszcze na dodatek zgrywasz cwaniurę? Kluczyki.
- A, tak, przepraszam. Dopiero co zdałam sobie z tego sprawę. Cóż, najwyraźniej... Tak, słowem, może pomyliłeś kurtki i sam schowałeś je do mojej kieszeni.
Nabijam się z niej.
- Skąd, Step, przysięgam, że nie miałam zielonego pojęcia.
- Nie przysięgaj... fałszywa ty!
- Cóż, może zabrałam je przez pomyłkę.
- A co do tego, że się pomyliłaś, to nie ma najmniejszych wątpliwości, wzięłaś klucze do domu.
- Nie, przysięgnij!
- A, w tym wypadku przysięgam, na co tylko chcesz.
- Nie mogę w to uwierzyć.
- Lepiej się postaraj. - Puszczam ją wolno. - Ależ z ciebie naciągaczka.
- Nie mów tak na mnie. - Wyciąga klucze z kieszeni kurtki i rzuca nimi we mnie z całej siły. Błyskawicznie się odchylam i chwytam je w locie. - Naciągaczko, nie jesteś nawet w stanie we mnie trafić. No już, wskakuj do samochodu, odstawię cię do domu.
- Nie, niech cię o to głowa nie boli.

- Boli mnie, i to jeszcze jak. Tak się składa, że jesteś jedną z tych nieobliczalnych dziewczyn.

- Co masz na myśli?

- A to, że znów złapiesz gumę, ktoś pomoże ci zmienić koło, a ty jak na prawdziwą naciągaczkę przystało, weźmiesz to za dobrą monetę i potem mamie skończysz, a ostatnim, z którym cię widziano, będę ja.

- Aha więc to o to ci chodzi?

- Powiadają, że lubię spokojne życie, w miarę możliwości. Ojej, nie truj, wskakuj do bryki, i już.

Gin, naburmuszona, wsiada do samochodu. Zapala silnik, ale zanim rusza, opuszcza szybę: - Już wiem, dlaczego to robisz. Podjeżdżam na motorze:

- Ach tak, dlaczego?

- Bo chcesz zobaczyć, gdzie mieszkam.

- Ten gruchot ma rejestrację Roma R24079. Wystarczy dziesięć minut, żeby mój przyjaciel, który pracuje w urzędzie miasta, sprawdził dla mnie twój adres. Tym samym nie musiałbym nadrabiać drogi i oszczędziłbym sobie sporo fatygi. Jedź już, zarozumiała naciągaczko!

Ruszam z piskiem opon. Cholera, Step zna na pamięć moją rejestrację. A ja sama wciąż nie zdołałam się jej nauczyć. Już po chwili materializuje mi się z tyłu. Widzę go w lusterku. Co za koleś. Jedzie za mną, ale nie podjeżdża za blisko. Dziwne, jest taki ostrożny. Wcale bym się tego nie spodziewała. Cóż, w gruncie rzeczy to przecież nie znam go aż tak znowu dobrze... Bo ja wiem!

Zmieniam biegi i trzymam się na dystans. Nie chciałbym, żeby Gin wykręciła mi jakiś numer, chociażby hamując gwałtownie. To najlepszy sposób, żeby się pozbyć motocyklisty. Jak dobrze pójdzie, to nawet nie zdążysz się zatrzymać. Ryzykujesz własnymi widelkami skrzynki biegów i całym motocyklem. Zarzuca cię i nie ma mowy, byś mógł kontynuować przerwany pościg. Corso Francia, piazza Euclide, via Antonelli. Zarozumiała bestia pędzi przed siebie. Ani razu nie przystaje na światłach.

Przejeżdża tuż przed Embassy na pełnym gazie. Mija samochody stojące na światłach i dalej jedzie prosto, skręca w prawo, potem w lewo, w ogóle nie używając przy tym kierunkowskazów. Jakiś debil trąbi za nią, ale z wyraźnym opóźnieniem. Via Panama. Zatrzymuje się kawałek przed piazzale delie Muse. Gin parkuje, wjeżdżając pospiesznie pomiędzy dwa samochody, o żaden z nich nawet minimalnie się przy tym nie ociera, udaje jej się to już przy pierwszym podejściu. Jest dokładna i świetnie radzi sobie za kierownicą. Albo może zwyczajnie ma farta?

- Ej, znakomicie ci wychodzą manewry.

- Mówisz tak, bo nie widziałeś, co jeszcze potrafię.

- Jak to możliwe, że nigdy nie mogę powiedzieć niczego, tak byś ty zaraz nie czuła się zobowiązana dorzucić swoje trzy grosze?

- Okay... Wobec tego dzięki za kolację, świetnie się bawiłam, ty byłeś wprost fantastyczny, twoi przyjaciele są doprawdy boscy, sorry, zwyczajni

niezwyczajni. Przepraszam za pomyłkę z kluczami i dzięki za odprowadzenie mnie do domu. Czy tak jest dobrze? Czyżby mi coś umknęło?

- Tak, nie zaprosisz mnie do siebie na górę?

- Co takiegooo? Mowy nie ma. Nigdy nie zapraszałam do siebie żadnego z moich chłopaków, i niby z jakiej racji miałabym teraz zapraszać akurat ciebie, czyli kogoś całkiem obcego. Weź ty się opamiętaj!!!

- A co, to było ich aż tylu?

- Chłopaków?

- No, a kogóż by innego?

- Cała masa.

- I jak oni z tobą wytrzymywali?

- Byli świetni z matematyki. Robili bilans i na koniec wychodziło im, że jest o wiele więcej za niż przeciw. Ale, niestety, coś mi się zdaje, że matematyka nie jest twoją najmocniejszą stroną.

- Tak naprawdę to był jedyny przedmiot, z którym radziłem sobie jako tako.

- Otóż to, właśnie, jako tako. Dlatego też nie masz tu na co liczyć... dobry wieczór, panie Valiani...

Oglądam się, żeby zobaczyć, z kim się wita, ale nikogo tam nie ma. Zza pleców dobiega mnie szcęk zamykanej bramki.

- A kuku!

Odwracam się, Gin jest po drugiej stronie furtki, która wciąż jeszcze lekko się trzęsie. Zatrzasnęła ją za sobą. Zrobiła to błyskawicznie.

- Już ci mówiłam, jesteś zwyczajny niezwyczajny. Ale ocierasz się o banał.

Gin biegnie w stronę klatki. Grzebie w kieszeni w poszukiwaniu kluczy. Zajmuje mi to raptem sekundę; prawa, lewa i już przesadam ogrodzenie i biegnę w jej kierunku, gdy tymczasem ona rozpaczliwie poszukuje klucza do drzwi wejściowych na klatkę. Hop. I jestem przy niej, obejmuję ją z tyłu. Ona w krzyk. Trzymam ją przy sobie.

- A kuku! Czy kiedy byłaś mała, to grałaś w raz, dwa, trzy, Baba-Jaga patrzy? Nawet nie zdążyłaś się odwrócić, a ja już cię dopadłem. Teraz jesteś moja.

Jej włosy bardzo ładnie pachną. Ale ten zapach nie jest słodki. Nie znoszę słodkich zapachów. Ich woń ma w sobie coś świeżego, orzeźwiającego, radosnego, żywiołowego. Szarpie się, próbując uwolnić, ale trzymam ją mocno.

- Skoro nie chcesz zaprosić mnie do siebie na górę, to może tutaj zacieśnimy naszą znajomość.

Stara się trafić we mnie obcasem, wierzgając nogą w tył, ale rozstawiam szeroko nogi.

- Spokojnie... Ej, nie robię nic złego. Przecież nie dobieram się do ciebie, raptem cię tylko objąłem.

- Ale ja wcale cię o to nie prosiłam.

- A wydaje ci się, że tak to wygląda, że mówisz do faceta: no chodź, proszę, obejmij mnie? Gin, Gin... wygląda mi na to, że wielu spośród tych chłopaków pozostawiało sporo do życzenia.

Nasze twarze prawie się dotykają. Jej policzek jest gładki, delikatny i świeży zupełnie jak dorodna brzoskwinia, lekko złocisty za sprawą jasnego meszku, przejrzysty, i to bez makijażu. Rozchyłam usta i dotykam nimi jej policzka, ale jej nie całuję, nie kąsam. Macha głową raz w prawo, raz w lewo, starając mi się wywinąć, ale ja jestem niczym jej cień. Delikatny podmuch wiatru przynosi z ogrodu woń jaśminu.

- Ej, no i jak, co ty na to? Zmieniłaś zdanie?

- Chyba śnisz.

Ta jej odpowiedź brzmi jakoś dziwnie, mówi ściszym, nieomal zdławionym głosem.

- Tak, przecież ci się podoba...

- Co ty wygadujesz?

- Poznają po głosie.

Odchrząkuje.

- Słuchaj, puścisz mnie wreszcie, czy nie?

- Nie.

- Jak to nie?

- Sorry, sama zadałaś mi pytanie, tak? I moja odpowiedź brzmi: nie. Raz jeszcze próbuję. W ciszy. Szeptem. Niesionym przez nocny podmuch wiatru.

- Puk, puk, Gin, mogę wejść?

- Ale nie wiesz, co zastaniesz.

- Nigdy nie wchodzę, o ile potrafię się potem wydostać.

- Piękne zdanie.

- Podoba ci się? Pożyczyłem je sobie od bohaterów filmu *Ronin*.

- Głupek.

Chyba nawet zaczęło jej się podobać. Obejmuję ją, przytulając mocno do siebie i jednocześnie kołyszę się lekko razem z nią raz w prawo, raz w lewo; oplatom ją ramionami, uniemożliwiając jej tym samym jakikolwiek ruch rąk. Nucę sobie pod nosem. To Bruce, ale nie wiem, czy coś jej to mówi. Miękkie i powolne dźwięki, jakie z siebie wydaję, przechodzą w gorący oddech, który przenika jej włosy i dociera niżej, grzejąc jej kark. Gin rozluźnia rękę. Mam wrażenie, jakby dawała się ponieść. Nie przestaję leniwie nucić, cały czas się przy tym kołysząc. Ona robi to samo, jakbyśmy tańczyli w jednej parze. Widzę jej usta, są przepiękne. Ma poprzecinane drobnymi rowkami, rozchylone wargi, jakby śniła, wzdycha. Chyba nawet przeszedł ją dreszcz. Uśmiecham się. Lekko zwalniam uścisk, ale nie za bardzo. Odrywam od niej prawą rękę. Przesuwam ją w górę, na biodro. Bardzo powoli. Ona postępuje tak samo, niespiesznie, wzrok utkwiała w mroku nocy, oddaje się fantazjom pośród ciemności, w których pograżyły się uczucia. Zaniepokojona, że mógłbym czegoś dotknąć, jak dziecko, które

odkrywa sztuczkę, będącą kluczem do niepojętego, wyjątkowego czarodziejskiego zaklęcia. Ale nie tego pragnę. Powoli, delikatnie, zatracam się w jej włosach. Pieszczę jej kark, kładę dłoń na jej policzku. Lekko na nią napieram, ciekawy, jak zareaguje... Odwracam jej głowę w lewą stronę. O tak, powoli, Gin opiera policzek o przeszklone drzwi wejściowe, włosy spadają jej na twarz i nagle, spoza tego czarnego, wonnego gąszczy, wyłaniają się jej usta. Niczym miłosna róża, która dopiero co rozchyliła swoje płatki, aksamitna i wilgotna. Wzdycha podniecona i zostawia małe, zaparowane obłoczki na przeszklonych drzwiach wejściowych. I wtedy właśnie ją całuję. A ona się uśmiecha, daje mi wolną rękę, lekko mnie kasa, już się nie opiera i jest wprost cudownie. Przejmująco, zabawnie, bosko, nie... Nawet lepiej. To autentyczne piekło. Bo ogarnia mnie podniecenie.

- Gin, to ty?

Za moimi plecami rozlega się męski głos. I to akurat teraz... Nie! Wierzyć mi się nie chce. Furtka, kroki... Nic kompletnie nie słyszeliśmy. Ogłuszeni pożądaniem. Odwracam się błyskawicznie, gotów w każdej chwili raczej się bronić, aniżeli samemu atakować. Jakkolwiek by na to patrzeć, jej mężczyzna ma swoje racje. Patrzę na niego. Koleś raczej nie jest zbyt wysoki i raczej szczupły.

- Cholera, wprost nie mogę w to uwierzyć. - Po twarzy widać wyraźnie, że nie tyle się wkurwił, ile go to bawi. Gin poprawia sobie włosy, jest poirytowana, ale bez przesady.

- No, lepiej już uwierz, chyba że chcesz, żebyśmy znów zaczęli się całować.

Cholera, twarda z niej sztuka.

- Ach, specjalnie ze względu na mnie.

Wciąż stoję w pozycji obronnej.

- Stefano, to Gianluca, mój brat.

Opuszczam ręce, dyskretnie wzdycham, ulżyło mi i to wcale nie dlatego, że nie będziemy się bić. Akurat to mi wisi, jak jeszcze nigdy dotąd. Powód jest całkiem inny. I to chyba jest nawet bardziej niepokojące.

- Cześć.

Wyciągam do niego rękę i się uśmiecham. Pewnie, że to nie najlepszy sposób, by się poznać. Koleś, który przystawia się do siostry.

- No, to teraz jesteś w dobrych rękach, mogę już iść.

- Tak, nie sądzę, żeby akurat on miał mnie zgwałcić.

Uśmiecha się, nabijając się ze mnie.

- Możesz już iść, zwyczajny niezwykajny Stepie.

Oddalam się w stronę furtki i zostawiam ich samych, brata i siostrę, tuż pod wejściem na klatkę. Odpalam motocykl i ruszam, zostawiając za sobą, pograżony w tym letnim zapachu jaśminu niedokończony pocałunek.

Gianluca patrzy na Gin i nie może się nadziwić.

- Poważnie, wprost nie mogę w to uwierzyć!

- Lepiej ci zrobi, jak uwierzysz, twoja siostra niczym nie różni się od innych dziewczyn, a jeśli może cię to jakoś pocieszyć, to jak sam widziałeś, nie jest lesbijką.

- Nie, nie załapałaś, nie mogę uwierzyć w to, że całowałaś się ze Stepem! Gin nareszcie znalazła klucz i otwiera drzwi na klatkę.

- A bo co, znasz go?

- Czy go znam? Chętnie bym się dowiedział, kto w Rzymie go nie zna?

Już wiesz: ja. Masz przed sobą namacalny przykład, ja go nie znałam.

I zaraz Gin myśli sobie, że to w końcu przecież brat, jedno kłamstwo więcej czy mniej, wszystko jedno.

- Nie wierzę. To niemożliwe, żebyś w życiu o nim nie słyszała. No co ty, wszyscy go znają. To koleś, który wyczyniał takie rzeczy, że głowa mała, jego zdjęcie raz nawet ukazało się w gazecie, jak jedzie na jednym kole na motorze razem ze swoją dziewczyną, ścigany przez policję. Wierzyć mi się nie chce! Moja siostra całuje się ze Stepem. - Gianluca kręci głową.

- A to co znowu: nagłówek w „Gazetce leszcza”?

Wsiadają do windy.

- Nie wiem, czy aby nie pogrążę twojego boskiego Stepa, zabijaki, twarziela, uciekiniera, który śmiga na jednym kole z dziewczyną na motorze...

- Dobra, zrozumiałem, o kim mowa, no i?

- Ale całuje dokładnie tak samo jak cała reszta.

W tym samym momencie Gin wciska przycisk z cyfrą 4. I zaraz spogląda w lustro. Rumieni się. Samej siebie nie jest w stanie oszukać. Właśnie skłamała po raz kolejny. I to nawet bardziej niż poprzednio. I doskonale o tym wie.

23

Noc. Gnam na motorze na pełnym gazie. Piazza Ungheria, prosto w kierunku zoo. Nie udaje mi się znaleźć jednego słowa na określenie Gin. Ale i tak próbuję. Sympatyczna, nie, bardzo ładna, dobre sobie! Piękna, zabawna, inna. Ale właściwie, to po co w ogóle ograniczać się do jednego tylko określenia? Chyba najlepiej zebrać do kupy wszystkie naraz. Albo rozejrzeć się jeszcze za jakimiś innymi. Nie chcę się nad tym zastanawiać. A jednak coś sobie uświadamiam i już na samą tylko myśl się uśmiecham. Razem z nią przejechałem piazza Euclide, podążając za jej samochodem. Nawet raz nie spojrzałem przy tym na gmach Falconieri, w ogóle nie pomyślałem o szkole Babi, o tym, jak czekałem tam na nią pod wejściem, o czasie, kiedy to się działo. Właśnie o tym myślę. To spada na mnie jak grom z jasnego nieba. Wspomnienie. Tamten dzień. Tamten poranek. Jakby to było teraz. Przyjechałem do niej pod szkołę. Przyglądam się jej z daleka, widzę, jak schodzi

po schodach, zanosi się śmiechem razem z przyjaciółkami, gada, nie wiadomo o czym. Uśmiecham się zrozumiąle. A nuż o mnie... Czekam na nią.

- Cześć...

- No co ty, jaka piękna niespodzianka, wpadłeś po mnie do szkoły.

- Tak, ucieknijmy razem.

Mama chyba już sobie na to zasłużyła. Wiecznie się spóźnia.

Babi sadowi się za mną na motorze. Od razu mocno się do mnie przytula.

- To znaczy, nie rozumiem, nie tyle uciekasz, bo chcesz być ze mną, ile by ukarać własną spóźnialską matkę! Wiesz co, niezła jesteś...

- Sorry, ale skoro jedno nie wyklucza drugiego, to może nawet lepiej?

Przejeżdżamy obok siostry, która stoi w umówionym miejscu i czeka.

- Dani, powiedz mamie, że wrócę do domu później. A ty się nie rozpędzaj, dobra?

Niedługo docieramy na via Cola di Rienzo. Smażalnia Franchi.

Wychodzimy stamtąd z torbą pełną przyrządzanych na miejscu, panierowanych i chrupiących przekąsek z ryżu i warzyw, za którymi ona tak przepada, kruchutkami, jeszcze ciepłymi, z siatką pełną serwetek, małą butelką wody dla nas dwojga, głodni jak wilki. Od razu zabieramy się do jedzenia, ona siedzi na motorze, a ja stoję naprzeciwko, nie odzywamy się, tylko patrzymy sobie w oczy. Ni stąd, ni zowąd zaczyna padać grad. I to jeszcze jak, coś niesamowitego. Niewiele myśląc, podrywamy się i pędzimy przed siebie, pędzimy jak szaleni i chowamy się pod daszkiem osłaniającym wejście na klatkę schodową, niewiele brakuje, byśmy się poślizgnęli, ale chcemy jak najszybciej schronić się przed gradobiciem. Tkwimy tam zziębnięci, pod zadaszeniem, które jest zarazem czymś balkonem. Grad stopniowo przechodzi w śnieg. Śnieg w Rzymie. Ale zanim w ogóle zdąży dotknąć ziemi, ten śnieg już się rozpuszcza. Uśmiechamy się do siebie jeszcze przez chwilę, ona bierze kolejny kęs ze swojej porcji, a ja próbuję ją pocałować... I już po chwili puf, zupełnie jak ten śnieg, także i to wspomnienie się rozplywa. Nigdy nie wiadomo, z jakiej racji przypomina nam się akurat to, a nie co innego. Pojawia się nagle, ot tak, nie pytając o pozwolenie. I nigdy nie wiesz, kiedy da ci spokój. Jedyne czego możesz być pewnym, to że, niestety, nawiedzi cię ponownie. Ale zazwyczaj to kwestia kilku sekund. I już wiem, jak sobie z tym radzić. Wystarczy nie poddawać się temu zbyt długo. Jak tylko pojawi się wspomnienie, należy niezwłocznie zostawić je samemu sobie, oddalić się natychmiast, bez żalu, nie idąc na żadne ustępstwa, pozwolić, by pozostało nieostre, nie dać mu się wciągnąć. Tak, by uniknąć bólu. Właśnie, już lepiej... Już po wszystkim. Tamten śnieg rozpuścił się definitywnie.

Gaszę silnik i wchodzę. Portier jest wciąż ten sam: - Dobry wieczór, jak miło pana widzieć.

Poznał mnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

W pełnym tego słowa znaczeniu, ale tego już mu nie mówię.

- Chce pan, żebym go zapowiedział?

- Jeśli to konieczne.

Patrzy na mnie i się uśmiecha.

- Nie, nikogo u niej nie ma.

- Okay, wobec tego wejdę i zrobię jej niespodziankę.

Wsiadam do windy. Portier się do mnie wychyla.

- Dziś wieczór bez arbuza?

W ostatniej chwili mu odpowiadam: - Bez. - Coś niesamowitego. Nie ma na to rady. Portierom nic nie umknie. 202. Stoję pod drzwiami i pukam.

Słyszę jej szybkie kroki. Otwiera mi, nawet nie pytając kto tam.

- Cześć! Co za niespodzianka! - Eva jest wyraźnie szczęśliwa, że mnie widzi. - Próbowałam dodzwonić się do ciebie na komórkę, ale była wyłączona. Czyżbyś był z ukochaną?

- Tylko z przyjaciółmi.

Kłamię i mam lekkie poczucie winy, choć nie bardzo wiem dlaczego. Nie ma to przecież najmniejszego sensu.

- Ja do ciebie nie dzwoniłem.

- Cóż, przyszedłeś prosto z marszu. Dobrze zrobiłeś, bo jutro wyjeżdżam.

- Dokąd?

- Ameryka Południowa, chcesz się ze mną zabrać?

- Dobrze by było. Ale muszę zostać w Rzymie, wiesz, mam tu parę spraw do załatwienia.

- Aha, rozumiem.

Całe szczęście, że się nie dopytuje, co to takiego. W rzeczywistości sam nie mam pojęcia, co by to mogło być. Rozpoczęcie pracy, początek nowego związku. Zakończenie wreszcie tego poprzedniego. Tamtego. Nie. Nie teraz. To nie jest właściwy moment. Jego wspomnienie znów do mnie wraca, ale je przeganiam i przychodzi mi to z łatwością. Chyba dlatego, że Eva ma na sobie nowy komplet bielizny. Jest taki ładny, a zarazem elegancki, tak samo jak poprzedni. Bardziej prześwitujący. Widać jej piersi.

- Wiesz, Eva, sam nie wiedziałem, czy wpaść, czy aby nie będziesz miała towarzystwa.

- Po wczorajszym wieczorze... Za kogo ty mnie masz?

Eva zaczyna się śmiać, robi śmieszny minę i kręci głową. Po chwili klęka. Rozpina mi dzinsy i oblizuje sobie wargi. Sprawia, że wszelkie moje wątpliwości pierzchają. Właśnie, za kogo ja ją mam?

Rano. U Vanniego aż roi się od ludzi. Wszyscy są zaganiani, ubrani bez zarzutu, obłądnie, źle, fatalnie. Różnorodni aż do bólu. Tacy, bez których ani rusz, oraz inni, bez których spokojnie można by się obejść w wielkim, mieniącym się refleksami świecie telewizji. Wszyscy tak czy siak obecni. Zawsze.

- Cześć, reżyserze.

- Witam pana magistra.

- Mecenasiu, pamięta mnie pan? Nie chciałem panu przeszkadzać, ale jak tam projekt?

- Prawda to, czy nie, że zawiesili tamten program?

- To jak, ruszy w końcu czy też nie ta produkcja, której nie można się doczekać?

- W każdym razie musimy koniecznie wcisnąć tam tę dziewczynę.

- A jaka ona jest, ładna?

- A co to ma do rzeczy? Tak czy siak, ma tam wystąpić.

I tym podobne. Aranżowanie, manipulowanie, zarabianie, zabieganie o przysługę, negocjowanie, szantażowanie, kombinowanie, ekscytowanie się, produkowanie i pozyskiwanie dla siebie całych godzin czasu antenowego. Jak tylko się da, sięgając po nowe pomysły, stare formaty, zżynając, skąd popadnie, usiłując to i owo przy tym podrasować, byle tylko nadawać. Na tysiące sposobów, mając za nośnik ten niewielki sprzęt gospodarstwa domowego, z którym zetknęliśmy się wszyscy tuż po urodzeniu. To ona, telewizja, nasz wielki brat, albo raczej, jak to między siostrami, nasza druga mała mama. A może nawet pierwsza i jedyna.

Dotrzymywała nam towarzystwa, otoczyła nas miłością, wykarmiła nas pokolenie po pokoleniu, tym samym mlekiem katodowym, świeżym, o przedłużonej ważności, które skisło...

- Rozumiesz?

- Słowem takie jest twoje zdanie. I przyjechałeś tu aż z Verony, żeby robić telewizję.

- Żeby wymyślać obraz, realizować zamówienia na logo w sposób rzetelny... i takie tam.

- Dajmy sobie wreszcie spokój z tym powiedzeniem: i takie tam. Jest niekonkretne i to aż za bardzo. - Marcantonio patrzy na mnie i się uśmiecha.

- Świetnie, wyrabiasz się. Agresywny skurwysyn, takim cię lubię.

- Poznają: *Pluton*.

- Rzeczywiście zaczynasz mnie zadziwiać... Chodź, pójdziemy zobaczyć, na jakim etapie jest TdV.

- A co to takiego TdV?

- Jak to, nie wiesz? Teatro delie Vittorie - Teatr Victorii, niezapomniana świątynia telewizji z dawnych lat.

- Skoro to „niezapomniana świątynia”, w takim razie chodźmy.

Przechodzimy przez ulicę. Stragan z książkami zajmuje część ogrodu.

Chłopaki i dziewczyny wyglądający na intelektualistów kartkują tanie książki. Jakaś pulchna panna trzyma w rękach książkę kucharską. Marcantonio jej nie przepuszcza.

- Lepiej kup coś o sporcie albo seksie, będziesz z tego miała większy pożytek.

Śmieje się sam do siebie, ona tymczasem spogląda na niego z urazą. Marcantonio od razu zapala sobie chesterfileda i pali go łapczywie, naśladując przy tym, trudno powiedzieć jaki, akt seksualny, który mu się z tym kojarzy.

- Dzień dobry. Tony.

- Witam, hrabio, co słychać?

- Kiepsko, od kiedy monarchia upadła.

Tony wybucha śmiechem. On, najzwyczajniejszy strażnik w Teatro delie Vittorie, ma świetny ubaw przy pracy. W ramach wykonywanych obowiązków znalazł sobie sposób, by się z nim Uczono. Odpowiada za drzwi. Wpuszcza ważnych ludzi, reżyserów, statystów, aktorów, zatrzymuje tych wszystkich, którzy są bez przepustki. Słowem, wykidajło show-biznesu.

- Co racja, to racja, hrabio. Mogłeś chociaż przysłać grupkę pacholców, żeby mi otworzyli to wyjście bezpieczeństwa. Już tydzień temu wezwałem technicznych. A tam, żaden się nie pokazał.

No, no, myślę, facet jest skrupulatny. Po chwili podchodzi i zwierza się ściszym głosem. - Nie upominam się z byle powodu, tylko dlatego, że właśnie tędy chodziłem się odlać do kibla na dole. A teraz muszę chodzić naokoło... zwracanie dupy.

I wybucha śmiechem, nieźle to sobie wykombinował, oportunistą, żadnej okazji nie przepuści.

- Świetnie, Tony, nareszcie mamy kogoś, kto rozwiąże twój jakże palący problem.

- A niby kto?

- On, Step!

- A kto to taki, jeden z twojej świty?

- Chyba żartujesz. To bohater, rangą równy królowi... Obcokrajowiec na ziemiach, którymi swego czasu rządził tyran... A tak w ogóle to sorry. Tony, ale chcesz móc się odlać raz-dwa, czy nie?

- Fajnie by było... Step, jak ci się uda, to jestem ci winien przysługę.

- Tony... Bohater rangą równy królowi oznacza ni mniej, ni więcej tylko szlachetnego ducha. Bohater nie jest kimś, kto kupczy, zrozumiano?! A zatem, jakby co, to mnie będziesz winien przysługę.

- Dobra, co to ma do rzeczy, on naprawi drzwi... Pomyślałem, że tak będzie sympatyczniej.

Mogliby tak godzinami. Bohater, jak zwał, tak zwał, wszystko jedno, czyli ja decyduję się im przerwać.

- Jak już skończycie, to powiecie mi łaskawie, gdzie są drzwi...

- Masz rację, wybacz... Tony nas prowadzi:

- Chodźcie tędy. - W samym teatrze wszyscy pracują, aż wióry lecą, rozlega się szcęk żelaza, słychać piły elektryczne, uwijają się spawacze.

- Już prawie skończone. Lada moment będą instalować światła. - Tony mówi, jakby się tłumaczył. - Właśnie, a to są te drzwi, próbowałem już na wszelkie możliwe sposoby. Nic, zero. Ni chuja, niema na nie rady.

Przyglądam się im uważnie. To jedne z tych drzwi ciśnieniowych, pewnie zablokował się zamek boczny. Ktoś zatrzaskał je od wewnątrz. Może nawet sam Tony, tylko że już nie pamięta albo nie chce się przyznać, że zrobił coś tak durnego. Przydałby się klucz. - Czy masz niezbyt szeroki, metalowy drążek?

- Taki jak ten? - Wyciąga jeden ze skrzynki, stojącej na ziemi nieopodal. - Chyba widać, że próbowałem już wszystkiego, co?

- Nie da się ukryć. - Przystawiam drążek do zamka i uderzam w niego mocno, raz a dobrze. Nawet nie muszę się specjalnie wysilać. - Sezamie otwórz się.

I drzwi się otwierają jak zaczarowane.

- Voila, już po wszystkim.

Tony jest cały szczęśliwy, zachowuje się jak sztubak.

- O rany. Step, nie wiem, jak ci dziękować, jesteś czarodziejem. Oddaję mu drążek.

- No, nie przesadzajmy.

Marcantonio przejmuje kontrolę nad sytuacją:

- Słusznie, nie przesadzajmy. Zapamiętaj sobie tylko, że każdemu z nas jesteś winien przysługę, dobra?

- Da radę, da radę... - Tony się uśmiecha i podniesiony na duchu, inauguracyjnie przestępuje próg, idąc się odlać. Marcantonio puszcza do mnie oko i przechodzi przodem.

- Chodź, pokażę ci teatr. - Schodzimy na dół, na scenę. Poniżej siedzeń na widowni, pod duży łuk galerii. A oto i one. Przy dźwiękach porywającej muzyki. Tancerki. W kolorowych strojach sportowych, w pospuszczanych getrach, z długimi lub krótkimi włosami, niektóre częściowo wygolone i z wycieniowanymi fryzurami. Tancerki. Blondynki, brunetki, rude albo z włosami pofarbowanymi na niebiesko. Wysportowane ciała, smukłe, szczupłe, z pięknie wyprofilowanymi mięśniami brzucha. O umięśnionych nogach i z zaokrąglonymi, jędrnymi pośladkami. Gotowe w każdej chwili wykonać szpagat w rytm dynamicznej muzyki. Są wcieleniem doskonałości, do perfekcji opanowały zamaszyste i płynne ruchy, uśmiechnięte nawet wtedy, kiedy ledwo trzymają się na nogach. Muzyka włączona na cały regulator rozlega się wszędzie. A one dają się jej ponieść, szczepiają się ze sobą, krzyżują, łączą na chwilę, by zaraz odchylić się do tyłu, są w swoim żywiole, ulegają jej rytmowi, pozwalają przeniknąć dźwiękom w głąb siebie. Skąpane w blasku reflektorów, jeszcze bardziej rzucają się w oczy. Strugi światła opromieniają ich obnażone nogi, ich drobne piersi, kuse stroje. - Stop! Dobrze, dobrze, to by było na tyle!

Muzyka cichnie. Choreograf, mały mężczyzna około czterdziestki, uśmiecha się zadowolony.

- Dobrze, zrobimy sobie przerwę. Później do tego wrócimy.
- To jest nasz zespół taneczny.
- Tak, sam się zorientowałem.

Przechodzą tuż obok nas, jedna za drugą, uśmiechnięte, spieszą się, by nie zmarznąć, wciąż są rozgrzane, ładnie pachną i mają zwiewne ruchy. Dwie czy trzy całują Marcantonio: - Cześć, dziewczyny. - Wygląda, jakby się dobrze z nimi znał. Jedną z nich nawet lekko klepie w tyłek. Ona bynajmniej się nie oburza, a wręcz cała uśmiechnięta zwraca się do niego: - W ogóle się do mnie więcej nie odezwałeś.

- Nie mogłem.

- Postaraj się móc. - I czmycha jakby nigdy nic, z wymownym uśmiechem na twarzy.

Patrzy na mnie, unosząc prawą brew:

- Tancerki... jakżeż ja kocham telewizję!

Uśmiecham się, spoglądając na ostatnią z kolei. Jest nieco mniejsza od pozostałych, wychodzi żwawo, została z tyłu za innymi, bo miała do zabrania jeszcze bluzę. Kragła i jędrna, odrobinę pulchniejsza, ale akurat tam, gdzie trzeba. Uśmiecha się do mnie. - Cześć. - Nawet nie zdążam jej odpowiedzieć, gdy tymczasem ona już dołączyła do reszty.

- Też zaczynam się w nich kochać.

- Świetnie, właśnie takim cię lubię. No a to jest scena, a tam nasze logo.

Widzisz, tuż nad proscenium: „Wielcy geniusze”. Wrodzona skromność na więcej mi nie pozwala, więc powiem tylko, że to moje dzieło...

- Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości, od razu widać w tym twoją rękę...

Bezwstydnie kłamię.

- Co ty, jaja sobie ze mnie robisz?

- Żartujesz? - uśmiecham się.

- No, takie samo logo jest już obrobione graficznie w trzy de. Program polega na tym, że rozmaite osoby, zwyczajni ludzie, autentyczni wynalazcy przychodzą na tę scenę i pokazują, jak sobie poradzili z jakimś małym lub dużym problemem, z którym boryka się nasze społeczeństwo, kierują się przy tym tylko i wyłącznie własną intuicją.

- Niezły pomysł.

- My ich pokazujemy, dodajemy balet, robimy z tego widowisko, a oni demonstrują własne pomysły, to, co przyszło im do głowy, razem z gotowym prototypem. Idea programu jest prosta, ale myślę, że ludzi to interesuje. Mało tego, ci, którzy tu u nas prezentują swoje wynalazki, mają szansę się wypromować, dzięki telewizji mogą zrobić niesamowitą karierę. Mogą zacząć zbijać na tych swoich wynalazkach prawdziwą kasę.

- Ach, jasne, o ile tylko są interesujące i rzeczywiście się do czegoś przydają.

- Jak najbardziej. Nie myśl sobie, ten program to naprawdę nie byle co. To pomysł Romaniego... Według mnie odniesie olbrzymi sukces, jak zresztą wszystko, za co się weźmie. Romani... Nazywają go królem Midasem telewizji.

- Dlatego, że tyle zarabia?

- Dlatego, że ma na swoim koncie same sukcesy. Wszystko, czego się dotknie, daje znakomite wyniki.

- Dobrze, w takim razie powinienem się cieszyć, że z nim pracuję.

- Cóż, zacząłeś od samego szczytu. A oto i oni.

Widzę, jak nadchodzą, jakby byli na procesji. Romani kroczy na samym przedzie. A za nim podąża dwóch facetów w wieku około trzydziestu pięciu lat, jeden z nich jest krępy, całkiem łysy, zsunął na czoło okulary przeciwsłoneczne, ten drugi zaś chudy, ma wyraźne zakola. Z tyłu jest jeszcze koleś z włosami wprawdzie długimi, ale za to starannie ułożonymi. Wygląda na cwaniaczka, nieustannie się rozgląda. Ma orli nos, neurotyczne spojrzenie i rozbiegany wzrok. Ubrany w garnitur z ciemnozielonego aksamitu, pozbył się w nim mankietów. Nogawki spodni niedawno przeszły krawiecką poprawkę. Widać to po ciemniejszym załomie na materiale. Z całą pewnością jego nogi zyskały na tym kilka centymetrów więcej, ale jego elegancja niechybnie ucierpiała. O ile w ogóle było to jeszcze możliwe.

- No i co, na jakim etapie jesteśmy? - Romani rozgląda się wokół. - Ale jak to, nikogo nie ma? - Zjawia się w te pędy jakiś niski blondyn z błękitnymi oczami. - Dzień dobry, mistrzu. Właśnie kończę instalować oświetlenie, na dziś wieczór wszystko będzie jak trzeba.

- Świetnie, Terrazzi, zawsze powtarzam, że jesteś najlepszy.

Terrazzi uśmiecha się cały zadowolony.

- Wracam do konsoli, żeby popracować nad światłem punktowym.

- Dobra, idź.

Koleś z długimi włosami podchodzi do Romaniego: - Zawsze trzeba ich zachęcać, co? Wciąż nad nimi stać, bo wtedy bardziej się przykładają, prawda?

Romani z dezaprobatą mruży oczy, po czym patrzy na niego surowo.

- Terrazzi naprawdę jest dobry, najlepszy. Zajmował się oświetleniem, kiedy ciebie jeszcze na świecie nie było.

Długowłosego koleś w milczeniu wraca na swoje miejsce.

Ustawia się w korowodzie, jako ostatni. Znów nic tylko się rozgląda, udaje, że całą jego uwagę przykuwa pierwszy lepszy zakamarek scenografii. Wreszcie, żeby jakoś rozładować napięcie, wyżywa się na swojej prawej ręce i zaczyna obgryzać paznokcie.

- To realizatorzy we własnej osobie. Romani jest także reżyserem, chyba o tym nie zapomniłeś, co? - zagaduje mnie z ironią w głosie.

- Skąd. To ten, który najmuje nas do pracy.

- Dwaj pozostali, ten krępy i ten chudy, to Sesto i Toscani, na wpeł wyleniwały i łysy. Kiedyś mówiono na nich Kot i Lis, od niepamiętnych czasów są niewolnikami Romaniego. W pewnym momencie sami zabrali się za robienie własnego programu, ale już po dwóch odcinkach im go zdjęli i od tego czasu przechrzciliśmy ich na Kocur & Kocur. W tej grupce jedynym prawdziwym lisem jest wyłącznie Romani, i to nie byle jakim. Poza Kocurem & Kocurem, jest jeszcze Renzo Micheli, Żmija. Ten niziutki i tłuściutki z długimi włosami i zakrzywionym nosem pochodzi z Salerno, macza ręce w czym tylko się da, a oddech ma tak przykry, że nawet sam szczur przy nim wysiada. Romani już od roku pojawia się w jego towarzystwie. Sądzę, że to skutek zobowiązania, za które przyszło aż nadto słono zapłacić. Nazywają go Żmija, bo o wszystkich mówi źle, nawet o Roma-nim, a zwłaszcza o nim, choć to przecież jego jedyna przepustka w branży. A najbardziej absurdalne jest to, że sam Romani wie o tym doskonale.

- Żmija, niezła ksywa.

- Step, miej się przed nim na bacności, ma prawie czterdzieści lat, dużo wpływowych przyjaciół i przystawia się do wszystkich, a już zwłaszcza do młodziutkich dziewczyn.

- Mylisz się, Mazzocca, jeśli jest tak, jak mówisz, to raczej on powinien się mieć przede mną na bacności. A teraz mi pokaż, gdzie jest nasze stanowisko pracy.

25

Gin, nie rozumiem, dlaczego tak się upierasz, żeby brać mnie ze sobą na casting, jeszcze do ciebie nie dotarto, że wiecznie padam ofiarą selekcji negatywnej.

Patrzę na Eleonorę i się uśmiecham. Ona tymczasem kręci głową.

- To znaczy, według mnie, Gin, ty się tym napawasz, widząc, jak mnie oblewają. Musiałam czymś ci się narazić w poprzednim życiu albo w tym, choć sama nie wiem, co ja ci takiego zrobiłam.

- Ele, weź tak nie mów. To dlatego, że mi przynosisz szczęście.

- Rozumiem, ale dlaczego nie możesz być taka jak wszystkie inne, bo ja wiem, schować sobie do kieszeni talizman na szczęście, jakąś maskotkę typu żabka, prosiaczek, słonik z trąbą do góry?

- *No, I want you.*

- Zachowujesz się jak wujaszek Sam w stosunku do nieszczęsnych żołnierzy amerykańskich. Jeszcze tego tylko brakowało, żebyś postanowiła zgłosić się na casting do Wietnamu.

- A ty, naturalnie, pojechałabyś razem ze mną.

- Jasne, jakżeby inaczej... przecież przynoszę ci szczęście!

I nagle dochodzi do kolizji.

- Cholera jasna, mój mrożony jogurt.

Marcantonio ma całą marynarkę w jogurcie. Gin wybucha śmiechem: -
Przynosisz szczęście, ale najwyraźniej nie jemu.

- Ej, dziewczyny, ale dlaczego nie patrzycie przed siebie, kiedy chodzicie?

- Sorry, a ty sam to niby co, gdzie miałeś oczy? Utkwione w swoim jogurcie?

- Tak, tylko że teraz żyję już wyłącznie wspomnieniem.

- Skoro tak, to dlaczego zwalasz winę na nas?

Wychodzę chwilę później, dzierżąc mój mrożony jogurt, wciąż jeszcze nietknięty. I widzę Gin. Nie mogę w to uwierzyć. I ona tutaj. Chce mi się śmiać. Podchodzę bliżej.

- Popatrz, popatrz, kogo my tu mamy. Poczekaj, już wiem. Teraz chcesz, żebym ci postawił również obiad.

- Ja? Chyba żartujesz? Kolacja w zupełności wystarczy, i to na długo. Powiedz lepiej, co ty robisz tu, u Vanniego? Poczekaj, ach, już wiem, śledziłeś mnie.

- Spokojnie, spokojnie. Dlaczego zawsze sądzisz, że wszystko kręci się tylko i wyłącznie wokół ciebie? Nie widzisz? Właśnie się wybraliśmy razem z przyjacielem, żeby sobie zjeść po mrożonym jogurcie.

- Dziwne. Bywam tu od lat i jakoś nigdy cię jeszcze nie spotkałam.

- Coś mi się nie wydaje, żeby aż od tak dawna. Może zaczęłaś tu przychodzić w ciągu ostatnich dwóch lat, kiedy mnie nie było.

Marcantonio się wtrąca: - Przepraszam, ale o ile nie macie nic przeciwko, to podczas gdy wy będziecie się oddawali drobiazgowej rekonstrukcji faktów z waszego życia, ja chętnie się oddam, żeby doprowadzić się do porządku... A poza tym. Step, pospiesz się, bo mamy ważne spotkanie.

Marcantonio wraca do Vanniego, kręcąc głową. Eleonora wzrusza ramionami: - Co za cham z tego twojego przyjaciela, nawet się nie przedstawił.

- Nie rozumiem, najpierw przez ciebie cały upaprał się mrożonym jogurtem, a teraz jeszcze się spodziewasz, że będzie kłaniał ci się w pas? Coś mi się zdaje, że obydwie z Gin jesteście sobie warte. - Po czym zwracam się do drugiej:

- No i co? Oprócz tego, że wyrządzacie same szkody, co takiego was tu sprowadza?

Eleonora odpowiada śmiało: - Przyszliśmy tu na casting. - Gin wymierza jej kuksańca. - Ała.

- Weź się opanuj, przecież go nawet nie znasz, a już mu zdradzasz nasze sprawy.

Próbuję, jak smakuje mój jogurt. Dobry, nie ma co.

- A kim wy niby jesteście, jakimś nowym zespołem? Czyżby Spy Girls?

- Ha, ha, ha... Wiesz co, Ele, przy nim można skonać ze śmiechu. Problem w tym, że ciężko jest się zorientować, co jest na żarty, a co na serio.

- Aha, no właśnie.

- Cóż, nie, to nie było na żarty, tak po prostu jest. Wiele dziewczyn jest zatrudnianych w agencjach detektywistycznych. A już zwłaszcza takie jak wy, które specjalnie nie rzucają się w oczy.

- Tak, trzeba ci było podbić limo, to byś od razu na oczy przejrzała. Wczoraj wieczorem, kiedy się do mnie przystawiałaś jak ostatni frajer...

Ele patrzy na nas zaskoczona: - Nawet słowem mi o tym nie wspomniałaś!

Gin spogląda na mnie i się uśmiecha.

- To było coś tak błahego, że zupełnie wyleciało mi z głowy! Wyjmuję łyżeczkę z ust i usiłuję wybrać resztki jogurtu z dna plastikowego kubeczka.

- Przyznałaś się jej, że w pewnym momencie zaczęłaś wdychać?

- Spierdalaj!

- Coś mi się nie wydaje, żebyś wczoraj wieczorem się tego domagała.

- Za to teraz tak, i to po dwakroć: spierdalaj!

Uśmiecham się: - Uwielbiam cię za to, jaka jesteś dystygowana.

- Szkoda, że nie możesz docenić tego w pełni. Cóż, musimy już iść, żałuję tylko jednego... Ele, wybacz, ale czy nie mogłaś wpaść na niego, tak żeby to on ubabrał się we własnym jogurcie, kwas na kwas.

Idą sobie. Patrzą, jak się oddalają. Gin - twardzielka i jej przyjaciółka, trochę od niej niższa. Ele, jak ją nazywa, Elena, Eleonora, czy kto ją tam wie. Śmiać mi się chce na ich widok. - Ej, aniołki, pozdrówcie ode mnie Charliego!

Gin, nawet się nie odwracając, unosi w górę lewą rękę, a gwoli ścisłości wycelowuje prosto w niebo wyprostowany środkowy palec. Marcantonio pojawia się w samą porę, żeby załapać się na to pożegnanie.

- Uwielbia cię, co?

- Tak, świata poza mną nie widzi.

- Co ty wyprawiasz z tymi kobietami, muszę się ciebie strzec, kurwa, muszę się mieć przed tobą na bacności.

Gin i Ele idą przed siebie. Ele jest wyraźnie rozdrażniona.

- Można wiedzieć, dlaczego o niczym mi nie powiedziałaś?

- Przysięgam ci, Ele, zupełnie wypadło mi to z głowy, na serio.

- Tak, już to widzę... Czyli, że wpierw całujesz się z zabójczym przystojniakiem, a potem zapominasz o tym na śmierć!

- Naprawdę aż tak ci się podoba?

- No, przystojniak bez dwóch zdań, ale nie w moim typie. Ja wolę tego drugiego. Wygląda jak Jack Nicholson, kiedy był młody. Według mnie przychodzą mu do głowy same bezceństwa. Wygląda mi na bardziej wyuzdanego.

- A ty lubisz wyuzdanych?

- No wiesz, seks to także fantazja, już ja bym sprawiła, że oniemiałby ze zdziwienia... Zaczęłabym zlizywać z mego jogurt, którym się przeze mnie ubrudził, wylizałabym mu całe ubranie, po czym zębami zaczęłabym je z mego zdzierać.

- Tak, po czym niechybnie zostałabyś aresztowana na progu Vanniego.

- Powiedz lepiej, kim jest ten czaruś, któremu żadna się nie oprze?

- Wcześniej mówiłaś zabójczy przystojniak.

- Dobra, wszystko jedno. Co robi, gdzie mieszka, jak go poznałaś, czy naprawdę się całowaliście, jak on się w ogóle nazywa?

- Superdetektyw Tom Ponzi to przy tobie amator, jesteś sto razy gorsza.

No co ty, bierzesz mnie w krzyżowy ogień pytań i naprawdę spodziewasz się, że na wszystkie ci odpowiem?

- Pewnie, no, na co czekasz?

- Wobec tego odpowiadam jak leci, ha? Nie wiem, nie wiem, poznałam go wczoraj wieczorem, doszło do pocałunku, nazywa się Stefano.

- Stefano?

- Step.

- Step? Step Mancini?

Eleonora wybałusza, oczy i wpatruje się we mnie.

- Tak, nazywa się Step i co z tego?

Chwyta mnie za kurtkę i potrząsa mną z całej siły.

- Nie mogę w to uwierzyć, juhu! Przejdziemy do historii. A przynajmniej napiszą o nas w „Parioli Pocket”, jak tylko im o tym opowiem. Step zabijaka, twardziel. Ma ciemnoniebieską hondę siedemset pięćdziesiąt Custom, śmiga jak Valentino Rossi, walczył na pięści z połową rzymskiej populacji, stale przesiadywał na piazza Euclide, przyjaciel Hooka, Schello, a z powodu swojej dziewczyny zadarł nawet z samym Sycylińczykiem. Step i Gin, nie do wiary!

- O rany, wszyscy naokoło znacie tego Stepę, tylko ja jedna nie miałam dotąd pojęcia, kto to taki,

- A on z kim się zwiąże? Z tobą!

- Pomijając fakt, że wcale się na to nie zanosz, to po pierwsze. Po drugie, kim jest ta jego dziewczyna?

- Aha, a jednak cię to interesuje. Sama podchwyciłaś temat.

- Akurat! Czysta ciekawość, i tyle.

- Był z taką jedną trochę starszą od nas, jak sądzę, bardzo ładną dziewczyną, chodziła do Falconieri. To siostra Danieli, tej pulchnej, która chodziła z Palombim, który chodził z...

- Już wiem, który chodził z Giovanną, która chodziła z Pierem, który chodził z Alessandrą i tak dalej, i tak dalej. Ta twoja niekończąca się siatka. Niech ci będzie, nie znam żadnej z tych osób, a tak w ogóle to zwisa mi to równo. A teraz lepiej chodźmy na casting, bo potrzebna mi kasa. Chcę sobie i bratu sprawić skuter.

- A nie możesz poprosić rodziców o pieniądze?

- Mowy nie ma. No już, wyciągaj dokument.

Obydwie, Gin i Ele, sięgają po dowód osobisty i pokazują koleśowi w drzwiach. - Ginevra Biro i Eleonora Fiori, mamy wziąć udział w castingu na dziewczyny obsługujące centralkę telefoniczną, na wizji, to znaczy będzie nas widać na ekranie.

Koleś rzuca okiem na dokumenty, po czym sprawdza z danymi, które ma na kartce w teczce. Odhacza długopisem na brzegu kartki. - Oho, całe szczęście. Wchodźcie, bo niedługo zaczynają. Brakowało już tylko was.

26

Dziewczyny ustawiły się na środku sceny. Wysokie, blondynki, brunetki, rudawe, ze świeżo ufarbowanymi henną włosami. Mniej lub bardziej eleganckie, ubrane niezobowiązująco albo na pierwszy rzut oka kiczowato, wiedzione desperacką chęcią zestawienia ze sobą dwóch na niby pasujących do siebie rzeczy. Trampki do nienaganych szarych garniturów, ostatni krzyk mody, stare koturny zbyt wysokie, jak na wymogi najnowszych, trochę mniej radykalnych trendów. Nosy proste oraz te nieumiejętnie zoperowane, albo wciąż jeszcze nieskorygowane z uwagi na brak funduszy. Niektóre spokojne, inne nerwowe, jeszcze inne uparte z ostentacyjnym piercingiem, albo i te, bardziej nieśmiałe, poprzekłuwane od niedawna, ze świeżo zamontowanymi bolcami. Z tatuażami mniej lub bardziej odsłoniętymi, a kto wie, z iloma jeszcze innymi skrzętnie pozasłanianymi. Dziewczyny na castingu. Gin i Ele przemykają się chyłkiem i stają wśród ostatnich.

- A więc tak...

Romani oraz Kocur & Kocur, Żmija razem z kilkoma jeszcze innymi oddelegowanymi do pracy siedzą sobie w pierwszym rzędzie, w oczekiwaniu na wielki popis umiejętności w zamkniętym gronie, szansa na to, by trochę się rozerwać przed rzuceniem się w wir ciężkiej pracy.

Siadam w głębi, mam jeszcze resztkę mrożonego jogurtu i z oddali kontempluję widok, który mam przed oczami. Gin mnie nie widzi. Wygląda na pewną siebie, spokojną, trzyma ręce w kieszeni. Nie potrafię jej zaliczyć do żadnej grupy. Wydaje mi się jedyna w swoim rodzaju. Jej przyjaciółce też jakoś nie jest do śmiechu. Co pewien czas macha głową, odrzucając włosy do tyłu. Choreograf stoi z mikrofonem w dłoni.

- A więc tak, teraz wyjdziecie krok do przodu, przedstawicie się, imię i nazwisko, wiek, wymienicie swoje dotychczasowe doświadczenia zawodowe. Macie patrzeć do środkowej kamery, do dwójki, tej z czerwoną lampką, tam gdzie powyżej widać tego pana, który wam teraz pomacha. Pino, weź pomachaj!

Koleś okupujący środkową kamerę, nie odwracając się od monitora, wypuszcza na chwilę kamerę z rąk, unosi dłoń i macha w ich kierunku.

- Okay! Wszystko jasne?

Niektóre dziewczyny potakują niezdecydowane skinieniem głowy. Gin, oczywiście, jak mogłem się tego spodziewać, ani drgnie.

Rozczarowanemu choreografowi dosłownie ręce opadają, po chwili odzywa się do mikrofonu: - Ej, dziewczyny, odezwijcie się głośno, tak żebym mógł się przekonać, jakie macie piękne głosy... Sprawcie, bym poczuł, że żyję. - Na co dziewczyny odpowiadają trochę chaotycznym chórem, rozpadającym się na wiele nie do końca ze sobą zgranych głosów, że tak, dobrze, zgoda, niektóre nawet się przy tym uśmiechają.

Choreograf sprawia wrażenie bardziej zadowolonego.

- Dobrze, w takim razie zaczynamy.

Marcantonio podchodzi do mnie.

- Ej, Step, co tak siedzisz z tyłu? Chodźmy do przodu, zajmiemy któryś z pierwszych rzędów, stamtąd lepiej widać.

- Nie, ja mam stąd lepszy widok.

- Jak sobie chcesz.

Siada obok mnie.

- Zobaczysz, że Romani nas zawoła. W każdej sprawie chce poznać także i nasze zdanie.

- A tam, jak nas zawoła, to pójdziemy.

Dziewczyny, jedna po drugiej, przekazują sobie mikrofon i się przedstawiają. - Cześć, nazywam się Marelli Anna, mam dziewiętnaście lat. Brałam już udział w rozmaitych programach jako hostessa, studiuję prawo. Zagrałam również małą rolę w filmie u Ceccheriniego...

Renzo Micheli, Żmija, sprawia wrażenie zainteresowanego nie na żarty.

- Kogo tam grałaś?

- prostytutkę, raptem tylko epizod.

- Podobała ci się ta rola?

Wszyscy aż skręcają się ze śmiechu, choć starają się, by nie było tego za bardzo widać.

Tylko Romani pozostaje niewzruszony. Marelli Anna udziela odpowiedzi:

- Tak, lubię kino. Ale według mnie mam większe szanse w telewizji.

- Dobrze, przejdźmy teraz do następnej.

- Dzień dobry, nazywam się Francesca Rotondi, mam dwadzieścia jeden lat i wkrótce ukończę ekonomię. Mam za sobą...

Romani obraca się w prawo i w lewo, rozglądając się przy tym naokoło, w końcu nas dostrzega.

- Mazzocca, Mancini, chodźcie tu bliżej.

Marcantonio podnosi się, patrząc na mnie. - A nie mówiłem?

- Wobec tego chodźmy, to trochę tak jak w szkole, ale skoro takie są reguły gry...

Dziewczynom biorącym udział w naborze oślepiające światło świeci prosto w twarz, dlatego nic nie widzą. Następna laska się przedstawia, po niej

jeszcze jedna. W końcu przychodzi kolej na tę stojącą obok Gin. Ostatecznie siadam w pierwszym rzędzie po prawej. Ona wciąż jeszcze mnie nic dostrzegła. Za to Ele, jej przyjaciółka, już tak.

Ele oczywiście nie może przepuścić takiej okazji.

- Ej, Gin - szepcze - popatrz, kogo my tu mamy, w pierwszym rzędzie.

- Gin ręką zasłania sobie oczy przed rażącym światłem, cofa się kawałek i ma mnie jak na dłoni. Unoszę prawą rękę na wysokość twarzy i dyskretnie ją pozdrawiam. Nie chcę się z niej nabijać. Rozumiem, że pojawiła się tutaj w sprawie pracy. Ale ona nic, bierze to za złą monetę i znów, jak zwykle, wyprostowanym palcem lewej ręki opuszczonej wzdłuż ciała, daje mi do zrozumienia, bym szedł się jebać. I trzy.

- Twoja kolej, ej, ty, z ciemnymi włosami.

Teraz ona, ale ponieważ się zdekoncentrowała, to wygląda na zaskoczoną.

- Co tam, hę? Ach, tak. - Bierze mikrofon, który jej podaje dziewczyna stojąca obok po prawej. - Nazywam się Ginevra Biro, mam dziewiętnaście lat, studiuje filologię włoską, specjalizuję się w antropologii audiowizualnej. Brałam już udział w wielu programach jako hostessa. - Gin wyciąga ręce przed siebie i robi krok naprzód, po czym wykonuje lekki ukłon.

- Gdybym, jak zwykle, miała przy sobie kopertę, to już by odfrunęła. I zaraz wraca na swoje miejsce. Wszyscy śmieją się rozbawieni.

- Świetna, nie ma co.

- Tak, jest śmieszna i do tego ładna.

- Właśnie, i znakomicie sobie radzi.

Ja też się w nią wpatruję, cały rozbawiony. Patrzy na mnie, śmiała i pewna siebie, wcale niespieszona tym, że tak tam stoi przed wszystkimi, w świetle reflektorów. Mało tego, jeszcze się do mnie krzywi. Nachylam się do Romaniego. - Przepraszam, panie Romani... - On odwraca się w moją stronę.

- Czy mogę zadać jedno pytanie tej dziewczynie, wie pan, tak żeby ją lepiej poznać.

Spogląda na mnie zaintrygowany.

- Czy to pytanie związane z pracą, czy też chodzi ci o jej numer telefonu?

- Jak najbardziej związane z pracą.

- Skoro tak, to jasne, właśnie po to tu jesteśmy.

Wracam do pozycji siedzącej, patrzę na nią, jeszcze przez chwilę milczę, po czym zaczynam:

- Jakie ma pani plany na przyszłość?

- Mąż i gromadka dzieci. Ty, jeśli chcesz, możesz robić za dziecko.

Kurwa. Znokautowała mnie, załatwiła jak nic. Wszyscy zanoszą się dzikim śmiechem. Aż ich skręca, tak im wesoło, myślałby kto. Nawet Romani pęka ze śmiechu i patrzy na mnie, rozkładając szeroko ręce, jakby chciał powiedzieć: „Ona wygrała”. I rzeczywiście tak jest. Nawet gorzej, niż gdybym się spotkał z samym Tysonem. Mniej by mnie poturbował... OK, sama tego chciałaś, Gin. Gwiżdżę na wszystkich wokół i idę na całość.

- Skoro tak, to wybaczy pani, ale dlaczego bierze pani udział w castingu, zamiast się poświęcić jak najbardziej zrozumiałym i słusznym poszukiwaniom kandydata na męża?

Gin patrzy na mnie i się uśmiecha. Zgrywa poczciwe, naiwne dziewczątko i odpowiada, jakby sama wiodła prym wśród wszystkich świętych.

- A dlaczego właśnie tutaj nie miałabym spotkać swojego ideału? Widzę niepokój na pana twarzy, niepotrzebnie, bo pana akurat wcale nie biorę pod uwagę.

Co poniektórzy nadal zanoszą się od śmiechu.

- Okay, dosyć tego - mówi Romani. - Czy to już wszystkie?

- Nie, tak naprawdę zostałam jeszcze ja.

Przyjaciółka Gin, Ele, robi krok naprzód, skupiając tym samym uwagę na sobie.

- Nazywam się Eleonora Fiori, mam dwadzieścia lat. Próbowałam wystąpić w różnych programach, ale z miernym rezultatem, studiuje malarstwo i na tym polu mam naprawdę imponujące osiągnięcia.

Ktoś półgłosem pozwala sobie na idiotyczny komentarz.

- Skoro tak, to dlaczego nie poświęcisz się temu na dobre?

To z pewnością był Sesto, ten od spółki Kocur & Kocur. Ale jakoś nikt się nie śmieje. Wobec tego Micheli - Żmija - rozgląda się wokół. Romani udaje, że nic nie słyszał. I on oczywiście zachowuje się dokładnie tak samo. Toscani, drugi z Kocurów, śmieje się przez moment. Ale już po chwili, kiedy dociera do niego, że nie wyjdzie na tym najlepiej, milknie i zaczyna lekko się krztusić, symulując nagłą chrypę.

- Świetnie, dziękuję uroczym paniom.

Romani podchodzi do choreografa, patrzy na kartkę, którą ten trzyma w ręku i palcem wskazuje niektóre nazwiska. I zaraz spogląda na nas i zmierza w naszym kierunku.

- Czy macie jakieś typy?

Patrzę na kartkę. Obok nazwisk niektórych dziewczyn widnieją krzyżyki. Pięć czy sześć już wybrano. Spoglądam na dół, na koniec listy. A oto i ona. Ginevra Biro też już ma swój krzyżyk. Niesamowite, ja i Romani mamy taki sam gust, uśmiecham się. Właściwie to nie jest wcale takie znów niemożliwe. Sesto i Toscani wskazują po jednej każdy, Romani idzie im na rękę. Żmija typuje aż dwie, ale Romani godzi się tylko na jedną. Wreszcie przychodzi kolej na Mazzocę i on też ma swoją propozycję.

- Romani, może ci się to wydać absurdalne, ale jedną musimy wziąć koniecznie. Może ci się nie podobać, ale jeśli tylko lepiej się nad tym zastanowisz, to sam uznasz, że to genialny wybór.

- Posłuchajmy, kto to taki?

- Spodoba się wszystkim osobom niepewnym własnej wartości, tym, które siedzą w domu przekonane, że nie dadzą rady. Dlatego musisz ją wziąć, Romani.

- Którą?

- Tę ostatnią.

Kocur & Kocur do spółki ze Żmiją, który się do nich przyłącza, reagują jednogłośnie. - Buuu. - Są najwyraźniej oburzeni. Romani nie mówi ani słowa i cała trójka milknie, nie słysząc żadnego komentarza z jego strony. Żmija tym razem dał się ponieść i to aż za bardzo.

- Ależ to czysty absurd. Że niby co, organizujemy wybory miss Italia na opak? Czy na dole na pasku puścimy podpisy z wyjaśnieniem, o co chodzi... - Postanawia obstawać przy swoim. Mazzocca kręci głową.

- Pomysł jest naprawdę niezły. Tobie też już pewnie przyszło to do głowy, Romani, nieprawdaż?

Romani przez chwilę siedzi w milczeniu. Po czym niespodziewanie się uśmiecha. - Nie, nie przyszło mi to do głowy, ale pomysł jest przedni, naprawdę. Okay, Carlo, zaznacz także i ją. - Choreograf wprawdzie niczego nie zrozumiał, ale stawia ten jakże upragniony, ostatni już krzyżyk!

- Okay, w takim razie, dziewczyny...

Choreograf opuszcza pierwsze rzędy i wychodzi na środek sceny.

- Z góry dziękuję tym wszystkim, które wzięły udział w castingu, ale nie zostały wybrane...

Ele wzrusza ramionami: - Proszę.

Gin szturcha ją łokciem.

- Przestań być taką wieczną pesymistką. Nastaw się pozytywnie, bądź konstruktywna, sama aż się prosisz, a potem się dziwisz, że masz pecha.

Choreograf zaczyna czytać: - A więc: Calendi, Giasmini, Fedri...

- I nagle wybrane dziewczyny jedna po drugiej się rozpromieniają, uśmiechają i występują krok naprzód. Inne, których imię zostało pominięte, markotnieją, marzenie, by zabłysnąć choć na chwilę w telewizji, znów wydaje się nieosiągalne. - Bertarello, Solesi, Biro i Fiori. - Gin i Ele jako ostatnie występują krok do przodu. Ele wpatruje się w przyjaciółkę.

- Nie mogę w to uwierzyć. Teraz będzie tak samo jak w tym filmie: Chorus Line, że te, które występują, zostaną odesłane, a pozostałe przejdą dalej.

- A więc te, które wyczytałem, zaczynają od przyszłego poniedziałku. Tylko nie zapomnijcie: w południe macie być w biurze, żeby podpisać umowę, a o drugiej tutaj w teatrze, zaczynamy próby. Próby mamy popołudniami od poniedziałku do soboty. W sobotę wieczór jest transmisja na żywo, czy wszystko jasne?

Jedna z wybranych dziewczyn, i to z tych najładniejszych, z ogromnymi oczami i lekko tępym wyrazem twarzy unosi do góry rękę.

- O co chodzi?

- Prawdę powiedziawszy to ja nie zrozumiałam.

- Czego?

- Tego, co pan powiedział.

- Nieźle jak na początek. W takim razie słuchaj: masz nie odstępować na krok koleżanki z rudymi włosami, która stoi obok ciebie i robić zawsze to samo, co ona. A to rozumiałaś?

- Mniej więcej. - Udaje poirytowaną i patrzy na rudą, która się do niej uśmiecha, starając się dodać jej trochę otuchy. Być może ona również nie wszystko tak do końca rozumiała.

Ele trzyma rękę we włosach.

- Wierzyć mi się nie chce, wzięli mnie!

- Nic innego ci teraz nie pozostaje, jak tylko w to uwierzyć. Najwyższy czas skończyć z gadaniem o tym, że nikt cię nie chce.

Ginevra i Ele kierują się do wyjścia.

- Zostanę gwiazdą! Juhu! Nie mogę w to uwierzyć!

- Cóż, co do tego to wzięłabym na wstrzymanie.

Tony widzi, jak się zbliżają i wita się z nimi rozbawiony.

- No i co, jak wam poszło?

- Świetnie.

- Obydwu?

Ele patrzy na niego, krzywiąc usta.

- No pewnie, obydwie, i to wybrane jako pierwsze. - I wychodzą, śmiejąc się rozbawione, i nie przestają poszturchiwać się dla zabawy. - Od czasu do czasu trzeba się umieć dobrze sprzedać, nie?

- W mordę jeża... samochód!

- Gdzie jest?

- Właśnie go nie ma. - Ginevra rozgląda się naokoło cała zmartwiona. - Zaparkowałam go pod samym budynkiem. Mój... Podpieprzyli mi go. Zastrani złodzieje!

- Ej, nie czepiaj się złodziei. - Zwracam się do niej, pojawiając się tuż za jej plecami w towarzystwie Marcantonio. - Kto by ci podpieprzył taki złom?

- Nawet nie próbuj teraz ze mną zadzierać. O rany, muszę to zgłosić na policję.

- Sama się o to prosiłaś. Myślisz, że możesz ot tak dawać samochodowi ksywę Mój?

- Ale skoro jest Mój!

- Był twój, teraz już jest ich albo jego. Słowem, wystarczy, że zmienisz mu imię, i wszystko znów będzie jak należy!

- A ja myślę, że przyjdzie ci po prostu zapłacić mandat, musieli go stąd zabrać, więc jeśli rzeczywiście masz mieć do kogoś pretensje, to do straży miejskiej. A gwoli ścisłości, skoro chcesz być aż tak dokładna i sama, jak sądzę, domagasz się tego na każdym kroku, to miej pretensje do samej siebie.

- Słuchaj, szlag mnie trafia, a ty jeszcze dodatkowo wytrącasz mnie z równowagi, zalewając mnie potokiem słów. O co ci właściwie chodzi?

- O to, że zaparkowałam w miejscu, gdzie jest wyjście ewakuacyjne z teatru. Trudno o większy banał.

- Ten pan ma rację. - Strażniczka miejska przechodzi tuż obok. Słyszała całą naszą rozmowę i, rozbawiona, postanowiła zabrać głos.

- Musieliśmy go stąd zabrać.

- Bo ja wiem, „musieliście” to chyba jednak lekka przesada, mogliście poczekać dwie minuty. Byłam w środku w sprawie pracy.

Strażniczka miejska przestaje się uśmiechać.

- Co, chce się pani kłócić?

- Tylko pani przedstawiam, jak się sprawy mają.

Strażniczka miejska się oddala, nie udzielając odpowiedzi. Ginevra nie może sobie darować, pokazuje język i dorzuca, wprawdzie już ściszym głosem: - Głupia pinda, strażniczka do dupy. Weź sobie więcej używaj w nocy, to rano nie będziesz taka skwaśniała. - Śmieję się, gwizdząc z podniesioną głową.

- Fiuuu... Nareszcie dziewczyna, która ma szacunek dla przedstawicieli władzy! Dzielną, zdrową i nade wszystko tak pełną poszanowania. Podobasz mi się.

- Za to ty mi wcale!

- A czy ty sama trzymasz się tego, co radzisz innym?

- Czego?

- Tego, żeby uprawiać więcej seksu i nie być tak skwaśniała. Nie, bo jeśli nie, to wiesz przecież, że gotów jestem ci pomóc, co ty na to?

- Jasne, koniecznie.

- Wierz mi, że zrobiłbym to jedynie, by poprawić ci humor.

- Świetny humor ani na moment mnie nie opuszcza, dzięki.

Marcantonio postanawia natychmiast przerwać tę pyskówkę.

- Okay, już dosyć. Skoro już mamy wolne popołudnie i tym bardziej, że obydwie przeszłyście przez sito eliminacyjne, proponowałbym, żebyśmy się wybrali czegoś napić i razem wznieść toast, skądinąd... - Marcantonio uśmiecha się do Ele, po czym kręci głową. - Ech, tam, skądinąd to my na was głosowaliśmy, nieprawdaż?

- Masz rację. W takim razie chodźmy się napić. Patrę na Ele i rozkładam ręce.

- Ej, kiedy tak robisz, jest to równoznaczne ze stwierdzeniem „Niestety, padło na mnie”.

Gin zagradza mi drogę najwyraźniej gotowa na wszystko.

- Ej, boski Stepie od siedmiu boleści, tylko wara od mojej przyjaciółki, jasne?

Przez moment rzeczywiście się jej boję.

- Okay, przekonajmy się w takim razie, jak ty zareagujesz na nasze zaproszenie?

- A to niby co, następny nabór? Może jeszcze zapłacicie? Patrę na nią roześmiana. - Skoro chcesz.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości, że stać by cię było na to. Ale bardzo mi przykro, co najwyżej możesz sobie pomarzyć.

Marcantonio staje między nami. - Jak to jest w ogóle możliwe, że cokolwiek by powiedzieć, wy i tak prędzej czy później zaczniecie się kłócić? Powiedziałem jedynie: chodźmy się czegoś napić. Okażcie choć odrobinę entuzjazmu, co żeż do licha!

Ele wydziera się jak szalona. - Juhu! Tak, cudownie! Chodźmy uchlać się wszystkim naraz, zabawmy się do upadłego... - Łapie się za włosy, wyrzuca je sobie do góry, wymachuje uniesionymi do nieba rękami, po czym zaczyna tańczyć i robi obrót. Następnie staje i się we mnie wpatruje. - Czy dobrze wypadłam?

Uśmiecham się: - Może być!

Czego się mogłem spodziewać? W końcu to przecież przyjaciółki.

Marcantonio kręci głową, po chwili bierze Ele pod ramię:

- Chodźmy już, w przeciwnym razie doczekamy tu białego rana... a znam lepsze sposoby, by dotrzeć do świtu. - I zabiera ją, prawie za sobą ciągnąc.

Ginevra tkwi w miejscu i się temu przygląda.

- Oj, oj. Sprzątnęli ci sprzed nosa przyjaciółeczkę.

- Jest już duża, zaszczepiona, problem byłby wtedy, gdyby oddaliła się w twoim towarzystwie.

- Dlaczego? Byłabyś zazdrosna?

- Ej, nie bądź taki pewny! Byłabym zrozpaczona ze względu na nią. Okay, gdzie masz motor?

- A bo co?

- Odwieszisz mnie do domu, tylko ręce przy sobie, bo w przeciwnym razie znów dostaniesz klapsa, tak jak w restauracji.

- Aha, coś niesamowitego. To znaczy, że muszę cię odwieźć aż do samego domu i nawet nie wolno mi cię tknąć? Coś takiego. W życiu czegoś podobnego nie słyszałem. Czysty obłąd!

27

Jesteśmy już przy motocyklu, wsiałam pierwszy i odpalam silnik. Ona już się przymierza, żeby też usiąść, gdy tymczasem ja gwałtownie ruszam do przodu.

- Nie ma rady, jestem nowatorskim taksówkarzem.

- To znaczy?

- Trzeba zapłacić przed kursem.

- A co przez to rozumiesz?

- A to, że masz mnie pocałować.

Wychylam się do przodu, składam usta do pocałunku, zamykam oczy. Choć tak naprawdę to prawym okiem trochę podglądam. Nie chciałbym oberwać tak jak zwykle. Gin podchodzi do mnie i obślinia mi całe usta, żarłocznie, od dołu do góry, oblizuje mnie, jakby miała do czynienia z rozpuszczającym się lodem, który lada moment spłynie z wafla na ziemię.

- Ej, a to co?

- Tak właśnie całuję! Ze mnie też nowatorska dziewczyna. - I błyskawicznie sadowi mi się za plecami. - No już, ruszaj, za to, co ode mnie zainkasowałeś, jak nic wisisz mi kurs przynajmniej do Ostii.

Zaczynam się śmiać i ruszam na jedyńce, przednie koto natychmiast nabiera prędkości. Ale Gin jest niesłychanie szybka. Obejmuje mnie mocno w pasie i opiera mi głowę na ramieniu. - Ruszaj, boski Stepie, uwielbiam szybką jazdę na motorze. - Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać. Ruszam na pełnym gazie i gnam przed siebie, a ona opiera nogi tuż przy moich i mocno się do mnie przytula. Na rozpedzonym motorze zlewamy się w jedno ciało. W prawo, w lewo, miękko i płynnie wchodzę w zakręt, dodając przy tym gazu. Przejeżdżamy przed Vannim, i dalej prosto w stronę Lungotevere. Przed nami w głębi na prawo zakręt. Zwalniam na moment, widząc czerwone światło, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zmienia się na zielone. Rozpedzony mijam dwa samochody, które wciąż jeszcze nie ruszyły. W prawo, kładę się na zakręcie, w lewo, to samo i oto już mkniemy wzdłuż Tybru i dalej prosto, a wiatr smaga nas po twarzy. W lusterku widzę kawałek jej buzi. Przymknięte oczy, nasadę włosów, jasną krawędź jej bladego policzka. Jej długie, ciemne włosy falują splecione na tle słońca, które zachodzi nam za plecami, rozwiane kosmyki pieszczotliwie muskają jego kontury, miękkie pasma pławią się w czerwonej poświacie, buntują się przeciw porywom wiatru, ale kiedy dodaje gazu, ostatecznie kapitulują i, pokonane, ulegają żywiołowej prędkości. Wciąż ma zamknięte oczy.

- Proszę, panienko, już jesteśmy na miejscu.

Staję pod jej domem, opieram motocykl na bocznym podnóżku i zostaję w pozycji siedzącej.

- Ale zajefajnie, zajęło nam to raptem jedną chwilę.

Patrzę na nią rozbawiony. - Ale zajefajnie? Co to znaczy?

- To połączenie zajebiście z fajnie, dwa w jednym.

Nigdy wcześniej tego nie słyszałem. - Zajefajnie. Sam będę tego używał.

- Nie. To moje, mam prawo na wyłączność w całych Włoszech.

- Co ty powiesz?

- Pewnie. No to dzięki, chętnie skorzystałabym jeszcze z twoich usług.

Muszę przyznać, że jako taksówkarz jesteś rzeczywiście niezły.

- Cóż, wobec tego powinnaś zaprosić mnie do siebie na górę.

- A to dlaczego?

- Od razu wyrobiłbym ci kartę stałego klienta, zaoszczędzisz dzięki temu i mniej zapłacisz za przejazd.

- Już ty się tak nie martw. Płacę z przyjemnością.

Tym razem Gin święcie wierzy, że okaże się ode mnie szybsza i w okamgnieniu zatrzaskuje za sobą furtkę, myśląc, że uda jej się wyprowadzić mnie w pole.

- Oj nie! Spłatałem ci figla! - Wyciągam z kieszeni dzinsów klucze i macham jej nimi przed nosem. - Sama mnie tego nauczyłaś, tak?

- Okay, boski Stepie, oddawaj!

Przyglądam się jej rozbawiony. - Zwyczajny niezwykajny... Skąd ja tam zresztą mogę wiedzieć. Coś mi się zdaje, że wybiorę się na przejażdżkę i wrócę jakoś później, może zaliczę jakiś nocny kursik.

- Nie opłaca ci się. W przeciągu pół godziny mogę mieć wymienione wszystkie zamki.

- Ale będzie cię to kosztowało więcej niż dziesięć kursów taksówką, i to prawdziwą...

- Okay, chcesz dobić targu?

- Jakżeby inaczej.

- A więc co chcesz w zamian za moje klucze? Unoszę głowę i posyłam jej rozbawione spojrzenie.

- Dobra, dobra, nic już nie mów. Chodźmy na górę. Lepiej to załatwić propozycją pod tytułem „wpadnij do mnie na herbatę”, jak to się dzieje w filmach, zwłaszcza tych fajnych. Ale najpierw oddaj mi klucze.

Otwieram drzwi na klatkę i zaciskam je w prawej dłoni.

- Oddam ci je w domu, pozwól mi być swoim *chaperon*.

Gin uśmiecha się rozbawiona. - Kurczę, nigdy nie przestaniesz mnie zadziwiać.

- Chodzi ci o mój francuski?

- Nie. Zostawiłeś motocykl bez blokady. - I wchodzi, zadzierając nosa. W okamgnieniu zakładam blokadę i już po chwili do niej dołączam. Wyprzedzam ją i wsiadam do windy.

- No i co, czy panienka zechce wsiąść do windy, czy też się boi i sama wejdzie po schodach?

Wsiada bez wahania i staje naprzeciwko mnie. Blisko, i to bardzo. Nawet aż za bardzo. Nie ma co. Rzeczywiście jest niesamowita. Po chwili się odsuwa.

- Dobrze, może panienka zaufać swojemu *chaperon*. Które piętro, panienko?

Opiera się teraz plecami o ścianę windy i patrzy na mnie. Ma ogromne oczy, a ich wyraz świadczy o tym, jak bardzo jest niewinna.

- Czwarte, dziękuję. - Uśmiecha się rozbawiona tą całą maskaradą.

Nachylam się w jej stronę, udając, że nie radzę sobie ze znalezieniem przycisku.

- Och, nareszcie. Czwarte, już się robi.

Ona zastygła w jednym miejscu, przywarła całym ciałem do ściany ze starego drewna, na którym znać ślady ciągłej eksploatacji i kursowania to w górę, to w dół w szybie zajmującym sam środek klatki schodowej. Wjeżdżamy

na górę w milczeniu. Jestem tuż obok niej, stykamy się ramionami, nie napieram na nią za mocno, oddycham jej zapachem. Po chwili od niej odstępuję i nasze spojrzenia się ze sobą spotykają. Nasze twarze znajdują się jedna przy drugiej, ona przez chwilę trzepocze rzęsami, ale już zaraz wbija wzrok we mnie. Pewna siebie, śmiała, wcale niespeszona. Uśmiecham się, ona patrzy na mnie, i jej też zmienia się wyraz twarzy, błąka się po niej niewyraźny uśmiech. Po chwili się do mnie zbliża i szepcze mi wprost do ucha, cała rozgrzana, zmysłowa.

- Ej, *chaperon*...

Aż mnie przeszył dreszcz.

- Tak? - Patrzę jej prosto w oczy. Unosi brew.

- Jesteśmy już na miejscu. - Błyskawicznie i zwinnie udaje się jej mi wymknąć, tak że zostaję sam z rozłożonymi ramionami. W okamgnieniu stoi już poza windą. Zatrzymuje się pod samymi drzwiami. Dołączam do niej i wyciągam klucze.

- Ojej, to już nawet sam święty Piotr miał lepsze od tych.

- No już, dawaj.

Na dobrą sprawę wszyscy co raz robimy aluzję do świętego Piotra i jego kluczy. Głupio się czuję, że sam też do nich nawiązałem, i to akurat tu i teraz. Ale co zrobić... Może chodzi o to, żeby oszukać czas. Kto wie, dlaczego tak mówimy. Świętemu Piotrowi z pewnością wystarcza tylko jeden klucz, a może nawet on jest mu zbędny. A poza tym to czy w ogóle wchodzi w grę, by nie został wpuszczony? Gin po raz ostatni przekręca klucz w zamku. Jestem przygotowany na to, by w razie czego przytrzymać stopą drzwi, o ile będzie próbowała zatrzaskać mi je przed nosem. Jednak Gin zupełnie mnie rozbraja. Wesoła i uśmiechnięta otwiera drzwi na oścież. - No już, wchodzi, tylko nie rozrabiaj.

- Przepuszcza mnie w wejściu i zamyka za mną drzwi, po czym mnie wyprzedza i zaczyna wołać: - Ej, już jestem! Czy jest ktoś w domu?

- Mieszkanie jest ładne, skromne, niezagracone, spokojne. Część zdjęć członków rodziny stoi na skrzyni, reszta na małym półokrągłym meblu przy ścianie. Mieszkanie wygląda na pogodne, urządzone z umiarem, bez dziwacznych obrazów na ścianach i zbyt wielu haftowanych serwetek na stole. Ale najważniejsze jest to, że mamy siódmą wieczorem, lada moment zacznie zachodzić słońce, a w domu nikogo.

- Ech, najwyraźniej jesteś w czepku urodzony, boski Stepie.

- Dasz sobie wreszcie spokój z tym ciągłym zwracaniem się do mnie per boski? A tak w ogóle to dlaczego uważasz mnie za takiego szczęściarza? Pomijając już fakt, że jeśli akurat komuś tutaj poszczęściło się przy narodzinach, to raczej tobie, i to bynajmniej nie w przenośni, bo urodziłaś się w czepku, i do tego w bikini, wystarczy tylko spojrzeć na twój tyłek. Kragły, jędrny, idealny.

Śmiejąc się, wyciągam rękę w kierunku jej pośladków.

- Ej, dasz wreszcie spokój? Zachowujesz się jak skazaniec, który po sześciu latach spędzonych za kratkami, kiedy to nie widział kobiety, wreszcie wyszedł na wolność.

- Czterech.

Patrzy na mnie, marszcząc brwi.

- Jakich czterech?

- Wczoraj wyszedłem po czterech latach spędzonych w więzieniu.

- Ach tak? - Nie wie, czy ma traktować to poważnie, czy też nie. Spogląda na mnie zaintrygowana, w końcu postanawia przyłączyć się do zabawy.

- Abstrahując od tego, że z pewnością jesteś niewinny... to co takiego przeskrobałeś?

- Zabiłem taką jedną dziewczynę, która zaprosiła mnie do siebie do domu dokładnie o... - Sprawdzam, która godzina. - No, tak coś mniej więcej o tej porze i się uparła, że mi nie da za żadne skarby.

- Szybciej, szybciej... Usłyszałam jakiś hałas, to moi starzy. Cholera! - Popycha mnie w stronę szafy.

- Włóż do środka!

- Ej, nie jestem jeszcze twoim kochankiem, a ty przecież i tak nie jesteś mężatką. W czym problem?

- Ciii.

Gin zamyka mnie w środku i biegnie do drugiej części mieszkania. Tkwię tak w milczeniu, sam nie wiem, co ze sobą zrobić. Słyszę przytłumiony hałas otwieranych i zamykanych drzwi. I nic więcej, cisza. Wciąż cisza. Patrzę na zegarek. Kurwa, minęło już jakieś dziesięć minut. Co robić? No, nie ma co, mam już tego potąd. Z drugiej strony nie wydarzyło się przecież nic złego. Wychodzę. Uchylam, tak cicho jak się da, jedno skrzydło drzwi. Patrzę przez szparę. Nic. Jakieś meble i ta dziwna cisza, w każdym razie jak dla mnie. I ni stąd, ni zowąd kawałek kanapy. Otwieram trochę szerzej. Dywan, wazon i zaraz obok jej noga, założona ot tak, na drugą. Gin leży wyciągnięta na kanapie, głowę trzyma na oparciu i pali sobie papierosa. Śmieje się wyraźnie rozbawiona.

- Ej, boski Stepie, trochę ci to zajęło. Co porabiałeś przez ten cały czas zamknięty w szafie? Niby taki sam, a pewnie miałeś pełne ręce roboty, co?
Egoiste!

Kurwa, zrobiła mnie w chuja! Jeden sus i już jestem na zewnątrz, rzucam się na nią, chcąc ją złapać. Ale Gin jest szybsza ode mnie. Ledwie zdążyła zgasić papierosa i czym prędzej salwuje się ucieczką. Wpada na framugę drzwi, mało się nie przewraca, zawadzając o dywan, który pod stopami aż zwija jej się w harmonijkę, ale jakoś sobie radzi i wyrabia się na zakręcie. Daje susa jednego za drugim i już jest u siebie w pokoju, odwraca się gwałtownie i usiłuje zamknąć drzwi. Ale jej się to nie udaje. Bo ja już tam jestem i z całej siły napieram na drzwi plecami. Gin przez moment próbuje dać mi odpór, ale ostatecznie z tego rezygnuje. Odstępuje od drzwi i rzuca się na łóżko z uniesionymi w górę nogami i stopami skierowanymi w moją stronę. Kopie,

śmiejąc się przy tym jak szalona. - Okay, sorry, boski Stepie, a nie, co ja gadam, zwyczajny niezwykły Stepie, albo nie, po prostu Stepie, Stepie i już, Stepie w sam raz. Albo nawet lepiej, Stepie jak sobie życzysz! No weź, ja tylko żartowałam. Przynajmniej moje żarty są śmieszniejsze, nie to co twoje.

- Jak to?

- Bo twoje są smętne! Że niby zamordowałaś jakąś dziewczynę, z którą znalazłeś się w domu sam na sam. A weź ty!

Krażę wokół łóżka, starając się przełamać jej zmasowany opór, ale ona mi to uniemożliwia, nie przestając kopać, wymachuje w górę nogami. Jest szybka i czujna, nie daje mi się zwieść, leży wyciągnięta na łóżku i nie przestaje się obracać, ani na chwilę nie spuszcza mnie z oka. W pewnym momencie nieoczekiwanie odskakuję w prawo, robię zmyłkę i rzucając się na nią. Mam ją już w swoim zasięgu, natychmiast chowa ręce i zasłania sobie nimi twarz. - Okay, okay... poddam się, może się pogodzimy.

- Pewnie, że się pogodzimy.

Śmieje się i opuszcza głowę na lewe ramię. - Okay... - Lekko się do mnie uśmiecha i nachyla w moją stronę. Pozwala mi się całować, cała spragniona, czuła i rozpalona, wciąż jeszcze zziębnięta, ale zupełnie spokojna. Daje mi się całować, o tak, ale i ona także mnie całuje, zatracając się w tym pocałunku, wpijając swoje usta w moje, pochłaniając je całkowicie, jest przy tym uważna, namiętna i taka niewinna. Na moment otwieram oczy i widzę, jak daje się ponieść, jej twarz tuż przy mojej, cała przejęta, zaangażowana, aktywna. Nie, tym razem nic na to nie wskazuje, by miała w zanadrzu jeszcze jakiś żart. Ponownie zamykam oczy i ja też daję się jej ponieść. Unosimy się razem, jak na surfingu, na jednej fali, nasze języki przywierają do siebie miękko, ręka w rękę, rozbawieni, przekomarzamy się ze sobą, by już po chwili znów się do siebie przytulić. Ustami bawimy się w zderzenie czołowe, każde z nas domaga się dla siebie miejsca, tak by czerpać jak najwięcej przyjemności z trwania w tym ciasnym, a zarazem rozkosznie miękkim pojeździe z tablicą rejestracyjną, której treść mówi sama za siebie: pocałunek. Po chwili Gin zaczyna lekko potrząsać ramionami. Nie przestaję jej całować. Znów nimi potrząsa. Co jest, czyżby namiętność? Uwalnia się z uścisku. - O Boże, przepraszam. - Wybuchają śmiechem. - Już dłużej nie wytrzymam... Przesiedziałeś zamknięty w szafie w salonie całe jedenaście minut i trzydzieści dwie sekundy, w głowie mi się to nie mieści. O rany, to przecież musi przejść do historii! Przepraszam cię, na serio, strasznie cię przepraszam. - I zeskakuje z łóżka, zanim udaje mi się ją złapać. - Ale przynajmniej dobrze się całujesz, o ile może cię to jakoś pocieszyć. - Nie wstaję, leżę wyciągnięty na łóżku, podpieram się na łokciu i nie spuszcza z niej wzroku. Ciężko jest trafić na dziewczynę równie ładną, a na dodatek zabawną i dowcipną. Nie, moment, coś mi się pomyliło. Równie zabawną, dowcipną i tak piękną. Nie, chwila, znów mi się pomyliło. Tak... prześlizgnęła. Ale tego jej nie mówię.

- Wiesz, co jest w tym wszystkim najbardziej niesamowite? Że będziemy codziennie razem pracować, i to nie wiadomo jak długo, a ponieważ zawsze nastaje dzień wyrównania rachunków, więc możesz być pewna, że prędzej czy później spotka cię z mojej strony zasłużona kara.

- Aha, świetnie, zaczynasz stosować ciosy poniżej pasa i próbujesz mi grozić... znakomicie! A czego się spodziewałaś? Że zostaniesz oprowadzony po domu, poczęstowany czymś do picia... Czyste konwenanse? Co za banał! - Głos przechodzi jej w falset. - Czego sobie życzysz, Stefano? Może aperitif? I do tego pewnie jeszcze coś na zakąskę... - I bezbłędnie udaje, że zanoszą się śmiechem: - Ha... Ha!

- Uwierz mi, że nadajesz się w sam raz na zakąskę. Wciąż zwraca się do mnie falsetem.

- Och, aż mi się wierzyć nie chce. Cóż za fantastyczny tekst! Nawet sam Woody Allen i to w czasach swojej świetności...

- Owszem, chyba że zaraz po tym, jak przeleciał swoją koreańską niby-córkę!

- Ale dlaczego musisz być zawsze taki chamski? Nie sądzisz, że mogli się po prostu w sobie zakochać? To się zdarza, wiesz.

- Jasne, w bajkach, i to prawie we wszystkich, o ile się nie mylę, co?

- We wszystkich!

- Znasz je na pamięć.

- Pewnie, postanowiłam przeżyć swoje życie, jakby to była bajka. Tylko że ta moja jeszcze nie została napisana. To ja decyduję, krok po kroku, chwila po chwili, sama piszę swoją bajkę.

Postanawiam się nie odzywać. Rozglądam się po pokoju. Kilka maskotek, zdjęcia Ele, a przynajmniej tak mi się zdaje, i jakichś innych dziewczyn, a oprócz tego jeszcze paru superkolesi. Orientuje się, na co patrzę.

- To modele z reklamy. Pracowaliśmy razem, nic więcej. - Takiej jak ona nic nie umknie.

- A kto by się tam w ogóle pytał.

- Wyglądałaś mi na zmartwionego.

- W życiu, już samo to słowo jest mi całkiem obce.

- Och, jasne, kompletnie zapomniałam, przecież ty jesteś twardzielem.

Brr, aż strach się bać!

Wstaję i przemierzam pokój.

- Wiesz, że można przejrzeć kobietę na wylot, zaglądając jej do szafy? Pokaż, co tam masz!

- Nie!

- Czego się boisz, trupa? A niech mnie szlag trafi, ej, ile ty tego masz? I to wszystko nowusieńkie! Przy każdej rzeczy jest jeszcze metka. A na dodatek same markowe ciuchy, no, no, panienko! Najwyraźniej możesz się pochwalić nie tylko ponętym ciałem, co?

- Widzisz, jaki z ciebie głupek? Na dodatek w ogóle nic nie kumas. Ani grosza na to wszystko nie wydałam.

- Tak, oto ona we własnej osobie, dziewczyna będąca twarzą kampanii reklamowej kilku słynnych marek.

- Nie. Mam to za pośrednictwem Yoox. Zamawiam wszystko w Internecie, właśnie na ich stronach, to taki outlet. Mają wszystkie najważniejsze marki. Wybieram, co chcę, zamawiam to sobie z dostawą do domu. Noszę to przez kilka dni, zachowując wszelkie środki ostrożności, żeby niczego nie uszkodzić i nie odrywam metki. Po czym odsyłam im to przed upływem dziesięciu dni, mówiąc, że nie jestem zadowolona, że na przykład rozmiar mi nie odpowiada.

Wciąż przeglądam jej ciuchy. Jest tam wszystko: topy od Roberto Cavalli i Costume National, wąska sukienka za kolano Jil Sander, spódnice Haute, dwie torebki D & G, jasny kaszmirowy sweter Alexandra McQueena, dżinsowy płaszczyk Moschino, śmieszna kurtka z kwadratów Vivienne Westwood, bluza Miu Miu, dżinsy Miss Sixty Luxury...

- Markowa diablica.

- Właśnie.

Jest niesamowita. Piękna, zabawna, nieustraszona. Wie, jak żyć z rozmachem. Popatrz no tylko, jak to sobie wykombinowała. Oto dziewczyna, która surfuje z głową na karku. Yoox, żeby wciąż mieć na sobie coś innego, zawsze modnego, i to nie wydając ani grosza. Podoba mi się.

- Tylko się nie ruszaj! Masz absurdalny wyraz twarzy! O czym myślisz?!

Bierze coś ze stołu i wycelowuje to we mnie. - Uśmiechnij się, twar-dzielu! - To polaroid. Unoszę brew dokładnie w chwili, kiedy robi mi zdjęcie. - No już, w gruncie rzeczy będziesz tu idealnie pasował, umieszczę cię między tymi dwoma modelami. Jasne, nie przeżyli tyle, co ty, ale będą szczęśliwi, mogąc trwać u boku „żywej legendy”!

- No, owszem, niczym ci dwaj łotrzy ukrzyżowani obok Jezusa.

- Bo ja wiem, porównanie wydaje się nieco na wyrost.

- Tak, ale zauważ, że oni również stali się sławni.

- Ale z całą pewnością nie zaznali szczęścia! W końcu nie znaleźli się tam dla przyjemności.

Wyrywam jej polaroida i jej też robię zdjęcie.

- Ja też!

- Przestań, stój! Nieładnie wychodzę na zdjęciach! Pstrykam i natychmiast zabieram dopiero co zrobioną odbitkę.

- Nieładnie wychodzisz na zdjęciach? A niby na żywo to jak?

- Palant, kretyn, oddawaj, ale już. - Za wszelką cenę stara mi się wydrzeć fotografię. Za późno. Wkładam ją sobie do kieszeni kurtki. - Zobaczysz tylko, jeśli będziesz niegrzeczna i zaczniesz rozgadywać historię z szafą, to natkniesz się na swoją twarz porozlepianą po całym Rzymie.

- Dobra, tak sobie tylko żartowałam!

- A ten wykaz co oznacza? - Wskazuję arkusz z pieczołowicie pozaznaczanymi dniami, tygodniami i miesiącami, umieszczony nad stołem, z wypisanymi na nim nazwami różnych siłowni.

- Ten? A to są siłownie w Rzymie, widzisz, po jednej na każdy dzień. Podział uwzględnia trenerów, zajęcia i strefy. Kumasz?

- Tak i nie.

- O rany, Step, co z ciebie za mistrzuniu?! Rusz głową, przecież to takie proste. Próbnе zajęcia na każdej z siłowni, codziennie gdzie indziej, a jest ich w Rzymie ponad pięćset, i to wcale nie tak daleko. Możesz trenować sobie do woli i to gratis!

- Czyli na przykład jutro...

Patrzę na rozpiszkę, najeżdżam palcem na odpowiedni dzień, jakbym grał w okręty.

- Masz zajęcia z Urbanim i nie wydajesz na to ani grosza.

- Świetnie, trafiony zatopiony. I tak dalej! Sama opracowałam ten system. Dobre, co?

- Tak, zupełnie jak tankowanie z kłódką.

- Dokładnie, to wszystko składa się na mój wielki podręcznik, jak być oszczędną. Nienajgorzej, sam przyznasz? Ej, zobacz tylko, jak ładnie wyszedłeś.

Zdjęcie z polaroida jest teraz wyraźniejsze. - Patrz, postawię je pomiędzy tymi dwoma. Nawet tak bardzo nie odstajesz. Coś mi się zdaje, że nie możesz oderwać wzroku od mojego grafiku. Co jest, mistrzuniu, też masz ochotę potrenować sobie za friko? Od razu cię przejrzałam, co... dobra, tobie też zrobię taki grafik, przesunę wszystko o jeden dzień i będziesz mógł sobie kursować do woli, bez ryzyka, że kiedykolwiek nasze drogi się ze sobą skrzyżują.

- Nie jest mi to potrzebne.

- A co, bogaty?

- Skąd! Tyle że siłownie same o mnie zabiegają, chodzi im o reklamę!

- Tak, pewnie, jakżeby inaczej! I ja miałabym się na to nabrać. No, koniec wycieczki z przewodnikiem. Odprowadzę cię, bo niedługo moi starzy wracają, chyba że znów wolisz się schować do szafy? W gruncie rzeczy zdażyłeś już nabrać wprawy. - Mija mnie i przygląda mi się, unosząc brew. - Spoko. Już ci powiedziałam, nikomu o tym nie opowiem.

Odprowadza mnie do drzwi i przez chwilę stoimy obok siebie w milczeniu. Po chwili ona zagaduje. - No, postarajmy się, by to pożegnanie nie było zbyt rozdzierające. To cześć, taksjarzu, wkrótce się spotkamy, nie?

- Jakżeby inaczej.

Chciałbym coś powiedzieć. Ale sam nie bardzo wiem co. Coś ładnego. Czasami, kiedy brakuje słów, lepiej postąpić właśnie tak.

Przyciągam ją do siebie i całuję, Gin przez moment się opiera, ale już po chwili daje się ponieść. Równie spragniona jak wcześniej. A nawet bardziej. Ktoś zachodzi nas od tyłu...

- Przepraszam, co? Musicie się żegnać akurat w samych drzwiach...

To jej brat, Gianluca, dopiero co wysiadł z windy. Gin jest wyraźnie speszona. A wręcz poirytowana.

- Nie ma co, zawsze zjawiasz się w kluczowym momencie.

- A, że teraz to niby moja wina? Fajną mam siostrę. Słuchaj, Step, wyświadczyć mi przysługę. Między jednym a drugim pocałunkiem, weź, ty ją przywołaj do porządku!

I przepycha się między nami, chcąc dostać się do środka. Gin wykorzystuje okazję i uderza mnie pięścią w klatkę piersiową.

- Wiedziałam, że z tobą to nic tylko same kłopoty.

- Ała! A teraz to niby moja wina?

- A czyja, jak nie twoja? Jeszcze jeden pocałunek i jeszcze, i jeszcze. Co z tobą, nie możesz się powstrzymać? Już tak się ode mnie uzależniłeś? Wicieć co... - I zatrzaskuje mi drzwi przed nosem. Rozbawiony wsiadam do windy.

Gianluca wchodzi do pokoju Gin.

- Step to jest gość, ale to wy już na stałe jesteście parą, co?

- Co ty wygadujesz? Jaki niby gość?

- No bo nic tylko się w kółko całujecie.

- Coś podobnego i to wszystko z powodu jednego pocałunku...

- Dwóch, z tego co ja się mogłem doliczyć.

- A to co, czyżbyś i tutaj zabawiał się w członka komisji wyborczej? To już ci nie wystarczy podliczanie kart wyborczych, byle tylko sobie dorobić.

- Ale polityka to zupełnie co innego.

- Step to według mnie pic na wodę, i tyle.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że nie ufam komuś takiemu jak on, sympatyczny, nawet zabawny, ale kto go tam wie, co ukrywa.

- Skoro ty tak twierdzisz.

- Pewnie, Luke. Po tym jak ktoś całuje, można poznać wszystko. A on jest... jakiś dziwny.

- To znaczy?

- Sam do siebie nie dopuszcza, jest nieufny, a kiedy ktoś jest nieufny, oznacza to tyle, że sam po pierwsze nie zasługuje na zaufanie.

- Może i tak.

- Tak i już!

Gianluca wychodzi i wreszcie zostawia mnie samą. OK. Dosyć. Wreszcie chcę uporządkować myśli. Kręcę głową i macham włosami. Gin, proszę cię, bądź taka jak dawniej. Nie mogę w to uwierzyć, że się zabujałaś w kolesiu okrzykniętym mianem boskiego, w żywej legendzie. Step nie jest dla ciebie. Problemy, tarapaty, kto wie, co takiego ma naprawdę za sobą? A poza tym zauważyłaś jedną rzecz? Za każdym razem, kiedy się z nim całujesz, w najpiękniejszym momencie, a właściwie, gwoli ścisłości, w najcudowniejszym momencie, wręcz najfantastyczniejszym, najbardziej megabajkowym, zawsze pojawia się Luke, twój brat we własnej osobie. O co tu może chodzić? Palec

boży, święty zesłany prosto z raju, który chce cię ocalić przed piekłem, twoje koło ratunkowe. A może zwyczajny pech? Cholera jasna, moglibyśmy się tak całować godzinami. Jakżeż on całuje. Jakżeż on to robi. Jakby to powiedzieć... nie mam zielonego pojęcia! Pocałunek to wszystko. Pocałunek to prawda. Bez nadmiernych wprawek stylistycznych, bez przesadnie zawitych wygibasów i karkołomnych ewolucji. Naturalny i przez to najpiękniejszy. Całuje tak, jak lubię. Wcale nie chce się przy tym popisać, niczego nie musi udowadniać, po prostu. Robi to pewnie, delikatnie, spokojnie, bez pośpiechu, zabawnie, nic sobie nie robiąc z techniki, ze smakiem. Mogę? Z miłością! O Boże! Nie, co to to nie. Spierdalaj, Step!

28

- Cześć, Pa'.
- Stefano, gdzieś ty się podziewał? Przepadłeś.
- Ej. - Miąłem go w drodze do pokoju. - Wiesz, jaką zasadę wpajają ci w Stanach tuż po przyjeździe?
- Tak, jeśli chcesz żyć, to zajmij się swoimi sprawami.
- Świetnie. A druga?
- Drugiej nie znam.
- *Fuck you!*
- Wchodzę do pokoju i zamykam za sobą drzwi.
- A widzisz, że jednak trochę tego angielskiego rzeczywiście się nauczyłeś, zuch z ciebie. Znasz jeszcze parę innych słów, mam nadzieję.
- Puszczam to mimo uszu i padam na łóżko. Dokładnie w tej samej chwili słyszę, jak dzwoni domofon. Znów opuszczam pokój, tym razem biegiem. Paolo już jest w salonie i zmierza do domofonu.
- Ja zobaczę.
- Nieomal mu go wrywam. Zastyga oniemiały.
- Czegoś tu nie rozumiem, to mój dom, ty tu jesteś gościem, a zachowujesz się, jakby to wszystko było twoje.
- Krzywo na niego patrzę i zaraz się uśmiecham.
- No co ty, potraktuj to, jakbyś miał u siebie majordomusa. - Jeszcze jeden dzwonek. Podnoszę słuchawkę. Serce mi wali jak szalone.
- Dzień dobry, czy zastałam Stepą? - Kobiocy głos. Serce zaczyna mi walić jeszcze mocniej. - Tu Pallina!
- Ej, to ja, co tu robisz?
- Przychodzę obejrzeć twoje nowe mieszkanie, a potem zabieram cię na rajd po lokalach.
- Co do tego drugiego, to się jeszcze okaże. Okay, wejdz. Piąte piętro. Wciskam przycisk, by mogła otworzyć drzwi. Paolo patrzy na mnie

z uśmiechem.

- Kobieta?

Potakuję.

- Chcesz, żebym zwolnił ci chatę? Zamknę się w pokoju i udam, że mnie tu nie ma.

Cały mój brat. Co on tam w ogóle rozumie, co takiego w ogóle może o mnie wiedzieć?

- To Pallina, kobieta Polla.

Nic nie mówi. Wygląda, jakby posmutniał.

- Przepraszam.

Idzie do siebie do pokoju, w milczeniu. Mój brat. Co za egzemplarz, człowiek od czapy. Ale akurat tym razem wykazuje się nieprawdopodobnym wprost wyczuciem. Dzwonek. Idę otworzyć drzwi.

- Hej!

- Kurwa, Step!

Rzuca mi się na szyję i ściska mnie mocno.

- Wciąż jeszcze nie mogę uwierzyć, że już wróciłeś.

- Jeśli mnie zaraz nie puścisz, to wyjeżdżam jak nic, jasne?

- No dobra, sorry.

Pallina stara się być mniej wylewna.

- Pokaż mi mieszkanie.

- Chodź za mną.

Zamykam drzwi i ją oprowadzam, idąc krok przed nią.

- To jest salon, jasne tkaniny, zasłony, i tak dalej, i tak dalej.

Opowiadam, opisując jej wszystko po kolei. Obserwuję ją, jak przemieszcza się tuż za mną, uważnie przygląda się rzeczom, raz po raz ich dotyka, chcąc w ten sposób lepiej je ocenić, niektóre bierze do ręki, by się przekonać, ile ważą. Pallina, ale ty urosłaś, zeszczipłałaś, zmieniłaś uczesanie. Sam makijaż też wygląda, jakby był mocniejszy, a może to raczej moje wspomnienia są już takie wyblakłe?

- A to kuchnia... Chcesz coś?

- Nie, nie, na razie nie.

- Ojej, tylko bez krępacji, bo jak zaczniesz mi tu Wersal odstawiać, to się porzygam, jasne?

Parska śmiechem.

- Nie, nie, na serio.

Śmieje się tak samo. Wygląda na zdrową, wypoczętą, spokojną. Gdyby tylko Pollo mógł cię teraz zobaczyć. Sam z siebie byłby dumny. Z tego, co mówił, wynikało, że był twoim pierwszym mężczyzną, Pallina. Mnie akurat Pollo nie wciskał kitu, nie było takiej potrzeby, nie musiał przesadzać, żeby się upiększyć, żeby wypaść na superkolesia w moich oczach, w oczach swojego najlepszego przyjaciela. To za sprawą Polla przepoczwarzyła się z larwy, jaką była wcześniej, właśnie on tchnął w nią, wręcz rozniecił w niej miłość, to dzięki

niemu ten młody motyl po raz pierwszy wzbił się w powietrze... A teraz proszę, mam ją tuż przed sobą. Śmiało kroczy naprzód. Po chwili, nieoczekiwanie, Pallina zmienia wyraz twarzy.

- A nie pokażesz mi sypialni?

Dostrzegam w niej nagłą zmianę. Staje się zmysłowa i kokieteryjna. Serce mi się ściska. Czyżby miała jakiegoś faceta? Czy po nim miała innych? Co się wydarzyło, od kiedy nie ma Polla? Step, minęły już prawie dwa lata. Tak, ale ja nie chcę tego słuchać. Step, przecież to dziewczyna, młoda, ładna... Tak, wiem o tym. Ale nic mnie to nie obchodzi. Nie chcesz szukać dla niej usprawiedliwienia? Nie, nie chcę się nad tym zastanawiać.

- Proszę, tutaj jest pierwsza.

Pukam cicho do drzwi i je otwieram.

- Można?

Paolo, który właśnie zdejmował z siebie koszulę, natychmiast coś na siebie narzuca i podchodzi do drzwi.

- Pewnie, cześć, Pallina!

- Właśnie, a oto i pomysłodawca wystroju wnętrza, które dopiero co widziałas.

- Cześć.

Podają sobie rękę. Pallina uśmiecha się lekko speszona.

- Gratulacje, wyglądają przepięknie, świetny gust. Myślałam, że to wszystko sprawka kobiety.

Paolo właśnie przymierza się do odpowiedzi, ale ja jestem od niego szybszy.

- On sam ma w sobie coś z kobiety.

I zamykam drzwi, wyłączając go tym samym z naszego obchodu.

- Ej, ale mnie chodziło o twoją sypialnię.

Szturcza mnie w ramię, popychając przy tym do przodu.

- Nie wyraziłaś się dostatecznie jasno. A oto i ona.

Otwieram drzwi do mnie do pokoju.

- Ej, całkiem nieźle.

Pallina wchodzi i rozgląda się dookoła.

- Tylko trochę tu pustawo, przydałoby się więcej kolorów. Uświadamiam sobie, że zrobione polaroidem zdjęcie Gin stoi u mnie na szafce nocnej. Dyskretnie je zakrywam.

- No, ale i tak ma swój urok. A poza tym, zawsze jeszcze można dorzucić jakieś kolory.

Patrzy na mnie zaintrygowana, starając się dociec, co takiego chciałem przez to powiedzieć, ale dokładnie w tej samej chwili dzwoni telefon. Pallina wyciąga komórkę z kieszeni kurtki, patrzy na wyświetlacz, i po chwili przykładając aparat do ucha.

- Ej, to nie mój.

Biorę komórkę ze stołu tuż obok.

- A fakt, to mój!

Nie znam tego numeru.

- Halo?

- Witaj z powrotem!

Rumienię się. Słyszę jej głos.

- Mam nadzieję, że się wkrótce zobaczymy, skoro już jesteś z powrotem w Rzymie.

- Tak.

- Podoba ci się twoje nowe lokum?

- Tak.

- Dobrze ci było w Stanach?

- Tak.

Potakuję i słucham tego, co ma mi do powiedzenia, jej słowa są łagodne, życzliwe, pełne czułej miłości, z której przebija troska, by wreszcie sforsować tę cienką, kryształową taflę, uporać się z naszą przeszłością, z naszą tajemnicą. Odpowiadam na zadawane pytania. Udaje mi się wydusić z siebie coś jeszcze, oprócz samych tylko zdawkowych potakiwań.

- A co u ciebie?

Nie przerywa opowiadania. Pallina patrzy na mnie, ale nic nie mówi. Tylko potrząsa głową, chcąc się dowiedzieć, z kim rozmawiam. Ale nawet na to nie reaguję. Odwracam się do okna. Patrzę przed siebie, zasłuchany w jej słowa.

- Tak, obiecuję, zadzwonię do ciebie i przyjdę cię odwiedzić, tak...

Po czym zalega krępująca cisza, usilnie staram się powiedzieć coś na pożegnanie.

- Cześć. - I się rozłączam.

- O rany, kto to był? Kolejna z twoich kobiet?

- I tak, i nie.

Uśmiecham się, udając rozbawionego i starając się otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobiła na mnie ta trudna rozmowa. Ale nie zostawiam jej czasu na dalsze dociekanie. - To była moja matka. No i co, wyruszamy czy nie na ten rajd po lokalach?

29

Zachodzące słońce przywdziało swoje najbardziej olśniewające szaty. Ale to nie dlatego jej twarz jest teraz taka rozpromieniona. Babi wychodzi z domu. Idzie przed siebie rażno, lekkim krokiem. Tak samo jak ci, którzy wychodzą na spotkanie czegoś, na co czekają już od dawna. Może od zawsze. Ma na sobie nowy, lazurowy komplet. Włosy zebrała do tyłu, odsłaniając lekko zaróżowione policzki. I to bynajmniej nie dlatego, że dopiero co pokonała biegiem schody. Nie zjechała windą, bo dziś wydała jej się zbyt wolna. Czasami to, co nas

otacza, nie nadąża za naszym szczęściem. Właśnie dlatego teraz zmierza do garażu, bo potrzebny jest jej skuter. Z uwagi na ruch panujący na mieście o tej porze jazda samochodem byłaby czystym szaleństwem. Skuterem dojedzie szybciej. A przynajmniej nie zostanie w tyle za sercem. O tym samym śpiewał zresztą Cremonini, kiedy jeszcze występował razem z Lunapop... *Jak fajnie jest krążyć sobie po mieście, kiedy masz skrzydła pod samymi stopami, wystarczy ci Vespa Special, byś pozbył się wszelkich problemów...* Ale Babi nie boryka się teraz z żadnymi problemami. A wręcz przeciwnie. Teraz jedynie musi, a zarazem pragnie, gnać przed siebie, tak by się nie spóźnić na umówione spotkanie. Kto wie, jak pójdzie, czy będzie tak, jak oczekuje.

Jakiś dziwny szelest przerywa jej rozmyślenia. To chyba nie kot. Ani nie wiatr. Ani nawet Fiore.

- Cześć.

Ileż to razy słyszała już ten głos. Tylko że akurat dzisiaj brzmi jej on jakoś inaczej. Jest bardziej zachrypnięty. Jakby docierał do niej z daleka, skądś, gdzie ona sama chyba nigdy jeszcze nie była. A gdzie człowiek trafia tylko wtedy, kiedy czuje się samotny. Zbyt samotny. Tam akurat głos staje się zbędny, bo nie ma nikogo, kto by nas wysłuchał.

- Alfredo. Cześć... co słychać? Co ty tu robisz, za krzakami?

- Cześć, właśnie czekałem na ciebie.

- Aha, ale sorry, dlatego się ukrywasz?

- Wcale się nie ukrywam, stałem sobie po prostu tutaj z tyłu, wystarczy przecież spojrzeć i od razu mnie widać. Dokąd idziesz? Jesteś śliczna, świetnie wyglądasz.

- No, dzięki... Jestem umówiona. Co u ciebie?

- Dlaczego mi nie odpowiedziałaś wczoraj na SMS-a? Przez całą noc miałem włączoną komórkę, ale nic do mnie nie przyszło.

- A właśnie, sorry, wyczerpał mi się kredyt na karcie i skoro już o tym mowa, to powinnam jak najszybciej ją doładować. Tak, przeczytałam twoją wiadomość. Słuchaj, nie mam teraz czasu, żeby o tym pogadać, może przełożymy to na kiedy indziej? Może jakoś w tych dniach wpadniesz do mnie do domu i na spokojnie...

- Chuj, a nie na spokojnie.

- Alfredo, co z tobą? Co to za ton?

- Alfredo, co z tobą, co to za ton. Posłuchaj samej siebie. A tak w ogóle to gdzie cię niesie? Spotykasz się z kimś dajmy na to w Vigna Stelluti? Albo na corso Francia? A może przed Falconieri, żeby przywołać wspomnienia?

- Alfredo, nie wiem, o co ci chodzi... tak czy siak, nie podoba mi się ton, jakim się do mnie zwracasz, powiesz mi wreszcie, co się takiego stało? Co z tobą? Jesteś jakiś dziwny.

- Tak naprawdę akurat ty sama powinnaś mi powiedzieć, co się takiego stało, nie sądzisz?

- Słuchaj, to jeszcze nie powód, żeby z tego robić tragedię.

- Ach tak, nie ma o czym mówić! W sumie tobie i tak wisi to równo, co? Grunt, że ona jest szczęśliwa, że jej jest dobrze. Wychodzi sobie z domu zrobiona na bóstwo, pędzi na spotkanie ze swoim tajemniczym nieznajomym. A może ten tajemniczy nieznajomy nie jest wcale dla mnie aż taki znów nieznajomy.

- Można się dowiedzieć, o co ci chodzi? Jakim prawem zarzucasz mnie pytaniami?

- A bo co, to już nie wolno mi o nic zapytać? Czy to zabronione? Chyba pamiętasz, kim jestem, nieprawdaż? To ja, Alfredo, ten sam, który...

- Który co? Który się chowa za krzakami, a potem przesłuchuje mnie, jakbym zrobiła coś strasznego? Który usiłuje wpędzić mnie w poczucie winy, i to nie wiadomo dlaczego? Ten Alfredo?

Seria pytań pod sam koniec przechodzi niemal w krzyk. Policzki Babi teraz rzeczywiście robią się całe czerwone. I to wcale nie dlatego, że jest mile podekscytowana.

- Tak, właśnie ten Alfredo. Ten, z którego tak umiejętnie zrobiłaś idiotę. Nic tylko pogratulować, Babi!

- Jeśli nic przestaniesz, to tylko pogorszysz całą sprawę, nie widzisz? Zaszkodzisz również samemu sobie. Zrozum, że czasami sprawy nie układają się po naszej myśli, to wszystko, nie ma w tym niczyjej winy, lepiej sobie odpuść... Nie niszczyć wszystkiego.

Kiedy słowa to za mało. Bo gdzieś w środku pali nas coś, czego nie potrafimy wyrazić. Czego nie sposób wyrazić. Kiedy osoba, którą mamy przed sobą, zamiast udzielić nam odpowiedzi, jakiej oczekujemy, mówi coś zupełnie innego. A nawet mówi więcej. Aż za dużo. Za dużo, choć nic z tego nie wynika. Niczemu nie służy. A boli w dwójnasób. I wówczas jedynym pragnieniem jest, by odplącić za doznany ból. Wyrzucić krzywdę. Mając nadzieję, że tym samym poczujemy się choć odrobinę lepiej. Alfredo wymierza jej policzek prosto w twarz, mocno, pięknie, celnie, ze złością, chamsko. Nie udaje mu się dobrać innych przymiotników, tak bardzo mu się spodobało.

- Alfredo, czyś ty oszalał?

Sam nie wie. Nic tylko stoi i wpatruje się w swoją rękę, jakby należała do kogoś zupełnie innego. Ale nie należy. I na dodatek zawędrowała nie tam, gdzie trzeba. I wcale nie jest taki znów pewien, że mu teraz lepiej. Babi jest wstrząśnięta. Ma oczy pełne łez. Jeden z policzków jest zdecydowanie bardziej czerwony niż wcześniej. I wcale nie przyczyniła się do tego złość.

- Skończony świr z ciebie, i do tego jeszcze brutal. Ty to dopiero jesteś. Step nigdy nie ośmieliłby się zrobić czegoś podobnego, nawet przez myśl by mu to nie przeszło! Jesteś kretynem, żadnym tam fajnym, dobrze ułożonym, spokojnym chłopakiem, zachowujesz się jak bydlę. Dzika bestia! Idę sobie, tyle mam ci do powiedzenia. I tak, skoro już tak bardzo chcesz wiedzieć, to idę załatwić coś ważnego. Ogromnie ważnego. Co wiąże się z moim przyszłym życiem. I miłością też. I nigdy ci nie daruję, że przez ciebie się spóźnię.

Odchodzi, trzymając się ręką za policzek, szybko, ale już nie tak lekkim krokiem, jak zaraz po wyjściu z domu. Próbuje dojść do siebie, ochłonać. Podnosi metalową żaluzję przy wejściu do garażu i przegląda się w lusterku swojej vespy. Kto wie, a nuż wiatr zdoła ostudzić mi policzek. A nuż to zaczerwienienie zniknie. Bo jak nie, to jak ja będę wyglądała, kiedy już dotrę na miejsce? A niech go szlag trafi, to rzeczywiście świr! Całe wieki zajęło mi przygotowanie się do wyjścia i jak ja teraz wyglądam, mam wzburzony wyraz twarzy i załzawione oczy.

Nawet się nie obejrzał. Słowem nie odpowiedział. Ręka wciąż mu się jeszcze trzęsie. Ale nie da się tego porównać z trzęsieniem ziemi, które rozsada go od środka. Nie wie, co powiedzieć. I nic też nie mówi. Ta cisza, w której pogrążony jest od tylu dni, właśnie ogarnia go na nowo. Pozbawia go zarazem tej ostatniej krzty nadziei, która przyniosła go aż tutaj, kazała mu schować się za krzakami i tam na nią zaczekać. By dociec prawdy, którą skądinąd sam powinien już dobrze znać. Bo fakty mówią same za siebie, a ludzie - nie zawsze. Tylko że on nie bardzo je brał pod uwagę. Ani wcześniej, ani teraz. I kiedy wchodzi po schodach, to słyszy za plecami warkot silnika vespy, która odjeżdża na pełnym gazie, tak samo rozjuszona, jak i osoba, która ten skuter prowadzi.

Przepraszam, Babi, nie chciałem. Naprawdę, nie chciałem. Następnym razem będzie lepiej. Następnym razem porozmawiamy na spokojnie, a nuż wpadnę do ciebie do domu i razem napijemy się herbaty. I wówczas powiesz mi, dokąd się dziś wybrałaś.

30

Mkniemy we dwójkę pośród nocy, ja i Pallina. Daję się nieść 750-ce. Umiarkowana prędkość, myśli rozpuszczone na wietrze. Przytula się do mnie, ale bez przesady. Dwa ludzkie przeciwieństwa, astralne koniunkcje dziwnego przeznaczenia. Ja, najlepszy przyjaciel jej mężczyzny, ona, najlepsza przyjaciółka mojej kobiety. Ale to wszystko należy już do przeszłości. Zmieniam biegi i pędzę przed siebie, na skórze czuję ożywczy podmuch wiatru. Unosi ze sobą moje myśli. Ach, wzdycham. Czasami pięknie jest nic nie myśleć. Nie myśleć. Ciąg różnych lokali. Akab to nasza pierwsza przystań.

- No chodź, znam tu wszystkich, ucieszą się, jak cię zobaczą.

Daję jej się prowadzić. Wchodzimy, ja się witam. Niektórych rozpoznaję.

- Raz rum, dzięki.

- Jasny czy ciemny?

- Ciemny.

Kolejny lokal. Charro caffe. Postanawiam zaszaleć.

- Rum raz jeszcze, z lodem i cytryną.

Potem lądujemy w Alpheusie. Kolejny rum. Z lodem i cytryną. Tutaj puszczają wszystko jak leci: muzykę z lat 70-tych i 80-tych, hip-hop, rock, dance. Później przenosimy się do Ketum baru. Zapominam, gdzie zaparkowałem motocykl. I co z tego. - Jeszcze jeden rum. Z lodem i cytryną. - Zanosimy się śmiechem. Z kimś się tam witam. Jeszcze kto inny rzuca się na mnie.

- Kurwa, Step, to ty, wróciłeś! Znowu będzie się działo, co?

Tak, znowu się będzie działo. Tylko co to, kurwa, za koleś? Kolejny lokal i kolejny rum, i jeszcze jeden, i znowu. I kolejne dwa rumy. Ale kim był tamten koleś, który rzucił mi się na szyję? Ach, tak, Manetta. Raz zasnął w górach. Tak, byliśmy wtedy w Pescaseroli. Spał pod kołdrą, ale ze stopami na wierzchu. Między palce powkładaliśmy mu zapaliki główką zwrócone na zewnątrz, po czym je zapaliliśmy. Kurwa, jak się nie poderwał, gdy tylko poczuł, że się pali. A my dosłownie tarzaliśmy się ze śmiechu. Ja i Pollo. On zaś miotał się po całym pokoju z przypalonymi stopami i darł się w niebogłosość. - Kurwa, co za koszmar! Co za koszmar, ja pierdołę! - A my nic, tylko zwijaliśmy się ze śmiechu, aż do bólu. Ja i Pollo. Ale ubaw. Śmialiśmy się jak opętani. Ja i Pollo. Tylko że Polla już nie ma. Ogarnia mnie przemożny smutek. Kolejny rum, jednym haustem, wszystko na raz. Podczas gdy tańczę z Palliną, panią jego serca, kobietą mojego przyjaciela, przyjaciela, którego już nie ma. Ale tańczę, tylko tańczę i się śmieję, śmieję się razem z nią. Śmieję się i myślę o tobie. Kolejny rum i sam nie wiem jak, ale oto jestem już pod domem.

- Ej, właśnie dojechaliśmy.

Zsiadam z motoru, lekko się zataczam. To przez ten jeden rum za dużo.

- Gdzie się podziała twoja honda?

- Nie ma jej tu, przyjechałam samochodem, teraz mam cinquecento, nowy model.

- Aha, fajnie. - Tak naprawdę to jedno z tych aut, które najmniej mi się podobają. Ale czy miałoby jakiś sens mówić jej o tym? Nie, a wobec tego siedzę cicho, a wręcz staram się być miły.

- Świetnie się sprzedają, palą tyle co nic, no i części zamienne są po przyzwoitych cenach.

- Tak, rzeczywiście.

- Udany wieczór, co?

- Zajebisty. - Mówię jej najszczerzą prawdę. - Lokale na Testaccio sporo się zmieniły.

- W jakim sensie?

- Na lepsze. Fajna muza, ludzie sprawiają wrażenie, jakby naprawdę dobrze się bawili. Superkawalki, można tańczyć do upadłego. Tak, zajebisty wieczór.

Pallina grzebie sobie w kieszeniach spodni i przetrząsa kurtkę.

- Oj, coś mi się zdaje, że zostawiłam u ciebie na górze moje kluczyki.

- Nie ma problemu, chodźmy.

W windzie zapada krepująca cisza. Nasze spojrzenia krzyżują się ze sobą. Stoimy w milczeniu. Pallina się uśmiecha. W jej uśmiechu jest czułość. Bębnię palcami o poręcz przy ścianie, o lustro. Kurwa, czasami ma się wrażenie, że winda stoi w miejscu. Choć być może to nadmiar rumu przedłuża tę podróż w nieskończoność? A może coś jeszcze innego? Ale oto jesteśmy. Otwieram drzwi wejściowe i Pallina przemyka się do środka. Rozgląda się wokół, następnie idzie do stołu. - O tutaj są, znalazłam! - Zastania mi widok, toteż nie udaje mi się niczego dostrzec. Czy naprawdę kluczyki leżały na stole, czy rzeczywiście zapomniała je zabrać, czy tylko wymyśliła sobie taką wymówkę, żeby wejść? Co ci w ogóle przychodzi do głowy? Kiepsko z tobą. Skąd takie myśli, Step? Za dużo rumu. Kluczyki leżały na stole, musiały tam leżeć.

- Ej, widzę, że masz też taras.

- Tak, wiesz, że nawet nie zwróciłem na to uwagi.

- No co ty! Jak zwykle jesteś nieprzytomny.

Otwieram przeszklone drzwi i wychodzę na zewnątrz. Widać obłądny księżyc. Wysoko w górze, okrągły, gdzieś tam, między odległymi budynkami, skąpanymi w jego poświacie. Smukłe zarysy starych anten, nowoczesnych talerzy satelitarnych, a do tego, jakby na przekór – sznury z porozwieszonym dzień wcześniej praniem. Oddycham głęboko, letni zapach jaśminu, wrześniowy powiew nocnego powietrza, cykady gdzieś w oddali, cisza wokół. Pallina staje mi za plecami.

- Trzymaj, przyniosłam ci jeszcze jeden. - Podaje mi kieliszek.

- Na dobre zakończenie wieczoru. Biorę go od niej, wacham.

- Jeszcze jeden rum. I to chyba nawet dobry.

Paolo coraz bardziej mnie zadziwia. Rum u niego w domu. Chłopak się wyrabia. Pociągam jeden łyk. Wygląda mi na Pampero. Nie, to Havana Club, przynajmniej siedmioletni. - Znakomity.

Znów spoglądam daleko przed siebie. Pociągam kolejny łyk, ale się nie odwracam. Pallina wciąż mówi. Stoi za mną, słyszę jej głos tuż za plecami.

- Nie uwierzysz. Od kiedy umarł Pollo, nie byłam z żadnym innym chłopakiem. Masz pojęcie?

- Dlaczego miałbym ci nie wierzyć? - Nadal stoję do niej plecami.

- Ani jednego pocałunku, przysięgam ci.

- Nie przysięgaj. Nie sędzę, żebyś mnie okłamywała.

- Raz cię okłamałam.

Odwracam się i patrzę jej w oczy. Uśmiecha się.

- Kluczyki miałam w kurtce.

Lekki podmuch ciepłego wiatru, zabłąkanego pośród nocy, delikatnie rozwiewa jej ciemne włosy. Pallina. Mała kobieta, która stała się dorosła. Ma gęsią skórę i zamyka oczy, oddycha głęboko z nieukrywaną przyjemnością. Po chwili się zbliża i mnie obejmuje. Opuszcza głowę na mój tors. Słodka, pachnąca przyjaciółka. Nawet nie próbuję jej powstrzymać.

- Wiesz, Step, tak się cieszę, że tu jesteś.

Trzymam ramiona szeroko rozpostarte, sam nie bardzo wiedząc, co począć. Po chwili odstawiam kieliszek na parapet i obejmuję ją powoli. Słyszę jej śmiech.

- Jak dobrze, że wróciłeś. Proszę cię, przytul mnie mocno.

Trwam w bezruchu, jakoś nie mam siły, by przytulić ją mocniej. Staram się jakoś usprawiedliwić.

- Słuchaj...

Wszystko dzieje się w okamgnieniu. Ona unosi głowę i zaczyna mnie całować. Napiera na moje usta i sama rozchyła wargi. I zaraz próbuje ożywić swoje ciało, porusza się niespiesznie, ma zamknięte oczy. Manewruje ustami to w prawo, to w lewo, w poszukiwaniu optymalnej pozycji, chcąc dopasować się tak, by to było jak najbardziej naturalne. Ale to niemożliwe. Ja trwam w bezruchu. Ani drgnę. Nie wiem, co robić, nie chciałbym jej zranić. Wcale się nie ruszam, nie rozchyłam ust, są całkiem zimne, prawie tak jakby były z kamienia. Pallina powoli rezygnuje ze swojego desperackiego wicia się. Ponownie opuszcza mi głowę na klatkę piersiową i zaczyna płakać. Po cichu. Tylko raz po raz lekko potrząsa głową, płacz przechodzi w urywany szloch, słychać w nim rozpacz. Wtula się we mnie, byle tylko na mnie nie patrzeć, najwyraźniej wstydzi się mojego wzroku. Delikatnie gładzę ją po włosach. Po chwili szepczę jej na ucho: - Pallina... Pallina, przestań płakać.

- Nie, nigdy nie powinnam się była tak zachować.

- Ale coś ty niby takiego zrobiła. Przecież nic się nie stało. Do niczego nie doszło. Wszystko jest w porządku.

- Wcale nie. Próbowałam cię pocałować.

- Naprawdę? W ogóle się nie zorientowałam. No już, bo nasz przyjaciel pewnie właśnie się na nas patrzy i jak nic się z nas śmieje.

- Chyba raczej ze mnie.

- Na mnie jest wściekły, bo nie skorzystałam z okazji.

Pallina wybucha śmiechem. Ale to histeryczny śmiech, pociąga przy tym nosem i wyciera sobie twarz w rękaw kurtki. Na przemian to się śmieje, to znów płacze.

- Przepraszam cię, Step.

Znów się śmieje, tym razem nieco spokojniejsza. Grozę jej, palcem wskazującym machając tuż przed samym nosem.

- Pora kłaść się spać, co ty sobie w ogóle myślisz, co? - Znów się uśmiecha.

- Rzeczywiście, zaraz wskakuję do łóżka.

I nic już nie mówiąc, wciąż jeszcze zawstydzona, zmierza w stronę drzwi. Przystaje na moment. - Proszę cię, Step, zapomnij o tym i odezwij się do mnie. - Uśmiecham się do niej i potakuję skinieniem głowy. I zaraz zamykam oczy, a kiedy otwieram je po chwili, Palliny już nie ma. Nie ruszam się z miejsca, stoję w salonie, nieruchomo, w milczeniu, wreszcie rozglądam się dookoła i dostrzegam butelkę z rumem. Miałem rację. To Havana Club. Raptem tylko

trzyletni. Z Paola to jednak nie lada kutwa. Wychodzę na taras. Spoglądam na dół i w ostatniej chwili dostrzegam, jak Pallina swoim cinquecento skręca na końcu ulicy. Wlewam w siebie ostatni łyk z dna butelki, darowując sobie przelewanie go do kieliszka, i nie ruszam się z miejsca. Skrzyżowane ręce opieram na parapecie, a w zasięgu ręki mam pustą butelkę. - Kurwa mać. - Złość aż rozpiera mnie od środka, ale sam nie wiem, do kogo by się tu przyczepić. Kurwa, ja pierdolę. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego? Do dupy. Nie mogę nic zrobić. Nawet sobie poprzeklinać. Nie, na nic by się to zdało. Ale nie chcę o tym myśleć. Jest mi źle, kurwa. Spoglądam w dół. O właśnie. Dzięki. Od razu robi mi się lepiej. Biorę butelkę za szyjkę, zbieram w sobie resztkę sił i rzucam nią w dół, niczym bumerangiem, bezbłędnie, szybko, miejmy tylko nadzieję, że do mnie nie wróci. Butelka leci, obracając się z zawrotną prędkością i bum, uderza w twingo, trafiając w sam środek przedniej szyby i ją roztrzaskując. Twingo jeszcze przed chwilą było całkiem nowe, nietknięte. Chyba czarne, a w każdym razie ciemne. Kwintesencja wszystkiego tego, czego nienawidzę. Tylko jeden strzał. Jak w *Łowcy jeleni*.

31

Lekki wietrzyk swawoli między małymi, uporządkowanymi domkami, pośród białych i szarych marmurów, pośród kwiatów dopiero co zwiędłych i tych świeżych, zaledwie przyniesionych. Zdjęcia i daty przypominają o różnych ludziach. O przebrzmiałych miłościach, gwałtownie przerwanych egzystencjach albo i tych, które się dokonały w sposób naturalny. Tak czy inaczej, odeszły w niebyt. Rozdarte. Tak jak życie mojego przyjaciela. Czasami to wszystko dzieje się bez powodu i wówczas ból jest jeszcze większy. Przechodzę między grobami. W ręku mam bukiet kwiatów, to słoneczniki, najpiękniejsze, jakie tylko udało mi się znaleźć. W przyjaźni, jak i w miłości, cena nie gra roli. Właśnie. Dotarłem na miejsce.

- Cześć, Pollo.

Patrzę na to zdjęcie, na uśmiech, który tyle razy dotrzymywał mi towarzystwa. Ten wizerunek tak malutki w przeciwieństwie do serca, które było wielkie i hojne.

- To dla ciebie.

Tak jakby nie wiedział, jakby mnie nie widział. Schylam się, z małego wazonu wydaję zwiędłe kwiaty. Sam siebie zapytuję, kto mu je przyniósł i kiedy. Może właśnie Pallina. Ale po chwili daję sobie spokój z takimi spekulacjami, odrzucam je tak samo daleko jak kwiaty, których dopiero co się pozbyłem. Staram się, by słoneczniki wyglądały jak najokazalej. Wciąż wydają się mocne, jakby swoją siłę czerpały wprost z ziemi, i zdrowe, pełne blasku. Układam je ostrożnie, dbając o to, by jedne nie były za blisko drugich. Mam

wrażenie, że znalazły tu dla siebie optymalne warunki. Od razu zwracają się w stronę słońca, jakby wzdychały przeciągle, wyraźnie zadowolone, jakby od zawsze szukały dokładnie takiego wazonu.

- No już, gotowe.

Trwam przez chwilę w milczeniu, na poły zmartwiony, że mógłbym zostać źle zrozumiany, że mogłoby mi przyjść do głowy coś niestosownego, coś co urągałoby czystości naszej przyjaźni.

- Ale to nie tak, Pollo, i ty sam dobrze o tym wiesz. Nie było tak nawet przez moment.

I niemal natychmiast biorę w obronę Pallinę.

- Musisz ją zrozumieć, jest taka młoda i brakuje jej ciebie. A ty przecież wiesz, a może i nie, ile, do licha, jej z siebie dawałeś, ile dla niej znaczyłeś, jak potrafiłeś ją rozbawić, jaka była przy tobie szczęśliwa. I powiedzmy to sobie między nami: jak bardzo ją kochałeś...

Rozglądam się wokół, lekko zaniepokojony, że ktoś mógłby usłyszeć, gdy się tak zwierzam.

Gdzieś w oddali, w głębi widzę starszą kobietę w czerni. Modli się. Jeszcze trochę dalej ogrodnik grabiami usiłuje zebrać leżące tu i ówdzie pożółkłe już liście. Wracam do mojego przyjaciela. I do niej.

- Musisz ją zrozumieć, Pollo. To bardzo ładna dziewczyna. Jest już kobietą. Niesamowite, jak bardzo się zmieniają. Ty je widzisz raz, po czym spotykasz ponownie, upływa tylko trochę czasu, wystarczy raptem jedna chwila, by zamiast nich ujrzeć kogoś całkiem innego. Wczoraj nie miałem najmniejszych wątpliwości, nie wiem, w życiu bym nie mógł zrobić czegoś podobnego. Wiem, że tysiące razy śmialiśmy się i żartowaliśmy sobie, że „nigdy nie mów nigdy”, ale pięknie jest móc w życiu mieć coś takiego, czego jest się pewnym, nieprawdaż? Kurwa, prawda jest taka, że możemy być pewni jedynie samych siebie. I zajebiście mi odpowiada, że umiem się zdobyć na to, by powiedzieć „nie”, rozumiesz? I cholernie mi się podoba, że stać mnie na to, by powiedzieć „nigdy”! Kurwa, cieszę się, że mogę powiedzieć to właśnie dla ciebie, w imię tego, czym była i jest nasza przyjaźń. Bo to jest pewne. Ja mogę być tego pewnym. Już cię widzę, jak zanosisz się śmiechem. Robisz sobie ze mnie jaja, co? Mało tego, ja to wiem. Gdybym wyjechał ci z taką gadką, kiedy akurat spędzaliśmy ze sobą czas, ty na koniec obróciłbyś to w żart. Ale ponieważ nie możesz mi odpowiedzieć... więc, musisz tę całą historię przyjąć do wiadomości, i to w takiej a nie innej formie, okay? A poza tym i tak już wiem, o co byś mnie zapytał. Nie. Nie widziałem jej i nie mam zamiaru tego robić, dobra? Przynajmniej nie teraz. Nie jestem jeszcze gotowy. Wiesz, czasami zastanawiam się, co by było, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Gdyby to ona odeszła zamiast ciebie. Ja i ty, dwaj przyjaciele, przecież nigdy byśmy nie zerwali naszej przyjaźni, gdy tymczasem ona, może wówczas nigdy nie potrafiłbym jej zapomnieć. Wiem, egoista ze mnie, ale teraz przynajmniej mam szansę ją zapomnieć. A tak w ogóle to chciałem ci coś opowiedzieć o tej Gin. Jest jak

powiew świeżego powietrza. Przysięgam ci, kurwa, jest wesoła, zabawna, inteligentna, zajebista. Nic więcej nie mogę dodać, bo... jeszcze się z nią nie przespałem.

Akurat w tej chwili nieopodal przechodzi ta starsza pani. Już skończyła się modlić. Przygląda mi się z zainteresowaniem. Dziwnie się uśmiecha. Ciężko powiedzieć, czy ten jej uśmiech świadczy o tym, że się ze mną solidaryzuje, czy też przemawia przez nią zwyczajna ciekawość. Faktem jest, że się uśmiecha i odchodzi.

- No, Pollo, na mnie też już czas. Mam nadzieję, że już wkrótce będę ci mógł coś opowiedzieć o Gin, i to coś dobrego.

Nieopodal widać dopiero co przybyłego, nowego gościa. Jacyś ludzie w milczeniu wysiadają z samochodu. Mają zażawione oczy, niosą świeże kwiaty i nie mogą przestać myśleć o tym, co się dopiero wydarzyło.

Zwracają się do siebie ściszym głosem, starając się dobrze zrozumieć, co należy robić. Cierpienie sprawia, że tak trudno jest im się w tym połapać. I zaraz pochylam się po raz ostatni. Poprawiam ten największy słonecznik. Robię mu jeszcze trochę miejsca i daję szansę, by dotrzymał towarzystwa mojemu przyjacielowi od serca. Przypominam sobie takie zdanie Winchella: „Przyjaciel to ktoś, kto wchodzi, świat wyszedł”. I ty, Pollo, wciąż jesteś we mnie.

32

- I jak tam, spotkałeś się z nią?

Patrzę na niego roześmiany.

- Skąd, spotkałem się z moją starą przyjaciółką.

- I zanurzyłeś sobie biskopcik w przeszłości...

Spoglądam na niego. Marcantonio ma twarz niczym Jack Nicholson i z wdziękiem stara się przeniknąć moje tajemnice. Ale nie zna całej historii. Nie ma pojęcia, kim jest Pallina. Nie wie nic ani o mnie, ani o Pollu. Czy by go polubił?

- Ja za to widziałem się z tą Fiori.

- No i co?

- Ech, w ogóle nie rozumiem kobiet. Pocałunek, jeden i drugi, przytulanki, zaczynasz zabierać się do rzeczy jak należy, choć tak właściwie, sorry, to czyż nie lepiej od razu się ze sobą przespać? Ech, szkoda gadać, nic z tego, bo to za wcześnie, za wcześnie, i już. A to niby dlaczego, co?!

Trochę później. To samo miasto, ta sama historia. A nawet lepiej, bo w kobiecym wydaniu.

- No i coś ty znów zmalowała?

Cisza. Chwytam Ele od tyłu za szyję i przystawiam jej spinę do gardła.

- Jeśli nie zaczniesz mówić, to poderżnę ci gardło.

Ele prawie się krztusi.

- Dobra, dobra, co ty, całkiem zidiociałaś? Mało mnie nie udusiłaś. A poza tym, to kto ci nagadał o tych wszystkich faktach?

- Co takiego?

- Fakty: małe bezceństwa, najwyraźniej kompletnie ci się mózg zresetował.

Ele kręci głową, patrząc na mnie.

- Posłuchaj, Ele, tak na marginesie, skoro już o tym mowa, to chodzi raczej o fuckty, ale powiedz mi lepiej, jak to jest, że nie dajesz rady sklecić trzech słów w ojczystym języku, nie wtrącając przy tym od razu jakiejś cudzoziemszczyzny!

- *Yes, I do.*

Wznoszę wzrok do nieba. Jest niereformowalna. - Okay, to opowiadasz, czy nie?

- No więc wiesz, co zrobić? Zaprosił mnie do siebie na kolację.

- Ale kto?

- Marcantonio, ten grafik.

- Przyjaciel Stepa!

- Marcantonio to Marcantonio, i już. Nawet nie wiesz, jaki jest kochany, jak bardzo się postarał, przyrządził dla mnie naprawdę wyśmienitą kolację.

Marcantonio się uśmiecha. Jak ktoś, kto niejedno w życiu widział. Albo nawet widział już w życiu wszystko i jest ekspertem od takich spraw, bo ma z nimi do czynienia od lat.

- Więc tak, na dobry początek zszedłem na dół do Paolo, Japończyka na via Cavour i wzięłem od niego wszystkiego po trochu. Tempurę, sushi, sashimi, passion fruit. Same takie potrawy, które wyostrzają zmysły, o dużym ładunku erotycznym. Zaniósłem je do siebie, podgrzałem tempurę raz dwa, i voila, wszystko gotowe. Nakryłem do stołu, nawet specjalnie położyłem klasyczne, japońskie pałeczki i do tego widelec, na wypadek, gdyby się okazało, że nie ma wprawy w jedzeniu dań orientalnych...

- Czy u Marokańczyka tam przy świątłach zaopatrzyłeś się za pół darmo w klasyczny bukiet kwiatów?

- No pewnie, idealnie się nadają: zanim zwiędną, w sam raz ozdabiają stół przez te kilka godzin, a przy tym kosztują śmiesznie mało!

Ele wydaje się pod wrażeniem całego wieczoru.

- No, opowiadaj. Więc nakrył do stołu z miłością, wszystko było takie gustowne...

- Niesłychanie gustowne.

- Jesteś gotowa? Czas na kluczowe pytanie: czy były kwiaty?

- Ależ oczywiście! Małe różyczki, śliczne, na dodatek można je uznać za aluzję do mojego nazwiska...

Wybuchamy śmiechem, ale zaraz poważnieję.

- Ele, teraz przyznaj mi się szczerze. - Ele wznosi wzrok do nieba.

- Masz ci, wiedziałam. Taaa... i do zobaczenia w następnym odcinku. -
Znów rzucam się jej z rękami na szyję. - Tym razem na serio poderżnę ci gardło.

- Nie, okay, dobra, już mówię, mówię.

Uwalniam ją z uścisku. Ele patrzy na mnie, w jej oczach jest niepokój, unosi przy tym brew.

- Ej, chyba nie poderżniesz mi gardła na serio, jak ci się przyznam, co było dalej?

Patrzę na nią zaniepokojona. - Coś ty przeskrobała?

- Okay... Zrobiłam mu laskę!

- Nie, Ele, to niemożliwe! Na pierwszej randce! Toż to niesłychane.

- Co ty wygadujesz?! Benedetta, ta, którą sama miałaś za świętą, Paoletti, przypominasz ją sobie, czy nie? Została przyłapana jak w Piperze, w kiblu, klęczała, oddając się świętej adoracji oralnej z niejakim Maxem, którego poznała na parkiecie. Czas znajomości nie przekraczał połowy nagrania z płyty Willa Younga... A konkretnie jego coveru Doorsów *Light my fire*. Kiedy go słuchała, opętała ją i to na serio przedziwny ogień. Dlatego chwyciła za mikrofon i zaintonowała pełnym głosem, a na dodatek dała się przyłapać. A Paola Mazzocchi? Wiesz, że nakryli ją w szkolnym kiblu razem z wuefistą, z psorem Mariottim? Ech, znasz to czy nie, i to zaledwie tydzień po rozpoczęciu szkoły. Znalazła się amatorka sycylijskich rurek z twarogowym nadzieniem - słynnych cannoli siciliani! Przypominam ci tylko, że ta ksywa była znana w całej szkole. A wiesz dlaczego? Bo Mariotti jest farbowanym blondynem, ale pochodzi z Katanii.

- Tak, ale to nic innego, jak wyssane z palca plotki. Mariotti przecież nadal uczy. Myślisz, że gdyby go przyłapali, to by go za to nie wywalili?

- Ach, sama nie wiem. Wiem tylko, że Mazzocchi i tak miała niedostateczny z wuefu...

- A co to ma do rzeczy?

- Ma i to jeszcze jak... Znaczy tyle, że nawet laski nie potrafiła zrobić jak należy.

- Ele, ty chyba całkiem już zwariowałaś! Chcesz powiedzieć, że chlubisz się swoją lekkomyślnością? Jak nic zaraz poderżnę ci gardło.

Marcantonio opowiada z lubością.

- Wykonałem na niej body art.

- A co to takiego?

- Akurat ty, który byłeś w Nowym Jorku, nie wiesz? To znaczy, moja niewiedza byłaby usprawiedliwiona, spędzałem bowiem wakacje w

Castiglioncello... Ale ty przecież tam, w Big Apple, siedziałeś i nawet nie masz pojęcia, o czym rozmawiamy?

Prycham z uśmiechem, wpatrując mu się w twarz.

- Wiem, o co chodzi. Ale co ty chcesz przez to powiedzieć, to już całkiem inne pytanie.

- O, właśnie, teraz mówisz do rzeczy. Pomalowałem jej ciało. Całą ją rozebrałem, potem zacząłem ją malować. Wykorzystałem technikę malarską zwaną ciepłą temperą, jeździłem jej pędzłami po całym ciele, delikatnie, w górę i w dół, co pewien czas maczałem je w ciepłej wodzie, którą miałem w miseczce. Muskałem ją całą, dostarczając jej rozkoszy, nie odrywając od dziewczyny wzroku. Jej policzki też nabrały kolorów i to same, bez moich zabiegów. Namalowałem jej nawet majteczki, które dopiero co z niej zdjąłem, a potem bardzo delikatnie światłocien na jej sutkach, które stawały się coraz bardziej nabrzmiałe i wyglądały jakby lada moment miały oszaleć za sprawą tych kipiących od rozkoszy ruchów pędzlem.

- I co było dalej?

- Pod wpływem orgazmu chromatycznego tym razem ona zapragnęła nadać barwę mojemu pędzlowi.

- To znaczy?

- Zrobiła mi laskę.

- Fiuuu. To chyba się opłaca...

- Zastanawiasz się, czy możesz na coś liczyć ze strony przyjaciółki?

- Tak sobie głośno myślałem, przez pomyłkę... A potem co?

- Potem nic, jeszcze trochę sobie pogadaliśmy o wszystkim i o niczym, skubnęliśmy trochę z tego, co zostało z japońskiego żarcia, i odprowadziłem ją do domu.

- No co ty, to po tym, jak zrobiła ci laskę, nawet jej nie przeleciałeś?

- Nie, nie chciała.

- Czyli oświeć mnie choć trochę, laska tak, ale dymanko nie, o co tu chodzi?

- Kieruje się w tym swoją własną filozofią. A przynajmniej tak mi powiedziała.

- I to by było na tyle?

- Tak, powiedziała mi: „Trzeba umieć się cieszyć”. Albo, poczekaj, inaczej. Powiedziała, że by móc się rozkoszować wielkimi rzeczami, najpierw trzeba nauczyć się cieszyć tymi małymi. A potem zaczęła się śmiać.

- Ale Ele, sorry... W takim razie, równie dobrze mogłaś z nim już pójść do łóżka. Seks za seks...

- Ale co to ma do rzeczy, rżnięcie to zupełnie co innego, to związek doskonały. Totalne zaangażowanie. Masz go w sobie, zawsze teoretycznie możesz zająć w ciężę... Zdajesz sobie z tego sprawę? Zupełnie czym innym jest zrobienie laski.

- Jasne! Jakżeby inaczej!
- Słuchaj, dla mnie to coś takiego jak trochę serdeczniejsze powitanie lub pożegnanie. O właśnie, jak choćby takie uściśnięcie komuś ręki.
- Uściśnięcie komuś ręki? Weź idź to powiedz swoim starym.
- Pewnie, gdyby wymusnęło mi się coś podobnego... Sorry, ale że niby co, oni sami tego nie robili? To my nie jesteśmy w stanie dojrzeć normalności w seksie, powinno się o tym rozmawiać, jak o wszystkim innym, tylko że jesteśmy takimi strasznymi mieszcuchami, na przykład, wyobraź sobie tylko swoją matkę, która robi...
- Ele!!!
- A bo co, twoja matka też zgrywa taką nieprzystępną?
- Nienawidzę cię.

- No, to Step, teraz się z tobą żegnam. Na kiedy jesteśmy umówieni z Romanim, Żmiją i całą resztą szemranego towarzystwa?
- Jutro o jedenastej. No nie, to już jest naprawdę maks... Czyli, że teraz to ja mam ci przypominać, kiedy mamy spotkania.
- Jasne. Na tym polega prawdziwe zajęcie asystenta. Wobec tego widzimy się jutro, na kilka minut przed wyznaczoną porą.

Widzę, jak odchodzi, lekko się przy tym kołysząc, z papierosem w ustach. Po niespełna jednym kroku się odwraca. Patrzy na mnie uśmiechnięty. - Ej... Daj mi znać, jak sam będziesz miał jakieś najświeższe wiadomości na temat tej Biro. Nie bądź taki hermetyczny, dobra? Czekam na twoje opowieści, tylko nie waż mi się zmyślać. Zresztą bardzo łatwo jest przebić zrobienie laski!

33

Popołudnie jakich wiele. Ale nie dla niej. Raffaella Gervasi krąży po domu cała niespokojna. Coś jej tu nie gra. Jakoś dziwnie źle się czuje. Wyraźnie coś jej przeszkadza. To coś, o czym zapomniała... albo czego nie jest w stanie sobie przypomnieć. Raffaella próbuje się uspokoić. Wyglupiam się, może czuję się tak z powodu mojej córki - Babi. Tak bardzo się zmieniła. Zmieniła się, i to na lepsze. Nareszcie wie, czego chce. Dokonała wyboru i nie ma już żadnych wątpliwości. Ale ja? Czego ja chcę? I oto nagle dociera do niej, że stoi w salonie, naprzeciwko lustra. Z niepokojem zbliża się do swojego odbicia, przegląda się, przeciąga dłońmi do twarzy, próbując wygładzić sobie skórę, coś dla siebie zrobić, naciąga policzki w stronę uszu, by w ten sposób pozbyć się śladów, jakie pozostawił miniony czas, tych wszystkich lat, które odbiły się na jej twarzy, a zwłaszcza wokół oczu. Właśnie, chciałabym mieć mniej zmarszczek, ale to akurat jest łatwe. Wystarczy zaaplikować sobie trochę botoksu. Teraz się stał szalenie modny. Organizuje się wręcz coś w rodzaju imprez, na

których usuwa się wszelkie tego typu „mankamenty urody”. Chodzą ze srebrną tacą, a na niej mają zestaw strzykawek... sięgają po nie i raczą się nimi, jakby chodziło o szampana. Zastrzyki są delikatne, bezbolesne, a na dodatek kosztują mniej od butelki takiego choćby Möet. Ale czy rzeczywiście w tym tkwi twój problem? Raffaella zagląda sobie głęboko w oczy i stara się być szczerą przynajmniej wobec siebie. Nie, masz czterdzieści osiem lat i po raz pierwszy w całym swoim życiu żywisz wobec własnego męża pewne podejrzenia. Co się z nim dzieje? Coraz częściej późno wraca z pracy. Doszło do tego, że sprawdziłam nawet nasze wspólne konto bankowe. Jest na nim dużo wypłat, aż nadto. Jakby tego było mało, kupił sobie nowe kompakty. On... i kompakty? Sprawdziłam w samochodzie. Słucha jakiegoś *Maggese* Cesare Cremoniniego, jednego małolata, składanki Montecarlo Nights, z dziwaczną i zmysłową muzyką charakterystyczną dla nocnych klubów, i szczyt szczytów... Buddha Bar VII, już gorzej być nie może! Jak na kogoś, kto zawsze słuchał wyłącznie muzyki klasycznej i kto w drodze wyjątku sięgał po lekki jazz, to wszystko jest równoznaczne z jakąś rewolucją. A za każdą taką rewolucją stoi nikt inny tylko kobieta. Ale jak to możliwe? Claudio... z inną! No, dosłownie nie mieści mi się to w głowie. Dlaczego ci się to nie mieści w głowie? Ileż par spośród waszych wspólnych znajomych się rozleciało? I to przez co? Czyżby przez różnice zdań wywołane decyzjami zawodowymi? Albo przez kłótnie odnośnie spędzania wakacji: czy lepiej jechać nad morze, czy w góry? Przez sprzeczki o to, jak wychowywać dzieci? Albo jak zmienić wystrój domu? Nie. Powodem jest zawsze tylko i wyłącznie inna osoba. Kobieta. Na dodatek prawie zawsze młodsza. I kiedy sama przed sobą się do tego przyznaje, Raffaella natychmiast dokonuje szybkiego przeglądu możliwości, skatalogowanych kobiet, wszystkich twarzy potencjalnych rywalek, przyjaciółek, zarówno tych prawdziwych, jak i fałszywych, jak leci. Nic. Nic z tego nie wynika. Nic nie przychodzi jej do głowy. Nawet najdrobniejsza hipoteza, choćby samo imię, jakakolwiek wskazówka. I wówczas, w porywie najdzikszej zazdrości, daje nura do szafy Claudia i zabiera się za przetrząsanie każdej marynarki, wszystkich kurtek po kolei, płaszczy, byle tylko znaleźć jakikolwiek dowód, wwąchuje się w klapy, podszewki, żeby móc wyczuć, by zdołać znaleźć kompromitujący zapach perfum, lub też zdradziecki włos, jakiś rachunek, bilecik z życzeniami, pojedyncze miłosne zdanie, przejaw namiętności... plan ucieczki! Cokolwiek takiego, co by mogło ukoić ten jej gwałtowny napad hysterii, tę jej kipiącą złością niepewność. Claudio z inną. Utrata tego wszystkiego, co zarówno dla niej, jak i w kontekście jej całego życia wydawało się czymś równie pewnym, co banalnym. I zaraz, ni stąd, ni zowąd doznaje olśnienia, to jest jak grom z jasnego nieba, sama wpada na ten pomysł. Może to nawet rozwiązanie. Raffaella rzuca się pędem do jadalni w poszukiwaniu srebrnej wazy, gdzie trzymają pocztę, którą dopiero co dostali. O, właśnie. Leży tam cały stos. Niczego jeszcze nie rozpieczętowano. Zgarnia wszystko jak leci, zaczyna przerzucać kopertę za kopertą. Dla Babi, dla Daniela, dla mnie, znów dla Babi...

o, proszę, jest i coś dla Claudia! To tylko rachunek za elektryczność, a dla mnie oferta promocyjna na wyprzedaże, ze zniżkami. Ale co mnie to teraz w ogóle obchodzi. O, jest. Claudio Gervasi. Wyciąg z konta bankowego do karty kredytowej Diners. Raffaella biegnie do kuchni, bierze nóż i delikatnie otwiera kopertę. Jeśli znajdę jakiś dowód, to ją zakleję z powrotem, odłożę na miejsce i zachowam się, jakby nigdy nic. A dopiero potem przyłapię go in flagranti i zniszczę. Zniszczę go. Przysięgam, że go zniszczę. Wyjmuje wyciąg i zaczyna go studiować, jakby chodziło o błąd w najważniejszej rozgrywce pokerowej na całym świecie. Każda pozycja robi na niej piorunujące wrażenie. Podejrzenie, że przeciwnik może mieć w ręku cztery damy. Albo najzwyczajniej tylko jedną, ale za to tę drugą. Raffaella z obłądem w oku sprawdza wszystkie wydatki. Nic. Same stałe opłaty. Rata kredytu, należność za benzynę do samochodu... o właśnie! Jedna dziwna pozycja. Zakup w sklepie muzycznym. Ileż on nakupował tych płyt? No, wzięwszy pod uwagę wymienioną cenę, to musi chodzić o te trzy, które ma w samochodzie. Nie ma rady. O, jest też garnitur od Franceschiniego, tego przy via Cola Di Rienzo. Ten sam, który kupił na wyprzedaży, i jeszcze dodatkowa kwota dla Teresy, krawcowej, za to, że mu obszyła nogawki. Tak, wszystko się zgadza. Raffaella spogląda teraz wyraźnie spokojniejsza na dwie ostatnie pozycje, rachunek za telefon stacjonarny... matko jedyna, w ciągu ostatnich dwóch miesięcy wydaliśmy 435 euro. Ale nie ma czasu się zezłościć. Ani pomyśleć o tym, co powie córkom, wyłącznie odpowiedzialnym za całą tę zawrotną kwotę. Bo nagle jej oczy trafiają na jeszcze jeden wydatek. 180 euro i to za coś, czego w życiu by się nie spodziewała.

34

Na Prati, niedaleko Rai, na rogu via Nicotera i viale Mazzini znajduje się Residence Prati, dom i zarazem hotel wielu gwiazdeczek występujących w filmach kinowych, telewizyjnych, w telenowelach, programach rozrywkowych i wszelkich produkcjach włoskiej telewizji. Tam właśnie, kawałek dalej jest i siłownia. Schodzę na dół, poniżej poziomu ulicy. Nie wygląda, ale ma powierzchnię czterystu metrów kwadratowych, o ile nie lepiej, dobry rozkład, mnóstwo luster, drewniane stropy, doskonałą wentylację, bo olbrzymia stalowa rura wije się, pikując z sufitu prosto na sam dół i sapie, pompując powietrze.

- Cześć, szukasz kogoś?

Dziewczyna ze śmiesznie uczesаныmi krótkimi włosami uśmiecha się do mnie zza przedziwnego biurka. Zasłania podręcznik do prawa, który leży zamknięty i założony pośrodku ołówkiem, tuż obok dwóch odbłaskowych flamastrów - klasyczny zestaw studenta pierwszego roku wyższej uczelni.

- Tak, szukam tu mojej przyjaciółki.

- O kogo chodzi? Może ją znam? Od dawna jest u nas zapisana? Chce mi się śmiać i aż mnie korci, by jej odpowiedzieć: „Nigdy nie była u was zapisana!”. Ale byłoby to równoznaczne ze stratą u Gin jakichkolwiek szans. Zdemaskowanie jej misternej sieci siłowni, to już byłby maks.

- Nie, powiedziała mi, że chciała skorzystać z możliwości próbnego treningu.

- Powiedz mi, jak się nazywa, to wezwę ją przez mikrofon.

- Nie, dzięki. - Uśmiecham się i zgrywam niewiniątko. - Chcę jej zrobić niespodziankę.

- Okay, jak chcesz.

Dziewczyna ze stoickim spokojem powraca do nauki. Kodeks karny. Pomyliłem się, musi być co najmniej na trzecim roku, o ile nie wchodzi w grę jakiś dodatkowy fakultet. Śmieję się pod nosem. Kto wie, może któregoś dnia mogłaby zostać moim adwokatem. Nie da się tego wykluczyć.

A oto i ona, Ginevra, Gin. Biro. Towar taki, że mózg staje. Przynosząc zaszczyt własnemu nazwisku, rozślawionemu przez markę jednego z najpopularniejszych długopisów, kreśli w powietrzu perfekcyjne wzory, zanim przystąpi do okładania worka treningowego. Wciąż podskakuje. Pseudozawodowa bokserka. Niespodziewanie przywodzi mi na myśl Hilary Swank, która idzie ćwiczyć, i to sama, by w ten sposób uczcić swoje urodziny. Na sali gimnastycznej krąży bez wytchnienia wokół worka treningowego, aż w końcu Morgan Freeman postanawia udzielić jej kilku wskazówek odnośnie tego, jak należy zadawać ciosy. Doszły mnie słuchy, że Włoszki oszalały na punkcie boksu. Myślałem, że to tylko gadanie. A tymczasem okazuje się, że to prawda.

- Tak trzymaj, świetnie, wyprowadzaj ciosy proste jeden za drugim. - Trenuje pod czymś okiem. Ale ten ktoś nie przypomina Clint Estwooda. Wygląda nieomal na zadowolonego, może zależy mu tylko na tym, by zaciągnąć ją do łóżka. A jednak i ja sam na nią patrzę. Jednak, bo mam wrażenie, jakbym ją widział w innym świetle. Jakie to dziwne. Kiedy patrzysz na jakąś kobietę z daleka, to dostrzegasz nawet najdrobniejsze szczegóły, detale, sposób, w jaki rusza ustami, jak się dąsa, jak przygryza wargę, jak się niecierpliwi, jak poprawia sobie włosy... mnóstwo różnych rzeczy. Rzeczy, które z bliska ci umykają, rzeczy, które w sytuacji, gdy dzieli was zaledwie kilka kroków, schodzą na dalszy plan, przyćmione przez czar jej oczu.

Gin nie przestaje sapać, raz za razem okładając worek. - Prawy, lewy i unik! Świetnie, a teraz się cofnij, prawy, lewy i unik... I jeszcze raz to samo... Jest cała złana potem, ale nie przerywa, odrzuca tylko do tyłu czarne włosy. Po chwili, prawie jak na spowolnionym obrazie, rękawicą odgarnia włosy z twarzy i zakłada je sobie za ucho. Brakuje jeszcze tylko, żeby się zabrała za poprawianie makijażu. Kobiety i boks, toż to czysty obłąd. Podchodzę powoli, tak by nie rzucać się w oczy.

- Teraz przejdź do ofensywy i naprzód.

Gin zadaje dwa ciosy z lewej, następnie robi zamach z prawej. Błyskawicznie zmieniam jej położenie worka i blokuję prawe ramię.

- Bum. - Widzę, jak jej twarz przybiera wyraz zaskoczenia, wygląda wręcz, jakby ją zamurowało. Sam szybko zaciskam dłoń w pięść i trafiam ją lekko w brodę. - Cześć, *Million Dollar Baby*. Bum, bum i już po tobie. - Robi unik i udaje jej się wywinąć.

- Co ty tu robisz do cholery?

- Chciałem wypróbować tę siłownię.

- Myślałby kto! Akurat tę?

- Przypadek chciał, że tak wyszło, było mi na rękę, a ponieważ ja też „pracuję” w tej okolicy...

- Wybrali mnie niezależnie od ciebie.

- Ale czy ja coś powiedziałem.

- Zrobiłeś aluzję.

- Jesteś chora.

- Za to z ciebie skończony złamas!

- Dostyc tego, spokoj... Tylko nie zaczynajcie mi tu na siłowni żadnych awantur, jasne?

Trener wkracza między nas.

- A poza tym, przepraszam, Ginevra... to twój pierwszy próbny trening tutaj u nas, nieprawdaż? Jeszcze się do nas, do Gymnastic, nie zapisałaś. A skoro tak, to przecież on nie mógł wiedzieć, nie mógł być pewny, że cię tu zastanie. To czysty przypadek.

Patrzę na nią i się uśmiecham. - To czysty przypadek. Całe życie jest pasmem przypadków. Według mnie to absurd, by doszukiwać się źródeł tego przypadku. Nie mam racji? To tylko przypadek, i już.

Gin się obrusza, a ręce, wciąż uwięzione w rękawicach, trzyma na biodrach.

- Co ty „przypadkiem” wygadujesz?

- Spokojnie, Ginevra. - Trener znowu interweniuje. - Za dużo między wami wrogości. Wygląda, jakbyście się nienawidzili.

- Nie wygląda. Tak jest!

- Wobec tego musicie uważać. Ty powinnaś być na bieżąco z tym, czego uczą w szkole i pamiętać takie zdanie: *Odi et amo. Quare id fasciam... nescio...* Nienawidzę i kocham. Pytasz, jak to robię... sam nie wiem...

Gin przewraca oczami.

- Tak, tak, dziękuję, znam to. Ale tutaj problem tkwi w czym innym.

- W takim razie rozwiążcie go sobie na zewnątrz.

Patrzę na nią i się uśmiecham.

- Słusznie, prawda... To rzeczywiście dobry pomysł. Idziesz?

- Musisz uważać. Bo się okaże, że jej nie doceniasz, Ginevra jest silna, wiesz?

- Jakże mógłbym nie wiedzieć. Ma nawet trzeci dan.

- No co ty... - Trener wyraźnie się ożywia. - O tym nie wiedziałem. Serio?

- Tak, o dziwo mówi prawdę.

Trener odchodzi, kręcąc głową.

- Tyle wrogości, tyle wrogości. Tak nie może być, tak nie może być.

Po chwili wraca, cały roześmiany, jakby znalazł sposób, by zaradzić wszystkim problemom na świecie. A przynajmniej tym między mną a Gin.

- Dlaczego nie rozegracie szybkiej walki? Sami przyznajcie, czyż to nie idealne rozwiązanie, zdrowe ujęcie emocji.

Gin unosi rękę, na której ma rękawicę, rozchyła ją i pokazuje na mnie.

- Ta, nie łudź się nawet, że ten kolo ma ze sobą rzeczy na zmianę.

- A właśnie, że „ten kolo” ma.

Uśmiecham się do niej rozbawiony i sięgam za kolumnę po swoją torbę. - A teraz, posłuszny wskazówkom twojego trenera, natychmiast idę się przebrać. Ale nic się nie martw, widzimy się lada moment.

Gin i trener nie ruszają się z miejsca i patrzą, jak się oddalam.

- Naprawdę świetnie się składa, w gruncie rzeczy ten chłopak wydaje mi się sympatyczny, a przy okazji będziesz też mogła przećwiczyć część ciosów, które ci dzisiaj pokazałem, tak czy owak, uważam, że znakomicie załapałaś, o co idzie.

- Tak, a czy ty załapałeś, kim on jest?

Trener patrzy na mnie zdeorientowany. - Nie, a co, kto to taki?

- To Step.

Rozmyśla przez chwilę, ma przymknięte oczy, przywołuje znajome twarze, wspomnienia i zasłyszane tu i ówdzie, przekazywane z ust do ust historie. Nic. Nic mu to nie mówi.

- Step, Step, Step. Nie, w życiu nie słyszałem.

Patrzę na niego z niepokojem, gdy tymczasem on uśmiecha się do mnie cały zadowolony. - Nie, na serio, w życiu. Ale możesz być spokojna, dasz mu radę!

I w tym momencie docierają do mnie dwie rzeczy. Po pierwsze: to z pewnością nie jest dobry trener i po drugie: właśnie dlatego powinnam zacząć się martwić.

Lekka koszulka, spodenki, podkolanówki i nowe nike'i kupione w Nike Town w Nowym Jorku. - Ej, Step, cześć. - W szatni spotykam znajomego kolesia, którego imienia jednak nie pamiętam. - Co tam, trenujesz tutaj?

- Tylko dzisiaj. Przyszedłem na próbę, żeby się zorientować, jak sobie radzi ta siłownia.

- Radzi sobie, i to jeszcze jak! A poza tym przychodzi tu tłum lasek. Widziałeś tę tam przy worku? Zajebista na maksa.

- Niedługo będę się z nią boksował, tak na rozgrzewkę.

- No co ty!

Koleś, którego imienia za nic nie mogę sobie przypomnieć, patrzy na mnie zaskoczony, a już po chwili zaczyna mu rzednąć mina.

- Ej, chyba nie posunąłem się za daleko? Nie powinienem był tego mówić?

- Czego?

- Że jest zajebista na maksa?

Zamykam szafkę na klucz, wkładam kłódkę do kieszeni.

- A niby dlaczego nie? Przecież to prawda! - Uśmiecham się do niego i wychodzę.

- No jak tam, trzeci dan, czas zaczynać?

Gin patrzy na mnie, sztucznie się uśmiechając.

- Tyle tylko, że trzeci dan nie ma tu nic do rzeczy, a poza tym strasznie się powtarzasz, czy naprawdę nie stać cię na coś mniej oklepanego?

Śmieję się jak szalony i rozkładam ręce.

- Nie mogę w to uwierzyć. Lada moment mamy rozpocząć walkę bokserską, czeka nas porządne spotkanie, z gatunku tych zaciętych... a ty co? Wyzłośliwiasz się na mnie.

- Ładnie, wyzłośliwiasz się na mnie, właśnie tego słowa mi brakowało.

- Nie wolno ci się nim posługiwać, w tym wypadku prawa autorskie należą do mnie! - I niemal od razu po tym... Trach. Tego się nie spodziewałem. Trafia mnie w samą twarz z prawej, szybko, dokładnie, w ramach usprawiedliwienia mogę powiedzieć, że z zaskoczenia. Tak czy siak, celnie.

- Świetnie, znakomicie.

Trener podskakuje zadowolony.

- Prawy, lewy, wyprowadź, a potem przechodź do defensywy. Ruszam zuchwą, raz w prawo, raz w lewo, czuję, że została lekko nadwerżona.

- Żadnych złamań?

Gin podskakuje, jej nogi są w ciągłym ruchu, patrzy na mnie i unosi brew.

- Jeśli chcesz, to możemy zaczynać na poważnie.

I zaraz, podrygując, zbliża się do mnie. - To był zaledwie przedsmak tego, co cię jeszcze czeka, boski Stepie. Aha, mój trener w życiu nie słyszał twojego imienia.

Wkładam rękawice i nie przestaję na nią patrzeć.

- Skoro już o tym mowa, to nie widział również zdjęcia, które ci zrobiłem polaroidem. Jasne, że gdyby je zobaczył...

- Gdyby je zobaczył, to co?

- No, pewnie by zmienił zdanie. Na tamtym zdjęciu wzbudzasz taki postrach, że niewątpliwie przeszłaby mu nawet ochota, by zaciągnąć cię do łóżka!

- Teraz to już naprawdę przegiąłeś.

Gin rzuca się cała rozjuszona i zaczyna mnie okładać. Zasłaniam się przed jej ciosami i zanoszę śmiechem, razy spadają na mnie ze wszystkich stron,

uderza a to otwartą rękawicą, to znów zaciśniętą, całą jej powierzchnią albo z kolei samym bokiem. W końcu daje mi kopniaka, prosto i celnie.

- Ej...

Trafiony zatopiony. W podbrzusze. I to z całej siły. Z bólu zginam się wpół. Ledwo jestem w stanie oddychać.

- Ała! To się nie liczy!

- Z tobą wszystko się liczy.

- Właśnie, Gin, nawet gdybym ci chciał okazać, jak bardzo cię kocham, to w tym momencie i tak nie stanąłbym na wysokości zadania.

- Nic się nie martw... Wierzę ci na słowo.

Kurwa mać, odwróciła moją uwagę, rozśmieszyła mnie, po czym zadała mi cios. Wciąż jestem zgięty w pół, staram się odzyskać siły. Zbliża się trener. - Jakies problemy? - Opiera mi rękę na ramieniu. - Nie, nie, wszystko w porządku... Albo prawie.

Tupię nogami i biorę się pod boki, głęboko oddycham i wracam do pionu.

- Właśnie, widzisz, teraz mogłabym cię dokończyć, gdyby nie to, że mi ciebie żal.

- Jakaż ty jesteś miłosierna. Może przeniesiemy się na ring?

- Jasne.

Gin uśmiecha się do mnie zupełnie spokojna. Przechodzi tuż obok, pewna siebie. Trener staje przy samym brzegu ringu i unosi liny, ułatwiając nam przedostanie się na matę.

- Ej, chłopcze, tylko posłuchaj... Żadnych niedozwolonych ciosów i zachowajcie umiar, co? To ma być ładna walka, no dalej.

Gin dołącza do mnie, na środek ringu, trącamy się rękawicami. Obydwoje naraz, jak na filmach.

- Jesteś gotowa?

- Jestem gotowa na wszystko. A jego nie słuchaj, to nie mój trener, zresztą już po tobie! Zawiadamiam cię, że można zadawać wszelkie możliwe ciosy, zwłaszcza te niedozwolone, przynajmniej z mojej strony!

- Oj, oj, oj... Już się boję!

W odpowiedzi próbuje mnie uderzyć prosto w twarz, ale tym razem nie daję się zaskoczyć, zasłaniam się lewym i daję jej eleganckiego kopa w tyłek, uważając jednak, by nie był zbyt bolesny.

- He, he, he... Już oprzytomniałem. To co, zaczynamy?

Podskakujemy, góra, dół, krążymy jedno wokół drugiego, obserwujemy uważnie siebie nawzajem, gdy tymczasem Nicola, czyli trener, zaczął już odmierzać czas na stoperze Swatcha albo innej, równie popularnej marki. Gin zaczyna mnie uderzać i nie przestaje się uśmiechać.

- Ej, widzę, że nadal dobrze się bawisz, co? Świetnie, masz absolutną rację, bo już wkrótce... - I zaraz wyprowadza mi cios prosty w sam brzuch, przez moment brak mi tchu. Szybka z niej zawodniczka.

- Nie gadaj tyle, boski Stepie, bo nie starczy ci tchu, a jeszcze ci się przyda. Mówiłam ci, że sporo trenowałam fuli contact. - Wciąż podryguję i zbieram siły. - Pierwsza zasada: po tym, jak spudłujesz, musisz natychmiast atakować dalej, w przeciwnym razie...

Wyprowadzam cios z bliska, ale nie za mocny i nie za szybki. Prawy, jeszcze raz prawy, dla zmyłki robię zamach lewym, po czym znów prawy. Przed trzema pierwszymi doskonale udaje jej się osłonić, ale ostatni prawy ją osiąga. I zaraz widzę, jak pod wpływem tego ciosu zarzuca Gin w lewo, mało się nie przewraca. Uderzyłem ją zbyt mocno. Próbuję ją załapać, zanim wyląduje na ziemi.

- Ej, przepraszam, zrobiłem ci krzywdę? - Jestem szczerze zaniepokojony.
- Ja tylko...

Gin w ramach rewanżu wyprowadza uppercut, trafiając mnie w podbródek z ukosa. Powybijane słowa więzną mi w gardle, na szczęście tylko one.

- Nic mi nie zrobiłeś. - Zżyma się, unosząc honorem, i szybko kręci głową, odrzuca do tyłu włosy, i niezwłocznie przystępuje do ataku. Dwukrotnie przebiera nogami, wykonując ruchy nożycowe. Prawy, lewy, równocześnie stopą pcha mnie w tył i nie odpuszcza. Prawy, lewy i znów prawy. Lewy, prawy, sierpowy, osłaniam się jak mogę, nie chcąc uderzyć jej ponownie, osłaniam się z uśmiechem na twarzy, choć niekiedy, szczerze powiedziawszy, bywa to trudne. Coraz bliżej. Zapędza mnie do rogu, wciąż atakuje. - Ej, zbyt żywiołowo. - Zasłaniam się rękawicami, a ona nie przestaje zadawać ciosów, w końcu próbuje mnie dosięgnąć prawym prostym i ciach, już ją mam. W okamgnieniu odchyłam lewą rękę i opuszczam ją wzdłuż ciała. Blokuję jej prawe ramię moim własnym i trzymam je, mocno do siebie przyciskając. - Skuta!

Nie ma możliwości manewru, jest zablokowana, lewym też już nic nie wskóra.

- Walczysz zbyt żywiołowo i sama widzisz, do czego to prowadzi?

Gin na wszelkie sposoby usiłuje się wyswobodzić. Szarpie się do tyłu, opiera na linach, rzuca się na mnie, znów odskakuje w tył, w szamotaninie odbija się ode mnie, nie daje za wygraną. Wyprowadzam lekki prawy i trafiam ją w twarz. - Bach... Widzisz, co bym ci mógł zrobić? - Wciąż ją uderzam. - Bach, bach, bach. Gin, piłka do boksowania... Już by było po tobie!

Cała jej odpowiedź sprowadza się do tego, że w napadzie szału usiłuje mnie uderzyć lewym, bowiem od tej strony nic nie ogranicza jej ruchów. Z łatwością się przed nim osłaniam, ale ona nie daje za wygraną, bach, bach, bach, odpieram wszystkie ciosy, jeden po drugim. Gin próbuje od dołu, by już po chwili przejść do prostych, następnie do haka, i znów usiłuje wyprowadzić cios z dołu, jedną nogą staje na linie i się wybija, by uderzyć, biorąc większy zamach. Nic z tego, jak stałem, tak i stoję w samym rogu i kurczowo trzymam ją za prawe ramię. Gin wychodzi z siebie.

- I jaaa! - Próbuje dosięgnąć mnie kolanem, ale od razu unoszę nogę, znowu ją uprzedzając. Ponownie stara się mnie uderzyć, tym razem lewym sierpowym, ale jest już wolniejsza, chyba trochę się zmęczyła. Właśnie na taki jej błąd czekałem. Wyciągam prawą rękę i blokuję także jej lewe ramię, trzymając je kurczowo. - I co teraz? - Na chwilę zastyga naprzeciwko mnie, wpatrując mi się w twarz, pozbawiona jakiegokolwiek możliwości manewru. - I co teraz pocznie Gin, Tygryś? - Próbuje się uwolnić.

- Grzeczna, bądź grzeczna. Jesteś tu, w moich ramionach. - Znowu stara się wyswobodzić, ale bezskutecznie. Zbliżam się do niej i ją całuję, w pierwszej chwili wydaje się, że nie ma nic przeciwko temu. - Ała! - Ugryzła mnie.

Natychmiast ją zostawiam, puszczam jej ramiona, oba naraz. - Kurwa mać. - Przystawiam rękawice do ust, by sprawdzić, czy nie leci mi krew.

- Jak tak dalej pójdzie, to odgryziesz mi wargę? A potem co?! Wierz mi, że z tymi pięściami nie ma żartów, jak zaczną grzmocić, to nie ma przebaczenia.

- Już ci mówiłam. Ja się nie boję.

I na dowód tego ucieka się do waikiki. Odwraca się, chcąc trafić mnie z półobrotu. Ale ja jestem od niej szybszy, padam na ziemię i ją podcinam, tak że sama upada tuż obok mnie.

- To na nic, Gin, to tak, jak Apollo mówi w *Rocky Cztery*: Nauczyłem cię prawie wszystkiego. Walczysz po mistrzowsku, ale to ja jestem mistrzem!

I błyskawicznie ją dopadam, przygniatam i unieruchamiam, siadając na niej okrakiem, prawą ręką przyciskam ją do ziemi, twarzą dotyka podłogi, a nasze policzki nieomal się o siebie ocierają.

- I co? Wiesz, że ślicznie teraz wyglądasz? - Mój zachwyty jest naprawdę szczery. Nie wiem dlaczego, ale strasznie mi to przypomina *Zabójczą broń*. Kiedy Mel Gibson i Rene Russo porównują swoje blizny i przewracają się na ziemię. Ale my jesteśmy od nich piękniejsi, prawdziwsi.

- Gin, masz ochotę się kochać?

Gin się uśmiecha i kręci głową. - Tutaj? Teraz, na parkiecie siłowni, na oczach Nicoli i całej reszty, która się na nas gapi?

- Cała sztuczka sprowadza się do tego, żeby o tym nie myśleć.

- Co ty wygadujesz, Step, zgłupiałeś, czy co? Jeszcze tego tylko brakowało, żeby zaczęli nas dopingować, skandując odpowiedni rytm.

- Okay, w takim razie wznawiamy walkę, sama tego chciałaś. Tylko żebyś potem nie mówiła, że nie dałem ci szansy.

Równocześnie podnosimy się z podłogi. Jednak tym razem to ja, cały rozbawiony, przystępuję do ataku. Osaczam ją w rogu ringu i zaczynam zadawać ciosy. Ale tak, by nie zrobić jej krzywdy. Gin jest szybka i stara mi się wymknąć. Popycham ją i znowu trafia do rogu. Kuli się, robi unik, chce się wydostać, ale znowu ją blokuję i zaganiam z powrotem w to samo miejsce. Symuluje lewy, ale tak naprawdę tylko robi zamach. Mierzę w nią powoli. Ona błyskawicznie zgina rękę, unieruchamiając mi tym samym prawe ramię. I zaraz potem, niemal za jednym zamachem to samo robi z moją lewą ręką.

- Taraa... Teraz to ja cię zablokowałam. I co ty na to?

Prawdę powiedziawszy, to jeden zamach główką i od razu bym się od niej uwolnił, ale nie sądzę, by w ten sposób należało załatwiać akurat tę sprawę. Gin wzdycha.

- To co zwykle... jesteś moim więźniem, tylko ani mi się waży gryźć.

Przysięgam ci, że jeśli to zrobisz, będzie po tobie.

Przyciąga mnie i wpija mi się w usta. Zdaję się na nią, podoba mi się, ślina i pot, płynne i soczyste pocałunki, pełne pożądania i przekory. Zdaję się na nią, o tak. Droczy się z moimi ustami, przytulam ją do siebie, przytrzymując rękawicami, ona ociera się o mnie, w spodenkach i koszulce, spocona w sam raz. Jej włosy przyklejają mi się do twarzy, osłaniając mnie przed wścibskimi spojrzeniami. Ale Nicola, który śledził naszą walkę, odmierzając czas, za nic nie przepuści tego dziwnego pojedynku.

- Wpierw chcą się pozabijać, żeby potem zacząć się gzić. Co za niedorzeczna młodzież.

I odchodzi, kręcąc głową. Utrzymywać, że się gziemy tu i teraz? Ależ człowieku, to przecież sztuka. Sztuka, i to fantastyczna, niesłychanie wyrefinowana, mistyczna, dzika, elegancka, pierwotna. Wciąż się całujemy w rogu ringu, niczym się nie przejmując, teraz już swobodniejsi w uścisku i bardziej podnieceni, a przynajmniej ja na pewno. Spontan... totalny. Upuszczam rękawicę, która dziwnym zrzędzeniem losu ląduje jej między nogami, ale Gin się odsuwa. Po chwili, jakby tego było mało, wkraczają na ring dwaj koleś około czterdziestki z rzemykami na szyi, szpakowatymi włosami, wyglądają na facetów po przejściach.

- Wybaczcie, co, nie chcielibyśmy wam przerywać tej walki. Ale my chętnie byśmy poboksowali sobie na serio, o ile tylko się stąd zwiniecie.

- Właśnie, weźcie się obściskujcie gdzie indziej, dobra?

I w śmiech. Biorę Gin pod rękę, przytulając ją do siebie palcem rękawicy, i pomagam jej zejść z ringu. Ten potężniejszy, od którego wciąż czuć papierosami, nie może sobie darować.

- Ej, ale co to w ogóle za atrakcja walczyć z kobietą...

Gin wymyka mi się z objęć i przemyka się szybko pod liną, by znów stanąć na ringu.

- A właśnie że atrakcja i to jeszcze jaka... chcesz się przekonać? - I przybiera bojową pozycję. Staję między nimi, zanim całe zajście przerodzi się w krwawą jatkę.

- Okay, okay. Nie ma o czym mówić, zwalniamy wam ring. Przepraszamy was. Dziewczyna jest narwana.

- Wcale nie jestem narwana.

- Mhm, wobec tego lepiej będzie, jak pójdziemy na lody. I zaraz po cichu zwracam się do Gin, szeptem na ucho:

- Ja stawiam, ale proszę cię, odpuść już sobie. Gin rozkłada ręce. - Okay, okay.

- Właśnie, macie rację, najlepiej idźcie na lody.

- Tak, na lody o smaku czekoladek - buziaków bacio.

Obydwaj zanoszą się śmiechem. Jeden z nich krztusi się przy tym i charczę. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby rzuciła mu coś na odchodnym. Gin znowu próbuje się odwrócić, ale siłą popycham ją przed siebie.

- Do szatni, prysznic, a potem lody. Marsz, i to bez dyskusji.

- Ej, boję się ciebie bardziej niż własnego tatusia. Popatrz, cała się trzęsę.

- I odgrywa coś w rodzaju tańca pośladków, naśladując Afrykanki. A to ci dopiero. Klepię ją w tyłek, i to mocno.

- Marsz, powiedziałem. Do szatni.

Popycham ją, już po raz ostatni, toż to czysta przemoc, ale czego się nie robi, byle tylko mieć pewność, że poszła się przebrać. Fiuu, to dopiero się zmachałem. Skoro tak się sprawy mają. *Mission impossible*. Wierzyć mi się nie chce. Gin znów wyłania się zza drzwi szatni.

- Nie myśl sobie, przebieram się tylko dlatego, że jest jedenasta i właśnie upłynęła moja godzina przeznaczona na trening.

- Tak, oczywiście.

Przez chwilę patrzy na mnie zdezorientowana, z uniesioną brwią, po chwili ją opuszcza i się uśmiecha.

- Okay. - Dociera do niej, że tym razem jej ustąpiłem.

- Zajmie mi to tylko chwilę, widzimy się przy barze, w głębi siłowni. Też się idę przebrać. Ale walka. Sam nie wiem, czy lepiej, gdy toczy się na ringu, czy poza nim. Wyciągam kluczyki od szafki i zaczynam się rozbierać. A właściwie to co jest w niej takiego znów wyjątkowego? Idę pod prysznic. Owszem, okay, fajny tyłek, ładny uśmiech... Widzę szampon, który ktoś zostawił, i wylewam go sobie na głowę. Owszem, panna jest nawet zabawna, ma fajny patent z tymi siłowniami za friko. Nie daje się zgasić. Jednakże jest wyczerpująca. Tak, ale od jak dawna nie jestem w przyzwoitym związku? Od dwóch lat. Za to jak mi z tym dobrze. Wolny i ponętny. Śmieję się jak ostatni dureń, a tymczasem słodkawy szampon cieknie mi do oczu, kurwa mać. Piecze. Żadnego trucia: co robisz dzisiaj wieczorem, co robimy jutro, jakie mamy plany na weekend, oddzwonię do ciebie później, powiedz mi, że mnie kochasz, ty już mnie w ogóle nie kochasz, jak to cię nie Kocham, kim ona była, dlaczego z nią gadałeś, z kim rozmawiałeś przez telefon? Nie, mowy nie ma. Dopiero co doszedłem do siebie, zakładając, że właśnie tak jest. Mam ochotę na „kalendarzynki”. Każdego pierwszego dnia miesiąca jedna, drugiego - kolejna, trzeciego - jeszcze inna, czwartego - a kto to może wiedzieć, a nuż żadna, piątego - ta laska z zagranicy, spotkana zupełnie przypadkiem, szóstego... Gdzie kucharek sześć, tam nie ma co jeść. Jesteś sam i wiesz o tym. Tak, pewnie, ale mi to wisi, nie chcę ugrzęznąć na dobre. Wycieram się i wkładam spodnie. Nie chcę się tłumaczyć. Zapinam koszulę i zabieram torbę. Idę w stronę wyjścia. Nawet się z nią nie pożegnaj, i tak zdążę ją dorwać później, w Teatro delie Vittorie. A, nie. Nikt ich na dziś nie wzywał. Dobra, powiem jej o tym jutro, jak ją zobaczę. Sam

rozumiesz, ona jest zdolna do wszystkiego, gotowa jeszcze zwalić mi się do domu i urządzić karczemną awanturę. Jeśli mnie akurat nie zastanie, to dorwie Paola. Z Paolem pójdzie jej jak po maśle, zmasakruje go. Sam rozumiesz, wzięłby ją za dziką bestię w ludzkiej skórze, za furiatkę, tygrysięcę. Zawracanie głowy! Na dodatek muszę jeszcze na nią czekać. Kto wie, ile jej zajmuje przygotowanie się. Jakim typem kobiety będzie? Czy okaże się wyrafinowana, rozrzutna, będzie liczyła każdy grosz, miała wszystko gdzieś, zacznie się zachowywać jak szalona, kokai-nomanka, puszczalska, stanie się nie do zniesienia? Docieram do baru i zamawiam niezbyt zmrożony gatorade.

- O jakim smaku, jeśli można?

- Pomarańczowym.

I zaraz odpowiedzi przychodzą niemal same z siebie. Gin jest naturalna, dzika, elegancka, czysta, namiętna, przeciwna narkotykom, altruistyczna, zabawna. I się śmieję. O rany! Pewnie straszna z niej spóźnialska i wciąż będę musiał na nią czekać.

Płacę 2 euro, odkręcam korek i piję gatorade. Rozglądam się wokół. Jakiś koleś cały odpalony już po treningu czyta „il Tempo”. Zgarbiony zajada w coraz szybszym tempie nieprzyprawiony ryż; na nim tu i ówdzie majaczy pojedyncza plamka ziarna kukurydzy i kawałek papryki, która trafiła tam najwyraźniej przez przypadek. Przy stole nieopodal kolejny pseudoumięśniony facet fałszywym tonem rozmawia z dziewczyną. Na każdą odpowiedź dziewczyny reaguje z przesadną wesołością. Dwie przyjaciółki snują nie wiadomo jakie plany na okoliczność domniemanych wakacji. Jeszcze inna opowiada swojej przyjaciółce od serca, jak fatalnie zachował się wobec niej jakiś koleś. Na ławce siedzi zły potem chłopak, po dopiero co wykonanej ostatniej serii, obok drugiego, który już się przebrał. Jakaś dziewczyna pije koktajl i zbiera się do wyjścia, jeszcze inna czeka na nie wiadomo kogo. Staram się dojrzeć twarz tej ostatniej, szukając jej odbicia w lustrze naprzeciwko ławki. Ale zasłania mi ją chłopak, który pracuje za barem. Ten coś podaje i odchodzi, a tym samym mam ją jak na dłoni. Niczym karta, która trafia do ciebie i spełnia twoją nadzieję na pokera, niczym ostatnie odbicie kulki w rozkręconej ruletce, która być może zatrzyma się na obstawionym przez ciebie numerze... oto ona. We własnej osobie. Patrzy na mnie i się uśmiecha. Włosy opadają jej na oczy, które pomalowała sobie przed chwilą, podkreślając je lekko szarym cieniem. Różowe usta, trochę nadaśane. Odwraca się do mnie.

- No, co z tobą, nie poznajesz mnie? - Poker. *En plain*. To Gin. Ma na sobie błękitny kostium. Na jednej z klap widać dwie małe literki. D & G. Uśmiecham się. Yoox. Do tego buty na obcasie w tym samym kolorze. Szalenie eleganckie. Rene Caovilla. Cienkie paski luźno oplatają jej kostkę. Paznokcie u stóp pociągnięte bladym błękitem o jaśniejszym od jej stroju odcieniu wyglądają jak małe, rozchylone w uśmiechu usta i wyraźnie odcinają się kolorem od delikatnej opalenizny skóry. Na głowie ma okulary Chanel w błękitnej oprawce.

Sprawia wrażenie, jakby spłynęła po niej warstwa złocistego miodu i perfekcyjnie przywarła jej do ramion, gołych nóg, uśmiechniętej twarzy.

- I co?

A to... A to, że wszelkie moje postanowienia idą się pieprzyć. Staram się coś powiedzieć. Chce mi się śmiać, a jednocześnie przychodzi mi do głowy tamta scena z *Pretty Woman*. Richard Gere rozgląda się za Vivien po hotelowym barze. I wreszcie ją dostrzega. Jest gotowa na wyjście do opery. Gin wygląda równie idealnie jak tamta, a nawet lepiej. Wpadłem, nie ma co. Bierze torbę i zmierza w moją stronę.

- Rozmyślasz nad czymś?

- Tak - kłamię. - Myślę, że gatorade był za zimny.

Gin się uśmiecha i mnie mija.

- Kłamczuchu, myślałeś o mnie.

Rozbawiona, oddała się zdecydowanym krokiem, nie kręci przesadnie biodrami, ale pewnie pokonuje schody, które prowadzą na zewnątrz.

Spod letniej lekko plisowanej spódnicy wyłaniają się, chyba delikatnie posmarowane kremem, jędrne i zwinne nogi, które zwężają się aż do kostki, a wysokie i kwadratowe obcasy dodają jej centymetrów.

Staje na najwyższym stopniu schodów i się odwraca. - No i co z tobą, oglądasz moje nogi? No już, przestań się gapić. Chodźmy się czegoś napić, czy co tam sobie chcesz, bo potem mam obiad z rodzicami i moim wujkiem. Zawracanie głowy. Gdyby nie to, za cholerę bym się tak nie odpaliła.

Kobiety. Spotykasz je na siłowni. Małe body, dziwne i wymyślne stroje do ćwiczeń, obciste spodenki i powyciągane koszulki. Aerobik na całego. Spocone, nieumalowane twarze, przetłuszczone włosy, przyklejone do twarzy. I nagle pstryk... Gorzej niż pod wpływem lampy Alladyna. Wychodzą z szatni cudownie przeistoczone. Po tej spłowiałej paskudzie bez wyrazu, którą wcześniej oglądałeś, nie ma ani śladu. Brzydkie kaczątko się umalowało. I ukryło pod umiejętnie dobraną garderobą, ma dłuższe rzęsy, podkreślone drogim tuszem. Kontury warg perfekcyjnie obrysowane, niekiedy wręcz wytatuowane, dodatkowo podkreślają usta, które na razie nie zostały jeszcze doświadczone kąśliwym żądłem kolagenowego komara. Kobiety, młode łabędzie w przebraniu. Oczywiście nie mam tu na myśli samej Gin. Ona to...

- Ej, o czym tak dumasz?

- Ja?

- A któżby inny? Nikogo oprócz nas tu nie ma.

- To nic takiego.

- Tak, i co jeszcze. No, najwyraźniej to *nic takiego* ma w sobie coś bardzo szczególnego. Stałeś jak zbaraniały. Za bardzo ode mnie oberwałeś, co?

- Tak, ale już dochodzę do siebie.

- Ja jadę moim samochodem.

- Okay. Jedź za mną.

Siadam na motocykl, ale nie mogę się powstrzymać. Ustawiam lusterko tak, by móc zobaczyć, jak wsiada do samochodu. Wymijam ją. Wycelowuję tak, by mieć ją jak na dłoni. Oto i ona, właśnie wsiada. Gin pochyla się do przodu, siada na siedzeniu, płynnie i z wdziękiem najpierw jedną, potem drugą, odrywa nogi od ziemi. Szybko i zamaszyście, złączone razem, nie licząc jednej tylko chwili, pojedynczej klatki przesłoniętej koronką, która dla mnie jest warta tyle co cały film. Jakże zmysłowy przebłysk. Ale już zaraz wracam do rzeczywistości.

Wrzucam bieg i ruszam przed siebie. Gin płynnie jedzie za mną. Prowadzi jak doświadczony kierowca. Dobrze radzi sobie w ruchu ulicznym, zjeżdża na lewy pas, wyprzedza i wraca na prawy. Co pewien czas naciska na klakson, chcąc zapobiec błędom, których dopuszczają się inni. Wchodząc w zakręt, lekko się przechyla, kiwa przy tym głową w rytm muzyki, a przynajmniej tak mi się zdaje. Dzika Gin w wielkim mieście. Co pewien czas miga do mnie światłami, ilekroć się orientuje, że ją sprawdzam, bo widzi, jak zerkam w lusterko, wówczas włącza je raz i drugi, jakby chciała powiedzieć... ej, spoko, jestem tuż za tobą. Jeszcze kilka zakrętów i docieramy na miejsce. Zatrzymuję się, czekam, aż do mnie dojedzie, staje obok. - Weź, zaparkuj tutaj, bo dalej nie przejeździsz. - Nie domaga się dalszych wyjaśnień. Zamyka samochód i siada za mną, przytrzymuje sobie spódnicę, wykonując tę przedziwną kawaleryjską akrobację.

- Zajebisty motor, strasznie mi się podoba. Niewiele takich dotąd widziałam.

- Ani jednego. Jest zrobiony specjalnie na moje zamówienie.

- Tak, akurat, i co jeszcze. Masz pojęcie, ile by kosztował model na zamówienie dla tylko jednej osoby?

- Czteryście piętnaście tysięcy euro...

Gin patrzy na mnie w autentycznym osłupieniu.

- Aż tyle?

- I weź pod uwagę, że to tylko dlatego, iż dostałem od nich sporą zniżkę.

W lusterku, które odwróciłem, żeby nasze oczy mogły się spotkać, widzi, jak się uśmiecham. Usiłuję stanąć z nią oko w oko w małym pojedynku na spojrzenia. I zaraz się łamię i uśmiecham. Uderza mnie z całej siły w ramię. - A idź ty, co ty do cholery wygadujesz, pieprzysz jak potłuczony! - Coś podobnego nie spotkało mnie jeszcze nigdy, ani razu od czasu niezapomnianych bójek na piazza Euclide, i chuligańskich wybryków na Cassia aż po Talenti i z powrotem. Step, który pieprzy jak potłuczony. I kto taki ośmielił się powiedzieć coś podobnego? Kobieta. I to ta kobieta, ta tutaj, tuż za moimi plecami. A sama ciągnie dalej.

- Abstrahując już od jego ceny, to naprawdę zajebisty motocykl. Któregoś dnia musisz dać mi się nim przejechać.

Czysty obłęd, ktoś się ode mnie domaga, bym mu się dał przejechać moim motorem, a kto taki? Tak jak i wcześniej kobieta. I to ta sama, która mi nawymyślała, że pieprzy jak potłuczony! Ale najbardziej nieprawdopodobne w tym wszystkim jest to, że jej odpowiadam:

- Tak, oczywiście.

Wjeżdżamy do Villa Borghese, jadę szybko, ale się nie spieszę i staję naprzeciwko małego baru obok jeziora.

- Proszę, jesteśmy na miejscu, tutaj nie przychodzi zbyt wielu ludzi, dlatego jest spokojnie.

- A co, nie chcesz się afiszować?

- Ej, masz ochotę się teraz kłócić? Gdybym wiedział o tym wcześniej, to na siłowni dałbym ci większy wycisk.

- Słuchaj, to tobie się upiekło.

- Dalej to samo.

- Okay, okay, zgoda, dobra, napijmy się czegoś, zawieszenie broni, jesteś za?

35

Claudio odstawia samochód do garażu. Na szczęście nie ma skutera. Żadna z córek nadal jak dotąd nie wróciła do domu. To lepiej. Przynajmniej nie ryzykuje, że jeszcze bardziej zniszczy sobie bok samochodu. Chociaż i tak ciężko byłoby zejść poniżej ceny, którą zaproponowano mu za mercedesa. To jego ostatnia swobodna refleksja, poświęcona marzeniu wejścia w posiadanie bmw Z4, gdy zamyka garaż i idzie na górę do siebie do domu.

- Jesteście?

Mieszkanie wydaje się pogrążone w całkowitej ciszy. Wzdycha z ulgą. Cudownie jest pozwolić sobie na odrobinę wytchnienia. Choćby po to, żeby lepiej dopracować wieczorne wyjście. Nie będzie łatwo. Myślał nad tym całe popołudnie, ale chce po raz kolejny przeanalizować plan działania, udoskonalić go w najdrobniejszych szczegółach. Chce się upewnić, że nie wydarzy się nic nieprzewidzianego. Ale dokładnie w tej samej chwili Raffaella zachodzi go od tyłu.

- Ja tu jestem i... to.

Wymachuje mu przed samym nosem wyciągiem z konta jego karty kredytowej, z przedostatnią pozycją podkreśloną żółtym flamastrem fluorescencyjnym. Claudio bierze go do ręki, cały sparaliżowany. Raffaella podchodzi jeszcze bliżej.

- No i co to ma znaczyć? Potrafisz mi to jakoś wytłumaczyć? Claudio czuje, jak zaczyna mu się kręcić w głowie. Jego wyciąg z konta bankowego rozpieczętowany. Rzucony ot tak, każdy może go sobie zobaczyć. Każdy... w tym i jego żona. O Boże, myśli, czego takiego się doszukała? Dokonuje pospiesznie rachunku sumienia. Nie. Nic podejrzanego nie miało prawa się tam znaleźć. I wreszcie to dostrzega. Na samym dole kolumny, przedostatnia pozycja odcina się od pozostałych. Bezsporny dowód jego winy,

świadczący o tym, że uległ pokusie powrotu na miejsce zbrodni. Ale przecież ona nie może tego wiedzieć ani nawet sobie wyobrazić.

- Ach, to... ależ to nic, nic takiego.

- Sto osiemdziesiąt euro za nic? Coś mi to nie wygląda na świetny interes?

- Ależ skąd, tyle zapłaciłem za kij bilardowy.

- Ach tak? To już wiem. Na wyciągu z konta jest napisane czarno na białym: Pracownia bilardowa. Nie wiem natomiast czegoś zupełnie innego, a mianowicie odkąd to grywasz w bilard. A zwłaszcza, co za tym idzie, ile jest jeszcze takich rzeczy, o których nie mam zielonego pojęcia.

- Raffaello, proszę cię. Wierz mi, że się mylisz, to nie dla mnie.

I nagle przychodzi olśnienie, nieoczekiwanie niczym światło pośród ciemnej nocy, a wraz z nim szansa, że uda się przetrwać bez najmniejszego uszczerbku ten gwałtowny sztorm, ocalić skórę z tego lawirowania między wyrastającymi ni stąd, ni zowąd, ostrymi skałami, niewidocznymi z powodu szalejącego huraganu Raffaella.

- Nie miałem pojęcia, co takiego podarować magistrowi Fariniemu, a ponieważ wiem, że w domu nad morzem ma stół bilardowy, to pomyślałem, że byłby to fajny prezent! I rzeczywiście bardzo mu się spodobał. Sama tylko pomyśl, że mamy spotkać się dziś wieczór, razem wybieramy się na kolację, a potem czeka nas partyjka bilardu!

Nie taki akurat plan opracował sobie przez całe dzisiejsze popołudnie, ale niekiedy improwizacja okazuje się nieoceniona przy wymyślaniu najbardziej przekonujących kłamstw. Raffaella sama nie bardzo wie, czy ma mu wierzyć.

- Czyli że się spotykacie, by pograć razem w bilard?

- Tak, to ty jeszcze nie wiesz? Mówi, że po tym, jak sprezentowałem mu ten kij, obudziła się w nim dawna pasja do gry. Od kiedy wrócił do bilardu, sprawy w firmie znów zaczęły mu iść znacznie lepiej, rozumiesz? Bilard go relaksuje, czyż to nie cud? - Duma go rozpiera, kiedy chwali się zadowolony: - Sama tylko pomyśl, że powierzył mi fundusze w wysokości setek tysięcy euro, i to wszystko za kij do bilardu, wart jedyne sto osiemdziesiąt euro. Czyż nie spisałem się na medal?

Widzi, że wciąż jeszcze nie do końca udało mu się ją przekonać. I wobec tego decyduje się postawić wszystko na jedną kartę, nieustraszony ekwilibrysta balansujący nad przepaścią kłamstwa, akrobata na trampolinie plugawego łągarstwa, kaskader wyspecjalizowany w ewolucjach z najbardziej absurdałnego fałszu.

- Posłuchaj, nie wiem, jak cię przekonać, zrozum, o, już mam, moglibyśmy zrobić tak, że wybrałabyś się razem z nami! Zjemy sobie kolację, a potem, na bilardzie, zajmiesz się podliczaniem nam punktów, he, co ty na to?

Raffaella przez chwilę się nie odzywa.

- Nie, dziękuję.

W obliczu takiej brawury odzyskuje spokój. Claudio też. A gdyby się zgodziła? Gdzież ja bym dorwał Fariniego o siódmej wieczór? Już od co

najmniej roku z nim nie rozmawiałem, ciężko byłoby zorganizować na poczekaniu taką kolację, a już zwłaszcza rozgrywkę w bilard, zważywszy że sam Farini w ogóle nijak się ma do zaprawionego gracza. Claudio postanawia tego nie roztrząsać. Już na samą tylko myśl robi mu się słabo. I uśmiecha się do niej, starając się rozwiać wszelkie, nawet najmniejsze wątpliwości. Ale Raffaella w ostatnim podrygu nie przestaje dociekać.

- Wybacz, ale skoro chodziło o prezent w związku z pracą, to dlaczego nie zapłaciłeś kartą firmową?

- Oj, przecież sama znasz Panellę, wiesz, że każe się rozliczać z każdego najdrobniejszego wydatku, a gdyby, dajmy na to, Farini nie zdecydował się powierzyć nam swoich spraw? Już to widzę, przez cały rok w kółko by mi to wypominał! Pomyślałem sobie, że za cenę stu osiemdziesięciu euro gotów jestem podjąć to ryzyko! - I dokładnie wtedy, kiedy o tym mówi, Claudio uświadamia sobie, ile on sam tym razem zaryzykował. Zdejmuje marynarkę, cały spocony. Idzie w stronę sypialni, by zejść jej z oczu i nie dać po sobie poznać, jak dramatyczna i pełna napięcia jest dla niego ta rozmowa.

- Aha, Raffaello, ty już nic się nie martw, dobrze? Teraz, kiedy Farini został naszym klientem, każę sobie zwrócić te sto osiemdziesiąt euro, nie myśl sobie!

Raffaella nie odstępowała go na krok i idzie za nim do pokoju. Ma zamiar jeszcze coś powiedzieć, ale Claudio nie jest w stanie już dłużej tego wytrzymać. Podchodzi i kładzie jej ręce na ramionach.

- Wiesz, podoba mi się, że po tylu latach wciąż jeszcze jesteś zazdrosna. To znaczy, że nasz związek jest nadal żywy.

Raffaella się uśmiecha. W jakiejś mierze znów czuje się jak młoda dziewczyna, no, a w każdym razie czuje się młodziej, tak jakby w jednej chwili te zmarszczki, które zobaczyła w lustrze, znikły bez śladu. Claudio podchodzi bliżej i ją całuje. Powoli zaczynają się rozbierać, tak jak nie robili tego już od dawna, od zbyt dawna. I Claudio czuje podniecenie pomieszane z poczuciem winy. Raffaella patrzy na niego.

- Owszem, wydawało mi się absurdalne, że mógłbyś zrobić coś podobnego, a teraz ogarnęła mnie przemożna ochota, wiesz na co, czuję złość, która zamienia się w pożądanie.

Claudio opuszcza sobie spodnie i podwija jej spódnicę, czeka, aż sama powoli osunie się na łóżko i zdejmie jej majtki, unosi jej do góry nogi, na których ma nadal buty. W półmroku pokoju, w ciągle niepewnej jeszcze atmosferze, przesyconej wątpliwościami i kłamstwami, łgarstwami, desperackim poszukiwaniem prawdy, zaczynają się pieścić. Wkrótce Claudio sam zdejmie slipy, rozkłada jej nogi, by osiąść swoją żonę, porusza się w górę i w dół. Dyszy i się poci, wciąż ma na sobie koszulę. Raffaella to dostrzega.

- Rozbierz się całkiem.

- A jeśli zaraz zjawią się nasze córki?

Raffaella uśmiecha się i zamyka oczy, daje się ponieść rozkoszy, przyciąga go do siebie.

- Masz rację... tak jest cudownie... nie przerywaj... rób tak dalej...

Claudio napiera mocno, próbując ją zaspokoić, podniecony, ale zaniepokojony. Czy da radę wykazać się później na stole bilardowym - łóżku z tą, która tak naprawdę ukrywa się za postacią Fariniego? Woli o tym nie myśleć. Czytał jakiś artykuł o męskiej obawie, zrodzonej z konieczności spisania się w łóżku. Należy zwłaszcza wystrzegać się myślenia o tym. Jedno jest pewne: zadrapania na ciele z zeszłego tygodnia pozostały skrzętnie ukryte pod przepoconą koszulą. Nagle z głębi korytarza dobiega głos Babi:

- Tato, mam... jesteście w domu?

Lekko zdławionym głosem Raffaella odpowiada jej z pokoju, chcąc zyskać na czasie.

- Chwileczkę, już idziemy.

I dokładnie w tym samym momencie Claudio, podniecony absurdalnością całej sytuacji, szczytuje. Raffaella nie zdążyła, nagle przerwa ma miejsce w najprzyjemniejszym momencie. Wbrew własnemu rozczarowaniu nie może się powstrzymać od uśmiechu. Już po wszystkim Claudio całuje ją w usta.

- Przepraszam... - I idzie do łazienki. Myje się błyskawicznie. Twarz też. Było z nim dziś krucho, niewiele brakowało. Ale ostatecznie wszystko dobrze się ułożyło. Teraz ma jedynie nadzieję, że sprostą i spisze się jak należy wieczorem, skoro już sam plan jest wprost doskonały. I zaraz przypomina sobie, że pod żadnym pozorem nie powinien o tym myśleć. W przeciwnym razie wie, czym się to skończy. Obawa, że nie podołasz, może cię sparaliżować.

36

Gin się uśmiecha, a my siadamy przy stoliku. Nieopodal jakiś intelektualista w okularkach z książką na stole popija cappuccino, po czym sięga po przerwany artykuł w „Leggere”. Trochę dalej długowłosa kobieta około czterdziestki z kundelkiem czuwającym pod jej krzesłem obojętnie pali papierosa, smutna i stęskniona chyba za tymi wszystkimi skrętami, po które już nie sięga.

- Niezły klimacik, co?

Gin się zorientowała, czemu się przyglądałem.

- Cóż, możemy postarać się go rozkręcić. Co zamawiasz? Tuż za jej plecami wyrósł kelner.

- Dzień dobry państwu.

Ma około sześćdziesiątki i odnosi się do nas bardzo szarmancko.

- Dla mnie sok.

- A dla mnie coca-cola i mała zapiekanka z szynką i mozzarellą.

Kelner, skinąwszy nieznacznie głową, odchodzi.

- Ej, po siłowni bardzo sobie dogadzasz, co? Zapiekanka i do tego coca-cola, czyli dieta prawdziwego sportowca!

- A propos prawdziwego sportowca, ty, która plasujesz się na szczycie sportowego rankingu, jeśli chodzi o sępienie, musisz mi kopsnąć swoją listę siłowni na trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku.

- No pewnie, za jednym zamachem skseruję ci całość.

- W każdym razie gratulacje, sam pomysł naprawdę świetny...

- To jeszcze nie wszystko, jeśli tylko będziesz czujny, uda ci się co tydzień uczęszczać na wybrane zajęcia, jedyne, o co musisz wówczas zadbać, to by się zaprzyjaźnić z instruktorem, bo każdy z nich prędzej czy później i tak cię przejrzy.

- A jak to załatwić?

- Po zajęciach stawiasz mu dwa gatorade, opowiadasz o swoich tarapatach finansowych i masz wjazd za friko, słowem hulaj dusza. Proste, nie?

- Czy jest ktoś jeszcze, kto korzysta z tego patentu?

Wraca kelner.

- Proszę bardzo, sok dla panienki, a dla pana zapiekanka i coca-cola.

Kelner stawia wszystko na środku stolika, wkłada rachunek pod talerzyk ze sztucznego srebra i odchodzi.

- Nie, nie sędzę.

Gin bierze do buzi wielkiego chipsa i go zjada. I zaraz zaczyna się śmiać i zakrywa sobie usta dłonią. - A przynajmniej taką mam nadzieję. .. - Gadamy tak w najlepsze, przy okazji lepiej się poznając, razem śmiejemy się i próbujemy zorientować, co też mamy ze sobą wspólnego.

- No coś ty, nigdy dotąd nie wyjechałaś poza Europę?

- Nie, Grecja, Anglia, Francja, raz nawet Niemcy, podczas Oktober-fest, razem z dwiema przyjaciółkami.

- Też to zaliczyłem.

- A kiedy?

- W dwa tysiące drugim.

- Ja też.

- Pomyśl tylko, ale czad.

- Tak, ale najlepsze było to, że jedna z moich przyjaciółek nigdy wcześniej nie miała alkoholu w ustach. Nawet nie masz pojęcia, co się z nią stało: wzięła sobie litrowe piwo, w jednym z takich gigantycznych kufli, które potem myją w tych olbrzymich baliach. Wlała w siebie połowę, nie minęło nawet trzydzieści minut, a ona już paradowała po stole i tańczyła jak w transie, po czym zaczęła się wydzierać: „Fontanna, fontanna...”, aż sama zrobiła pod siebie, totalna katastrofa.

Patrzę na nią, jak popija sok. Była taka dziewczyna, która tańczyła na stole w tym samym pomieszczeniu, w którym byliśmy. Ale kto tak na dobrą

sprawę nie tańczył tamtego wieczoru na Oktoberfest? Pamiętam, że kiedy powiedziałem Babi, iż wybieramy się z Pollem i Schellem w dwa samochody razem z jeszcze innymi kumplami do Monachium, wściekła się nie na żarty.

- To znaczy, że jedziesz sobie do Monachium, a co ze mną?

- Ty zostajesz... To męski wyjazd.

- Ach tak? To się jeszcze okaże.

A potem ten ćwok - Manetta, który jechał drugim samochodem, masz pojęcie, jaki numer wykręcił? Zjawił się w towarzystwie laski. I już po powrocie pretensjom i bezsensownym kłótniom nie było końca, bo oczywiście, jak to zawsze prędzej czy później się dzieje, także i ta sprawa wyszła na jaw.

- O czym myślisz?

Kłamię na poczekaniu. - O twojej przyjaciółce, jak tańczyła na stole. Powinnyście wtedy ją nakręcić. Wyobrażasz sobie, ile byłoby potem śmiechu?

- Ale przecież miałyśmy dziki ubaw w chwili, kiedy to się działo, co cię obchodzi potem. Potem, potem... Teraz!

I pociąga kolejny łyk soku, patrząc na mnie wymownie. Oho, co też ma na myśli? Sprawa przybiera zły obrót. Zły. Ale przybiera. Gin chce „teraz”. Ale to za wcześnie, jeszcze za wcześnie. Może jutro, tak, słowem, wkrótce, później...

- O czym tak rozmyślasz? Wciąż o mojej przyjaciółce, jak tańczyła na stole? Nie wierzę, już to widzę, sam pewnie na Oktoberfest poznałeś jakąś pannę i teraz staje ci przed oczami jedno z waszych szaleństw.

- Kiepsko widzisz.

- Widzę świetnie. Mam sokoli wzrok.

- Nie, kiepsko widzisz nasze grono. Bierzesz nas za nie wiadomo kogo.

Jesteśmy spokojnymi, pogodnymi ludźmi. Oczywiście lubimy się bawić, z całą pewnością nie należymy do tych, którzy przesiadują w restauracji, rozmyślając tylko i wyłącznie o dobrych manierach: „Nie, tego nie wypada, tego też nie...”, tak, czyli jak wszystkie te drętwe, nadęte bubki. - Odwracam się i mam farta. Dopiero co usiadła jakaś nowa para. Mają setera angielskiego, markowe ciuchy i, jak na ironię, obydwójce dzierżą pod pachą egzemplarz komunistycznej gazety „il manifesto”. Podchodzi do nich kelner i składają u niego zamówienie.

- Właśnie, popatrz na tych dwoje. Ani słowem się do siebie nie odzywają.

- Rzeczywiście każde z nich zamawia coś oddzielnie, żadne nie czeka, aż to drugie coś wybierze, w ogóle się ze sobą nie konsultują odnośnie tego, na co mają akurat ochotę. Wcale nie zwracają na siebie uwagi, ofiary rutyny, dryfują, każde w swoją stronę.

- Popatrz, kelner odchodzi, a oni znów zabierają się za czytanie i to tego samego, na dodatek „il manifesto”... Nie to, żebym miał coś przeciwko tej gazecie...

Choć w gruncie rzeczy mam, ale nie bardzo wiem, co Gin na to, ktoś mógłby wręcz powiedzieć: czyli, że nie chcesz się afiszować ze swoimi poglądami? Tak, upierdliwa mendo, masz rację.

- Czyli nawet nie mówią sobie, że obydwójce kupili ten sam dziennik? Czy może być coś gorszego? Chyba jedynie totalna obojętność...

Kelner znów jest przy ich stoliku. Obydwójce zamówili tylko espresso.

- A teraz mężczyzna płaci, ale tylko dlatego, że tak się utarło. - Koleś podnosi się z krzesła na tyle, na ile to konieczne, przenosi ciężar na prawą nogę, portfel nosi najwyraźniej w lewej kieszeni, sięga do niej i płaci, podczas gdy kobieta, nawet na niego nie patrząc, popija swoją kawę.

- Obojętni i znudzeni. Czyż nie fajniej jest mieć do czynienia z moimi przyjaciółmi, co? Ja pierdołę! Rozrabiają, bekają, wdają się w bójki, nie płacą, a jeśli już, to się wydzierają i domagają rachunku nieprzekraczającego jednego euro na głowę albo czegoś w tym stylu, ale przynajmniej dla nich życie nie polega na wegetacji, kurwa mać.

Gin się uśmiecha.

- Tak, tak, masz rację, przynajmniej w tym wypadku masz rację.

I to mi wystarczy, niczego więcej nie chcę. A w każdym razie przynajmniej nie teraz.

- Dobra, ale weź się teraz odpręż, Step, zwłaszcza że masz co innego na głowie.

- To znaczy?

- Musisz jakoś to z panem załatwić.

Odwracam się, za plecami stoi uśmiechnięty kelner. Zupełnie się nie zorientowałem.

- Czy można?

Nie udaje mi się odpowiedzieć mu choćby słowem. Koleś wychyla się do przodu i bierze rachunek spod talerzyka ze sztucznego srebra. Zupełnie nie słyszałem, jak się tu zbliżał i stanął mi tuż za plecami. Dziwne, wcale to do mnie niepodobne. Właśnie, z Gin po raz pierwszy się odprężyłem. Czy to dobrze?

- Razem będzie jedenaście euro, proszę pana.

Wykonuję dokładnie ten sam manewr, co tamten plugawy koleś z zagrożonej w marazmie pary, i wyciągam z kieszeni portfel. Rozkładam go i się uśmiecham.

- Całe szczęście.

- Co takiego?

- Że różnimy się od tamtej paskudnej pary.

- To znaczy?

Gin patrzy na mnie, unosząc brew.

- Wyrażaj się jaśniej!

- To bardzo proste. Ty musisz zapłacić, bo ja jestem bez grosza.

- Wolalabym nie popadać w ekstrawagancję, byle tylko się od nich odróżniać. To znaczy, byłoby lepiej, gdybyśmy byli identyczni jak tamci dwoje i to ty uściłbyś rachunek.

Gin cała elegancka i uśmiechnięta, perfekcyjnie ubrana i umalowana, krzywi się do mnie, siląc się na ironię. Po chwili uśmiecha się jeszcze do kelnera, przepaszając go za to, że każemy mu czekać. Otwiera torebkę, wyciąga portfel, zagląda do niego i tym razem już nie stać jej na uśmiech. Wręcz przeciwnie, robi się nieporadna i się rumieni.

- Różnimy się od tamtych dwojga, i to jeszcze jak. Ja też nie mam przy sobie grosza. - I spogląda na kelnera. - Wie pan, specjalnie się przebrałam, bo mam zjeść obiad z krewnymi i ponieważ to oni mają płacić, zupełnie zapomniałam o pieniądzach.

- To źle...

Kelner od razu przybiera inny ton i wyraz twarzy. Cała jego uprzejmość znika bez śladu. Chyba ten dojrzały, starszy już mężczyzna czuje się wystrychnięty na dudka przez tych dwoje młodych gości.

- Nic mnie to wszystko nie obchodzi. Staram się zapanować nad sytuacją.

- Proszę posłuchać, odprowadzę tę młodą damę do samochodu, pojedę do bankomatu, żeby wypłacić pieniądze, i wrócę tu do pana uregulować należność.

- Tak, pewnie... a ja się nazywam Joe Condor! Czy wyglądam aż na takiego frajera? Wyciągajcie pieniądze albo wzywam policję.

Uśmiecham się do Gin. - Przepraszam. - Podnoszę się i biorę kelnera pod ramię, wpieryw delikatnie, ale już po chwili, kiedy zaczyna stawiać opór: - Ale czego ty ode mnie chcesz, siedź na miejscu. - Ściskam go mocniej i odciągam daleko od naszego stolika.

- Okay, panie kelnerze. Wina jest po naszej stronie, ale nie ma co przeciągać niepotrzebnie całej sprawy. Nie mamy zamiaru zakosić jedenastu euro. Czy to jest jasne?

- Ale ja...

Ściskam jeszcze mocniej, tym razem zdecydowanie. Widzę na jego twarzy grymas bólu i zaraz zwalniam uścisk.

- Proszę, raz jeszcze zwracam się do pana z uprzejmą prośbą. Pierwszy raz wyskoczyłem gdzieś z tą dziewczyną... - Może akurat to wyznanie bardziej niż jakiegokolwiek inne wzruszyło go i przekonało, bo przytakuje.

- Okay, w takim razie oczekuję, że wkrótce się pan tu pojawi. Wracamy do stolika. Uśmiecham się do Gin. - Wszystko gra. - Gin się podnosi i patrzy na kelnera szczerze zmartwiona.

- Naprawdę bardzo mi przykro.

- Och, proszę się nie martwić. Takie rzeczy się zdarzają.

Uśmiecham się do kelnera. A on patrzy na mnie. Myślę, że usiłuje wybadać, czy rzeczywiście wrócę, czy też nie.

- Proszę tylko nie przychodzić zbyt późno.

- Niech się pan nie martwi.

I odchodzimy. Żegnani uprzejmym uśmiechem oraz odrobiną godnej nadziei.

37

Siedzę tuż za Stepem, na motorze, na jego motorze, a myśli unosi mi wiatr. No, przyjrzyj mu się tylko. W co ty się wpakowałaś, Gin? Toż to absurd. Pierwsze wspólne wyjście, a właściwie drugie. Na pierwszym spotkaniu, jakkolwiek by na to patrzeć, on i jego przyjaciele uciekli z tamtego lokalu. Jak mu tam? Pułkownik. A teraz, dzisiaj, a konkretnie dzisiaj rano, trafiła mu się taka okazja, kolosalna - spotkania się z tobą na wyłączność, wyjścia z Gin, jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną, wspaniałą. A on co robi? Zjawia się bez grosza. Niewiele brakuje, żeby nas w końcu przymknęli. Czysty obłąd. Mój wujek Ardisio powiedziałby niechybnie: - „Ostrożnie, ostrożnie Ginevro, to nie jest książe, władca całej ziemi”. - Już sobie wyobrażam jego głos, cały schrypnięty, wchodzący na wysokie rejestry, z tak charakterystycznym dla niego „e” ściętnionym, przechodzącym w „i”, i „te”, które z łatwością przechodzi w „de”... „Osdroźni, osdroźni, księżniczko...”. Wujek Ardisio. „Den książe do świniopas... Choćby jednego kwiadka dla mojej księżniczki, musisz zamknąć oczy i na siłę przywołać marzenia... Osdroźni, osdroźni... księżniczko...”. Kręcę głową, a on to dostrzega, udaję, że patrzę gdzie indziej. Ale wciąż mi się przygląda, patrzy w lusterko i odchyła się do tyłu, tak bym mogła go usłyszeć.

- Co jest? Totalnie się skompromitowałem?

- A to dlaczego?

- Pierwsze wspólne wyjście, nie ja płacę, praktycznie ciebie w to wrabiam, a co gorsza, niewiele brakuje, żeby nas aresztowali. Wiem dobrze, co sobie myślisz...

Step się uśmiecha i zaczyna mówić falsetem, usiłując ją naśladować. - Właśnie, wiedziałam, że nie można się po nim spodziewać niczego dobrego.

I nie przestaje się skarżyć. Ja trzymam się swego.

- No popatrz tylko, na kogo trafiłam. Ach, gdyby dowiedzieli się o tym moi rodzice...

Step się uśmiecha i ciągnie dalej, wcale niezrażony. No, przejrzał na wylot wszystkie moje myśli. Ale nie da się ukryć, że ma swój urok. Staram się nie śmiać, ale mi się to nie udaje.

- Trafiłem w dziesiątkę, prawda? Przyznaj się, szczerze.

- Nie, właśnie myślałam o tym, co by na to powiedział mój wujek Ardisio.

- A widzisz? Dobra, czyli jednak ten twój uśmieszek zdradził choć część prawdy.

- Nazwałby cię księciem świniopasów!

- Mnie? - Zgrywam twardziela. - Tylko by spróbował.

Zatrzymuję się. Gin zsiada tuż przy swoim samochodzie. Jest pogodna, rozbawiona, naprawdę elegancka. Stoi tak przez chwilę, w lekkim rozkroku, z włosami opadającymi na oczy, pochłonięta poszukiwaniem kluczyków w torebce. Ma małą torebkę, ale najwyraźniej musi w niej nosić całą masę rzeczy. Gin przetrząsa jej zawartość, grzebie, przekłada rzeczy z jednej strony na drugą. Ja tymczasem się jej przyglądam, kiedy tak stoi oprawiona w ramę łuku z trawertynu, przy wjeździe na via Veneto, porażając swoją współczesną urodą zderzoną z tą starożytną oprawą.

Lekki wietrzyk pieści przezroczystą tkaninę jej spódnicy. Spod tego jasnego błękitu, spoza kwiatowego deseni przebija jednolity i wyraźny lazur, który nieco wyżej przesłania to, co się skrywa między jej wciąż jeszcze opalonymi nogami - zakazany kwiat.

- Mam je! Och, sama nie wiem jak, ale zawsze lądują na samym dnie.

Wyciąga z torebki kluczyki przyłączone do czarnej owieczki.

- To prezent od Ele, owca Meee! Fajna, prawda? Ale lepiej miej się na baczności przed owcą Meee...

- A to dlaczego?

- Bo jest w stanie skopać tyłek wszystkim wilkom, które się do niej zbliżą.

- Spokojnie, co do mnie, to już właściwie sam schrupałem ją prawie całą...

- Kretyn z siebie... No, to dzięki za sok, to było, jak by ci tu powiedzieć... jedyne w swoim rodzaju. Chcesz, żebym ci przyniosła coś do jedzenia, jak już pożegnaj się z moim wujostwem?

- Masz ci, *never ending story*, i to gorzej niż sam film. Ech, przecież chyba można zapomnieć pieniędzy, czy nie?

- Jakżeż nie... dziwne tylko, że to wszystko przytrafia się zawsze akurat tobie.

Podzieliwszy się ze mną tą efektowną myślą, odchodzi i wsiada do samochodu.

- Zajrzyj do tamtego kelnera. Czeka na ciebie. Nie należy ludzi oszukiwać.

I rusza prawie z piskiem opon, prowadząc jak zwykle w swoim stylu. Miałbym ochotę krzyknąć: - Ej, ślicznotko! Wciąż mi wisisz dwadzieścia euro za benzynę... - Ale ostatecznie robi mi się głupio, że w ogóle coś takiego przyszło mi do głowy.

38

- O, Gin już jedzie! Gin!

Macham im z daleka. Jak dziwnie wyglądają wszyscy razem, każdy innego wzrostu, każdy inaczej ubrany. Mój brat ma na sobie džinsy i koszulkę Nike'a, moja matka ciemną sukienkę w kwiaty i na to narzucony niebieski

płaszczyk, ojciec prezentuje się nienagannie w swoim garniturze, pod krawatem, a mój wujek Ardisio ubrał się w pomarańczową marynarkę i czarny krawat w białe grochy. To niesamowite, skąd udaje mu się wytrzasnąć niektóre rzeczy. Telewizyjni kostiumolodzy i sam Fellini oszaleliby na jego punkcie. Do tego zmierzwił, siwe, potargane włosy, które okalają tę jego śmieszna twarz, której komizm podkreślają jeszcze okrągłe okulary. Niczym wykrzyknik wieńczący zdanie: Mój wujek to ci dopiero oryginał!

- Cześć. - Wszyscy całujemy się na powitanie, czule, z miłością, padamy sobie w ramiona, a mama jak zwykle całuje mnie, kładąc mi rękę na policzku, jakby na dowód swojego uczucia chciała na nim zostawić ślad trwalszy od samego pocałunku, jakby pragnęła, żeby ten pocałunek pozostał na nim choć chwilę dłużej od pozostałych. Mój wujek zaś jak zwykle przesadza i gdy mnie całuje, jednocześnie chwytając kciukiem i palcem wskazującym za moją brodę i macha raz w prawo, raz w lewo, zmuszając tym samym, bym kręciła głowę.

- A oto i moja mała księżniczka. - Wreszcie odpuszcza i zostawia mnie w spokoju, cokolwiek obolała. Chcąc nie chcąc, muszę przejechać ręką pod brodą, tak by ją sobie rozmasować, i spoglądam na wujka z wyrazem lekkiej nienawiści. Ale nie trwa to dłużej niż jedną chwilę. I zaraz odpowiadam mu uśmiechem na uśmiech. Mój wujek już taki jest.

- No i co? - Od tego właśnie zaczynają się wszystkie nasze spotkania. - Kto wybrał to miejsce?

Podnoszę nieśmiało rękę. - Ja, wujku... - I czekam, co będzie dalej. Wujek spogląda na mnie spod lekko uniesionej brwi, jego twarz wyraża niejakie z wątpienie, i do tego drży mu wargę. Trwa to trochę dłużej niż zwykle, zaczynam się niepokoić.

- Świetnie się spisałaś, bardzo tu ładnie, znakomicie, moja córeńko, naprawdę mi się podoba. Swego czasu jadało się pośród dzieł sztuki...

Oddycham z ulgą, uf... Udało się, i chociaż nie jestem „jego córeńką”, to kocham mojego wujka. Miałam nadzieję, że z przyjemnością zje razem z nami wszystkimi w Caffè dell'arte, niedaleko viale Bruno Buozzi.

Wujek Ardisio rozpoczyna jedną ze swoich opowieści.

- Pamiętam, kiedy latałem nad obozowiskiem, tam gdzie stacjonowali moi żołnierze... - Jego głos staje się coraz bardziej zachrypnięty, prawie zdławiony pod naporem wspomnień, niekiedy się urywa, nie wytrzymując ogromu nostalgii. - A ja krzyczałem do nich i krzyczałem: „Uczcie się, czytajcie”. Ale oni za bardzo przejmowali się śmiercią. I potem oblatywałem okolicę moim dwusilnikowym samolotem, po czym wracałem, żeby zdać relację, i lądowałem na trawie nieopodal. Brum, brum, brum, cały rozedrgany docierałem na miejsce tym samolotem, który na owe czasy był cudem awiacji...

Luke wykazuje się zamiłowaniem do precyzji właśnie w tych nielicznych momentach, w których akurat spokojnie mógłby sobie odpuścić.

- Awiacji, wujku, awiacji przez i.

- A niby jak ja powiedziałem? Awacji, co?

Lukę kręci głową i się uśmiecha. Całe szczęście, że choć tym razem nie upiera się przy swoim.

Do naszego stolika podchodzi młody i dobrze ułożony kelner, z krótkimi włosami, ale nie za bardzo, o niewinnym, ale przytomnym spojrzeniu. Ośmieliłabym się nawet przyznać, że jest prawie doskonały, gdyby nie to, że popycha przed sobą wózek z wypolerowanymi kieliszkami do szampana, które lśnią jak nowe, i butelką zawczasu już wstawioną do wiaderka wypełnionego lodem. To Mœet, wyśmienity szampan, naturalnie, jakżeby inaczej, skoro i tak to my mamy zapłacić.

- Przepraszam pana? Ale coś tu jest nie tak. Nikt z nas nie zamawiał. ..

Już widzę mamę, jak patrzy na mnie zaniepokojona. Młody kelner przerywa uśmiechnięty:

- Ależ nie, proszę pani, tę butelkę prze...

- Dziękuję, że zwraca się pan do mnie per pani, ale naprawdę to wykluczone.

- Jeśli łaskawie da mi pani skończyć, to na koszt tego pana tam w głębi. Kelner, teraz już poważniejszy, wskazuje na stoliki w głębi lokalu, prawie na samym końcu restauracji. Na tle drzew rosnących za przeszkloną ścianą, która znajduje się tuż za jego plecami, siedzi sobie Step. Podnosi się od stołu i uśmiechnięty, pozdrawia nas lekkim skinieniem głowy. Nie mogę w to uwierzyć, jechał za mną aż tutaj. No pewnie, chciał zobaczyć, dokąd się wybieram, sprawdzić, czy naprawdę na spotkanie z rodziną. Tak właśnie sobie myśli Gin mścicielka. Gin - Dzika. Ale Gin nie jest taka! Jakaś część mnie się buntuje. A nuż chciał się tylko jakoś zrehabilitować za to, do czego doszło wcześniej, w gruncie rzeczy ty też wypadłaś fatalnie. I tak właśnie myśli sobie Gin chodząca mądrość. I coś, sama nie wiem dlaczego, sprawia, że Gin - Pogodna wydaje mi się znacznie fajniejsza.

- Ten bilecik jest dla szanownej pani.

Kelner podaje mi bilecik i to jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że mój wybór jest słuszny. Otwieram go lekko zawstydzona, spojrzenia wszystkich są zwrócone na mnie, tata, mama, Luke, wujek Ardisio. Niczego nawet jeszcze nie przeczytałam, a już się rumienię. Ale obciach. I dlaczego akurat teraz. Czytam. „Cudownie jest patrzeć na ciebie z daleka... ale z bliska jeszcze lepiej... Zobaczymy się dziś wieczorem? PS Nic się nie martw, znalazłem bankomat i już się rozliczyłem z naszym kelnerem za wcześniejsze zamówienie”.

Składam bilecik, uśmiecham się i prawie zapominam, że spojrzenia wszystkich wciąż zwrócone są na mnie. Wujek Ardisio, tata, mama, Luke. Wszyscy chcą się dowiedzieć, co tam jest napisane, z jakiej okazji przyniesiono tę butelkę, a najbardziej niespokojny i najmniej wytrzymały okazuje się, oczywiście, wujek Ardisio.

- A więc, księżniczko... czemu zawdzięczamy tę butelkę?

- No cóż. Pomogłam tamtemu chłopakowi... nie radził sobie, nie umiał, słowem, właśnie przygotowuje się do egzaminu.

- Ardisio, ale co cię to obchodzi? - Mama ratuje mnie od rzutu różnego. - Mamy tu bardzo zacny trunek, wznieśmy toast i się cieszymy. Co wy na to?

- Właśnie, słusznie...

Patrzę na Stepa i się do niego uśmiecham, przygląda mi się z daleka, wrócił do pozycji siedzącej. Ale co teraz wyprawia? Dlaczego jeszcze nic idzie? Zachował się naprawdę bardzo ładnie, ale wystarczy. No idź już, Step, na co czekasz?

- Przepraszam panią?

Kelner patrzy na mnie uśmiechnięty, wciąż jeszcze nie odkorkował butelki.

- Tak?

- Tamten pan mi powiedział, że czeka na pani odpowiedź.

- W jakiej sprawie?

- Nie wiem, chyba chodzi o bilecik.

Wszyscy znów się we mnie wpatrują, tym razem jeszcze baczniej niż poprzednio.

- Proszę mu powiedzieć, że tak. - Po czym patrzę na nich. - Tak, chciał wiedzieć, czy go zapisałam na egzamin.

Wszyscy oddychają z ulgą. Poza mamą, oczywiście, która wciąż się we mnie wpatruje, ale ja unikam jej wzroku. Znów spoglądam na kelnera, który wyciąga jeszcze jeden bilecik. - Wobec tego teraz mam pani dać ten.

- Jeszcze jeden?

Wszyscy już nie wytrzymują.

- Ale chyba tym razem nam powiesz, co tam jest napisane?

- A to co, polowanie na skarb?

Oczywiście znów się rumienię i go otwieram. „Wobec tego o ósmej będę u ciebie pod domem. Punktualnie, więc się nie spóźniaj i postaraj się niczego nie zmalować... PS Weź pieniądze, nigdy nic nie wiadomo”.

Uśmiecham się sama do siebie.

Kelner w końcu odkorkował butelkę, właśnie skończył rozlewać szampana do kieliszków i zbiera się do odejścia.

- Przepraszam, proszę mi powiedzieć...

- Tak?

Wykonuje mały obrót i patrzy na mnie.

- A gdyby moja odpowiedź brzmiała „nie”, to czy miał pan dla mnie jakiś inny bilecik?

Kelner się uśmiecha i kręci głową. - Nie, powiedział mi, że w takim wypadku mam po prostu odnieść szampana z powrotem.

Raffaella jest już razem z Babi w salonie.

- Cześć, Babi, słucham... no, co takiego?

- Nic, tyle że chciałam ci to pokazać, mammo, a co z tobą? Jesteś cała czerwona... - Babi przygląda się jej zaniepokojona. - Co, pokłóciliście się?

- Nie, wręcz przeciwnie...

Raffaella patrzy na nią uśmiechnięta. Ale Babi nie podchwytuje tematu i pokazuje jej pismo.

- O właśnie, jak mówiłam, podobają ci się takie na stole? Czy nie wygląda to ładnie? A może wolisz tamte, bo prezentują się bardziej naturalnie? Kłosy i ziarna, fajne, nie? To lepsze, prawda?

- Chcesz, żebym zajęła się tym dziś wieczór?

- A co, musisz teraz dokądś iść, tak?

- Tak, idę do Flawiów.

- Mammo, posłuchaj, musimy się na coś zdecydować, za bardzo sobie to wszystko lekceważysz!

- Jutro się tym wszystkim zajmiemy, Babi, teraz jestem już spóźniona.

Raffaella idzie do łazienki i pośpiesznie zaczyna sobie robić makijaż.

Dokładnie w tym samym momencie zjawia się Daniela.

- Mammo, muszę z tobą porozmawiać.

- Jestem już spóźnionoona...

- Ale to ważne!

- Jutro! Nic nie jest tak ważne, by nie dało się tego załatwić jutro!

W tej samej chwili przechodzi Claudio. On też się spieszy. Daniela usiłuje w jakiś sposób go zatrzymać.

- Cześć, tato, możesz stanąć na chwilę? Muszę ci coś opowiedzieć, to bardzo ważne!

- Mam kolację z Farinim. Twoja mama już o wszystkim wie. Przepraszam, ale to sprawa służbowa najwyższej wagi, a poza tym w grę wchodzi również rozgrywka...

Claudio całuje w pośpiechu Daniele, Raffaella dopada go przy samych drzwiach.

- Claudio, poczekaj na mnie, zejdziemy razem.

Daniela nie rusza się z miejsca, tkwi na środku korytarza i patrzy, jak rodzice wychodzą z domu. Po chwili staje pod pokojem Babi. Ale drzwi do niej są zamknięte. Daniela puka.

- Proszę, kto tam?

- Cześć... sorry, muszę ci coś powiedzieć. Możemy pogadać?

- Nie, sama zrozum. Właśnie wychodzę. Mama wyszła, chociaż jest cała masa rzeczy, a my miałyśmy postanowić co i jak. Wybacz, ale to naprawdę nie jest najlepszy moment. Idę do Smeraldy, przynajmniej ona coś mi doradzi. Jeśli będziesz mnie potrzebować, to dzwoń na komórkę.

Tym samym również ona znika z pola widzenia. Daniela, sama w całym domu, podchodzi do telefonu stacjonarnego i wykręca numer.

- Halo, Giuli... cześć... co robisz? Ach, dobrze... posłuchaj, sorry, że ci przeszkadzam, ale czy przypadkiem nie mogłabym do ciebie wpaść? Muszę ci coś powiedzieć, tak, coś bardzo ważnego. Tak, przysięgam, zajmę ci tylko dwie minutki. Tak, sorry, ale zwyczajnie nie mam pojęcia, co robić. Przysięgam, tak, pogadamy o tym podczas przerwy na reklamy. Okay, dzięki.

Daniela się rozłącza, zamyka pospiesznie mieszkanie i zbiega pędem na dół. Otwiera drzwi na klatkę i wychodzi. Dokładnie w tej samej chwili, zza żywoplotu słyszy: - Dani! To Alfredo.

- O Boże, przestraszyłeś mnie na śmierć... o matko, serce mi wali jak opętane. No co ty, ukrywasz się, zaszyty w krzakach!

- Przepraszam, dopiero co widziałem Babi, jak wychodziła.

Daniela dostrzega, że jest blady, wymizerowany, zdenerwowany.

- No tak, nie... chciałem chwilę z tobą porozmawiać, bo w końcu jesteś jej siostrą.

Daniela patrzy na niego. O Boże, a ten zaraz zacznie nawijać jej o Babi, jak najęty.

- Nie, sorry, Alfredo, posłuchaj: ja nic nie wiem... tylko z nią możesz o tym pogadać.

- Okay, przepraszam, masz rację. A ty jak się masz?

- Dobrze, dzięki... - Daniela przygląda mu się uważniej. Alfredo mógłby się okazać odpowiednią osobą, taką, z którą by można o tym pogadać. Jest lekarzem, ma doświadczenie, a nuż sam będzie mi potrafił coś doradzić.

- Wiesz, strasznie mi przykro, że cię przestraszyłem.

- Oj, nie ma o czym mówić, nic się nie martw, już mi przeszło.

- Ech, za to mi wcale nie przechodzi. Wciąż myślę o twojej siostrze i czuję się fatalnie. Pomyśl tylko, że do tego jadę na psychotropach.

- Bardzo mi przykro.

Przez chwilę stoją w milczeniu. Wreszcie Daniela postanawia przerwać tę nedorzeczną rozmowę.

- No, nie gniewaj się, ale teraz muszę już iść, czeka na mnie przyjaciółka...

- Okay, raz jeszcze przepraszam...

Daniela oddala się biegiem w stronę garażu, postanawia wziąć vespę. Ma nadzieję dotrzeć do Giuli jeszcze przed rozpoczęciem filmu. Ale już zaraz znów wraca myślami do Alfreda. Biedaczysko, wystarczy tylko popatrzeć, jak wygląda. Nie da się ukryć, że namiętność w wydaniu Babi doprawdy unicestwia. Aktualnie facet jest skończony, niezrównoważony, ma schizę. Toteż nie ma cienia wątpliwości, że postąpiła słusznie. Alfredo to ostatnia osoba na świecie, której by mogła powiedzieć, że jest w ciąży.

Na luzie i zrelaksowany, elegancki jak nigdy dotąd, a przynajmniej tak mi się wydaje. Przeglądam się w lusterku i aż siebie nie mogę rozpoznać. Świeżo umyte włosy, prosto spod prysznica, niebieska marynarka, biała koszula i lniane, beżowe spodnie, a do tego amerykańskie buty w kolorze ciemnego brązu, szyte, ale tak, że ścieg nie rzuca się aż nadto w oczy, sprawiając, iż całość wygląda jak najbardziej nowocześnie. Szeroki pas z dużą kłamrą, ciemnobrązowy, tak samo jak i buty. Ach, bym zapomniał, koszula zapięta na przedostatni guzik i komórka w kieszeni. Ja i komórka. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Osiągalny zawsze i wszędzie, czyli nigdy tak naprawdę wolny i jakby pod wpływem czarów lub raczej za sprawą kłątwy. Oczywiście zaczyna dzwonić. Kurwa, i to właśnie teraz, odbieram, zakład, że to Gin ma jakiś problem? Jeśli tak, nic mnie to nie obchodzi, jadę po nią pod dom albo nie, idę prosto na górę i ją porywam. Daję się ponieść szalonej wyobraźni.

- Halo?

- Step, całe szczęście, że odebrałeś...

To Paolo, no pewnie, jakże mogłem sam na to nie wpaść?

- O co chodzi?

- Step, stało się coś strasznego, zwinęli mi samochód.

- Kurwa mać... Już myślałem, że chodzi o mamę i tatę...

- Nic, nic im nie jest. Zszedłem na dół i nie znalazłem już mojego audi A4. Kuźwa, ale jak oni to zrobili? Na ziemi nie ma śladu szkła, czyli że nie rozbili szyby. Nawet do garażu dostali się bez włamywania, otworzyli go i już. Jak oni to zrobili?

- Ej, Pa', weź pod uwagę, że dzisiejsi złodzieje posługują się najnowocześniejszymi technikami, wiesz? A już zwłaszcza garaży otwieranych pilotem nikt dziś nie taranuje. Mają przetwornicę częstotliwości. Namierzają, dopóki garaż sam się nie otworzy.

- Ach tak, wcale o tym nie pomyślałem. Kurwa mać!

Z przyjemnością słucham brata, kiedy jest taki wkurwiony, bo robi na mnie wrażenie kogoś, kto nareszcie naprawdę żyje, kurwa, zaczyna się rozkręcać. Szkoda tylko, że zawsze z powodu błahostek... choćby takich jak własny samochód. Tyle hałasu o nic.

- I to akurat teraz mi go zwinęli. Kuźwa mać.

Masz ci, „kuźwa mać”. Co to właściwie znaczy „kuźwa mać”?

- W zeszłym tygodniu spłaciłem ostatnią ratę leasingu. Mogli mi go zwinąć wcześniej, przynajmniej zaoszczędziłbym tamte pieniądze.

Błę! Rzygać się chce! Chytry dusigrosz. Księgowy w każdym calu.

- Dobra, Pa', no i co masz zamiar teraz zrobić?

- Nie ja, pomyślałem sobie...

- Że to ja ci go zwinąłem?

- Nie, co ty, żartujesz? Choćby dlatego nie, że moje klucze oraz zapasowy komplet zostały w domu.

- Aha, czyli jednak w pierwszej chwili przyszło ci to do głowy, co?

- Nie, dlaczego, znaczy...

- No nie, skoro poszedłeś sprawdzić, czy masz zapasowe klucze, znaczy to tyle, że przyszło ci to do głowy. Tylko ja mogłem go zabrać.

Zapada cisza.

- No tak, przez chwilę tak sobie pomyślałem. Ale tylko bym się ucieszył, znaczy, tak, słowem, zawsze lepiej, żebyś to był ty...

Mój własny brat. - Pa', weź już się przymknij, dla własnego dobra.

- Dlaczego?

Właśnie, jeszcze się pyta dlaczego. A ja, głupi, usiłuję mu to jakoś wytłumaczyć.

- A już nic, Pa', wszystko w porządku.

- Bo ja, Step, chciałem się tylko dowiedzieć, ale nie, tylko się nie gniewaj, dobra?

- Co takiego? No mów...

- No nie, ponieważ tak się składa, że akurat ty znasz lepiej lub gorzej masę różnych ludzi z pewnych kręgów. I dlatego, jeśli to nie jest dla ciebie problem... jeśli byś się mógł zorientować, czy aby nie wiadomo o kimś, kto mi go zwinął.

- Ej, ale tacy goście chcą za to kasę, wiesz? Chyba sobie nie wyobrażasz, że pójde tam i zacznę się bić z ludźmi takiego pokroju o pierwszy lepszy samochód.

- Pierwszy lepszy... O audi A4!

- Tak, tak, o audi A4.

- Nie, co to to nie, wykluczone... no tak, sam już o tym pomyślałem, jestem skłonny zapłacić nawet cztery tysiące trzysta euro...

- A to dlaczego akurat tyle?

- Pomyślałem sobie, że razem z tym, co mi potrąca z ubezpieczenia I całą resztą...

Mój brat, wielki księgowy. Najlepszy.

- Okay, Pa', zrobię, co w mojej mocy.

- Dzięki, Step, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

Mój brat, który może na mnie liczyć, to już jest maks. Jeszcze dwa zakręty i jestem pod jej domem. Idę do domofonu, ale tuż przed naciśnięciem przycisku przypominam sobie, że ma komórkę. Puszczam jej dwa sygnały, by wiedziała, że jestem. Czy się zorientuje? Na wszelki wypadek poczekam chwilę. Wcześniej czy później się pojawi. Wcześniej czy później. Kobiety i to ich przygotowywanie się do wyjścia. Chyba lepiej będzie, jak zadzwonię domofonem. Jeszcze jedna minuta. Daję sobie jeszcze jedną minutę, o tyle dłużej mogę na nią poczekać. Zapalam papierosa. Właśnie, wpierw skończę palić papierosa, a dopiero potem zadzwonię. Zero ruchu. Rozglądam się wokół.

Gdzieś w głębi przejeżdżają pojedyncze samochody. Jeden kierowca gwałtownie hamuje, bo inny się zawział i go nie przepuścił. Ale potem także i ten ostatni rusza, znów jest spokojnie i wszystko wraca do normy, pogrążając się w trzewiach tego olbrzymiego miasta. Ale smuty! Co za drętwe przemyślenia. A dokąd ja ją dzisiaj wieczorem zabiorę? Dziwne, pomyślałem o wszystkim, tylko nie o tym. Dokąd ja ją zabiorę? Nad tym warto się było zastanawiać. Mam pomysł, ale już po chwili zaczynam się martwić. Zaczynam się martwić tym, co przychodzi mi do głowy. Że niby ja się zamartwiam, gdzie by ją tutaj zabrać? Czyżbym nie przejmował się aby aż za nadto? Kiedy się umawiasz z jakąś kobietą, to jak tylko zaczynasz planować punkt po punkcie cały wieczór, od razu masz przerąbane.

Masz przerąbane i to na całego! Nie tędy droga. Liczy się luz, dobrze jest się zdać na przypadek, umieć być tu i teraz. I nagle wpadam na pewien pomysł. Kurwa, a to ci dopiero, bardzo mi się podoba mój pomysł. Jeszcze jeden mach i zaraz dzwonię. Ale właśnie w tej samej chwili otwiera się furka. Słysząc brzęczenie, zamki szczękają. W głębi widać, jak drzwi na klatkę powoli się uchylają. Z portierni sączy się łagodne światło, lekko pomarańczowe. Pada na liście, rosnące w ogrodzie w pobliżu wejścia, na oddalone stopnie, na zaparkowane skutery. Po chwili zza drzwi wyłania się starsza pani. Idzie wolno, uśmiechnięta, widać, że ma lekko skrzywione nogi, bo to na nich w dużej mierze spoczął ciężar minionych lat. I zaraz, tuż za nią, idzie ona. To ona przepuściła staruszkę, to ona przytrzymuje jej furtkę, to ona pomaga jej wyjść, to ona zwraca się do niej uśmiechnięta, to ona potakuje w odpowiedzi na jakieś kurtuazyjne pytania, to ona - taka uprzejma, to ona - taka piękna, to ona - taka promienna. Ona. Starsza pani przechodzi obok mnie i chociaż jej nie znam, to odruchowo się z nią witam: - Dobry wieczór.

Uśmiecha się do mnie. Jakby mnie znała od zawsze.

- Dobry wieczór panu. - I odchodzi, zostawiając mnie z Gin sam na sam. Ma zebrane włosy, krótką, skórzaną kurtkę z suwakami i sprzączkami, zabawny błękitny pasek 55 DSL, ciemne spodnie biodrówki, z pięcioma kieszeniami i szwami w różnych kolorach. Do tego wielką tekstylną torbę Fake London Genius. Ma dziewczyna styl. A co więcej, ma go za darmo. Niesamowite, jak bardzo zwracasz na wszystko uwagę, gdy ci się ktoś podoba. Ma śmieszny wyraz twarzy. Co ja wygaduję? Jest piękna.

- A co z motorem? Nie przyjechałeś na motorze?

- Nie.

- No to spójrz tylko, co ja na siebie włożyłam. - I wykonuje przede mną coś w rodzaju piruetu. - Nie przypominam ci trochę Marlona Brando z *Dzikiego?*

Uśmiecham się. - Trochę.

- To czym w takim razie przyjechałeś?

- Tym, uznałem, że w tym będzie ci wygodniej.

- Audi A4! Komu je zwinąłeś?

- Ech, nie doceniasz mnie, należy do mnie.
- Tak, a ja się nazywam Julia Roberts.
- Zależy w jakim filmie. Już wiem, *Pretty Woman*.
- Szsz...

Gin podchodzi do drzwi i błyskawicznie uderza mnie pięścią w ramię.

- Ała.
- Kiepsko zaczęliśmy. Ten tekst jakoś nie przypadł mi do gustu.
- Ależ skąd, *Pretty Woman* w tym sensie, że chciała spełnić swoje marzenie.

- No i?
- No i że ty właśnie je spełniłaś...
- Że niby co, chodzi ci o audi A4?
- Nie, o mnie. - Uśmiecham się, wsiadamy do samochodu i ruszam z piskiem opon.

- Bardziej niż marzenie wygląda mi to na koszmar. No już, przyznaj się, komu go zwinąłeś?

- Mojemu bratu.
- Właśnie, i za to cię lubię, zawsze to kłamstwo, ale przynajmniej bardziej wiarygodne.

Lekko przyspieszam i zapuszczamy się w mrok nocy. I myślę sobie o dodatkowym komplecie kluczyków kupionym u tego kolesia niedaleko baru dei Sorci Verdi przy corso Francia, tego samego, który ma duplikaty do wszystkich kluczyków wszelkich możliwych samochodów. Myślę o Pollo i o tym, jak zabrał mnie tam po raz pierwszy, myślę o naszych wspólnych wygłupach, myślę o moim bracie zmartwionym kradzieżą swojego samochodu, myślę o tym wieczorze, myślę o moim pomyśle, myślę o mojej przeszłości. Jeszcze kilka szybkich myśli przemyka mi przez głowę, bardziej natrętnych od pozostałych. Przejeżdżam pod Assunzione. Nie chcę o tym myśleć. Odwracam się w stronę Gin. Włączyła radio, nuci sobie piosenkę i zaciąga się papierosem. Po chwili patrzy na mnie i się uśmiecha.

- No i co, dokąd jedziemy?
- A, to niespodzianka.
- Miałam nadzieję, że tak właśnie powiesz.

Uśmiecha się do mnie, przechyla na bok głowę i rozpuszcza sobie włosy. I w tym momencie dociera do mnie, że to właśnie ona jest prawdziwą niespodzianką.

- No i co? Jaka to ma być niespodzianka? Czy to coś fajnego?
- Czeka cię więcej niż jedna niespodzianka.

- To powiedz mi chociaż jedną.

- O nie. Bo wtedy już nie byłoby niespodzianki.

Parkuję i wysiadam z samochodu. Jakiś Marokańczyk albo inny afrykański imigrant biegnie mi naprzeciw, z wyciągniętą już zawczasu ręką. Chwytam z rozpędu jego dłoń i ściskam ją w swojej. - Cześć, szefie... - Śmieje się rozbawiony i wyszczerza do mnie wybrakowane uzębienie w stylu: „Oto dlaczego dentyści są tacy drodzy!”.

- Należy się dwa euro.

- Jasne. Ale płacę dopiero po powrocie. - Trochę mocniej zaciskam moją dłoń na jego. - Dzięki temu mogę być pewny, że go ujrzę w nienaruszonym stanie, prawda? Płaci się dopiero po wykonanej usłudze.

Patrzy na mnie zmartwiony. - Więc nie spuszczaaj go z oka i żeby mi nie było żadnych rys. Jasne?

- Ale ja po północy jestem...

- Wrócimy wcześniej. - I odchodzę.

- No to czekam, dobra?

Nie odpowiadam i patrzę na Gin.

- Twój brat jest na pewno bardzo przywiązany do tego samochodu, co?

- Wprost obsesyjnie. Właśnie teraz odchodzi od zmysłów, bo myśli, że mu go ukradli.

- Chyba nie zatrzyma nas policja i nie wylądujemy za kratkami?

- Dał mi całą noc na jego znalezienie.

- A jak się nie wyrobisz?

- To zawiadomi policję. Ale nic się nie martw, przecież już mu go odnalazłem, nie?

Gin się śmieje i kręci głową.

- Biedaczysko z tego twojego brata, wyobrażam sobie, co też on musiał przez ciebie przejść.

- Tak naprawdę on sam nawet nie ma pojęcia, że to ja zawsze ratowałem go z rozmaitych opresji.

Myślę przez moment o mojej matce. Ogarnia mnie ochota, żeby jej o tym opowiedzieć... Ale ten wieczór należy tylko do nas, do mnie i do niej. I już.

- O czym myślisz?

- O tym, że jestem głodny... chodź!

Biorę ją za rękę i ciągnę za sobą. Aperitif u Angela, dla każdego z nas po zmrożonym martini, wstrząśniętym, z lodem i cytryną a la James Bond albo coś takiego, i to na pusty żołądek, cudowne. Gin się śmieje i opowiada. Historie z przeszłości, o przyjaciółkach i o Ele, o tym, jak się poznały, o kłótniach i zawiściach ze strony jednej z nich. Później biorę ją za rękę i witam się z koleśkiem z kolczykiem w uchu, który wygląda, jakby mnie skądś znał, i zabieram ją ze sobą do łazienki.

- Ej, co ci chodzi po głowie? Coś mi się wydaje, że nic z tego, wiesz?

- Nie, posłuchaj... - Daję jej 20 centów, a może 50 albo 1 euro, czy też 2, sam nawet nie wiem. Wkładam jej monetę do ręki. Myślę o koleśiu z parkingu. O tym, jak wrócę i mu powiem, że nie mam już drobnych.

- To studnia pragnień, widzisz, ile pieniędzy leży tam na dnie? - Gin zagłębia w głąb czegoś w rodzaju studni w tej łazience pełnej kwiatów i kolorowych dywanów, gdzie królują czerwień, fiolet, pomarańcz, i żółto-niebieskie światło, oraz ściany - białe i ceglaste. - No już... Pomyślałaś sobie życzenie? - Ona się uśmiecha, odwraca i rzuca moją monetę, a wraz z nią życzenie, jak najbardziej własne, które łąduje na samym dnie w nadziei, że się ziści. Idę w jej ślady i też rzucam pieniążek przez ramię. A on leci wprost na sam dół, aż miło, i migocząc, ginie w wodzie, wykonuje przy tym przedziwne zygzaki, by ostatecznie osiąść na dnie pośród tysięcy innych marzeń i pragnień, być może mniej lub bardziej spełnionych.

Wychodzimy w milczeniu, a tymczasem jakiś koleś w pośpiechu wpada do środka, mało nas nie staranuje i już w przejściu rozpina sobie spodnie, ale zaraz zmienia zdanie i rzuca się do umywalki, rzyga. Patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem, wzdrygamy się ogarnięci obrzydzeniem... Ble... Zamykamy za sobą drzwi i ruszamy przed siebie.

Zostawiam na stoliku 15 euro i w okamgnieniu opuszczamy lokal. Spotykam Angela, który się ze mną wita.

W rzeczywistości nazywa się Pier Angelo, dotychczas go pamiętam, sprzedawał cudzoziemcom obrazy na piazza Navona, nieprawdopodobne bohomyzy za jeszcze bardziej nieprawdopodobne pieniądze. Czy to Niemiec, czy Japończyk, czy Amerykanin, każdemu z nich był w stanie Se wcisnąć, tłumacząc coś przy tym zawzięcie swoją dziwną odmianą zmakaronizowanej angielszczyzny, pełnej nieistniejących wyrazów. Tak robił interes za interesem, handlując tymi swoimi „koszmarkami”, po to, by któregoś dnia, jak to mu się zresztą później udało, móc sobie wreszcie kupić ten swój Angel's.

- No i co? To by było na tyle?

- Spokojnie... już rozumiem, nic chcesz za bardzo zmachać.

Błyskawicznie podrywam ją do góry i zarzucam sobie na plecy. - Nie, przestań, co ty wyprawiasz? - Śmieje się rozbawiona i próbuje mnie uderzyć, ale robi tak tylko dla zabawy.

- Zaniosę cię tam... Obyś tylko przestała zadawać pytania.

- Weź, postaw mnie na ziemi!

Mijamy grupkę chłopaków i dziewczyn, którzy na nas patrzą mniej lub bardziej rozbawieni, one - rozmarzone, a oni - zawstydzeni. A przynajmniej takie są moje wrażenia, kiedy widzę ich miny. Pędzimy dalej. *Cul de sac*.

No, teraz możesz już zejść. Tutaj z kolei w ramach aperitif'u mamy wina, a do tego sery.

Gin obciaga kurtkę, która jej się podwinęła, i koszulkę, spod której widać brzuch, gładki, ale jędrny, bez dziwnego piercingu w pępku, naturalny i krągły.

- Co się tak przyglądasz? Mój tłuszczyk nie jest najapetyczniejszy. Piękna i niepewna siebie.

- Chcesz powiedzieć, że masz coś lepszego w zanadru?

Gin się obrusza.

- Jestem porażony, urzeczony, nieodwracalnie zniewolony i...

- Tak, tak, okay. Kumam.

Siadamy przy pierwszym wolnym stoliku i składam zamówienie u czarnoskórego koleś, który coś mi trochę wygląda na Francuza i paradyje przepasany białym fartuchem.

- No to poprosimy kwaśny, dojrzały ser owczy i dwa kieliszki białego wina, niech to będzie traminer.

Facet potakuje, a ja, cokolwiek nieufny, mam tylko nadzieję, że naprawdę zrozumiał.

- Gdzieś wyczytał o tym połączeniu traminera z kozim serem? A może twój brat ci to podpowiedział?

- Wstrętna...

Wykonuję ręką gest triumfu, skierowany w dół, w jej stronę.

- Jadowita żmijko. Nie, bardzo mi przykro, jestem po indywidualnym kursie z francuskim *sommelier*. A właściwie Francuzką, gwoli ścisłości. Z Epernay, w Szampanii. Przezroczyście, szare pończochy. Cieniusieńkie i zawsze obowiązkowo samonośne. Czy domagasz się dalszych szczegółów?

Obrusza się poirytowana.

- Nie, dziękuję, bo jeszcze mi jesteś znów gotów wyjechać z tym swoim wiesz, jestem ewidentnie zauroczony i tak dalej, i tak dalej, i całą masą innych bzdur...

Koleś, który ma w sobie coś z Francuza, stawia przed nią na stole drewniany talerz i *voilà*. Podał nam dokładnie: ser kozi i schłodzony traminer. Niesamowite, ale na tym nie koniec.

- Przyniosłem wam też miód naturalny...

- Dziękujemy.

To naprawdę cudowne, kiedy ludzie kochają swoją pracę. I doprawdy nie ma niczego piękniejszego od dziewczyny, która zajada z apetytem.

Zupełnie jak ona. Uśmiecha się i rozsmarowuje miód na jeszcze ciepłym pieczywie, dopiero co zapieczonym, idealnie przyrumienionym, w sam raz. Kładzie na nim kawałek sera i bierze duży kęs, gryzie zdecydowanie, ale bez pośpiechu, a tymczasem drugą ręką powstrzymuje rozszalałe okruszki, które lecą, gdzie popadnie. I zaraz pociera opuszkami palców o dłoń, jakby brzdąkała, wykonując jakąś dziwną melodię, i strąca okruszki na mały talerzyk, obok niedokończonego pieczywa, a drugą ręką sięga po kieliszek traminera i małym łykiem popija kęs, który ma w ustach.

Jest wprost doskonała, kurwa, czysty ideał, wiem o tym. Drobne gesty... Jakież mają sens, sam nie wiem... Choć tak naprawdę... Wiem dobrze. Traminer ma to do siebie, że szybko znika, chłodny, z charakterystycznym posmakiem.

Orzeźwia. Wypijamy kieliszek za kieliszkiem. Tak. Wiem, czysty ideał. I po tym, co przychodzi mi do głowy, po tym, jak się tak zapętlam, a to „wiem dobrze”, a to znów „sam nie wiem” orientuję się, że alkohol zdążył już uderzyć mi do głowy. Czekam, aż skończy ostatni kęs, kładę pieniądze na stół i ją porywam.

- Chodź, idziemy.

- Ale dokąd?

- Każdy lokal ma inną specjalność.

I wybiegamy stamtąd, tak po prostu, trochę odurzeni winem, wyraźnie rozbawieni. Odprowadzani ciekawskimi spojrzeniami, mijamy poro/stawiane stoliki, a siedzący przy nich klienci odwracają głowy, żeby się nam przyjrzeć, podejrzeć, przypatrzeć się tym dwojgu nieznanym... My dwoje, meteory przypadkowej nocy, w przypadkowym lokalu, w jeszcze bardziej przypadkowym momencie, ale za to wyłącznie naszym. Tak jak i cały ten rajd od knajpy do knajpy.

- Ej, Step?

- Tak?

- O ile jeszcze baz postojowych zahaczymy?

- O co ci chodzi?

- No bo skoro wszędzie coś jemy, chciałabym wiedzieć, ile mamy jeszcze przed sobą, w przeciwnym razie boję się, że pęknę. Tak z grubsza, w ilu jeszcze lokalach się zatrzymamy?

- Dwudziestu jeden!

Odpowiadam pewnie, lekko zniecierpliwiony, a co to, kurwa. Sorry, słowem się nawet nie zająknę, a bo ja wiem: ale fajny pomysł, oryginalny, zabawny. Gin nagle przystaje. Zatrzymuje się na środku ulicy i zapiera się nogami.

- Co jest?

Chwyta mnie błyskawicznie za kurtkę i przyciąga do siebie obydwoma rękami, trzymając mnie za poły.

- Powiedz mi, komu to zwinąłeś?

- Audi A4? Już ci przecież mówiłem, mojemu bratu...

- Nie, ten pomysł. Żeby w każdym lokalu jeść coś innego, po kim to powtarzasz?

Śmieję się, kręcąc głową, bardziej pijany niż kiedykolwiek, jestem pod równie silnym wpływem humoru etylowego.

- Sam to wymyśliłem.

- Chcesz powiedzieć, że sam pomysł od początku do końca był tylko twój, że nie doprowadziłeś go nikomu? I nie ściągnąłeś go z jakiejś książki czy z jakiegoś romantycznego filmu albo z jakiejś zasłyszanej od innych historii, którą sobie wszyscy w kółko opowiadają?

Rozkładałam ręce i lekko wzruszam ramionami. - Od początku do końca tylko mój własny. - I uśmiechając się, dodaje: - Przyszedł mi do głowy ot tak... -

Pstrykam palcami. Gin nadal trzyma mnie za poły kurtki i wpatruje się we mnie, wciąż z lekkim powątpiewaniem na twarzy.

- I jeszcze z żadną inną tego nie robiłeś?

- Nie. Tylko z tobą. Jeśli już o tym mowa, to nawet w tych wszystkich miejscach, które wybrałem, nigdy dotąd nie byłem z żadną inną dziewczyną.

Puszczą mnie od razu, odpychając od siebie.

- Weź, spadaj! Teraz to już przegiąłeś!

Nadyma buzię, po czym gwałtownie wypuszcza z niej powietrze, naśladując odgłos, jaki wydaje pękająca piłeczka.

- Kit! Ha, ha, Step wciska kit.

Skanduje to prawie jak wyliczankę. W mig chwytam ją za poły kurtki i obracam w miejscu, zanim odejdzie zbyt daleko. Wykonuje półobrót i przystaje, prawie dotykając mojej twarzy. Swoimi ustami.

- Okay, kitowałem. Ale zawsze tylko w większym gronie. Nigdy sam, tak jak teraz z tobą...

- Okay, brzmi już lepiej. Jakoś łatwiej mi w to uwierzyć.

- Musisz w to uwierzyć.

Głos mi się obniża i aż sam się dziwię, słysząc, jak bardzo jest zdławiony, przechodzi nieomal w szept, z twarzą wtuloną w jej szyję, mówię do niej na ucho, ustami muskając jej włosy. Patrzę jej prosto w oczy, uśmiecham się szczerze. Docenia to, wierzy mi. Ale chcę utwierdzić ją w tym przekonaniu. - Przysięgam... - I tym razem ufa mi bez zastrzeżeń. Odwzajemnia mój uśmiech i daje się ponieść. Pocałunek. Wilgotny pocałunek, powolny pocałunek, pocałunek wcale nienachalny. Pocałunek o smaku traminera, lekki pocałunek, pocałunek języków, które ze sobą walczą, surfujący pocałunek, pocałunek na fali, pocałunek z kąsaniem, pocałunek, jakbyśmy się chcieli posunąć dalej, ale się powstrzymali. Pocałunek nie wolno. Pocałunek, co to ludzie patrzą...

42

Sama nie mogę w to uwierzyć. Ja, Gin, tutaj, na via del Governo Vecchio, całuję się z nim na ulicy. Pośród ludzi, którzy nas mijają, którzy na mnie patrzą, którzy przystają, którzy się we mnie wpatrują... A ja tkwię na samym środku ulicy. I wcale o tym nie myślę, wcale się nie rozglądam, wcale się nie martwię. Mam zamknięte oczy. Naokoło są ludzie. Właśnie, myślę sobie, że ktoś mógłby teraz nawet stać w odległo-

i pięciu centymetrów od nas i gapić się na nasz pocałunek. Minimalnie unoszę prawą powiekę. Nic. Wszystko spokojnie. Zamykam. Kto wie, czy przypadkiem z drugiej strony... Wisi mi to! Ja i Step. Tego jestem pewna. Obejmuję go mocniej i całujemy się dalej, beztrąsko, niczego nie roztrząsając. A już po chwili wybuchamy śmiechem, kto wie dlaczego. Chyba dlatego, że

przesunął trochę rękę, dotknął mojego biodra i zanim się zorientował, ręka sama powędrowała nie wiedzieć dokąd. Ale przyznaję się całkiem szczerze. Mnie nic podobnego nawet przez myśl nie przeszło. Po prostu w pewnym momencie zachciało mi się śmiać, i tyle. I jemu tak samo. Tak też zrobiliśmy!

Wybuchnęliśmy śmiechem. Prawy policzek wtulam sobie w ramię, śmieję się, obracam bokiem i czuję, jak przechodzi mnie dreszcz... Chyba nawet dreszcz pożądania.

- No już, chodź, czekają na nas Pierwsi w swojej klasie.

- A kto to taki, twoi przyjaciele kujony?

- No co ty! To lokal, w którym serwują wyłącznie pierwsze dania, same makarony.

- A tam, dobra, skąd możesz wiedzieć. A nuż kucharz jest z wykształcenia filozofem. - W ten oto sposób staram się rozwinąć mój poprzedni żarcik, rodem z debilnych komedii braci Vanzina. Ze Stepem to się da zrobić. Kto wie, może nawet obydwaj bracia, pomimo wszystkich swoich sukcesów, usłyszawszy mnie, sami wybuchnęliby śmiechem.

Właścicielem okazuje się niejaki Alberto. Wita się z nami, jest uprzejmy, prowadzi do stolika i doradza nam, byśmy zamówili, jak sam to nazywa, „tryptyk”. - Kluski z pesto, tortelloni z cukinią i ryż z szampanem i krewetkami.

Patrzemy na siebie i potakujemy skinieniem głowy, OK, dobra, tak.

Słuchaj, Alberto, a tak w ogóle, to dlaczego nie zostawisz nas samych?

- A co do picia?

Step pyta, czy jest białe wino, a przynajmniej tak mi się wydaje. Ale nie usłyszałam dokładnie... Farfallina albo coś w tym stylu.

- Świetnie. - Za to Alberto, który doskonale wszystko zrozumiał, odchodzi od naszego stolika.

Rozglądam się po lokalu. Łuki wykonane z zabytkowych cegieł, kamienie, które wystają ze ścian, biel, brąz, czerwień, światła zwrócone w górę. Spuszczam wzrok. Ceglasta terakota, idealna, całkiem nowa. Trochę dalej, w głębi, kuchnia. Wszystko stylizowane na dawne czasy, żelazo, ciemniejsze elementy, żeliwo, a także inne materiały i drzwi dwuskrzydłowe, które uderzają o siebie krawędziami niczym te w saloonach, bo akurat przechodzi przez nie chłopak z gorącym i parującym półmiskiem, ale nikt do niego nie strzela. A wręcz przeciwnie, jacyś ludzie od jednego ze stolików dają mu znać, zadowoleni, że ich zauważył. Kto wie, od jak dawna już czekali.

- A oto i wasze wino: Falanghina.

Alberto stawia butelkę białego wina na samym środku stołu i z łatwością je odkorkowuje. Falanghina... Nie farfallina. W ogóle się nie znam. Step sięga po butelkę i nalewa mi trochę do kieliszka. Ja czekam, aż napełni również swój własny, i unosimy obydwaj naraz, żeby się napić.

- Poczekaj, wzniesmy toast.

Patrzę na niego z niepokojem.

- Posłuchajmy - mówię uśmiechnięta. - Za co pijemy?

- Za to, co chcesz. Każde z nas samo postanawia za co i potem trącamy się kieliszkami.

Skupiam się na chwilę. On patrzy mi w oczy. Po czym wyciąga do mnie swój kieliszek i trąca się ze mną.

- A nuż mamy jednakowe życzenie.

- A nuż któregoś dnia wyznamy je sobie.

- Jeśli się spełni.

Patrzę na Stepa, próbuję go rozgryźć. On uśmiecha się do mnie. - Spełni się, spełni...

I wypijam wszystko jednym haustem przekonana, że prędzej czy później to życzenie, przynajmniej jeśli chodzi o moje, się spełni. Będziemy się kochać...

Oj! Ratunku! Co ja wygaduję? O Boże. Zostawmy to. Rozglądam się wokół. Jakże inne wydają się te wszystkie pary, które jedzą przy pozostałych stolikach. Kto wie, na czym to polega, ale zawsze uważamy się za lepszych. A w każdym razie ja tak mam. Tak, Gin zarozumiała. Ale nigdy nie mogłabym siedzieć przy stole z kimś, z kim nie mogę sobie porozmawiać. Jeść tak w milczeniu. Jaki to ma w ogóle sens? Tak właśnie zachowuje się tamtych dwoje. Niekiedy, między jednym kęsem a drugim, wyglądają na zewnątrz, poza własne życie, poza własne myśli. W poszukiwaniu czegoś innego. Znudzeni tym, co ich otacza. Poza to życie, które oni sami sobie wybrali! Podglądają inne stoliki, podpatrują inne osoby, nie przestają przeżuwać, rozglądając się za czymś interesującym. Wyobrażasz sobie coś takiego?

- Aaa!

- Co ty wyprawiasz, krzyczysz? - Step patrzy na mnie zaniepokojony, ale ja się śmieję. - Kompletna wariatka z ciebie.

- Wcale nie, rozpiera mnie szczęście!

I krzyczę raz jeszcze, a tymczasem znudzona facetka przy stole obok na moment przestała żuć i spogląda na mnie zaskoczona, zaintrygowana. A ja, no cóż, ja do niej macham. Sięgam do porcji, które dopiero co nam przynieśli, nabieram trochę na widelce i wkładam sobie do buzi. - Mhm, dobre...

Wciąż patrzę na znudzoną sąsiadkę i gestem daję jej do zrozumienia, że mi smakuje, ale ona tylko kręci głową, najwyraźniej nic nie rozumiejąc. I pomyśleć tylko, że mężczyzna, który siedzi naprzeciwko niej, w ogóle niczego nie zauważył. Za to Step się śmieje. I patrzy na mnie. I kręci głową. Ja też się do niego uśmiecham.

- Ej, ale czy aby nie za bardzo się wykosztowujesz?

- Kolację stawia mój brat. W rzeczywistości, choć jest lekkim sknerą, nie ma problemów z pieniędzmi.

- Fajnie, ale dlaczego to robi?

- Bo ja wiem, chyba żeby mi pomóc, swojemu młodszemu bratu, który ma problemy z kobietami.

- Weź przestań! Tak, akurat z pewnością dlatego.

I znów ruszamy pędem przed siebie, nie przestajemy się śmiać. I już wskakujemy do samochodu. Sam nawet nie wiem, jak udaje mi się znaleźć w kieszeni kolejne 2 euro. Daję je Marokańczykowi, który chyba liczył na coś więcej. Ale już po chwili zmienia zdanie, tak czy siak, czuje się usatysfakcjonowany i jak na rzymianina z wyboru przystało, pomaga mi wyjechać: - Niech pan rusza, może szanowny pan jechać, wszystko w porządeczku, pilnowałem go panu jak oka w głowie.

Za jedyną odpowiedź z mojej strony otrzymuje potakujące kiwanie głową. Tak, tak, dobrze, tak jest dobrze.

Muzyka. 107,10. Tmc. Słowa DJ-a ustępują miejsca nutom U2.1 Gin, oczywiście, zna tę piosenkę. - *And I miss you when you're not around, I'm getting ready to leave the ground...*

- Ty znasz je dosłownie wszystkie!

- Nie. Tylko te, które są o nas.

Lungotevere. Po czym przejeżdżamy przez most. W prawo, w lewo, piazza Cavour, via Crescenzo. Paillon. Mario, właściciel, pozdrawia nas od razu.

- Witajcie, jesteście we dwójkę?

- Tak, ale to nie byle jaka dwójka, jasne? - Uśmiecham się do Gin i ją do siebie przytulam. Kolesz patrzy na nas. Lekko mruży oczy. Pewnie sobie myśli: „Czy ja go aby skądś nie znam? Kto to taki? Może ktoś ważny?”.

Ale nie udaje mu się znaleźć odpowiedzi, bo jej po prostu nie ma.

- Zapraszam, chodźcie, posadzę was tutaj, zobaczycie, będzie wam wygodnie.

- Dziękuję.

Ponieważ nie był do końca pewien, ostatecznie uznał nas za parę, której należy się przyzwoita obsługa. Słowem, niezależnie od wszystkiego. Przechodzimy przez pomieszczenie, w którym stoi długi stół, a wokół niego siedzi pełno ludzi, głównie kobiet, i na dodatek jeszcze ładnych. Blondynki, brunetki, rude, uśmiechają się rozbawione, wszystkie wymalowane, rozmawiają ożywione, ale jedzą, jak przystało na osoby dobrze wychowane, odrywają sobie kawałki świeżo upieczonej pizzy, która leży na środku stołu. Trochę dalej wygłodniałe widelce zanurzają się w skłębione plastry dopiero co pokrojonej szynki, różowe i giętkie, córki wieprza niewiadomego pochodzenia.

- Świnia...

- Ała, co jest?

Gin właśnie przyłożyła mi pięścią prosto w bok.

- Tak zniecka, w ogóle się nie spodziewałem.

- Widziałem, jak na nią patrzyłeś.

- No co ty? Akurat myślałem o szynce.

- Tak, jasne, i co jeszcze. Masz mnie za idiotkę?

Mario udaje, że nie słyszy. Czeką, aż usiądziemy przy stoliku w rogu, i natychmiast znika.

- Tak, o szynce... już ja tam wiem, o czym myślałeś. To muszą być tancerki z tego programu Bagaglino. Pewnie oblewają premierowe wydanie albo coś takiego. Ten tam, łysiejący, to reżyser, a te dwie po jego boku, główne tancerki.

- Skąd wiesz?

- Tak się składa, że ja tylko czasami biorę udział w castingach... Za to ty jesteś przecież ekspertem od show-biznesu.

Jedna z grupki dziewczyn wstaje od stołu, udaje się w stronę łazienki, przechodzi obok nas, uśmiecha się, a następnie skręca i zapuszcza się w głąb sali, zapewniając tym samym idealną panoramę, widok na parę umięśnionych nóg, krągły tyłek, uwięziony z niejakim trudem w zbyt ciasnej spódnicy.

- Tak, sam tylko popatrz, jak się ślinisz, i masz czelność twierdzić, że myślałeś o szynce! Jaka szkoda!

- Dlaczego szkoda?

- Bo dzisiejszy wieczór poszedł na marne.

- To znaczy?

- O ile wcześniej ewentualnie miałeś u mnie jakąś minimalną szansę, a wierz mi, że cień szansy miałeś, to i tak już ją straciłeś.

- A to dlaczego?

- A bo tak. Albo wiesz co, posłuchaj mojej rady. Wślizgnij się teraz do łazienki, idź za nią, jak ci się poszczęści, może się nawet załapiesz na jakiś szybki numerik albo dostaniesz dwa bilety na program.

- I wtedy razem będziemy się mogli na niego wybrać.

- Po moim trupie.

- Nie lubisz Bagaglino?

- Ciebie nie lubię.

- To świetnie.

- Jak to świetnie?

- A tak, że jednak mam jakąś szansę...

- To znaczy?

- Że jesteś zazdrosna, trochę upierdliwa, ale jak przychodzi co do czego...

- Jak przychodzi co do czego?

- To jesteś chętna!

Gin właśnie się zamierza, żeby mnie uderzyć, ale w porę udaje mi się chwycić ją za rękę.

- Poczekaj. Przynajmniej coś zamówmy. Mario pojawił się tuż za plecami Gin.

- A więc, co dla was?

- Przyszliśmy tu, żeby spróbować tej fantastycznej pieczeni z rusztu, w wielkich, krwistych plastrach. Tyle o nich słyszeliśmy.

- Doskonale.

Mario uśmiecha się cały zadowolony, że słynie w okolicy przynajmniej ze swojej pieczeni.

- I poprosimy jeszcze o jakieś dobre cabernet.

- Może być Piccioni?

- Niech pan sam coś dla nas wybierze.

- Znakomicie.

Fakt, że zdajemy się na jego wybór również w sprawie doboru wina, wprawia go w jeszcze większe zadowolenie.

- Gin, daj spokój, nie kłóćmy się, chcesz się zamienić miejscami? Chcesz usiąść tu gdzie ja?

- A po co?

- Bo w ten sposób ty będziesz miała przed oczami tamte dziewczyny, tancerki.

- Nie, nie. - I się uśmiecha. - Bawi mnie, że to właśnie ty na nie patrzysz, a wręcz sprawia mi to nie lada przyjemność.

- Sprawia ci to przyjemność?

- Oczywiście, pokaż mi parę luźniejszą od naszej. A: bo nie jesteśmy parą, be: bo po tym widoku na cycki i tyłek dobrze ci zrobi, jak usłyszysz zdecydowane nie od zwykłej śmiertelniczki...

- Trzy dan we wszystkim i za wszystko, co?

Dziewczyna, która udała się do łazienki, właśnie wraca, przechodzi tuż obok nas i zmierza do swojego stolika. Odruchowo się odwracam, właściwie niechcący. Gin tylko na to czekała i teraz ją woła.

- Przepraszam.

- Tak?

- Czy możesz podejść tu do nas na chwilę?

Zaskoczona dziewczyna potakuje.

- No weź, Gin, daj spokój. Przynajmniej raz spędźmy spokojnie wieczór.

- Ale czym ty się martwisz? Ja działałam jedynie w twoim własnym interesie.

Dziewczyna jest miła i, zaintrygowana, podchodzi do naszego stolika.

- Dzięki, naprawdę... Widzisz tego chłopaka, Stefano, dla niektórych boski Step, strasznie chciał zdobyć twój numer telefonu, ale nie ma odwagi sam cię o niego poprosić.

Dziewczyna jeszcze nie ochłonęła, zastygła z półotwartymi ustami, autentycznie ją zamurowało.

- Tak naprawdę...

Gin się uśmiecha.

- Nie, nie, w ogóle się mną nie przejmuj. Jestem jego kuzynką.

- Ach.

Od razu sprawia wrażenie bardziej rozluźnionej. Laska na mnie patrzy, ocenia, czy jest sens, bym dostał do niej numer, czy też nie, a ja chyba po raz pierwszy w życiu się rumienię.

- Myślałam, że się pokłóciliście albo że chodzi o jakiś żart...

- Nie, absolutnie.

Gin zaprzecza bardzo kategorycznie.

- Okay, dosyć tego zastanawiania, wystarczająco długo to już trwało. Nic nie szkodzi. Fajna spódnica. Czy to od Ann Demeulemeester?

- Od kogo?

- Nie, tak mi się zdawało. Rozmiar trzydzieści sześć, szlufki przy pasku, zasłonięte guziki, kieszonka...

- Nie, to Uragan.

- Uragan?

- Tak, to nowa marka stworzona przez mojego przyjaciela.

- Ach, rozumiem, czyli właściwie można powiedzieć, że jesteś ambasadorką jego marki?

Dziewczyna się uśmiecha, obciąga sobie spódnicę i stara się sprawić, żeby prezentowała się trochę okazalej.

- Tak, można tak powiedzieć.

Cały trud na marne. Spódnica nadal tkwi uparcie w tym samym miejscu, ma nią ewidentnie spętane biodra, i jest tak krótka, że o mały włos nie widać jej majtek.

- No...

Staram się jakoś odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Przepraszam. Ale widzę, że znajomi wołają cię do stolika. Dziewczyna się odwraca. Rzeczywiście towarzystwo zaczyna się zbierać.

- Ach, tak, przepraszam.

- No to cześć.

- Tak, cześć.

Laska się oddala.

Obydwoje obserwujemy, jak dumnie kroczy przed siebie i nie wiedzieć czemu, kręci tyłkiem bardziej niż poprzednio.

- Gratulacje.

- A to za co?

- No, bo po raz pierwszy jakiejś kobiecie udało się wprawić mnie w zakłopotanie... i to na dodatek na oczach innej.

- Cóż, dałam z siebie wszystko. Dziwne... ale jeśli teraz nie da ci swojego numeru, to co będzie potem?

- No, w ostateczności mogę jeszcze wykorzystać twoje poczucie winy...

- Z jakiego powodu?

- Niecodziennie legnie w gruzach mit koleś takiego jak ja... boski Step, który nie jest w stanie zdobyć numeru laski w ciuchach marki Uragan. Takie rzeczy nie dzieją się codziennie.

- Nie wiem, na ile cię to może pocieszyć, ale miała silikonowe cycki.

- Nie zwróciłem uwagi. Znacznie większe wrażenie zrobił na mnie jej naturalny tyłek. - Uśmiecham się złośliwie. - Chyba w tym wypadku nie masz się do czego przyczepić, mam rację?

- Prawdę powiedziawszy, miałabym pewne zastrzeżenia również do niego. Przykro mi jedynie, że nigdy sam na własne oczy nie będziesz się mógł o tym przekonać.

- Nigdy nie mów nigdy.

Dokładnie w tej samej chwili Mario stawia przed nami dwa talerze z plastrami pieczeni.

- Proszę bardzo.

- Dzięki, Mario.

- Za to mi płacą. - I uśmiecha się do nas. Gin od razu zabiera się za krojenie.

- Cóż, na razie, Step, musisz się zadowolić tym smakowitym kąskiem.

- Ha, tyle że jeśli i on okazałby się nienaturalny, to oboje mamy przesrane.

Słyszac te słowa, Mario zamiera z wrażenia.

- No co wy, żarty sobie robicie? Mamy wyłącznie wyselekcjonowane mięso. Ej, nie rozpuszczajcie mi tu tylko żadnych podejrzanych historii, bo puście mnie z torbami.

Wybuchamy śmiechem.

- Nie, nic się nie martw. Rozmawialiśmy o czymś całkiem innym, naprawdę!

I zajadamy w najlepsze, co rusz dolewając do kieliszków cabernet, jemy powoli, śmiejemy się, opowiadamy sobie jakieś nieistotne fakty, które nam akurat wydają się tak ważne. Przeżyliśmy życie każdego z nas, w których nawzajem nie uczestniczyliśmy. Chwile pełne euforii oraz te tak różne od pozostałych, spędzone z przyjaciółmi z przeszłości, którzy dzisiaj jednak, kiedy im się tak lepiej przyjrzeć, nie wydają się wcale aż tacy znów wyjątkowi. A może to tylko obawa, że nie sprostam i nie jestem aż tak zabawny, jak bym chciał. Gin nalewa mi wina. I już sam fakt, że robi to właśnie ona, sprawia, że zapominam o wszystkim innym.

43

Giuli patrzy na Daniele z rozdziawionymi ustami.

- Zamknij wreszcie buzię, bo przez ciebie mam jeszcze większe poczucie winy!

I Giuli zamyka. Następnie przetyka ślinę i usiłuje dojść do siebie.

- Tak, rozumiem... ale jak to możliwe?

- Jak to możliwe? Przecież zwłaszcza ty powinnaś doskonale wiedzieć jak, zważywszy że sama już to robiłaś, i to jeszcze zanim ja w ogóle zaczęłam. Mam ci wytłumaczyć?

- Oj nie, kretynko. To akurat wiem, jeśli już to raczej ty nie bardzo. Chodziło mi o to, jak to możliwe, że zaszłaś w ciążę?!

- Słuchaj, Giuli, przestań, proszę cię, fatalnie się czuję. Zrozum, proszę cię. I pomyśl tylko, że mówię to teraz tylko tobie... pomyśl, co to będzie, jak powiem o tym starym!

- A bo co, powiesz im?

- Pewnie, że im powiem, a jakżeby inaczej?

- Ale weź pomyśl tylko, że to się da raz-dwa załatwić, co? Wystarczy jeden dzień w klinice i po twoim głupim wybryku nie będzie ani śladu, puf, zniknie za jednym zamachem. Kumasz?

- No co ty, oszalałaś? Ja chcę urodzić to dziecko.

- Chcesz je urodzić? W takim razie to ty kompletnie oszalałaś!

- Giuli, akurat po tobie się tego nie spodziewałam. W każdą niedzielę ciągniesz mnie ze sobą do kościoła, a jak przychodzi co do czego... masz czelność mówić coś podobnego!

- Ej, słuchaj, i to ty wyjeżdżasz mi tutaj z kazaniem! Sama się uparłaś, żeby to zrobić, zanim skończysz osiemnaście lat, bo w przeciwnym razie czułabyś się jak ostatnia pierdoła, a teraz spotkała cię za to kara, nie widzisz? I to ma być postawa osoby religijnej, co ty powiesz? Weź ty sobie daruj! Tak czy siak, rób, jak uważasz, to twoje życie...

- I tu się mylisz. To także jego życie. Widzisz, w ogóle nie bierzesz tego pod uwagę. Teraz wchodzi w grę jeszcze inna istota oprócz mnie.

- A o wszystkim innym to już wcale nie myślisz, prawda? Na przykład, czy jemu o tym powiedziałaś?

- Jemu, czyli komu?

- Jak to komu? Ojcu!

- Nie.

- Świetnie! I nie zastanawiasz się przypadkiem, jak to przyjmie Chicco Brandelli, kiedy już się dowie, co, w ogóle o tym nie myślisz?

- Nie, nie myślę o tym.

- No pewnie, wisi ci to równo, moim zdaniem koleś się pochlasta!

- Nie sądzę, aby to on był ojcem.

- Co takiego? To kto? Już wiem. Proszę cię, nie, powiedz mi, że nie. Andrea Palombi. Ależ on przecież zmienił się w potwora, jest koszmarny, totalny frajer, pomyśl tylko, jak będzie wyglądało to nieszczęsne dziecko.

- Moje dziecko będzie prześliczne, wda się we mnie...

- Słuchaj, tego nigdy nie wiadomo, nie możesz wiedzieć takich rzeczy, a nuż będzie takie samo jak Palombi. O matko, jeśli tak się stanie, to ja nie będę matką chrzestną, od razu ci to mówię, nie będę, lojalnie uprzedzam!

- Oj, już się tak nie zamartwiaj. Nie będzie takie samo jak on.

- A to dlaczego?

- Bo to nie on jest ojcem.

- To on też nie? W takim razie kto? Cholera, w pewnym momencie zniknęłaś z imprezy, ale myślałam, że zaszłaś się gdzieś z Chicco.

- Nie, pamiętam jedynie, że zażyłam białe ecstasy, dostałam je od tamtej z gangu, do której sama kazałaś mi pójść, a potem...

- Białe ecstasy? Dziewczyno, musiałaś wziąć pigułkę gwałtu!

- Pigułkę gwałtu, a co to takiego?

- No to wcale ci się nie dziwię, że niczego nie pamiętasz. Całe szczęście, że nie wpadłaś do wody. Ma to do siebie, że kompletnie cię rozwała, pozbawia cię wszelkich hamulców, robisz się zdolna do wszystkiego, do najbardziej nawet wyuzdanych ekscesów, a potem puf, chwilami nie jesteś nawet w stanie sobie przypomnieć, jak się nazywaś!

- No, tak, było dokładnie, jak mówisz... tak mi się wydaje...

- Nie mogę w to uwierzyć, wzięłaś pigułkę gwałtu.

- To przez Maddę, która w jakiś sposób chciała ukarać moją siostrę.

- Tak, gwarantując cię dzikie rozkosze!

- Ale ona przecież nie mogła przewidzieć, że potem będzie mi aż tak dobrze.

- Cholera, zawsze udaje ci się mnie zaskoczyć.

- Niezła jestem, co?

- No w sumie... ale czy to możliwe, że niczego kompletnie nie pamiętasz, zero, choćby najmniejszej wskazówki?

- Nic, przysięgam, czarna dziura. Było świetnie, tak, to pamiętam!

Giuli przez moment siedzi na kanapie pogrążona w milczeniu. Po chwili pociąga łyk wody, patrzy na Daniele i odzyskuje siły, by móc zabrać głos.

- No, jednak coś jestem w stanie sobie wyobrazić...

- Co takiego?

- Wyraz twarzy twoich starych.

- A ja nie.

- Według mnie spiorą cię tak, że na koniec w ogóle przestaniesz być do nich podobna.

- Nie. A według mnie dobrze to przyjmą. Sorry, ale to właśnie po sytuacjach takich jak ta można poznać, czy masz naprawdę kochającą rodzinę, nie? Gdyby wszystko zawsze szło jak po maśle, ciężko byłoby się wykazać? Za łatwo by było, mam rację?

- Tak, tak, jasne. Mnie tam nawet przekonałaś, zobaczymy, czy z nimi też ci się to uda!

- No... - Daniela podnosi się z kanapy. - Idę już. Chcę im o tym powiedzieć jeszcze dziś wieczór, nie jestem w stanie dłużej tego przed nimi ukrywać. Nareszcie pozbędę się tego ciężaru. Cześć, Giuli...

Na pożegnanie całują się w policzek. Giuli też mówi jej cześć i widząc, jak wychodzi, rzuca jeszcze:

- Daj mi znać, co? W razie czego dzwoń.

- Okay, dzięki.

Giuli słyszy odgłos trzaskających drzwi. Nastawia głośniej telewizor i wraca do oglądania przerwane filmu. Ale wkrótce go wyłącza. Postanawia się położyć. Jedno jest pewne: po tym, co opowiedziała jej Daniela, każdy film wysiada.

44

Mario, zmartwiony, podchodzi do naszego stolika.

- Co wy robicie? Wychodzicie tak wcześnie? Zamówiliście tylko drugie. A ja mam jeszcze świetny domowy deser, własnoręcznie zrobiony. A właściwie, przyznaję się bez bicia, wykonany rękami mojej żony.

To ostatnie wyznanie zupełnie mnie zaskoczyło. Chciałbym mu wszystko opowiedzieć, wyjaśnić, że wcale nie jesteśmy niezadowoleni z tego, jak tu karmią, tylko że wpadłem na taki świetny pomysł, wprost genialny... No, pomysł i tyle. Każde danie, najlepiej jakiś przysmak, jemy gdzie indziej, w lokalu, który słynie z jego przyrządzania. Cabernet też niewątpliwie wywarł na mnie swój wpływ i teraz bierze czynny udział w imprezie. A wobec tego ograniczam się do zwykłego kłamstwa.

- Nie, tylko że jesteśmy umówieni z przyjaciółmi, i jak zaraz nie wyjdziemy, to dłużej nie będą na nas czekać.

Mario zdaje się przyjmować na spokojnie moje wyjaśnienie.

- W takim razie do widzenia... ale wracajcie szybko.

- Oczywiście, koniecznie.

Gin też się udziela. - Pieczeń była wyborna.

Ale już przy samym wyjściu dzieje się coś nieprzewidzianego.

- Zaczekajcie, zaczekajcie!

Jakiś śmieszny chłopak ze sterczącymi włosami, jakby miał na sobie czepek kucharski, biegnie w naszą stronę.

- Step, ty jesteś Step, prawda? Potakuję.

Uśmiecha się zadowolony, że trafił w dziesiątkę.

- Trzymaj, to dla ciebie.

Biorę karteczkę, ale nie zdążam nawet zapoznać się z jej treścią, bo Gin jest ode mnie szybsza i wyrywa mi ją z ręki, a tymczasem chłopak mówi dalej:

- Dostałem to od takiej jednej blondynki, tancerki. - Uśmiecha się zadowolony. - Jednej z tych, które występują w Bagaglino. Powiedziała mi, żebym oddał to albo tobie, albo twojej kuzynce.

Mario spogląda na niego zaniepokojony, i zaraz, prawie jakby się chciał przed nami usprawiedliwić, zwraca się do nas.

- To mój syn. Chodź, nie stój tak, mamy jeszcze gości do obsłużenia.

- Ale przecież wszyscy już skończyli.

Mario chwyta go za chabety.

- Ni cholery, nic do ciebie nie dociera! - I popycha go przed sobą. - No już! Ruszaj się.

Chłopakowi jest tak niezręcznie, że aż sam nie wie, co ze sobą począć, zwiesza głowę, gotów po raz kolejny wysłuchać reprimendy ojca, zastanawiając się, dlaczego zawsze wszystko jest na niego.

- Trzymaj. - Gin wręcza mi karteczkę.

- Mastrocchia Simona... O masz, dziewczyna wprawdzie podaje nazwisko, a potem imię...

I zaraz spogląda na mnie z niejaką wyższością.

- Komórka, numer stacjonarny i e-mail na wizytówce. Robi wszystko, żeby tylko dało się z nią skontaktować. Widzisz, potrafi nawet obsługiwać komputer. Jest technologicznie zaawansowana. Tak samo jak jej spódnica Uragan. Nareszcie przynajmniej wieczór zaczął przybierać dla ciebie lepszy obrót.

- Szczerze powiedziawszy, to jeszcze nie. Ale tak czy siak, w czasie wojny niczego nie wolno się pozbywać!

Składam wizytówkę i chowam ją sobie do kieszeni.

- Ha, ha, bardzo śmieszne, nie ma co.

Przez chwilę się do siebie nie odzywamy, tylko idziemy dalej. Powiew październikowego wiatru, to dopiero początek miesiąca, na chodniku tu i tam widać pojedyncze liście. Takie milczenie mnie drażni.

- Wiesz, ty niezła jesteś, sama narozrabiałaś, to ty poprosiłaś ją o numer, na dodatek zgrywasz moją zatroskaną kuzynkę, tamta bierze to za dobrą monetę i w końcu daje nam na siebie namiar, a ty się wściekasz. Nie ma co, jesteś wprost niedościgniona.

- Niedościgniona, dobrze to ująłeś. To co? Czy mamy już za sobą ten rajd po knajpach, czy jak to się tam, do cholery, nazywa? Nawet nie wynalazłeś dla tego twojego genialnego pomysłu żadnej sensownej nazwy!

Wszystko wymawia z przesadnym naciskiem i jeszcze przez chwilę się we mnie wpatruje. Po czym otwiera usta i robi minę, jakby naśladowała jakąś smoczkousta, niezbyt rozgarniętą osobę, jakąś ogłupiałą rybę albo najwykleszszego w świecie człowieka, który po prostu nie znajduje słów, by udzielić odpowiedzi. Słowem czy to ssak, czy bezkręgowiec, w każdym razie mowa o mnie. W ogóle bije mnie na głowę. I pomyśleć tylko, że miałem zamiar opatentować mój pomysł pod nazwą „rajd po knajpach”... No cóż, wyciągam karteczkę z numerem Mastrocchi Simony, komórkę, którą sprezentował mi Paolo i zaczynam wybierać numer. Tak naprawdę przyciskam co popadnie, nawet nie patrząc. Wzrok mam zwrócony na nią, zerkam, tak żeby się nie zorientowała. I mała tygrysica atakuje mnie z furją.

- Patrzcie tylko, jaki złamas!

Rzuca się na mnie. Przerывam połączenie i chowam komórkę do kieszeni, a jednocześnie prawą ręką zasłaniam się przed jej ciosem, zadany z całej siły, prosto w twarz, gdy tymczasem Mastrocchia Simona, wraz ze swoim

numerem telefonu napisanym cokolwiek nieporadnie, ląduje wprost na ziemi. Chwytam ją za nadgarstek i szybko go wykręcam, przytrzymując jej rękę za plecami. Zmuszona jest wykonać półobrót i przywiera do mnie całym ciałem. - Ała. - Wydaje się zaskoczona zarówno samym tempem, jak i nieoczekiwanym bólem. Rozluźniam trochę uścisk. Przyciągam ją do siebie. Lewą ręką chwytam ją za włosy, zanurzam palce w ich gąszczu. I zupełnie jakby to był prymitywny grzebień, trochę zgrzebny, a zarazem naturalny, trzymam ją za włosy, przez co wyglądają jak podpięte. Odślaniam jej czoło. Ma ogromne oczy, o intensywnym, głębokim spojrzeniu. Patrzą na mnie. Jakże mi się podoba. I zaraz je zamyka. Po czym otwiera i zaczyna się buntować. Usiłuje mi się wywinąć. Ale zacieśniam trochę uścisk.

- Grzeczna... Ciii - szepczę. - Jesteś zbyt zazdrosna...

Słyszając to, prawie wpada w amok, rzuca się, wierzga, usiłuje mnie kopnąć, a to stopą, to znów kolanem.

- Wcale nie jestem zazdrosna! Nigdy nie byłam i nigdy nie będę. Słynę z tego, że nie jestem!

Śmieję się, usiłując zarazem osłonić się przed ciosami. Rzuca mi się do twarzy z rozchylonymi ustami, usiłuje mnie ugryźć. Zaczyna się wojna policzków, wzajemnego napierania jeden na drugi, to otwiera buzię, szczerząc zęby, to znów ją zamyka, usiłuje mnie ukąsić, bezskutecznie przybliżam moją twarz do jej i oddalam, jej usta wciąż na mnie polują, ja robię unik, zmuszając ją tym samym, by odwróciła głowę, udaje mi się znaleźć schronienie pośród jej włosów, w których zaszywam się aż po samą szyję. Otwieram usta, szeroko, tak jak to tylko możliwe. Prawie jakbym ją chciał połknąć całą na raz, dyszę i przywieram wargami do jej skóry, do szyi, do karku i udaje mi się ją powstrzymać, zanurzam zęby w jej skórze, to jedno gigantyczne i miękkie ukąszenie sprawia, że udaje mi się ją okiełznać i posiąść.

- Ała, ała. Okay, dosyć! - I wybucha śmiechem. - Łaskoczesz mnie, proszę cię, tylko nie w szyję.

Odchyła głowę w moją stronę i stara się uwolnić. Wykonuje jakieś przedziwne piruety, małymi kroczkami drobi w lewą stronę i cały czas zanosi się śmiechem. Wzdraga się i śmieje naraz, opuszcza głowę na ramię, zamyka oczy, bezsilna, pokonana, zdana na mnie, kapituluje pod wpływem tych zmysłowych łaskotek. A ja ją całuję. Jest taka jedwabista, ma rozpalone usta, nigdy jeszcze się z takimi nie zetknąłem. Jakby je ogarnęła gorączka. Pożądania. A może to przez tę walkę, którą stoczyliśmy... Ale wszystko inne wydaje mi się chłodne, włącznie z tym, co ma pod spodem, pod kurtką, pod koszulką, gdzie pozwala mi sięgnąć. I wreszcie jej piersi... Pieszczę je przez chwilę dłonią, delikatnie i nieśmiało. Ale tylko przez chwilę, czuję, jak jej serce szybko bije, coraz szybciej. I sam nie wiem dlaczego, przysięgam, że nie wiem, przerywam tę pieszczotę, zostawiam je obydwie. Nie chcę posunąć się za daleko. Biorę ją za rękę.

- Chodź, przed nami jeszcze deser.

Spokojna, pozwala mi się prowadzić. W pewnym momencie nieoczekiwanie zatrzymuje się na chwilę. Nie pozwala mi zrobić ani kroku dalej, trzyma mnie za rękę, robi dziubek i wydyma usta, skrzywiona gąska, trochę nadaśana.

- A co, to ja nie nadawałam się na deser?

Próbuję coś powiedzieć, ale nie daje mi czasu. Puszczą moją rękę i mi ucieka, zostawia mnie w tyle, pędzi z tułowiem wyprężonym do przodu, widzę jej wypięte piersi, które dopiero co miałem u siebie w niewoli, nogi wyrzuca do tyłu, zaśmiewa się, całkiem wolna. Ruszam za nią w pościg, gdy tymczasem zaledwie kawałek dalej, zdany już na pastwę wiatru i chyba całkiem innego losu, leży porzucony numer wraz z imieniem. A gwoli ścisłości, z nazwiskiem i imieniem: Mastrocchia Simona.

45

Claudio stanął swoim mercedesem na via Marsala. Z niepokojem rozgląda się wokoło. I zaraz sam siebie zapytuje: ale co to w ogóle za ryzyko siedzieć w zaparkowanym samochodzie? Można być przecież zmęczonym, po długiej jeździe, dajmy na to, a nie wolno ryzykować zaśnięcia za kierownicą. Albo na przykład zachciało mu się palić. Właśnie, tak. Chętnie zapalę sobie papierosa. Nie ma w tym nic złego. Claudio wyciąga z paczki jednego marlboro, ale zaraz chowa go z powrotem. Nie. Lepiej nie. Przeczytałem w jakimś piśmie, że obniża potencję. Nie, nie wolno mi o tym myśleć. Nie wolno mi o tym myśleć. Muszę za wszelką cenę odegnąć od siebie tę myśl, w przeciwnym razie zacznie mnie prześladować niepokój, że się nie wykażę. Właśnie. Nadchodzi. Idzie skocznym krokiem. W rękach trzyma discmana, na uszach ma słuchawki, uśmiecha się, kiwając głową w rytm muzyki, rozpuszczone włosy i delikatnie opalona skóra, jakże naturalnie wygląda. Lekka, zielona sukienka w żółte słoneczniki, a pod nią mały biust. Piękna. Jak zawsze. Jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Młoda, wciąż budzi w nim takie pożądanie, od tamtego wieczoru, od tamtego pocałunku, do którego doszło w samochodzie, po wygranej partii bilardu przeciwko Stepowi, chłopakowi, z którym wówczas spotykała się Babi. Facet był sympatyczny, trochę brutalny chyba... ale partyjka, którą rozegraliśmy tamtego wieczora, to dopiero coś! Odtąd Claudio nie przestał już grać. W imię odzyskanej namiętności. Ale wcale nie do bilardu. Tylko do niej, do Franceski, młodej Brazylijki, która właśnie nadchodzi. W gruncie rzeczy to dla niej zapisał się do tego klubu, to dla niej kupił nowy kij, Zenith, to dla niej chciałby wygrać ten turniej na Casilinie. Czyste szaleństwo. Ale wcale nie mniejsze od tego tu i teraz. Ich wspólne cotygodniowe wyprawy do hotelu Marsala. Już od ponad roku spotykają się ze sobą. Jasne, to mały hotel, którego nie odwiedzają jego znajomi, zatrzymują się tu wyłącznie młodzi turyści, Marokańscy lub

Albańczycy, którym się nie chce wydawać za dużo pieniędzy. Ale co może na to poradzić? Jemu zaś się chce i to jeszcze jak... A to jedyny sposób, by móc się z nią widywać. Oczywiście płaci za pokój w gotówce.

- Francesca!

Woła ją z daleka. Dziewczyna w słuchawkach Sony na uszach sprawia wrażenie, jakby nie słyszała. Toteż Claudio dwukrotnie obraca przełącznikiem świateł i do niej miga. Francesca to dostrzega, uśmiecha się, zdejmuje słuchawki i pędzi do niego. Wskakuje do samochodu. Siada na nim, wpija mu się w usta.

- Cześć! Pragnę cię! - I mówi to całkiem szczerze. I zaraz się śmieje. I zaczyna szaleć. I całuje go mocno, łapczywie, namiętnie, soczyście, napierając na niego językiem, zadziwiając go jak zwykle. Bardziej niż zwykle.

- Francesca, gdzie ty się podziewała przez cały dzisiejszy dzień, szukałem cię.

- Wiem... widziałam twój numer, ale specjalnie nie odbierałam.

- Jak to specjalnie nie odbierałaś?

- Tak, nie możesz się za bardzo przyzwyczaić. Ja jestem muzyką i poezją... wolna jak morze, jak księżyc i jego przypiływy. - I mówiąc to, Francesca zaczyna mu rozpinąć koszulę i całuje go w tors. Następnie rozpina mu spodnie, wciąż go całuje, guzik, rozporek, i potem niżej i jeszcze niżej, aż do slipów, które mu zsuwa jakby nigdy nic, kontynuuje, bez obaw, bez problemu, niczym księżyc i jego przypiływy. Ale to już rozszalałe wzburzone fale! myśli Claudio i rozgląda się wokół, zsuwając się trochę z siedzenia, byle tylko go było jak najmniej widać. Pewnie, że gdyby teraz został przyłapany. Żaden tam papieros czy chwila odpoczynku. To podpada pod obsceniczne zachowanie w miejscu publicznym. Jedno jest pewne, ani śladu niepokoju, że może się nie spisać. Ma tylko nadzieję, że Raffaella nie zadzwoni do niego akurat w tym momencie, żeby się dowiedzieć, jak im idzie partyjka bilardu. Nie wiedziałaby, co jej odpowiedzieć. To cudowna rozgrywka. Claudio zamyka oczy, daje się ponieść. I marzy o zielonym suknie i bilach, które wpadają wprost do luzy, jedna po drugiej, i to same, nawet nie musi w nie uderzać, ot tak, jak zaczarowane. A na koniec widzi siebie na tym zielonym suknie. Toczy się miękko, sunie przed siebie, póki sam nie zniknie w ostatniej luzie w głębi... ach, tak, jeszcze... co za partia! Francesca wyłania się spod deski rozdzielczej.

- Chodź, idziemy... - Bierze go za rękę i ciągnie za sobą, nie dając mu nawet dobrze zamknąć szyby. Claudiovi z trudem udaje się zapiąć spodnie i z daleka włączyć alarm w mercedesie. I co z tego? Warto się martwić za marne 4000 euro, i jak to się ma do takiego bmw Z4... fury jak marzenie. Francesca, która właśnie wita się z portierem, też jest jak marzenie.

- Dobry wieczór, Pino, poprosimy osiemnastkę.

- Oczywiście, dobry wieczór. - Portierowi nie udaje się dokończyć.

Francesca wyrywa mu klucze z ręki i popycha Claudia do windy.

- Musimy być ostrożni...

Francesca się śmieje i zamyka mu usta pocałunkiem, nie chce jej się tego słuchać.

- Ciii.... nic nie mów!

Ale nie może sobie wyobrazić, o czym myśli Claudio. Sorry, skoro już siedzieliśmy w samochodzie, to nie mogliśmy po prostu wybrać się na lody, na piwo albo nawet i na wino, bo ja wiem; no a co z lękiem, jak mi pójdzie w łóżku? Sorry, co? Claudio czuje, że znów go ogarnia. Stara się go pozbyć.

- Francesca...

- Tak, skarbie?

- Pamiętaj, nigdy z nikim o tym nie rozmawiaj, dobrze? Nawet z osobami, o których myślisz, że i tak nie mogą mnie w życiu spotkać.

- Ale o czym?

- O nas.

- O jakich nas? Nie wiem, o czym mówisz. - I się śmieje i znów go całuje.

- Chodź, już jesteśmy. - I ciągnie go za sobą wzdłuż korytarza, Claudio prawie się potyka, podąża za nią i w końcu, kręcąc głową, daje się ponieść. Kiedy tak za nią idzie, wpatruje jej się w tyłek jak zahipnotyzowany. W każdym calu „brasileiro”. Jędrny, mocny, wesoły, żywiołowy, roztańczony, szalony... przy nim obawa, że nie sprostą, wydaje się niedorzeczna! Na tym polega pragnienie wyjścia naprzeciw chłuszczącym falom, przełamania ich, surfowania, zatracenia się w tym brazylijskim morzu... Ostatni przebłysk.

- Nie, wiesz, bo moja żona odkryła, że kupiłem kij do bilardu.

- I co z tego?

- Od razu jej powiedziałem, że to na prezent dla jednego znajomego.

- Świetnie, widzisz? Wydaje ci się, że jeszcze pamięta o tamtym wieczorze, kiedy grałeś w bilard i kiedy się poznaliśmy? Minęło sporo czasu, co ona tam może wiedzieć? A poza tym tamto miejsce już zamknięto, to dlatego teraz pracuję na Casilinie!

- Nie. Nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że ona coś wie, ona zgaduje!

- Ciekawa jestem, czy zgadnie, co takiego zaraz ci zrobię... - I mówiąc to, otwiera drzwi, wpycha Claudia do pokoju, sama do niego wchodzi i zamyka osiemnastkę. Claudio ląduje na łóżku, a ona na nim, władczą, dziką, ponad księżycem i jego przyptywami. Claudio zapomina o wszelkich niepokojach, a także i o tym, gdzie jest teraz. Zdaje się na nią. I dociera do niego tylko jedno, ma co do tego pewność. Nie, tego nikt nigdy by nie zgadł. Nawet jego żona.

46

- To co, wchodzimy?

- Pewnie, dlaczego nie?

- Ale coś mi się zdaje, że nas nie wpuszczą. Popatrz, mają jakąś listę.

- Ale to przecież Follia, mam tu znajomych.
- Można skonać z nudów, nic tylko wszędzie wszystkich znasz.
- Dobra, skoro tak ci na tym zależy, to ustawimy się w kolejce i zapłacimy. Ostatecznie wszystko i tak idzie na konto mojego brata.

- Biedaczysko. Nawet jeśli jest bogaty, to nie trwoń jego majątku.
Z lokalu wychodzi dziewczyna, którą z tyłu ktoś popycha. Dwaj bramkarze przy samym wejściu w ostatniej chwili zdejmują łańcuch. Jakiś długowłosa furiat pojawia się tuż za nią i popycha ją po raz kolejny.

- No, ruszaj się, bo i tak już mnie wkurwiłaś na maksa! Dziewczyna próbuje coś powiedzieć, ale nie zdąża, urywa nagle w pół słowa. Popchnięta po raz kolejny, ląduje na masce zaparkowanego w pobliżu samochodu. Spocony koleś z tłustymi włosami zaciska rękę na jej twarzy.

- I co teraz? Widziałem, jak się gapiałaś na tego blondasa.

Gin nie jest w stanie wydusić z siebie ani słowa, patrzy na całe zajście z niedowierzaniem.

Rozjuszony byk zaciska dłoń w pięść pełną wściekłości i przemocy, wyszczerza zęby, ma twarz szaleńca.

- Tysiąc razy ci mówiłem, do kurwy nędzy!

I bez cienia litości wali ją w klatkę piersiową. Dziewczyna zgina się wpół i przerażona zasłania sobie rękami twarz. Gin nie panuje nad sobą i wybucha, widać, że aż ją roznosi.

- Ej, dosyć tego... Skończ już wreszcie.

Koleś odwraca się w naszą stronę, mruży oczy i całą swoją uwagę koncentruje na Gin, która wpatruje się w niego z bojowym wyrazem twarzy.

- A ty, kurwa, co tu chcesz?

- Żebyś dał jej spokój. Parszywy bydlaku!

Robi krok w jej stronę, ale nie czekam na dalszy rozwój wypadków, chwytam ją za ramię i odciągam za siebie, do tyłu.

- Ej, tylko spokojnie. Przeszkadza jej twoje zachowanie. Jasne?

- Pierdołę to!

Przez chwilę stoję w milczeniu, próbuję liczyć, nie chcę dać się sprowokować. To moje pierwsze prawdziwe wspólne wyjście z Gin... Naprawdę nie sędzę, aby to był najlepszy moment.

Koleś: - No i co?

Stawia szerzej nogi. W pełnej gotowości do bójki. Nie chce mi się, ale co robić... Dwóch bramkarzy próbuje interweniować.

- Spokojnie, wszystko jest pod kontrolą.

Wyglądają na zaniepokojonych. Dziwne. Przecież mnie nie znają. Ale może znają tamtego koleś. Jest masywny, postawny, osiłek. Muszą się go obawiać. Ale jest przy tym nerwowy, rozwścieczony, zajadły. Nie wygląda na przytomnego. Złość niekiedy otumania, pozbawia opanowania, przytomności umysłu. Czyli tego, co najważniejsze. Olbrzym jest w każdym razie wielki.

- Spokojnie, Giorgio. Nic ci przecież takiego nie powiedział. Kłócisz się ze swoją dziewczyną na oczach wszystkich i może się w końcu zdarzyć tak, że ktoś...

Znam go. To rzeczywiście nie najlepiej rokuje.

- Nie chodzi o to, że może się tak zdarzyć, ale musi! Przecież on katuje tę biedaczkę.

Gin najwyraźniej nie potrafi usiedzieć cicho. A to tylko pogarsza sytuację. Mało tego. Mówi dalej:

- Świetnie, masz się za zajebistego kolesia? No to pomyśl sobie, że jesteś tylko skończonym ćwokiem.

Dwaj bramkarze błędną. Patrzą na mnie z takim wyrazem twarzy, jakby chcieli powiedzieć: „I jak my to teraz, kurwa, mamy wytłumaczyć?”. Byk sprawia wrażenie, jakby nie słyszał. Jest porażony, kompletnie zaniemówił, kręci głową z niedowierzaniem, jakby tamte słowa miały siłę rażenia porównywalną z ciosem w twarz i odniosły ten sam skutek co nagle rozpostarta na środku areny czerwona płachta. Dziewczyna za jego plecami masuje sobie okolice mostka, płacze i pociąga nosem. Zdaje się, że nie może prawidłowo oddychać, jej klatka piersiowa unosi się i opada, wydając dziwnie asynchroniczny odgłos, który rozlega się teraz pośród panującej ciszy.

- Ej, kurwa, Step, co jest? No chodź, włącz do środka. Przepadłeś, co? Opowiedz mi...

Odwracam się, to Tancerz. Od zawsze przesiaduje właśnie tutaj, w Follii, nigdy nie ruszył się stąd ani na krok.

- Od jak dawna jesteś z powrotem?

- No tak od jakiegoś miesiąca...

- I nawet się nie odezwałeś! Ty fiucie! No już, chodź do środka, szybko, jest impreza, właśnie kroimy obłędny tort, mimozowy. Dawaj. Zabezpieczysz sobie porządną porcję dla siebie i dla swojej pani. Coś pysznego, słodkiego, a na dodatek za darmo, nie?

- Ale kto, moja pani?

- Nie, tort.

Śmieje się i zaczyna krztusić. Chyba te tysiące wypalonych papierosów, które zaległy mu w płucach, też miało niezły ubaw, tak dumny jest ten jego tekst.

Zbieram się, żeby zrobić w tył zwrot, Gin też, a z nami dwaj bramkarze. Ale tak naprawdę nadal mam się na baczności. Jakbym wciąż nie spuszczał go z oka. Strzygę uszami, mam wyczulone wszystkie zmysły, jestem w ciągłym pogotowiu. I dobrze. Przeczucie mnie nie myli. Trzy szybkie kroki za moimi plecami, jedno dziwne szurnięcie, instynktownie pochylam się do przodu, oglądając się za siebie. I widzę go, nadciąga jak burza. Rozjuszony byk roztrąca dwóch ochroniarzy i przymierza się, żeby się na mnie rzucić, ale ja odskakuję w bok. Uderzam go z ukosa, lewym i koleś ląduje na murze. Wydaje z siebie dziki ryk i błyskawicznie się odwraca. Na twarzy ma ślady żółtego tynku z muru oraz zadrapania po obtarciu. Strużka krwi zaczyna mu ściekać z lewego oka, z łuku

brwiowego. Zbiera się, żeby mi oddać. Ale na to wcale nie jest przygotowany. Wyskakuję do przodu, trafiając go z prawej, błyskawicznie, to dlatego, że jest taki wielki, i tak naprawdę nie mam innego wyjścia. Trafiam go w samą twarz, w nos i usta. Zastłania się rękami. Nie tracę czasu, wyjeżdżam mu z kopa prosto w jaja, celniej niż kiedykolwiek mi się to udało podczas gry w piłkę. Bum! Osuwa się na ziemię, jakby nigdy nic, a ja, odruchowo, raz jeszcze go uderzam, tuż po tym, jak dosięga ziemi. Prosto w twarz. Jeden precyzyjny kopniak, już na zakończenie. Ale koleś jest twardy. Mógłby się jeszcze próbować poderwać. Więc zamierzam się ponownie...

- No, Step, już dosyć, chuj z nim, co sobie nim będziesz głowę zawracał. - Tancerz ciągnie mnie za kurtkę. - Chodź na tort, zanim nam wszystko zjedzą.

Poprawiam sobie kurtkę i biorę dwa głębokie wdechy, jeden za drugim. Tak, lepiej dać już sobie spokój. Co mnie, kurwa, opętało? Co mnie ten jełop w ogóle obchodzi?

O, tutaj jest. Odnajduję ją po chwili. Stoi i patrzy na mnie w milczeniu. Gin. Ma takie spojrzenie... Nie potrafię go określić. Chyba sama nie wie, co ma myśleć. Uśmiecham się do niej, starając się przełamać lody.

- Masz ochotę na kawałek tortu?

Potakuje skinieniem głowy. Uśmiecham się do niej. Chciałbym, żeby zapomniała, że na świecie trafiają się też tacy ludzie... Ale Gin wciąż wierzy jeszcze w przeróżne rzeczy. I rozumiem, że może być jej ciężko. Więc potrząsam nią, obejmuję i popycham przed siebie. - No, chodź już...

Wreszcie się uśmiecha. Przepuszczam ją przed sobą. Podaję jej rękę, szarmancko, chyba trochę to się kłóci z tym, co wydarzyło się przed momentem, i pomagam jej pokonać przeszkodę, jaką stanowi wyciągnięty na ziemi poturbowany koleś.

47

Raffaella parkuje samochód na podwórku przed budynkiem. Ich garaż stoi otwarty. Claudio jeszcze nie wrócił. Patrzy na zegarek. Jest północ. Wszystko wskazuje na to, że partyjka bilardu się przeciągnęła... Cóż, skoro jest z tego praca, więc nie ma co narzekać. Zamyka samochód i spogląda w górę. Światło w pokoju Babi wciąż się jeszcze pali. Raffaella idzie w stronę wejścia na klatkę. Nie wie, jak to się dzieje, ale ostatnimi czasy ciągle jest lekko podenerwowana. Może to dlatego, że martwi się zbyt wieloma rzeczami naraz. Alfredo nadal przesiaduje ukryty w ogrodzie, tuż za rośliną. Kiedy ją dostrzega, robi krok w tył, zaszywa się wśród zieleni, w mroku parku. Raffaella słyszy chrzęst pękającej gałązki. Odwraca się gwałtownie.

- Czy ktoś tam jest?

Alfredo wstrzymuje oddech. Zastyga nieruchomo, jak sparaliżowany. Raffaella w popłochu szuka kluczy w torebce, znajduje, otwiera drzwi na klatkę i czym prędzej je za sobą zamyka. Alfredo się odpręża. Wzdycha z ulgą i znów zaczyna normalnie oddychać. Nie, tak dłużej być nie może. Ale jeśli to, co słyszał, jest zgodne z prawdą, to już w ogóle nic tak dłużej być nie może.

- Babi, jesteś w domu? - Raffaella widzi przymknięte drzwi i smugę światła, która sączy się z jej pokoju. - Można?

Babi leży na łóżku. Przegląda czasopisma.

- Cześć, mamó. Przepraszam, nie słyszałam, jak przyszedłeś. Popatrz, właśnie wybrałam coś takiego, i jak ci się to podoba? - Pokazuje jej kilka zdjęć.

- Bardzo. Strasznie się przestraszyłam. Usłyszałam jakiś hałas w zaroślach przy wejściu na klatkę i zlekłam się nie na żarty.

- Ach, nic się nie przejmuj. To Alfredo.

- Alfredo?!

- Tak, już od dwóch dni ukrywa się tam po nocy.

- Ależ tak nie wolno, tylko ludzi straszy. A poza tym w przyszłym tygodniu zaprosiłam do nas na kolację przyjaciół. Wielu z nich go zna, co też sobie pomyślą, kiedy go zobaczą w takim stanie?

- A co cię to obchodzi. - Ale widząc, że Raffaella obstaje przy swoim, Babi ciągnie dalej: - Dobra. Jeśli w przyszłym tygodniu też tak będzie, to z nim porozmawiam. Okay, mamó? - Kładzie przed nią jeszcze jedno pismo. - No i sama popatrz, wreszcie się zdecydowałam, Smeralda trochę mi w tym pomogła. Weźmy te: kłosa zboża i ziarno, tym bardziej że przynoszą szczęście, okay?

- Tak, ale...

- Nie, mamó. Wyszedłeś z domu i poszedłeś sobie pograć, tak było. Koniec, decyzja zapadła, tak? W przeciwnym razie nigdy nie ruszymy z miejsca. Przysięgam, jestem ledwo żywa, mam wrażenie, jakby wszystko ciągle było w proszku, zlituj się...

Raffaella patrzy na nią i się uśmiecha.

- Dobrze, Babi, uważam, że doskonale się nadają. - Widzi, jak się uspokaja, jakby kamień spadł jej z serca.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę.

- Nie mówisz tego tylko po to, żeby mi sprawić przyjemność?

- Nie, naprawdę, te są rzeczywiście najpiękniejsze.

Babi rozpromienia się na nowo. Raffaella wobec tego też postanawia sprawić sobie mały prezent.

- Posłuchaj, Babi, chciałam cię o coś zapytać.

- Tak, słucham.

- Pamiętasz tamten dzień, kiedy tata miał się spotkać ze Stepem i powiedzieć mu, żeby zostawił cię w spokoju?

- Mamo, wciąż jeszcze myślisz o tamtej sprawie? To było przecież ponad dwa lata temu, teraz mamy taką ważną rzecz na głowie, a ty wciąż zwracasz sobie głowę historią sprzed lat?

- Wiem, wiem, ale wcale o tym nie myślę, tyle tylko że chciałabym zaspokoić zwykłą ciekawość. Właśnie, może pamiętasz, czy oni aby tamtego wieczoru przypadkiem nie grali w bilard?

- Tak, oczywiście, pamiętam, że grali i co więcej, nawet wygrali! Dwieście euro, o ile się nie mylę.

- A z kim wtedy byli?

Babi przygląda się bacznie swojej matce. Widzi, że jest jakaś dziwna, zamyślona. Babi się uśmiecha, kręcąc głową.

- Mamo, myślisz, że w twoim wieku wypada, byś dawała się wkręcać i robiła się zazdrosna... no co ty, mamo!

- Przepraszam, masz rację. Tylko że ojciec kupił kij do bilardu nie tak dawno temu. Chociaż wygląda na to, że dał go komuś w prezencie.

- No i wybaczone, ale co w tym złego? A poza tym tamto miejsce, gdzie wtedy grali, chyba zostało już nawet zamknięte!

Raffaella, słysząc to, uspokaja się na dobre.

- W porządku, masz rację. No, to w takim razie teraz pokaż mi resztę tych pięknych rzeczy, które już wybrałaś. - Rozkłada gazetę. Babi pokazuje jej takie, które sama uznała za najładniejsze.

- No więc te ogromnie mi się podobają, ale coś mi się zdaje, że kosztują fortunę.

Dokładnie w tej samej chwili w drzwiach staje Daniela.

- Mamo, muszę z tobą porozmawiać.

- O Boże, zupełnie nie słyszałam, że wchodzisz, strasznie mnie przestraszyłaś. Co wyście wszyscy się na mnie uwzięli dziś wieczór! W każdym razie nie teraz, Danielo, bo akurat musimy podjąć decyzję w kilku bardzo istotnych kwestiach.

- To, co mam do powiedzenia, jest o wiele ważniejsze. Jestem w ciąży!

- Co takiego? - Raffaella podrywa się z łóżka, a Babi tuż za nią. - Czy to jakiś żart?!

- Nie. To prawda.

Raffaella łapie się za głowę, zaczyna krążyć po pokoju. Babi opada na łóżko.

- I to akurat teraz...

Daniela patrzy na nią oniemiała.

- Hej, akurat teraz, akurat teraz... co ty nie powiesz. Wybaczone, że wybrałam akurat ten moment!

Raffaella podchodzi i nią potrząsa.

- Ale jak to możliwe? Nawet nie miałam pojęcia, że spotykasz się regularnie z jakimś konkretnym chłopakiem! - I po chwili uświadamia sobie, że odnosi się do niej zbyt obcesowo. Więc rozluźnia uścisk, puszcza jej ręce, które

opadają bezwiednie wzdłuż ciała i ją głaszczące. - Bardzo mnie zaskoczyłaś. A on, to kto?

Daniela patrzy na matkę, a następnie na Babi. Obydwie czekają na jej odpowiedź. One również mają rozdziawione usta, zastygły w tym nieznośnym oczekiwaniu, dokładnie tak samo jak Giuli. Ale one lepiej to przyjmą. Przynajmniej moja matka. Jej reakcja z pewnością będzie dla Giuli prawdziwym zaskoczeniem. Wiem o tym.

- Właśnie, mam, bo widzisz... jest taki mały problem... to znaczy dla mnie to właściwie nie jest problem, no, i mam nadzieję, że dla was też nie będzie.

Dokładnie w tym momencie na półpiętro budynku dotarł Claudio. Zobaczył samochód Raffaelli i Babi też, zaparkowane, a nawet vespę. Wszyscy są w domu. Powinny już spać. Jego wieczór był wprost idealny... co tam, lepiej. Tamten film o bilardzie, o Spaccone i Scuro z Nutim to przy tym pikuś. To była najpiękniejsza partia bilardu, jaką rozegrał w całym swoim życiu. Ale nie udaje mu się dokończyć myśli, bo czyjś krzyk zakłóca jego wieczór. Krzyk w samym środku nocy, niczym wycie syreny albo alarm. Gorzej. To wrzask Raffaelli. Claudio robi przegląd wszelkich możliwości: zadzwonili z hotelu, bo za bardzo dokazywaliśmy, widziała nas jakaś przyjaciółka, która skrycie jej nienawidzi i dlatego wszystko wyśpiewała, zatrudniła detektywa za jakieś marne pieniądze, a ten przed momentem doręczył jej zdjęcia. Nie przychodzi mu do głowy nic poza ucieczką. Już za późno. Raffaella go dostrzega.

- Claudio, chodź tu natychmiast, chodź tutaj! - Raffaella nie przestaje wydzierać się jak opętana. - Chodź natychmiast i posłuchaj, co się stało!

Claudio nie ma pojęcia, co robić. Posłusznie ulega, całkowicie podporządkowany temu krzykowi, który go paraliżuje, odbierając mu jakąkolwiek zdolność reagowania, pozbawia go wszelkiej pewności, udaremnia ewentualną próbę obrony.

- Więc chcesz usłyszeć, co się takiego stało? Daniela jest w ciąży!

Claudia ogarnia uczucie ulgi. Patrzy na nią. Daniela milczy. Ma spuszczone wzrok. Ale Raffaella jeszcze nie skończyła.

- Poczekaj, dobrze, tylko poczekaj! To jeszcze nie wszystko! Chcesz poznać ciąg dalszy? Jest w ciąży i nawet nie wie z kim!

W tym momencie Daniela unosi wzrok i patrzy na Claudia, błagalnie, spragniona jakiegokolwiek gestu przebaczenia, odrobiny uczucia, przejawu solidarności, jakiegokolwiek wsparcia. Jest jeszcze Babi, która patrzy na siostrę z obrzydzeniem, myśląc, że ta z premedytacją postanowiła zepsuć jej ten ważny moment. I Raffaella, która stoi po drugiej stronie pokoju. Ona też się spodziewa, że Claudio coś zrobi. Da córce w twarz, wydrze się na nią, cokolwiek. Ale Claudio jest totalnie wyczerpany. Nie wie, co ma powiedzieć, co myśleć. W jakiejś mierze mu ulżyło. Przez chwilę obawiał się, że go nakryła. Więc postanawia załatwić to po linii najmniejszego oporu, chociaż zarazem jest pewien, że przyjdzie mu za to płacić przez całe lata.

- To ja się kładę. Przepraszam, ale na dodatek przegrałem jeszcze w bilard.

48

Muzyka. Pierwsza sala. Ludzie wchodzą i wychodzą, żartują, piją, zanoszą się śmiechem. Chłopaki, którzy krzyczą, byle tylko dało się usłyszeć, co mają do powiedzenia, dziewczyny, które się im przysłuchują; raz po raz gromkie salwy śmiechu. Są i tacy, którzy zastygli bez ruchu, tacy, którzy się rozglądają, którzy na coś liczą, i tacy, którzy myślą sobie Bóg wie co.

Druga sala.

DJ, jakiś dziwny, na oko zbyt normalny, za mało pojechany, puszcza muzykę. Wszyscy tańczą i ciężko jest się przedrzeć. Kilku ekshibicjonistów przeniosło się na piętro z balustradką. Na górze, jeszcze na paru innych niedokończonych występach, jakby przez przypadek porzuconych w trakcie budowy przez jakiegoś architekta, tańczy kilka dziewczyn. Półnaga tancerka. Kobieta marynarz. Jedna ubrana jedynie w siatkę. Dziewczyna żołnierz. Piękne. A przynajmniej na takie wyglądają. Skądinąd jednak muzyka i światła niekiedy potrafią splatać przykrego figla. Tancerz toruje sobie drogę, odsuwa od siebie uprzejmie innych tancerzy, mniej od niego umięśnionych, ale chyba obdarzonych lepszym poczuciem rytmu. Powolutku posuwamy się w tym swoistym tanecznym korowodzie.

Trzecia sala. Sala VIP-ów.

Groźnie wyglądający koleś z przepaską na oku wyje na całe gardło, to ostatni bastion tej efemerycznej kapeli, którą ma za plecami. Radzi sobie nawet nie najgorzej;

Kilku VIP-ów, wystarczająco anonimowych, rozsiadło się na kanapie w trzeciej sali, zajmującej część antresoli. Koleś przy wejściu na ten mały ring pilnuje, żeby nikt nieuprawniony nie wdarł się do tego prywatnego rajku. Albo może, żeby te nieliczne VIP-y, które już się tam znalazły, nie ulotniły się przed czasem. Tancerz przynosi nam dwie porcje tortu.

- Teraz Walter zaprowadzi was do stolika i poda wam po kieliszku szampana. Ej, Step, sorry, stary, ale na mnie już czas, moje miejsce jest przy drzwiach.

Puszcza do mnie oczko i się uśmiecha. Wyrobił się, nie ma co. Nie przypominam sobie, by był równie ironiczny, i to w tak specyficzny sposób.

Stoimy tak na środku sali, każde ze swoją porcją tortu w ręku. Gin, manewrując niezdarnie plastikowym widelcem, usiłuje choć trochę się pożywić.

- O co chodzi, zła jesteś?

Uśmiecha się do mnie.

- Nie, co to ma do rzeczy. Tamten koleś to był zwyczajny chuj. Zrobiłabym to samo, gdybym tylko mogła. Może tylko byłabym mniej brutalna.

Patrzę na nią i natychmiast poważnieję. Rozczuła mnie. Staram się być delikatny.

- Czasami nie masz wyboru. Wtedy lepiej wziąć na wstrzymanie, udać, że nic się nie stało. Ale akurat w moim wypadku to ty dokonałaś wyboru...

- I źle zrobiłam?

- Skąd. Zaczynam cię poznawać. Wiem tylko, że kiedy się z tobą umawiam, to muszę być w dobrej formie.

- Czy myślisz, że dostał nauczkę?

- Nie sadzę, ale nie mogłem postąpić inaczej. Koleś mógł być na maksa nakoksowany. Z takimi sobie nie pogadasz. Albo ja, albo on. Z kim wolałabyś zjeść tort?

Szybko wkłada do buzi kolejny kawałek.

- Dobrze. - Uśmiecha się do mnie, zajadając ze smakiem. Ma pełne usta i ledwo jestem w stanie zrozumieć, co teraz mówi.

- Chcę go zjeść z tobą.

Nadchodzi Walter, koleś około czterdziestki, w białej koszuli z falbanami. Wygląda na kogoś, kto zawitał tu wprost z osiemnastowiecznej Francji.

- To dla was.

I stawia nam na stoliku dwa puchary szampana. Odkładam tort. Opróżniam swój kieliszek. Gin też wypija jednym haustem zawartość swojego. I od razu zgarniamy po jeszcze jednym, prosto z tacy, którą niesie przechodząca obok dziewczyna. Gin prawie wypuszcza kieliszek z rąk, ale udaje mi się do tego nie dopuścić. Jestem lekko wstawiony, ale wciąż przytomny.

- Chodź, idziemy.

Biorę ją za rękę i prowadzę do wyjścia awaryjnego. Chwilę później jesteśmy już na ulicy. Letni wietrzyk, lekki, październikowy. Na ziemi pojedyncze liście, wciąż jeszcze nieliczne. Rozglądam się wokół. Nieopodal jest wejście do klubu Follia, koleś wciąż jeszcze leży na ziemi jak długi. Z tym, że teraz uniósł się na łokciach, a tymczasem jego dziewczyna stoi przed nim, trzyma się pod boki i wpatruje się w niego, wygląda jak amfora. Kto wie, co sobie myśli. Być może gdzieś w głębi ducha się cieszy, że ktoś go tak urządził. Oczywiście nie może dać tego po sobie poznać. A nuż coś się między nimi zmieni. A nuż tak, a nuż... Ciężko. Ale jakoś specjalnie mnie to nie obchodzi. To jej wybór, nie mój.

- Ej, można się dowiedzieć, nad czym tak dumasz? Tylko mi nie mów, że wciąż się napawasz tym, jak urządziłeś tamtego koleśia. Facet miał po prostu pecha, sam się do tego przyznałeś. Albo ty, albo on. Kwestia ułamek sekundy. A on się zagapił. Wziąłeś go z zaskoczenia. W normalnych okolicznościach sama nie wiem, jakby się to skończyło.

- A ja sam nie wiem, jak ty zaraz skończysz, o ile się nie uspokoisz. Wskakuj do samochodu, ale już.

- A teraz dokąd mnie zabierasz? Zjedliśmy już deser i to nawet za friko.
- Brakuje jeszcze czeresienki.
- Czyli?
- Czyli ciebie.

Włączam muzykę, tak by uniemożliwić Gin odpowiedź, ustawiam ją na cały regulator i mam farta. - *Drugiej takiej jak ty, nawet gdybym sam miał ją wymyślić, i tak nie spotkam... Wiem, to dla mnie jasne jak stonce, że...* - Gin się uśmiecha, kręcąc głową. Udaje mi się złapać ją za rękę, którą zaraz przyciągam sobie do ust. Całuję ją delikatnie. Jest taka miękka, świeża i pachnąca. Żyje własnym życiem, pomimo tego wszystkiego, z czym się zetknęła. Całuję ją jeszcze. Samymi ustami. Między palcami. Miejsce obok miejsca, wodzę ustami po jej skórze, przywieram nimi mocno, ani na moment nie przerywam, daję się ponieść i się w tym zatracam. Widzę jak zamyka oczy i odchyła głowę do tyłu, na oparcie. Teraz już nawet jej włosy skapitulowały. Odwracam jej dłoń i całuję ją od wewnętrznej strony. Delikatnie zaciska mi ją na twarzy, a ja tymczasem oddycham między wyżłobionymi na niej liniami... Życia, szczęścia, miłości. Oddycham po cichu, bezgłośnie. A ona nagle otwiera oczy i patrzy na mnie. Wydają się jakies inne te jej oczy, skrzą się niczym kryształ, a ich kontury lekko się rozmywają w jasnej poświacie. To ze szczęścia? Nie wiem. Wpatrują się we mnie pośród mroku. One również wyglądają, jakby się uśmiechały.

- Patrz na drogę...

Karci mnie. Robię, co mi każe, i wkrótce potem skręcam w prawo, zjeżdżam w dół, wzdłuż rzeki. Lungotevere, pośród samochodów, pośród innych, przy dużej prędkości i przy muzyce, z jej ręką spoczywającą w mojej, którą raz po raz wykonuje jakiś ruch, niczym tancerka zaproszona do nie wiadomo jakiego tańca. O czym myśli? I czy zdołała odgadnąć, jaka będzie jej odpowiedź? Tak, nie... Zupełnie jak w partii pokera. A ona siedzi tuż obok, patrzę na nią przez chwilę. Nieznacznie spogląda w dół, ale po wyrazie jej oczu poznaję, że się uśmiecha, ma w nich takie zabawne iskierki i tyle słodczy. Nie ma co, najlepiej przebić ją od razu, tak by musiała odkryć karty. Co się okaże: tak... czy nie... a może jest za wcześnie, żeby coś powiedzieć? Nigdy nie jest za wcześnie. Nie ma czasu na takie rzeczy, a poza tym to nie partia pokera, gra nie toczy się o żadną konkretną stawkę. Ale... A nuż spasuję. Jak fajnie jest być sobie taką „panienką z okienka” jak ona. Kobietką opartą o parapet, która siedzi w oknie i mi się przygląda, rozmyśla, zastanawia i dobrze się bawi. Śmieje się do tego młodego mężczyzny, który krąży pod jej balkonem, który nie wie, co ma robić, czy pozostać obojętnym i tylko zwyczajnie się uśmiechnąć, czy też poprosić o jakiś sznur... Tak, by mógł wdrapać się na górę... Naprawdę masz szczęście, że możesz sobie tak po prostu siedzieć i czekać na to, co zrobię.

- Trochę kręci mi się w głowie.

Uśmiecha się, kiedy to mówi. Czy to aby nie takie małe usprawiedliwienie, na wypadek gdyby do czegoś doszło? A może to usprawiedliwienie na całego, bo sama już dobrze wie, że i tak do czegoś dojdzie.

Albo po prostu kręci jej się w głowie i chciała mi o tym powiedzieć. Po prostu. Ale co tu jest proste? Nic, co się liczy... Kto to powiedział? Nie pamiętam. Sam siebie wprowadzam w błąd, pokrętne i skomplikowane machinacje, rozważania doprowadzone do skrajności, byle tylko zobaczyć, jakie mam tak naprawdę szanse. Na ile procent da się stwierdzić, że mi się uda? Dostyc, żeż kurwa... Nie podoba mi się roztrząsanie tego wszystkiego.

- Mnie też się kręci.

A oto i moja prosta odpowiedź. Po prostu. Gin trochę mocniej zaciska swoją rękę na mojej, a ja, jak głupiec, dopatruję się w tym jakiegoś znaku. A może nie. Zawracanie dupy. Za dużo wypilem.

Aventino.

Zakręć i potem już w górę, na wiadukt. Samochód pruje, że aż miło. Mój brat będzie szczęśliwy, że mu go znalazłem. Śmiać mi się chce. Ona patrzy na mnie, odwracam się i to dostrzegam.

- Co jest? O czym myślisz?

Gin, z lekko zmarszczonymi brwiami. Gin o lekko chmurnym spojrzeniu. Gin zmartwiona.

- To nic, sprawy rodzinne.

Gianicolo. Ogród botaniczny. Zatrzymuję się w okamgnieniu, zaciągam ręczny i wysiadam.

- Ej, dokąd się wybierasz?

- Nic takiego... nie martw się, zaraz wracam.

Zamyka drzwi, sięga do nich wsparta o moje siedzenie i blokuje zamki od środka. Gin pogodna. Gin bezpieczna. Gin przezorna. Rozglądam się wokół. Nic. Świetnie, ani żywego ducha. Raz, dwa i... trzy. Wspinam się na parkan, skaczę i już jestem po drugiej stronie. Idę w ciszy. Lekkie zapachy, mocniejsze zapachy, trochę ostre. Przyszłe wody kolońskie, których na razie jeszcze nie ma. Destylaty w ampułkach, kosztowne esencje. O, jest. A oto i moja ofiara. Intuicja mi to podpowiada, biorę ją ostrożnie, urywam, mocno pociągając, ale dbam o to, by jej nie uszkodzić. Od zawsze pragnąłem to zrobić i teraz... Teraz jesteś moja. Raz, dwa, trzy kroki i znów jestem na zewnątrz. Rozglądam się wokół. Nic. Świetnie, ani żywego ducha. Wracam do samochodu. Gin spostrzega mnie nagle. Aż się przestraszyła. Po chwili otwiera.

- Gdzieś ty się podziewał? Najadłam się przez ciebie strachu.

I wtedy rozchylam kurtkę i odsłaniam ją w całej okazałości. Niczym spinaker, który nagle na pełnym morzu nabiera wiatru. I w okamgnieniu jej zapach zalewa cały samochód. Dzika orchidea. Materializuje się ot tak, w moich rękach, za sprawą jednego gestu, jakbym miał więcej wspólnego ze sztukmistrzem aniżeli z pospolitym i nieudolnym złodziejaskiem.

- To dla ciebie. Od kwiatu dla kwiatu, wprost z ogrodu botanicznego. Gin ją wacha, pochyla się, zanurzając twarz w samym środku kielicha dzikiej orchidei tak by poczuć jej zapach w najintensywniejszej postaci. Ona, młoda kobieta zastygła w bezruchu, po chwili unosi głowę znad tych okazałych

płatków. Przypomina mi to jakąś kreskówkę. Bambi, tak właśnie, Bambi. Te jej wielkie oczy, roziskrzone, przejęte, kiedy podnosi wzrok ponad tych delikatnych płatków egzotycznego kwiatu. W tych oczach jest strach i niepewność co do najbliższej przyszłości. I to nie czyjejkolwiek, tylko jej własnej.

Jedynka, dwójka, trójka, znów jedziemy przed siebie. Pokonujemy łagodne zakręty i jedziemy pod górę. Mijam barierkę, zgodnie z którą właściwie powinniśmy się zatrzymać i parkuję dopiero kawałek dalej. Campidoglio.

- Chodź!

Pomagam jej wysiąść, a ona podąża w ślad za mną jak urzeczona.

- Ale zrozum tylko, że...

- Ciii! Mów cicho, ludzie tutaj śpią.

- Tak, dobrze. Ale chciałam ci tylko powiedzieć... Zrozum, że tutaj o tej porze nie udzielają ślubów. A poza tym nawet jeszcze o tym nie rozmawialiśmy. Ja chcę, żeby było jak w bajce, już ci to mówiłam.

- To znaczy?

- Biała suknia z dekoltem, wiązanka różnych gatunków kwiatów z kłosami i piękny kościół, cały pośród zieleni albo nie, nad brzegiem morza.

Śmieje się.

- A widzisz, że sama wciąż jesteś jeszcze niezdecydowana?

- Jak to?

- To pośród zieleni czy nad morzem?

- Ach, myślałam, że chodzi ci o to, iż jestem niezdecydowana, czy cię poślubić, czy też nie.

- Nie, w tym wypadku akurat jesteś zdecydowana na sto procent.

Wszystko byś za to dała.

Przyciągam ją do siebie i próbuję pocałować.

- Zarozumiałaś i niezbyt romantyczny.

- Dlaczego niezbyt romantyczny?

- Nie składa się zawołanych propozycji. Ha, ha! - Udaje, że ją to bawi i wymyka mi się z uścisku, niczym ryba wywija się z sieci i ucieka, pędząc przed siebie, ogląda się dopiero za ramię. Jestem tuż za nią. To raptem chwila. Wpadamy na piazza del Campidoglio. Światło pada na nas z góry. Na środku pomnik z tabliczką. Oczywiście trwają prace renowacyjne. Zatrzymujemy się, wprawdzie jesteśmy blisko, ale jednak rozdzieleni. Wszystko wydaje się takie piękne, a już zwłaszcza ona. Wychyla się zza pomnika.

- No i co z tobą? Już masz dość?

Udaje, że wyrwam do przodu, ona daje się nabrać i ucieka, chowa się za pomnikiem. Ja tymczasem biegnę od drugiej strony i bum, chwytam ją z zaskoczenia. Krzyczy.

- Nie... zostaw!

Podnoszę ją i zabieram. Na własną rękę skuteczniam porwanie Sabinek albo coś w tym stylu. Byle dalej od światła i byle zejść z widoku. Docieramy

pod kolumnady, gdzie panuje półmrok. Stawiam ją na ziemi, a ona obciąża sobie kurtkę, zakrywając ledwie odsłonięty brzuch, gładki i jędrny. Odgarniam Gin włosy, odsłaniając przy tym jej twarz, lekko zarumienioną pod wpływem niedawnego biegu albo dlatego, że ukrywa jakiś wstydlivy sekret, a może z jakiegoś jeszcze innego powodu. Jej klatka piersiowa gwałtownie unosi się i opada, ale z czasem stopniowo zwalnia.

- Ale ci serce mocno wali, co?

Moja dłoń na jej biodrze. Pod kurtką, pod koszulką, lekka, prawie taka jak zwyczajny dreszcz, i to na jej własnej skórze. Ona zamyka oczy, a ja powoli sunę w górę, brzegiem dłoni dotykam jej bioder, jeszcze wyżej, pleców aż po same ramiona. Rozchylam palce i przyciągam ją do siebie, tulę, przywieram do niej całym ciałem, całuję. Z tyłu za plecami mamy kolumnę nieco niższą od pozostałych, o szerszym od nich przekroju. Popycham ją delikatnie w tamtą stronę, tak by powoli mogła się na niej ułożyć. Ona nie waha się ani chwili. Jej włosy, jej ciało lgną do tej starożytnej powierzchni, sponiewierananej przez miniony czas, poprzecinanej słowiała siatką żyłek, do tego marmurowego blatu z mnóstwem otworków, po którym widać oznaki zmęczenia, bo też w końcu już niejedno w życiu widział... Nogami oplótła mnie w pasie, zaciska mi je lekko na biodrach i kołysze mną raz w prawo, raz w lewo. Daję się jej ponieść. A tymczasem moje ręce zapuszczają się spokojnie i błędzą sobie wzdłuż jej paska, samych spodni, wokół guzików. Bez pośpiechu, bez... uwalniania czegokolwiek. Bez nadmiernej pożądlivosti. Na razie. I nagle Gin odwraca się w lewo, otwiera oczy i rozgląda się wytrzeszczonym wzrokiem.

- Tam coś musi być!

Przestraszona, dociekliwa, chyba nawet trochę poirytowana. Wpatruję się uważnie w mrok, wciąż jeszcze odurzony, na lekkim miłosnym haju.

- To nic. Jakiś kloszard.

- I ty to nazywasz nic? Chyba oszalałeś.

I podrywa się bezzwłocznie. A ja, choć nic nie słyszałem, tym bardziej że nie mam najmniejszej ochoty wdawać się w awanturę, biorę ją za rękę. Pomagam jej. I uciekamy przed siebie, zostawiając za plecami tę przepołowioną starożytną kolumnę oraz tamtą postać mniej lub bardziej współczesną, pogrążone w mroku. Niczym w labiryncie posuwamy się naprzód, pośród zaszytej w ciemności zieleni i mniej lub bardziej łagodnych światel padających na Forum Romanum. Gdzieś daleko w dole majaczą starożytne kolumny, filary i budowle. Jakaś odchodząca od piazza del Campidoglio uliczka gramoli się w górę. Kunsztownie zdobione tarasy z małymi balustradami, wysypana żwirem ziemia, wypielegnowana zieleń, dziko rosnące krzewy. Całe miasto u naszych stóp. - Rupe Tarpea.

I tak zastygamy, zawieszeni w próżni tych ruin, pod murkiem, na idealnie osłoniętym, pogrążonym w ciemności skrawku przestrzeni, z ukrytą ławeczką. Gin już wyraźnie spokojniejsza rozgląda się wokół.

- Tu już nikt nas nie dojrzy.

- Ty mnie widzisz.

- Jeśli chcesz, to mogę zamknąć oczy.

Nie mówi tak, nie mówi nie. Nic nie mówi. Ale oddycha tuż przy moim uchu, kiedy ją rozbieram. Zdejmuję z niej kurtkę, bluzeczkę, rzucam je na ławkę, ale zaraz same się z niej zsuwają i lądują w nieładzie wprost na ziemi, pośród jeszcze czarniejszej nocy. Ściągam jej buty i spodnie, rozbieramy siebie nawzajem. W pewnym momencie przerywamy. Ona stoi przede mną, zakrywa sobie piersi, sama się obejmuje, skrzyżowawszy ręce na ramionach, z włosami skąpanymi w księżycowej poświacie, naga, tylko w majtkach, które ją zasłaniają małym trójkącikiem. Nie mogę w to uwierzyć. Ona, Gin. Ta sama Gin, która chciała mnie zrobić na 20 euro.

- Ej, a ty co, gapisz się na mnie?

- Nie powiedziałaś, że mi nie wolno. A poza tym się mylisz, mam zamknięte oczy.

Skądś, z jakiegoś lokalu czy też otwartego na oścież okna dochodzą odległe dźwięki stereo. *Won't you stop me, stop me, stop me...* Nie. Nie chcesz, Gin. Wiedzą o tym dobrze także kolesie z Planet Funk.

- Ale z ciebie kłamczuch.

I zabiera ręce, tak że wreszcie mogę na nią popatrzeć, a przy tym się uśmiecha. W końcu podchodzi do mnie, staje w lekkim rozkroku. Nie rusza się i tylko się we mnie wpatruje.

- Słuchaj...

- Ciii... nic nie mówmy.

Całuję ją i powoli zsuwam z niej majtki.

- Nie, mam ochotę porozmawiać. Po pierwsze, czy masz... tak, no wiesz... to co trzeba?

- Mam... - śmieję się. - Mam.

- No tak, wiedziałam, nosisz je w kieszeni czy w portfelu? A może je kupiłeś tuż przed tym, zanim po mnie przyjechałeś? Bo a nuż już wtedy byłeś pewien, że tak to się skończy! No, jeśli chcesz, to możemy to zrobić bez...

- Przyznaj się, jak najszybciej chciałabyś mieć rozkosznego bobaska: pięknego, inteligentnego, silnego tak samo jak ja, co?

- Sorry, ale to znaczy, że po mnie nic nie odziedziczy?

- Niech ci będzie... Wady może mieć po tobie.

- Straszny z ciebie głupek. Ale nie, bez żartów, to w końcu masz czy nie... no, wiesz co!?

- Spoko, spoko, prawdę powiedziawszy, nie od razu miałem...

- No, pewnie, a teraz już masz, a niby od kogo? Od kloszarda?

- Nie, od Tancerza, mojego przyjaciela z klubu Follia. Podszedł do mnie, włożył mi je do kieszeni i powiedział...

- Co ci powiedział?

- Powodzenia... Jest naprawdę ładna, ale nie sędzę, by ci się udało.

- Jaki kłamczuch z ciebie...

- Ale to prawda! No, może nie użył dokładnie takich słów, ale sens był taki sam, mniej więcej.

- I jeszcze jedno...

- Nie, już dosyć gadania...

Przyciągam ją do siebie. Całuję w szyję, odrzuca włosy do tyłu, a ja, mały wampir, nie przestaję się do niej przysysać, rozkoszując się jej smakiem, zapachem, oddechem. Mam wrażenie, jakby moja dłoń sama ją pieściła, błędząc jej po biodrach, wokół talii, między nogami, tam, gdzie kiedyś rozwinie się życie. Słyszę, jak cicho wzdycha, z chwili na chwilę coraz szybciej, i jednocześnie wije mi się w ramionach, prawie jakby tańczyła, łagodnie, w górę i w dół, nie myśląc o niczym innym, nie zasłaniając się fałszywym wstydem, uśmiechnięta, patrzy na mnie spod przymkniętych powiek, jest przy tym taka spokojna i pogodna, że aż mnie to peszy. I jakby tego było mało, kiedy sięgam ręką, żeby wyjąć to, co nam zagwarantuje pełne bezpieczeństwo...

- Zostaw, ja chcę to zrobić.

- Ale słuchaj, to ja mam w tym wystąpić.

- Wiem... palancie. Chcesz wiedzieć, ile ich już założyłam? Poczekaj, niech no się zastanowię...

- Nie chcę wiedzieć.

- To będzie szesnasty raz, kiedy ją zakładam.

- Ach... Całe szczęście.

- Dlaczego?

- No, bo gdyby to był siedemnasty, to bym się zmartwił, siedemnastka przynosi pecha!

Nie ustępuje, ale za to dobrze się dzięki niej bawię. Rozpieczętowuje ją, jakby rozwijała cukierka, próbuje rozerwać opakowanie paznokciami, ale jej się nie udaje, bierze je w zęby i tym razem wychodzi jej to już nieprzyzwoicie zmysłowo.

- Spokojnie... przecież ci tego nie zjem.

Jedno zdecydowane pociągnięcie i już ma ją w rękach. Obraca ją raz po raz, uśmiechnięta. - Jakie śmieszne...

To wszystko, co ma do powiedzenia. Po chwili odwraca twarz w moją stronę. - I co teraz?

Cały nagi rozchyłam nogi, a ona powoli bierze go w ręce, przesuwa dłoń w górę i w dół... i zaraz nakłada mi ją spokojnie.

- Dobrze się spisałam?

- Aż za dobrze!

Ale nie mówię nic więcej. Jestem niczym superwykwalifikowany astronauta w tej podróży pośród astralnych koniunkcji, pod ugwieżdżonym niebem, nad kobietą w ekstazie, otoczony ruinami przeszłości, ogarnięty rozkoszą chwili, która trwa.

Galaktyka. Otchłań międzyplanetarna. Natura. Zapachy. Żadnej dzikości... Lekki opór, może nawet zbyt wyraźny... Dziwne. Nie przerywam, ona tymczasem zamyka oczy.

- Zimna ta ławka.

Ale i tak się na niej kładzie i opiera o nią plecy. Unosi trochę nogi, chcąc mi pomóc.

- Ała...

- Boli cię?

- Nie, nic się nie przejmuj...

Nic się nie przejmuj... Nie mogę w to uwierzyć, nie mogę i już, ja, Gin, właśnie to robię... Trwam tak w milczeniu, zawieszona, prawie zasłuchana w moje własne życie, które przepływa po mnie, pode mną, we mnie. W tym decydującym momencie, tak ważnym dla całego mojego życia, jedynym, na zawsze. Już nigdy nie będę go mogła przekreślić. Mój pierwszy raz. I wybrałam właśnie ciebie. Ciebie wybrałam. Brzmi to prawie tak samo jak słowa tej piosenki... Ale to nie piosenka. To się dzieje naprawdę. Jestem tu, ja, w tym momencie. I Step. Widzę go, czuję go. Jest na górze. Przytulam go, obejmuję, obejmuję go mocno, jeszcze mocniej. Boję się, tak samo jak zawsze, ilekroć robię coś, o czym nie mam pojęcia. Ale to taki zwyczajny strach, bardziej niż zwyczajny... Czy nie? Kurka wodna, Gin, tylko nie daj się teraz opętać wszystkim swoim paranojom, przestań sama siebie karmić tymi projekcjami, nie daj się temu wszystkiemu, no wiesz... Cholera jasna, Gin, co ty mi tu wyprawiasz? Gin chodząca mądrość i Gin buntowniczką... Gdzieście się podziały? A tam, poszły się jebać... Ale jak to? One też! Strasznie śmieszne... ale beznadziejny tekst, o Boże, nie, to tylko tak, żeby przestać krakać... Boję się, ratunku. Zamykam oczy, oddycham, wzdygam, i tak mi się podoba. Trzymam go za szyję, za ramię, już nie jestem cała spięta, już się nie martwię... W milczeniu, właśnie tak, daję się ponieść, ulegam magii chwili, poddaję się jej całkowicie... Podoba mi się. Czuję go. Czuję dotyk jego rąk, czuję, jak dotyka mnie całą, jak pozbawia mnie ostatniej rzeczy, którą mam na sobie, delikatnie, tak że prawie sobie tego nic uświadamiam... I co teraz zrobi? Nie, ratunku... Właśnie we mnie wnika. O Boże, jak to brzmi, nie chcę o tym myśleć. Nie chcę tego roztrząsać tu i teraz, przyglądać się sobie z zewnątrz, wciąż się kontrolować i dostawać rozdwojenia jaźni, słuchać własnej świadomości, która nie potrafi zamilknąć, wciąż tylko głądzi... Och, czego ty chcesz... Dostyc, daj mi spokój... Nie! Chcę dać się ponieść. Rozkołysana jego miłością, w morzu namiętności, na fali pożądania, powoli dać się unieść jego prądom. Zatracić się. Tak, przestać się zadręczać. Zatracić się w jego ramionach... Teraz. O tak.

Wciąż czuję, że jest spięta, o, już nie, teraz się rozluźnia... Ostatni ruch w rytm muzyki, której nie ma, ale może właśnie to czyni ją jeszcze piękniejszą. Serca i westchnienia...

Nagła cisza. O Boże, myślę sobie, Gin, zaraz to zrobisz... Czuję zapach jego oddechu, jego pożądania. I szukam ust Stepa, jego uśmiechu, jego warg. Odnajduję je i mu się w nie wpijam, żeby się ukryć, by się odnaleźć, w pocałunku jeszcze dłuższym, głębszym, namiętniejszym, jeszcze bardziej... Jeszcze bardziej wszystko.

Głośniejszy jęk i oto jest cała moja. Ta myśl wydaje mi się taka dziwna. Moja, moja. Moja teraz, moja już... Moja w tej chwili, tylko moja. Nie mogę się powstrzymać, żeby tak nie myśleć. Moja. Moja na zawsze... Może. Moja teraz, na pewno. Teraz jest miłość... W niej. I jeszcze raz, i znów, nie przerywam... Teraz się uśmiecha, słodko, niewymuszenie.

I dokładnie w tym momencie go czuję, to on, we mnie... Jedna chwila. Skok, zanurzenie, ale jakby na odwrót... Ostry ból jak przekłute ucho, mały tatuaż, ząb, który wypadł, jak rozkwitły pąk kwiatu, jak zerwany owoc, jak jazda bez trzymanki, jak upadek na nartach... Tak, właśnie, upadek na nartach, wprost na świeży śnieg, zimny i biały, który dopiero co dotknął ziemi, zaledwie przed chwilą spadł z nieba, i ty na śniegu, twarzą lecisz do przodu, wciąż nic możesz się zatrzymać, śmiejesz się i wstydzisz zarazem, masz szeroko otwarte usta, a w nich pełno śniegu, do niczego z siebie narciarka, ale ubaw masz co niemiara, ty w czasie swojego pierwszego upadku, kiedy lecisz głową w dół... Na tym śniegu, puszystym i nieskazitelnym, jak ja, bo tak czuję się w tej chwili. Nareszcie. Jest we mnie, czuję go, u mnie w brzuchu, pomocy, sama sobie przychodzę z pomocą... Jak cudownie. I się uśmiecham, przestaję myśleć o bólu, znów, jak wcześniej, czuję, odbieram bodźce, doznania i zakosztowuję rozkoszy, małe ukąszenie... Nic mi nie jest, podoba mi się, pragnę go. Zupełnie jak jego litery, na skórze, od dziś, wyryte we mnie na zawsze.

- Step, pragnę cię.
- Co powiedziałaś?
- Nie nabieraj mnie.
- Nie, przysięgam, nie zrozumiałem.

Step leży na mnie, nie przerywa, widzę go nad sobą, jak się porusza. We mnie. I patrzę mu w oczy i zatracam się w nich urzeczona jego spojrzeniem, zahipnotyzowana jego wzrokiem, w którym jest miłość, a może i nie, ale na razie nie zaprzęgam sobie tym głowy, nie teraz... Mówi do mnie, ale niezrozumiale, wzdycha mi do ucha, to wiatr, to rozkosz unoszą z sobą jego słowa, kradną mi je, a on się uśmiecha i śmieje, i nie przestaje rytmicznie się poruszać, a mi jest tak dobrze, tak niesłychanie dobrze, i sama nic już nie rozumiem, całuję własne ręce, jestem taka nienasycona i powtarzam mu to, co wcześniej... - Step, pragnę cię...

Później, nie wiem, ile później, Gin siedzi mi na kolanach i mnie obejmuje, a ja tymczasem próbuję się pozbyć naszego zabezpieczenia. Zsuwam je sobie. Na palcach zostaje mi delikatny ślad, jakby po atramencie w kolorze czerwieni. Podpis nie do usunięcia. Moja... Na zawsze moja. Moja po wsze czasy. Nie mogę w to uwierzyć.

- Ale...

- Właśnie to usiłowałam ci powiedzieć...

- To znaczy, że ty nigdy wcześniej nie...?

- Nie, nigdy wcześniej nie...!

- Dlaczego nie nazwiesz rzeczy po imieniu?

- Tak, nigdy wcześniej się nie kochałam i w czym tkwi problem?

Wszystko zawsze dzieje się kiedyś po raz pierwszy, nie? No, właśnie to był mój pierwszy raz.

Kompletnie mnie замуrowało, nie wiem, co powiedzieć. Może dlatego, że nie ma o czym mówić.

Gin się ubiera. Moja... Patrzy na mnie i się uśmiecha, wzruszając ramionami.

- Widzisz, jakie to dziwne? Pośród tylu koleśki padło akurat na ciebie. Chyba nie będziesz miał o to do siebie pretensji, prawda? Ale też mam nadzieję, że nie będziesz się tym szczycił.

Wkłada bluzeczkę, a na nią kurtkę, ale stanika nie. Wciąż nie jestem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Wkłada stanik do kieszeni kurtki.

- A poza tym sama nie wiem... To chyba najwyraźniej już taki wieczór. .. za to od jutra lepiej, żebyś sobie wybił z głowy wszelkie dziwaczne pomysły, muszę nadrobić stracony czas. Także dlatego, że statystycznie rzecz biorąc mam czteroletnią obsuwę. Większość dziewczyn ma to już za sobą w wieku lat piętnastu.

Ubrana od stóp do głów stoi na schodach przy latarni, gdy tymczasem ja dopiero kończę zapinać kurtkę. I raptem zaczyna się śmiać. Pewna siebie, pogodna, rozluźniona.

- Prawdą jest również, że w dzisiejszych czasach obserwuje się niejaki powrót do pewnych wartości z przeszłości. Słowem, powiedzmy, że ja spokojnie sytuuję się gdzieś pośrodku.

Wkrótce ją doganiam i idziemy już obok siebie. Tym razem nareszcie w ciszy, także dlatego że ja nie zdołałem wydusić z siebie ani słowa. W pewnym momencie kładzie mi rękę na plecach. Obejmuję ją i przytulam do siebie. Idziemy przed siebie wtuleni, oddycham nią. Ona, Gin, wciąż jeszcze emanuje zapachem swojej pierwszej miłości. Moja. Moja. Moja.

- Wiesz, Step, zastanawiałam się właśnie nad jedną rzeczą...

I masz ci, wiedziałem. Było za pięknie! Kobiety i te ich przemyślenia. Kończy się tym, że zepsują ci nawet te najpiękniejsze chwile, które jako jedyne zasługują na to, by je przeżyć w ciszy. Udaję, że wcale mnie to nie zmartwiło.

- Nad czym?

Opiera mi głowę na ramieniu.

- Przyszła mi do głowy dziwna myśl, to znaczy tak naprawdę ogarnęła mnie ciekawość... Pomyśl tylko... Kto wie, czy od czasów starożytnego Rzymu do dzisiaj ktoś już to robił przed nami w tym samym miejscu.

- Nikt.

- Skąd ta pewność!

- Nic na to nie poradzę, pewne rzeczy po prostu się czuje, intuicja ci to podpowiada, i tyle.

Przystaje. Patrzy na mnie. Ma tak intensywne spojrzenie. I uśmiecha się jakoś tak...

- Jestem tego pewien... nikt. Wierz mi.

I wobec tego znów składa mi głowę na ramieniu. Rzeczywiście ją przekonałem. Chyba wypadłem wiarygodnie. Cholera, naprawdę bym chciał wiedzieć, czy kiedykolwiek ktoś tu był. Ale nie sposób się o tym przekonać. A jednak, choć sam nie wiem jak, ale autentycznie sam w to wierzę. Gin ciągnie dalej:

- W takim razie sami zapisaliśmy kawałek historii... naszej własnej. - Uśmiecha się i całuje mnie w usta. Aksamitna. Ciepła. Zakochana. Nasza historia... Dwadzieścia euro to przy tym nic. Bo coś mi się zdaje, iż ostatecznie stanęło na tym, że i tak zrobiła mnie na szaro.

49

Zatrzymaj się tutaj, hamuj. - W ogóle się nie zastanawiam, tylko robię, co mi karze. Gwałtownie, błyskawicznie, bo i ona jest właśnie taka. Całe szczęście, że nikt z tyłu za mną nie jechał. Mój brat... A zresztą, kto by go tam słuchał. Właściwie to mógłby mieć pretensje do złodzieja, i tyle. Gin wysiada pospiesznie z samochodu.

- Chodź.

- Ale dokąd?

- Za mną, co się tak dopytujesz.

Jesteśmy przed Ponte Milvio, na małym placu na Lungotevere, skąd odchodzi via Flaminia, która biegnie aż do piazza del Popolo. Gin wbiega na most i zatrzymuje się w połowie, przed trzecią latarnią.

- O masz, to ta tutaj.

- Ale co takiego?

- Trzecia latarnia. Z tym mostem związana jest pewna historia, bo Ponte MiIvio albo Mollo, jak go nazywał Belli...

- No co ty, będziesz mi tu teraz zgrywać prymuskę?

- Jestem prymuską! W niewielu sprawach, ale swoje wiem. To na przykład tak, chcesz wreszcie posłuchać, czy nie?

- Najpierw chcę cię pocałować.
- Weź lepiej posłuchaj... To przepiękna historia.

Gin się odwraca cała nadyszana. Obejmuję ją od tyłu. Opieramy się o balustradę. Patrzymy daleko przed siebie. Nieopodal widać drugi most. To ten na corso Francia. Błądzą wzrokiem po bezkresnym niebie. I żadne wspomnienie nie zakłóca tego momentu. Czyżby nawet zjawy z przeszłości umiały uszanować niektóre chwile? Wygląda na to, że tak. Gin daje mi się całować. Pod nami Tybr, mroczny i ciemny, płynie sobie w ciszy. Pada na nas wątłe światło latarni. Słychać powolny szum rzeki, która sunie przed siebie wzdłuż wałów. Jej bieg zostaje gwałtownie przerwany, kiedy trafia na pilastry mostu. Woda wokół nich zaczyna bulgotać, unosi się, kłębi, kipi. By już niedługo, tuż za nimi, znów połączyć się z resztą nurtu i płynąć sobie dalej w ciszy, w stronę morza.

- To co, opowiesz mi?
- To właśnie trzecia latarnia z kolei naprzeciwko sąsiedniego mostu...

Widzisz to, czym jest opleciona?

- Tak... Coś mi się zdaje, że ktoś przegiął, przypinając tu motor...
- No co ty, głupku. To się nazywa „łańcuch zakochanych”. Do tego łańcucha przypina się kłódkę, zamyka się ją na klucz, a sam klucz wrzuca się do Tybru.

- A potem?
- Jest się ze sobą do końca życia.
- Skąd się biorą takie historie?
- Nie wiem, ta jest stara jak świat, opowiada o niej nawet nasz Trilussa.
- Możesz mi spokojnie wciskać kit, bo i tak wiesz, że nie mam o tym pojęcia.

- Mówię prawdę... Tyle że ty boisz się przypiąć kłódkę.
- Nie boję się.
- To tytuł książki Ammanitego.
- Albo filmu Salvatoresa, zależy od punktu widzenia.
- Tak czy siak, boisz się.
- Już ci powiedziałem, że nie.
- No pewnie, możesz wciskać kit, bo i tak nie mamy kłódki.
- Stój tutaj i nigdzie nie odchodź.

Wracam po minucie. Z kłódką w ręku.

- A skąd tyś to wytrzasnął?
- Mój brat. Wozi ze sobą kłódkę z długim łańcuchem, żeby móc zablokować kierownicę.
- Właśnie, bo przecież w życiu się nie domyśli, że to jego własny brat mu go podpieprza.
- Słuchaj, odpowiadasz za to w takim samym stopniu jak i ja. A poza tym wciąż mi wiesz dwadzieścia euro.
- Znalazł się rabin.
- Znalazła się złodziejka!

- A to niby czego? Ej, o co ci chodzi, może chcesz kasę za kłódkę? Wobec tego podlicz mnie za wszystko razem...

- Skoro chcesz, ale wyjdzie tyle, że w życiu się nie wypłacisz.

- Dobra, stop, na tym skończmy. No to co, czujesz się na siłach czy nie?

- Pewnie, że tak.

Przyczepiam kłódkę do łańcucha, zamykam ją i wyjmuję kluczyk z zamka. Trzymam go przez jakiś czas w palcach i wpatruję się w Gin. Ona nie spuszcza ze mnie wzroku. Rzuca mi wyzwanie, uśmiecha się do mnie, unosi brew. - No i co?

Biorę klucz między kciuk a palec wskazujący. Macham nim przez chwilę, dynda sobie w próżni, niezdecydowany. I naraz raptem go wypuszczam. Spada w dół, nieodwołalnie, kołuje w powietrzu i znika w wodach Tybru.

- Zrobiłeś to naprawdę...

Gin patrzy na mnie jakoś dziwnie, rozmarzona, lekko wzruszona.

- Powiedziałem ci przecież. Nie boję się.

Rzuca się na mnie, wskakuje okrakiem, obejmuje mnie, całuje, krzyczy z radości, jest szalona, opętana, jest... Piękna.

- Ej, oszalałaś ze szczęścia. A ja myślałem, że to historia wyszana z palca?

- Głupek!

I pędzi przed siebie, krzyczy, przemierzając most. Spotyka mężczyzn, którzy idą w grupce. Pociąga za płaszcz tego, który wygląda najpoważniej, obraca nim w koło, nieomal zmusza, by z nią zatańczył. I znów ucieka. A tymczasem pozostali zanoszą się śmiechem. Popychają dla żartu tamtego mężczyznę, który się zdenerwował i najchętniej by ją skrzyczał. Mijam ich i rozkładam ręce. Wszyscy się cieszą ze szczęścia Gin. Nawet ten poważny facet w końcu sam też się do mnie uśmiecha. Tak, to prawda, jest tak piękna, że w jakiejś mierze wszystkim udziela się jej radość.

50

Rano. - Nie mogę w to uwierzyć! - Paolo wpada z impetem do pokoju. - Ale numer, nie miałem najmniejszych wątpliwości, wiedziałem, że ty, Step, zawsze jesteś niezawodny. Ale jak ty to, kurczę, zrobiłeś?

Wciąż nic z tego nie rozumiem, wiem tylko że „kurwa” brzmiałoby w tym kontekście znacznie lepiej. „Kurczę” jakoś wyjątkowo działa mi na nerwy. Odwracam się na drugi bok i daję nura między poduszki.

- Co takiego?

- Samochód, znalazłeś go, i to na dodatek w tak krótkim czasie.

Wystarczył ci raptem jeden wieczór. Jesteś niesamowity.

- Ach tak... wykonałem parę telefonów. I musiałem „dać”, no, sam wiesz co.

- Co wiem? Nie, nie wiem... - Paolo przysiadła na łóżku. - Co takiego musiałeś dać?

- Ej, nie rznij mi tu głupa... Kasę.

- Ach, jasne. Ale nie tam, co to ma do rzeczy, co za szczęście... Sam już nie mogę się połapać. Słuchaj, a jak wyglądał koleś, który mi ją zwędził? Cwaniaczek, złamany wał, twardziel, a może jeden z tych, co to mają taką mordę...

Przerywam mu tę chybioną wyliczankę hipotetycznego portretu pamięciowego.

- Nie, nie widziałem go. Auto podstawił mi taki jeden, z którym się znamy, ale on nie miał nic wspólnego z kradzieżą.

- No, to nawet lepiej. Stało się, i z głowy.

- Co to znaczy?

- No, tak się mówi.

Odwracam się na bok i chowam głowę pod poduszkę. Mój brat. Mówi rzeczy, których znaczenia nawet nie zna. Czuję, że wstaje z łóżka.

- Dzięki raz jeszcze, Step.

Zbiera się, żeby wyjść z pokoju. Podnoszę się na łokciach.

- Paolo...

- Ej, co takiego...

- Kasa...

- Ach tak, ile nas to kosztowało?

- Nas? Ciebie to kosztowało dwa tysiące trzysta euro. O wiele mniej, niż mogłeś się spodziewać.

- Aż tyle, że kurwa mać.

Kiedy mowa o pieniądzach, proszę, stać go na porządne przekleństwa.

- A to złodzieje, najchętniej nic bym im nie zapłacił.

- Prawdę powiedziawszy, ja już to zrobiłem. Ale jeśli chcesz, zgłosimy kradzież samochodu, a ja tymczasem im go odstawię.

- Nie, skąd, żartujesz? Coś ty, dzięki. Step, ty nie masz z tym nic wspólnego. Zostawię ci kasę na stole.

Wkrótce wstaję, a ponieważ dzień już i tak się zaczął, to nabieram apetytu na śniadanie. W salonie natykam się na Paolo. Siedzi i właśnie kończy wypisywać czek.

- O, masz. - Cyzeluje swój podpis, nanosząc ostatnią poprawkę. - Zaokrągliłem, tak żeby ci zostało coś jeszcze za fatygę.

Biorę czek i patrzę na niego. Paolo przybiera rezolutny wyraz twarzy, jakby chciał powiedzieć: „No i co... cieszysz się?”.

2400. Czyli o 100 euro więcej od tego, co teoretycznie powinienem wręczyć złodziejowi. 100 euro dla kogoś, kto się napocił, żeby odnaleźć mu samochód. A przynajmniej on tak sądzi. Co za żaloszny biedak! Weź ty chodź raz pokaż, że masz gest! Szarpnij się przynajmniej na te 2500 i już, co?! Ale ponieważ w rzeczywistości dał mi kosmiczny napiwek za to, że „sobie od niego

pożyczyłem” jego własny samochód, że zaliczyłem obłędne wyjście, z genialną kolacją i całą resztą... nie mogę mu powiedzieć nic innego, jak tylko: - Dzięki, Paolo.

- Ależ nie ma o czym mówić, to ja ci dziękuję. Właśnie takich tekstów szczerze nienawidzę.

- A, Step, nie słyszałeś jeszcze największego absurdu, na dodatek zwinęli mi kłódkę.

- Kłódkę?

Udaję, że urwałem się z choinki.

- Ech, no, tak się martwiłem o samochód, że kiedy gdzieś go zostawiałem, to zakładałem łańcuch na kierownicę. Wczoraj go nie założyłem, ale kto by przypuszczał, że podpieprzą mi samochód wprost z garażu? Ale tak w ogóle to na co złodziejowi kłódka?

- Ech, na co mu ona? A bo ja wiem.

Na tak postawione pytanie sam nie wiem, co odpowiedzieć. Weź idź mu, bracie, wytłumacz. Ale wiesz, bo była potrzebna do „łańcucha zakochanych”.

- Ale na tym jeszcze nie koniec. Step, wiesz? Sam popatrz. Rzuca mi to na stół. Biorę go w ręce, lepiej mu się przyglądam.

Delikatny. Prosty. Poznaję zapieczęcie, z którym poradziłem sobie wczoraj wieczorem. Stanik. Jej stanik.

- Widziałeś coś podobnego... te chuje nie dość, że ukradły mi samochód, to jeszcze pojechały się pieprzyć! Mam tylko nadzieję, że jak przyszło co do czego, to ta laska nie dała dupy temu zasranemu złodziejowi. A wręcz, że to ona zainstalowała sobie kłódkę.

- No, skoro już znalazłeś ten stanik w samochodzie, to nie sądzę, żeby sprawy ułożyły się po twojej myśli.

- A, racja, nie da się ukryć.

Wstaję i zmierzam w stronę kuchni.

- Co ty robisz, bierzesz go sobie?

Udaję, że nie wiem, o co chodzi.

- Co takiego?

- Jak to co? Stanik!

Uśmiecham się i macham nim sobie na wysokości twarzy.

- No, a dlaczegóż by nie, wypuszczę nową wersję Kopciuszka! Zamiast pantofelka poszukam takiej, na którą będzie pasował ten stanik.

- Poza tym że będzie leżał jak ulał na wszystkich z miseczką ce.

- Niezłe masz oko. To nawet lepiej, bo łatwiej pójdzie. Paolo patrzy na mnie i unosi brew.

- Step, wybac pytanie... Ale czy ty się przypadkiem uważasz za księcia z bajki?

- To zależy, kim tym razem okaże się Kopciuszek.

- No i co? - Ele biegnie mi naprzeciw i prawie się na mnie rzuca.
Wygląda, jakby ją coś opętało.
- Opowiedz mi wszystko, koniecznie... co takiego wyprawiałaś? Skacze na mnie, ściska mnie z całej siły, prawie się nade mną znęca.
- Jestem pewna, że dałaś czadu...
- Skąd ta pewność?
- Czuję to... Czuję to... Sama przecież wiesz, że jestem jak medium. Z powrotem sadowi się grzecznie obok mnie.
- Tak, medium. Dobra, opowiem ci, ale nikomu ani słowa, okay? Ele potakuje uśmiechnięta, wytrzeszcza oczy, mało nie wyjdzie z siebie.
- Kochaliśmy się.
- Co?
- To, co słyszałaś.
- Nie wierzę.
- To uwierz.
- Tak, dobra, tym razem przegięłaś.
- W takim razie dobra, do niczego między nami nie doszło.
- Tak, do niczego! Nie wierzę.
- No i sama widzisz? Tak czy siak mi nie wierzysz.
- Dobra, ale jest chyba jeszcze coś pośredniego.
- Tak, ale nie tym razem? Czego ty ode mnie chcesz?
- Chcę prawdy.
- Ale ja już ci powiedziałam prawdę.
- To znaczy?
- To pierwsze!
- To znaczy...? Pieprzyliście się!?
- Ale dlaczego zawsze musisz tak stawiać sprawę?
- Bo to właśnie robiliście, czyż nie?
- Patrzy na mnie porozumiewawczo, wciąż jeszcze mi nie wierząc.
- W takim razie mnie okłamałaś?
- Dobra, więc się pieprzyliśmy, kochaliśmy się, uprawialiśmy seks, słowem, mów sobie, jak ci się żywnie podoba. Ale zrobiliśmy to.
- To znaczy, ot tak, ni stąd, ni zowąd, zrobiłaś to razem z nim?
- Taaak, a niby z kim innym!
- No, ale sorry, przecież tak długo się z tym wstrzymywałaś.
- Dokładnie! Słuchaj, ty naprawdę jesteś niemożliwa. Tyle razy mi mówiłaś: „Ale kiedy wreszcie to zrobisz, zrób to z tym, i pchałaś mnie w ramiona byle kogo, idź z tamtym, co ci zależy, jak ci się nie spodoba, to już więcej go nie zobaczysz, i tyle...”, a teraz mi trujesz, bo zrobiłam to ze Stepem, weź ty się zastanów, bo naprawdę nie można z tobą dojść do ładu.

- Nie, tylko że wydaje mi się to dziwne... I jak było?

- Jak było? A skąd ja mogę wiedzieć, przecież na razie nie mam porównania.

- Tak, ale tak ogólnie, dobrze ci było, bolało cię, miałaś orgazm, w jakich pozycjach to zrobiliście? Gdzie byliście?

- O Boże, nie mogę w to uwierzyć, jesteś jak rozpędzona lawina, nic tylko zasypujesz mnie pytaniami, no co ty?

- Taka już jestem!

- Czyli jaka?

- Rozpędzona lawina.

- Okay, byliśmy na Campidoglio. Tam zaczęliśmy... potem przenieśliśmy się na Forum Romanum...

- I czy tam się okazało, że ma u ciebie aż takie fory?

- Ele!!! Dlaczego zawsze musisz mi wszystko zepsuć? Było cudownie. Jeśli nie przestaniesz, to nic ci już nie opowiem.

- Ej, słuchaj, jeśli ty nie przestaniesz, to ja jak nic upomnę się o swoje prawa.

Nie mogę w to uwierzyć. To jego głos. Ja i Ele odwracamy się gwałtownie. Mamy ich jak na dłoni, siedzą dwa rzędy za nami. Step i Marcantonio. Wszystko słyszeli. Ale od kiedy tam siedzą? Co ja takiego powiedziałam? O czym mówiłam? W ułamku sekundy pospiesznie analizuję całe moje ostatnie pół godziny... moje życie, moje słowa. O Boże! Co ja takiego jej naopowiadałam? Coś tak, trochę jej powiedziałam. Ale od kiedy oni tam w ogóle siedzą? Jestem skompromitowana, skończona, chciałabym zapaść się pod ziemię. Z drugiej strony to przecież TdV Teatro delie Vittorie, świątynia rozrywki. To tutaj była ta kukielka. Provolino. Co on takiego zawsze mówił? - Pysiaczku ty mój, trzymaj gębę na kłódkę. - I gdybym była jak Carra, chciałabym postąpić tak samo jak tamta czarno-biała postać. Maga Maghella - Wróżka Czary Mary. I zniknąć. Ale zamiast tego trafiam na spojrzenie Stepa, który unosi brew:

- No, słowem, całkiem nieźle się spisaliśmy, czyż nie? Prawda, Gin?

- Uśmiecha się rozbawiony. Nie wiem, co powiedzieć... Nie, nie mógł znów aż tak wiele usłyszeć. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Marcantonio przerywa tę dramatyczną ciszę. - I co robimy dziś wieczór? No, po tych wszystkich pięknych opowieściach moglibyśmy właściwie uznać się za członków klubu dla miłośników orgii. - Marcantonio patrzy na mnie. Ma takie intensywne spojrzenie. Nabiera mnie. A przynajmniej mam taką nadzieję...

- Może się powymieniamy partnerami? - Ele wybuchają śmiechem, patrzy przy tym na mnie. - To wcale nie jest taki zły pomysł. Z tobą. Gin, to by dopiero było! - Marcantonio podchodzi i gładzi mnie po włosach. Step nie rusza się z miejsca i z zapamiętaniem buja się na krześle, w przód i w tył. Ja sama już nie wiem, co robić. Czuję się, jakby brakowało mi tchu. Robię się czerwona, a w

każdym razie tak mi się zdaje. Spuszczam wzrok i się obruszam. Włosy sprawiają wrażenie, jakby były pod napięciem elektrycznym. I dzieje się cud.

- No i co, wszyscy już gotowi? Zaczynamy próbę.

Te słowa asystenta studia wywołują ogólny popłoch. A może szefa studia, nie mam pojęcia. Kimkolwiek by był, ocalił mi skórę. Czmycham stamtąd, ale już po chwili zawracam. Widzę, że jest przygotowany na to, co zaraz zrobię, chyba nawet lepiej się składa. Podchodzę bliżej i go wołam.

- Step? - Odwraca się. Całuję go lekko w usta. No i proszę, już po wszystkim. Step patrzy na mnie. Uśmiecha się tak, jak tylko on jeden potrafi.

- To wszystko?

Nie mam zamiaru mu ustępować.

- Tak, to wszystko. Na razie.

I nie dodając już nic więcej, oddalam się zupełnie spokojna. Szef studia podchodzi do Stepa.

- Świetna dziewczyna.

- Rewelacyjna.

- Jak się nazywa?

- Ginevra, dla przyjaciół Gin.

- Jest naprawdę świetna.

Szef studia odchodzi. Ale ja, na wszelki wypadek, wołam do niego.

- Ej...

- Tak?

- To prawda, jest świetna. I moja.

52

Popołudnie prób. Jestem w reżyserce razem z Marcantonim. Niedaleko nas, oddzieleni zaledwie zwykłą szybą, siedzą Mariani i cała reszta. Żmija wije się nerwowo. Kocur & Kocur niczym sępy usadowili się Romaniemu tuż za plecami. Patrzą w monitory na konsoli, jak szaleni podrywają się z przeciwległych kątów reżyserki, starając się znaleźć jak najlepsze ujęcie, idealne, takie, które w sam raz nadawałoby się do pokazania jako zwiastun tego, co widzowie będą mogli zobaczyć w przyszłości. A Romani nic. Romani jest spokojny. Powoli pali papierosa, trzyma go zawieszony w próżni, w odległości kilku centymetrów od twarzy, trwając tak w jakimś przedziwnym stanie równowagi. Popiół układa się w skomplikowany łuk, który zaczyna mu się tuż przy palcach, biegnie w próżnię i tam się urywa, zawieszony w pustce, ale nie spada. Drugą ręką Romani wykonuje pojedyncze ruchy, strzela palcami. Zmienia kamery podsuwane mu w porę przez koleś przy mikserze. Koleś jest niewzruszony. Wciska guziki na klawiaturze, zupełnie jakby grał na małym pianinie, ściąga obraz z małych monitorów i przerzuca go na duży monitor,

przed którym siedzi Romani. Raz, dwa, trzy, rozjaśnienie obrazu, cztery, pięć, sześć, ujęcie z góry.

- Właśnie, Step, na tym polega telewizja. - Marcantonio poklepuje mnie w ramię. - Chodź, idziemy na stanowisko, zaraz zaczynamy.

- Ale co teraz?

- No, nic specjalnego. To tylko próba przed generalną. Tak na dobrą sprawę mamy kurewskie opóźnienie. Ale prawie zawsze tak jest.

- Aha, rozumiem.

Wzruszam ramionami, bo nie to, żeby rzeczywiście wszystko było dla mnie całkiem jasne. Ale musi to być jakiś ważny moment, bo wyczuwalne jest dziwne napięcie. Operatorzy kamer zakładają słuchawki, opuszczają je sobie na głowę niczym żołnierze gotowi ruszyć do boju. Szybko obracają rękojeścią zoomu, wystarczy jeden zdecydowany ruch, tak że sama się kręci, a przy tym błyskawicznie wycelowują obiektyw, stają w rozkroku, przybierając odpowiednią pozycję, niczym posiadacze karabinów gotowych w każdej chwili wystrzelić w dowolny obraz, jakiego sobie tylko zażyczy Romani - ich generał.

- Trzy, dwa, jeden... I już czołówka! - Rozlega się muzyka. Nieruchomy, kolorowy monitor, który mamy przed oczami, nagle się ożywia. Pojawia się na nim kilka kolorowych logo, które sami wymyśliliśmy. Po czym znikają wszystkie naraz. A pod nimi cały ciąg kurtyn, które odsłaniają się jedna po drugiej, doskonale zsynchronizowane. Kamera numer dwa, za którą siedzi operator, bo tylko on jeden ma tę możliwość i przyjemność, powoli przemieszcza się na środek studia. W kolorowym monitorze widzę to, co akurat filmuje. Czerwona lampka pali mu się cały czas. To znak, że jest na antenie. Posuwa się nieubłaganie, niczym niezawodna strzelba myśliwska. Wziął na cel ostatnią kurtynę, z małymi drzwiami w tle, które nagle się otwierają. A oto i one. Jedna za drugą, blondynka, brunetka, ruda, wyłaniają się niczym małe motyle zza tych niedużych drzwi, przypominają kolorowe liście, które opadają z jesienno drzewa telewizyjnego, to one, tancerki. Zasłonięte, odkryte, zawoalowane. Umieśnione, choć tego nie widać, uśmiechnięte jak im przykazano, z ułożonymi lub pofarbowanymi włosami, z makijażem na twarzy. Lekkim krokiem zmierzają na sam środek. Pełne gracji zajmują swoje miejsca. Następnie, wszystkie naraz, niczym karne, delikatne, małe żołnierzyki, zaczynają się ruszać. Tańczą ze sobą, raz bliżej siebie, to znów dalej, prężą się, rozkładając szeroko ręce i się uśmiechają, gasną i rozpromieniają się, ilekroć znajdują się w obiektywie którejś z kamer z włączonym czerwonym światłem, bo to oznacza, że są na wizji. A operatorzy, bez najmniejszego choćby potknięcia, tańczą razem z nimi, zmieniają ujęcie, prowadzą je za rękę, porzucają, by zaraz znów je uchwycić. Romani dyryguje tym wszystkim, jak na urodzonego maestro przystało, oddany bez reszty dopiero co stworzonej przez siebie muzyce, kompozycji obrazów i dźwięków. Marcantonio w milczeniu uderza raz po raz w klawisze komputera i uruchamia jeden po drugim napisy w 3D, które pojawiają się i znikają, a to na tle twarzy jednej brunetki, a to na

planie ogólnym z góry, a to na ujęciu panoramicznym tuż przed rozjaśnieniem obrazu. Idzie mu znakomicie. Jest bezbłędny. Ostatni akord i muzyka milknie. Cisza. Wszystkie dziewczyny ustawione w równym rzędzie rozkładają ręce i gestem wskazują w głąb sceny. Zza malutkich drzwi wyłania się prezenter.

- Dobry wieczór... dobry wieczór. O, no i proszę, jesteśmy... Co znaczy *Wielcy geniusze?* To znaczy, to znaczy. Na przykład, bycie geniuszem znaczy tyle, że człowiek jest w stanie tak się urządzić, by móc przebywać tutaj razem z tyloma pięknymi dziewczynami, i jeszcze na dodatek brać za to pieniądze...

Patrzę na Marcantonia.

- On naprawdę powie coś takiego?

- Ależ skąd, co to ma do rzeczy... Mówi tak na próbie dla żartu, żeby rozbawić ludzi i a nuż wyrwać którąś z tych tancerek, ale kiedy pojawia się na wizji, jest nie do poznania. Najbardziej zachowawczy ze wszystkich prezenterów. Fajnie by było, gdyby wyjechał z czymś takim. Co więcej, nawet nie ma bladego pojęcia, że tym samym zaskarbiłby sobie o wiele większą sympatię. Teraz mamy takie czasy, że ludzie są przyzwyczajeni, wszystko już widzieli, przeczytali, są na bieżąco. On zaś wciąż myśli, że oglądają go wyłącznie same ćwoki.

- No, skoro oglądają go tak chętnie, to chyba muszą choć po części być ćwokami

Marcantonio odwraca się i unosi brew.

- Oho, widzę, że się uczysz. Nieźle. Chodź no tu, usiądź, to ci wyjaśnię raz a dobrze, co masz robić.

- Jak to, co mam robić, no przecież ty tu jesteś, nie?

- Ale któregoś dnia może mnie akurat nie być, mogę być zajęty, a poza tym... Na tym polegają praktyki, jutro wszystko znajdzie się w twoich rękach i ty musisz wykazać się znajomością fachu.

Znajomość fachu. Coś kiepsko mi to brzmi. Tak, jakby zostać wessanym przez olbrzymi odkurzacz, który jak raz cię wciągnie, to już więcej nie wypuści. Siadam obok Marcantonia, który zaczyna mi wszystko objaśniać. - No więc tym przyciskiem resetujesz, tym znów puszczasz logo w 3D... - Staram się uważać, ale po chwili na moment się rozpraszam. Na monitorze pojawiła się Gin, przyniosła coś prowadzącemu, który teraz się do niej uśmiecha i jej dziękuje. Przyglądam się jej zbliżeniu, które Romani łaskawie nam pokazuje. Po czym Gin odchodzi, a prowadzący wciąż coś tłumaczy. Marcantonio też coś tłumaczy. Ja myślę o Gin i o umowie, którą podpisałem w sprawie tej pracy. Przeklęty odkurzacz. W obydwu przypadkach czuję, że dałem się wydymać.

Później. Po próbie. Za kulisami dziewczyny przebierają się w pośpiechu, włączają swoje komórki, które zaraz zaczynają im dzwonić. Gin podchodzi do Ele, która stoi pochylona ze zwieszoną głową w kącie przebieralni.

- Ele, co ty wyprawiasz?

- Nic, właśnie dochodzę do siebie, chce mi się rzygać. Ale wycisk! Chociaż można mieć z tego niezły ubaw. Zawsze tak to wygląda?

- To jeszcze nic, musisz zobaczyć, jak będzie, kiedy wystąpimy w czasie transmisji na żywo. Teraz to tylko próba.

- O, sama popatrz, inne dziewczyny też są nieprzytomne. A przecież występują tak od lat. Jeszcze ze dwie takie próby i będę nie do pobicia. Chyba dlatego, że kondycja jest moją mocną stroną.

Uśmiecha się i klepie ją w ramię, po czym puszcza do niej oczko. Jest w siódmym niebie. No, z drugiej strony wreszcie ją wybrali. Przynajmniej tym razem. Kto wie, czy ktoś maczał w tym palce... Gin nawet nie chce się nad tym zastanawiać. Patrzy na nią, jak się przebiera. Ściąga z siebie wszystkie rzeczy w taki sposób, ta Ele... myśli sobie Gin. Zawsze patrzyłam z rozbawieniem, jak się ubiera i rozbiera... Nie tyle ze względu na to, co na siebie wkłada, ale jak to robi. Wygląda to jak pojedynek między nią a poszczególnymi częściami jej garderoby. Zawsze ma wszystko powyciągane, stara się jakoś dojść z tym do ładu, obciąża sobie wszystko po kolei, poprawia włosy, odrzuca je do tyłu i już, jest gotowa.

- Ej, Gin, co potem robisz?

- No, sama jeszcze nie wiem.

- Przyznaj się lepiej.

Patrzy na mnie, unosząc brew.

- Czy zanosz się na małe co nieco?

- A po co! - Rzucam w nią bluzą i trafiam bez pudła.

- A czy w ogóle mnie podejrzewasz, że mogłoby zanosz się na małe co nieco, a ja specjalnie bym to przed tobą zataiła? Co by mi zależało!

- Już wszystko jasne, zanosz się na małe co nieco.

Bierze blużę, jakby to była chusteczka higieniczna, i udaje, że wydmuchuje w nią nos. Inne dziewczyny patrzą na nią zażenowane. Jak zwykle. To jej ulubiony żart, skuteczniejsza go, odkąd się znamy. Ale ja nic im nie mówię. Ele udaje, że wyciera sobie nos ręką, gdy tymczasem reszta, zniesmaczona, gapi się na nią.

- Dzięki, prawdziwa przyjaciółka z ciebie...

I mówiąc to, rzuca we mnie blużę, uśmiecha się i ucieka. Trochę później. Już nawet wzięłam prysznic. Ten teatr to autentyczny zabytek. Ma wszystkie wygody, a pamięta przecież jeszcze czasy debiutu Raffaelli Carra, Corrado, Pippo Baudo, Adriano Celentano i nie wiadomo ilu innych jeszcze osobowości. Wychodzę z workiem na plecach i rozglądam się wokół. Nic, nigdzie go nie widzę. - Panienko... Pani przyjaciółki już sobie poszły...

Ochroniarz wygląda mi na szczerze zmartwionego. Pocziwiec. Jakbym rzeczywiście szukała właśnie ich.

- Chce pani, żebym ją podwiózł, niedługo kończę, bo lada moment i tak przychodzi mój kolega. - I się śmieje, szczerząc swoje żółte zębiska, tych wojowników poturbowanych w starciu z niejednym papierosem bez filtra. Po czym się zawiesza i zanosz ordynarnym śmiechem.

Żaden tam pocziwina, wprost przeciwnie, jest nawet trochę obmierzły.

- Nie, dziękuję. To miło z pana strony.
I jak mnie mama uczyła, oddalam się, unikając niepotrzebnego spoufalania się z obcym.

53

Znalazłem mojego Kopciuszka. Step, co ci, kurwa, chodzi po głowie? Chyba ci się mózg zlasował... twój Kopciuszek. Matko, jesteś kompletnie rozbity. Dobra, podoba mi się. Jest czadowa, sympatyczna, zabawna, piękna! I spóźniona... Czekam pod jej domem, puściłem jej sygnał na komórkę, a ona mi, w ramach odpowiedzi. Czyli zrozumiała, że czekam na nią na dole. Dostyc tego! Teraz zadzwonię do niej domofonem, bo co to mnie tam w ogóle obchodzi, że jej starzy mają nic nie wiedzieć o jej sprawach prywatnych! Gianluca, jej brat, widział, jak się całowaliśmy. I to dwa razy. Sam zrozumiem. A jeśli nawet jej starzy zobaczą, że razem wychodzimy... W czym problem? Gdyby nas przyłapali, kiedy akurat się bzykamy, to jeszcze rozumiem! No, bo to dopiero byłby problem. Dostyc tego, dzwonię domofonem.

Podchodzę do wejścia na klatkę, szukam obok przycisków napisu „Biro”, bo tak ma na nazwisko.

- Stój, co ty wyprawiasz?

- Jak to co? Dzwonię do spóźnialskiej.

- Akurat, jestem punktualna aż do bólu! Puściłeś mi sygnał i zesłałem. Tylko myślałam, że zajedziesz audi quattro, a tymczasem przyjechałeś na motorze, ja za to jestem w spódnicy.

- W najlepszym wypadku uszczęśliwisz pasażerów innych pojazdów... Ale masz chyba pod spodem majtki?

- Kretyn! - Uderza mnie pięścią, jak zwykle w to samo ramię. Już się chyba dorobiłem megasiniaka.

- Żałuję, ale przegadałem dużo czasu ze złodziejem, targowałem się o cenę, a potem zwróciłem go bratu, który nie posiadał się ze szczęścia.

- Biedaczysko.

- Jakie znów biedaczysko. Abstrahując od tego, że finansowo ma się świetnie, to i tak, sorry, ale był gotów wydać na samochód nawet cztery tysiące trzysta euro, właśnie, jakby nie było, dzięki mnie jeszcze zaoszczędził.

- To znaczy?

- Kosztowało go to niewiele ponad połowę.

- Czyli, twoim zdaniem, chłopakowi się poszczęściło?

- I to jeszcze jak, chodź, wsiadaj.

- No, nie ma co, to ci dopiero dobrze na tym wyszedł, że jesteś jego bratem.

- A żebyś wiedziała, możesz to ogłosić wszem wobec.

Gin zaczyna mówić podniesionym głosem. - A to ci dopiero zajebicie na tym wyszedł, że jesteś jego bratem!

- Powiedziałem, że możesz to ogłosić ot tak sobie, wystarczy, że ja cię słyszę.

Całuje mnie w usta i sadowi się za mną, naciągając sobie spódnicę, tak żeby za bardzo nie było widać nóg.

- Ty masz zerowe poczucie humoru, co? To był taki żart.

Podaję jej kask. - A, słuchaj, mam pewien pomysł... Twój brat jak stoi z kasą?

- Kiepsko trafiłeś. A poza tym biada temu, kto choćby tylko tknie moją rodzinę, od razu ląduje na oucie, kumasz? A wręcz sam fakt, że coś podobnego w ogóle przyszło ci do głowy, zmienia postać rzeczy.

Gin zsiada z motoru i staje na wprost mnie.

- A nawet więcej, od razu przejdźmy do zmian!

- To znaczy? Bardziej przyłożysz się do pocałunku niż poprzednio, bo coś mi się zdaje, że ten przed chwilą był powierzchowny i wcale nie trwał tyle, ile powinien.

- A skąd! Zmiana planu gry, zsiadaj, szybko!

- Nie, tylko mi nie mów, że znów mamy się okładać pięściami. W tej sprawie spotkamy się na siłowni.

- Ale co ci przychodzi do głowy. Tym razem ci się upiecze. Zmiana planu gry. A znaczy to tyle, że masz zsiść z motoru, bo teraz ja prowadzę.

- Co? - Zastanawiam się w myślach, ona, Gin, chce prowadzić motor. Mój motor. Prowadzić mój motor. I to kto taki? Kobieta. Tak, zgoda, to Gin. Ale to nie zmienia faktu, że chodzi o mój motor, a ona, choć przecież to Gin, jest kobietą. Po chwili dociera do mnie absurdalność całej sytuacji. Własnym uszom nie mogę uwierzyć. - Tak, zgoda, zabawnie będzie się przyjrzeć, jak ci idzie.

A to jestem ja sam. Step! Co jest grane, oszalałeś, stary? Nic. Przestałem myśleć logicznie, nie mogę w to uwierzyć. Kurwa mać. Przestałem jarzyć. Przesuwam się na kanapie, trzymając nogi w górze. Zwalniam miejsce i przesiadam się do tyłu, ustępuję Gin, która siada z przodu. A ja do tego, to już przegięcie pały na maksa, jeszcze jej pomagam! Ach... Kompletnie zwariowałem.

- Więc jesteś pewna, że umiesz prowadzić?

- Pewnie! Za kogo ty mnie masz? Nie myśl sobie, niejedno już w życiu robiłam, zanim cię poznałam.

- No pewnie... - Chce mi się śmiać, ale się powstrzymuję. Myślę o ławeczce, o tym, jak ciemno było wczorajszej nocy, o „naszym związku”... Chciałbym jej powiedzieć: „Akurat, rzeczywiście, zupełnie jak zeszłego wieczora”, ale tego nie robię. To byłby kwas. Bach. - Ała! - Dała mi kuksańca prosto w brzuch. - Już ja dobrze wiem, co tam sobie myślisz.

- Co?

- Pomyślałaś: „Akurat, zupełnie jak zeszłego wieczoru, niejedno już w życiu robiłaś... Można się było przekonać, co? Jak nie?! Nigdy wcześniej nie byłaś z żadnym kolesiem i gdyby nie ja...”. Mam rację? Przyznaj się, tak właśnie sobie pomyślałaś.

Och, nie ma rady, nic jej nie umknie. Kłamię bezwstydnie.

- Słuchaj, z tobą rzeczywiście coś jest nie tak. Głodnemu chleb na myśli. Absolutnie nie, nic podobnego nie przyszło mi do głowy! Sama się zafiksowałaś, że nie myślę o niczym innym. Ale grubo się mylisz!

- Tak... to o czym w takim razie myślałaś, skoro wyraźnie widziałam w lusterku, że się uśmiechasz?

- O niczym... O benzynie... o tym, że ci pozwalałam prowadzić motor.

- Tak, dobra... niech ci będzie. Jedźmy już, szkoda czasu! Jak się uruchamia to coś?

- To coś to honda siedemset pięćdziesiąt custom z kołem rajdowym... Lekko wyciąga dwieście, a uruchamia się tak. - Przesuwam się do przodu, biorę dźwignię i otaczam Gin ramionami, zupełnie jakbym ją obejmował od tyłu. Następnie prawym kciukiem zapalam silnik. Trochę dodaję gazu i oddycham głęboko, trzymając twarz w jej włosach. Są takie miękkie i pachnące, lekkie, zupełnie jakby mnie pieściły. Zamykam oczy. Zatracam się.

- Ej! - Unoszę powieki.

- Tak? O co chodzi?

- Jeśli nie zmienisz pozycji, to nie dam rady prowadzić. - I się uśmiecha.

- Ach, jasne. - Zabieram ręce i przesuwam się do tyłu. Gin zakłada kask i zapina go. Idę w jej ślady i robię dokładnie to samo.

- I co, Step, jesteś gotowy?

- Tak. Wiesz, jak się wrzuca bie... - Nie zdążam nawet dokończyć zdania, a Gin już sama uporała się z wrzuceniem biegu, wyrwało ją do przodu, po tym, jak dodała gazu. Niewiele brakuje, żebym wylądował na ziemi, tak mnie zarzuca do tyłu. W ogóle nie byłem na to przygotowany. Już więcej nie dam się zaskoczyć. Mam nadzieję. Ściskam ją mocno, przytulam się do jej kurtki i obejmuję ją w pasie. Ej, no, no. Nawet nieźle sobie radzi, niesamowite. Spokojnie zmienia biegi, umiejętnie operuje sprzęgłem. Autentycznie jeździła już na motorze. I to najwyraźniej często. Czerwone, hamuje na światłach na zbyt wysokim biegu. Cofam to, co dopiero powiedziałem. Motor gaśnie nagle i staje jak wryty. Zarzuca nas na prawo, upadlibyśmy, gdyby nie to, że błyskawicznie wystawiam nogę. Udaje mi się utrzymać nas dwoje. Włącznie z motorem. Moim motorem...

- Ej, no i jak? Jesteś pewna, że chcesz prowadzić?

- Nie zauważyłam, że jest czerwone. To się więcej nie powtórzy. - Redukuje biegi, tak żeby znów być na jałowym.

- Pewna jesteś, że...

- Już ci powiedziałam, że to się więcej nie powtórzy. Postanowiłaś, gdzie jedziemy?

- Do Warnera. Jest tam mnóstwo sal i puszczają... - Nie daje mi dokończyć.

- Okay, świetnie. To będę mogła pojechać obwodnicą. - I błyskawicznie rusza z jedyńki, znów mnie wrabiając.

Warner Village. Czternaście, a nawet więcej samych tylko sal kinowych, przeróżne filmy, które zaczynają się o rozmaitych porach. Dwie restauracje, pub i masa ludzi.

- Ej, Gin, nie sądziłem, że damy radę.

- Co takiego? Myślałeś, że skończy się nam benzyna, czy że nie znajdziemy Warnera?

- Powiedzmy sobie, że moja troska była bardziej przyziemna... bałem się, czy przeżyjemy!

- Ha, ha! Nie cieszysz się, że dowiozłam cię aż tutaj, i to w jakim stylu? A na dodatek na twoim motorze? Czyż nie dostarczyłam ci emocji i nie ukoiłam nerwów? Przyspieszałam, brałam ostry zakręt... Kiedy wyprzedzałam między dwoma samochodami i widziałam, jak kurczowo łapięz mnie za poły kurtki, to zwalniałam, lekko hamowałam i od razu czułam, że się rozluźniasz. Cudownie mi się tak prowadziło. Ty i twoje emocje. Miałam wrażenie, jakbyś był sprzęgnięty z moim napędem gazu.

Nic nie mówię, gdy tymczasem zmierzamy w stronę kasy, żeby kupić bilety.

- Ej, Step, dotarło do ciebie to, co powiedziałam?

- Co takiego?

- To porównanie do napędu gazu.

- No, nie powiem, żeby wymagało aż takiego znów wysiłku.

- A skąd mam wiedzieć? Wyglądasz mi na zdezorientowanego, wcale się nie odzywasz. Jakby cała sytuacja wymknęła ci się spod kontroli. Ruszaj się, żwawo! Idź po bilety, no już, a ja zajmę się popcornem.

- Tak, ale na jaki seans?

- A bo ja wiem!

- Tak, jasne, ale jaki film chcesz zobaczyć? Komedie, coś o miłości, kino grozy?

- Sam coś wybierz... no, sorry! Nie dość, że przywiozłam cię aż tutaj, to jeszcze na dodatek mam wybierać film! Czy aby nie przeginasz? Sam też coś zrób. Weź tylko pod uwagę, że film grozy, jak mi się zdaje, już widziałeś.

- Wierz mi. Gin, nie widziałem.

Patrzę na repertuar i go znajduję. *Co kryje prawda*. Nie. Tego nie widziałem. A poza tym skąd ona może wiedzieć, co widziałem, a czego nie.

- Ale jak to, sam się przecież przyznałeś, nawet w nim zagrałeś. Na obwodnicy, za plecami Gin, prawdziwe kino grozy. Brrr. Wciąż się cały trzęsiesz. Przecież widzę. Lepiej postaw na coś o miłości, mówię ci... bo choćby nie wiem co, i tak lepiej na tym wyjdiesz i przynajmniej nie zrobisz sobie kuku!

Dwie dziewczyny przede mną zanoszą się śmiechem. Gin odchodzi, kręcąc głową. - Czysty obłąd... - Wkładam ręce do kieszeni. Dziewczyny przede mną jeszcze przez moment na mnie patrzą i znów się śmieją. Na szczęście już po chwili jedna z nich porusza jakiś inny temat, który pochłania je na dobre. Po raz pierwszy dociera do mnie, jak się czuje ktoś potraktowany przedmiotowo. I to na dodatek potraktowany przedmiotowo przez kobietę, przez Gin, Gin, która prowadziła mój motor, która sobie z nim poradziła, wykazała się przy tym spokojem, pewnością siebie, szybko się uwinęła, sprostowała temu i dotarła aż tutaj... Przejechała obwodnicą, i to w nocy, w spódnicy, dała sobie radę ze zmianą biegów, choć założyła eleganckie buty, na dodatek zrobiło się zimno i nie brakowało rozpędzonych samochodów. Gin... pierwsza kobieta, która prowadziła mój motor. I pierwsza, która potraktowała mnie przedmiotowo! Chce mi się śmiać. Ale teraz moja kolej. Znów poważnieję, kupuję bilety i już nie mam wątpliwości, na co się zdecydować.

Gin tkwi przy wejściu z dwoma kubkami popcornu w rękach i coca-colą, którą postawiła na koszu nieopodal, z wsuniętymi do środka dwiema słomkami.

- A jednak dałeś radę...

Biorę coca-colę, pociągam łyk i ją wymijam.

- Chodź, idziemy.

Gin kręci głową i idzie za mną, uważając, by nie rozsypał jej się popcorn.

- Można wiedzieć, jaki film wybrałeś?

- A po co? I tak zaczęłabyś się czepiać.

- Ja?! Skąd ten pomysł. To nieprawda. Należę do osób, które się dostosowują. Nie jestem z tych, co to nic, tylko w kółko trują. A poza tym żadnego z nich dotąd nie widziałam. Ani tego śmiesznego, ani tego o miłości, ani nawet tego filmu grozy. Każdy się nadawał.

- No właśnie... toteż zdecydowałem się na wszystkie trzy. I wyciągam z kieszeni sześć biletów.

- Najpierw film grozy, potem komedia, dzięki temu będziesz mogła dojść do siebie, a po nim melodramat, tym samym na koniec a nuż ja sam zdołam się pozbierać i też coś będę z tego miał.

- Oglądając melodramat... A to niby dlaczego?

- Bo będę miał ciebie, posiadam cię w sensie fizycznym... Sorry, ale czy myślisz, że całe to nasze wspólne wyjście, to, że prowadzisz mój motor, idziesz na trzy filmy zamiast jednego, a podczas dwudziesto-minutowej przerwy między drugim a trzecim seansem możesz nawet liczyć na coś do jedzenia... Że to wszystko dostaniesz ot tak, a ja nic nie będę z tego miał? O nie, nie ma tak. Ty jesteś moją inwestycją. To znaczy coś, a właściwie „to”, czyli sama dobrze wiesz „co”, zwyczajnie mi się należy... czy nie? To jak?

- Jak to, tylko jedno? Ależ ty zasługujesz na o wiele więcej. Trzymaj, należy ci się wszystko!

Gin rzuca mi kubeł popcornu. Łapię go, choć wypada to dosyć nieporadnie, zważywszy, że i tak trzymam już w rękach coca-colę. Efekt jest

raczej oplakany. Kończy się to tym, że pojedyncze ziarna prażonej kukurydzy przyczepiają mi się do golfu, jeden ląduje mi aż na ramieniu i całkiem sporo, za dużo, pod stopami Gin odchodzi, wzruszając ramionami.

- Bez obaw, firma stawia!

Dokładnie w tej samej chwili przechodzą obok te dwie dziewczyny, które stały przede mną w kolejce. Znowu zaczynają się śmiać. Otrzepuję się z popcornu, w końcu sam też się uśmiecham. - Musicie ją zrozumieć. Nie chce przyznać, ale się zakochała! - Potakują. No, wydaje mi się, że moje tłumaczenie wzięły za dobrą monetę. I trochę bardziej zadowolony udaję się na pierwszy seans. Ale ciemno.

- Gin... Gin, gdzie jesteś? - Nawołuję półgłosem, ale jak zwykle trafia się ktoś aż nadto przeczulony. - Ciii.

- Przecież nie ma nawet jeszcze czołówki... bez przesady! - Podnoszę głos. - Gin! Daj mi jakiś znak.

Z prawej leci na mnie kawałek popcornu i trafia mnie w policzek.

- Tu jestem...

Siadam obok niej, a ona z miejsca częstuje mnie zawartością swojego kubeczka. - Jeśli już zjadłeś cały swój popcorn, to weź sobie mój. Jestem hojna, sam przecież wiesz.

- Jakżeż miałbym nie wiedzieć! Nie tyle nawet częstujesz popcornem, ile od razu nim obsypujesz.

Sięgam ręką do jej popcornu i biorę go trochę, zanim skończy tak samo, jak ten przed chwilą. - Step, przyznaj się. Ten pomysł z trzema kinami ściągnąłeś od Antonello Vendittiego?

- Od Antonello Vendittiego? Coś ty, oszalałaś? Kto go tam w ogóle widział?

- Ale co to ma do rzeczy! Chodzi mi o jego piosenkę. Tę, w której jest też mowa o Milanie Kunderze, o szkole, o Giulio Cesare.

- W życiu nie słyszałem.

- W życiu nie słyszałeś?

- No, jak żyję!

- To gdzie ty się uchował? Pewnie nie zwracasz uwagi na słowa...

- Nie, po prostu nie zwracam uwagi na to, co ma do powiedzenia muzyk, będący kibicem Romy...

Koleś siedzący przed nami odwraca się gwałtownie.

- Za to my zwracamy uwagę na każde wasze słowo, tylko że wolelibyśmy słyszeć to, co mówią w filmie. Czy i tym razem będziecie się upierać, że to dopiero czołówka?

Upierdliwy, skrupulatny, a na dodatek mściwy. Zrozum tylko, nie mógł uwierzyć własnym uszom. Specjalnie czekał, aż zaczniemy gadać, byle tylko móc wyjechać z tym swoim tekstem o czołówce. Mógł zwyczajnie raz jeszcze powtórzyć „ciii”. Przestalibyśmy się odzywać i tyle. Ale on jak na złość zaczął się produkować, nadgorliwiec. Zbieram się, żeby wstać z miejsca. - Sorry, ale...

- Nie zdążam skończyć zdania, bo Gin ciągnie mnie za kurtkę, tak że z powrotem ląduję na fotelu.

- Step... popieścisz mnie trochę? - Przyciąga mnie do siebie uśmiechnięta, a ja nie daję sobie tego powtarzać dwa razy.

Po pierwszym seansie. *Co kryje prawda*, idziemy do tutejszego pubu napić się piwa, zanim zacznie się nasza komedia.

- Ale przyznaj się, Gin... Bałaś się?

- Ja? Nawet nie wiem, co to znaczy.

- A to dlaczego najpierw sama tak się do mnie przytulałaś, a w najlepszym momencie kazałaś mi zabierać rękę?

- Bałam się.

- A widzisz! A nie mówiłem...

- Bałam się, że ten koleś za nami się zorientuje i na nas doniesie... albo za zakłócanie spokoju, albo jeszcze gorzej, za obsceniczne zachowanie w miejscu publicznym.

- To już lepiej za to drugie.

- No pewnie, tym samym też bym była w to zamieszana.

- No co ty, nie o to chodzi. Tylko o to, że kolekcjonuję zarzuty. I oskarżenia o obsceniczne zachowanie w miejscu publicznym akurat mi brakuje!

- A, dobra, ze mną tego albumu kończyć nie będziesz.

- A to dlaczego? Mamy przed sobą jeszcze całe dwa seanse.

Podrywa się gwałtownie. Chwytam za jej piwo, zanim chluśnie mi nim w twarz.

- Ej, nic się nie bój. Chciałam je tylko skończyć, bo za chwilę początek następnego filmu. Jeśli będziesz tracił czas, to co potem poczniesz ze swoim albumem?

Uśmiecha się, opróżnia resztę jednym haustem, do dna. Po czym wstaje i specjalnie wyciera sobie usta w mankiet kurtki.

- Chodźmy... a może już ci odeszła ochota?

I po tej aluzji wchodzi na salę kinową. *Scary Movie*. Najpierw film grozy. A teraz komedia o filmach grozy. Kto wie, czy odpowiada jej mój wybór. Ale już jej nie wypyuję, za dużo tych pytań. Gin wierci się na fotelu. Co pewien czas śmieje się z jakiejś durnowatej sceny. No, już sam fakt, że w ogóle się śmieje, jest krzepiący. Śmieje się ze mnie? Za dużo tych pytań. Step. Co z tobą, zrobiłeś się niepewny siebie?

Gin się podnosi. - Ej, idę do łazienki.

- Okay.

- Załapałeś?

- Tak, już mi powiedziałaś, idziesz do łazienki.

Gin kręci głową i opuszcza nasz rząd cała uśmiechnięta, schyla się, tak żeby nie przeszkadzać tym z tyłu. Albo może żeby zbyt nie rzucać się w oczy? Odwracam się. Z tyłu jest pusto. Nikogo nie ma. Wracam do oglądania filmu. Koleś w masce gania, potykając się na każdym kroku. Ale jakoś mnie to

nie bawi. Może dlatego, że myślę o Gin. I o łazience. A może dlatego, że zwyczajnie jest nieśmieszny. W każdym razie ja też muszę iść do łazienki. No, „muszę”, to może zbyt mocne słowo. Chce mi się, to już lepiej, choćby tylko po to, żeby się przekonać, czy dobrze zrozumiałem to, co rozumiałem.

Ostatecznie jeśli Gin mi powie: „Coś ty takiego rozumiał?”, odpowiem jej na to: „To ty się lepiej przyznaj, coś ty takiego rozumiała? Musiałem po prostu pójść do łazienki. A co, nie może mi się zachcieć?”. Aha, w życiu nie uwierzy. Przechodzę wzdłuż rzędu, starając się zbytnio nie hałasować. Śmiech kogoś z przodu zagłusza uderzenie, które wzięło się stąd, że wpadłem na nie do końca złożony fotel. Rozmasowuję sobie udo i udaję się do łazienki. Nie widzę jej. Czyżby naprawdę zamknęła się w toalecie?

- Ej, całe szczęście.

Nagle wyłania się zza ciężkiej bordowej kotary.

- Przez chwilę myślałam, że nie zajarzyłeś. - Śmieje się. Nie przyznaję jej się, że przez chwilę rzeczywiście nie zajarzyłem. - Przestraszyłaś mnie! - Gin podchodzi i mnie całuje. Jest ciepła, aksamitna, piękna, pachnąca, kusząca i... aż się prosi, bym się wziął za skończenie albumu!

- No co, nic nie powiesz?

- Tak. Co robimy? Zamkniemy się w kabinie?

Na co ona się uśmiecha. - Nie, zostańmy tutaj. - Ręce opiera z tyłu, unosi się na przedramionach, wdrapuje na umywalkę i siada na niej. Po chwili rozsuwa nogi i mnie do siebie przyciąga. Zbliżam się do niej, chcąc ją pocałować i wówczas dostrzegam, że z kieszeni kurtki wystają jej majtki. Widać już je z siebie zdjęła i to podnieca mnie jeszcze bardziej. Niespodziewanie z widowni dobiega nas śmiech, dokładnie w tym samym momencie, kiedy rozpinam spodnie. To również podnieca mnie jeszcze bardziej. I już w niej jestem. Ona. Wszystko. Uśmiechamy się obydwoje, kiedy tak się w niej zatracam. W pewnym momencie ona wydaje z siebie jęk i wzdycha, gdy tymczasem z sali dochodzą salwy śmiechu. Kładę ręce na jej pośladkach, prawie ją za nie chwytam i wchodzę w nią jeszcze głębiej, pragnąc, by była moja jeszcze bardziej. Na widowni znów rozlega się śmiech. Ona też się śmieje. A właściwie nie, nie śmieje się, tylko uśmiecha. I zaraz wzdycha. Obejmuje mnie za szyję i delikatnie kąsa. - Nie przestawaj. Step, chcę jeszcze... - Nie przestaję, robię to powoli, ona przesuwa się na umywalce. Widać jej nogi. Spódnica przekrzywia jej się na bok. Skórą dotyka białej i chłodnej porcelany umywalki. Gin przeszywa dreszcz. Kładzie ręce za plecami, a głowę odchyła do tyłu i opiera się nią o lustro. Unoszę wyżej jej nogi i wchodzę w nią jeszcze głębiej. Wzdycha. Coraz głośniej. Wzdycha, kiedy szczytuje. Z sali dobiega głośny śmiech. Nakłada się na niego hałas drzwi w pobliżu. Zamykam oczy, w ostatniej chwili udaje mi się z niej wyjść, i ja też szczytuję. Ale Gin traci równowagę, leci w bok, o mały włos nie spada z umywalki na ziemię. Żeby się utrzymać, chwytam za kurek i niechcący go odkręca, tak że po chwili ma tył spódnicy cały mokry. - A! Jest lodowata! - Śmiejemy się obydwoje. Błyskawicznie zakręcam wodę. I

niemal od razu też zapinam sobie spodnie, starając się doprowadzić do względnego porządku. Gin przegląda się w lustrze. Spódnica jest cała mokra z tyłu. Nasze spojrzenia się krzyżują. - Podobało ci się, co? - Dokładnie w tej samej chwili dobiega nas echo śmiechu z widowni. - Bardzo jesteś zabawny!

- No, ich to rozśmieszyło.

Ciężka bordowa kotara zaczyna falować i bach! Wyłania się zza niej kobieta, jakby wyciągnięta przez lekko nieporadnego magika. - Oj, nie mogłam się przedrzeć, ta kotara jest taka ciężka. Tu jest łazienka, prawda?

- Tak, te drzwi na prawo są od damskiej. - Zwraca się do niej Gin, ale stara się raczej unikać jej wzroku. I zaraz ona również znika za kotarą. - Dziękuję - odpowiada kobieta i mija mnie, niczego nie zauważając. Ja zaś dostrzegam to od razu, schylam się niepostrzeżenie i idę w ślad za Gin.

- Ej, zgubiłaś coś. - Natychmiast mi je zabiera.

- Oddawaj je w tej chwili. - Już na swoim miejscu Gin wkłada na siebie majtki, preżąc się na oparciu fotela.

- O matko, pomyśl tylko, co by było, gdyby znalazła je ta kobieta, za kogo by nas wzięła!

- Dobra, a gdyby wcześniej uporąła się z kotarą, to byśmy dopiero musieli się martwić! Masz pojęcie, co by wtedy było...

- Tak, skompletowałbyś swój album!

Także i tym razem cała sala wybucha śmiechem.

Trochę później, po drugim filmie. W jednej z restauracji multipleksu utrzymanej w stylu kalifornijskim albo temu podobnym. *Grillowana* pierś kurczaka z parmezanem i świeżymi liśćmi szpinaku. Sałatka cesarska do podziału.

- Ej, ten liść jest mój! - Gin przegania mnie widelcem. - Ale kto to w ogóle mógł przewidzieć, co!

- A ten? - I nadziewam go sobie, zgarniając jej liść sprzed nosa.

- Ten też. - Ale nie udaje jej się mnie powstrzymać, bo już mam go w buzi. Śmieję się i przeżuwam z otwartymi ustami, niczym jakiś dziwaczny, roślinożerny pies, karykaturalnie wprost żarłoczny.

- Co za ohydztwo... brzydzę się tobą!

- Błę! - odpowiadam w rewanżu na jej zarzut i wyskakuję do przodu, chcąc ją przestraszyć. Dokładnie w tym samym momencie...

- Jesteście szalenie zabawni... właśnie tak powinny wyglądać prawdziwe pary! Kto się czubi, ten się lubi... - Zastygamy z otwartymi ustami. A tak gwoli ścisłości to ja swoje zamykam niemal od razu, bo wciąż jeszcze nie przełknąłem tego szpinaku. Poza tym w towarzystwie tej pani czuję się zdecydowanie mniej swobodnie. A właściwie, tak szczerze powiedziawszy, to wcale nie czuję się swobodnie. Widziałem ją tylko jeden jedyny raz, i to w... łazience. To ta sama kobieta, co wcześniej, ta, która o mały włos nas nie nakryła... na miłosnych igraszkach. Gin też ją poznaje i spuszcza wzrok. Jest taka śmieszna. Przecież to ona sama była spragniona mocnych wrażeń, a teraz się wstydzi.

- Przepraszam, że wam zawracam głowę, ale czy przypadkiem nie wiecie, gdzie tu jest łazienka? - Gin sprawia wrażenie, jakby znalazła na talerzu jakiś niezmiernie ciekawy okaz szpinaku, ale od razu daje sobie z nim spokój i widelcem pokazuje w głąb pomieszczenia. - Tam! - mówimy jednocześnie i zaraz wybuchamy śmiechem.

- Dlaczego się śmiejecie, też się tam wybieracie? Posyłam Gin ironiczne spojrzenie. - Też się tam wybieramy?

Gin kręci głowę, wykrzywia usta w jakimś dziwnym grymasie, ale przynajmniej udaje jej się nie zarumienić. - Nie, teraz nie. Wkrótce zaczyna się nasz film!

- Znowu, macie zamiar obejrzeć jeszcze jeden? Co za cudowna para, jesteście tacy zgodni! Proszę!

- Tak... - Patrzę na Gin uśmiechnięty. - Muszę przyznać, że kino rzeczywiście ogromnie nas do siebie zbliża. A właściwie, głównie łazienka w kinie!

- W jakim sensie, jakoś nie zrozumiałam.

Gin patrzy na mnie i kręci głowę, po chwili uśmiecha się do kobiety, rozczulona jej naiwnością. - Nic... on tak tylko sobie żartuje!

- No, wybaczenie. Zostawiam was, bo dłużej już nie wytrzymam, chyba za dużo wypiliśmy. A może to wiek robi swoje.

- Ależ skąd, proszę pani. My też co chwilę chodzimy do łazienki... Gin uderza mnie w ramię. - Już przestań! Chodź, bo zaczyna się nam film, idziemy!

I już po chwili, pożegnawszy się z kobietą, udajemy się do naszej sali. Puszczają tutaj filmy z zeszłych sezonów. To taka nowość w tym multipleksie. Przytula się do mnie i śledzi film, zakrywając sobie usta ręką. Skulona, raz po raz obgryza paznokcie i znów opiera mi głowę na ramieniu. *List w butelce*. Kevin Costner stracił żonę i nie chce wiązać się z nikim innym. Nie chce wracać do świata żywych. Pisze listy i wkłada je do butelek, a te giną w morskiej toni, jedna po drugiej, idą na dno jak jego miłość. Ale nie pisze ich z myślą o kimś konkretnym. Wreszcie ktoś znajduje butelkę z listem. Jest nią dziennikarka. List bardzo ją wzrusza i staje się słynny. Rozbłyskują światła. Koniec pierwszej połowy. Przerwa. Gin się śmieje, pociągając nosem, zasłania się włosami i nie pokazuje twarzy, odwraca się w drugą stronę, patrzy na mnie ukradkiem i znów wybuchu śmiechem i pociąga nosem. - Płakałaś! - Oskarżycielsko wytykam ją palcem.

- No i... co z tego? Przecież to nie powód do wstydu.

- Dobra, ale to tylko film!

- Tak, za to ty masz serce z kamienia.

- Właśnie, wiedziałem, że tak będzie... jak zwykle wina leży po mojej stronie! Pójdziemy do łazienki się pogodzić?

- Palant... Możesz to sobie wybić z głowy.

Gin zadaje mi cios pięścią w ramię. - Ale jak to jest, że raz mam to sobie wybić z głowy, a raz wręcz przeciwnie? Fajnie, tym bardziej że skojarzenie z główką chyba nie jest najszcześniejsze.

- Sam widzisz, że mówisz, jakbyś miał główkę zamiast głowy! Na dodatek rzucasz takie teksty. Jesteś kwaaaasem! Ale ja...

- Ciii! Teraz już dosyć, bo zaczyna się druga część filmu!

I zsuwa się na fotelu, wtula się we mnie, obejmuje i roześmiana przytrzymuje mnie za rękę, która akurat chciała się trochę rozerwać i sobie pobłądzić.

Trochę później, już przy piwie. - I co, podobał ci się?

- Cudowny. Wciąż jeszcze nie mogę się pozbierać.

- Ale, Gin... to już przesada!

- Ej, ale co ja mogę na to poradzić? Taka już jestem. Pewnie gdyby nie zatonął razem z łódką i całą resztą... I to akurat wtedy, kiedy znów dał się ponieść miłości... zakochał się w dziennikarce... co za okrutni scenarzyści.

- Nie, dlaczego? Doskonałe się składa! Teraz to dziennikarka zacznie pisać listy miłosne i chować je do butelki, dzięki temu znajdzie je ktoś inny i wszystko zacznie się od początku... Albo będzie wkładała do środka coś ciężkiego i butelki pójda na dno i trafią wprost do Costnera, który będzie miał co czytać.

- O matko. Ale jesteś okrutny!

- Staram się jakoś rozładować to napięcie, bo przeżywasz autentyczny dramat.

- Tylko że ja akurat żadnego dramatu nie przeżywam. A poza tym płacz przynosi ulgę, oczyszcza, daje upust gruczołom, kumasz? Znakomicie przywraca równowagę, zupełnie jak pocałunki.

- Pocałunki?

- Tak. Pocałunki wyzwalają enzymy, dziwne substancje... Na przykład... Endomorfinę, jeśli się nie mylę, słowem działają jak narkotyk. Pocałunki uspokajają... A co sobie myślisz, że dlaczego ja cię całuję?

- No, myślałem... że to czysty pociąg seksualny.

- A wcale że nie, czysty efekt uspokajający.

- A widzisz, odkrywasz przede mną nową stronę mojej natury, powinienem chyba całować więcej kobiet, a nuż by się przekonały, że jestem skuteczniejszy od naparu z rumianku, powinienem przebojem wejść na rynek! Masz pojęcie, jaka by była z tego kasa...

- A masz pojęcie, jak byś za to oberwał!

- A widzisz? Już na samą myśl robisz się zazdrosna.

- Step, czy kiedykolwiek się zastanawiałeś...

- Nad czym, byciem zazdrosnym?

- Skąd, nad tym, żeby samemu coś napisać, bo ja wiem, jakiś liścik albo wiersz...

- Tak, i żeby go potem schować w butelce.

Tak naprawdę próbowałem napisać coś do Babi. Było Boże Narodzenie. Pamiętam to jak dziś. Zmięte kartki papieru, zwinięte w kulki, już pod stołem. Rozpaczliwe próby, by znaleźć odpowiednie słowa. Odpowiednie dla kogoś zrozpaczonego tak jak ja. Ja. Ledwo żywy, z obłędem w oczach miotałem się w tej bezsensownej pogoni, bezsilny w pragnieniu odzyskania miłości, która przemija, której już nie ma. A potem ją spotykasz, ją z kimś innym u boku, i nie potrafisz wydusić z siebie choćby najprostszego słowa. Bo ja wiem... Cześć. Cześć, co u ciebie. Cześć, ale mróz. Cześć, już święta. Cześć, wszystkiego najlepszego. Albo gorzej... Cześć, ale jak to... Lub: Cześć, nigdy ci nie mówiłem... Cześć, kocham cię. Ale co to ma teraz do rzeczy? Nic a nic.

- Nie. Nigdy niczego nie napisałem. Nawet liściku z życzeniami.

- I nawet nie próbowałaś?

- Nie. Nigdy.

O co jej chodzi? Dlaczego tak się dopytuje? Krzywo na mnie patrzy.

- Aha... - Wyraźnie nieprzekonana. I zaraz przystępuje do ofensywy. - No, to szkoda! Według mnie to by było coś pięknego!

- Co?

- Gdybyś coś takiego napisał i zadedykował. Ja bym chciała jakiś wiersz... Jakiś piękny wiersz.

- Na dodatek piękny! Czyli nie wystarczy, że coś napiszę... ale na dodatek ma to być jeszcze piękne.

- Jasne... przede wszystkim piękne. Byle nie za długie. Piękny wiersz, szczery, pełen miłości... a nuż zasłużysz sobie tym na przebaczenie!

- Jeszcze czego! Niczego nawet nie napisałem, a już jestem czemuś winien.

- A bo co? Wypierasz się, że dopiero co mnie okłamałeś? - Uśmiecha się, unosi brew i wstaje od stołu, zostawiając mnie samego. - Obłudnik!

Kończę ostatni łyk piwa i w okamgnieniu ją doganiam. - Ej, powiedz prawdę. Po czym się zorientowałaś? - Pytam ją, potwierdzając tym samym, że trafiła w dziesiątkę. - Po twoich oczach. Step. Przykro mi, ale twoje oczy mówią wszystko... a przynajmniej wystarczająco wiele!

- To znaczy?

- Powiedziały mi, że przynajmniej raz w życiu próbowałaś napisać jakiś list albo wiersz, albo jeszcze coś innego. Ja tego nie wiem, ale ty tak.

- Ach... pewnie.

- A widzisz. Sam powiedziałeś: pewnie.

Cholera, sam się pogrążyłem przez to „pewnie”. Ale co to „pewnie” ma w ogóle do rzeczy? Idziemy blisko siebie, w milczeniu, w stronę motoru, i Jedno jest pewne. Muszę częściej nosić okulary. Słoneczne. I w nocy też. Albo przestać kłamać. Nie. Łatwiej nosić okulary... No pewnie.

10 października

Łaaat! Pierwszy odcinek programu wypadł świetnie. Ja, Gin, niczego nie skiepszcila. Jeszcze tego by tylko brakowało. Miałam jedno wejście pod sam koniec, musiałam po prostu przynieść kopertę z nazwiskiem zwycięzcy. Co takiego można tu pomylić? No, w ostateczności mogłam się chociażby potknąć. Za to Ele zakasowała wszystkich. Miała wejść w połowie programu, żeby wręczyć kopertę z dotychczasowym zestawieniem. Bynajmniej się nie potknęła. Doskonale się spisala. Weszła, podeszła do prowadzącego dokładnie wtedy, kiedy powinna, stanęła tam, gdzie trzeba, tylko że... zapomniała przynieść ze sobą kopertę! Coś pięknego! Mało powiedziane, ona jest wprost genialna! Nie ma to jak Ele.

Zresztą wszyscy się śmiali, prowadzący nawet powiedział coś śmiesznego (choć najwyraźniej nie aż tak znowu bardzo, skoro już nie pamiętam co). Ele od razu zaskarbiła sobie sympatię wszystkich! Zamiast się na nią gniewać, skończyło się na tym, że wszyscy bili jej brawo i się śmiali. Ktoś nawet stwierdził, że zrobiła to specjalnie! Ele... akurat. Świat show-biznesu... Wszyscy za wszelką cenę dopatrują się w nim jakichś wad. Jak powiedział mój wujek Ardisio, kiedy się dowiedział, że pracuję w telewizji: - Ostrożnie, córeczko. Bo tam nawet za najczystszy ciagnie się podejrzany swąd. - Może to i prawda. Step w każdym razie zawsze ładnie pachnie...

5 listopada

Robie zawrotną karierę! Przyłączyli mnie do zespołu dziewcząt, które tańczą w programie. Czyste szaleństwo... Na dodatek na próbach szło mi bardzo dobrze! Jutro mamy program, zobaczymy, jak tam sobie poradzę. Stres związany z transmisją na żywo to zupełnie co innego, tak słyszałam. - Wówczas łatwiej się pomylić, a każdy twój błąd dociera bezpośrednio do wszystkich widzów przed telewizorami! - Ratunku! Nie chcę o tym myśleć. Moja matka też mnie będzie oglądała. Ona żadnego programu nie przepuści. Ogląda wszystkie od początku do końca i zawsze udaje jej się mnie dostrzec. Ostatnio mi oznajmiła: - Widziałam cię dziś wieczór!

- Ale wierz mi, mamo, że się mylisz, dzisiaj nie miałam nic do roboty.

- Jak to nie! Pojawiłaś się w finale, na pożegnanie... Byłaś ostatnia od prawej, na samym końcu sceny, za wszystkimi... - Cała moja matka! Nic się przed nią nie ukryje. Prawie.

6 listopada

Doskonale! Choreograf zwrócił się do mnie: - Doskonale! - Uniostałam brew i się go zapytałam: - Ale kto, ta przede mną? - Carlo, nasz choreograf, śmiał się jak szalony. - Przechabawna z ciebie dziewczyna - powiedział mi potem. I na tym nie poprzestał. Chciał dostać ode mnie numer telefonu. - Sama pomyśl,

dzięki temu będę mógł cię ściągnąć, żebyś przyszła poćwiczyć, możesz zrobić postępy, o ile będziesz przychodziła na trening razem z innymi... - Doskonale, uwielbiam tańczyć! Wszystko byłoby idealnie, gdyby akurat w tym czasie, kiedy Carlo wstukiwiał sobie w komórkę mój telefon, nie przechodził tamtędy Step. Step ze swoim wyczuciem czasu. Też jest w tym doskonały. Tylko że wkurzył się nie na żarty. Step zazdrosny. Jak mam to rozumieć? Ele mówi, że Step jest fantastyczny, cudowny. No pewnie, dla niej tak! Mało tego, Ele mówi, że Marcantonio ma fioła na punkcie wolnego związku.

Za to Step... na punkcie związku ściśle tajnego! Czy nie istnieje coś pośredniego?

Co do wcześniejszego incydentu, to na szczęście się pogodziliśmy. Ostatnie piętro mojej kamienicy, najlepszy sposób, by się pogodzić... i żeby się poprawić... jak mówi Step. Na szczęście winda tam nie dociera, a nie sądzę też, żeby akurat

O drugiej w nocy ktoś zabierał się za rozwieszanie prania na tarasie na samej górze. Mój brat tym razem się nie pokazał. A, i tamta pani z łazienki w kinie też nie. - No- stwierdził Step - to dobranoc, mój album będzie musiał jeszcze poczekać... - Jednak jeśli tak dalej pójdzie, to prędzej czy później go skończy, i to na serio!

10 grudnia

O rany! Dlaczego to zawsze musi się tak kończyć! Czy pogodny, spokojny, a przede wszystkim profesjonalny związek między kobietą a mężczyzną, którzy razem pracują, w ogóle nie wchodzi w grę? Najwyraźniej nie. Carlo, nasz choreograf, próbował mnie poderwać. I to nachalnie. Wyjechał z grubej rury. Ręką przejechał mi po piersi. Pewnie myślał, że wywoła to u mnie dreszcz rozkoszy. Ale tylko sprawił, że przez niego zachciało mi się rzygać i dostał za swoje, bo go odepchnęłam. I to z całej siły. Uderzył w drążek przytwierdzony w połowie lustra i aż skulił się wpół. Może trochę przesadziłam. Nie. Wcale nie przesadziłam, wręcz przeciwnie. Tylko że mi powiedział, bym się już więcej nie pojawiała na sali ćwiczeń. - Chyba że... - dodał. Chyba że...! Słyszał kto coś podobnego! Chyba że... co?! A tam! Mogłabym mu odpowiedzieć: - Oczywiście, chyba że przyjdę w towarzystwie Stepa! - Na jednym popchnięciu by się wówczas na pewno nie skończyło... Ale już postanowiłam. Nic nie powiem Stepowi o Carlu. Bo do jego albumu niepotrzebne mu są duplikaty.

20 grudnia

Nie mogę w to uwierzyć. Zawsze i wszędzie jest taki roztrzepany, a już zwłaszcza jeśli chodzi o pracę, za to teraz Step najwyraźniej się przypiął i nie odpuszcza. - Dlaczego już nie tańczysz w zespole?

- Bo ja wiem - odpowiedziałam. - Carlo chciał przetestować jeszcze inne dziewczyny... - Jakoś w to nie uwierzył. Nie odpuścił ani na chwilę, nic tylko w

kółko to samo, aż do końca próby! Co więcej, wykazał się dużą trzeźwością i przenikliwością. Trochę mnie to nawet zaniepokoiło...

- Tak, i sama zobacz, kogo wybrał Carlo? Ariannę, najbardziej puszczalską ze wszystkich! -A co ty możesz o tym wiedzieć? Chętnie bym mu tak odpowiedziała, ale pomyślałam, że lepiej będzie nie dolewać oliwy do ognia. Zarzucił mnie pytaniami. - Ale jak to? Przecież tak bardzo lubiłaś tańczyć... To już się nawet nie witacie, w czasie programu nie miałaś w końcu żadnej wpadki... Chyba się do ciebie nie dobiegał? - Niespodziewanie przy ostatnim jego pytaniu aż podskoczyłam z wrażenia. Nie chciałam, żeby Step to zauważył. W końcu powiedział tylko:

- Okay, wystarczy! - Całe szczęście, pomyślałam. Już zaczęłam czuć ulgę, kiedy dodał:

- Sam go zapytam wprost... Chyba będzie w stanie powiedzieć mi coś więcej, nie?

- Rób, jak uważasz - odpowiedziałam... dosłownie już nie wyrabiałam. A potem pomyślałam: co takiego powie mu Carlo, nie wiem, i szczerze mówiąc, wisi mi to równo. Jedno jest pewne. Jeśli coś powie, to jeszcze zatęskni za tym, że go popchnęłam.

24 grudnia

Mieliśmy próbę do szóstej, a potem ruszyliśmy wszyscy do domu, bo to przecież... Boże Narodzenie! Carlo wciąż jeszcze żyje, cały i zdrowy, czyli nie puścił pary. Dziwne jest natomiast to, że wita się ze mną bardzo uprzejmie. Mhm... cuda w wydaniu Stepa. Chyba. W każdym razie lepiej się nie dopytywać. Razem ze Stepem postanowiliśmy coś zajebistego. Najpierw spotykamy się w domu z rodzicami na Wigilii, a potem, po północy zbieramy się wszyscy razem w domu Stepa, a raczej jego brata, i tam rozpakowujemy prezenty. Ele i Marcantonio też będą, bo, o dziwo, wciąż jeszcze są razem! O dziwo ze względu na Ele, którą dobrze znam, i o dziwo ze względu na Marcantonia, którego znam bardzo słabo. W każdym razie, na tyle, na ile go znam, nie przypuszczałabym, że tak długo to potrwa. A tu masz! Może rzeczywiście wprowadzili w życie zasady wolnego związku... Kto wie! Lepiej dla nich. Czytam raz jeszcze to, co sama napisałam, i widzę, że aż roi się tu od chyba, może, kto wie! Jedno jest pewne. W życiu lepiej nie być pewnym zbyt wielu rzeczy. Na razie mi się układa... ze Stepem. I to tak, że wprost nie mogę się nacieszyć!

25 grudnia

Obudziłam się w samo południe i zjadłam wyborne śniadanie: panettone i cappuccino! Łaaa! Jestem taka szczęśliwa! Masa ludzi utrzymuje, że święta Bożego Narodzenia dołują... za to ja je wprost uwielbiam. Choinka ze światełkami, żłóbek, wspólna Wigilia pełna przysmaków. Jasne, że można przytyć, ale co w tym smutnego? Potem wszystko da się zrzucić. Trochę ruchu i nie ma ani śladu. A już ze Stepem to nic tylko zrzucać te kilogramy, i tylko kiedy

tu przytyć? Ale denny tekst! Miejmy nadzieję, że nikt nigdy nie znajdzie tego pamiętnika. A jeśli już przypadkiem akurat wpadł ci w ręce i właśnie go czytasz... to popełniasz karygodny błąd! Zrozumiałeś/łaś pieprzony/na, wścibski/ka złodzieju/jko! Tak czy siak, nie chcę o tym myśleć. Wczoraj wieczorem wszystko było takie cudowne, aż za bardzo! Pół godziny po północy wszyscy siedzieliśmy już w domu brata Stepa. Paola, czyli jego brata, nie było. On też był umówiony, poszedł świętować razem ze swoją kobietą, niejaką Fabiolą. I tak oto zostaliśmy sami. Cudownie! Marcantonio przyniósł genialną płytę. Cafe del mar (albo coś innego) i puścił nam do słuchania. Panowała idealna atmosfera, poruszająca, ale nie za bardzo, ośmieliłabym się nawet powiedzieć, że rozkoszna. A ośmielaj się, Gin, ośmielaj! Rum, brandy, szampan, niczego nie brakowało. Pociągnęłam dwa tyki i rumu Stepa i już byłam pijana! Graliśmy w butelkę, żeby zobaczyć, kto pierwszy ma rozpakować swój prezent. Wypadło na Marcantonia i dlatego to oni poszli na pierwszy ogień. Tylko że Marcantonio naciągnął reguły gry w butelkę i „dla upamiętnienia”, jak się sam wyraził, „starych, dobrych czasów”, kiedy to tylko dzięki tej butelce byliśmy w stanie pokonać własną nieśmiałość... rzucił się na Ele. Oplótł ją rękoma niczym ośmiornica. Wycałował ją, całą przy tym oblizując, a Ele tylko się śmiała i śmiała... Widać, że jest im razem zajebiście! Są czadowi! Tak się cieszę ze względu na Ele. A jakie cudne prezenty, naprawdę prześliczne! Ele jak zwykle przesadziła, podarowała mi niestłuchanie specjalistyczne oprogramowanie do grafiki komputerowej, ściągnięte wprost ze Stanów, kosztowało fortunę (to wiem od Stepa, który mi powiedział, że korzystał z takiego podczas pobytu w Ameryce). Marcantonio na jego widok dosłownie oszalał, objął ją i zaczął krzyczeć: - Ty jesteś kobietą mojego życia, ty i żadna inna! - Ele zaś, zamiast się cieszyć, tylko się rozżłościła i wyjechała mu z tekstem: - Więc twoją miłość można kupić... wystarczy jeden program do grafiki komputerowej!

- Ależ skąd! - Marcantonio jej na to. - To nie program do grafiki komputerowej... to amerykański Trambert xd! Ha! - W odpowiedzi Ele rzuciła mi się na szyję. Przewrócili się na kanapę i zaczęli walczyć. Po chwili Marcantonio ją unieruchomił i zaczął jej perswadować: - No, nie bądź taka, musisz mieć większe poczucie humoru, być uprzejmiejsza, uleglejsza, bo z tym bardziej ci do twarzy, od razu robisz się ładniejsza, o właśnie teraz jesteś piękna, to znaczy jesteś jeszcze piękniejsza... - Słowem, tak ją oczarował, że w końcu nawet sam prezent też się Ele spodobał! I to jeszcze jaki prezent! Strój gejszy! No, oczywiście, jedwabny, ciemnoniebieski, śliczny, z żakiecikiem ze stójką, bardzo elegancki. Ale zawsze to tylko strój dla gejszy. Ele przyłożyła sobie żakiecik do klatki piersiowej i przejrzała się w lustrze. Oczy jej zwilgotniały i powiedziała mi po cichu: - Marzyłam o tym. - O tym marzyła. Żeby być gejszą... bo ja wiem! Powracają wątpliwości. Ale znikają w okamgnieniu. Również dlatego, że kolej na mnie. Rozpakowałam prezent, który mi podarował Step. - Nie! Nie mogę w to uwierzyć. Brak mi słów.

- „Co jest, nie podoba ci się?” - pomyślał Step. Spojrzałam na niego i się uśmiechnęłam. - Otwórz teraz swój... - Step zaczął rozpakowywać swoją paczkę, ale jednocześnie nie przestawał mnie przekonywać: - Słuchaj, można go wymienić. .. Jeśli rozmiar się nie zgadza, to się zmieni, co? A może kolor ci się nie podoba?

- Otwieraj, byle szybko - ja mu na to. - Nie! - wyrzucił z siebie Step. - Nie mogę w to uwierzyć! - Powtórzył za mną zdanie i nie tylko to jedno po mnie spapugował. Obydwoje daliśmy sobie w prezencie takie same kurtki Napapijri, ciemnoniebieskie, identyczne, takiesamiuteńkie.. O matko... zamurowało mnie. - To cudownie! Step, jesteście idealnie zgrani! To znaczy, masz pojęcie, wpadliśmy na ten sam pomysł. Chyba że jak zwykle mnie śledziłeś?

- No co ty?

Uśmiełam się setnie! Nie chciał dać po sobie poznać, że jest zazdrosny przed swoim kolegą - przyjacielem Marcantoniem! Tak jakby Ele nie opowiadała Marcantoniovi tego wszystkiego, co sama ode mnie usłyszy. A więc... morał... wszyscy wiemy wszystko o wszystkich!!! A tak w ogóle, jakie to ma znaczenie? Przecież się kochamy! I to się liczy! Na zakończenie wieczoru też było cudownie. Muzyka, słodkie torroncini, pogaduszki jeszcze przez jakąś chwilę, po czym Marcantonio i Ele się zwinęli. Ściągam kozaki, wyciągam się na kanapie, przytulam do Sepe'a i wsuwam stopy pod poduszkę, żeby nie zmarzły. Wymarzona pozycja do tego, żeby śnić. Gadamy jak najęci. A właściwie, gwoli ścisłości, to ja gadam jak najęta. Opowiadam mu o kolczykach, które dostałam od rodziców, o prezencie od wujka Ardisio, o tym od ciotek, od babci itd. Potem, kiedy pytam, jak jemu minął wieczór, czuję, że cały sztywnieje. Nalegam i w końcu, z trudem, dowiaduję się, że on i Paolo Wigilię spędzili z ojcem i jego nową partnerką. Step opowiada mi, że od brata dostał czarne buty, piękne, a od ojca zielony golf, choć, jak mówi, zielony to jedyny kolor, którego nie cierpi (dobrze wiedzieć! Cale szczęście! Była też zielona kurtka Napapijri. Ale ja też nie przepadam za zielonym! Fiuuu! Udało się... Szczęście też chyba idealnie się z nami zgrało). Step podkreśla, że ojciec dał do podpisania swojej nowej kobiecie karteczkę z życzeniami dołączoną do prezentu. Staram się go usprawiedliwić, ale dla Stepa jest wszystko jasne. Kto ją tam w ogóle zna? A czy ty chciałybyś dostać prezent od kompletnie obcej osoby? Jeśli spojrzeć na to od tej strony, pewnie ma trochę racji. W końcu największy absurd (po moich długich namowach), przyznaje mi się, że od matki też otrzymał prezent, ale że go nie rozpakował. A tuż po tym jak rzucam żartobliwą uwagę: - No, ale chyba znasz własną matkę, nie? - czuję, że wszystko zepsułam. - Wydawało mi się, że ją znam - odpowiada. O Boże. Zepsułam mu święta Bożego Narodzenia. Na szczęście jakoś udaje mi się temu zaradzić. Słodyczką, spokojem, namiętnością, cierpliwością... Usłyszeliśmy nawet Paola, który wrócił do domu. Oczywiście, może akurat oddawanie się takim przyjemnościom w Boże Narodzenie nie do końca pokrywa się z moimi przekonaniem, ale miałam takie poczucie winy. No, małe usprawiedliwienie. Powiedzmy, że dała o sobie znać druga strona

chrześcijańskiej natury. Miejmy tylko nadzieję, że nikt inny na tym nie skorzystał. Bo też poczynanie nowego życia... dokładnie w święta Bożego Narodzenia! no, to już by był szczyt wszystkiego. Bardzo nas to rozbawiło. Na szczęście Step był całkiem spokojny, chociaż nawet żartował sobie odnośnie wyboru imienia. Proste! Jezus albo Madonna, zależy, czy to będzie chłopiec, czy dziewczynka... Błźnieca... Gorzej, przewidywalny aż do bólu! Jesteś przewidywalny tak samo jak Maria Luisa Ciccone, ja mu na to. A prezentu od matki i tak nie otworzył.

55

Cappuccino i rogalik, najmniejsze szaleństwo, na jakie można sobie pozwolić u Vanniego.

- Step! Własnym oczom nie wierzę! - Pallina wybiega mi naprzeciw. Nie udaje mi się w porę obrócić, niewiele brakuje, żeby wszystko na mnie wylata. Obejmuje mnie. Co poniekąd nam się przyglądają. Na potykam wzrok kobiety odbity w lustrze, które mam przed sobą. Zajada rogalik i wzdycha. Ma lekko wilgotne oczy. Wygląda na fanekę przepelnioną nostalgią za *Carramba chesorpresa!* czy innymi szlagierami telewizyjnymi tego typu. A może to wzruszenie jest spowodowane zbyt gorącym cappuccino? Kto wie?

- Pallina, zachowuj się.

Uśmiecham się, kiedy ją obejmuję. - Jeszcze tylko brakuje, żeby nam zaproponowali udział w jakimś reality show.

Pallina wypuszcza mnie z objęć i mi się przygląda. Trzyma mnie w pasie i przekrzywia głowę lekko w bok.

- Reality show, jakiego ty języka używasz? Step, aleś się zmienił! Mój ojciec by powiedział, że wpadłeś w lej.

- Co? W jaki lej?

- Posłuchaj tylko samego siebie, operujesz fachowym słownictwem...

Obraca mnie, w połowie każe się zatrzymać, a kiedy to robię, wybucha śmiechem. - Całkiem modnie się nosisz.

- Tak, owszem...

- No, najwyraźniej rozstałeś się już ze swoją nieśmiertelną, szpanerską kurtką, w której wyglądałeś, jakbyś od zawsze był na bakier z prawem i gwizdał na to.

- Ale o co chodzi... - Przyglądam się swojej ciemnoniebieskiej marynarce, którą włożyłem sobie na luzie do pary dzinsów i swetra z golfem. - A co, źle mi w tym?

- No nie. Nie do wiary. Step, który szuka potwierdzenia! Ajajaj, jest aż tak kiepsko...

- Człowiek się zmienia. Dostosowujemy się, robimy się elastyczniejsi, słuchamy innych...

- Więc jest aż tak fatalnie. Najwyraźniej już po same uszy tkwisz w leju!

- Wciąż to samo? Ale o co w ogóle chodzi z tym lejem?

- Mój ojciec porównuje życie społeczne do leja, który znajduje się w pozycji pionowej. Na początku, kiedy jest się na samej górze, w jego szerokiej części, można sobie krążyć, jak się chce, swobodnie, beztrąsko, bez specjalnych obowiązków, nie będąc zmuszonym do poważnych przemyśleń, ale w miarę jak człowiek schodzi coraz głębiej w dół, to dociera do jego najwęższej części, wówczas nie można się już wycofać, ściany się zwężają, trzeba płynąć dalej, nie ma odwrotu, inni jeszcze napierają, trzeba trzymać się swojego miejsca w szeregu i o nie dbać!

- O matko. Co za koszmara! A wszystko tylko dlatego, że zmieniłem kurtkę? To dopiero będzie, jak mnie zobaczysz jutro.

- A bo co?

- Jutro mam program, lecimy na żywo, strój obowiązkowy: garnitur i krawat!

- Nie. Nie mogę w to uwierzyć, jutro tu jestem. Kto by przegapił taką okazję. Step w marynarce i pod krawatem! Przyjdę choćby nawet sam Boy George i George Michael zjawili się u mnie w domu, dali koncert, a potem jeszcze obydwaj naraz postanowili pójść ze mną do łóżka!

- Wszystko co chcesz, Pallina. Ale możesz mi wyjaśnić, skąd to porównanie? Jaki jest związek pomiędzy dwoma osławionymi w świecie muzycznym gejami a tym, że mam się pokazać w garniturze i pod krawatem. Gdybyś chociaż powiedziała cokolwiek, co by nie było aż tak od czapy.

- A tam, sama nie wiem. To prawda. Ten związek może się wydawać naciągany, muszę to jeszcze przemyśleć. Ale skoro już o tym mowa, to akurat w twoim przypadku... chyba jest wszystko po staremu, prawda? '

Bo mówią, że w środowisku telewizyjnym, tuż za tym związanym z modą jest najwyższy odsetek...

Przez chwilę myślę o naszym spotkaniu na tarasie tamtego wieczora. Ale to raptem tylko jeden moment. Śmieję się. Już mi przeszło. Śmieję się, i to jeszcze jak.

- Nie. Nie. Możesz być spokojna. A już zwłaszcza możesz uspokoić swoje przyjaciółki!

- Zarozumialec!

Lekko mnie popycha. Kto wie, czy i ona aby nie wróciła myślami do tamtej nocy.

- A powiedz mi no tylko, co takiego właściwie robisz w tym programie?

- To, czego się nauczyłem w Stanach. Zajmuję się logo, grafiką komputerową, czołówką i napisami, które pojawiają się na początku programu, tekstem, który widać na pasku z wynikami i kasą, którą można wygrać. Wiesz,

te napisy umieszczane poniżej twarzy prowadzącego. No, właśnie, to ja się zajmuję dokładnie takimi historiami.

- Masz pojęcie... telewizja! A więc i tancerki, hostessy, superlaski, zabójcze piękności, jakich tylko dusza zapagnie i panny, które dają, bo na tym polega ich praca. A kiedy się rozmyślisz, no nie, wyobrażam sobie, że tam akurat można się dowartościować...

- No, nie aż tak. Ale powiedzmy, że to niewątpliwa zaleta tej pracy. Dokładnie w tej samej chwili przechodzi obok jedna z tancerek. Akurat... ta najseksowniejsza.

- Cześć, Stefano.

- Cześć.

- Do zobaczenia w środku.

- Jasne.

Oddała się cała uśmiechnięta, piękna i pewna siebie, sprężystym krokiem, spokojnie, świadoma zainteresowania, które wzbudza, okazywanego jej w sposób mniej lub bardziej subtelny, świadoma myśli i to najrozmaitszych, które chodzą po głowie tym wszystkim, którzy podziwiają jej kształty, gdy tymczasem ona zostawia ich za plecami.

- O to chodzi, masz łeb na karku.

Pallina jest w rewelacyjnej formie, ma fantastyczny refleks i niczego nie przepuści.

- A na dodatek jeszcze to... „Stefano”?! Po raz pierwszy słyszę, żeby ktoś zwracał się do ciebie per Stefano. O Boże, to ty do tego wszystkiego jesteś tu incognito.

- Wiesz, jak to jest. Step świadczy o dużej zażyłości.

I dokładnie w tym samym momencie słyszę, jak ktoś mnie woła. - Step!

Odwracam się. To Gin. Nadchodzi uśmiechnięta i rozpromieniona, śliczna w swojej nieukrywanej żywiołowości. Pallina unosi brew. - Tak, to prawda! Step świadczy o dużej zażyłości!

Gin podchodzi i szybko całuje mnie w usta. I staje obok, jakby chciała zakomunikować: jestem gotowa, by poznać tę twoją przyjaciółkę... Bo to przecież przyjaciółka, nieprawdaż? Ach, te kobiety.

- Mhm, tak, sorry, poznaj moją przyjaciółkę Pallinę. Pallina to jest Ginevra.

- Cześć. - Gin od razu wyciąga do niej rękę. - Możesz na mnie mówić Gin.

- Ja z kolei zarówno dla przyjaciół, jak i nie, jestem Pallina.

Przez chwile mierzą się wzrokiem od stóp do głów, robią to bardzo szybko. I zaraz, właściwie trudno powiedzieć, jak to się dzieje czy dlaczego, ale na szczęście dochodzą do wniosku, że wzbudzają w sobie nawzajem sympatię. Wybuchają śmiechem.

- Step - mówi Gin - to ja idę. Tylko się nie spóźnij, bo już i tak cię szukali.

- Okay, dzięki, zaraz będę.

- Cześć, Pallina - żegna się z nią uśmiechnięta i odchodzi. - Cieszę się, że cię poznałam.

Przez chwilę stoimy tak w milczeniu i patrzymy na nią, jak się oddala. Po chwili Pallina zagaja, ciekawa:

- Czy to aktorka?

- Nie. Jej rola jest całkiem prosta, jest hostessą w programie.

- To znaczy?

- Przynosi koperty.

- Szkoda, taki talent, a się marnuje.

- Co przez to rozumiesz?

Pallina zaczyna mówić falsetem:

- Cieszę się, że cię poznałam.

- Słuchaj, a nuż rzeczywiście Gin uznała, że jesteś fajna.

- Widzisz, świadczyłoby to o tym, że jest naprawdę doskonałą aktorką!

Ciebie też nabrała.

- Strasznie jesteś uprzedzona.

- To wy, faceci, jesteście aż nadto niefrasobliwi. Sam się przekonasz, czy rzeczywiście nie mam racji. Kiedy znów się z nią zobaczysz?

- Niedługo.

- O, właśnie, zobaczysz, albo nie będzie się odzywała i się naburmuszy, albo zarzuci cię pytaniami. „A co to za jedna ta Pallina? Co robi? Od kiedy się znacie?”. Możesz się zacząć martwić zwłaszcza wtedy, kiedy cię zapyta: „A co, może byliście razem?”.

- Dlaczego?

- Bo to będzie świadczyło o tym, że jest nie tylko ciekawa... ale też zakochana.

I Pallina zostawia mnie ot tak, odchodząc jak to ona, od zawsze tak samo, w podskokach.

Przyłącza się do swojej śmiesznej przyjaciółki, której nie znam, i znika, jak to ona. Po raz kolejny zostaję sam i czuję się po prostu zaniepokojony.

Niedługo potem jestem na miejscu, w Teatro delie Vittorie. Witam się z Tonym, ochroniarzem stojącym przy wejściu, i rozglądam się wokół, szukam jej.

- Trzymaj. - Rzucam mu paczkę. Tony chwyta ją w locie, niczym czołowy quarterback w amerykańskiej drużynie. Gdyby nie postura i fakt, że zazwyczaj ci zawodnicy są czarni, to właściwie cała reszta się zgadza.

- Ej, dzięki Step. Pamiętałeś.

Patrzy uszczęśliwiony na swoją paczkę fajków MS.

- Ile ci wiszę?

- Daj spokój, w razie czego, jeśli skończą mi się moje, to mnie poczęstujesz swoimi.

Dwóch hipokrytów. Ja w życiu bym nie zapalił MS-a, nawet gdybym wyjarał własne, wszystkie co do jednego, a już to widzę, jak on może nie

wiedzieć, ile go kosztuje paczka, skoro z tego, co widzę, wypala prawie dwie na dzień. No, tak czy siak, cieszę się, że mogę mu je zafundować. W gruncie rzeczy go lubię.

Rozglądam się wokół. Może poszła do dystrybutora coca-coli albo kawy. Nie zdążam się nawet rozejrzeć na dobre. - Jeśli szukasz Gin, poszła się przebrać. - Tony uśmiecha się do mnie i puszcza oczko. Ach, nie ma rady. Nikomu nic nie umknie. A już zwłaszcza takiemu ochroniarzowi... to by było wbrew logice. - Dzięki. - Nie warto nawet się zapierać: „Ale przecież wcale jej nie szukałem”, albo jeszcze gorzej: „Nie, tak naprawdę to rozglądałem się za Marcantonienif”. To by tylko pogorszyło sprawę.

- Cześć, Step, widziałam cię u Vanniego, jak rozmawiałeś z jakąś niską brunetką. - To Simona, jedna z dziewczyn występujących w programie.

- To Pallina, moja przyjaciółka.

- Tak, tak, oczywiście... jakżeby inaczej! Nie myśl sobie, wszystko powiem Gin.

I masz ci, już gorzej być nie może. Simona się oddała. Dokładnie w tej samej chwili zjawia się Marcantonio.

- O, właśnie cię szukałem, chodź do nas do biura, bo realizatorzy chcą z nami pogadać.

- Okay! Jestem u ciebie za pięć minut.

- Za dwie.

- Za trzy.

- Okay! Ale ani minuty później!

Marcantonio nie zatrzymuje się ani na chwilę, rzuca przed siebie papierosa, i jak tylko niedopałek dotyka ziemi, zaraz go przydeptuje i znika w jednym z korytarzy.

Ja sam jestem już na rogu, kiedy akurat wpadam z impetem na kogoś, kto wyrasta z naprzeciwka. Barn, to wszystko przez ten dziki pęd. Upada do tyłu, chwytam ją w locie.

- Gin!... Dokąd tak gnasz?

- A tak sobie, żeby trochę się poruszać, żeby być w formie. Nie udało mi się pójść na siłownię. A właściwie, prawdę mówiąc... - Przybliżyła się i szepcze mi na ucho, rozejrzawszy się uprzednio jak należy, czy aby nikogo nie ma. - Dzisiaj mnie przyłapali na siłowni Urbani.

- Nie!

- Tak. Podszedł do mnie taki jeden i mi powiedział: „Ale pani to już tu u nas chyba była na próbnych zajęciach w lutym i w czerwcu?”.

- Nie!

- Tak, co, mam ci przysiąc?

- Nie, no po co? Tyle tylko że tobie to się po prostu nie mogło udać...

- Dlaczego?

- Bo za bardzo rzucasz się w oczy...

- Mhm, jakiś ty kochany! Według mnie to ty się wygadałeś.

- Ja? No co ty, oszalałaś!

- Nie, to ty oszalałaś, żeby się ze mną jeszcze spierać.

- A, słuchaj, o coś chciałam cię zapytać...

Teraz się okaże. Zaraz wyjedzie z pytaniami. Wiedziałem. Pallina ma rację. Pallina ma zawsze rację.

- Widziałeś Marcantonia? Szukał cię, powiedział, że macie jakieś ważne zebranie!

- Tak, dzięki. Spotkałem go przed chwilą.

Patrzę na nią i się uśmiecham. Gin zbiera się do odejścia, ale ją zatrzymuję.

- Nie masz mi nic więcej do powiedzenia?

- Nie, dlaczego? A, tak...

A jednak, wiedziałem. Pallina nie może nie mieć ragi. Gin spogląda na mnie krzywo, patrzy tak, jakby w ten sposób chciała dać mi coś do zrozumienia. Za chwilę się zacznie, wiedziałem...

- Dziś wieczór wujek przychodzi do nas na kolację i dlatego, niestety... później nie będziemy mogli spotkać się na naszej „próbie generalnej”.

- Aha! - Czuję się zawiedziony. Nie tyle ze względu na próbę, ile dlatego że jest taka nudnocięka.

- Co jest? - Przygląda mi się badawczo.

- Nie, nic...

- Step... Pamiętaj o oczach.

- To znaczy?

- Masz nie kłamać, a właśnie to robisz.

- Nie, to znaczy tak. Bo tak się zastanawiałem...

- Tak, wiem... Jak to jest. Gin, że wcale się nie dopytujesz: „Ale co to za jedna? Skąd ją znasz... A co, może byliście ze sobą”, mam rację?

- Tak... masz.

- To przecież takie typowe. Po pierwsze, kimkolwiek by była, to co z tego? Chcesz być razem ze mną? To się liczy. Po drugie, sam mógłbyś mi powiedzieć... jak i nie powiedzieć... bez względu na to, co by was łączyło. A skoro tak, to czy warto, byś nadweręzał sobie wzrok? Jedno jest pewne, ty się jej podobasz.

- Ja? Ale to' przecież dziewczyna mojego przyjaciela. - I całkiem naturalnie przychodzi mi mówienie o moim przyjacielu Pollo w czasie teraźniejszym, a to sprawia, że lepiej się czuję.

- Podobasz jej się. Step, wierz mi! Być może nawet próbowała cię poderwać. Zapamiętaj to sobie, jedna kobieta pozna się na drugiej. Wierz mi, Step. Tym bardziej że mnie akurat, na ogół, nad czym ubolewam, nic nie umknie.

I zostawia mnie, pędzi przed siebie, chcąc w ten sposób odrobić siłownię, która jej przepadła. To prawda. Gin. Tobie nic nie umknie. No, czas najwyższy,

by udać się na to zebranie realizatorów. A, i jeszcze jedno. Pallina nie zawsze ma rację.

Wchodzę do naszego pokoju, akurat w samą porę, by się załapać na taką oto scenkę. Renzo Micheli, Żmija, stoi przed Marcantoniem.

W rękę trzyma jakieś kartki i potrząsa nimi dokładnie w takim samym tempie, w jakim mówi. Wymachuje. Sesto i Toscani, Kocur & Kocur, siedzą z tyłu skuleni i chichoczą po cichu, na siebie co raz popatrując rozbawionym wzrokiem, nie bardzo wiadomo zresztą, co ich tak cieszy.

- Zrozumiałeś? Tylko mi więcej nie nawal! Miej się na baczności i ani mi się waż pomylić. Nie możesz sobie na to pozwolić. Jak ci coś mówię, to tak jest. Wyniki należy podawać w szeregu, od lewej do prawej strony, a nie w słupku.

- Ale ponieważ z Romanim nie mówiliśmy o tym, jak je wyświetlać, to pomyślałem...

Micheli, Żmija, nie daje mu dokończyć.

- I w tym tkwi błąd. Myślałem! Wiedziałem, że posunąłeś się za daleko, tylko nie miałem pojęcia, że aż tak. Ty masz robić, co ci każą, i to dobrze. I nie waż mi się myśleć! - I mówiąc to Micheli, Żmija, rzuca mu świeżo zadrukowanymi kartkami prosto w twarz. - Trzymaj, zrób to jeszcze raz, a potem mi pokaż!

Marcantonowi początkowo udaje się zasłonić przed kartkami, ale już następne lecą mu na twarz niczym gwałtowny deszcz papieru i się rozlatują, układając w harmonijkę. Toscani, jak zwykle ze swoją nieodłączną wykałaczką w ustach, sili się na robienie min, dając tym samym wyraz swojemu zaskoczeniu i rozbawieniu. - Och.

A następnie, nieusatysfakcjonowany, oblizuje wykałaczkę, jakby to był chupa-chups. Sesto, oparty o stół tuż obok, unosi się ciekawym, jak też zareaguje Marcantonio. A tu nic. Nic się nie dzieje. Micheli czeka jeszcze chwilę. I wreszcie zarządza: - Zbieramy się stąd... - Wygląda prawie na zawiedzionego tym, że ta jego prowokacja nie spotkała się z żadną reakcją. Te zwyczajne kartki papieru niczym jedwabne rękawice szermierza z odległej przeszłości nie doczekały się reakcji, mimo że wymierzyły policzek. Marcantonio zbiera pojedyncze kartki ze stołu. Renzo Micheli w asyście Kocura & Kocura zmierza do wyjścia, ale już w samym przejściu trafia na mnie. Raptem jeden moment. Chwila niepewności. Przygląda mi się, unosząc brew, lekko mruży oczy, jakby chciał powiedzieć: a może ty chciałbyś się do tego ustosunkować? Ale to tylko jedna chwila. Przesuwam się w bok, ustępując mu z drogi. Ci dwaj dziwni sekundanci tego nieudanego pojedynku opuszczają pokój w świetnych humorach. Od razu się schylam, żeby zebrać kartki, których wszędzie pełno, by jakoś przerwać tę dręczącą ciszę, by pomóc, na ile akurat mogę, Marcantonowi. Podejmowanie jakiegokolwiek reakcji w odpowiedzi na tę beznadziejną prowokację byłoby, z jego punktu widzenia, czystym absurdem. To Marcantonio pomaga mi jakoś się z tym uporać.

- I tak to jest, drogi Stepie, dziś właśnie zaliczyłeś kolejną lekcję. Zdarza się, że w pracy twoja siła, twoje racje muszą zejść na drugi plan, kiedy masz do czynienia z władzą... Wdanie się w konflikt z Michelim byłoby równoznaczne z unicestwieniem się, zaprzepaszczaniem hipoteki na przyszłość. To on zastąpi kiedyś Romaniego.

Zaczyna mówić coraz bardziej nieskładnie.

- A ja, wiesz, dopiero co kupiłem dom, wziąłem kredyt i... nie jestem już tym samym arystokratą, co dawniej... Słowem, kiedyś było inaczej.

Potakuję skinieniem głowy. Udaję, że wciąż słucham, co do mnie mówi. Strzępy słów cedzone z niejakim trudem. Dziwne usprawiedliwienie, które zawisło gdzieś w powietrzu między nami, najlepsze, jakie dało się wymyślić. Przypomina trochę żądanie okupu, który trzeba zapłacić, złożone z poprzyklejanych liter wyciętych z gazety, z których każda jest inna. Tylko że ja nie mam takich pieniędzy. I nie mogę nic zrobić. Zbieram pozostałe kartki, składam je w równy plik i kładę mu je, ostrożnie. I potem, już na wychodnym:

- Jasne, Marcantonio, rozumiem cię, masz rację... - I znikam z pola bitwy, dodając jeszcze: - Tak, chyba zachowałbym się tak samo... - Zostawiam go z tym moim „chyba”, a zarazem, przy całej niepewności podnoszę go na duchu, ocalając, choćby nawet niewielki, zakamarek dla resztek jego godności. Gin nie miałaby najmniejszych wątpliwości. Od razu przejrzałaby, że kłamię. Chyba. A niechby tak! A niechby tak to mi rzucili w twarz stos kartek, wszyscy trzej, naraz. Na nic innego nie czekam. Wkurwiają mnie, i to jak. I pielęgnując w sobie to nieśmiałe pragnienie, wychodzę. Zamykam drzwi i zakładam okulary. I zaraz chce mi się śmiać. Chyba doszczętnie zgłupiałem, przecież nie ma przy mnie Gin.

56

Wchodzę do domu i kładę torbę. Zdejmuję kurtkę i słyszę Paola, który gada gdzieś w innym pomieszczeniu. Jest z kimś, czy to tylko telewizja? Paolo podchodzi do mnie cały rozpromieniony. - Cześć... niespodzianka. - To nie telewizja. Ktoś tam jest. I nagle dostrzegam, kto to taki. Staje w drzwiach do salonu, framuga drzwi jest jak rama, łagodne światło pada na nią z tyłu, od okna, i dlatego nie widzę zbyt wyraźnie jej konturów, niczym eteryczna zjawia, tak przecież wyraźna i obecna w moim życiu, w całym moim przeszłym życiu. Moja matka. Mama.

- Przygotowałem coś do jedzenia, w razie gdybyś był głodny. Step. - Mówiąc to, Paolo sięga do szafy po kurtkę i zakłada ją na siebie. - Wszystko masz już gotowe na stole, jeśli jesteś głodny. - Powtarza, cokolwiek zaniepokojony całą sytuacją. Nie wiem, na ile dręczą go wątpliwości, czy rzeczywiście jestem głodny, a na ile podejrzenie, że akurat teraz nie w smak mi

jest to, co sam mi zgotował. Spotkanie z mamą. Może i nie miał na to ochoty, tak pewnie mógł sobie o mnie pomyśleć, a może nie. Ale to raptem jedna chwila. Paolo już wyszedł, zostawiając nas we dwoje, samych. Samych, bo od tamtego dnia nic się nie zmieniło. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Jestem sam, bez niej. Bez matki, którą stworzyłem sobie w wyobraźni, wychowany na tych jej wszystkich opowieściach, bajkach, które mi czytała, kiedy byłem mały, wszystkich tych historiach, które od niej słyszałem, kiedy to siedziała tuż przy moim łóżku, gdy ja tymczasem z kilkoma zaledwie stopniami gorączki z lubością zaszywałem się w pościeli, rozgrzany kocem oraz ciepłem bijącym właśnie od niej. Wiedziałem, że jest tak blisko, obok mnie, po to, by snuć opowieści, trzymać mnie za rękę, dotykać mi czoła, sprawdzając gorączkę, by mi przynieść szklankę wody. Ta szklanka wody... Ileż to razy, byle tylko mieć ją przy sobie jeszcze choć przez chwilę, bliski zaśnięcia, prosiłem o tę ostatnią rzecz, pragnąc ujrzeć ją raz jeszcze, jak pojawia się w drzwiach, których framuga jest jak rama, tylko że te drzwi są inne, tak jak i cały dom, i sama historia też... To historia jej związku z moim ojcem. I to zjawiskowe wyobrażenie, do którego ona sama tak bardzo się przyczyniła, pełne miłości, baśni, marzeń, cudów, światła, słońca... Trach, zostało przekreślone za jednym zamachem.

Fakt, że ją przyłapałem, nakryłem w łóżku z jakimś facetem. - Cześć, mamoo... - Pierwszym lepszym, obcym, kimś innym niż mój ojciec, zdybałem go z moją własną matką, od tamtej chwili nic, tylko ciemność. Nieprzenikniona ciemność. Słabo mi się robi. Siadam przy stole nakrytym do obiadu. Nawet nie widzę, co to takiego, bo na samą tylko myśl, że miałbym coś zjeść, od razu robi mi się niedobrze. Ale to mój jedyny ratunek. Spokojnie, Step. To minie. Wszystko mija. Nie, nie wszystko. Ból związany z nią wciąż jeszcze nie minął. Tamta szklanka wody... Spokojnie, Step. Jesteś już dorosły. Piję trochę wody. - No właśnie, wiem, że pracujesz... jesteś szczęśliwy? - Szczęśliwy? Kiedy słyszę to słowo w jej ustach, chce mi się śmiać. Ale tego nie robię. Odpowiadam cokolwiek, tak jak i na wszystkie inne, zadawane przez nią pytania. - Jak ci tam było w Stanach? Miałeś jakieś problemy? Czy jest tam dużo Włochów? Masz zamiar tam wrócić? - A ja odpowiadam. Odpowiadam na wszystko, z grubsza rzecz biorąc jak należy, starając się uśmiechać, być uprzejmym. Dokładnie tak, jak ona sama mnie tego uczyła. Uprzejmie.

- Spójrz, mam coś dla ciebie.

I wyciąga coś z torebki, nie tej, którą jej podarowałem wtedy, na Boże Narodzenie czy na urodziny, sam już nie pamiętam, kiedy to było. Ale pamiętam, że ujrzałem tę torebkę tamtego dnia, na krześle, w jego mieszkaniu. W salonie... Łóżko innego faceta, które ją gościło, moją własną mamę. Gościło. Gościło. Gościło. Dostyc, Step. Przestań, przestań.

- Poznajesz? To morselletti, za którymi tak przepadałeś.

Tak. Przepadałem. Przepadałem za wszystkim, co się z tobą wiązało, mamoo. I teraz, po raz pierwszy, po tym jak kilkakrotnie już się jej przyjrzałem,

widzę ją na nowo. Moja matka. Uśmiecha się trzymając w rękach tę niewielką przezroczystą reklamówkę. Kładzie ją ostrożnie na stole i znów się do mnie uśmiecha, przekrzywiając głowę lekko w bok. Moja matka. Ma teraz jaśniejsze włosy. Jej skóra też wydaje się jaśniejsza. Ona, od zawsze taka delikatna, wydaje się jeszcze bardziej krucha. Schudła. Właśnie, wydaje się chudsza, a skóra wygląda, jakby trochę spierzchnęła jej na wietrze. I oczy. Ma lekko przygaszony wzrok, jakby w jej oczach było mniej światła. Zupełnie jakby ktoś, na złość mi, odrobinę przekręcił gałkę włącznika i pogrążył w półmroku naszą miłość. Moją miłość. Wypijam jeszcze trochę wody.

- Tak, pamiętam. Strasznie mi smakowały.

I mimowolnie używam czasu przeszłego, odruchowo, obawiając się, że nawet te najzwyklejsze w świecie ciasteczka utraciły swój smak, który tak lubiłem.

- Otworzyłeś prezent ode mnie?

- Nie, mamu. - Nie jestem w stanie jej skłamać. Po tylu latach wciąż nie jestem w stanie powiedzieć jej nieprawdy. I to nie tylko z obawy, że mogłaby mnie na tym przyłapać... Przypominam sobie Gin i to, co mówiła o moich oczach. Przez chwilę mam ochotę się uśmiechnąć. To dobrze.

- Nie, mamu, nie zrobiłem tego.

- Wiesz, że to nieładnie.

Ale nie oczekuje, że będę ją za to przeproszał, nie ma takiej potrzeby. Po jej uśmiechu widzę, że wszystko jest w porządku, było minęło, nie ma o to do mnie pretensji.

- To książka i bardzo bym chciała, żebyś ją przeczytał. Masz ją tutaj?

- Tak.

- To ją przynieś.

Każde jej słowo brzmi tak łagodnie, że nie mogę postąpić inaczej, jak tylko się podnieść, przejść do mojego pokoju i bezzwłocznie wrócić z pakunkiem, położyć go na stole i rozpakować.

- O, właśnie. To *Lucy Crown* Irwina Shawa. Piękna historia. Zupełnie przypadkiem wpadła mi w ręce. Zrobiła na mnie niesamowite wrażenie. Jeśli znajdziesz czas chciałabym, byś ją przeczytał.

- Dobrze, mamu. Jeśli będę miał czas, to tak zrobię.

Przez chwilę siedzimy w milczeniu, a ja, mimo że to zaledwie chwila, mam wrażenie, jakby trwała całe wieki. Spuszczani wzrok, ale nawet okładka książki nie przychodzi mi z pomocą w przetrwaniu tej nieskończoności. Składam papier, w który zapakowany był prezent, ale to także dodatkowo tylko pogłębia mój dyskomfort, każda sekunda jest nieznośna, bo wydaje mi się, że nigdy nie minie. Matka uśmiecha się do mnie. W końcu to ona pomaga mi przebrnąć przez tę króciutką nieskończoność.

- Moja mama też zawsze składała papier po prezentach, które dostawała. Twoja babcia. - Śmieje się. - Może masz to po niej. - Wstaje. - No, to ja już idę...

Wstaję razem z nią. - Odprowadzę cię.

- Nie... nie fatyguj się.

Składa lekki pocałunek na moim policzku i zaraz się uśmiecha.

- Poradzę sobie. Zaparkowałam samochód tuż pod domem.

Idzie w stronę drzwi i wychodzi, już się nie odwracając. Wygląda na zmęczoną i ja też czuję się wykończony. Jakoś nie mogę odnaleźć w sobie tych pokładów energii, które, jak sądziłem, posiadam. Ten pocałunek, chyba, nie był wcale taki znów lekki.

57

Trochę później.

- O, właśnie o tobie myślałam... jesteśmy megazgrani! Poważnie, dosłownie zaraz miałam do ciebie dzwonić! - Gin jest rozbijająca, zawsze taka radosna.

- Gdzie jesteś?

- Na dole. Otworzysz mi?

- Ale dopiero co skończyłam jeść, mój wujek jeszcze nie wyszedł. A tak w ogóle to co zamierzasz, chcesz przyjść do mnie do domu, przedstawić się moim starym, skorzystać z okazji, że jest tu również mój wujek, żeby zadać mi jakieś pytanie? - Śmieje się rozbawiona.

- Gin, no chodź, wymyśl coś. Bo ja wiem... że musisz pójść na górę, na taras po pranie, albo że musisz skoczyć po coś do przyjaciółki piętro wyżej, albo że musisz ze mną uciec, powiedz choćby to, jeśli chcesz, ale wyrwij się z domu... Pragnę cię.

- Nie powiedziałaś: pragnę cię zobaczyć, ale powiedziałaś dokładnie „pragnę cię”?

- Tak, potwierdzam! - Czuję się jak uczestnik jednego z tych debilnych quizów. Mam nadzieję, że nie popełniłem błędu przy odpowiedzi. Gin robi długą pauzę. Zbyt długą. Chyba źle odpowiedziałem na pytanie.

- Ja też ciebie pragnę.

Nie dodaje nic więcej i słyszę, że wpuszcza mnie na klatkę. Nie wsiadam do windy. Szybko jak błyskawica gnam po schodach, na samą górę, nie zatrzymując się po drodze, zdarza mi się nawet przesadzać po cztery stopnie na raz. Kiedy już docieram na ostatnie piętro, otwierają się drzwi od windy. To ona. Znow widać, jak bardzo jesteśmy zgrani. Wpijam się jej w usta i liczę, że dzięki nim znow będę mógł oddychać. Całuję ją, ani na chwilę nie przerywając, nie daję jej złapać tchu. Przywłaszczam sobie jej siłę, jej smak, jej usta, przywłaszczam sobie także jej słowa. W ciszy. Na tę ciszę nakładają się westchnienia, szmer rozpinanej koszulki, zapięcia od stanika, które odskakuje, naszych spodni, które opadają w dół, poluzowanej poręczy, która się wygina, jej

samej, która się śmieje, ucisza mnie swoim: - Ciii - tak, by nas nikt nie przyłapał, i szepcze do mnie, tak bym jeszcze nie szczytował. A przynajmniej nie od razu. Do tego seria dziwnych pozycji wymuszona przez sidła naszych własnych nóg w tym dżinsowym kłębowskiu, które sprawia, że moje podniecenie rośnie, że nie mogę oprzeć się jej urokowi, że jestem bliski ekstazy. Krótki przerywnik, klękam na zimnym marmurze posadzki, by całować jej sekretne miejsce między nogami. Ona, Gin, *cowgirl*, z ciuchami, o dziwo, w nieładzie, bez reszty pochłonięta własnym rodeo, daje z siebie wszystko, by utrzymać się jak najdłużej na moich ustach. I znów ją dosiadam i razem gnamy przed siebie, ogłupiali, dzicy, zaślepieni namiętnością, niczym zakochane rumaki, uziemione przez żelazną poręcz. Ta poręcz wibruje w ciszy zupełnie jak nasze pożądanie. Przez chwilę zastygamy w próżni. Echo dźwięków z oddali. Z mieszkań. Plusk spadającej kropli. Skrzywienie zamykanej szafy. Czyjeś kroki. A potem cisza. My. Tylko my. Ona z głową odrzuconą do tyłu, z rozpuszczonymi włosami, opadającymi luźno w dół, na tle serpentyny schodów. Wiją się jak oszalałe, zupełnie jakby chciały się wyrwać, tak samo jak i nasze pożądanie. Ale ostatni pocałunek oznacza apogeum rozkoszy i powrót z samego szczytu z powrotem na ziemię, dokładnie w tej samej chwili, w której ktoś ściąga windę. - Ciii - śmieje się, osuwając na ziemię. Prawie zupełnie wyczerpana, spocona, cała wilgotna i to nie tylko od potu. Włosy przyklejają jej się do twarzy i śmieją się razem z nią. Obejmujemy się, świata poza sobą nie widząc, otumanieni bokserzy, wyczerpani, wykończeni, skuleni na posadzce, pokonani. W oczekiwaniu na oczywisty werdykt: remis w walce na punkty... Całujemy się uśmiechnięci.- Ciii - powtarza.- Ciii. - Napawa się tą ciszą... Ciii. Winda zatrzymuje się piętro niżej. Nasze serca biją szybko, i to bynajmniej nie ze strachu. Chowam twarz w jej włosach. Wtulam ją w jej gładką szyję. Odpoczywam sobie błogo. Moje usta, wyraźnie zmęczone, szczęśliwe, zaspokojone łakną jednej tylko odpowiedzi.

- Gin...

- Tak?

- Nie zostawiaj mnie.

I sam nie wiem dlaczego, ale to mówię. I zaraz prawie tego żałuję. Ona siedzi przez chwilę w milczeniu. Po czym uwalnia się z mojego uścisku. Przygląda mi się badawczo. I zaraz mówi do mnie cicho, prawie szeptem.

- Wyrzuciłeś klucz od kłódki do rzeki.

I bierze moją głowę w swoje ręce, delikatnie, i mi się przygląda. To nie jest pytanie. To nie jest odpowiedź. I całuje mnie najpierw raz, potem drugi i trzeci. I już nic więcej nie mówi. Tylko wciąż mnie całuje. A ja się uśmiecham. I biorę tę jej odpowiedź za dobrą monetę.

Upalne popołudnie, dziwnie upalne jak na grudzień. Lazurowe niebo, o intensywnym odcieniu, tak jak w ciągu dnia w górach, kiedy wprost nie możesz się doczekać, żeby wyjść na stok. Tylko że ja akurat muszę pracować. Wpadłem do leja, jak utrzymuje Pallina, ale dziś mamy ostatni odcinek programu, a właściwie ostatni dzień na próbę przed ostatnim programem. A jednak dzień wydaje mi się szczególny. Dręczy mnie jakieś dziwne przeczucie, ale nie rozumiem dlaczego. Chyba szósty zmysł. Ale sam w życiu bym się nie domyślił.

- Dzień dobry, Tony...

- Dobry, Step.

W pośpiechu wchodzę do teatru. Grupa rozchełstanych fotografów z aparatami, każdy z innej bajki tak samo jak ich ciuchy, zachodzi mi drogę. Nie da się ukryć, że mają niewiele wspólnego z tymi zdyscyplinowanymi grupami Japończyków, na których można się natknąć na placach całego Rzymu. Ci żadnemu zdjęciu nie przepuszczą.

- Tam, poszła tam... szybko, to ją złapiemy.

Staję jak wryty i Tony, oczywiście, za nic nie zmarnuje takiej okazji.

- Łażą tak za Schiffer. Przyjechała wcześniej, bo ma zrobić próbę wejścia na scenę. Ale co tu jest w ogóle do próbowania, przecie trzeba tylko przejść w jedną i w drugą, nawet schodów tam nie ma. To co to próbować, przecie ona całe życie nic innego nie robi, tylko łązi. Phi! Może żeby jakoś usprawiedliwić to, że zgarnia tyle kasy, psia jej mać.

A przy okazji dodaje jeszcze: - A, jeśli szukasz Gin, to jest na górze, w garderobie tuż obok tej Schiffer. Wezwał ją jeden z realizatorów. A nuż puszcza ją na scenę razem z Schiffer. Weź pomyśl tylko, jeszcze się nauczy chodzić tak dobrze jak i tamta, to dopiero zaczniesz kosić kasę. Mało tam chodzenie... za jednym zamachem dacie radę od razu cały świat dookoła oblecieć. Naturalnie ty też będziesz sobie podróżował gratis, i to na dodatek z szoferem.

Tony. Zaśmiewa się rubasznie, póki nie zaczyna się krztusić, zanosząc się kaszlem, który dobitnie świadczy o zatręśieniu wypalonych papierosów kosztem nadwerżonego zdrowia. Nie powstrzymuje go to bynajmniej przed zapaleniem kolejnego, już ostatniego z tej paczki MS-ów, którą właśnie wyrzuca. Czy to ta sama, którą przyniosłem mu wczoraj, czy może nowa? Jakie to ma znaczenie. A tam, skoro jego samego to nie obchodzi. No, lepiej pójde sprawdzic, jak się miewa Marcantonio i co z naszą pracą. To zwłaszcza, choćby tylko ze względu na podpisaną umowę, powinno mnie obchodzić. O, już go widzę. Siedzi przed komputerem, skupiony. Patrzę na niego z daleka przez uchylone drzwi. I widzę, jak się uśmiecha sam do siebie, wciska klawisz, nastawia drukarkę i zadowolony zapala sobie papierosa, w samą porę spostrzegając, że nadchodzi.

- Ej, Step, zapalisz? - No, on to przynajmniej, w odróżnieniu od takiego Toniego, częstuje i nie sprawia przy tym wrażenia, jakby był z tego powodu głęboko nieszczęśliwy.

- Nie, dzięki.

Zamyka paczkę. - To i lepiej! - Wkłada ją sobie do kieszeni kurtki, wygładza rzadkie włosy, które mu rosną po bokach głowy, zgarniając je do tyłu. - Dałem radę... Udało mi się zrobić wszystko tak, jak chcieli.

- A, to dobrze. - Dociera do mnie, że celowo unika powiedzenia, jak chcieli tego realizatorzy, ale nie ma powodu, by mu to wytykać. Choćby dlatego, że poczęstował mnie papierosem. Przez chwilę siedzimy w milczeniu i przyglądamy się kartkom, które wypadają z drukarki. Wrrr. Wrrr. Jedna po drugiej. Dokładnie, równiutko, we wzorowym porządku. Jasne, nieostre kolory, ale doskonale widoczne, wszystko zgodnie z ich widzimisię, tak sędzę.

Marcantonio czeka, aż wypadnie ostatnia, po czym ostrożnie sięga do maszyny po całość i dmucha lekko na świeżo wydrukowany tusz.

- No proszę, gotowe. Wyglądają idealnie.

Patrzy na mnie, licząc, że potwierdzę. - Tak, chyba tak.

Nie o to nawet chodzi, że mam jakieś wątpliwości. Tylko że sam fakt, iż dostał tamtymi kartkami w twarz, sprawił, że kompletnie zapomniałem, jaki był powód całej awantury.

- Tak, idealnie!

Jestem oszczędny w słowach, starając się w ten sposób jakoś z tego wybrnąć. Ale to za mało. Niestety, nie wystarcza.

- Posłuchaj, Step, mógłbyś wyświadczyć mi przysługę? Zaniósłbyś je na górę do realizatorów?

Wreszcie to słowo przeszło mu przez gardło. Ale to chyba takie zwycięstwo, no jak mu tam? Pyrrusowe! Bo i tak to ja mam stawić im czoło. Zawracanie dupy! Ale nie mogę się wycofać. Chciał nie chciał, jestem już w leju. No i masz. A poza tym to Marcantonio poprosił mnie o przysługę, mój mistrz. Jakże mógłbym mu odmówić.

- Jasne, nie ma sprawy.

Patrzy na mnie podniesiony na duchu. Podaje mi kartki i kiedy już wychodzę z pokoju, z powrotem opada na fotel, gasi papierosa i natychmiast zapala kolejnego. Zawracanie dupy! Jednego tylko jestem pewien. Za dużo pali. No, muszę to zrobić. Nie ma nic lepszego od tego, kiedy musisz coś zrobić. Musisz, tak wygląda pierwsze prawo leja. Zaczynam chyba go nienawidzić. Tony posyła mi swój rozbawiany uśmiech. Zawsze taki sam, za każdym razem, kiedy koło niego przechodzę. A może Tony nie ogranicza się tylko do palenia MS-ów? To jak on tam mówił, że gdzie siedzą realizatorzy? A, tak, na pierwszym piętrze, tam gdzie się znajduje także garderoba Schiffer. Idę szybko po schodach na górę. O, są. Wszyscy fotografowie rozsiedli się, a właściwie rozwalili na małych, wypłowiałych kanapach. Czekają, aż w drzwiach pojawi się diwa, licząc na to, że a nuż uda im się przyłapać ją bez makijażu, ale jak

zwykle zjawiskowo piękną. Wszystko, byle tylko te ich nielegalnie zrobione zdjęcia zyskały choć trochę na wartości. Przedziwny zawód. Męczący i bezwzględny, bo uzależniony od zbyt wielu niewiadomych. Kiedy się pojawiają, nie zaszczycają mnie ani jednym spojrzeniem, co zresztą rozumiałe. Tylko jeden fotograf, gwoli ścisłości płci żeńskiej, poświęca mi dosłownie chwilę uwagi. Chyba najzwyczajniej przemawia przez nią kobieca ciekawość. Ale nawet ona nie wystarcza, by poderwać choć na chwilę aparat fotograficzny, który znudzony zwisa jej na szyi. To i lepiej. Już i tak doręczenie tych kartek wydaje mi się wystarczająco niewdzięcznym zadaniem. Z pewnością realizatorzy będą zgłaszali jakieś zastrzeżenia. Tego tylko brakowało, żeby jeszcze ktoś inny się tym interesował. Rozglądam się wokół i zastanawiam, gdzie też mogą siedzieć. „Schiffer”. Na pierwszych drzwiach widnieje niepozostawiający cienia wątpliwości napis wykonany bezbłędnie dużą czcionką na drukarce laserowej. Wybór wydaje się prosty. Pukam. Nie słyszę, by ktokolwiek zareagował. Po kilku sekundach sam sobie otwieram. Nic. Cisza. Gdyby nie to, że mam przed sobą mały korytarz. W głębi widzę następne drzwi. W tym samym stylu i w takim samym kolorze. Idę przed siebie, trzymając kartki w rękach. Może są tam, w środku. W tamtym drugim pomieszczeniu. No, skoro już tu jestem, to co mi szkodzi sprawdzić. Kiedy podchodzę bliżej, zza drzwi dociera do mnie hałas. Dziwny hałas. Czyjś zdławiony śmiech. I zaraz odgłos jakichś nieskoordynowanych ruchów, jakieś głucho gwałtowne dźwięki. Jakby rozpaczliwe przebieranie nogami małego dziecka, które podniesiono w górę, akurat w momencie kiedy przymierzało się do kopnięcia piłki. Ale ta piłka jest całkowicie poza jego zasięgiem, nie ma co liczyć, iż będzie miał frajdę z celnego strzału. I tak otwieram te drzwi. Bez pukania. Ot po prostu, bezczelnie. Robię to to odruchowo. To, co widzę, wydaje mi się wprost niemożliwe. Toscani stoi za plecami Gin i trzyma ją w kurczowym uścisku. Sesto opiera się o stół, jak zwykle z wykałaczką, która wystaje mu z ust i uśmiecha się rozbawiony tym, co ma przed oczami, Micheli stoi przed Gin i porusza się w dziwnym rytmie. Po chwili zaczyna do mnie docierać, co takiego się tu dzieje. Gin ma na sobie porwaną bluzkę. Nagie piersi wystają jej spod przekrzywionego stanika. Usta ma zaklejone scotchem do przesyłek. Toscani liże ją po szyi swoim ropuszym jęzorem. Micheli, Żmija, ma rozpięte spodnie, trzyma ptaka na wierzchu i się onanizuje. Gin, z posklejanymi w ferworze walki od potu włosami, nagle odwraca się w moją stronę. Jest zrozpaczona. Dostrzega mnie. Wzdycha. Przez chwilę wygląda, jakby jej ulżyło. Toscani napotyka mój wzrok i przestaje ją lizać. Stoi z wywalonym jęzorem i rozdziawionymi ustami. Sesto też nie jest gorszy. Zastyga przerażony i on także rozdziawia paszczę. Jego durna wykałaczka zwisa mu z dolnej wargi, jakby za moment miała spaść. Nareszcie się okazało, po co komu ten stos kartek. Jedna chwila. Z całej siły ciskam nimi w twarz Sesto, jedynemu, który mógłby ruszyć do ataku jako pierwszy. Trafiam prosto w niego. Usiłuje zrobić unik. Ześlizguje się ze stołu. Łąduje na ziemi. Micheli, Żmija, nie zdąża w porę się odwrócić. Trafiam go

zaciśniętą pięścią, wykonuję szeroki zamach z prawej w lewo, tak by go odesłać na bezpieczną odległość. Z całej siły wymierzam mu cios blisko tchawicy. Odrzuca go w tył, upada, nakrywając się nogami, i dziwnie przy tym rzezi. A tymczasem jego onieśmielony ptaszek wycofuje się w okamgnieniu. Wstyd mu wręcz, że w ogóle usiłował popisać się taką żalosalną erekcją. Toscani wypuszcza z uścisku Gin. W jednej sekundzie jestem tuż przy nich. Uwalniam ją na dobre, zdzierając jej z ust plaster taśmy. - Nic ci nie jest?

Kręci na boki głową, jakby chciała potwierdzić, że nic, ma oczy zalane łzami i zmarszczone brwi. Usta jej drżą, widać, że rozpaczliwie usiłuje mi coś powiedzieć. - Ciii - zwracam się do niej. Łagodnie ją odciągam, delikatnie kieruję do wyjścia. Widzę, jak się oddala, zwrócona do mnie plecami. Czuję, że poprawia sobie stanik. Stara się doprowadzić do ładu bluzkę. A przy tym, na ile to możliwe, zebrać myśli. Chce znaleźć jakieś ujście dla swojego strachu. Próbuje płakać. Ale nie jest w stanie. W każdym razie się nie odwraca. Tylko idzie przed siebie. Niepewnym krokiem, chwiejnie, zastanawiając się, co ma robić dalej. Jeśli o mnie chodzi, to ja akurat nie mam najmniejszych wątpliwości. Trach. Odwracam się gwałtownie i uderzam Toscaniego tak brutalnie, że nawet sam po sobie się tego nie spodziewałem. Trafiam go prosto w twarz, od dołu, roztrzaskuję mu wargę, nos, czoło, prawie na niego wpadam, bo też na ten zamach składa się cała moja masa i cała moja wściekłość.

Rzuca go na ścianę, ale nie zdąża się nawet poderwać, bo dopadam go od razu. I prawą stopą wyjeżdżam mu z kopa prosto w brzuch, tak że aż brak mu tchu, zostawiam mu do dyspozycji w sam raz tyle czasu, by mógł sobie upaść, i zaraz znów biorę szybki, ale energiczny zamach i trafiam w niego niczym w piłkę, którą ktoś do mnie odbił. Trach. Prosto w twarz. Jakbym strzelał karnego, niczym Vieri w szczytowej formie, niczym Signori, Ronaldo i wszyscy inni razem wzięci, nikogo nie wyłączając. Z jednym okrzykiem na ustach, z groźbą na twarzy. Tego karnego nie wolno zmarnować. Trach. I znowu. Na ścianę. Ma miazgę zamiast policzka. Krew bryzga nawet obficie niż u jakiegokolwiek gniewnego performerera w najbardziej obskurnym wydaniu pop artu. Przeskakuję przez Michelego, który wciąż rzezi, próbując złapać oddech. Mimowolnie się do niego uśmiecham. Napawam się, widząc, jak dochodzi do siebie. Musi być w dobrej formie, gotowy na atrakcje, które, ma się rozumieć, przewidziałem na wielki finał. I już jestem przy Sesto. Zasłania sobie twarz obydwoma rękami, licząc na cud, nie wiadomo skąd... Nadaremnie. Trach! Uderzam go prawym, szeroko, celnie, z rozmachem, napinając wszystkie mięśnie. Z prawej strony w lewą, całym ciężarem ciała. Trach! I znowu. Dokładnie, w samo ucho, z takim ładunkiem agresji, że aż jestem zaskoczony, iż jeszcze mu nie odpadło. Ale już po chwili robię się spokojniejszy. Dobrze, krwawi. A ten idiota, cały zaskoczony, wciąż jakby nie mógł w to uwierzyć, zabiera ręce z twarzy i podstawia je sobie pod same oczy. Przygląda im się i własnym oczom nie wierzy, poszukując choćby i najbardziej nawet absurdalnego wytłumaczenia dla całego tego bólu, krwi i dzwonienia w uszach. Ale się nie wyrabia, nie ma

pojęcia, co jest grane. Trach! Teraz ma odsłoniętą twarz. Łup. Łup. Raz za razem zadaję mu serię ciosów w maskę. Jeden po drugim, celnie i precyzyjnie, bez chwili przerwy, w oczy, w nos, w usta, w zęby, w kości policzkowe, łup! Łup! Łup! Jeden po drugim, coraz szybciej, coraz szybciej, coraz szybciej, jak szalenciec, jak ktoś całkiem normalny. Łup! Łup! Łup! Tylko dzięki zadawanym przeze mnie ciosom jeszcze się trzyma, gdyby nie one, sama twarz, której rysy się zacierają, nie wytrwałaby w uniesionej pozycji. Łup! Łup! Łup! I nie czuję bólu, i nie czuję litości, i nie czuję niczego poza czystą przyjemnością. Sam już nie mam pojęcia, czyja jest ta cała krew, którą mam na rękach. Uśmiecham się. Zatrzymuję. Oddycham. Gdy tymczasem on pada na ziemię niczym martwy wór. Osuwa się, bezwładny, otumaniony, może nawet podświadomie szczęśliwy, że jeszcze żyje. Może. Ale to tylko detal. Po chwili przypadkowo dostrzegam jedną rzecz. Uznaję, że w sam raz nada się na zakończenie. Schylam się, z obrzydzeniem biorę ją do ręki. I cyk. Wbijam mu jego wykałaczkę w to, co zostało po dolnej wardze. Nie udaje mi się odwrócić w porę. Trach. Z tyłu dosięga mnie krzesło. Trafia mnie z całej siły w kark. Dociera do mnie jedynie samo uderzenie. Odwracam się. Micheli stoi przede mną. Znów może oddychać. Za jego plecami wyrosli wszyscy ci bezużyteczni dziennikarze. Pazerni, ożywieni, patrzą z niedowierzaniem, prawie że się oblizują niezdrowo podekscytowani na widok tego apetycznego kąska, który im podstawiono pod sam nos. Nienasyceni wymachują aparatami fotograficznymi, zalewając nas światłem błyskających fleszów. Pewnie widzieli, jak Gin stąd wychodziła. Pewnie widzieli, że jest wstrząśnięta, że ma poszarpaną bluzkę, że płacze. Ale przynajmniej widzieli, jak stąd wychodzi. Jakoś podnosi mnie to na duchu. Wytrzeszczam oczy, staram się złapać ostrość po tym, jak przed chwilą oberwałem. W samą porę. Znów widzę kolejne krzesło, które na mnie leci. Odruchowo się pochylam, tak że przelatuje mi nad głową. Wzzz, raptem jedna chwila. Czuję lekki podmuch tuż nad czołem. Pudło. Niewiele brakowało, ale pudło. Podnoszę się gwałtownie i chwytam go za ramię, ściskam mu nadgarstek, tak że wypuszcza krzesło z ręki, i szybko go do siebie przyciągam, od razu wyjeżdżam mu z główki. Trach! Bezbłędny cios, i to prosto w nos, który mu roztrzaskuję. Błyskawicznie go powtarzam. Trach. Tym razem zaliczam łuk brwiowy. I jeszcze raz. Trach. W samą twarz. Pada na ziemię w świetle fleszów, na oczach fotografów, którzy niewzruszeni nie przestają trzaskać zdjęć. Micheli leży jak długi. W amoku, przejęty genialnym w swoim przekonaniu pomysłem, by obezwładnić mnie krzesłem, nawet przez chwilę nie pomyślał, by ukryć ten żaloszny instrument, który go pchnął do tego, co się tu rozegrało. Wciąż ma ptaka na wierzchu. Zleceniodawca tego plugawego zamachu, który nie wypalił, dynda cały pomarszczony na tle bezużytecznych, szarych spodni. Jakby wystarczył kawałek flaneli, żeby wyglądał elegancko. Nie mam najmniejszych wątpliwości. To on w istocie jest wszystkiemu winien. A skoro tak, powinien za to zapłacić. I natychmiast przechodzę do rzeczy. Przymierzam się. Niczym do rzutu z większej odległości. Czas lada moment się skończy. Środkowy gracz zastygł w

bezruchu z piłką w rękach. To ostatni mecz koszykówki, ma przesądzić o zwycięstwie w całych mistrzostwach. I oto nagle wyrzuca ją do góry... Albo niczym lekkoatleta, który przygotowuje się do ostatniego skoku. Nabiera rozpędu, stara się złapać odpowiedni rytm, by pobić rekord poprzedniego skoczka. Albo jeszcze prościej, niczym w grze w klasy, tej typowej podwórkowej zabawie, w której rzuciwszy uprzednio kamyk, należało, skacząc na jednej nodze i nie tracąc przy tym równowagi, pokonać wyznaczoną trasę. Albo jak we *Wzgórzu złamanych serc...* - Uważaj na to, czego szukasz, bo a nuż jeszcze to znajdziesz... - Właśnie, to wy mnie znaleźliście. Nie mam najmniejszych wątpliwości i to nie ja pierwszy rzucam kamieniem, przymierzam się, odbijam od ziemi i unoszę w górę, w rytm błyskających fleszów. Mam to gdzieś. Trach! Skaczę mu na niego i raz jeszcze trach. Trach. Obcasem, w sam środek, gdy tymczasem Micheli aż się zwija, a ten śmieszny interes, który ma między nogami, skręca mu się coraz bardziej. Trach, i jeszcze, bez litości, całym ciężarem miażdżąc to, co tylko umownie można uznać za ptaka, któremu nieodwołalnie podcięto rzekome skrzydła. Trach, ptak mu krwawi, albo to, co z niego zostało... Biorę rozpęd i trach, puentuję, perfekcyjnie zgrany z ostatnimi błyskami fotograficznych fleszów, rozwalam mu jaja, zakładając oczywiście, że ten, kto tak postępuje, w ogóle je posiada. Ale na wszelki wypadek chcę się zabezpieczyć. Byle tylko wykluczyć, że ktoś taki jak Micheli może w przyszłości wygenerować kolejną kanałię swojego pokroju, zasilając nowym pomiotem ten plugawy ród... I tak, by przypieczętować to spotkanie, czas na finał, szczęściarz ze mnie. Skądinąd to przecież pokój realizatorów. Korzystanie z niego należy do ich obowiązków. Dostrzegam to, o co mi chodzi. Jest mały, czerwony, metalowy. Przyciąga moją uwagę, prawie tak jakby do mnie migał. Biorę go. Pochylam się nad Michelim. Kilka zaintrygowanych fleszów dotrzymuje mi towarzystwa. Co takiego będzie chciał zrobić? No i postanawiam zaspokoić ich ciekawość. Klik! Przyciskam raz jeden. Mocno, zdecydowanie, dokładnie, bezbłędnie. Micheli drze się jak opętany, a tymczasem zszywacz definitywnie kładzie kres wszelkim zapędom tego durnego ptaka, tak by już nigdy nie ważył się wychylać i nawet nie próbował robić a kuku. Micheli cały się kuli. Zrozpaczony próbuje ustalić, co takiego zostało mu między nogami po tym jego mocno naciąganym rajskim ptaku. I nie jest w stanie udzielić sobie na to odpowiedzi. Jak to? Mój zszywacz... Buntuje się w ten sposób i to przeciwko mnie! Mnie, realizatorowi we własnej osobie. Właśnie. Wychodzę uśmiechnięty. Ale nie ja. Ja nie jestem realizatorem. I na chuj mi zszywacz... To tak a propos. Zaniepokojeni fotografowie się rozsuwają, robiąc mi przejście. Uśmiecham się rozbawiony, odprowadzany pojedynczymi błyskami fleszów. Ta kobieta z aparatem, która wcześniej rzuciła na mnie okiem z wyrazem lekkiego zainteresowanie, teraz jest mną pochłonięta bez reszty. Jest pod wrażeniem tej sensacyjnej wiadomości. Zaraz jednak odzyskuje zimną krew profesjonalistki i uwiecznia całe zajście. Robi ostatnie zdjęcie. Ale to, co ma przed oczami, najwyraźniej ją przerasta. Wymiotuje, opierając się o drzwi. Ktoś się odsuwa.

Komuś innemu udaje się zrobić mi zdjęcie z bliska. Już staje mi przed oczami nagłówek w nieistniejącej gazecie: „Wiadomość z ostatniej chwili. Step wy dostał się z leja!”. Tak. Jesteście świetni. Dokładnie tak. I jestem z tego powodu szczęśliwy. Na koniec schodzę ze sceny.

59

Nie udaje mi się nawet dotrzeć na dół. Wiadomość z ostatniej chwili mnie wyprzedziła. Dziwne poruszenie wywołało gorączkową atmosferę w całym teatrze. Można odnieść wrażenie, jakby się uczestniczyło w jakiejś nagłej transmisji na żywo. Wszyscy dokądś biegną. Ciekawscy, z obłędem w oku, krzyczą, żądni sensacji, z góry uznali, że mają prawo włączyć tę historię do własnego repertuaru. Koloryzują ją na własną modłę, uzupełniają o dodatkowe szczegóły, wyolbrzymiają, zmieniają początek i zakończenie. - Wiesz już?

- Co się takiego stało?

- Bijatyka, Marokańczyk... Polak... jak zwykle ci Albańczycy... ochroniarz zaczął strzelać... Czy są ranni? Wszyscy!

Pytam, gdzie jest Gin. Jakaś dziewczyna mi mówi, że poszła do domu. To lepiej. Zmierzam w stronę wyjścia. Tony wychodzi mi na spotkanie. Też wydaje się przejęty. Chyba rzeczywiście musi być poruszony, bo wyjątkowo nie ma papierosa w ustach.

- Zwijaj się. Step. Policja jest już w drodze. - Jako jedyny robi wrażenie, że cokolwiek pojął. - Cokolwiek to było, postąpiłeś słusznie. Odkąd pamiętam, wszyscy trzej mnie wkurwiali. - I zanosi się śmiechem, ubawiony własną szczerością. On, prosty odźwierny bram leja, może sobie na to pozwolić. Idę w stronę motocykla. - Step, Step! - To Marcantonio pędzi w moim kierunku. - Wszystko w porządku? - Przez chwilę przyglądam się swoim zakrwawionym rękoma i mimowolnie zaczynam je sobie masować. Dziwne. Wcale mnie nie bolały. Marcantonio to zauważa. Uspokajam go.

- Tak, wszystko w porządku.

- Okay. Dobrze. Wobec tego jedź do domu. Ja tu zostanę. Później się zdzwonimy i wszystko ci opowiem. Gin ma się dobrze?

- Tak, pojechała do domu.

- Świetnie. - I stara się jakoś rozładować napięcie. - Ale chyba nie poszło o to, że nie spodobała im się robota, którą wykonałem i tym razem właśnie tobie rzucili te wszystkie papiery prosto w twarz? Wiesz, czułbym się winny, gdyby doszło do tego wszystkiego przeze mnie...

I się śmiejemy.

- Nie. Szalenie im się spodobało. Mieli tylko nanieść jedną drobną poprawkę. A nuż sami ci nawet o tym powiedzą.

- Tak, a nuż...

Znów zaczyna mówić, prawie jak na zawodowca przystało:

- No, jeśli chodzi o emisję ostatniego odcinka, to chyba nawet możemy go puścić bez tych poprawek, nie?

- Tak, tak mi się wydaje. Musisz tylko wydrukować raz jeszcze tamte kartki, te, które zaniósłem im na górę, trochę się zniszczyły.

- Kartki, co? Z tego co słyszałem, to raczej oni są zniszczeni, i to nie tylko w sensie fizycznym. Paskudna historia. Zobaczysz, że wyjdiesz z tego obronną ręką.

Odpalam motocykl. - Dzięki, Marcantonio. Do usłyszenia.

Wrzucam jedynekę i odjeżdżam. Obronną ręką? Ale na czym miałoby polegać to moje zwycięstwo? Szczerze mówiąc, wisi mi to równo. Gin ma się dobrze. I to się dla mnie liczy.

Trochę później. Jestem w domu i dzwonię do niej. Gadamy przez telefon. Wciąż jest jeszcze wstrząśnięta. Rozmawiała z rodzicami. Wszystko im opowiedziała. Mówi cicho. Jeszcze nie czuje się w pełni sił. Głos, którym się do mnie zwraca, brzmi inaczej niż zwykle. Ale to normalne.

- Na szczęście zjawił się jeden chłopak i mnie uratował, tak im opowiedziałam. - Śmieje się krótko. Jestem szczęśliwy, słysząc to. I zaraz myślę sobie: „Nie powiedziałaś mój chłopak...”. Ale dochodzę do wniosku, że to przesada. Chwilowo za wcześnie na żarty... Słucham, nie przerywając tego, co mówi.

- Powiedzieli, żebym złożyła na nich doniesienie na policję. Będziesz moim świadkiem, prawda?

- Tak, oczywiście. - Bawi mnie to, że tak nagle zacząłem występować w zupełnie innej roli. Miałem już dosyć wiecznie tego samego filmu, w którym nieodmiennie grałem jedną i tę samą postać. - Z oskarżonego na świadka. I to po słusznej stronie. Przeciwno układowi! Nieźle. Powinienem jednak zastanowić się nad zmianą gatunku, bo nic tylko same procesy.

Słucham jeszcze trochę, jak opowiada. W końcu radzę jej, by zaparzyła sobie rumianku i postarała się odpocząć. Zanim w ogóle udaje mi się odłożyć słuchawkę, zaczyna dzwonić telefon. Nie mam ochoty odbierać, a poza tym jest też Paolo, może to do mego.

- Ja odbiorę? - Wygląda mi na uszczęśliwionego tą perspektywą.

- Jasne. - Mija mnie. Potakuję i postanawiam wziąć prysznic. W trakcie rozbierania dociera do mnie, że to nie do niego. Słyszę, jak rozmawia w salonie. - Co takiego? Poważnie! I w jakim są stanie? Ach, niezłym, jak rozumiem. Jak to w fatalnym? Ach, dosyć ciężkim. Już się zaczynałem niepokoić... Jak to się stało? Aha... Co? Chcecie go zaprosić do programu Mentany? Aha, do Maurizio Costanzo? I do Bruna Vespy też? Ale chyba da się to wszystko jakoś wytłumaczyć...

Po tonie jego głosu poznaję, że próbuje ocalić moją skórę. - No tak, taki już jest... Aha... czyli pan uważa, że słusznie postąpił? Jak to? To znaczy, ma wystąpić jako bohater? Aha, jako taki nowy bohater, współczesny wojownik,

mściciel na służbie... No, nie wiem, czy się zgodzi... Nie, ja nie jestem jego agentem... jestem jego bratem.

Śmiać mi się chce i wskakuję pod prysznic. Straszny frajer z Paola, mógł przecież powiedzieć, że jest moim agentem. W dzisiejszych czasach bracia zawsze są agentami gwiazd. Jest tylko jeden problem. Puszczam mocniejszy strumień ciepłej wody. Ja nie jestem gwiazdą i nie mam zamiaru nią być. Tylko że jakoś najwyraźniej nikt nie podziela tego mojego najnowszego postanowienia.

Nazajutrz, od siódmej rano, zaczyna wydzwaniać telefon. Składają mi najprzeróżniejsze propozycje, niektóre całkiem niedorzeczne. Jedną za drugą. Dzwonią do mnie ze wszelkich możliwych rozgłośni radiowych, najrozmaitszych stacji telewizyjnych, z zaproszeniami do przeróżnych programów, w rozmaitym formacie, każdego rodzaju, o każdej porze, na dowolny temat. A oprócz tego całe zatrzęsienie dziennikarzy, krytyków, opinioznawców, zwyczajnych ciekawskich. I Paolo odbiera każdy telefon, po kolei. Jak tylko wyszedłem wczoraj spod prysznic, Paolo zażądał, bym opowiedział mu wszystko ze szczegółami... Przez ponad godzinę maglował mnie pytaniami niczym na jakimś przesłuchaniu, z tą jednak różnicą, że zamiast świecić mi żarówką prosto w twarz, uraczył mnie talerzem porządnego spaghetti. I wcale nie było to takie złe. Nie ma co, zna mi się brat na gotowaniu. Z przyjemnością jadłem i chętnie opowiadałem. Do tego jeszcze miałem fajne chłodne piwo. Bardzo mi było tego trzeba. Jem śniadanie i mu się przyglądam. Siedzi przy telefonie. Robi notatki i odpowiada, zapisuje numery telefonów, spotkania, pory, w których miałbym się ewentualnie pojawić w takich czy innych programach. - Aha, przyślecie kierowcę. Tak, tak... A jakie honorarium? Tysiąc pięćset euro... Tak... Nie... Dobrze... Chociaż za wystąpienie w *Faktach i fuktach* zaproponowano nam dwa tysiące pięćset... - Patrzy na mnie uśmiechnięty i puszcza do mnie oczko. Kręcę głową i odgryzam kawałek rogała. Słyszałem, że agentami zostają adwokaci, którzy już mają dosyć prawa. Ale żeby księgowy został agentem... O czymś podobnym, jak żyję, nie słyszałem. Sam pomysł nie jest wcale taki zły. Adwokat, który zostaje agentem, w gruncie rzeczy zaczyna od poszanowania prawa i sprawiedliwości, które potem traci z oczu. Za to księgowy nie. Księgowy zaczyna od roszczeń podatkowych, przekrętów i oszczędności, by, kiedy już zostanie agentem, nie robić nic innego, jak tylko się w tym doskonalić. Mój brat. Z pewnością byłby świetnym agentem, tylko że ja zupełnie nie nadaję się na gwiazdę.

- Cześć, Pa', wychodzę.

Paolo zastyga w bezruchu, ze słuchawką wyciągniętą w powietrzu i otwartymi ustami.

- Nic się nie martw, idę odwiedzić Gin. - Najwyraźniej wydaje mu się to zrozumiałe.

- Tak, tak, oczywiście. - I natychmiast wraca do ślęczenia nad kartką. Dokonuje szybkiej kalkulacji wszystkich ewentualnych przychodów. Patrzy na

mnie. I w tej samej chwili widzi, jak się ulatniają. Zamykam drzwi. Jestem pewien, iż właśnie rozmyśla nad tym, że wziął dzień wolnego w biurze. A zwłaszcza nad wszystkimi pieniędzmi, które mu z tego powodu przepadły. Mój brat. Mój brat księgowy, który zostaje moim agentem. Nie ma co, życie bywa naprawdę zabawne.

60

Gin miewa się dobrze. Wciąż ma jeszcze lekko zaczerwienione oczy, jest trochę blada, ale nic jej nie jest. Poszarpaną bluzkę i stanik schowała do oddzielnej torebki plastikowej. Jako dowód, mówi. Nie chcę ich oglądać. Na samą myśl o całym zajściu źle się czuję. Całuję ją delikatnie. Nie mam ochoty spotykać się z jej rodzicami. Nie wiedziałbym, co im powiedzieć. Ale domyślili się, kim jestem. - To ten chłopak od szampana - powiedziała rodzicom Gin, tak by jakoś mogli mnie sobie skojarzyć.

- Chcieliby ci podziękować.

- Tak, wiem. Powiedz, że bardzo chętnie skorzystam z zaproszenia... Nie, powiedz, że mam jakieś sprawy na głowie, że muszę jechać do domu. Słowem, powiedz to, co sama uznasz za stosowne.

Nie mam ochoty wysłuchiwać ich podziękowań. Dziękuję. Dziękuję to słowo, które niekiedy razi. Są takie rzeczy, za które nie chcesz, by ci dziękowano. Są takie rzeczy, które nigdy nie powinny mieć miejsca.

Delikatnie staram się dać jej to do zrozumienia. Wydaje mi się, że z dobrym skutkiem. Później wracam do siebie. Paolo wyczuwa, że lepiej zostawić mnie w spokoju. Nie proponuje mi spotkań ani nie roztacza przede mną wizji łatwych pieniędzy. Nie woła mnie do telefonu, kiedy dzwonią mama i tata. W niektórych gazetach pojawiły się nawet zdjęcia i cała masa ludzi dzwoniła do mnie, żeby pogadać. By wyrazić swoją solidarność. A może po to tylko, by móc powiedzieć: - Dobrze go znałem... - Aleja nie chcę nikogo słyszeć. Chcę obejrzeć sobie program. O, właśnie. Jest dziesięć po dziewiątej. Rusza czołówka. Po zaledwie dwóch pierwszych planszach z tymi samymi napisami co zawsze, niespodzianka. Po imionach i nazwiskach trzech dotychczasowych realizatorów nie ma już ani śladu. Tancerki nie przestają tańczyć, promiennie uśmiechnięte i na pozór spokojne, mimo tego, co się stało. Zresztą co one w ogóle mają z tym wspólnego, a poza tym wiadomo... *the show must go on*. A już zwłaszcza ostatni odcinek. Wyobrażasz sobie, że mogliby go nie puścić. Twarde reguły rynku. Czegoś się w końcu nauczyłem. Nietrudno jest zrozumieć, z czego zrobiony jest lej. Ze szmalu. Napisy lecą dalej. Dziewczyny tańczą. Leci ta sama muzyka co zwykle. Publiczność się uśmiecha. Kolejna niespodzianka. Wciąż figuruję w zespole redakcyjnym. Dzwoni mi komórka. Patrzę na numer. To Gin.

Odbieram. Śmieje się. Wydaje się znacznie weselsza, jakby znów była w pełni sił.

- Widziałeś? Miałam rację. Tak myślałam, ale niczego ci nie mówiłam, to znaczy, że nie będziesz miał kłopotów. Tak się cieszę ze względu na ciebie.

Ciesz się ze względu na mnie. Ona się cieszy ze względu na mnie. Co za dziewczyna. Jest niesamowita. Zawsze udaje jej się mnie zaskoczyć. Żegnam się z nią.

- Zdzwonimy się później, po programie. - I się rozłączam. Nie będziesz miał kłopotów. A niby jakie ja mógłbym mieć kłopoty? W najgorszym wypadku mógłbym zostać oskarżony o udział w bójce. Po raz kolejny. Jedyne mój kłopot to taki, że wciąż jeszcze nie udało mi się zamknąć mojej kolekcji. Otwieram sobie piwo i dokładnie w tej samej chwili dzwoni mi komórka. Numer zastrzeżony. Powinienem go olać, a jednak, sam nie wiem dlaczego, intuicja mi podpowiada, bym odebrał, i tak też robię. Nie myliłem się. To Romani. Poznaje go po głosie.

Rzucam okiem na ekran telewizora. Rzeczywiście właśnie trwa przerwa reklamowa. Pierwsza podczas emisji, prawie zawsze wypada o dziewiątej czterdzieści pięć. Spoglądam na zegarek. Dzisiaj reklamy poszły kilka minut wcześniej. Ciekawe, kto układał harmonogram. Może przygotowali go jeszcze tamci trzej. Z pewnością nie mieli już możliwości choćby palcem kiwnąć w sprawie ewentualnych zmian. Dostyc, nie będę się nad tym więcej zastanawiał. Staram się skoncentrować i wysłuchać, co do mnie mówi. Jestem zaskoczony.

- Więc chciałem ci powiedzieć, Stefano, że bardzo mi przykro. Nie miałem pojęcia. W życiu coś podobnego nie przyszłoby mi do głowy.

Mówi dalej, opanowany jak zwykle, kulturalnie, spokojnym i miarowym głosem, głębokim. Ten głos ma w sobie coś kojącego. Słucham w milczeniu i doprawdy brak mi słów, nawet gdybym chciał coś powiedzieć. Jeszcze dwie inne dziewczyny złożyły doniesienie o takim samym incydencie, który miał miejsce wcześniej. Nie zdobyły się na odwagę, by o tym opowiedzieć, ze strachu przed utratą pracy albo co jeszcze gorsze, zwyczajnie przed ujawnieniem się. Być może nie one jedyne,

- Po tym, co zrobiłeś, Stefano, zaczynają nabierać pewności siebie. Kto wie, jak długo jeszcze mogło się to ciągnąć, może nawet trwałoby bez końca. A zatem, Stefano, czuję się winny, z powodu zaistniałej sytuacji i tego, że się w niej znalazłeś. I na dodatek jeszcze twoja dziewczyna...

Kręcę głową. Nie ma rady. Romani też już o tym wie. To pewnie Tony mu powiedział.

- A zatem proszę cię, byś przyjął moje przeprosiny i dziękuję ci, dziękuję ci naprawdę, Stefano. - Kolejne podziękowania. I to od Romaniego. Dziękuję. To samo słowo, przed którym tak się broniłem.

- No, teraz już się muszę z tobą pożegnać, za chwilę wracamy na antenę. Tylko wpadnij do mnie koniecznie. Mam coś dla was. To prezent. Ja i tak nie

mogę z tego skorzystać. Mam nagrany kolejny program, który rusza za dwa miesiące, i nie mogę się teraz ruszyć.

Staram się nie przywiązywać zbytnej wagi do jego propozycji. Co tu dużo gadać, facet naprawdę zasługuje na szacunek.

- W ten sposób trochę sobie odpoczniecie. A potem, jeśli będziecie chcieli, znów możemy pracować razem...

Zawiesza głos.

- Jeśli będziecie chcieli... Byłoby mi miło. Czekam na ciebie... Stefano?

Przez chwilę się obawia, że połączenie zostało przerwane. Nie powiedziałem ani słowa. Nawet na moment się nie wtrąciłem, ale za to wyjeżdżam z puentą jak się patrzy.

- Tak, dobrze, panie Romani, zjrzę jutro, dziękuję.

I kończymy rozmowę. Patrzę na ekran telewizora. Jakby za sprawą czarów, reklamy się kończą i rusza dalszy ciąg programu. Popijam piwo. No, przynajmniej ja sam też zdołałem choć raz jeden powiedzieć dziękuję.

60

W TdV przystąpiono już do demontażu całej scenografii. Jej fragmenty są wynoszone jeden po drugim, wydaje się to dziecinnie proste. Ekipa niszczycieli działa bez zarzutu. Pełni determinacji, pozbawieni wątpliwości, jakby przemawiała przez nich złość. Śmieją się w swoim gronie, wyglądają, jakby to, co robią, sprawiało im przyjemność.

- Łatwiej jest burzyć, aniżeli tworzyć...

Jestem zaskoczony, słysząc za sobą jego głos. Jak zwykle budzi zaufanie. Uśmiecham się i wyciągam do niego rękę. Nawet uścisk dłoni, jakim się ze mną wita, też wzbudza moją sympatię. Szczery, pogodny, mocny, niczego nie musi udowadniać. Już nie. Romani. To najciekawsza osoba spośród tych, które poznałem. Tak różna od pozostałych, najbardziej zaskakująca. Prawdziwy właściciel tego leja, tak rozczarowującego i niepokojącego z wielu powodów, postać, której ostatecznie udaje się pokazać również i jego dobre strony. Idziemy ramię w ramię. Fragmenty scenografii nie przestają spadać z góry na dół. Walące się w skali mikro, malownicze kolosy z Rodi, o których nazajutrz nikt już nie będzie pamiętał. Byle tylko iść naprzód, istota i głupota sukcesu, jego nałóg i piękno zarazem. Chwilowa wiara w to, że nie zostanie się zapomnianym. Choć i tak nie ma na to szans. Nie ma szans.

- Trzymaj. - Podaje mi kopertę. - W środku są dwa kontrakty, jeden dla ciebie i drugi dla Ginevry na następny program, który robię. Jeśli tylko chcecie, to już jesteście w zespole. W marcu, teleturniej muzyczny. Program jest banalnie prosty, z powodzeniem sprawdził się w wielu innych krajach Europy. W Hiszpanii ma ponad trzydziestopięcioprocentową publiczność.

Zaangażowałem już Marcantonia, tego samego choreografa. Wziąłem też niektóre spośród tancerek. Z innych ludzi zrezygnowałem... - Uśmiecha się, nawiązując do tamtych trzech. - Także dlatego, że nie sądzę, by dane im było jeszcze kiedyś pracować w naszej branży. Zarządziłem kampanię prasową wymierzoną w całą trójkę, taką, że aż włos się jeży na głowie. Nie na darmo... ale po to, byśmy na ich tle wszyscy wypadli jak najkorzystniej, bo na to zasługujemy! - I się śmieje. - Poza tym napisałem też coś specjalnie o tobie. Ukaże się za kilka dni. Będziesz sławny. - Znowu. Nic się nie da zrobić. Nie ma na to rady. Pisane mi jest, bym stał się sławny dzięki bijatyce. - Więc chciałbym, żebyście, ty i Ginevra, podpisali ze mną kontrakt. Podwyższyłem wam honoraria, obydwójgu. Powiedzmy, że to taki kontrakt... tytułem zadośćuczynienia. Wina nie leży po naszej stronie, ale skoro sama stacja przyjęła moją sugestię... To dlaczego wy mielibyście to odrzucić? - Znowu się śmieje. Po chwili milknie. - No, to się zastanówcie...

- Panie Romani, czy mogę pana o coś zapytać?

- No pewnie.

Patrzę na niego przez chwilę. A co mi tam. Zapytam go o to i już.

- Dlaczego ma pan zawsze rozpięty guzik po jednej albo drugiej stronie kołnierzyka?

Spogląda na mnie. Przez chwilę stoi w milczeniu. A potem zaraz się uśmiecha.

- Z prostego powodu: żeby się przekonać, z kim mam akurat do czynienia. Wszystkich to interesuje, korci ich, by mnie o to zapytać, są ciekawi. Ale wielu z nich się na to nie zdobywa. I tak oto ludzie dzielą się na dwie grupy: tych, którzy nie ośmielają mi się zadać tego prostego pytania, i tych, którzy zdobywają się na odwagę. Ciekawość tych pierwszych nigdy nie zostanie zaspokojona. Ci drudzy zaś przekonują się, jaki jest prawdziwy powód tej kolosalnej bzdury!

Obydwaj się śmiejemy. Nie wiem, czy to prawda. Ale podoba mi się takie wytłumaczenie i uznaję, że nadaje się w sam raz.

- A to już koperta ode mnie. Świetne miejsce, w które możecie się udać, żeby przemyśleć nasz kontrakt... Niektóre gorące plaże sprawiają, że chętniej się godzimy na składane nam propozycje.

I uśmiecha się porozumiewawczo, nawiązując do wszystkich tych potencjalnych propozycji, które można by przyjąć. I zaraz oddala się szybkim krokiem, udając, że ma coś do zrobienia. Wydaje ekipie pro forma jakieś polecenie. Chociaż już i tak wszystko porozkręcali. Zarazem jednak udało mu się mnie przechytryć. Tym razem nawet nie zdążyłem mu podziękować.

Nie mogę w to uwierzyć. Gin się zgodziła. Musiała tylko zmyślić, że poza mną będą jeszcze trzy czy cztery osoby, ale jej rodzice wyrazili zgodę. Mało tego. Powiedzieli przy tym coś bardzo krzepiącego: - No, skoro i on tam będzie... - Ten on to właśnie ja. Czysty absurd. Po raz pierwszy jacyś rodzice uważają, że ich córce nic nie grozi, gdy przebywa w moim towarzystwie. No, w końcu ten lej się na coś przydał... Gin nic nie grozi... Tak, w moich ramionach! Bajka. Tak jak koperta od Romaniego. Kolejna bajka. Przelot pierwszą klasą. Tajlandia, Wietnam i Malezja. Wszystko opłacone z góry, wszystko zorganizowane. Czasami opłaca się postąpić jak należy. Nawet w świecie, który często okazuje się zbyt obojętny i niesprawiedliwy. Czasami. Kiedy spotykasz kogoś odważnego i uczciwego. Kogoś takiego jak Romani. Najlepsze loty. Najlepsze bungalowy. Najpiękniejsze plaże. Słońce, plaża i kontrakt, który czeka na nas, kiedy już wrócimy, i to od nas zależy, czy go przyjmiemy, czy nie. I swoboda. Swoboda mówienia „tak”, ilekroć mamy na coś ochotę albo i nie, bez zobowiązań, bez odwiecznego „podano do stołu”, bez konieczności robienia czegokolwiek, bez niespodziewanych telefonów, bez problemów, bez niechcianych spotkań. Wsiadamy do samolotu całkiem wolni, spokojni.

Może ja akurat trochę mniej. Rozglądam się wokół. Chyba zgłupiałem. Nie, nie widać. Nie ma prawa tu być. Eva, stewardesa, nie pracuje dla Thai. Skośnooka dziewczyna, o lekko bursztynowej skórze, w nienagannym mundurku prowadzi nas na miejsce. Uśmiecham się do mej. Jest bardzo uprzejma. I bardzo ładna. Przynosi nam coś do picia. Kiedy odchodzi, Gin daje mi kuksańca.

- Ała!

- Masz być bezczelny i nieuprzejmy wobec wszystkich stewardes.

- No oczywiście, od zawsze taki jestem.

- Pokaż oczy...

Śmieję się i zakładam okulary. - Strasznie razi to światło!

Usiłuje mi je zabrać. - Nie, poważnie, naprawdę jestem ciekawa, odpowiedz... miałeś kiedyś do czynienia z jakąś stewardesą?

Uśmiecham się. Wypijam to, czym gościnnie poczęstowała nas pracująca dla Thai skośnooka dziewczyna. I od razu zaczynam całować Gin. Lekki szampan ożywia nasze usta. Całuję przez dłuższą chwilę. Bąbelki szampana najwyraźniej działają na nią uspokajająco. A może to zasługa mojego pocałunku. A już zwłaszcza moja odpowiedź: - Nigdy. - Choć tak naprawdę nieoceniony okazuje się fakt, że samolot zaczyna kołować. Gin przytula się do mnie mocno, upominając o mojej niejasnej przeszłości, całkowicie przejęta nieuchronną terażniejszością. Tadam. Jesteśmy w powietrzu. Wjeżdża wózek. Samolot osiąga odpowiednią wysokość. Dosięga chmur. Zachodzące słońce, które teraz mamy na wyciągnięcie ręki, wdziera się przez okno i nie szczędzi nam pieśczot. Gin rozluźnia uścisk i składa mi głowę na ramieniu.

- Będzie ci niewygodnie, jeśli się tak ułożę? - Właściwie to nawet nie wyrabiam się z odpowiedzią. Słyszę, jak zapada w sen, zapomina o całym

napięciu, które ostatnio jej nie opuszczało, rozluźnia się, wtulając mi się w ramiona, w samolocie zawieszonym w powietrzu, pośród naszych chmur, lekkich jak piórko. Czuje się bezpieczna. Rozczula mnie. Staram się jak najmniej wiercić. Z worka, który mam pod ręką, wyciągam *Lucy Crown*, książkę, którą podarowała mi matka, i zaczynam czytać. Podoba mi się, jak jest napisana. A przynajmniej przez pierwsze strony udaje mi się przebrnąć bezboleśnie. Na razie.

Oh happy day.

Ni stąd, ni zowąd muzyka. Dociera do mnie, że zasnąłem. Książka leży na stoliku. Gin jest tuż obok, patrzy na mnie i się uśmiecha. W rękach trzyma małej aparat fotograficzny.

- Zrobiłam ci kilka zdjęć, kiedy tak sobie smacznie spałeś. - I jeszcze: - Wyglądałeś tak ślicznie... zupełnie jakbyś był dobry! - Obejmuję ją i przyciągam do siebie blisko.

- Ależ ja jestem dobry... - I ją całuję. Z grubsza przekonana co do słuszności mojego stwierdzenia, daje się ponieść. W pewnym momencie uświadamiamy sobie, że ktoś na nas patrzy. Przerывamy, bynajmniej niespieszeni. Ja w każdym razie na pewno nie. Za to ona się rumieni. To ta sama stewardesa, co wcześniej, z dwoma kieliszkami w ręku. Uprzejma i profesjonalna, w żadnym razie nie chce wprawiać nas w zakłopotanie.

- To dla was... To już niedługo...

Bierzemy je od niej zaintrygowani. Stewardesa subtelna i zwiewna oddala się równie niepostrzeżenie, jak się pojawiła.

- To prawda, zupełnie zapomniałem: mamy przecież trzydziesty pierwszy grudnia...

Gin spogląda na swój zegarek. - Zostało jeszcze tylko kilka sekund. Dziwnie brzmiące odliczanie z amerykańskim akcentem rozlega się z kabiny pilota: - Trzy, dwa, jeden... Szczęśliwego Nowego Roku! Muzyka leci teraz głośniej. Gin mnie całuje.

- Szczęśliwego Nowego Roku, dobry Stepie...

Wznosimy toast, trącąc się kieliszkami, które podano nam w samą porę. I zaraz znów wpijamy się sobie w usta. I jeszcze raz. I jeszcze. Nie obawiając się już, że ktoś nam może przerwać. Wszyscy na pokładzie samolotu śpiewają i świętują, zadowoleni z minionego roku albo z tego, który ma nastąpić, szczęśliwi, że są na urlopie albo że właśnie wracają do domu. W każdym razie szczęśliwi. Raczą się szampanem. Z głową i nie tylko w chmurach. Samolot obniża trochę lot i to nieprzypadkowo.

- Popatrz... - I pokazuje mi coś za oknem. W jednym z krajów, nad którymi przelatujemy, właśnie świętują. Sztuczne ognie zostawiają za sobą ziemię i wyruszają na spotkanie z nami. By uczcić nasz przelot. Rozpościerają się niczym świeżo zakwitłe kwiaty. Zatrzęsienie niespodziewanych barw. Cała masa rozmaitych wzorów. Proch, umiejętnie skoncentrowany, uwalnia się i

zapala wysoko na niebie. Jeden ładunek po drugim. Jeden w drugim. A my po raz pierwszy patrzymy na to z góry.

Ja i Gin, razem, przytuleni, z twarzami przy samym oknie, zastygli niczym na oprawionym w ramkę zdjęciu, przyglądamy się temu, co jest na końcu, tej części, która od zawsze pozostaje poza zasięgiem ludzkiego wzroku, która jest zarezerwowana tylko dla gwiazd, dla chmur i dla nieba... Gin, oniemiała z zachwytu, obserwuje sztuczne ognie. - Jak pięknie! - Dalekie refleksy światła dosięgają jej i malują na różne kolory. Delikatne pociągnięcia świetlistych błysków rozjaśniają jej policzki. A ja, samozwańczy, onieśmielony artysta malarz, przytulałam ją do siebie. I całuję. Uśmiecha się do mnie. Nie możemy oderwać wzroku od tego, co widzimy za oknem. Zadziwiająca kombinacja różnych stref czasowych, czasu urzędowego, szybkiego przemieszczania się nad odległymi od siebie krajami sprawia, że po raz kolejny przeżywamy Nowy Rok, i jeszcze raz, i jeszcze. A wraz z nimi nowe serie sztucznych ogni, w innych kolorach, wystrzelone w niebo z innych krajów, znów wychodzą nam naprzeciw. Rozpromieniają się na nasz widok, przynosząc życzenia od bliżej niezidentyfikowanego specja od fajerwerków. Muzyka leci nieprzerwanie. A samolot, szybki i stateczny, pruje przed siebie. Przemierza niebo pełne radości i nadziei trudnej do policzenia rzeszy narodów. A stewardesa, skrupulatna i sumienna, pojawia się i znika przy okazji każdego Nowego Roku i konsekwentnie raczy nas szampanem. My, upojeni szczęściem, choć nie wyłącznie, składamy sobie życzenia i jeszcze raz, i jeszcze. Po wielokroć wnosimy toast za nieodmiennie ten sam Nowy Rok, przeświadczeni tylko o jednym: - Żeby ten rok był szczęśliwy... - I już po tym, jak uczciliśmy go tak hucznie, zmęczeni wszystkimi tymi latami, które przewinęły się w okamgnieniu, zasypiamy nareszcie spokojni i pełni optymizmu. Budzimy się na plaży. I czujemy się, jakbyśmy wciąż jeszcze śnili. Przed nami roztacza się morze, kryształowoprzejrzyste, wiecznie ciepła woda i do tego słońce z jego bajecznymi zachodami.

Tajlandia, Koh Samui.

- Widziałeś, Step, wygląda dokładnie tak, jak na pocztówkach, które do mnie przychodziły. Zawsze podejrzewałam, że a nuż jakiś nadgorliwy fałszerz podrasowywał je na komputerze.

Gin nie wychodzi z wody.

- Nawet gdyby mi przyszło coś podrasowywać, w życiu bym czegoś podobnego nie wymyśliła.

- To prawda, że Bóg ma niesamowitą wyobraźnię. I to ot tak, z niczego, przecież akurat On nie miał specjalnie czym się inspirować... Genialny malarz...

I wynurza się z wody, zostawia mnie w niej samego pośród całej ławicy przeróżnych kolorowych ryb, i to na dodatek w momencie, kiedy kompletnie nie wiem, co odpowiedzieć. Aż coś jednak przychodzi mi do głowy.

- No, ale chyba Romaniemu też należy się jakieś podziękowanie. Za jego skromne zasługi. Śmieje się i idzie do bungalowu. Bez pareo.

Pogodna i spokojna, jak mała która. Specjalnie kręci biodrami, po drodze wita się z małą tajlandzką dziewczynką, która woła Gin po imieniu, już zdążyły się zaprzyjaźnić, i to nie tylko dlatego, że Gin sprezentowała jej letnią koszulkę.

Wietnam. Pukok.

Wciąż w wodzie, a to się obejmujemy, a to na siebie przyskamy, a to walczymy ze sobą na piasku, na oczach przyglądających się nam z rozbawieniem dzieci, zaintrygowanych obecnością tych dwojga dziwnych turystów, którzy najpierw ze sobą walczą, a potem się całują! I ani nam w głowie przerywać. Całujemy się jeszcze namiętniej, skapani w promieniach słońca, kipiący pożądaniem, i zanim ciekawość tych wszystkich dzieci stanie się niezdrowa, udajemy się do bungalowu. Bierzemy prysznic. Spuszczone rolety falują na wietrze, ale nie odstają za bardzo od szyb. Pojedyncze fale rozpryskują się na skałach, a my, tuż obok, podchwytyjemy ich rytm.

- Ej, prawdziwy cud natury z ciebie... wyrobiłaś się i jesteś niesamowita.

- Palant!

Uderza mnie lekko pięścią, trafiając akurat w brzuch.

- Ciągłe zapominam, że masz trzeci dan.

- Teraz ja chcę prowadzić.

- Przypomnij sobie lepiej, jak ci się zachciało prowadzić mój motor... na światłach jeszcze moment i byś się wyłożyła.

- Idiota. Ale już później dobrze się spisałam, nie? Zaufaj mi.

- Okay, chcę ci zaufać.

Wysuwa się spode mnie i wdrapuje mi na górę, przypieczętowując tę ewolucję długim, głębokim, namiętnym pocałunkiem. Siada na mnie okrakiem, bierze go w rękę i wprowadza go sobie do środka, łagodnie, choć zdecydowanie. Wprawnie. Nie przestaje całować. Pochylona nade mną trzyma mnie za rękę, kiedy tak leżę na wznak i z całej siły napiera na mnie biodrami, umożliwiając mi, bym wniknął w nią bardzo głęboko, dotarł aż na sam skraj jej brzucha. Dobrze zrobiłem, zaufawszy jej. Ścisza mnie mocno za nadgarstki i na chwilę przestaje całować. Rozchyła wargi. Trwa tak zastygła, tuż nad moimi ustami. Kilkakrotnie wzdycha, by w końcu wypowiedzieć to cudowne słowo: - Dochodzę. - Mówi to cicho, powoli, prawie jakby po kolei wymawiała każdą literę z osobna, niskim głosem... aż za niskim. Pełnym nienasyconego erotyzmu... I natychmiast ja również szczytuję. Gin odrzuca włosy do tyłu, napiera na mnie jeszcze dwa czy trzy razy biodrami, w końcu przestaje i otwiera oczy. Jakby nagle wróciła. Znów przytomna, niby za sprawą czarodziejskiej różdżki.

- Też miałeś orgazm?

- No pewnie! A co, miałem tak sobie odpuścić w trakcie?

- Czyś ty oszalał? - Śmieje się. - Tyś już kompletnie oszalał. Zsuwa się ze mnie i kładzie tuż obok, opiera się na jednym łokciu i przygląda mi się rozbawiona. - To znaczy, że kiedy byłeś we mnie, miałeś wytrysk.

- No, jakby na to nie patrzeć, żadnej innej tu nie widzę? W końcu jesteśmy tu tylko we dwoje.

- Sorry, ale ja się przecież nie zabezpieczam, nie biorę pigułki.

- O Boże! Naprawdę? To znaczy, nie jesteś tą, która bierze pigułka o rany, wszystko mi się poplątało! Wziąłem cię za tę, która bierze!

- Idiota... palant!

Znów siada na mnie okrakiem i zaczyna mnie okładać.

- Ała! Ała! Gin, wystarczy, ja tylko żartowałem.

Już ochłoneła.

- Rozumiem, ale czy to znaczy, że z tym wytryskiem też tylko żartowałeś?

- Nie, z tym nie! Pewnie, że nie!

- Co znaczy to pewnie, że nie.

- Że akurat ten moment był tak piękny, tak wyjątkowy, tak fantastyczny, że uznałem, iż byłoby głupotą go przerywać. Jakby ci to powiedzieć, że to by było niestosowne...

Rzuca się na łóżko tuż obok, jakby dawała nura na poduszkę.

- Tyś kompletnie oszalał... I co my teraz zrobimy?

- No, dajże mi chwilę odsapnąć i skoro chcesz, niedługo możemy zacząć od początku. Znowu masz ochotę poprowadzić?

- Ale nie, pytam, co mamy robić, co mamy robić, sam rozumiesz, nie udawaj! Nie rób sobie ze wszystkiego żartów... gdzie my tu dostaniemy tę pigułkę, którą się zażywa już po, na wszelki wypadek, i to w Wietnamie? To przecież absurd, nigdy jej tu nie dostaniemy!

- Wobec tego jej nie szukajmy.

- Jak to?

- Skoro i tak jej tu nie dostaniemy, to przecież nie ma sensu jej szukać, czyż nie?

Całuję ją. Siedzi przez chwilę skonsternowana. Ale pozwala mi się całować. Choć niespecjalnie odwzajemnia mi pocałunki Przerywam i patrzę na nią.

- A więc? - Ma śmieszny wyraz twarzy. Jest zaskoczona a zarazem niepewna. - To, co mówisz, nie pozostawia najmniejszych wątpliwości, a więc...

- A więc, jak już powiedziałem, nie będziemy jej szukać. Odetchnę chwilę i możemy znowu zacząć.

Kręci głową i się uśmiecha, szalona tak samo jak ja, całuje mnie. Głaszcze i znowu całuje. I zaraz jestem gotowy do powtórki z rozrywki. Postanawiam, że tym razem to ja poprowadzę, bez pośpiechu, bez gwałtownego dodawania gazu, łagodnie przyspieszać. I gdy zachód słońca znów zaczyna swoją ulubioną zabawę w chowanego, my raz jeszcze osiągamy apogeum rozkoszy, tym razem niczego przed sobą nie ukrywając, śmiejąc się, w całkowitej harmonii, jeszcze większej niż poprzednio. W oparach absurdu. Oszaleli z miłości. I od tego wszystkiego, co nas czeka.

Później. W dziwnym pubie, nazwanym przez obdarzonych zmysłem ironii wietnamskich właścicieli Apocalypse Now, pijamy sobie piwo. Gin z zapamiętaniem pisze coś w swoim pamiętniku.

- Ej, można zapytać, co też za nową wersję *Boskiej Komedii* właśnie płodzisz? Od kiedy tu usiedliśmy, ty nie robisz nic innego, tylko piszesz, a co z rozmową? Przecież związek opiera się na dialogu, czyż nie?

- Ciii! Staram się uchwycić moment.

Gin dopisuje pospiesznie ostatnie słowo i zamyka pamiętnik.

- Gotowe! Bridget Jones to przy tym fraszka. Będzie bestseller na skalę światową!

- Co tam napisałaś?

- To, co dziś zrobiliśmy.

- I tyle czasu ci zajmuje opisanie jednego dymanka?

- Cham!

Wystarczy jedna chwila. Gin wylewa na mnie swoje piwo. Kilku Wietnamczyków się odwraca. Najpierw się śmieją, a następnie milkną, zaniepokojeni, niepewni tego, co się zaraz wydarzy. Macham głową, by spływały mi z twarzy ostatnie krople piwa. Na tyle, na ile to możliwe, wycieram się koszulką. Po czym się do nich uśmiecham, starając się dać im do zrozumienia, że to nic takiego.

- Wszystko w porządku... taka już jest! Ponieważ inaczej nie potrafi, to by powiedzieć kocham cię, chlusta piwem.

Nie rozumieją, ale się uśmiechają. Gin też się uśmiecha, udając sympatyczną. Pociąga łyk piwa.

- Chcesz wiedzieć, co takiego napisałam? Wszystko! Nie tylko o tym, że się kochaliśmy, ale też to, co się stało. To część naszego przeznaczenia. Być może za sprawą tego jednego momentu będziemy mieli dziecko. I już na zawsze pozostaniemy razem.

- Na zawsze? Wiesz, rozmyślałem się. Według mnie w Wietnamie też da radę znaleźć tę pigułkę. Przystąpmy do poszukiwań choćby od razu!

Odskakuję pospiesznie, robiąc unik akurat wtedy, kiedy Gin usiłuje na mnie wylać resztkę piwa, która jej została na dnie kufła. Tym razem pułkuje. Wietnamczycy zaśmiewają się rozbawieni i klaszczą. Załapali, o co w tym wszystkim chodzi, z grubsza. Kłaniam się w ich stronę. Zaczynają intonować dziwnym, choć zgodnym chórem: - *Ti amo... ti amo... ti amo.* - Śmiesznie to wymawiają, ale rzeczywiście zajarzyli, o co chodzi. Nie zdążam się podnieść. Kufel piwa trafia mnie prosto w brzuch. - Ała! - Tym razem to Gin się kłania, a Wietnamki reagują żywiołowymi okrzykami. Nie wiem, czy będziemy mieli dziecko. Ale jedno jest pewne. Jeśli znaleźlibyśmy się w tarapatkach, to w każdej chwili możemy założyć trupę aktorską i ruszyć w trasę z naszymi przedstawieniami.

Malezja. Perentian. Tioman.

Opaleni na złoto, zdrowi, lekko nawet tu i ówdzie spieczeni przez to słońce, które cały czas nas nie odstępowało. Spacerujemy sobie. Popołudnie, które niczym nie różni się od tyłu innych. Jak to zwykle, ilekroć jest się na wakacjach. Przystajemy obok wyciągniętego w cieniu palmy malarza i wybieramy bez pośpiechu.

- O, ten!

Jeden z wielu obrazów postawionych na piasku, niczym olbrzymie, kolorowe muszle, które ktoś postanowił osuszyć na słońcu. Wybieramy go razem, rozbawieni faktem, że ten sam przyciągnął naszą uwagę.

- Ale jesteśmy zgrani, co. Step?

- Właśnie.

Płacę mu 5 dolarów, pakuje nam go i zabieramy go ze sobą, powoli zawracając w stronę naszego bungalowu.

- Martwię się.

- Czym? Brzuchem? Jeszcze za wcześnie.

- Idiota! Wydaje mi się to jakieś dziwne. Minęło już dziesięć dni, a my jeszcze ani razu się nie pokłóciliśmy! Ani jednego razu. Jesteśmy razem od rana do wieczora i nic, ani jednej awantury.

- No, sorry, ale czyż nie lepiej w takim razie spojrzeć na to inaczej: spędzamy ze sobą wszystkie noce i każdej z nich zawsze...

Gin odwraca się gwałtownie. Robi groźną minę.

- Się kochaliśmy! Tylko się nie denerwuj. Nie ma sensu, żebyś krzywo na mnie patrzyła! I tak miałem zamiar dokładnie tak powiedzieć. Spędzamy ze sobą każdą noc i zawsze się kochamy.

- Tak... tak... jasne.

- Chociaż... - Idziemy przed siebie. - Sorry, co. Gin. Ale powiedzenie, że zawsze się pieprzyliśmy, jest znacznie bardziej adekwatne.

Zaczynam biec. - Idioto. Lepiej się przyznaj, że zachciało ci się awantury. Ona też zaczyna biec i stara się mnie dogonić. Pospiesznie otwieram drzwi do bungalowu i wskakuję do środka. Po chwili ona też się zjawia.

- To co... zebrało ci się na kłótnię.

- Nie, ale sama rozumiesz... - Wskazuję jej okno. - Jest już prawie ciemno. Późno się zrobiło, jeśli mamy się kłócić, to kłóćmy się za dnia!

- Przyciągam ją do siebie. - Bo nocą...

- Nocą? - podchwytuje Gin.

- Mamy się kochać, dobrze? Będziemy mówić, tak jak ty wolisz.

- Okay.

Uśmiecha się. Całuję ją. Jest prześliczna. Cofam się kilka kroków. Też się uśmiecham.

- Ale teraz będziemy się pieprzyć! - Znów mnie uderza. Ale zaraz przestaje. Pograżamy się w świeżych prześcieradłach, które pachną morzem. I kochamy się, pieprząc.

Spędziliśmy na wyspie wiele dni. I prawdą jest, że wcale się nie kłóciliśmy. Wręcz przeciwnie. Co więcej, dobrze się bawiliśmy. Nigdy bym nie pomyślał, że coś podobnego jest w ogóle możliwe, i to na dodatek z kimś płci żeńskiej... Jednego wieczoru błdziłem gdzieś pośród morskich fal. Wydawały mi się rozkoszne, łagodne i ciepłe, woda była płytka, żadne prądy nie zakłócały jej harmonii. A może to wszystko zasługa tego pocałunku, tak pięknego i prostego, do którego między nami doszło. Tak zwyczajnie, w ciszy, wpatrzeni sobie w oczy, objęci, w blasku księżyca, sam pocałunek, nic więcej. Śmialiśmy się, gadaliśmy, cały czas przytuleni. Piękno wyspy takiej jak ta polega na tym, że jesteś wolny od wszelkich zobowiązań. Wszystko, co robisz, to robisz, bo masz na to ochotę, a nie dlatego że musisz. Każdego wieczoru jemy w małej restauracyjce. Jest cała z drewna i znajduje się nad samym morzem, do tego stopnia, że wystarczy pokonać trzy stopnie, by się znaleźć w wodzie. Czytamy menu, choć nie bardzo rozumiemy, co tak naprawdę jest tam napisane. W końcu i tak zawsze domagamy się wyjaśnień. Wszyscy ludzie, którzy tam pracują, są bardzo uprzejmi i uśmiechnięci. Po wysłuchaniu ich mniej lub bardziej zrozumiałych wyjaśnień, pełnych pokazywania na migi i wybuchów śmiechu, za każdym razem decydujemy się na jakieś inne danie. Chyba dlatego, że mamy ochotę spróbować każdego z nich w nadziei, że prędzej czy później przynajmniej jedno nam posmakuje. Ale przede wszystkim dlatego, że jest nam tak dobrze.

- Tylko proszę pamiętać, bez żadnych dziwnych sosów, bez niczego na wierzchu. *Nothing, nothing...*

Oni, kiedy tylko usłyszą, że zwracamy się do nich w ten sposób, od razu potakują skinieniem głowy. Zawsze. Także wtedy, kiedy wygadujemy nawet najbardziej niedorzeczne rzeczy. Ostatecznie nigdy nie wiemy, co takiego naprawdę nam przyniosą. Czasami się udaje, czasami nie. Staram się doradzić coś Gin.

- W każdym razie jeśli się zdecydujesz na smażone „pescado”, to na pewno nie masz powodu do obaw.

Śmieje się.

- Matko święta, staruch z ciebie. Cały urok polega na tym, by wciąż próbować coś nowego.

Rozglądam się wokół. Na tej wyspie nie ma prawie nikogo. Przy jednym z oddalonych stolików jakaś para jest w trakcie jedzenia. Są od nas starsi i zachowują się znacznie ciszej. Czy to normalne, że z wiekiem ludzie mają sobie coraz mniej do powiedzenia? Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Nie spieszy mi się. Sam się przekonam, kiedy nadejdzie właściwy moment. Za to Gin mówi strasznie dużo, o tym i owym, o rzeczach zabawnych i ciekawych. Wtajemnicza

mnie w epizody ze swojego życia, których inaczej nigdy bym nie poznał, nawet nie byłbym sobie w stanie ich wyobrazić, gdyby nie jej opowieści. I słucham, patrzę jej prosto w oczy, ani na chwilę nie odrywając od niej wzroku. A poza tym zawsze ma całą masę propozycji.

- Słuchaj, wpadłam na świetny pomysł. Jutro wybierzemy się na wyspę, tę, która jest z przodu, albo czekaj, weźmiemy łódkę i pójdziemy łowić ryby, nie, nie, coś lepszego przyszło mi do głowy, pochodzimy sobie po wyspie... Ha, i co ty na to?

Uśmiecham się. Nie mówię jej nawet, że cała wyspa ma średnicę bez mała jednego kilometra.

- Jasne, świetny pomysł.

- Ale który jest świetny? Przecież są aż trzy!

- Wszystkie trzy są świetne.

- Czasami wydaje mi się, że się ze mnie nabijasz.

- Dlaczego tak mówisz? Jesteś prześliczna.

- Widzisz, nabijasz się ze mnie.

Wstaję, siadam obok niej i ją całuję. I to długo. Bardzo długo. Z zamkniętymi oczami. To absolutnie wolny pocałunek. A wiatr próbuje precyzyjnie się pomiędzy naszymi ustami, naszym uśmiechem, naszymi policzkami, naszymi splątanymi włosami... I nic, bezskutecznie, nie daje rady się precyzyjnie. Nic nas nie rozdziela. Słyszę jedynie plusk małych fal rozpryskujących się pod nami, to oddech morza, który jest echem naszych oddechów, o słonym smaku... I o smaku jej samej. I na chwilę ogarnia mnie strach. Czyżbym znów chciał się zatracić? A potem? Co będzie dalej? Bo ja wiem. Daję się ponieść. Zatracam się w tym pocałunku. I przestaję się zamartwiać. Bo ten strach mi odpowiada, jest zdrowy. Gin nagle odrywa swoje usta od moich, odsuwa się i wpatruje we mnie.

- Ej, dlaczego tak się na mnie patrzysz? O czym myślisz? Sięgam do jej włosów, które za sprawą wiatru opadły jej na twarz.

Zbieram delikatnie wszystkie pasma i trzymam przez chwilę w dłoni. Odgarniam je do tyłu, odsłaniam jej twarz, która jest teraz jeszcze piękniejsza.

- Chcę się z tobą kochać.

Gin wstaje. Bierze kurtkę. Przez chwilę wygląda, jakby ogarnęła ją złość. Ale już po chwili się odwraca i uśmiecha się do mnie promiennie.

- Już mi minął głód. Idziemy?

Wstaję, zostawiam na stole pieniądze i ją doganiam. Zaczynamy się przechadzać po wilgotnym piasku, w miejscu, do którego raz po raz docierają fale. Obejmuję ją. Noc. Księżyc. Łagodne podmuchy wiatru. Gdzieś w oddali, na morzu widać łodzie. Białe żagle łopoczą. Wyglądają jak chusteczki, którymi machają nam na pożegnanie. Ale nie, my nie wyjeżdżamy. Jeszcze nie. Morskie fale pieszczotliwie gładzą nas po kostkach, dyskretnie przy tym szemrząc. Są ciepłe, leniwe, ciche. Potrafią uszanować momenty takie jak ten. Są niczym preludium do pocałunku, który pragnie posunąć się dalej. Obawiają się, by swoim odgłosem niczego nie zakłócić. Pojawia się kelner i przynosi nam do

stołu talerze. Ale nas nie zastaje. I wtedy nas dostrzega. Oddaliśmy się już nieco. Woła do nas. - Jutro, zjemy jutro. - Koleś kręci głową i się uśmiecha. Tak, to doprawdy przepiękna wyspa. Tutaj wszyscy potrafią uszanować miłość.

64

Kiedy byłem mały i wracałem z wakacji, Rzym za każdym razem wydawał mi się inny. Czystszy, bardziej uporządkowany, z mniejszą liczbą samochodów, z nieoczekiwane pozmienianymi kierunkami ruchu, z nową sygnalizacją świetlną. Tym razem wydaje mi się identyczny jak wtedy, kiedy wyjeżdżaliśmy. To Gin wydaje mi się inna. Patrzą na nią, tak żeby się nie zorientowała. Czeka posłusznie w kolejce, aż będziemy mogli wsiąść do taksówki. Co pewien czas poprawia włosy, wzburzając je sobie trochę, odgarnia je z twarzy, a one, wciąż jeszcze przesiąknięte słonym zapachem morza, podporządkowują się jej życzeniu. Nie, nie tyle inna. Po prostu bardziej kobieca. Oparła sobie o nogi worek, a przez prawe ramię przewiesiła plecak, nawet niezbyt ciężki. Surowa i wyprostowana, ale o lekko zaokrąglonych kształtach. Odwraca się, patrzy na mnie i się uśmiecha. Czyżby została mamą? O Boże, czy rzeczywiście spodziewa się dziecka? Ja chyba naprawdę wtedy oszalałem. Patrzy na mnie zaintrygowana, może nawet starając się odgadnąć, co chodzi mi po głowie. Za to ja patrzę na nią i usiłuję odgadnąć, co kryje się w jej brzuchu. Czyżbym miał do czynienia z dwiema osobami zamiast jednej? Przypominam sobie taki film, który widziałem jako dziecko. *Historia Ligabue*. Ale nie tego piosenkarza. Malarza. Kiedy Ligabue patrzy na swoją modelkę podczas uwieczniania jej na płótnie, to po oczach, które mają w sobie jakiś inny blask, po miękkich zarysach jej ciała, orientuje się, że kobieta jest w ciąży. Ale ja nie jestem malarzem. Choć być może wykazałem się większym szaleństwem od samego Ligabue.

- Można się dowiedzieć, o czym tak rozmyślasz?

- Może uznasz to za absurdalne, ale o Ligabue.

- O, no co ty, nawet nie masz pojęcia, jak mi się podoba, zarówno jako piosenkarz, jak i mężczyzna.

Nuci sobie wesoła, w ogóle nie fałszując. Zna całe słowa do *Certę notti*, ale nie przejrzała, co takiego sobie myślałem. Przynajmniej ten jeden raz.

- Ej! Wiesz co? Ligabue podoba mi się również jako reżyser... Widziałeś może *Radiofreccia*?

- Nie.

Teraz kolej na nas. Ładujemy walizki do bagażnika i wsiadamy do taksówki.

- Szkoda, w którymś momencie pojawia się tam bardzo fajne zdanie... Myślę, że mam w sobie, gdzieś w środku wielką czarną dziurę, ale rock and roli,

panienki, piłka nożna, jakieś sukcesy w pracy, wygłupy z przyjaciółmi i takie tam, raz na jakiś czas mi tę dziurę zapełniają.

- Fajnie się zapowiada... Muszę przyznać, że masz łeb do cytatów, wiesz? Gin nie odpuszcza. - *A Da dieci a zero?*

- Też nie.

- A tak w ogóle to jesteś pewien, że chodziło ci właśnie o tego piosenkarza, a nie o Ligabue malarza?

Patrzy na mnie pytająco, z beczelną arogancją. Ta dziewczyna martwi mnie na poważnie. Wymieniam taksówkarzowi ulicę, na której mieszka Gin, a ten potakuje skinieniem głowy. A tam. Wszyscy wszystko wiedzą. Zakładam sobie okulary. Gin się śmieje.

- Przyłapałam cię, co? A może nawet nie wiesz, kto to taki?

Nie spodziewa się odpowiedzi. Postanawia dać mi spokój. Opiera się na moim ramieniu, tak samo jak podczas rejsów samolotem. Tak samo jak podczas tych wszystkich ostatnich nocy. Widzę jej odbicie w lusterku taksówki. Zamyka oczy. Wygląda, jakby sobie odpoczywała, po chwili otwiera je ponownie. Nasze spojrzenia się spotykają, wpatruje mi się w oczy, mimo że mam okulary. Uśmiecha się. Może sama wszystko zrozumiała. Może. Ale jedno jest pewne. Jeśli to będzie dziewczynka, nazwę ją Sybilla.

Ostatnie pożegnanie. - To cześć. Zdzwonimy się. - Z plecakiem na ramieniu i workiem w rękę wchodzi na klatkę. Patrzą, jak się oddala, i nawet nie mogę jej pomóc. Sama nie chciała.

- Nie chcę, żebyś mi pomagał, a poza tym nie lubię zbyt długich pożegnań. No, jedź już sobie!

Gin jest wprost niemożliwa. Z powrotem wsiadam do taksówki i podaję nazwę ulicy. Taksówkarz potakuje skinieniem głowy. Ten adres też zna. No, w końcu to przecież jego praca. W okamgnieniu przypominają mi się przeróżne momenty z podróży. Jakbym szybko przerzucał album fotograficzny. Więc wybieram sobie same najładniejsze zdjęcia.

Jak rzucaliśmy się do wody, jak się całowaliśmy, jak się wygłupialiśmy, jak jedliśmy kolacje, jak sobie gadaliśmy, wcale nie licząc się z czasem, jak się kochaliśmy, też wcale się z nim nie licząc, jak wstawaliśmy, mając go za nic. A teraz? Martwię się, i to nie tylko z powodu zmiany strefy czasu. Brak mi jej. To, że odwiozłem ją do domu wprost po wspólnej podróży, jest jak ponowne wyruszenie w drogę, tylko że nie bardzo wiadomo dokąd, a już zwłaszcza z kim. Sam. Już mi brakuje mojej Gin. I właśnie to mnie martwi. Czyżbym się stał przesadnie romantyczny?

- Jesteśmy na miejscu, szefie.

Na szczęście jest taksjusz, który przywołuje mnie do rzeczywistości. Wsiadam. Nie czekam na resztę, zabieram swoje rzeczy i wchodzę do domu.

- Czy jest tu kto? - Cisza. To nawet lepiej. Potrzebuję stopniowej aklimatyzacji, możliwie jak najmniej dźwięków, najmniej pytań, by powrócić do swojego życia. Wyjmuję rzeczy z worka, część wkładam na miejsce, pozostałe,

te do prania, wrzucam do wanny w łazience i biorę prysznic. Nie dociera do mnie zmęczenie związane, ze zmianą strefy czasu, ale na szczęście dociera do mnie, że dzwoni mi komórka. Wychodzę spod prysznic. Błyskawicznie sięgam po telefon. Wycieram się szybko ręcznikiem i odbieram. To ona. Gin.

- Hola, włączyłem go dopiero przed sekundą, zanim poszedłem pod prysznic. Wiedziałem, że za długo nie wytrzymasz.

- Wierz mi, zadzwoniłam tylko po to, żeby się zorientować, jak tam sobie radzisz. Chyba nie walisz głową w co popadnie? Czyżbyś był na totalnym głodzie... kochania się?

- Ja?

Odsuwam nieco komórkę od twarzy i udaję, że zwracam się do licznego grona dziewczyn, które mam przed sobą. - Spokojnie, dziewczyny, tylko spokojnie... Już przychodzę!

Gin udaje poirytowaną.

- Aż dziw, że nie powiedziałeś: Już dochodzę. I to raz-dwa, dziewczyny! Powinieneś być wobec nich bardziej szczerzy. Po co mają się łudzić? Ha! Ha!

- Mhm! Jadowita. Skoro tak stawiasz sprawę, to pogadamy z Romanim, parę występów w kilku programach na żywo jako zwyczajni nie zwyczajni i natychmiast znów wyruszamy, tym razem w podróż dookoła świata.

- Nie odbiegajmy zbyt od tematu... Za kilka dni będziesz musiał do nas tutaj zajrzeć, więc lepiej się zastanów, co chcesz, by usłyszała od ciebie moja rodzina.

- Co?

- No, o ile „ona” sama się nie pojawi, to chyba lepiej, żebyś ty tu zajrzał, nie?

- Co znowu?

- No tak, już najwyższy czas, bo „jej” najwyraźniej się nie spieszy, a zatem jestem w ciąży! Przygotuj sobie oświadczyń, przeprosiny i całą resztę. Nie mówię ani słowa.

- Proszę, zuch chłopak! Czyli dotarło! Zabaw się z tymi dziewczynami, które tam masz, bo niewiele czasu ci już zostało!

- Ale ja myślałem, że będę tylko musiał się zająć wyborem imienia dla dziecka.

- No pewnie. Najprostsza sprawa! Nie, słuchaj, tym to akurat ja się zajmę. Ty się lepiej martw całą resztą. Wiesz, co mi zawsze powtarza moja mama? „Chciałeś rower? To teraz pedału!”.

- Rower... Jeśli to syn, to możemy mu dać tak na imię. Chłopczyk z pewnością okazałby się bardzo wysportowany, a poza tym, ja wiem, miałby imię na cześć twojej mamy.

- Całe szczęście. Obawiałam się, że już cię dopadła czarna depresja. A tymczasem wciąż jeszcze stać cię na wygadywanie bzdur.

- Tak, ale to już moje ostatnie podrygi, sama rozumiesz, że jako ojciec będę musiał zachowywać się jeszcze poważniej. Ale czy aby rzeczywiście masz

niezbitą pewność, że to właśnie ja jestem ojcem? Mój dziadek zawsze powtarzał: „Matka jest zawsze pewna, ojciec nigdy”.

- Proszę, moje gratulacje, możesz się łudzić. Ale bądź pewny, iż jeśli się okaże, że to palant, to znaczy, że na pewno jest twój.

- Całe szczęście, że byłem na głodzie kochania!

- Step... nie kłóćmy się.

- A kto tutaj chce się kłócić?

- Brak mi ciebie... - Znów odsuwam telefon od twarzy.

- Dziewczyny, chcecie wiedzieć, co powiedziała? Że jej mnie brakuje...

- Weź przestań... nie udawaj głupka.

- Zmieniłaś się.

- To znaczy?

- Zwykle nazywasz mnie palantem.

- A jak wolisz: palant czy głupek?

- No, powiedzmy, że do mnie bardziej pasuje grupek... a poza tym, sorry, sama powiedziałaś, że mojego synka nazwiesz palant, więc chcąc nie chcąc, do mnie i tak musisz się zwracać per głupek, w przeciwnym razie w tym domu wszystko stanie na głowie i już w ogóle nie będzie wiadomo, o co chodzi. Masz pojęcie, jaki bajzel?

- Idiota!

- No proszę... A ten idiota to znów co za jeden? Jest ktoś trzeci?

Śmiejemy się. I dalej sobie żartujemy. Gadamy tak, sami już nawet nie wiedząc, o czym ani dlaczego. W końcu postanawiamy się rozłączyć i obiecujemy sobie, że zagonimy się jutro. Ta obietnica jest w ogóle niepotrzebna. I tak przecież będziemy się słyszeć. Kiedy trwonisz czas, wisząc na telefonie, kiedy mijają kolejne minuty, a do ciebie to nie dociera, kiedy wypowiedane słowa nie mają większego sensu, kiedy sobie myślisz, że gdyby ktoś przypadkiem cię posłuchał, to niechybnie by uznał, że oszalałeś, kiedy żadne z dwojga nie ma ochoty się rozłączać, kiedy po tym, jak już odłożyła słuchawkę, sprawdzasz jeszcze, czy rzeczywiście tak zrobiła, to znaczy, że już po tobie. Albo, co gorsza, że się zakochałeś. Co w gruncie rzeczy oznacza praktycznie to samo...

65

Z czasem nasze dni w Rzymie wracają do normalności. Godziny zajmują swoje stałe miejsce. Znów jest zimno. Każde z nas mieszka u siebie. Morze oddala się od nas. A wraz z nim także i samo wspomnienie. Zostają nam już tylko zdjęcia z tej cudownej podróży. Lądują na dnie jakiejś szuflady i też szybko odchodzą w niepamięć. Romani bardzo się ucieszył, kiedy nas zobaczył, takich wesołych i opalonych, a to przecież zwłaszcza dzięki niemu. Jeszcze

bardziej się ucieszył, kiedy zobaczył, że jesteśmy gotowi podpisać umowę o pracę, a to też przecież zwłaszcza dzięki niemu. Paolo i Fabiola najwyraźniej dobrze się rozumieją. Paolo zarzucił pomysł bycia agentem. Moim agentem. Wrócił do bycia księgowym. Swojej kobiecie, Fabioli, zostawia całkowitą swobodę w podejmowaniu decyzji, dzięki temu dwa plus dwa zawsze jest cztery. Bo gdyby się okazało, że bilans zarówno w biurze, jak w związku nie zawsze jest równie oczywisty, to chyba by zwariował. Z tego, co dociera do mnie z opowieści Paola, to ojciec i jego kobieta, której imienia kompletnie sobie nie przypominam i nawet nie zamierzam się wysilać, żeby je zapamiętać, wcale się nie czubią. Ale lubią. Choć i ten temat wolę przemilczeć. Za to o sprawach sercowych mamy Paolo nie wie nic. A przynajmniej o niczym mi nie mówi. Jednak martwi się stanem jej zdrowia. Zorientował się, że robiła sobie różne badania w szpitalu. Ale i o tym Paolo nic nie wie. A może również w tym wypadku to on sam nie chce powiedzieć mi nic więcej. Choć i w tej sprawie jakoś nie jestem w stanie zadać sobie większego trudu. Nie dam rady. Już samo przeczytanie książki, którą podarowała mi mama, dużo mnie kosztowało. Historia podobna do naszej, ale ze szczęśliwym zakończeniem. Szczęśliwe zakończenie, owszem. Tylko że to książka.

- Cześć, co robisz?

- Pakuję rzeczy, bo wybieram się na siłownię...

Wszystko wróciło do absolutnej normy. Gin też.

- No co ty, ja też później się tam wybieram. Dziś moja kolej. - Przerywa, sprawdzając w swoim kalendarzu siłownię za friko. - Gregory Gym na via Giorgio VII! Całe szczęście, że nie jest znów aż tak daleko. Zobaczymy się później?

- No pewnie.

- No to buźka i na razie.

Nie wiedziałem, co by było, gdybym nie był aż tak znów pewny tego „pewnie”.

Na siłowni witam się z różnymi znajomymi. Wreszcie zaczynam ćwiczyć. Bez wyciskania za dużo na raz, bez przesadzania z obciążeniami. Nie chciałbym czegoś sobie nadwerężyć. Za długo już nie ćwiczyłem.

- Ej, witaj z powrotem.

To Giudo Balestri, jak zawsze szczupły i uśmiechnięty. Jak zawsze w swoim poszarpanym bordowym dresie, w bluzie, która tylko pozornie świadczy o nonszalancji w podejściu do ubrań, bo i ona jest markowa, jak zresztą i wszystko inne, co posiada, jak to zawsze on.

- Cześć. Ćwiczysz?

- Nie. Wpadłem na siłownię, mając nadzieję, że cię tu znajdę.

- Jestem bez grosza... - śmieje się rozbawiony, chyba dlatego że oboydwoj doskonale wiemy, iż to ostatnia rzecz, której mógłby potrzebować. - I przez jakiś czas mam się trzymać z dala od wszelkich bijatyk.

- No pewnie, jak człowiek za bardzo się udziela, to potem ryzykuje, że zacznie rozmieniać się na drobne. Ty i tak osiągnąłeś już gwiazdorski status, jeśli chodzi o bijatyki!

Domyślam się, że musiał śledzić informacje dotyczące całego zajścia. Ale jemu zależy, by mi o tym opowiedzieć. I to jeszcze jak. - Powycinałem sobie z gazet wszystkie artykuły: telewizyjny bohater, wojownik, mściciel...

- Tak, wypalili z grubej rury.

- No, ty też, sądząc po opublikowanych zdjęciach!

- Nie wiedziałem. Ukazały się też zdjęcia tamtej trójki? To akurat przegapiłem.

Ale to bez znaczenia. Wciąż mam przed oczami prawdziwe zajście, włącznie z jego oryginalnymi postaciami z krwi i kości. Zmieniam temat.

- No, żarty na bok, a tak w ogóle, to co mogę dla ciebie zrobić?

- To raczej ja mogę zrobić coś dla ciebie. Wpadnę po ciebie o dziewiątej, Step, co ty na to?

- To zależy.

- Ej, czyżbyś się zamienił w jedną z tych pindek, które uważają, że jako jedyne mają na wyłączność męską rozkosz? W stylu: „Chciałabym, ale nie mogę!”. No co ty, zabieram cię na fajną imprezę, spoko ludzie, miła atmosfera, tylko mi nie mów, że dałeś się usidlić jakiejś lasce? Spotkanie z przyjaciółmi, bez szaleństw!

Sam pomysł, by spotkać się w gronie starych znajomych, wydaje mi się kuszący. Minęło już mnóstwo czasu. Dlaczegoż by nie? Choć na chwilę oderwać się od tego wszystkiego. Zanurzyć w przeszłości. Myślę o Pollo, ale bez bólu. Porządny rejs, oto czego mi trzeba. Spotkać się z tymi ludźmi, których nie widziałem już od nazbyt dawna, którzy mnie powitają z otwartymi ramionami. Razem powspominać stare dobre czasy, wymienić się uściskiem dłoni, spojrzeć na siebie bez hipokryzji. Przyjaciele od bijatyk. Najautentyczniejsi.

- Dlaczego nie?

- Okay, tylko podaj mi swój adres, to podjadę po ciebie samochodem. Żegnamy się. - O dziewiątej! Tylko nie zapomnij...

Jeszcze przez jakiś czas sobie ćwiczę. Tylko z większą parą. Zarozumialec. O co ci chodzi? Chcesz być w dobrej formie, kiedy się spotkasz z przyjaciółmi sprzed lat? Sprostać ich wspomnieniom? Boski Step! I na dowód autoironii postanawiam przestać i wziąć porządny prysznic.

Niedługo potem, w domu. Dzwoni mi komórka.

- Cześć, w końcu nie wpadłeś.

Gin jest trochę zawiedziona. - Nie... tylko myślałem, że jesteś jeszcze na siłowni.

- A skąd! Musiałam pomóc matce wnieść na górę zakupy. Po czym sobie przypomniała, że nie kupiła mleka, no i ja po nie poszłam. Kiedy już wróciłam,

to stwierdziła, że zapomniała o pieczywie, i znów wyszłam. A na dodatek winda się zepsuła.

- No, może i nie poszłaś na siłownię, ale i tak zadbałaś o kondycję.

- Tak, pewnie. Mam obłędne pośladki! Czy przypadkiem nie chciałbyś teraz wpaść i ich sobie pooglądać? Właśnie muszę skoczyć na taras, na samą górę i zebrać pranie, bo coś mi się zdaje, że dziś wieczór będzie lało.

- Nie, nie mogę. Kumpel wpada po mnie niedługo.

- Aha... - Gin sprawia wrażenie wyraźnie urażonej.

- To kumpel, przecież ci powiedziałem, Guido Balestri, ten wysoki, szczupły... Był z nami tamtego wieczora, kiedy poszliśmy do Pułkownika. - Staram się ją uspokoić.

- Tak? Jakoś go nie pamiętam. Okay, jak chcesz. A ja i tak wybieram się na górę, na taras. Ten zaś, kto się tam zjawi, nie pożałuje...

- Przestań, nie wygłupiaj się. Wciąż nic?

- Wciąż nic. Wciąż można zakładać, że jesteś ojcem...

- No, w takim razie skorzystam z okazji i jeszcze dzisiaj sobie wyskoczę. Dobra, może dzwoniemy się później.

- Żadne może. Zdzwoniemy się później! Masz do mnie dzwonić i to bez żadnego ale!

- Okay. - I się śmieję. - Jak sobie życzy posiadaczka trzeciego dana. - Jeszcze nawet nie zdążyłem rozłączyć się z Gin, a już dzwoni domofon. To Guido. - Już schodzę.

66

Raffaella krąży po domu. Nie ma rady. Coś jej tu nie gra. Zupełnie jak wtedy, kiedy ma się rozliczyć z właścicielem sklepu z wędlinami, pod domem, który za każdym razem dopisuje coś do rachunku, lub z pracownikiem stacji benzynowej, na placu nieopodal, który myje ci samochód, a potem tankuje go do pełna. Ludzie, których obdarzamy naszym zaufaniem, by potem usłyszeć od nich to samo wyświechtane zdanie: - Pani tylko spojrzysz, aż tyle tego nie ma, wszystko przez to euro, przez nie ceny poszły dwa razy w górę. - Wygląda, jakby zostało wprowadzone specjalnie po to, by mogli naciągać ludzi. Ale tu chodzi o coś innego. O Claudia. Claudio się zmienił. Choćby to, że nie chciał zdjąć z siebie koszuli, kiedy ostatnio się kochali. Dziwne. Zmieniły się nie tylko jego preferencje muzyczne, ale również lektury. Zawsze czytał wyłącznie „Diabolik”, a w ostateczności jeszcze „Panoramę”. A kupował ją, tak się jakoś dziwnie składa, zawsze, ilekroć na okładce była jakaś atrakcyjna dziewczyna. Oczywiście w negliżu. Ale to wszystko było w normie. Twierdził nieodmiennie, że w środku znajduje się jakiś niesłychanie ważny artykuł na temat rynków finansowych. A teraz? Skąd się wzięła ta książka? Raffaella podchodzi do szafki

nocnej Claudia i bierze ją do ręki. Poezje Guido Gozzano. Kartkuje ją. Nic. Ani śladu. Aż tu nagle coś wypada spomiędzy kartek. Poczta. Odwraca ją szybko, by sprawdzić, co jest na niej napisane. Nic. Tylko pieczętka i podpis nadawcy. Litera: „F”. Raptem tylko sama litera „F”. I pieczętka z Brazylii. Kto mógł mu ją wysłać? Ktoś, kto był w Brazylii. Patrzy na datę na pieczętce. Została wysłana sześć miesięcy temu. Kto spośród naszych znajomych mógł udać się do Brazylii sześć miesięcy temu? Filippo, Ferruccio, Franco? Nie. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z nich tam był. A już zwłaszcza by którakolwiek żona wyraziła zgodę na taki wyjazd. Chyba że któryś z nich wybrał się tam po kryjomu... i wysłał stamtąd kartkę Claudiowi, podpisując się właśnie „F”? Nie. Coś tu nie gra. Odwraca pocztówkę i się jej przygląda. Na fotografii jest piękna młoda Brazylijka. Typowe zdjęcie dziewczyny, która przechadza się po plaży, z tyłkiem na wierzchu i w kostiumie, którego część o rozmiarach nici dentystycznej znikła między pośladkami. Dziwne jest to, że doskonale widać jej uśmiechniętą twarz. Nic. Wkłada pocztówkę z powrotem w środek książki i znów zaczyna ją kartkować. W pewnym momencie znajduje podkreślone na czerwono zdanie. Ale jakim cudem? Claudio nie cierpi czerwonego. W życiu by po niego nie sięgnął. Bo kojarzy mu się z tymi wszystkimi błędami, które robił w szkole na włoskim właśnie dlatego, że wcale nie czytał. A sam podkreślony wers: „Najbardziej ukochane róże to te, których nie zerwałem”. I do tego dopisany wykrzyknik. Wykrzyknik? Ktoś na dodatek zburzył harmonię frazy, okaleczył ją, przeinaczył. Ktoś, kto nie ma szacunku dla nikogo i niczego. Nawet dla mnie. Zwłaszcza dla mnie. Raffaella przerzuca pospiesznie książkę i patrzy na sam koniec, sprawdza, czy jest cena, czy ktoś jej aby nie wyciął albo nie zamazał. Nie, widać cenę. Przygląda się uważniej. Przystawia sobie książkę pod sam nos. I nagle coś rzuca jej się w oczy. To ślady kleju. Cena była zasłonięta. Ktoś zerwał naklejkę. Claudio to zrobił! Nie chciał, żeby było widać nazwę sklepu, w którym kupiono tę książkę. Dostał ją w prezencie! Jak nic od tej „F”. Tej wrednej sukiny „F”. Raffaella odkłada wszystko na swoje miejsce. Musi sobie opracować jakiś plan. Niestety, jedyną osobą zatrudnioną w sieci operatora telefonicznego w Telecomie jest mgr Franchi, przyjaciel Claudia. Szkoda gadać. Wszystko przez tę głupią męską solidarność. Nie pisałby ani słowa nawet na torturach. Raffaella sama już sprawdzała telefon męża, i to nie raz. Żadnego SMS-a, ani wysłanego, ani odebranego. Nawet połączenia telefoniczne, wykonane, odebrane, czy te, których nie przyjął, są w sumie nieliczne. Podejrzenie nieliczne. To komórka czysta, podejrzenie czyste. A wobec tego brudna. Ale co ma w takim razie zrobić? Z całą pewnością Claudio nie jest aż takim debilem jak ten skąpiec Mellini, który byle tylko przyszczędzić, wykupił sobie abonament „You&Me”. Chodzi o to, że wybierasz sobie numer, z którym najczęściej rozmawiasz, a ten pajac zlecił, by wpisać wprost do umowy numer kochanki. To akurat było aż nazbyt proste do rozwikłania. Biedaczysko. Mógł przynajmniej choć raz wykazać się odrobiną klasy. Nareszcie powinien być szczęśliwy, bo może na wszystkim oszczędzać

do woli. Kochanka też go rzuciła. A może zrobił tak specjalnie, bo chciał, żeby go przyłapano. Kiedy mąż zostawia sobie w komórce otrzymanego SMS-a, to najlepszy dowód, że i tak ma już gdzieś żonę. Tylko jeszcze nie wie, jak jej to powiedzieć. A w ten sposób oszczędza sobie niewdzięcznej fatygi. Faceci to straszna nędza. To znaczy, paradoksalnie powinnam być szczęśliwa, że zerwał naklejkę z nazwą księgarni i że wszystko przede mną ukrywa... A tymczasem, kiedy zrozpaczona sama zastanawia się nad swoim ostatnim spostrzeżeniem, nagle wpada na pewien pomysł. W okamgnieniu, raptem wszystko staje się oczywiste, doznaje olśnienia. Przymyka oczy i zaczyna kontemplować swoją wizję w najdrobniejszych szczegółach. A na sam koniec się uśmiecha, bo wie, że to prawdziwy majstersztyk.

Trochę później Claudio wraca do domu. Raffaella wychodzi mu naprzeciw i się z nim wita.

- Cześć, co słychać? W pracy wszystko w porządku?

- Jak najbardziej.

- Chodź, pomogę ci.

Claudio jest zaskoczony, widząc, jak żona zdejmuje z niego marynarkę. Skąd ten nagły przejaw uprzejmości? Coś jest nie tak. Czyżby coś odkryła? Jakież nowe problemy z córkami? Najlepiej od razu się przekonać. Claudio idzie w ślad za nią do sypialni.

- Czy wszystko w porządku, skarbie? Czy jest jakiś problem?

- Nie, wszystko w porządku, dlaczego? Nie napiłbyś się czegoś?

I jeszcze na dodatek pyta, czy bym się czegoś napił. Wobec tego jest problem. I to duży.

- A jak się czuje Daniela?

- Świetnie, zrobiła sobie badania. Jeszcze dzisiaj powinna je odebrać, ale wygląda na to, że wszystko w porządku. A tak w ogóle to dlaczego wypytyujesz mnie o to wszystko?

- Wiesz, Raffaello, bo jesteś jakaś taka uprzedzająco uprzejma.

- Przecież ja zawsze jestem uprzejma.

- Ale nigdy do tego stopnia!

To prawda, myśli sobie Raffaella. Cholera, bo jeszcze mnie przejrzy.

- Masz rację, przed tobą nic się nie ukryje! Zapomniałam na śmierć, że Gabriella mnie do siebie zaprosiła, miałyśmy sobie pograć w karty. A my z kolei umówiliśmy się wstępnie do kina z Ferrinimi.

- Aha. - Claudio wzdycha, wyraźnie odprężony. - Ależ, kochanie, nic nie szkodzi, i ja muszę ci się do czegoś przyznać. Też na amen o tym zapomniałem. Mało tego. Zadzwoił do mnie Farini, że dziś wieczór chce odegrać się w bilard, masz pojęcie! Teraz to już pewne, zostanie naszym klientem!

- Świetnie, tak się cieszę! Wobec tego idź pod prysznic, odpręż się trochę. Jeśli znów z nim przegrasz, pomyśl, że robisz to specjalnie, żeby miał powody do zadowolenia... czyż to nie urocze!

- Masz rację, dziś wieczór go pokonam, jestem pewien. - Claudio rozbiera się do naga i wskakuje pod prysznic. Odpręża się, czując na sobie ożywczy strumień wody. Cudownie, myśli sobie, nic nigdy nie wydawało mi się takie proste. Mało tego, to ona ma poczucie winy. Mogę jechać prosto do hotelu Marsala, nic nie stoi na przeszkodzie, i dokazywać sobie w najlepsze aż do nocy. Szczęściarzem ze mnie, nie ma co... I nawet nie ma pojęcia, jak bardzo się myli. Plan Raffaelli właśnie nabrał ostatecznych kształtów. Teraz nie ma już żadnych wątpliwości. Ten plan nie jest doskonały: on jest szatański. Claudio wychodzi spod prysznica. Wyciera się pospiesznie, podekscytowany na samą myśl o wyjściu, i żegna się z nią czule.

- A ty co? Nie wychodzisz?

- Nie, mamy grać dopiero około dziesiątej. A tak z przyjemnością poczekam sobie teraz na Daniełę, która niedługo będzie z powrotem.

- Masz rację, ucałuj ją ode mnie i bawcie się dobrze.

- Ty też.

Raffaella żegna się z nim uśmiechem. Claudio wychodzi w biegu. Ale gdyby tylko miał oczy także z tyłu głowy, to by zobaczył, jak ten jej uśmiech, gdy tylko odwrócił się w stronę wyjścia, zmienił się w potworny grymas. Taki wyraz twarzy przybierają kobiety, które wiedzą, co mają robić. I które przed niczym się nie cofną. Raffaella bierze telefon stacjonarny i dzwoni do obydwu córek. Następnie do wszystkich swoich najbliższych przyjaciółek, tych, które mogłyby z jakichś względów do niej zadzwonić. Wszystkim mówi to samo. Dla wszystkich ma już gotowe kłamstwo.

67

Trochę później siedzę razem z Balestrim w samochodzie. Przyniosłem mu piwo. Prowadzi cały wesóły i na luzie, chyba nie jest to zasługa samego piwa. - No i już. Jesteśmy na miejscu. - Via di Grottarossa. Wsiadamy. Kilka samochodów stoi przed willą, ale żadnego z nich nie rozpoznaję. Dzwoni domofonem. Corsi. To nazwisko także jest mi obce. Guido przygląda mi się badawczo, sprawia wrażenie rozbawionego.

- Ej, Guido, czy aby nie pomyliłeś adresu? Nie widzę żadnych znajomych motorów, i jeszcze ten Corsi? Kto to w ogóle jest?

- To na sto procent ta willa, zaufaj mi. Spoko. Jestem pewien, że przynajmniej jedną osobę tutaj już znasz. - Otwierają furtkę. Wchodzimy. Sama willa jest bardzo piękna, ma gigantyczne okna, a w nich różnokolorowe zasłony, te przeszklone ściany wychodzą wprost na ogród. Do połowy opróżniony basen wyleguje się nieopodal, w oczekiwaniu na pierwsze dni maja, a znajdujące się po sąsiedzku korty tenisowe z podciągniętą siatką i wyraźną czerwoną nawierzchnią wyglądają, jakby z kolei czuwały nad basenem. Uśmiechnięty

kelner oczekuje nas przy drzwiach, odsuwa się na bok, przepuszcza i zamyka za nami drzwi.

- Dziękuję.

Guido się z nim wita. Chyba się znają. - Czy jest Carola?

- Oczywiście, jest tam, proszę za mną. - Prowadzi nas przez korytarz.

Oświetlone obrazy wiszą obok siebie na ścianach nieskazitelnej biblioteki, pośród starych i cennych książek, kunsztownie malowanych chińskich waz i kryształów. Wszystko to umiejętnie wkomponowane harmonizuje z jasnym drewnem mebli. Wchodzimy do dużego salonu. Kelner usuwa się na bok. Jakaś dziewczyna wybiega nam naprzeciw.

- Cześć.

Obejmuje Guida, witając się z nim czule, choć nie całuje go w usta. To pewnie Carola.

- Dałeś radę? - Guido odwraca się w moją stronę i się uśmiecha, jakby chciał powiedzieć: „No pewnie, Carola, nie widzisz, że stoi obok?”. Carola patrzy na mnie. Przez chwilę wygląda na zaskoczoną. Przygląda mi się z uwagą, jakby mnie taksowała. Przymyka oczy, mruży je, jakby sama nie mogła w to uwierzyć, że ja... to ja.

- Czy on... to on?

Guido uśmiecha się do niej. - Tak, to on.

- Tak, nie mam wątpliwości, że to ja... Zwykle ludzie mówią do mnie Stefano, a przyjaciele Step... Ale per „on” jakoś jeszcze nikt się nigdy do mnie nie zwracał... Jaki on? Może mi wyjaśnicie, o co tu w ogóle chodzi?

I nagle, zza tamtych przymkniętych drzwi, z salonu wypełnionego obcymi ludźmi, dudniącego rozproszonymi i niezidentyfikowanymi głosami, pełnego starych i cennych książek, obrazów namalowanych dawno temu, dobiega mnie czyjś wyraźny śmiech. Jej śmiech. Jej, której mi tak brakowało, jej, której tak szukałem, jej, o której po tysiącuroc śniłem. Babi. Babi. Babi. Babi siedzi na kanapie, na środku salonu i zabawia całe towarzystwo, coś opowiada, śmieje się, a wraz z nią wszyscy inni. Gdy tymczasem ja, całkiem sam, trwam w milczeniu. To moment, na który tyle czekałem. Ileż to razy w Ameryce grzebałem we wspomnieniach, przedzierałem się między zapamiętanymi, bolesnymi epizodami, stężalymi od rozczarowania i doznanych zawodów, by dotrzeć do sedna, najgłębiej jak tylko się da, i tam odnaleźć ten uśmiech. I teraz proszę, mam go tuż przed sobą. I dzielę go z innymi. To wszystko, co było moje, wyłącznie moje. I oto nagle ogarnia mnie przemożne wrażenie, jakbym biegiem przemierzał labirynt, złożony z wybranych momentów: nasze pierwsze spotkanie, pierwszy pocałunek, pierwszy raz... Szalona eksplozja mojej miłości do ciebie. I w okamgnieniu przypominam sobie to wszystko, czego nie mogłem ci powiedzieć, to wszystko, co bardzo bym pragnął, żebyś wiedziała, całe piękno mojej miłości. Chciałbym móc ci je pokazać. Ja, zwykły dworzaniec dopuszczony w szeregi twojej świątyni, na kolanach przed twoim najmniej nawet wyszukany uśmiechem, w obliczu ogromu twojego królestwa, pragnąłbym

móc pokazać ci moje własne. Na srebrnym talerzu, rozkładając ręce w nieskończonym pokłonie, demonstrując ci mój dar, to co do ciebie czułem: tę bezgraniczną miłość. Proszę, moja pani, widzisz, to wszystko należy do ciebie. Tylko i wyłącznie do ciebie. Rozpościera się dalej niż morze i ciągnie się hen, tam, za horyzont. I jeszcze dalej, Babi, wyżej niż niebo i wyżej niż gwiazdy, i jeszcze dalej, ponad księżyc, tam, gdzie wzrok nie sięga. Właśnie, tak wygląda moja miłość do ciebie. Choć to jeszcze nie wszystko, jest jej więcej. Bo to zaledwie tylko ta część, którą dane nam jest poznać. Kocham cię ponad to wszystko, czego zobaczyć nie możemy, i ponad to wszystko, czego zgłębić nie jesteśmy w stanie. Właśnie, to wszystko i sam nie wiem ile jeszcze innych rzeczy pragnąłbym móc ci wtedy powiedzieć. Ale nie mogłem. Nie mogłem powiedzieć ci nic, bo też niczego nie miałaś ochoty słuchać. A teraz? Co teraz mógłbym powiedzieć tamtej dziewczynie, która siedzi na kanapie? Komu mógłbym pokazać te wszystkie cuda gigantycznego imperium, które do niej należało? Patrząc na ciebie, tylko że ciebie już nie ma. Gdzieś ty się podziała? Gdzie się podział ten uśmiech, który czynił ze mnie rozbitka pozbawionego jakichkolwiek punktów odniesienia, ale za to niezbitnie przekonanego o szczęściu? Chciałbym uciec, ale brakuje mi czasu, nie mam już ani chwili czasu. To ty. Babi odwraca się powoli w moją stronę.

- Step! Nie mogę w to uwierzyć... Co za niespodzianka... - Wstaje i biegnie mi na spotkanie. Obejmuje mnie, przytula i całuje mnie czule. W policzek. Po chwili cofa się trochę, ale nie za bardzo. Patrzy mi w oczy i się uśmiecha. - Strasznie się cieszę, że cię widzę... Co ty tutaj robisz?

Przychodzi mi do głowy ten program *Carramba che sorpresa!* Co takiego krzyknęłaby w tym wypadku nasza słynna i niezniszczalna prezenterka Raffa? A, tak. „Babi tu jest!”. Ale nie czeka na moją odpowiedź. Sama zaczyna mówić. Śmieje się i opowiada, opowiada i się śmieje. Wygląda na to, że wie wszystko na mój temat. Wie, gdzie się podziewałem, co takiego robiłem w Stanach, wie o nauce, o mojej pracy.

- A potem wróciłeś do Włoch na początku września. Chyba trzeciego, o ile się nie mylę. I nawet mi nie złożyłeś życzeń na urodziny... Pewnie nawet nie pamiętałeś, co? No, ale powiedzmy, że ci wybaczam...

I nadal mówi, zanosząc się przy tym śmiechem. Szóstego września były jej urodziny, a ja tamtego dnia pamiętałem o tym jak najbardziej, jak zawsze zresztą. Jak co roku, nawet wtedy w Stanach, jak wszystko inne, co miało z nią jakikolwiek związek, to co najpiękniejsze i najboleśniej. A ona? Ona mi przebacza. Za co? Za to, że nie potrafiłem o niej zapomnieć?

- Były szóstego września! Widzisz, wcale nie pamiętasz...

- Ach tak, słusznie. - Uśmiecham się do niej i milknę, by mogła opowiadać dalej. Mówi za nas dwoje, to ona podejmuje decyzje, ona robi, co chce, jak zresztą zawsze dotychczas.

- A potem pracowałeś przy realizacji programu telewizyjnego, a później zobaczyłam te wszystkie gazety. Ze zdjęciami. Jak uratowałeś tamtą

dziewczynę. Jak jej tam? No, w tej chwili nie mogę sobie przypomnieć. W każdym razie starałam się z tobą skontaktować, ale...

Na szczęście mówi dalej. Nawet nie pyta mnie o jej imię. Ginevra. Dla przyjaciół Gin. Powinienem do niej zadzwonić. Mam do niej zadzwonić. Powiedziałem jej, że później się zadzwonimy. Może. Tak, powiedziała „może”. Zawsze mogę się zasłonić tym „może”. Wyłączam komórkę. Odwracam się. Robię to odruchowo. Widzę Guida, który się do mnie uśmiecha. Nie umknęło mu to, zauważył i puszcza do mnie oczko. On, perfidny Knot, a ja, głupi Pinokio, w rękach Wróżki o błękitnych włosach. Dobrej czy złej? I widzę, jak się oddala. Zamyka za sobą drzwi i mnie zostawia, jestem sam. Sam na sam z nią, z Babi, sam wobec przeznaczenia związanego z moją przeszłością. Babi bierze mnie za rękę.

- Chodź, przedstawię ci moich przyjaciół. - I ciągnie mnie za sobą, bardziej dziewczęca, bardziej kobieca, pewniejsza, dojrzała. Bardziej... bardziej sam nie wiem co.

- O, to jest Giovanni Franceschini, właściciel Niebieskiego Kominka... A to Giorgio Maggi, no co ty, powinieneś go znać, ma tę wielką agencję nieruchomości, która się zajmuje kupnem i sprzedażą. Na pewno słyszałeś, teraz ma wyjątkowo mocną pozycję na rynku: nazywa się Home Sweet Home.

- Nie, pierwsze słyszę, przykro mi. - I uśmiecham się, i witam, jakby mnie to wszystko w ogóle cokolwiek obchodziło. Kolejne imiona i kolejne historie. Pozycje zawodowe i tytuły młodych pseudo-arystokratów aspirujących do elity, należących do tego społeczeństwa, które samo wyzbyło się wszelkich aspiracji... Przynajmniej jak dla mnie.

- A to z kolei jest Smeralda, moja przyjaciółka od serca!

Babi zbliża się do mnie poufale, łasi się jak kotka, mruczy i podpowiada mi gorącym szeptem wprost na ucho: - Powiedzmy, że zajęła miejsce Palliny.

I się śmieje. A ja czuję jedynie, że pachnie Caronne. I patrzę na nią. Przynajmniej to się nie zmieniło. I chciałbym jej powiedzieć: „A kto z kolei zajął moje miejsce?”. Moje miejsce. Właśnie. Dlaczego myślałeś, że w ogóle było jakieś twoje miejsce? Mogłaby mi tak odpowiedzieć. Więc siedzę cicho. Milczę. Patrzę na nią, gdy tymczasem ona wciąż skutecznia ten przedziwny taniec, prowadzi mnie, co raz to kogoś mi przedstawiając. Ona, zręczna dama dworu, nieskazitelna lady, dumna przedstawicielka swojej wyższej sfery, pośród szlachetnie urodzonej, opływającej w dostatki świty. A to płąsa, a to się śmieje, a to odrzuca do tyłu głowę i potrząsa puklami bujnych włosów i zostawia po sobie odurzającą woń perfum, i znów zanoszą się perlistym śmiechem. I znów... Znów ty. Przecież mieliśmy się już więcej nie spotkać... I czuję cały mój ból. To, czego nie wiem, to, czego nie przeżyłem, to, czego brakuje mi od tak dawna. Na zawsze. W ilu objęciach musiałaś się znaleźć, by w końcu stać się tym, kim jesteś. Rzeczywiście masz rację. Rzeczywiście to prawda. Jakie to ma znaczenie. I tak się tego od niej przecież nie dowiem, niestety. Więc nic nie mówię. I patrzę na nią. Ale jej nie odnajduję. Wobec tego postanawiam

odnaleźć ten czarno-biały film, który trwał aż dwa lata. Wieczność. Te noce spędzone na kanapie. Daleko. Kiedy wciąż nie potrafiłem się z tym pogodzić. Siedziałem z paznokciami wbitymi w podrapane policzki i zwracałem się do gwiazd o pomoc. Pod gołym niebem, na balkonie, zaciągając się papierosem. Po czym podążałem wzrokiem w ślad za wypuszczonym dymem, aż do nieba, i jeszcze wyżej, wyżej, hen... Tam, dokładnie tam, gdzie nam dwojgu udało się wcześniej razem znaleźć. Ileż to razy pławiłem się w tym nocnym morzu, zatraciwszy się w niebieskiej toni nieba, niesiony na fali oparów alkoholowych, karmiąc się nadzieją, że spotkam ją ponownie. W górę i w dół, bez wytchnienia. Wzdłuż Hydry, Perseusza, Andromedy. ..Iw dół do Kasjopei. Pierwsza gwiazda na prawo i potem już prosto, aż do samego rana. I jeszcze dalej. I wszystkie pytałem o to samo: - Widziałyście ją? Proszę was... Zgubiłem moją gwiazdę. Moją wyspę, której nie ma. Gdzie ona teraz może być? Co porabia? Z kim? - A wokół mnie nic, tylko cisza skrzepowanych gwiazd. I irytujący szloch pełen wyczerpanych łez. A ja, głupi, poszukiwałem i liczyłem, że uda mi się znaleźć odpowiedź. Powiedzcie mi dlaczego, po prostu dlaczego, wszystko jedno, choćby i pierwsze lepsze dlaczego. Co za palant. Wiadomo. Kiedy kończy się miłość, można spodziewać się wszystkiego poza odpowiedzią na pytanie „dlaczego?”.

68

Claudio jedzie sobie spokojnie. Co pewien czas patrzy w lusterko, by sprawdzić, czy aby Raffaella go nie śledzi. Nic. Nie ma za sobą ani jednego samochodu, nikogo podejrzanego. Tylko wóz policyjny, który w pewnym momencie włącza koguta i rusza z piskiem opon. Claudio widzi, jak mknie przed siebie i skręca w prawo, w dół, przez Cassia. Nie zaszczycili go ani jednym spojrzeniem. Ma się rozumieć, myśli sobie, przecież jestem wzorowym obywatelem, nigdy nie zrobiłem nic złego. I głęboko przekonany o swojej całkowitej niewinności, redukuje biegi i wjeżdża na corso Francia, a potem, już na pełnym gazie, kieruje się w stronę via Marsala. Wkrótce dociera do Porta Pia. Zatrzymuje się w pobliżu Europy, parkuje i wyciąga komórkę z kieszeni. Podnosi klapkę, sprawdza. Nic, żadnej wiadomości. Z Francescą stanęło na tym, że mamy się spotkać w hotelu o wpół do dziesiątej. Gdyby były jakieś problemy albo gdyby miała skończyć wcześniej, miała mi wysłać SMS-a. To nawet lepiej. Im mniej przesyłanych wiadomości, tym niniejsze prawdopodobieństwo, że mogą zostać przyłapani. Od czasu, jak Raffaella otworzyła wyciąg z konta i wzięła mnie w krzyżowy ogień pytań z powodu kija bilardowego, nie mogę już nawet dzwonić ani wysłać SMS-ów z własnej komórki. To zbyt ryzykowne. Raffaella byłaby nawet zdolna do zatelefonowania do Franchiego i wzięcia jego także w krzyżowy ogień pytań. A ten, kompletnie nieprzyzwyczajony do takiej

rozjuszonej bestii jak ona, pomimo przysłowiowej męskiej solidarności, w końcu i tak by pękł. Jestem tego pewny. Lepiej jeśli już zawsze będę dzwonił z biura, a tylko przyjmował SMS-y i tyle, po czym od razu je kasował. Claudio opuszcza klapkę i wkłada sobie komórkę z powrotem do kieszonki, w której zawsze ją trzyma. A następnie, spokojny i odprężony, postanawia uraczyć się papierosem. Jak trzeba, to trzeba. Co więcej dziś nie odczuwa najmniejszego choćby niepokoju. Wobec tego zapala sobie wybornego marlboro. Ale gdyby tylko przyjrzał się trochę uważniej swojej komórce, to zauważyłby, że jest odrobinę nowsza od tej, co zwykle. I wówczas nie czułby niepokoju. Ale paraliżujący potworny strach.

Piiip. Piiip. Dzwonek przychodzącego SMS-a. Komórka Claudia miga na stole. Wiedziała. To było tylko kwestią czasu. Toteż Raffaella się uśmiecha i bierze ją do ręki. Odczekuje moment. Patrzy na nią niezdecydowana. Właśnie w tej chwili ważą się losy całego mojego życia. I pomyśleć tylko, że kiedy Claudio uparł się, by wziąć dwa takie same aparaty komórkowe od jednego operatora, bo akurat mieli promocję, to ja go wtedy tak skrytykowałam. Biedny Claudio, myśli, to, że dziś mogłam zamienić moją komórkę na tę, którą miał w marynarce, jest doprawdy bezcenne. Ale już po chwili wyraz jej twarzy zmienia się zdecydowanie, staje się zacięty. To wściekłość stoi za tą nagłą przemianą. Toteż postanawia go sprawdzić. Odkryć tę kartę, tę wiadomość, która może zakończyć ostatecznie najważniejszą rozgrywkę w całym jej życiu. Podnosi klapkę i czyta.

„Cześć, skarbie! Właśnie skończyłam. Zatem do zobaczenia, wiesz gdzie, o wpół do dziesiątej, jak ustaliliśmy”.

Raffaella wytrzeszcza oczy, które aż jej ciemnieją ze złości i same niemal wychodzą z oczodołów, z wściekłości szczyrzy zęby, dyszy, z trudem łapiąc oddech. Chciałaby rzucić komórką Claudia o ścianę, ale wie, że tym samym zgubiłaby wszelki ślad za tą zasraną „F”, za tą kobietą, która ma czelność nazywać jej męża „skarbem”. I nagle dociera do niej, jak ważna jest ta komórka, to przecież jedyna poszlaka, jedyny dowód w razie czego, gdyby doszło do procesu. Genialna mapa, która ją teraz zaprowadzi do „jej” skarbu. Raffaella odzyskuje panowanie nad sobą, oddycha głęboko, odpręża się. Musi odzyskać przytomność umysłu. Musi wykazać się sprytem. Bierze komórkę Claudia i powoli pisze SMS-a.

„Muszę przyjechać taksówką. Samochód był potrzebny w domu. Co mam powiedzieć taksówkarzowi?” - i wysłała. Czeki. Ma nadzieję, że nie popełniła żadnego błędu, nie napisała niczego, co odbiegałoby od normy, że nie postępują się żadnym hasłem, typu „bez odbioru”, czy jakąś inną brednią w tym stylu. Claudio był ostrożny, ale aż tak genialny to przecież nie jest. W życiu by nie przypuszczaj, że mu zamienię jego komórkę na moją. I dokładnie w tej samej chwili przychodzi SMS z odpowiedzią.

„Skarbie, co ty, sam do mnie piszesz? Mówiłeś, że to niebezpieczne. Nie wiem dokładnie, jak tam dojechać, ale wystarczy mu powiedzieć, że do hotelu

Marsala, i na pewno cię dowiezie. Do zobaczenia wkrótce. Chcę ci zrobić to samo, co ostatnio...”

Przy tych ostatnich słowach Raffaella czuje się, jakby miała zaraz umrzeć. Ścisła jej się żołądek, z całej siły napina mięśnie żuchwy, a żółć zalewa ją od środka. I zaraz przechodzi do domowego telefonu i wybiera numer: 3570. Po kilku sekundach słyszy w słuchawce głos telefonistki z radiotaxi.

- Jak najszybciej chciałabym zamówić taksówkę na piazza Jacini. To pilne. Czekam na odpowiedź.

Po kilku sekundach odzywa się głos z automatu.

- Taksówka Venezia trzydzieści jeden, za dwie minuty.

Raffaella potwierdza. Po chwili zastanawia się nad tym, co dopiero usłyszała, i zbiera jej się na histeryczny atak śmiechu. Venezia 31. To właśnie do Wenecji udali się w swoją pierwszą podróż. A teraz w taksówce, która nazywa się jak to miasto, wszystko się skończy. I od razu podrywa się z miejsca, pędzi do łazienki i wymiotuje wszystkim naraz, nawet tym, czego nie zjadła.

Niedługo potem. Claudio stoi na piazzale di Porta Pia i sprawdza czas. Jest dziewiąta. Mam jeszcze pół godziny. Pić mu się chce. Postanawia się przejechać i kupić sobie piwo w barze nieopodal. Włącza silnik i zawraca, robi zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Mimo że właściwie złamał przepisy drogowe, to jednak był ostrożny. Sprawdził, czy nikogo nie ma. Zobaczył tylko jedną taksówkę, która nadjeżdżała z głębi ulicy. Gdyby spojrzał uważniej, to by przeczytał, co ma napisane na karoserii: Venezia 31. Oczywiście, ten napis sam w sobie nic by mu nie powiedział. Ale gdyby tylko spojrzał jeszcze uważniej, gdyby zajrzał do środka i sprawdził, kto w niej siedzi, wówczas na pewno by zrozumiał, że już nie ma dla niego ratunku.

Raffaella wysiada z taksówki, płaci i wchodzi do hotelu Marsala. Rozgląda się wokół. Ohydne otoczenie. W jednym rogu stoi smętna, sztuczna roślina. Na podłodze wyświechtany czerwony dywan. Pod ścianą stara ławka ze zniszczonego drewna. Przed nią stolik z pękniętym, szklanym blatem i stertą starych czasopism, niedbale rozrzuconych. Portier pojawia się w recepcji.

- Dobry wieczór, w czym mogę pani pomóc? Życzy sobie pani czegoś?

- Pan Gervasi polecił mi ten hotel. Czy jest u siebie w pokoju?

Portier przygląda się jej. Ale nie dłużej niż przez moment. Wystarczająco dużo już w życiu widział, by wiedzieć, że czasami lepiej zająć się własnymi sprawami. I zaraz się odwraca. Sprawdza w szufladce na klucze. Osiemnastka jeszcze tam leży.

- Nie, jeszcze go nie ma. - Uśmiecha się uprzejmie do kobiety, którą ma przed sobą.

- Dobrze, w takim razie, o ile nie ma pan nic przeciwko temu, zaczekam na niego tutaj.

Raffaella siada sobie na ławce, ostrożnie, w miarę możliwości ograniczając impet, z jakim zajmuje wolne miejsce. Jeszcze tego by tylko

brakowało, żeby spadła, złamała sobie nogę i wylądowała w szpitalu. Teraz, kiedy już zna prawdę, kiedy znalazła się na końcu, u kresu swojego biegu z przeszkodami. Tego finałowego spotkania nie przepuści za żadne skarby świata. Raffaella sięga po jakieś pismo i przegląda je pospiesznie. Ale wygląda, jakby nie widziała ani zdjęć, ani tekstu, ani reklam. Tylko barwne plamy pojedynczych stron. Wszystkie czerwone jak krew. I dokładnie w tej samej chwili zjawia się Francesca. Otwiera przeszklone drzwi hotelu i wchodzi do środka z właściwą sobie radością, witając się z portierem.

- Cześć, Pino! Czy Claudio już przyszedł?

Portier patrzy najpierw na nią. Potem na Raffaellę. Odpowiada, bełkocząc.

- Nie... jeszcze nie.

- To podaj mi klucz, zaczekam na niego na górze.

Portier podaje jej klucz z numerem osiemnaście i sam postanawia udać się do pomieszczenia obok. W niektórych przypadkach lepiej być tym, który niczego nie widział.

Raffaella rzuca czasopismo na stół i wstaje. Zmierza w jej stronę, zatrzymuje się, kiedy już ma ją blisko siebie i patrzy jej prosto w oczy. Francesca milczy jak zaklęta. Przerazona, robi krok w tył. Raffaella niespodziewanie ją rozpoznaje. Nie mogę w to uwierzyć. Jakaż ja byłam głupia. To nie była pocztówka. Tylko zafoliowane zdjęcie. To przecież właśnie ta dziewczyna z plaży. To jest ta „F”.

- Ale o co chodzi?

Raffaella uśmiecha się wyzywająco.

- Nic, mała kontrola. Jak się nazywasz?

- Francesca, a o co chodzi?

I natychmiast ta jedna litera „F” nabiera życia. Francesca, wredna suka.

- Czekasz na Claudia, prawda?

Francesce nie udaje się zrozumieć. A może nie chce zrozumieć. W każdym razie Raffaella nie daje jej czasu do namysłu. Bierze komórkę Claudia i wybiera numer, swój własny.

- Poczekaj, zaraz ci go dam.

Claudio właśnie kupił sobie piwo i teraz akurat pociąga łyk, siedząc już w samochodzie, ale gdy słyszy, jak w kieszeni dzwoni mu komórka, natychmiast zaczyna się dławić. Wibruje i dzwoni, ale to dzwonek, który brzmi inaczej niż ten w jego telefonie. Sięga po niego. Patrzy zaskoczony, nic nie rozumiejąc. Wreszcie podnosi klapkę. I w tym momencie dostrzega coś, czego nigdy by się nie spodziewał. Widzi swoje imię, „Claudio”, które jaśniej okazało na wyświetlaczu. Ale jak to możliwe, żebym sam do siebie dzwonił? Nic już z tego nie rozumie. To jego ostatnia głupia refleksja, zanim sam będzie mógł zdać sobie sprawę, zrozumieć, że stoi na skraju otchłani dramatycznych wydarzeń, w którą zaraz runie. Wciąż, jak zahipnotyzowany sygnałem dzwonka, wpatruje się w swoje imię, nie rozumiejąc, że ten dźwięk jest dla niego wezwaniem, bez

szansy na powrót, do krainy piekieł. W końcu uznaje, że dłużej tego nie wytrzyma i postanawia odebrać.

- Halo? - zgłasza się zalekniiony, zaniepokojony tym, kto może się odezwać w słuchawce. I rzeczywiście po tej drugiej stronie jest właśnie ona, ostatnia osoba, którą chciałby teraz usłyszeć. Jego żona.

- Cześć, Claudio, czekaj, dam ci kogoś.

Claudio drętwieje, oniemiały, nie zdąża wydusić z siebie słowa, gdy tymczasem Raffaella przystawia telefon Francesce do ucha. Claudio nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić i nie chce sobie wyobrazić, do kogo będzie należał ten drugi głos, który zaraz usłyszy... Kim jest osoba, która się znajduje obok jego żony? Kto to może być? Więc całkiem zdezorientowany postanawia zagaić i tak.

- Halo...?

- Claudio, to ty? To ja, Francesca... jest ze mną tutaj jakaś kobieta, która mnie zapytała... - Ale nie udaje jej się skończyć. Raffaella odsuwa telefon od jej ucha i znów zwraca się do Claudia.

- Czekam na ciebie w domu.

Dokładnie w tej samej chwili on przejeżdża samochodem obok hotelu Marsala, z komórką przy uchu i widzi je razem: Raffaellę i Francesce. Claudio nie wierzy własnym oczom, ogarnia go potworne przerażenie i przyspiesza, próbując w jakiś sposób zbiec. Ale nie wie, że od tej chwili nie ma już dla niego ratunku.

Francesca zwraca się poirytowana do Raffaelli.

- Sorry, ale przecież z nim rozmawiałam, dlaczego mi przerwałaś? Jesteś niewychowana...

Raffaella uśmiecha się do niej, po czym wyjmuje jej z rąk klucz do pokoju. Francesca nie protestuje. Duży kwadratowy klocek z masywnego drewna, z wytłoczonym na nim numerem osiemnaście, przypięty do klucza, dynda między palcami Raffaelli.

- Czy to właśnie w tym pokoju „robiłaś to” Claudiowi? - Francesca nie odpowiada. Raffaella unosi brew. - Ja nie jestem niewychowana. Ja jestem panią Gervasi. A co ty masz tu, kurwo, do gadania! - I z całej siły wali ją kwadratowym, drewnianym klokiem prosto w twarz, roztrzaskując Francesce nos i sprawiając, że osiemnastka już po wsze czasy wryje się jej w pamięć.

69

- Ej, Step, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

- Oczywiście... - Kłamię.

- Tak się cieszę, że cię widzę... ale dlaczego nie odezwałeś się do mnie po powrocie?

- No, nie wiedziałem...

- Czego nie wiedziałeś? - Śmieje się, zakrywając sobie usta. Poprawia włosy, odrzucając je do tyłu. - Czy jestem sama? - Patrzy na mnie. Tym razem jej spojrzenie staje się intensywniejsze. Choć bez kwiatu w ustach, o którym jest mowa w piosence. Ale nic więcej nie mówi, a ja przypominam sobie, jak słuchaliśmy razem Battistiego. I jak ona zaplatała sobie warkocze, i jej zarumienione policzki, i nasze mroczne piwnice... Nad czarnym morzem. Ale nie spodziewam się odpowiedzi.

- Napiję się czegoś.

I na szczęście natychmiast znajduję rum. Pampero, najlepszy. Nalewam sobie kieliszek i opróżniam go błyskawicznie. Chciałbym... Nalewam jeszcze jeden. Nie chciałbym... Wychylam go jednym haustem. Ale jeśli chcesz... Jeszcze jeden kieliszek. W jaki sposób sama skała ma powstrzymać morze? Nigdy nie umiałem odpowiedzieć na to pytanie. Wracam do niej, siadamy na kanapie. I patrząc na nią, znajduję odpowiedź. To niemożliwe. Morze jest nieskończone. Tak samo jak jej oczy. A moja skała... No tak, moja skała nie jest wystarczająco duża. Patrzy na mnie i się śmieje. Wciąż się śmieje.

- Wypiłeś sobie, co?

- Tak, co nieco.

I w jednej chwili już tam jesteśmy, w cieniu, jak te dwa porzucone rowery. Czas mija. Sam nie wiem ile. A ona opowiada mi wszystko, to wszystko, co tylko da się opowiedzieć, co sama postanawia mi opowiedzieć. Ona, już kobieta. Ona, kiedyś jasna i przejrzysta tak samo jak ja... I zanim udaje mi się ją zapytać, w ilu ramionach się znalazła, by stać się tym, kim jest, wieczór się kończy. Tak jak i zawartość mojej butelki. - Cześć, Carola, cześć wszystkim.

I wszyscy się żegnają, całują się na do widzenia, umawiają, przypominają sobie o wzajemnych zobowiązaniach. I oto jesteśmy już przed wejściem. Sami, niewiele później.

- Co robisz?

- A, nic. Przyjechałem tu z moim przyjacielem Guido, jego samochodem, ale on już się zwinął.

- Nic się nie martw. Mam swój. Odwiozę cię, no chodź.

I wsiadam do najnowszego modelu mini coopera w kolorze niebieskim, wyposażonego w sprzęt muzyczny ze wszystkimi bajerami. - Śmieszne, co? - Patrzy na mnie i jedzie przed siebie. - Poznaliśmy się, bo podwiozłeś mnie na motorze, siedziałam wtedy za tobą, i znów wracamy do punktu wyjścia, tyle że teraz to ja podwożę cię samochodem.

- Tak, śmieszne... - Nie mam pojęcia, co by tu dodać. Zapytuję siebie jedynie, czy Guido i to także wziął pod uwagę. Rasowy Knot, obdarzony genialnym umysłem. Znów staje mi przed oczami, widzę jego uśmiech, oczko, które do mnie puszcza i to, jak zgrabnie się wymyka, opuszcza imprezę, jak na

wielkiego kowala cudzych losów przystało... Tylko nie wiem, z jakiej racji także i mojego.

- Trzymaj. - Babi podaje mi swój szalik.

- Dzięki. Ale nie jest mi zimno!

Śmieje się. - Głuptasie. - Teraz patrzy na mnie i poważnieje. - Zawiąż sobie nim oczy. Masz nic nie widzieć. Pamiętasz, nie? Teraz moja kolej. A ty masz przestrzegać reguł gry.

W milczeniu wiążę go sobie wokół głowy, tak jak ona wtedy. Kiedy siedziała za mną na motorze. Ona z zawiązanymi oczami, i my, razem, odlatywaliśmy w poczuciu błogości. Ona, przytulona do mnie, nic nie widziała, zdana na mnie, kiedy tak wiozłem ją do tamtego domu w Ansedonii, jej marzenie, nocą, tamtej nocy, jej pierwszy raz... Teraz zaś czuję, jak prowadzi opanowana, nastawia trochę głośniejszą muzykę, bym dał się ponieść melodii, jej i butelce rumu, którą niedawno opróżniłem.

- Jesteśmy na miejscu.

Zdejmuję szalik - wstęgam i w półmroku ją dostrzegam. To Wieża - Torre.

- Pamiętasz? Wtedy, co zasnąłeś?

Jakże mógłbym zapomnieć? Później, kiedy się obudziłem, to się pokłóciliśmy, a potem pogodziliśmy. Jakżeż my się godziliśmy. Najlepiej jak potrafiamy zakochani. I sam nawet nie wiem jak, ale już trzymam ją w ramionach. A przecież wcale się nie pokłóciliśmy. Nie tym razem... Całuje mnie. Jest tak giętka, niczego się nie wstydzi, uśmiecha się w półmroku.

- Ej, ile ty w końcu wypiełeś?

- Trochę.

Ale nie odnoszę wrażenia, by tak naprawdę ją to interesowało. I nie przestaje, tylko mnie głaszcze.

- Brakowało mi ciebie, wiesz? - Czuję się ogłupiały, co mam jej powiedzieć? Skąd mam wiedzieć? A czy to w ogóle prawda? Dlaczego mi to mówi? Dlaczego? A ja? Ja zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Chciałbym wcale się nie odzywać. Ale zamiast tego wymyka mi się tylko:

- Tak?

- Naprawdę. - Uśmiecha się. Od razu zaczyna rozpinać mi koszulę i na tym nie poprzestaje. Wszystko to robi tak spokojnie. Bez pośpiechu, ale zdecydowanie, pewna siebie, o ile dobrze pamiętam, znacznie pewniejsza niż wtedy, kiedy byliśmy razem.

- Chodź, wysiądź...

Prawie że wypycha mnie z samochodu i śmieje się rozbawiona, jak tylko się orientuje, że zaczęło padać. Rozpina sobie bluzkę, zdejmując stanik, pokazując mi piersi. Nie zasłania się przed deszczem, pozwala mu pieścić swoją skórę, mnie zresztą też, całując ją coraz niżej, mój język wędruje w dół, aż wreszcie się zatrzymuje na jej wilgotnych sutkach. Z wprawą rozpina mi spodnie, które ze mnie spadają, wsuwa mi tam rękę i szepcze na ucho:

- Kogo my tu mamy..; Cześć... Kiedy to było...

Śmiała i wyuzdana jak jeszcze nigdy dotąd. A w każdym razie nie wobec mnie. I całuje mnie w tors, gdy tymczasem prosto z nieba wciąż spływają na nas strugi deszczu. Babi zsuwa się coraz niżej, płynnie, w ślad za kroplami deszczu, by wreszcie wziąć go w swoje posiadanie. Ja zaś daję się ponieść, odurzony rumem, wysmagany deszczem, który się leje z nieba, oszołomiony nią, widząc, jak nisko upadła. I jest mi dobrze. Radzi sobie znakomicie. Jest mi tak dobrze, jakbym miał zaraz skonać z rozkoszy, i zarazem cierpię katusze, kiedy przychodzi mi się do tego przyznać. Cały mokry, zlany od stóp do głów, w niewoli jej ust, którymi mnie zasysa, i choć sam czuję niemal złość, to daję się ponieść. Cały ten czas, który mam za sobą. Te wszystkie cierpienia... Ta kobieta, która odeszła... Unoszę głowę do nieba. I nagle zaczynam dostrzegać spadające krople, otulone świetlistym brzegiem, skąpane w blasku dalekiego księżyca. Chciałbym móc zrobić jak Battisti... „Ale ja im powiedziałem, że nie i teraz wracam do ciebie z moimi udrami, z nadziejami, które na świat przysły już martwe, że nie mam więcej odwagi, by malować życiem...”. Ja zaś zostaję. A ona jest bez reszty pochłonięta wciąż tym samym, przyspiesza, nie wypuszczając go ani na moment z ust, nienasycona, pazerna względem wszystkiego, co moje. Po chwili odrywa się od niego, wstaje, rzuca się na mnie, przyciąga do siebie, tak że udaje jej się przewrócić mnie na ziemię. Kładę się obok niej, w strugach deszczu. Ona siada na mnie okrakiem, podwija sobie spódnicę i widzę, że pod nią jest już całkiem naga. Cała mokra przytrzymuje mnie, rozkładając mi szeroko ręce i już mam ją na górze. Zaczyna mnie ujeżdżać. Woda spływa na nas nieprzerwanie. Rękami przytrzymuję się ziemi, kręci mi się w głowie, za dużo wypilem, ona nade mną uśmiecha się i zaznaje rozkoszy, i patrzy na mnie, rozpalona szaloną żądzą, zmysłowa, wyuzdana. A ja chwytam mokre źdźbła, łodygi, i zaciskam na nich ręce i na moment ogarnia mnie pragnienie, by nie być już tu i teraz... Ale jak to... A co z tym uśmiechem, tak ukochanym? Czy nie dlatego właśnie wróciłeś? I nagły błysk. Bez światła. Jak nocny ptak, łopotanie skrzydeł, donośne, mimo całej swojej subtelności. Jej głos.

- Czy zadzwonisz do mnie później?

- Tak, może zadzwonię, zobaczę.

- Jak to może? Masz do mnie zadzwonić i już! Więcej ci powiem...

Dzwoń do mnie, i to bez żadnego ale.

I akurat teraz z natłoku pikseli wyłania się coś na kształt obrazu zatrzymanego w kadrze, wygląda jak zdjęcie, spod którego przebija poprzednie, nieostra fotografia, zrobiona zwyczajnym polaroidem... Nagle bardzo wyraźnie staje mi przed oczami. Gin. Słodka Gin, czuła Gin, zabawna Gin, czysta Gin. Widzę ją całą, piękną, jak żywą. A daleki księżyc ukazuje mi jej twarz w całkiem nowym świetle. Zbolała, zraniona, zawiedziona, zdradzona. I w tej bladej, księżycowej poświacie dostrzegam to wszystko, czego wolałbym nigdy nie oglądać... Jakby za sprawą czarów deszcz staje się jeszcze bardziej ulewny i rozprasza opary alkoholu. A ja, nagle przytomny, usiłuję się spod niej wydostać.

Ale Babi ściska mnie jeszcze mocniej, trzyma, udaremniając mi jakikolwiek ruch, faluje w przód i w tył, jakby sama czuła złość, galopuje na mnie w jeszcze większym szale, nie, nie da mi się wymknąć. Jakby ją poniosło w odpowiedzi na moją próbę ucieczki, ujeżdża mnie i jęczy z rozkoszy, nie dając mi złapać tchu, nie pozwalając mi na choćby chwilę wytchnienia czy przerwy. Jeszcze, jeszcze i jeszcze. Schodzi ze mnie dopiero w ostatniej chwili, kiedy sam właśnie szczytuję. Zadowolona, usatysfakcjonowana, nareszcie zaspokojona, opada na mnie. Leży tak, wzdychając, i nie zwraca najmniejszej uwagi na tych dwoje porzuconych nieopodal, niewinnych. To moje nasienie i moja wina. Całuje mnie, lekko muskając wargami, nawet nie wiem, jaki ten pocałunek ma smak. Wiem tylko, że czuję się jeszcze bardziej winny. A ona się do mnie uśmiecha, w strugach deszczu, bardziej wyzywająca niż kiedykolwiek wcześniej, zdecydowanie bardziej kobieca niż wtedy. Inna. Zniekształcone odbicie tego, co tak bardzo kochałem.

- Wiesz, Step, muszę ci coś powiedzieć...

Ja tymczasem ubieram się wylewie, w strugach deszczu, tak bym chciał, żeby miał on moc oczyszczającą; nade mną czarne chmury, które spoglądają na mnie oskarżycielsko, i księżyc, który z obrzydzeniem odwrócił ode mnie swe oblicze. Ona zaś ciągnie dalej:

- Mam tylko nadzieję, że nie będziesz się złościł.

Nie przerywam, ubieram się w milczeniu. Patrzę na nią. Ja? Ja miałbym się złościć? Teraz, kiedy ciebie już nie ma? Jakże ja w ogóle mógłbym się złościć?

Dłońmi zgarnia mokre włosy i odrzuca je sobie do tyłu. Po czym spuszcza głowę, udając przez chwilę małą dziewczynkę. Ale bezskutecznie. To już ponad jej siły.

- No właśnie... chciałam ci powiedzieć, że za kilka miesięcy wychodzę za mąż.

70

Jest środek nocy. Claudio objechał już cały Rzym. Wprost nie może w to uwierzyć, że dał się tak wyruchać. Jak to możliwe, że się nie zorientował, iż komórka nie jest jego, tylko żony. Choć z drugiej strony są przecież identyczne. A niech mnie szlag trafi, że dałem się skusić tej reklamie. To była pułapka. Zaoszczędziłem, a i owszem... za to teraz jakie koszty przyjdzie mi ponieść tytułem odszkodowania? I przez ile lat? Nie radzi sobie z oszacowaniem tego wszystkiego, co go czeka. Lepiej chyba od razu stawić temu czoło, nie ma co zwlekać. Już druga. Chyba i tak wszyscy już się położyli, nie? Parkuje pod domem, przed ogrodzeniem, specjalnie po to, aby nie było słyhać, że wrócił. I wbiega na podjazd, starając się nie tupać, w środku nocy, otwiera po cichu drzwi

na klatkę, zamyka, ostrożnie, by nie trzaskały. Wreszcie staje pod drzwiami własnego mieszkania, powoli, cicho naciska na klamkę, przytrzymuje, by nie hałasować, i wreszcie zamyka drzwi od środka. Ale klamka na koniec odskakuje i go zdradza.

- Tato, czy to ty? - Daniela wychodzi z salonu. - Cześć! Czekałam na ciebie cały czas, bo jestem taka szczęśliwa! Zrobiłam sobie badania, właśnie dzisiaj miałam odebrać wszystkie wyniki. Dziecko ma się dobrze, a najważniejsze jest to, że nie mam AIDS!

Ale Claudiowi nie dane jest się tym nacieszyć. Z mroku kuchni rzuca się na niego Raffaella, atakuje go od tyłu, niemal wskakuje na niego okraciem, z wrzaskiem, pazurami drapie go po policzkach, niewiele brakuje, by mu wydrapała także i oczy, wrywa mu włosy, gryzie go w uszy. Raffaella jest niczym harpia, przedziwne, wrzeszczące ptaszysko, które wczepiło mu się szponami w plecy. Oplotła go mocno nogami w pasie i nie chce puścić. Claudio też zaczyna się drzeć, tylko z bólu, i w szale pędzi przez domowy korytarz, tuż pod nosem wstrząśniętej Daniela, która o niczym nie ma pojęcia i chciała podzielić się swoim szczęściem z rodzicami. Claudio, który przebiegł korytarz do samego końca, teraz robi gwałtowny obrót i zwrócony plecami rzuca się do wielkiej szafy, z impetem wpada do środka i ląduje w niej całym ciężarem razem z wczepioną w niego harpią. Leży przygnieciony pod stertą płaszczy, futer i innych ubrań, które pospadały z drążka. Pośród zapachu naftaliny, pudeł z butami, masy prezentów nagromadzonych podczas rozmaitych, dawno przebrzmiałych świąt, o których nikt już nie pamięta. Claudiowi udaje się uwolnić od Raffaelli, gramoli się z szafy i pędzi do swojego pokoju. W tym momencie wychodzi od siebie Babi.

- Ale co się dzieje? Co jest, złodzieje? - Po chwili dostrzega twarz ojca zalanego krwią. - Co ci się stało? Co oni ci zrobili?

I nagle pojawia się Raffaella.

- Co oni mu zrobili? Raczej, co on nam zrobił! Już od miesiący nic tylko się pieprzy ze swoją Brazylijką w hotelu, niedaleko dworca! - I mówiąc, to wyłamuje z rozwalonej szafy część jednego ze skrzydeł i próbuje uderzyć nią Claudia, który chroni się przed żoną w pokoju. Wyciąga walizkę. Po czym otwiera szafę, ale własnym oczom nie wierzy: wszystkie koszule, marynarki, spodnie, swetry, garnitury są poszarpane, pocięte, podziurawione. Coś w stylu olbrzymiej, przepastnej szafy wypełnionej confetti wysokiej jakości. Wobec tego Claudio sięga po jedyną rzecz, która mu pozostała. Otwiera drzwi i wychodzi z pokoju. Babi biegnie w jego stronę.

- Tato, dokąd idziesz?

- Odchodzę. Wszyscy po kolei wkurwiliście mnie już tak, że bardziej się nie da. Nie dociera do was w ogóle, kiedy człowiek potrzebuje swobody...

Raffaella rzuca się na niego z tyłu i uderza go w okolice karku kawałkiem drewna ze skrzydła od szafy. Ale Claudio jest szybszy od niej i zasłania się przed ciosem książką Gozzano, *Poezjami*. A są tacy, którzy utrzymują, że

literatura do niczego się nie przydaje. Ucieka jak poparzony, przebiega korytarz i chwyta za klamkę. Ale Babi dopada go tuż przy drzwiach.

- Tato, ale kto mi będzie towarzyszył w drodze do ołtarza?

- Mama. To ona zawsze o wszystkim decydowała. Niech i teraz się wykaże, zawracanie dupy, ot co!

I mówiąc to, od niej także uwalnia się na dobre. Pędzi po schodach, na sam dół. Claudio oddycha z ulgą. Myślałem, że będzie gorzej. Zbiega po stopniach, prowadzących od drzwi klatki wprost na chodnik, a tu, ni stąd, ni zowąd rzuca się na niego kolejna osoba.

- A! - Claudio przybiera pozycję obronną, Ale to tylko Alfredo, eks Babi, kompletnie pijany, z butelką w ręku.

- Panie Gervasi, musi mi pan pomóc, mech pan tylko na mnie spojrz! Nie może pan dopuścić, by Babi poślubiła tego Lilio, tylko dlatego że zarabia więcej ode mnie i to na dodatek jak? Handlując gaciami! Jak panu nie wstyd? A co z naszą przyjaźnią? Tymi wszystkimi dniami, które wspólnie spędziliśmy przy stole? Co pan z nimi pocznie, co? Co pan z nimi pocznie? Jeszcze pan tego pożałuje! Zrozumiał pan?

Claudio patrzy na niego i uśmiecha się ledwo żywy.

- Nie udało mi się ocalić własnego małżeństwa, więc nawet mnie nie rozśmieszaj, sugerując, że miałbym się troszczyć o cudze.

- Ach, tak? Więc teraz ja panu pokażę! - Alfredo się przybliża.

Wymachuje groźnie butelką piwa, obraca nią i jednocześnie zmierza w jego stronę. Claudio nie ma już żadnych wątpliwości. Wymierza mu kopniaka prosto w jaja. Alfredo kuli się cały obolały i osuwa na ziemię. Claudio kopie w butelkę z piwem, tak że ląduje gdzieś poza zasięgiem chłopaka.

- Ze Stepem nie miałem żadnych problemów, jeszcze tego brakowało, żebym się musiał z tobą użerać! Niedoczekanie!

I odchodzi cały rezolutny, spoglądając w gwiazdy i śniąc o nowym życiu, które na niego czeka, i trochę tylko zmartwiony tymi wszystkimi ciuchami, które będzie sobie musiał odkupić.

71

- Tak, halo?

- Ej, co się z tobą stało wczoraj wieczorem? Wydzwaniałam wiele razy, najpierw nie było zasięgu, a potem był sygnał, jakbyś wyłączył.

Gin. Czuję się, jakbym miał zaraz umrzeć. Dlaczego odebrałem komórkę?

- A, tak... poszliśmy z Guidem coś zjeść do takiego jednego lokalu, ale nawet się nie zorientowałem, że nie było tam zasięgu. Siedzieliśmy pod ziemią.

Nie wiem, co powiedzieć. Chce mi się rzygać. A ona, jak na ironię, przychodzi mi z pomocą.

- Tak, pod ziemią. Próbowałam się przez jakiś czas dodzwonić, potem zasnęłam. Dzisiaj nie damy rady się zobaczyć. Ale nudy! Muszę zawieźć matkę do ciotki, która mieszka pod Rzymem. To zdzwonimy się później? Ja w każdym razie nie będę go wyłączać, dobra? Co ty, żartuję! Ściskam cię mocno, a jak już na dobre się obudzisz, to nawet kulturystycznie mocno!

I się rozłącza. Gin. Gin. Gin. Tryskająca radością, Gin kochająca życie. Gin piękna jak marzenie. Gin czysta jak kryształ. Czuję się jak ostatnie ścierwo. Nawążyłeś rumu, to teraz go sobie wypij. Matko, ileż ja wypilem. Czy to, że tyle wypilem, może mnie jakoś usprawiedliwić? Nie za bardzo. Byłem świadomy tego, co robię, i nie działałem pod przymusem. Mogłem przecież powiedzieć nie już na samym początku, mogłem z nią nie iść, nie zawiązywać sobie oczu szalikiem, mogłem jej nie całować. Winny! Bez cienia wątpliwości. A jednak ja sam jakiś, wprawdzie niewyraźny, ale zawsze cień dostrzegam. A gdyby tak to wszystko mi się tylko przyśniło. Wstaję z łóżka. Ale te ubrania, wciąż jeszcze przemoczone od ulewy, które leżą na krześle, i zabłocone buty nie pozwalają mi już dłużej się łudzić. Jaki tam sen. To koszmar. Winny. Winny ponad wszelką wątpliwość. Wytężam umysł w poszukiwaniu choćby jednego tylko zdania, jakiegoś słowa, którego mógłbym się uchwycić. Dlaczego wokół siebie niczego takiego nie znajduję? Przypominam sobie coś, co swego czasu powiedział mi psor od filozofii: „Słaby wątpi przed podjęciem decyzji; silny dopiero potem”. To chyba Kraus. Czyli według niego ja zaliczałbym się do tych silnych. A jednak czuję się taki głupi i słaby. I jak ten głupi, sam odpowiedzialny za własny wyrok, wlekę się do kuchni. Trochę kawy z pewnością mi pomoże. Minie dzień, potem drugi i trzeci. I tym samym to wszystko stanie się odległe, będzie należało do przeszłości. Nalewam sobie kawy, która stoi już gotowa. Jest jeszcze ciepła. Paolo musiał ją tu zostawić przed wyjściem. Siadam do stołu. Wypijam trochę z filiżanki, zjadam jednego herbatnika. W pewnym momencie dostrzegam karteczkę. Rozpoznaję charakter pisma. Należy do Paola. Starannie wykaligrafowane litery, jak zawsze zresztą. Choć jednak tym razem wyglądają mi na lekko zwichrowane. Może był zmęczony i napisał to w biegu. Czytam treść. „Pojechałem z tatą do szpitala Umberto I. Mama jest tam na oddziale. Przyjeźdź, proszę, szybko.” Teraz rozumiem, skąd ten chwiejny charakter pisma. Chodzi o mamę. Zostawiam kawę i idę wziąć szybki prysznic. Tak, teraz sobie przypominam. Paolo mi o tym wspominał, ale nie sprawiał wrażenia specjalnie zmartwionego. Wycieram się, ubieram i w ciągu kilku zaledwie minut już siedzę na motorze. Powiew wiatru prosto w twarz i od razu dochodzę do siebie. Wszystko jest w porządku. Wszystko w porządku. Step. Tylko to „przyjeźdź, proszę, szybko” napawa mnie niepokojem.

- Przepraszam, szukam pani Mancini, powinna być u was na oddziale.

Zniechęcony pielęgniarz, który wygląda na znudzonego, o czym świadczy choćby papieros niedbale zwisający mu z ust, odkłada dodatek sportowy, rozłożony na nie wiedzieć czym transferze, i rzuca okiem w monitor komputera, który ma przed sobą.

- Mancini, powiedziałaś?

-Tak.

Po chwili przychodzi mi do głowy, że może podała swoje nazwisko z młodości. Jakoś nie potrafię o nim myśleć jako o panińskim. Jak ono brzmiało? A, tak.

- Może też figurować jako Scauri.

- Scauri? Tak, mam. Scauri. Drugie piętro.

- Dziękuję.

Zbieram się, żeby pójść na oddział. Ale jak tylko mijam rejestrację, znudzony pielęgniarz ni stąd, ni zowąd, się podrywa i zatarasowuje mi drogę. - Nie, nie wolno tam teraz wchodzić. Odwiedziny są o trzeciej. - Patrzy na zegar, który wisi za moimi plecami. - Za około godzinę, musisz poczekać na zewnątrz.

- Tak, wiem, ale moja matka...

- Wiem. Nic mnie nie obchodzi twoja matka. O trzeciej, dotyczy to wszystkich.

W okamgnieniu staje mi przed oczami liścik od Paolo. „Przyjedź, proszę, szybko.”

I od razu robi mi się czarno przed oczami. Prawą ręką chwytam go za szyję i napieram na niego całym ciężarem ciała, popycham pod samą ścianę i dociskam go do niej. Otwartą dłoń wciskam mu z całej siły w gardło.

- Muszę się zobaczyć z moją matką. Teraz. Natychmiast.. Nie chcę wywoływać awantur. Nie próbuj mnie zatrzymać. Proszę...

Posługuję się tym samym słowem, którym zwrócił się do mnie Paolo, i mam nadzieję, że odniesie pożądany skutek. Pielęgniarz najwyraźniej ma coś do powiedzenia. Zwalniam uścisk. Pielęgniarz dyszy, usiłując nabrać tchu, i rzezi:

- Drugie piętro. - I zaczyna się krztusić. - Łóżko sto czternaście. - Znów się krztusi. - Idź, droga wolna.

- Dzięki!

I oddalam się czym prędzej, zanim koleś się rozmyśli, zanim powie lub zrobi coś nawet słusznego, co jednak mnie, w tym momencie, by się wydało niechybnie głęboko krzywdzące. Sto dwadzieścia, sto dziewiętnaście. Z prawej i z lewej. Idę przed siebie, mijając kolejne łóżka, niektóre pozajmowane, leżą na nich ludzie, wśród nich i tacy, którzy pozostawieni samym sobie są już właściwie na krawędzi tej mniej lub bardziej szczęśliwej otchłani. Jakiś bezzębny staruszek uśmiecha się do mnie niewyraźnie. Staram mu się jakoś odwzajemnić, ale coś nie najlepiej mi idzie. Sto szesnaście. Sto piętnaście. Sto czternaście. To tutaj. Wręcz aż się boję podejść bliżej. Moja matka. Widzę ją,

jak leży w pościeli, blada, mała, jeszcze nigdy nie wyglądała na taką drobną. Moja matka. Można by odnieść wrażenie, że coś do niej dotarło, jakiś przytłumiony hałas, choć przysięgłbym, że sam nie spowodowałem najlżejszego szmeru. Chyba że usłyszała przyspieszone bicie mojego serca, które tak zareagowało, kiedy ją zobaczyłem w tym stanie. Odwraca się w moją stronę i się uśmiecha. Poprawia się, unosząc na łokciach i próbuje się oprzeć plecami o poduszki. Ale nagły ból wykrzywia jej twarz i sprawia, że rezygnuje ze swojego pomysłu. Opada bezwładnie do tyłu, opuszcza głowę na poduszkę i patrzy na mnie skrepowana własną porażką. Natychmiast do niej przystępuję. Unoszę ją delikatnie, przytrzymując od spodu za plecy i przesuwam ją powoli w stronę wezłowania. Pomagam jej, jak najostrożniej, byle tylko nie zawadzić o żadną z tych rurek, które zwisają jedna obok drugiej, wędrują w dół do jej przedramion i pompują w nią jakieś tajemnicze lekarstwa. Twarz steżała jej w bólu, maluje się na niej grymas cierpienia. Ale to raptem tylko chwila. Już minęła. Uśmiecha się do mnie, kiedy sięgam po wolne krzesło obok sąsiedniego łóżka i siadam tuż przy niej, u wezłowania, tak by nie musiała nadwerężyć głosu, by się za bardzo nie przemęczała, już nie.

- Cześć.

Próbuje coś powiedzieć, ale ja od razu przykładam sobie palec do ust i mówię tylko: - Ciii. - Przez jakiś czas trwamy tak w milczeniu. W pewnym momencie wygląda, jakby lepiej się poczuła.

- Jak się masz, Stefano?

Czysty absurd. Żeby akurat ona zadawała mi to pytanie. Lekko się uśmiecha. Przygląda mi się w poszukiwaniu odpowiedzi. Staram się coś powiedzieć, ale słowa jakoś nie chcą mi przejść przez gardło.

- Dobrze. - Udaje mi się wydusić, zanim stracę nad sobą panowanie. Już choćby tylko odrobinę dłuższe słowo jak nic zamarłoby mi w ustach, rozkruszyłoby się niczym delikatny kryształ. Mój ból rozpadłby się na tysiąc kawałków, na masę drobnych okruchów, niczym niemożliwie cienkie zwierciadło, w którym odbija się całe nasze życie, moje i mojej matki. Wspólne. Jej słowa, jej opowieści, jej śmiech, jej psikusy, jej uganianie się za mną, jej karcące pokrzykiwania. Jej gotowanie, to, jak się malowała i stroiła. Pojawiają się i znikają, nie sposób ich zatrzymać, niczym krople wody na szybie rozpędzonego samochodu, na oknie samolotu, który kołuje tuż przed startem, bryzgają swobodnie na wszystkie strony, zdane na pastwę wiatru, który hula wokół nieosłoniętego prysznica przy plaży i robi, co tylko chce, z odkręconym strumieniem wody. Mama. Odruchowo robię to samo, co ona tyle razy wcześniej, kiedy to ja byłem chory. Biorę ją za rękę. Ona, w odpowiedzi, ściska moją dłoń. Czuję, że ma szczuplejsze palce, aż pierścionki zrobiły się na nią za luźne, a dotykając jej skóry, odnoszę wrażenie, jakby jej było za dużo, jak na tak drobne kości. Przystawiam sobie jej rękę do ust i ją całuję. Śmieje się, swobodna.

- A to co, pocałunek przebaczenia?

- Ciii. - Nie chcę rozmawiać. Nie dam rady; rozmawiać. - Ciii. -

Przykładam swój policzek do grzbietu jej dłoni. Pozwala mi spokojnie złożyć głowę na tej człowieczej poduszce, wprawdzie małej, ale za to pełnej miłości. Mojej czy jej? Nie wiem. Trwam tak w błogim wytchnieniu, z zamkniętymi oczami, ze spokojnym sercem, powstrzymując łzy, w milczeniu. Drugą ręką gładzi mnie po głowie i lekko mierzwi mi włosy.

- Przeczytałeś książkę, którą ci podarowałam?

Potakuję skinieniem głowy, lekko się kołysząc na jej dłoni, czyli mojej poduszce. Słyszę, jak się śmieje.

- Więc zrozumiałeś, co się może zdarzyć? Twoja mama jest kobietą, taką samą jak wszystkie... Jak wszystkie? Chyba mniej odporną.

Nic nie mówię. Rozglądam się, licząc na jakąś pomoc, cokolwiek, sam nie daję już rady. Przygryzam dolną wargę i powstrzymuję łzy. Ratunku. Kto mi pomoże? Mamo, pomóż.

- Popeliłam błąd, to prawda, a wołą Pana było, żebyś akurat ty to odkrył. Ale kara była aż nazbyt dotkliwa. Zapłaciłam za ten błąd utratą własnego syna.

Podrywam się nagle i udaje mi się do niej uśmiechnąć, jestem opanowany, silny, właśnie taki, jakim chce, żebym był, na jakiego mnie wychowała, ona, moja mama.

- Przecież mnie nie straciłaś. Jestem tu.

Uśmiecha się do mnie. Starcza jej sił, by wyciągnąć do mnie rękę i pogładzić po policzku.

- A więc cię odnalazłam.

Uśmiecham się do niej i potakuję skinieniem głowy.

- I znów cię stracę.

- Ale dlaczego? Nie... zobaczysz, że wszystko będzie dobrze.

Mama zamyka oczy i kręci głową.

- Nie. Już mi wszystko powiedzieli. Znów cię stracę.

Zawiesza głos i patrzy na mnie. Po chwili uśmiecha się powoli. Widzę na jej twarzy szczęście, że ma mnie przy sobie, ale już po chwili pojawia się na niej grymas bólu, który draży ją od środka. Odzywa się nagle. Ona lekko się krzywi. Zamyka oczy. I zaraz je otwiera, znów pogodna. Ból minął. Patrzy na mnie i się uśmiecha.

- Ale tym razem to już nie z mojej winy.

Siedzę w milczeniu. Chciałbym powiedzieć coś takiego, co miałoby jakiś sens, cofnąć się w czasie, do tamtego momentu. Przeprosić ją za te wszystkie minione lata. Tak żałuję, że wszedłem wtedy do tamtego mieszkania, że zobaczyłem ją z innym mężczyzną, że byłem intruzem, wołałbym, żeby tego wszystkiego nie było, wołałbym tak nie cierpieć, szkoda że wcześniej nie byłem zdolny zrozumieć, pogodzić się z tym, wybaczyć. Ale nie. Nie jestem w stanie wydobyć z siebie choćby słowa.

Jedyne co potrafię, to tylko ścisnąć jej rękę, byle nie za mocno, gdyż obawiam się, że znów wszystko mogłoby się rozpaść. Ale ona przychodzi mi na

ratunek, pomaga, i to po raz kolejny. Jakby nie patrzeć, to przecież moja matka. Mama.

- Porozmawiajmy o tym, co nas od siebie oddaliło.

Nie jestem na to przygotowany. Milczę.

- Nie udawajmy, że nic się nie stało. Sądzę, że nie ma nic gorszego niż udawanie, że nic się nie stało. Skoro tu jesteś, to znaczy, że w jakiś sposób to przetrwałeś.

Nic, wciąż milczę. Więc stara mi się jakoś pomóc.

- No, w każdym razie nie sądzą, byś wyjechał do Stanów przeze mnie, mam rację? - Uśmiecha się. I ten jej uśmiech sprawia, że wszystko staje się prostsze.

- Miałem ochotę wyrwać się na trochę.

- Na dwa lata? Niespecjalnie spieszyłeś się z powrotem. W każdym razie przykro mi z powodu tego, co zaszło. Twój brat niczego nie rozumiał. Twój ojciec zaś nie chciał zrozumieć. To on powinien był się znaleźć na twoim miejscu. Działy się wtedy rzeczy... - milknie. Nagły skurcz bólu przeszywa jej uśmiechniętą twarz. Niczym niewielka fala, która nadeszła nie wiedzieć skąd. Po chwili znika równie nagle, jak się pojawił, i mama znów otwiera oczy. Robi wszystko, żeby ponownie się uśmiechnąć. Udaje jej się.

- Sam widzisz, nie powinnam nic mówić. Tak będzie lepiej. Przynajmniej jego zawsze będziesz dobrze wspominał. To ja jestem winna, to ja wszystko zniszczyłam, a wobec tego powinnam ponieść karę. - Jeszcze jeden skurcz. Ten wydaje się silniejszy niż poprzedni. Przysuwam się do niej.

- Mamo...

- To nic, mam się dobrze, dziękuję... - Oddycha głęboko. - Przyjmuję strasznie silne leki. Czasami mam wrażenie, jakby mnie w ogóle nie było. Śnię nawet na jawie, nic już nie czuję. Podoba mi się. To z pewnością jakiś narkotyk. Teraz już rozumiem, dlaczego wy, młodzi ludzie, zażywacie tego tyle. Pod jego wpływem zapomina się o wszelkim możliwym bólu.

- Ale ja nigdy po to nie sięgałem.

- Wiem. Potrafiłeś żyć, nie odwracając się od swojego bólu. Ale teraz już wystarczy. Nie pozwól mu więcej zawładnąć twoim życiem. Odzyskaj nad nim władzę.

Milkniemy na chwilę.

- Brakowało mi ciebie, mamo.

Kładzie swoją rękę na mojej i zaciska na niej dłoń. Stara się, by ten uścisk był mocny, aleja ledwo go czuję, taki jest słaby. Patrzę na jej rękę. Jest bardzo szczupła. Jakże wiele uszło z niej życia, tego samego, którym tak wspaniałomyślnie mnie obdarowała. Po chwili wypuszcza moją dłoń.

- W każdym razie, Stefano, nie chciałam rozmawiać o mnie.

- Co chcesz wiedzieć?

- Pamiętam, że kiedy jeszcze byłam bardzo młoda, młodsza od ciebie, miałam chłopaka, który bardzo mi się podobał. Byłam przekonana, że spędzę z

nim całe moje życie. On jednak związał się z moją najlepszą przyjaciółką, a ja zaczęłam niemal odchodzić od zmysłów. Powinieneś był wtedy zobaczyć moich rodziców. W końcu jakoś się z tym pogodziłam. I wkrótce potem spotkałam twojego ojca. Wiesz, byłam szczęśliwa, że to właśnie z nim przeżyłam mój pierwszy raz... Właśnie, to co w danej chwili wydaje nam się takie doskonałe, z czasem może już takie nie być. Może nawet dociera do nas, że to nie było aż takie znów doskonałe i nawet jeśli to utraciliśmy, wcale nie jest powiedziane, że więcej tego nie znajdziemy, a wręcz, że nie znajdziemy czegoś lepszego.

Milczy przez chwilę, uśmiecha się do mnie. Chciałaby, żebym był szczęśliwy. Tak bardzo chciałbym być. Także dla niej.

- Poznałem dziewczynę.

- Właśnie, to chciałam od ciebie usłyszeć. Opowiesz mi, jaka jest?

- Zabawna, piękna, dziwna. Jest... specyficzna. Dokładnie w tej samej chwili rozlega się:

- Step!

To Martina, jedenastoletnia „maskotka”, którą poznałem na piazza Jacini, teraz pojawia się w drzwiach.

- Nie mogę w to uwierzyć!

- O Boże... - Mojej matce słowa więzną w gardle. - Tylko mi nie mów, że ta twoja „specyficzna” dziewczyna stoi tu przed nami?! - I zaraz zaczyna się śmiać. W końcu się krztusi, a twarz znów wykrzywia jej ból. Ale natychmiast przechodzi. I po chwili znów może otworzyć oczy. Od razu się uśmiecha.

- Martina, co ty tu robisz?

- Tu pracuje moja mama, o właśnie.

Do sali wchodzi urodziwa kobieta w białym fartuchu.

- Dzień dobry. Jestem siostrą oddziałową i mam zmienić pani kroplówkę, a tak w ogóle to nie jest pora odwiedzin.

- Tak, wiem, przepraszam.

- Ale mam, to jest mój przyjaciel, wiesz o kogo chodzi, to Step, ten od tego napisu na moście...

- Martina, odprowadź pana na zewnątrz. Zrobię, co do mnie należy, i potem będzie pan mógł tu jeszcze zajrzeć, żeby pożegnać się z krewną, dobrze?

- Dziękuję.

Już mam wychodzić, kiedy moja mama mnie do siebie przywołuje.

- Stefano, czy możesz coś dla mnie zrobić? Przyniesiesz mi kubek wody?

- No pewnie. - I wychodzę razem z Martina.

- A kim jest ta pani?

- To moja matka.

- Czy jest bardzo chora?

- Myślę, że tak, ale sam jeszcze dobrze nie wiem.

- Jeśli chcesz, to mogę podpytać moją mamę. Ona wszystko wie. Moja mama w pracy jest niesamowita. Dziś nie mogła zostawić mnie w domu i dlatego zabrała mnie ze sobą. To co, chcesz, żebym ją podpytała?

- Nie, Martino, zostawmy to.

Chyba robi jej się trochę przykro. Idzie obok mnie w milczeniu. -To co, może mi pokażesz, skąd mogę wziąć wodę.

- No pewnie! - Znow się rozpromienia. - Chodź, przejdziemy tędy, będzie szybciej. Wkrótce jesteśmy z powrotem. Siostra oddziałowa kończy sprawdzać ostatnią rurkę. Pstryka celnie w odwrócony do góry nogami flakonik, sprawdzając, czy płyn już zaczął się sączyć w dół. Wygląda na to, że wszystko jest OK.

- Dobrze. Proszę pani zajrzę tu znowu około północy. - I kieruje się do wyjścia. - Pan może tu zostać jeszcze jakieś pięć minut.

- Dziękuję.

- Chodź, Martina, idziemy. - Bierze córkę za ramię, by mieć pewność, że opuści salę.

- Ała, mamó, nie ciągnij! Idę! Cześć, Step, do zobaczenia. Macham jej na pożegnanie i wracam na miejsce przy łóżku. Stawiam kubek z wodą na szafce nocnej obok.

- Dziękuję, Stefano. No, nawet nie wiedziałam, że masz fanki. Siostra oddziałowa mi opowiedziała, że Martina i jej przyjaciółki dosłownie oszalały na punkcie twojego napisu.

- No, właśnie, nie sądziłem, że stanę się przez to sławny. I pomyśleć tylko, że nawet się nie podpisałem!

Matka się śmieje.

- Ale takie rzeczy szybko się rozchodzą, co ty, nie wiesz? Zawsze wszystko wiadomo. A ona? Ta, która była tam z tobą... trzy metry nad niebem... co ona na to?

- Wczoraj się z nią widziałem.

- Co znaczy, że wczoraj się z nią widziałeś? Przepraszam, czy nie spotykasz się aby z kimś innym?

Nic nie mówię. Mama rozkłada ręce.

- No, oczywiście... Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, to dochodzę do wniosku, że jestem ostatnią osobą, która powinna się wypowiadać, czyż nie?

Patrzemy na siebie. I nagle zaczynamy się śmiać. Wygląda, jakby miała się lepiej. Lekarstwo zadziałało.

- Nie wiem, co zrobiłeś, ale chcesz wiedzieć, co ci radzę? O niczym jej nie mów. Nawet nie wspominaj, że się z tamtą spotkałeś. Sam w milczeniu rozpraw się z błędem, który popełniłeś. Mam nadzieję, że to, czego ja się wówczas dopuściłam, nie jest dziedziczne, w przeciwnym razie będę musiała czuć się winna także i za twoje błędy.

- Nie, mamó, daj spokój, ja już i tak czuję się winny. Tak bardzo pragnąłem znów ją spotkać, myślałem o tym dzień i noc, wciąż wyobrażałem sobie tę chwilę, jak by to było...

- I jak było?

- Ja i ty... trzy metry pod ziemią!

- Bo czasami robimy takie straszne głupoty. I to nie wtedy, kiedy jesteśmy zakochani, tylko wtedy, kiedy nam się wydaje, że jesteśmy. - Siedzimy w milczeniu.

- No, to nawet lepiej. Przynajmniej w jednej sprawie masz już jasność. Co było, minęło. Raz na zawsze. To było nieuniknione, tak sędzę.

- A jednak powinienem być do tego nie dopuścić, a jakby tego było mało, na dodatek... wychodzi za mąż.

- Aha, nieźle. To dlatego jest ci tak ciężko?

- Nie. Cały absurd polega na tym, że wisi mi to równo. Odniosłem wrażenie, jakbym miał do czynienia z kimś zupełnie innym, z kimś, kto nigdy nie miał ze mną nic wspólnego, ani z tym wszystkim, co zapamiętałem, to już nie była ta sama dziewczyna, której mi tak bardzo brakowało, przez którą tyle się nacierpiałem. A absurd całej sytuacji polega na tym, że wychodzi za mąż i że powiedziała mi o tym, kiedy już było po wszystkim. Poczuję się przez to jeszcze bardziej winny.

- Po tym, co ci powiedziała?

- Nie, po tym, co zrobiłem drugiej dziewczynie. Bo jest taka inna od tej pierwszej i nie zasłużyła sobie na to.

Matka patrzy na mnie. I po chwili się uśmiecha. I znów jest tą samą mamą, której tak bardzo mi brakowało.

- Stefano, do niektórych rzeczy po prostu musi dojść, a wiesz dlaczego? Bo gdyby do nich doszło później, to nie dałoby się już tego wszystkiego odkręcić. Tego, niestety, jestem akurat pewna.

I na chwilę tak zastygamy, w ciszy.

- No, to idę. Nie chcę, żeby wróciła siostra oddziałowa i zastała mnie tutaj.

- Ja na twoim miejscu bardziej bym się przejmowała, że wróci mała fanka.

- A, pewnie!

Całuję ją w policzek. Uśmiecha się do mnie.

- Przyjdź jeszcze mnie odwiedzić.

- Oczywiście, mamó.

Jestem już przy drzwiach i odwracam się, żeby raz jeszcze się z nią pożegnać. Uśmiecha się z daleka i macha do mnie. I jeszcze puszcza oczko. Może po to, bym pomyślał, że jest silniejsza niż w rzeczywistości.

- Stefano...

- Tak, mamó, słucham. Potrzebujesz czegoś?

- Nie, dziękuję, wszystko mam. Witaj z powrotem.

Słońce już zachodzi. Dzwonię domofonem. Ktoś odbiera.

- Przepraszam, czy jest Ginevra?

- Nie. Jest w kościele, tutaj niedaleko, w San Bellannino. A kto mówi?

Odchodzę. Nie chce mi się odpowiadać. Niewychowany, tylko ten jeden raz. Wybaczcie mi, z łaski swojej. Ale dzisiaj chyba mi wolno. Wchodzę po cichu do kościoła. Nie wiem, co powiedzieć, co robić, czy się modlić, a jeżeli tak, to właściwie o co. Nie teraz. Teraz nie chcę o tym myśleć. Jakies starsze panie klęczą, zwrócone do ołtarza. Każda trzyma w rękach różaniec. Co pewien czas nerwowo przesuwają kolejny paciorek i jednocześnie zwracają się do Pana, modlą się w nadziei, że może zostaną przez Niego wysłuchane. On może, oczywiście. Tylko kto wie, czy mu się chce. Kto wie, czy uzna to za słuszne, o ile w ogóle istnieje coś takiego jak sprawiedliwość. Ale nie chcę o tym myśleć. Mam co innego do roboty. Ja mam swój grzech na sumieniu. Dla mnie wszystko jest prostsze. O, widzę ją. Stoi tyłem. Nie klęczy, ale się modli. W każdym razie coś mówi, i to na pewno do Pana, jak cała reszta. Podchodzę po cichu.

- Gin?

Odwraca głowę i się do mnie uśmiecha.

- Cześć... Jaka fajna niespodzianka... właśnie dziękowałam Bogu. Wiesz...

- Kładzie sobie rękę na brzuchu. - Wszystko w porządku. Tak bardzo się martwiłam... to znaczy, nie to żebym wcale nie chciała... Ale taka wpadka, jakoś mi się nie podobało. Coś tak ważnego, pięknego, własne dziecko...

- Ciii - zwracam się do niej. Całuję ją delikatnie w policzek. Nachylam jej się do ucha i wyrzucam z siebie wszystko naraz, nie zwlekam ani chwili dłużej, bez lęku, rzucam się na oślep. Opowiadam jej wszystko, wyznaję jej szeptem moją winę, powoli, w nadziei że zrozumie, że zdoła mi wybaczyć. Skończyłem. Odsuwam się od niej. Patrzy na mnie w milczeniu. I ja na nią patrzę. Nie wierzy.

- To taki żart? - Próbuje się uśmiechnąć.

Kręcę głową.

- Nie. Wybacz mi, Gin.

Zaczyna mnie okładać zaciśniętymi pięściami, w ataku furii, płacze, krzyczy, nawet nie pamięta, że jesteśmy w kościele, choć może właśnie dlatego jej reakcja jest bardziej zrozumiała. - Dlaczego? Dlaczego? Powiedz mi, dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś? Dlaczego? - Nie jest w stanie powstrzymać się, zrozpaczona, pada na kolana i wciąż płacze, zanosząc się szlochem, domagając się odpowiedzi, której sam nie znam. W pewnym momencie wybiega, zostawiając mnie samemu sobie, w tym kościele jeszcze bardziej opustoszałym, a wzrok wszystkich starszych pań, do niedawna pogrążonych w modlitwie, teraz zwrócony jest na mnie. Patrzę na nie i rozkładam ręce. Może chociaż wy mogłybyście mi wybaczyć. Ale nie możecie, nie wy. Niczym wam nie zawiniłem. Może co najwyżej odrobinę zakłóciłem wasz spokój... Tak, może to chociaż możecie mi wybaczyć. Znów odwracają się do ołtarza i wracają do

modlitwy. Może nawet mi wybaczyły. Przynajmniej one. To tylko z nią nie pójdzie mi już tak łatwo.

74

Kilka dni później. Dom państwa Gervasi jest pogrążony w mroku. Cisza i spokój, jakiego od dawna nie można tam było zaznać. Lekka woń kwiatów. Babi zagląda do kuchni i widzi przeróżne bukiety ślubne, które zrobiono na próbę.

- Idź stąd, Lilio, masz tego nie oglądać! Wszystko zepsujesz, no idź. A tak wszystko będzie dla ciebie niespodzianką. Chyba będzie ci fajniej?

- Miałem nadzieję, że spędzimy trochę czasu razem, przez te wszystkie przygotowania wypada się z wprawy w innej dziedzinie.

- A to może później, rodzice chyba są w mieszkaniu. To na razie, idź już do domu, może później dam ci znać. Jeśli moi starzy wyjdą, to wpadniesz, a jak nie, to ja przyjdę do ciebie, dobra?

- Okay, jak chcesz.

Babi na pożegnanie muska ustami swojego przyszłego małżonka, lilio, lekko naburmuszony, uśmiecha się i już po chwili pędzi po schodach na dół i znika za zakrętem na półpiętrze. Babi zamyka drzwi.

- Mamo... jesteś w domu?

- Jestem tu, w salonie.

Raffaella siedzi na kanapie, nogi wyciągnęła wygodnie przed siebie i popija zieloną herbatę, która oczywiście jest teraz niesłychanie modna. Babi podchodzi do niej. Żaluzje są popuszczane. Ciche tykanie wahadła odmierza upływający czas. Pojedyncze hałasy z ulicy brzmią niczym echo, które słychać aż tutaj z bardzo daleka, ale poza tym panuje absolutna cisza. Babi siada na kanapie, naprzeciwko matki.

- Wiesz, mamo, tak się zastanawiałam... Przecież sami nie mamy pojęcia, co się dzieje w innych rodzinach, jak bardzo się różnią, przez co przeszły...

- No, nie wiem, ale nas z pewnością nie przebijają.

Patrzą na siebie i nagle zaczynają się śmiać.

- Nie, co to to nie. Muszę ci coś powiedzieć. Wczoraj wieczorem widziałam się ze Stepem.

Raffaella znów poważnieje.

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo postanowiłyśmy wszystko sobie mówić. - Mama zastyga zamyślona.

- Tak, dopiero co przedwczoraj robiłam ci w pokoju porządki i znalazłam ten plakat, który od niego dostałaś, ten, który przez tyle czasu wisiał u ciebie na szafie. Jesteście na nim razem i, jak wy to mówicie, dajecie czadu na motorze.

- Tak, pamiętam. I co, wyrzuciłaś go?

- Nie, sama to zrobisz, kiedy będziesz gotowa.

Zalega między nimi dziwna cisza, którą Babi nieoczekiwanie przerywa.

- Wczoraj kochałam się ze Stepem.

- Specjalnie mi to mówisz, co? Chcesz mnie zaskoczyć, zażyć, tak? -

Raffaella podnosi się i przez chwilę wygląda na wytrąconą z równowagi.

- Powiedz mi prawdę, śmiało! Czego ty ode mnie chcesz, co? Powiedz mi, czego chcesz? - Sprawia wrażenie, jakby ją chciała spoliczkować, potrząsnąć nią z całej siły. Niewiele brakuje, tak niewiele. Babi podnosi wzrok i uśmiecha się do niej opanowana, pogodna.

- Czego od ciebie chcę? No co ty... Nawet nie wiem, czego chcę od samej siebie. A wobec tego sama się zastanów, skąd mogę wiedzieć, czego akurat chcę od ciebie. A poza tym i tak co mogłaś, to już mi dałaś.

Raffaella siada z powrotem na kanapie. Oddycha głęboko. Odzyskuje utracony spokój. Przez chwilę siedzą tak w milczeniu, jedna naprzeciwko drugiej. Dwie kobiety w różnym wieku, ale pod wieloma względami bardzo do siebie podobne, pod zbyt wieloma względami. I zaraz Raffaella się uśmiecha.

- Dobrze ci w tej nowej fryzurze.

- Dzięki, mamó. A jak z ojcem?

- Dobrze. Nie ma o czym mówić... wróci. Zapragnął coś udowodnić samemu sobie, ale wróci. Z dala od nas nie przeżyje. On nie stanowi dla mnie problemu. Jeśli już to raczej ty, co postanowiłaś?

- Ja? W jakiej sprawie?

- Jak to w jakiej sprawie? Powiedz mi, co mam robić. Dziś wieczór wybieram się na imprezę do De Marinich. A nuż jakieś przyjaciółki zaczną mnie podpytywać, będą ciekawe. Powiedziałaś mi, że wczoraj widziałas się ze Stepem. I co teraz? Co postanowiłaś? Tak czy inaczej wychodzisz za męża?

- No pewnie. A co, nie powinnam?

Raffaella oddycha głęboko, teraz jest już spokojniejsza. Wszystko się ułoży. To jedynie kwestia czasu i wszystko będzie tak idealnie, jak przedtem, a nawet lepiej.

Wnuk z ojca niewiadomego pochodzenia, ślub jak się godzi i mąż, który będzie musiał odbyć zasłużoną karę. Tak, wszystko będzie cudownie, jak dawniej. Raffaella wstaje z kanapy.

- Dobrze, w takim razie mogę już wyjść. Dzisiaj wieczorem gramy w karty. Umiesz grać w burraco?

- Nie, widziałam, jak w to grali w domu u Ortensich, ale się do nich nie przysiadłam.

- Koniecznie musisz spróbować, jest o wiele fajniejsza od gry w gina. Zabawniejsza. Któregoś dnia, jak będę miała wolną chwilę, to cię nauczę, zobaczysz, że ci się spodoba.

- Dobra.

Raffaella całuje ją i zbiera się do wyjścia.

- Mamó...

- Tak, słucham.
- Jest jeszcze jeden problem.
Raffaella wraca do salonu.
- Posłuchajmy.
- Już to przemyślałam. Tylko się nie gniewaj. Nie chcę nadawać stołom dla gości nazw po kwiatach. To zbyt banalne. Tak samo zrobiła już Stefanelli na swoim ślubie.
- Masz rację.
- Bo ja wiem, moglibyśmy się posłużyć, dajmy na to, nazwami kamieni szlacheńskich. Czy to nie brzmi bardziej elegancko?
Raffaella się uśmiecha.
- Znacznie bardziej. Masz rację, świetny pomysł. Zmienimy plakat i wizytówki na stole. Gdybyśmy mieli tylko takie problemy...
Całuje ją raz jeszcze i wychodzi, cała zadowolona. Zuch dziewczyna ta moja córka. Trochę taka jak ja, zawsze potrafi uporać się z każdym problemem i znajduje optymalne rozwiązanie. Raffaella idzie do siebie do pokoju, żeby przygotować się do wyjścia. Wkrótce go opuszcza, biegiem, elegancka i wymuskana, jak zawsze. Wolałaby nie spóźnić się do De Marinich. Choć teraz gnębi ją ostatnie, wielkie zmartwienie. Dziś wieczór musi koniecznie wygrać w karty.

75

- Mamo, ja wychodzę.
- Dobrze, Gin. Tylko zadzwoń, jeśli się okaże, że wrócisz późno. Daj znać, czy będziesz na kolacji. Chciałam ci zrobić pizzę, za którą tak przepadasz. Nawet nie słyszę, co do mnie mówi.
- Tak, dzięki mamo.
Wkładam bluzę i postanawiam wyjść, udać się gdzieś przed siebie, byle gdzie, nic sobie nie robiąc z upływającego czasu. Tylko ja sama mogę to zrozumieć. Tak bardzo pragnęłam tego wszystkiego. A teraz?
Nic, teraz nic mi już nie pozostało, mój sen przepadł. Ale czy to wszystko, czego tak pragnęłam, było w ogóle prawdą? Nie chce mi się o tym myśleć. Czuję się fatalnie. Mam tego potąd, takie sytuacje to prawdziwy koszmar, nie ma nic gorszego. Rozwodzimy się na takie tematy, kiedy patrzymy na coś z zewnątrz, kiedy słyszymy o tych wszystkich niedorzecznych sytuacjach, będących udziałem innych osób, i choć sama nie wiem dlaczego, ale jakoś nigdy nie myślimy, że też może nam się to przytrafić, a tu nagle trach! I masz, z dnia na dzień wszystko się zmienia, nagle zaczyna cię to dotyczyć, choć sama sobie tej biedy nie napytałaś. Cholera, Gin, musisz dokonać bilansu i sprawdzić, czy twoja duma to wytrzyma i na ile rzeczywiście chcesz nadal z nim być... Ale

wcale nie mam ochoty robić żadnego bilansu, cholera jasna! Do dupy to wszystko! Z matematyki zawsze byłam beznadziejna. A poza tym w miłości nie ma mowy o równaniach i działaniach matematycznych! Przecież coś takiego, jak księgowy uczuć, w ogóle nie istnieje albo jeszcze gorzej - handlowiec miłości. A co, czyżby trzeba było także zapłacić podatek od szczęścia? Cholera, to bym dopiero zabułała, gdyby to była prawda... A jednak, mimo wszystko, jak niesamowicie go wciąż pragnę... Jestem na Ponte Milvio. Zatrzymuję samochód i wysiadam. Przypominam sobie tamtą noc, nasze pocałunki, mój pierwszy raz. I potem nas tutaj, na moście... Staję pod trzecią latarnią. Widzę naszą kłódkę. Przypominam sobie, jak wrzucił klucz do Tybru. Obiecałeś, Step. Czy aż tak trudno było ci dotrzymać słowa? Zaczynam płakać. Przez chwilę żałuję, że nie mam ze sobą jakiegoś twardego narzędzia, by roztrzaskać kłódkę. Nienawidzę cię, Step!

Z powrotem wsiałam do samochodu i ruszam. Jadę przed siebie, bez celu, sama nawet nie bardzo wiem dokąd. Krążę tak przez jakiś czas. Nie mam pojęcia jak długo. Nie wiem. Wiem jedynie, że teraz spaceruję nad samym morzem. Zdana na pastwę wiatru, zapatrzona w fale, zasłuchana w kołysankę szumiącego morza. Ale jest mi tak beznadziejnie. A jeszcze do tego czuję się jak idiotka. Nie chce mi się wierzyć, to niemożliwe. Brakuje mi tego kutasa tak strasznie, brakuje mi tego wszystkiego, o czym tak marzyłam. Tak, oczywiście, wiem o tym, ktoś mógłby mi powiedzieć: „Ależ Gin, to przecież normalne. Czego się spodziewałaś? To była jego dziewczyna! Step wyjechał aż do Stanów, tak bardzo przeżywał rozstanie z nią. To normalne, że temu nie podołał i się złamał!”. Ach, tak? Co ty powiesz? Możesz sobie mówić, co chcesz... No, w takim razie wszystko wskazuje na to, że ja wcale nie jestem normalna, rozumiesz? Wcale się tak nie czuję, a przede wszystkim wisi mi to równo! Tak, tak właśnie jest. I co z tego? Dotarło to do ciebie czy nie, jedyne, co sam potrafisz, to przynosić pecha... Ach, już ja tam wiem, jestem tego więcej niż pewna.. Ty od samego początku uważałeś, że to wszystko się tak właśnie skończy, prawda? Od momentu, kiedy zaczęliśmy być razem... No, a wiesz, co ci powiem paskudny, złorzeczący zawistniku, co to nic tylko rzuca na innych kłatwy? Mam to wszystko gdzieś.

Bo sama jestem szalona! Jasne? Tak, jestem szalona. Oszalałam na jego punkcie, to prawda, i na punkcie tego wszystkiego, co sobie wymarzyłam. Więc też z góry ci zapowiadam, jeśli tylko cię spotkam, to rozwalę ci gębę. Albo nie, lepiej. Zważywszy, że on sam po wielokroć mi to wypominał, nie omieszka ci teraz pokazać, co oznacza trzeci dan, tak że do końca życia popamiętasz. A poza tym nie jesteś w stanie sobie nawet wyobrazić, jak bardzo go pragnęłam.

Dyżurny pielęgniarz siedzi przed monitorem. To wciąż ten sam koleś. Kończy wstukiwać coś na komputerze i zaraz odwraca wzrok, patrzy, jak wchodzę. Poznaje mnie. I naraz cały sztywnieje. Po chwili rozkłada ręce, uśmiecha się półgębkiem, jakby chciał powiedzieć: „Jasne, jasne, to wprawdzie nie pora odwiedzin, ale i tak możesz wejść”.

- Dziękuję. - Chce mi się śmiać. Choć to nie w porządku. Mam też lekkie poczucie winy. I to nie tylko z tego powodu. Wiem to dobrze. Sam nie lubię zmieniać zasad, uciekając się do przemocy. Ale muszę się zobaczyć z matką. Zwłaszcza teraz, kiedy ją odzyskałem. Przemierzam korytarz w ciszy. Z pokoiów po obydwu stronach korytarza dociera do mnie rżenie i pojękiwania. Wszędzie wokół woń czystości i dezynfekujących detergentów. Ale kryje się za tym jakiś fałsz. Brodaty mężczyzna o przygaszonym spojrzeniu, ubrany w pidżamę, wychyla się na korytarz. Pod pachą ma zwinięty dziennik sportowy „Gazzetta delio Sport”, drukowany na różowym papierze. Może transfer do jego drużyny jakiegoś nowego zawodnika choć trochę by go ożywił. Kto wie. Kiedy cierpimy, to najzwyczajniejsze, najbanalniejsze rzeczy zyskują w naszych oczach nieoczekiwaną wartość. Wszystko staje się punktem zaczepienia dla naszej egzystencji, zaczynamy się czymś interesować i przestajemy myśleć tylko o jednym. Już ją widzę. Odpoczywa. Jej drobna twarz wydaje się jeszcze mniejsza, kiedy tak leży na tej wielkiej poduszce. Dostrzega mnie i się do mnie uśmiecha.

- Cześć, Stefano...

Biorę stojące nieopodal krzesło i siadam w nogach jej łóżka.

- No i co?

Patrzy na mnie pytająco. Wiem, o co jej chodzi.

- Nic, nie dałem rady. Przykro mi. Wszystko jej powiedziałem.

- I jak poszło?

- Pobiła mnie.

- O, nareszcie jakaś dziewczyna, która umie ci przyłożyć. Wybrałeś trudniejszą drogę. Czy ta dziewczyna jest bardzo szczegółna?

Opowiadam jej, jak wygląda. Mam tu zdjęcie.

Pokazuję jej fotografię. Patrzy zainteresowana. Drobne zmarszczki pojawiają jej się na twarzy. I wtem uśmiech pełen zaskoczenia. A zaraz po nim znów skurcz bólu, który daje o sobie znać i przypomina, że gdzieś tam drzemie, w jakiejś części jej ciała, głęboko ukryty, przyczajony. Niestety.

- Muszę ci coś powiedzieć...

Ogarnia mnie niepokój. Dostrzega to.

- Nie, Stefano. To nic ważnego... To znaczy, sprawa jest ważna, ale nie masz powodu do niepokoju.

Przez chwilę się nie odzywa. Niezdecydowana, czy ma mi o tym powiedzieć, czy też nie. Wyglądamy, jakbyśmy się cofnęli do zamierzchłej przeszłości, kiedy byłem mały, a ona, ona była w świetnej formie. Robiła mi

psikusy, chowała przede mną różne rzeczy, nabierała mnie, i obydwójce zanosiliśmy się śmiechem. Chce mi się płakać. Wolę o tym myśleć.

- To co, mam, powiesz mi w końcu?

- Ja ją znam, to Ginevra.

- Znasz ją?

- Tak, masz świetny gust, a właściwie to ona pokazała, że go ma... słowem, to ona cię wybrała, a ty wpakowałeś się w takie tarapaty...

Wolę się nad tym nie zastanawiać.

- Ale skąd ją znasz? To znaczy, jak to zrobiłaś?

- Kazała mi przysiąc, że nic ci nie powiem. Jak to zrobiłam? To ona chciała mnie poznać. Ciągłe spotykałam ją pod domem, stała tam i czekała. Często przychodziła. Na początku myślałam, że czeka na kogoś, kto mieszka w tej kamienicy. Potem jednak, kiedy wsiadałam w samochód i odjeżdżałam, widziałam, że ona też się zbiera.

- No i co?

- I tak pewnego dnia spotkałam ją w supermarkecie i wpadłyśmy na siebie. Nie wiem, czy to był tylko czysty przypadek. Zaprzyjaźniłyśmy się... Zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać... - Krztusi się. Źle się czuje. Za dużo ją to wszystko kosztuje. Łaknie tlenu, życia, czegoś jeszcze... ale niczego takiego w powietrzu nie ma. Po chwili patrzy na mnie, a w jej oczach pełnych miłości, słodczy czai się krzyk. Ej, co robisz? Dlaczego tak na mnie patrzysz? To ja, twoja mama! Nie wolno ci się nade mną litować. Toteż znów się zachowuję jak na syna przystało, znów jestem tym samym egoistą, niedojrzałym chłopakiem, słowem, tym wszystkim, czego ona ode mnie oczekuje.

- No to wreszcie opowiesz mi wszystko jak należy?

- Tak. Zaprzyjaźniłyśmy się, sama nie wiem jak, ale zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać... Ona nie wiedziała, że widziałam ją już wcześniej pod domem. No, choć w sumie, to nie jestem tego wcale taka pewna. Faktem jest, że trochę jej o sobie opowiedziałam, o tacie też, o Paolu, o tobie...

- Co jej o mnie opowiedziałaś?

- O tobie?

- No, o mnie, a o kim niby innym?

- Że cię kocham, że mi ciebie brakowało, że wyjechałeś, że masz wrócić... wyglądała na bardzo zainteresowaną naszymi sprawami. I zawsze się dopytywała, czy przypadkiem nie dzwoniłeś... czy są od ciebie jakieś wiadomości.

- A ty?

- A cóż ja mogłam powiedzieć? Nigdy nic o tobie nie wiedziałam. Potem się dowiedziałam, kiedy dokładnie miałeś być z powrotem, bo Paolo mi powiedział, że wyjedzie po ciebie na lotnisko... I kiedy zdzwoniłyśmy się z Ginevrą...

- Zdzwoniłyście się? Ale jak to, gadałyście też przez telefon?

- Tak, wymieniliśmy się numerami. Ale wybaczyć, co w tym takiego dziwnego? W jakimś sensie byliśmy dla siebie jak przyjaciółki.

W ogóle nie mogę w to uwierzyć. Przedziwne. Wszystko wydaje mi się takie dziwne.

- No i?

- Co?

- Nic, powiedziałam jej o tym.

- A ona?

- A ona ciągnęła rozmowę dalej, jakby nigdy nic, powiedziała mi, że się zapisała na basen i chodzi pływać... A, tak, rozśmieszyła mnie nawet, bo zapytała, czy chciałabym chodzić razem z nią... choć jakby się tak lepiej zastanowić, to jest w tym wszystkim coś dziwnego...

- Co?

- Od kiedy wróciłeś, już wiele razy byłam w supermarkecie...

- I co z tego?

- Od tamtej pory już jej więcej nie spotkałam.

Patrzę na nią. Nic nie mówię. Po chwili potakuję i się uśmiecham. Ona chciałaby odwzajemnić mój uśmiech, ale kolejna fala bólu zmusza ją, by zamknęła oczy. Tym razem trwa to dłużej. Biorę jej rękę. Ona mocno ściska moją dłoń, z niespotykaną siłą. Po czym zwalnia uścisk i otwiera oczy, zmęczona jeszcze bardziej niż przedtem, uśmiecha się z wysiłkiem.

- Stefano... proszę cię... - Wskazuje na kubek, który stoi tuż obok. - Przyniesiesz mi trochę wody, z łaski swojej?

Biorę kubek i wstaję. Robię kilka kroków i znów słyszę, jak mnie przywołuje.

- Stefano... Odwracam się.

- Tak?

- A tej mojej przyjaciółce, Gin... wyślij kwiaty, przepiękne kwiaty. - Opiera głowę na poduszce i się do mnie uśmiecha.

- Tak, mam, oczywiście...

Opuszczam oddział, od razu trafiam na łazienkę z wodą pitną, którą pokazała mi Martina. Odkręcam i czekam, aż trochę spłynie, po czym napełniam kubek, tak jak ona mnie tego nauczyła, nalewam nie za dużo, ale i nie za mało. Trochę więcej niż połowę, tyle ile trzeba. Wracam na oddział. Robię zaledwie parę kroków. I od razu ją dostrzegam, jest taka spokojna, odpoczywa. Pod sto czternaście. Na jej twarzy maluje się lekki uśmiech, ma zamknięte oczy, wygląda tak samo jak wtedy, kiedy wychodziłem. Ale nie chciała na mnie poczekać. Odkąd pamiętam, mama nie znosiła pożegnań. I sam nie wiem dlaczego akurat teraz przypominam sobie, jak wyjeżdżałem pociągiem na moją pierwszą szkolną wycieczkę do Florencji. Wszystkie inne mamy czekały na peronie, dzierżąc chusteczki, białe albo wzorzyste, cokolwiek akurat miały pod ręką, żeby pomachać na pożegnanie dzieciom, które wychylały się z okien przedziałów. Ja też wyjrzałem. Rozglądałem się za nią po całym peronie,

wypatrywałem jej wśród ludzi pod wiatą, wśród innych mam, ale jej nigdzie już nie było. Nie było jej, i już. Tak samo jak teraz. Już sobie poszła. Mama. Stawiam kubek na szafce nocnej tuż obok łóżka. Mamo, przyniosłem ci wodę. Nie nalałem za dużo, zrobiłem dokładnie tak, jak mnie tego uczyłaś. Mama. Jedyna kobieta, której nigdy nie przestanę kochać. Mama. To kobieta, której nigdy nie chciałbym utracić. A którą mimo to utraciłem, i to aż dwukrotnie. Mamo... Wybacz mi. Odwracam się i wychodzę, w milczeniu, mijam ponumerowane łóżka i obcych ludzi. Zaprzątnięci swoim cierpieniem, nie dostrzegają mojego. Gdzieś daleko słychać sygnał alarmowy. Dwóch pielęgniarzy wyprzedza mnie w pośpiechu. Jeden z nich potrąca mnie niechcący, ale jest mi to obojętne. Biegną do mojej matki. Zgłupieli, nie wiedzą, że już wyruszyła w swoją podróż. Dajcie jej spokój. Ona już taka jest, nie przepada za pożegnaniami; nie ogląda się za siebie, nie macha na pożegnanie. Mamo. Będzie mi ciebie brakowało, i to nawet bardziej niż w ciągu tych pięciu lat. „Jeśli to, co mnie zraniło, zraniło również ciebie, ja na polu pełnym truskawek wyobrażam sobie ciebie, wyobrażam sobie, że jesteś szczęśliwa, że tańczysz beztrosko, przepiękna, cała ty...”. Słowa piosenki, która do mnie wraca. Dla ciebie, mamo, tylko dla ciebie. Zabierz je ze sobą, miej je zawsze przy sobie, dokądkolwiek byś się udała. Tańcz przepiękna pośród truskawkowych pól, nareszcie wolna od tego wszystkiego, co cię tutaj ograniczało. Płaczę. I schodzę. W recepcji nie ma pielęgniarza. Jest jakaś kobieta. Patrzy na mnie, widzę, że jest ciekawa, trwa to tylko chwilę, ale nic nie mówi. Z pewnością nie raz widziała tu ludzi, którzy wychodzili, nie kryjąc się ze swoim bólem. Już nie zwraca na to uwagi. Wszyscy wyglądamy dla niej tak samo, wydaje się prawie znudzona naszymi głupimi łzami, które są bezsilne. Wychodzę. Już dawno minęło południe. Słońce wciąż jest wysoko, niebo jest przejrzyste. Dzień taki sam jak wszystkie, ale inny od pozostałych, i to na zawsze. Widzę ojca i brata, którzy właśnie przyjechali. Są jeszcze daleko. Gadają sobie beztrosko, śmieją się. Kto wie, o czym rozmawiają. Nie mam pojęcia i wcale mnie to nie obchodzi. Oni na razie mają to szczęście, że o niczym nie wiedzą. To już ostatnie chwile, zanim nieuchronny ból, całkowita bezsilność i ostateczna rezygnacja nie staną się także i ich udziałem. Niech się nimi nacieszą. Wciąż jeszcze spokojni i szczęśliwi, bo pogrążeni w błogiej nieświadomości. Już niedługo. Odwracam się i idę w przeciwnym kierunku. Mam teraz co innego do roboty. Daję się ponieść, pozwalam, by wiatr robił ze mną, co mu się żywnie podoba. Chciałbym, żeby mój ból przestał mi tak ciążyć. Ale nic z tego. I dziwnym zrządzeniem losu staję się mimowolnym świadkiem pewnej scenki, czysty przypadek, przysięgam. W chwili takiej jak ta żadne kłamstwo nie przeszłoby mi przez gardło. Dostrzegam znanego mi z widzenia chłopaczka w towarzystwie swojego przyjaciela.

- No to do zobaczenia na boisku o czwartej, dobra? Ej, Thomas, do ciebie mówię, dobra?

- Tak, dobra, załapałem, o czwartej, przecież nie jestem głuchy.

- Głuchy może nie, ale głupi na pewno. Nie ma sensu, żebyś tu wystawał, Michela i tak nie przyjdzie.

- A kto mówi, że czekam na Michelę. Rozglądam się za Marco, który miał mi oddać piłkę!

- Dobra, dobra, piłkę...

Czasami jesteśmy tą właściwą osobą na właściwym miejscu. Patrzę na niego. Nie wygląda mi na kogoś, kto ma prawo olewać miss „maskotkę” z osiedla Stellari. Martina zasługuje na przynajmniej jedną szansę. Choćby jedną. Podchodzę bliżej. Nie zwraca większej uwagi. Przez chwilę spogląda na mnie z zainteresowaniem, przygląda mi się baczniej, żeby sprawdzić, czy mnie aby skądś nie zna, czy już mnie gdzieś nie spotkał. I wówczas wyjeżdżam mu z otwartej prosto w twarz. Stoi jak wryty, oniemiały. Patrzy na mnie wstrząśnięty, ale nie płacze, poczucie godności mu na to nie pozwala. A ja mówię to, co musiałem mu powiedzieć. On zaś słucha w milczeniu, nie ucieka. Podoba mi się ten chłopaczek. Wreszcie odjeżdżam na motorze. Patrzę w lusterko. I widzę, jak robi się coraz mniejszy. Mała mrówka w świetle, który dopiero ma odkryć i zrozumieć. Ręką rozmasowuje sobie lewy policzek. Czerwony tak samo jak tamta wyśmienita pizza, którą mnie częstowała swego czasu Martina. I przez chwilę świadomość, że dopiero co stałem się częścią jego przyszłych wspomnień, sprawia, iż czuję się jakoś pewniej. Dzięki temu pożyję trochę dłużej. I zaraz myślę o mamie, o jej ostatnich słowach, o tym, co mi radziła. Uśmiecham się. Tak, mamo. Dobrze, mamo. Jak sobie życzysz, mamo. I posłuszny, jak jeszcze nigdy dotąd, jak przystało na syna, którym tak bardzo chciałbym wcześniej być, wstępuję do najbliższej kwaciarni.

77

Trochę później. Dom rodziny Biro.

- Ginevra, mogę wejść? - Gin wpuszcza matkę do pokoju. - O co chodzi, mammo?

- Dzisiaj po południu przynieśli je dla ciebie.

Schowana za wielkim bukietem czerwonych róż, mama wkracza do pokoju córki i uśmiechnięta, kładzie kwiaty na łóżku.

- Widziałaś, jakie piękne? O, i popatrz... w środku jest jedna biała róża. Wiesz, co to znaczy, prawda?

- Nie, co takiego?

- To prośba o przebaczenie. Ktoś ci coś zrobił, ktoś winien ci się z czegoś wytłumaczyć?

- Nie, mammo, wszystko w porządku. - Ale mamy mają to do siebie, że nic nie ujdzie ich uwagi. A poza tym zaczerwienione oczy Gin nie pozostawiają najmniejszych wątpliwości.

- Trzymaj... - Podaje jej chusteczkę do nosa i się uśmiecha. - Kiedy zgłodniejesz, możemy siadać do stołu.

- Dzięki, mamó. Ale teraz nie chce mi się jeść.

- Dobrze. Tylko za bardzo się nie przejmuj. Nie warto.

Gin uśmiecha się do mamy. - Łatwo powiedzieć...

Przed wyjściem mama wręcza jej jeszcze liścik. - Masz, był włożony w bukiet. Może to pozwoli ci zrozumieć, co oznacza ta biała róża.

- Może...

Mama zostawia ją samą, sam na sam z bólem, z kwiatami, z listem. Zdarzają się takie chwile, które każda mama dobrze zna. Chyba dlatego, że też przez to przeszła. Chyba dlatego, że wie, iż własną córkę można kochać nawet z daleka. Chyba dlatego, że kiedy ma się do czynienia z takim bólem, to cała matczyzna miłość może wręcz zawadzać. Zamyka drzwi i zostawia ją samą. Z listem w rękach. Z listem ode mnie. Gin go otwiera. Z zainteresowaniem czyta początek.

„Tyle razy mnie o to prosiłaś. Zawsze ci odmawiałem. Chciałbym móc подарować Ci go na twoje urodziny, na Gwiazdkę, z jakiegokolwiek innej okazji. Oprócz tej jednej: by prosić Cię o przebaczenie. Ale gdyby tylko mogło się to na cokolwiek przydać, gdyby okazało się, że to za mało, że mam ich jeszcze napisać całe tysiące, miliony i jeszcze więcej, też bym to zrobił, bo nie mogę bez Ciebie żyć.” Gin czyta dalej. „Masz to, co tak bardzo chciałaś. Mój wiersz.” Uśmiecha się i czyta, nie może się oderwać. Przebiega wzrokiem tekst, płacze, pociąga nosem, to znów się śmieje. Podnosi głowę i zabiera się za czytanie. Wspólnie spędzone chwile, wzajemna namiętność, podróż, wrażenia. Czyta uśmiechnięta, wciąż pociągając nosem, wyciera sobie oczy, pojedyncza łza wymyka jej się i ścieka wprost z ręki na papier, rozmazując jedno z napisanych przeze mnie słów. I rozczulona, śmiejąc się i płacząc na przemian, czyta dalej, aż do końca. Nie wspominam jej o mojej matce.

Tylko o nas. Nie odbiegam od tematu, piszę jej wyłącznie o sobie, o moim sercu, o mojej miłości, o moim błędzie. Podkradam słowa z filmu, który oglądałem na okrągło podczas mojego pobytu w Nowym Jorku... „Chcę, żebyś się unosiła w powietrzu, żebyś śpiewała w uniesieniu... Bądź bezgranicznie szczęśliwa, a przynajmniej nie odtrącaj od siebie szczęścia. Wiem, że te słowa wydają Ci się przesłodzone, ale miłość to namiętność, opętanie, to ktoś, bez kogo nie możesz żyć, uwierz mi: rzuć się na oślep, znajdź kogoś, kogo pokochasz do szaleństwa i kto pokocha Ciebie w ten sam sposób. Jak go znajdziesz? Cóż, zapomnij o zdrowym rozsądku i posłuchaj swojego serca. Ja nie słyszę Twojego serca. Bo prawda, skarbie, jest taka, że życie jest bez sensu, o ile tego zabraknie. Podróż, podczas której nie zakochamy się bez opamiętania, jest równoznaczna z wegetacją. Ale musisz próbować, bo jeśli nie próbowałaś, to jakbyś nigdy nie żyła naprawdę...”. Mam nadzieję, że udało mi się ją przekonać, iż ona już znalazła tego kogoś. Kogoś, kto liczy na to, że pewnego dnia zasłuży sobie na przebaczenie. Ale wcale jej nie popędzam. „Będę na

Ciebie czekał. Będę czekał. I czekał, ile tylko zechcesz. Byle tylko móc Cię zobaczyć, byś była moja, bym znów mógł się poczuć szczęśliwy. Szczęśliwy jak niebo podczas zachodu słońca”. Gin zaczyna się śmiać. I wtem ogarniają dziwne przeczucie, ni stąd, ni zowąd. Odwraca się gwałtownie. Spogląda na swój stół. Na sam brzeg, tam w głębi, gdzie zawsze trzymała je schowane wszystkie razem. I niespodziewanie dociera do niej, co się stało. I czuje, jakby za chwilę miała umrzeć. Podrywa się z miejsca.

- Mamo! Pozwoliłaś mu wejść do mnie do pokoju!

- Ale bo to przecież był ten przemiły chłopak, ten od szampana, nieprawdaż? Wydaje się taki porządny. A poza tym przyszedł tutaj z tymi przepięknymi kwiatami... Nie mogłam mu odmówić, nie wypadało.

- Mamo... Nawet nie masz pojęcia, coś ty najlepszego zrobiła.

78

Siedzę u siebie w pokoju. Czuję się jak złodziej. I rzeczywiście nim jestem. Ale zżera mnie ciekawość. Kiedy je zobaczyłem u niej na stole, nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Trzy pamiętniki, po jednym na każdy rok. Począwszy od pierwszej klasy liceum. Gin jest niesamowita. Wieczna bałaganiara, a tu nagle taki wzorowy porządek. Zaczynam kartkować pierwszy z nich. Jest w nim mnóstwo przezabawnych wpisów. Kto wie, co to za jeden ten Francesco. Fra'. Tak sama go nazywa. I do tego jeszcze te wszystkie serduszka. W każdym razie koleś i tak jej nie miał. Byłem naprawdę zaskoczony, że nigdy wcześniej z nikim nie była. Sam z siebie nigdy bym w to nie uwierzył, naprawdę. Jest taka czuła... I do tego piękna... Cała ona. Jedyna. Ma w sobie niesłychaną siłę, determinację... Czasami sprawia wrażenie roztrzepanej, ale w rzeczywistości i tak nic jej nie umknie, ma oczy szeroko otwarte, tak samo jest też na imprezach, kiedy chociażby gada sobie z jakąś przyjaciółką, ale jednocześnie sprawdza, z kim rozmawiam, co porabiam, co się dzieje w głębi pomieszczenia, kto taki właśnie wszedł, kto co o kim mówi... I śmieje się jak szalona i zawsze potrafi powiedzieć coś zabawnego, ma dziewczyna refleks... Gin. Bardzo żałuję tego, co się stało. Ale sytuacja między mną a Babi wymknęła mi się spod kontroli. Nie miałem pojęcia, co robię, byłem pijany. Tak... Opuść sobie, Step, zachowujesz się, jakbyś ją miał przed sobą i usiłował jej wszystko wyjaśnić... przecież to niedorzeczne. Czasami wszystkim, do czego dążysz, jest miłość. Tak, ale nie dociera do ciebie, że ta kobieta, którą tak kochałeś, gdzieś przepadła, bezpowrotnie. Czy w takim razie sam ją sobie wymyśliłeś? Doszukujesz się w tym pocałunku tak drogiego ci smaku tego, co kiedyś czułeś, czego doznałeś... ale na próżno. Kto ci to odebrał? Schował? Ukradł? Kto? Odnalazłem jej oczy, ale tego światła już nie, a po uśmiechu, którego tak mi brakowało, nie ma już ani śladu. W ten sposób, uwalniając się z jej uścisku

tamtego wieczora, nagle zrozumiałem: mojej Babi już nie ma. Nic, tylko jej włosy, tak samo pozbawione blasku jak jej twarz, z której zniknął tamten uśmiech, przypadł bez wieści. Więc zamknąłem oczy i uciekłem w dal, zatraciłem się we wspomnieniach, dałem się im prowadzić, tańcząc ręka w ręka w tym olbrzymim, zgodnym korowodzie, śmiejąc się i żartując. I znów ujrzałem tamtą dziewczynę, Babi sprzed kilku lat, piękną jak morze na wiosnę, świeżą i niepewną, spragnioną miłości i tego, by być kochaną, onieśmieloną, kiedy zdejmowała z siebie stanik. To ona, na zawsze moja, należy tylko i wyłącznie do mnie... Ale czasami nie warto zakłócać wspomnień. Dosyć. Nie chcę więcej o tym myśleć. To, co się stało, już się nie odstanie. Gin to zrozumie. Musi zrozumieć. Gdybym tego nie zrobił, już na zawsze żyłbym w ukryciu, nigdy nie wyszedłbym na zewnątrz. Wyjście naprzeciw światła miłości. Zrozumie. Musi zrozumieć. W gruncie rzeczy przecież nic o mnie nie wiedziała, nigdy wcześniej mnie przecież nie widziała. A to co takiego? Zaczynam czytać.

28 maja 2002

Dziś jestem taka szczęśliwa, szczęśliwa jak jeszcze nigdy dotąd! Wreszcie zapomniałam na dobre o Francescu, wymazałam go, zdematerializował się, rozplynął na zawsze...

Wcale mnie to nie dziwi, koleś był totalnym leszczem...

Bo wczoraj doszło do najbardziej niesamowitej rzeczy w całym moim życiu. Byłam na imprezie u Roberty Micchi, jest starsza od nas, zadziera nosa na maksa, chyba najbardziej wśród ludzi z piątego roku. Udało mi się wcisnąć razem z jeszcze dwiema innymi przyjaciółkami (Ele i Simo), było czadersko i super się bawiliśmy, kiedy nagle pojawili się oni... zjawili się nieproszeni, Budokani, zbuntowani i gniewni.

O rany, wierzyć mi się nie chce, to o nas? Ale kiedy to było? O jaką imprezę chodzi? Czytam dalej, w pośpiechu.

Odkryłam, że tak się nazywają, kiedy rzucali tortem urodzinowym i trafili prosto w Gi (krętacza, który startuje do Ele) i to w samą twarz!!! Ale mają oko. Zrobili straszną zadymę. Według mnie zwinęli też mnóstwo rzeczy. Ale skutek jest taki, że kompletnie straciłam głowę. Straciłam głowę dla niego. Wpadł na mnie tuż przy wejściu. Ale od razu mnie przeprosił, a nawet złapał w locie, tak żebym nie upadła, i przytrzymał mnie w swoich objęciach... O rany! Nasze twarze znalazły się w odległości jednego milimetra od siebie, a ja kompletnie straciłam dla niego głowę. Kto wie, czy się domyślił? Dowiedziałam się

Czyli że jednak się poznaliśmy! Spotkaliśmy się. A właściwie, zderzyliśmy się... Ale co to wszystko w ogóle znaczy? Cholera, wyobrazasz

sobie coś podobnego, na tej samej imprezie, na której poznałem Babi, na której zarzuciłem ją sobie na plecy i razem wzięliśmy prysznic, na tej samej imprezie była też Gin? Wpadliśmy na siebie... nie pamiętam jej. Ale może to nic było akurat wtedy... Zabieram się do czytania, szybko przerzucam kolejne kartki w poszukiwaniu innych chwil, innych wspomnień, innych prawd. Jestem jak w transie, zaskoczony, wrobiony. Przelatuję błyskawicznie kartki pamiętnika. Wzrokiem omiatam poszczególne wersy... Tęczówki latają mi to w prawo, to w lewo. O, mam.

Widziałam go! Jest wpół do trzeciej w nocy, a ja nie jestem w stanie zmrużyć oka. Byłam, na Olimpice i on też, razem ze swoim przyjacielem, chyba nazywa się Pollo. Ścigali się na motorach i on wygrał! Zajełście mi się podoba, ale widzę, że bardzo się spoufala z tą debilką z piątego roku, z Gervasi! Jasny gwint, Step, jeśli się z nią zwiążesz, to bardzo stracisz w moich oczach. Ta panna to debilka (chyba się powtarzam...), grzeczna i posłuszna córeczka rodziców! Tak w ogóle to nawet nie wiem, co tam robiła, na dodatek wystąpiła jako dziewczyna - Rumianek!!! Albo ty tak na nie działasz, Step, albo sama już nie wiem, co mam o tym myśleć. Musisz znać jakieś czarodziejskie sztuczki, nie mam pojęcia jakie, nie chciałabym przykwaśnić, ale nie da się ukryć, że tą swoją czarodziejską „rózdką” potrafisz nieźle narozrabiać!!! Była tam też ta paskudna raszpla Maddalena. Kto wie, czy prawdą jest to, co mówią, że coś was łączy. No, sama już nie wiem, co o tym wszystkim sądzić. Ej, czarodziejski księżę! Liderze rankingu czy jak cię tam, do cholery, nazywają, prędzej czy później dotrze do ciebie, że ja też istnieję (na to liczę). Założyłam sobie nawet pasek z Rumiankiem!!! Przeszedłeś tuż obok mnie i nawet na mnie nie spojrzalesz... I co teraz? ZACZARUJ MNIE... Bo jak nie, to ja rzucę na ciebie urok. No, to się kładę.

Dosłownie mnie zatyka, ale czytam dalej. O, znów jakiś fragment, w którym o mnie mowa.

Czytam dalej. Przerzucam w pośpiechu dwie, trzy kartki...

Nie mogę w to uwierzyć! Są razem!!! Step, nienawidzę cię!!! Jakby tego było mało, ta laska Gervasi pobiła się z The Body! Z samą Maddą Federici! Więc to prawda, że coś was łączyło! Tej Babi też nieźle przygadała... I jeszcze jej dołożyła. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, kurwa mać... Ech, jak trzeba, to trzeba! Ale żeż, kurwa, Step, jak ty się mogłeś związać z kimś takim!!! Przysięgam, że przyjdzie dzień, kiedy będziesz mi się musiał z tego wytłumaczyć. Nie dociera do ciebie, że ta panna nie ma jaj?! Że dla niej jesteś tylko kosztowną zabawką? Jak już się tobą nacieszy, to rzuci cię do szafy, razem z wszystkimi poprzednimi zabawkami, którymi już się zdążyła znudzić! Czasami wy, faceci, jesteście tak żałośni, że szkoda gadać, przewidywalni aż- do bólu, nie widzicie, że w zasięgu ręki macie prawdziwy skarb (to ja!) i wyprawiacie się gdzieś hen

daleko po jakieś tandetne błyskotki (to ona!!!). Ależ ona ma szczęście... strasznie jestem ciekawa, jak ona temu podoła. Kurczę, naprawdę strasznie chcę to zobaczyć!!!

I rzeczywiście tak robi. Przerzucam kartki i uświadamiam sobie, że nawet na chwilę nie spuściła mnie z oka. Strona po stronie. Gin... Zapisłaś wszystko. Zawsze przy mnie byłaś.

*Wczoraj byłam we Fregene. Byłam u Mastina. Też się tam pojawił. O matko, wygląda obłądnie. Cały opalony, co tu dużo gadać, chciałabym mu to po prostu wykrzyczeć! Step, jesteś megazajebistym koleś!!! My biegaliśmy na wyścigi, gdy tymczasem ta niemrawa Gervasi siedziała sobie jakby nigdy nic i na dobrą sprawę nawet nie zauważyła, że w ogóle przyjechałeś! No, sam powiedz, czy widziałeś kiedyś cięższy przypadek?!
A on, zabójczo przystojny, posadził ją na motorze, zawiązał jej oczy, żeby zabrać ją ze sobą w nieznane... Takie romantyczne porwanie, jak marzenie... MOJE marzenie! O Boże... ukradli mi moje marzenie!!! Oddawajcie, to mooooooje!*

Jest taka śmieszna. Cicha obserwatorka. Jakże mógłbym zapomnieć? To było wtedy, kiedy urwaliśmy się razem z Babi właśnie tam, do tego domu na skale, w Fenigli, marzenia, które się roztrzaskują o skalistą przeszłość. Nie chcę o tym myśleć... Chcę zobaczyć, co pisze dalej. Przeskakuję kolejne dwie strony.

Nie mogę w to uwierzyć! Nie chciałam uwierzyć!!! Ale to prawda. Zadzwoniła do mnie Ele, by mi o tym powiedzieć... Aż tam poszłam, żeby się przekonać na własne oczy. W takich wypadkach wolę nie zdawać się na innych. Jednak jest dokładnie tak, jak mówiła. Tam, na moście, coś pięknego!

JA I TY... TRZY METRY NAD NIEBEM! To znaczy, jeśli facet napisze ci coś takiego, to przecież w życiu go już nie zostawisz! Gervasi, cholera jasna, z ciebie to dopiero szczęściara!

I jeszcze, dalej...

Pojawili się razem na imprezie, też tam byłam, wierzyć się nie chce! Przebrali się za Toma i Jerry'ego. O Boże, czuję się fatalnie...

I dalej...

Umarł jego przyjaciel Pollo. Byłam razem z innymi w kościele. Tak bardzo chciałabym go przytulić. Modliłam się za niego, za jego miłość. Ale on w tej chwili potrzebuje przede wszystkim jej. Nie mnie.

I przerzucam kolejne strony, czytam fragmenty dotyczące mojego życia. Przyglądam się im za sprawą jej zapisków, jej barwnych obserwacji, podkreślonych przez nią zdań.

Rozstali się! Dowiedziałam się, że się rozstali. Powiedziała mi o tym Silvia (Służąca, ma taką ksywę, bo zawsze wie wszystko o wszystkich i żyje z tego, że może się ludziom przysłużyć!). To prawda! Przykro mi... wiem, że nie powinnam być aż taka szczęśliwa. Jakże ja się cieszę, do szaleństwa! Do szaleństwa! Step, ja chcę cię uszczęśliwić. Chcę, żebyś przy mnie poczuł się kochany... Proszę cię, daj mi tę szansę...

I jeszcze, dalej.

Jest Boże Narodzenie. Wyszłam i udałam się w stronę jego domu, to znaczy tam, gdzie teraz mieszka, u swojego brata. Widziałam, jak odjechał na motorze, a brat, Paolo, siedział mu za plecami. Paolo trzymał się go mocno, śmiali się z czegoś. To dobrze, tak się cieszę. Wygląda, że ma się lepiej. Jeśli naprawdę kogoś kochasz, to musisz chcieć, by tej osobie było dobrze, musi ci zależeć, aby była szczęśliwa. Nie wolno ci być egoistą... (O matko, robię się nie do wytrzymania...). W każdym razie widziałam, jak śmigał na motorze, na jednym kole, z bratem za plecami, który nic tylko wrzeszczał! Strasznie mnie to rozbawiło. Wróciłam do domu. Otworzyłam prezent od rodziców. Dostałam od nich obłądną pidżamę! Step, kiedy już mnie w niej zobaczysz, to aż obliżesz się z wrażenia! (Straszna ze mnie kwasiarą!). Później się położyłam i przytuliłam do poduszki. Kretynka ze mnie? Zaczęłam ją całować, wyobrażając sobie, że to ty. Step. Zajebicie mi się podobasz! Zasnęłam i przyśniło mi się coś takiego... o czym sama bardzo marzę. Wcześniej czy później się spotkamy...

I jeszcze. Dalej. Czytam kolejne strony, takie wesołe i pełne życia, które dotyczą wyłącznie jej. O, właśnie. Znowu wspomina coś o mnie.

Jestem zdruzgotana. Fatalnie się czuję. Dowiedziałam się, że wyjeżdża. Za granicę. Cholera, ten związek musiał być naprawdę dla niego ważny, skoro zdecydował się na coś takiego. Przypominam sobie jednak pewne zdanie, które moja matka powtarzała mi od zawsze, jest bardzo piękne: „Możesz zmienić niebo, które masz nad sobą, ale duszy w sobie nie”. Czy ten wyjazd na coś mu się przyda? Wiem tylko, że będę na ciebie czekała, Step...

To prawda. Czasami wyrwanie się pod inne niebo na nic się nie przydaje. To, z czym musisz się uporać, jest w głębi ciebie, niezależnie od tego, dokąd się udasz. Ona chyba coś na ten temat wie, czyż nie?

I jeszcze. Dalej. Przerzucam kilka kolejnych kartek.

Udało mi się. Poznałam ją „przypadkiem” w supermarkecie, Chyba się zorientowała... (choć mam nadzieję, że jednak nie!). Świetnie się dogadujemy... lubię ją, ale sama nie wiem, wygląda, jakby była z jakiegoś powodu nieszczęśliwa, ma w sobie jakiś smutek, ale odnosi się do mnie jak do dorosłej, fajna jest... Od razu widać, że jest bardzo piękna. Wykapany syn!

Mama się zorientowała. Jej nic nie umknie. I dalej.

Jestem szczęśliwa. Zostałyśmy przyjaciółkami. Opowiedziała mi co nieco o Stepie. Wydaje mi się, jakbym znała go od lat. Jest dokładnie kimś takim, kogo chciałabym w życiu spotkać. Nie posiadam się ze szczęścia, bo powiedziała mi, że on wraca w przyszłym tygodniu.

I jeszcze. Dalej.

Szlag by człowieka trafił!!! Wszystko mi się pomyliło... Wybrałam się tam na wpół do dziewiątej rano... Jakoś nie dotarło do mnie, że przyjeżdża owszem o wpół do dziewiątej, ale wieczorem! Podają a.m. i p.m. Ale kto ma głowę do takich drobiazgów, kiedy spodziewa się przyjazdu Stepia!!! Nie mogę w to uwierzyć! Pojechałam na lotnisko, czekałam tam na niego dwanaście godzin, a jak przyszło co do czego, to nie miałam odwagi nic zrobić! To znaczy Step się w pewnym momencie odwrócił, ale ja od razu schowałam się za pilastrem

I a nuż mnie zobaczył! Cholera, zorientował się, że ktoś mu się przygląda! A co to, ma zapasowe oczy z tyłu... O rany, jaki on ładny. Wyszczupłał. I wyrósł. I... no!

Niesamowite, przyjechała nawet na lotnisko. I jeszcze. Dalej.

Dzisiaj wieczorem go dorwę, jestem tego pewna. Już obmyśliłam cały plan. Po południu zeszłam do garażu, odłączyłam rurkę, która łączy bak z silnikiem (Paolo dokładnie mnie poinstruował co i jak! Paolo jest zajebisty, a cała reszta to już banał!!!), i tak został bez benzyny. Więc choćby nie wiem co, będzie musiał zatankować. Na siłowni usłyszałam, co planuje robić wieczorem, więc ma tylko dwie możliwości: albo się zatrzyma, żeby zatankować na Flaminii, albo na tej drugiej stacji benzynowej, na corso Francia. Ale facet, który dopiero co wyszedł z siłowni, ma ochotę się przejechać... Według mnie pojedzie dłuższą trasą. Będzie chciał poczuć wiatr, na dodatek koleś taki jak on uwielbia jazdę na motorze... No, w każdym razie, na wszelki wypadek zablokuję obydwie dystrybutory samoobsługowe, w jednym i w drugim założę kłódkę. A co mi tam!

Poczekam na niego na Flaminii, jak zobaczę, że go nie ma, zawrócę i pojedę na corso Francia. Plan doskonały. .. I tak taki uparciuch jak on, choćby nie wiem co, nie da się wydymać... i bynajmniej nie chodzi tu o pieniądze, tylko

o zasadę! Ktoś, kto przywykł do tego, że dyma innych... sam nie da się innym wydymać!

Nie wierzę w to, co czytam. Przekreślam stronę. I jeszcze. Dalej.

Udało mi się!!! Wow, wow, wow! Wróciłam do domu i zrobiłam tak samo jak Julia Roberts w Pretty Woman, zaczęłam wymachiwać pięścią przy twarzy, wykonując okrężne ruchy, tak by uczcić powodzenie mojego genialnego planu. Poznałam go! Boska Gin!!! Jeszcze chwila, a wgniótłby mnie w maskę i przyłożył mi pięścią prosto w twarz. Fiu, fiu! Czarno to widziałam. Wiedziałam, że się schował, ale co mogłam poradzić? Musiałam udawać, że dałam się nabrać, ale tak naprawdę to on się dał nabrać! I to jeszcze jak!!! Czekałam całe dwa lata i potem jeszcze dwanaście godzin na lotnisku. Co za udręka. Ale jestem pewna, że się okaże, iż warto było! Jestem pewna, że wszystko ułoży się cudownie, jak w bajce.

18 września

Juhuuuu! Nieźle mi poszło, co też ja wygaduję, genialnie mi poszło!!! Przeszłam casting w TdV, tam gdzie on pracuje. Coś niesamowitego! Udało mi się!! Wcale się nie spodziewałam. Ale najbardziej niestłuchane jest to, że Ele też się załapała! Ha, nigdy wcześniej nie przeszła żadnych eliminacji! Step... Czyżbyś przynosił szczęście? Ale jednego jestem pewna. Odtąd będę go widywała codziennie. I co teraz? Dokąd uciekasz? Przecież tak jest w sam raz... Zajeście. Cudownie. Z drugiej strony niekiedy okazuje się, że jednak jest sprawiedliwość na tym świecie! Oj, wciąż jeszcze nie mogę w to uwierzyć... W każdym razie ten wiersz jest specjalnie dla ciebie!

Step. Zawsze cię pragnęłam.

I teraz też tylko ciebie chcę.

Bo już tyle o tobie marzyłam, śniłam, tak bardzo cię pożądałam. Tylko ciebie chcę.

Bo tyle już o tobie wiem, a nawet jeszcze bardziej, bo tylu rzeczy wciąż nie wiem. Tylko ciebie chcę.

Bo tyle znaczy dla mnie ten pocałunek, którego wciąż ci nie dałam.

Pragnę cię.

Bo wciąż się jeszcze nie kochałam.

Pragnę cię, choć jeszcze nigdy cię nie zakosztowałam.

Pragnę cię, całego ciebie. Z twoimi błędami, z twoimi sukcesami, z twoimi porażkami, z twoimi bólami, z twoimi codziennymi zwątpieniami, z troskami, które cię gnębiły i z tymi, o których już, mam nadzieję, zapomniałeś, a także z tymi, o których sam nic jeszcze nie wiesz.

Pragnę cię.

Tak bardzo cię pragnę, że nic nie jest w stanie mnie zaspokoić.

Tylko ciebie chcę i sama nawet nie wiem dlaczego...

Ufff. TYLKO CIEBIE CHCĘ.

Ni stąd, ni zowąd dociera do mnie hałas. Odwracam się gwałtownie. Gin stoi w drzwiach pokoju. Paolo jest tuż za nią.

- Nie gniewaj się. Step, ale nie udało mi się jej zatrzymać. Sama przecisnęła się przez drzwi, zanim zdążyłem się obejrzeć i...

Podnoszę rękę. *Paolo* chwyta w lot. Nie robi ani kroku dalej. Milknie. Słowem się więcej nie odzywa. Zastyga z niezbyt bystrym wyrazem twarzy, tkwi nieruchomo w drzwiach, gdy tymczasem Gin wchodzi do pokoju. Powoli stawia krok za krokiem, spogląda na mnie, ale wydaje się, jakby wzrokiem przenikała mnie na wylot. Zupełnie jakby patrzyła przed siebie w skupieniu, w dal, i czegoś szukała. Zdemaskowana w swojej najprawdziwszej miłości. A nawet bardziej... Ma takie smutne oczy. Mokre od łez. Pozbawione choćby cienia uśmiechu. Przepiękne. Serce mi się ściska. Bo jest w nich światło, które tak dobrze znam. Widzę to wszystko, co sam przeżyłem, wszystko, przez co przeszedłem, to wszystko, co przepadło.

- Gin... ja...

- Ciii - zwraca się do mnie. I przykłada sobie palec wskazujący do ust, niczym mała rozbrajająca dziewczynka. Zamyka oczy i potrząsa głową. - Nic nie mów, proszę cię... - Sięga po swoje pamiętniki, bierze jeden po drugim, opiera je na stole i sprawdza. Liczy i wkłada je sobie do torebki. Po czym odwraca się do mnie plecami, ani razu się nie oglądając, i odchodzi w milczeniu.

79

Kościół. Surowy. Około stu zgromadzonych osób. Niektórzy stoją, inni siedzą, są i tacy, co opierają się o cenne, zabytkowe kolumny, pociemniałe od minionego czasu; te kolumny to niemi świadkowie rozlicznych modlitw, wznoszonych pragnień, przeżytych cierpień. Przez nich. Przez wielu. Przez innych. A teraz i mój ból. Tutaj. Namacalny. Ból, że nie potrafiłem być tak do końca bohaterem własnego życia, że tylko zmarnowałem czas... Bo co takiego robiłem? Osądzałem. Ja osądzałem własną matkę. Nie jestem w stanie pojąć, dlaczego nie dotarło to do mnie wcześniej. Nagle sobie uświadamiam, jak bardzo wszystko wymknęło mi się spod kontroli, gdy zaślepiiony nie wiadomo jakimi względami, rzuciłem się przed siebie jak opętany, głuchy na wszystko, wściekły i żądny bliżej nieokreślonej sprawiedliwości... Dopiero teraz dociera do mnie, jak kolosalną poniosłem porażkę. I to w mojej najmniej wymagającej roli. Nie proszono mnie o nic specjalnego, o nic wielkiego, jedynie o ciszę. Bym się nie wypowiadał. Również dlatego, że nie byłem upoważniony, nie takie było moje zadanie, nikt mi tego nie zlecił, nie miałem prawa... Nic. Nic, co by mi dało do tego podstawę: by przebaczać. Przebaczenie. Kim jestem, bym miał

wybaczać innym? Kim jesteśmy, byśmy mieli przebaczać, kim jesteśmy, by rościć sobie do tego prawo? A jednak nie, uparty, egoistyczny, zaślepiony, chciałem zostać sędzią. Mimo że nie miałem do tego żadnego prawa, choć nie taka była moja rola, niczym sobie na to nie zasłużyłem, nie było żadnego powodu. Żadnego. Pycha. Nie wiedzieć skąd się wzięła, w jakich przekonaniach znalazła dla siebie potwierdzenie, owoc mentalności drobnomieszczańskiej w najhaniebniejszym wydaniu... A nawet jeszcze gorzej. Uzurpowanie sobie prawa do wybaczenia, a jednocześnie całkowita niewiedza, jak to zrobić. Bez przebaczenia. Właśnie. Jestem tutaj, w tym kościele. Pograżony w ciszy. I czuję się podle. Nie ma nic gorszego niż przeświadczenie, że życie przelatuje ci między palcami, niczym zwykły piasek, choć swego czasu zdawało ci się, że jest twoje, a potem odkryłeś, że wcale do ciebie nie należy. Jakbyś zastygł w bezruchu, przypadkiem, gdziekolwiek, zdany na pastwę wiatru i tego wszystkiego, co on ze sobą niesie. Już nic więcej mi nie pozostało, moje ręce są próżne. I wstyd mi z tego powodu. Rozglądam się. Mój ojciec, mój brat, ich partnerki. A nawet Pallina, Lucone, Balestri i jeszcze inni moi przyjaciele. Niektórych brakuje... Choć są i tacy, bez których by się obyło. Ale nawet nie mam ochoty się nad tym zastanawiać. Bo tak wypada, tego się od nas wymaga, bo trzeba zgrywać dobrego, bo brakuje odwagi, by być konsekwentnym do końca, bo nigdy nie wiadomo, co nas czeka... Nie. Nie chcę o tym myśleć. Nie dzisiaj. Wokół mnie jest poza tym mnóstwo ludzi, których imion nawet nie znam. Dalecy krewni, kuzyni i kuzynki, ciotki i wujowie, przyjaciele rodziny, osoby, które pamiętam jedynie z wyblakłych fotografii, związane z niewyraźnymi wspomnieniami z imprez, z minionymi, wspólnie spędzonymi chwilami, mniej lub bardziej szczęśliwymi, z odwzajemnionymi uśmiechami, z pocałunkami i innymi jeszcze okazjami, których nawet nie potrafię wymienić, sprzed sam nawet nie wiem ilu lat. Książd przeczytał jakiś tekst. Teraz coś mówi. Stara mi się wytłumaczyć, jak to wszystko, co nas spotyka, dzieje się dla naszego dobra. Dla mojego dobra. Ale nie jestem w stanie podążać za jego tokiem rozumowania. Nie. Nie daję rady. Mój ból jest bezmierny. Nie jestem w stanie myśleć, pojąć, zaakceptować, pogodzić się... Jakże to wszystko może się dziać dla mojego dobra? Jak, w jaki sposób, z jakiego niedorzecznego powodu? Tyle się naopowiadał, tyle historii przytoczył, tyle mi obiecał... Ale nie udaje mu się mnie przekonać... Nie. Tylko jednego jestem pewien. Mojej matki już nie ma. Tylko to jest dla mnie jasne. I to mi wystarczy. Choć gwoli ścisłości, to wcale mi nie wystarczy... Mamo, brakuje mi ciebie. Brakuje mi tego czasu, który mógłbym przeżyć razem z tobą, kiedy mógłbym ci powiedzieć to, co nareszcie zrozumiałem. I mówię to bezgłośnie. Ty jednak mnie słyszysz. Rozlega się dźwięk organów. Widzę, jak z głębi kościoła zbliża się Gin. Jest ubrana na czarno, idzie w milczeniu. Przechodzi wzdłuż naw, przemyka się niepostrzeżenie, choć ja nie spuszczam jej z oka. Na stopniach ołtarza z czułością składa wieniec i patrzy na mnie. Z daleka. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Ani śladu uśmiechu, ani pretensji. Nic. Czyste spojrzenie, na jakie stać

tylko ją samą. Wolne od wszystkiego innego, zdolne do oddzielenia bólu i szacunku od całej reszty. Ostatnie spojrzenie. I zaraz widzę, jak wraca na koniec kościoła. Niedługo potem jest już po wszystkim. Rozglądam się za nią przy wyjściu, ale jej już nie ma. Zgubiłem ją. Podchodzą do mnie różni ludzie, obejmują, mówią mi rozmaite rzeczy, wymieniają uścisk dłoni. Ale ja ich nie słyszę, nie rozumiem... Staram się uśmiechnąć, podziękować, usiłuję nie płakać. Ale mi się to nie udaje. I wcale się tego nie wstydzę. Mamo, będzie mi ciebie brakowało. Łzy same płyną. Szlocham. Odreagowuję, wyrzucam to z siebie, wyzwalam się, pragnę być nadal małym dzieckiem, być kochanym, cofnąć czas, nie dorastać, wciąż być otoczonym jej czystą miłością. Ktoś mnie przytula, obejmuje ramieniem, przyciska do siebie. Ale to nie ty, mamo. To nie możesz być ty. I ja wspieram się na tym ramieniu, wtulam w nie głowę. Chowam twarz i skrywam łzy. I chciałbym, żeby nie było za późno. Mamo, wybacz mi.

80

Kilka dni później. Sam nie wiem ile. Ten ból, który cię nie opuszcza. I nawet nie masz pojęcia, skąd się bierze. Jest taki niewytłumaczalny. Zwała cię z nóg niczym olbrzymia fala, której się nie spodziewasz, a ona dosięga cię akurat wtedy, kiedy jesteś odwrócony plecami, przewraca cię, uniemożliwia złapanie oddechu, wyrzuca na wilgotny piasek, po którym turlasz się siłą rozpędu, zacierając ślady, jak sam sądziłeś, tak pewne w twoim życiu. A jednak okazuje się, że nie. Nie są wcale takie pewne. Już nie. Od wielu dni krążę wokół jej klatki. Od wielu dni obserwuję, jak wychodzi, za każdym razem wygląda inaczej. Choć każde z jej wcieleń nieodmiennie łączy jedno. Jest piękna. Prześliczna. Raz ubrana niedbale, to znów na luzie albo elegancko, ze spiętymi włosami, lub z rozpuszczonymi, spływającymi swobodnie na ramiona, z rozwianymi, niesfornymi kosmykami. Z wypuszczonymi dwoma pasmami włosów, w sukience w kwiaty, w ogrodniczkach z opuszczonymi szelkami, w idealnej garsonce, w błękitnej koszuli z podniesionym kołnierzykiem i do tego granatowej spódnicy. W jasnych džinsach, w kombinezonie, w poszarpanych džinsach z przeszyciami na wierzchu, które odcinają się od reszty, tak że od razu sieje zauważa. We wszystkich tych swoich ubraniach zakupionych na Yoox. Razem z dodatkami. W różnych kolorach. Wyobraźnia, dzięki której każdego dnia jest kimś innym. Ale dostrzegłem też coś, co zawsze wygląda jednakowo. Jej oczy. Jej twarz. Odbijają się w nich odległe ślady po przebytej przykrości. Niczym przepiękny sen, który został nagle przerwany, bo ktoś, szarpiąc z furją, odsłonił żaluzję. Niczym natrętny sygnał komórki, którą ktoś zapomniał wyłączyć i ta dzwoni, bo z uporem maniaka telefonuje na nią ktoś, komu pomyliły się numery, albo, co gorsza, osoba, która nie ma nic do powiedzenia.

Niczym alarm uruchomiony przez jakiegoś gapowatego, nieudolnego złodzieja, który już dawno przepadł gdzieś pośród nocy. Jakaś roztrzepana istota wpadła na nią i jednym kuksańcem rozprawiła się z jej szczęściem. I to ja za tym stoję. I nie mogę się niczym zasłonić, nic mnie nie usprawiedliwia. Mogę mieć tylko nadzieję, że w końcu zostanie mi to jakoś wybaczone. O, właśnie. Widzę, jak wychodzi. Widzę, jak przecina ulicę. Jest już w samochodzie. I po raz pierwszy od tylu dni, gdy tak skrywam się w cieniu, robię krok do przodu i patrzę jej prosto w oczy. Zatrzymuję jej spojrzenie. Na chwilę je sobie przywłaszczam. I zdany na nie, nieśmiały i zawstydzony, czule się uśmiecham. Mówię i wyjaśniam, i opowiadam, i robię wszystko, byle tylko nie przestała na mnie patrzeć. A wyrażam to samym tylko spojrzeniem. Wpatrując się w jej oczy, odnoszę wrażenie, jakby słuchała w milczeniu, potakiwała, rozumiała, rzeczywiście przyjmowała do wiadomości to wszystko, co, mam nadzieję, wyrażają moje oczy. Po chwili ta cisza, na którą składają się tysiące słów, tak intensywna jak jeszcze nigdy dotąd, zostaje przerwana. Gin spuszcza wzrok. Jakby czegoś szukała. Trochę siły. Uśmiechu. Słów, które by się dało powiedzieć na głos. Ale niczego takiego nie znajduje. Niczego. Więc znów zwraca swój wzrok na mnie. Lekko kręci głową. Na jej policzku widać nieznaczny grymas, jakby ślad po bladym uśmiechu, a nuż choćby cień szansy. Jakby chciała powiedzieć: „nie, jeszcze nie, wciąż jest na razie na to za wcześnie”. A przynajmniej ja sam coś takiego chcę wyczytać. I odjeżdża, nie dane mi jest wiedzieć dokąd, w stronę życia, które na nią czeka, może na spotkanie nowego marzenia, z całą pewnością lepszego od tego, które ja jej skradłem. I ma rację. I ze wszech miar na to zasługuje. A ja zastygam tam, gdzie jestem, w ciszy. Zapalam sobie papierosa. Biorę raptem dwa machy i go wyrzucam. Na nic nie mam ochoty. Ale po chwili orientuję się, że to nieprawda. I dlatego sięgam do kufra po jeszcze jednego szluga.

Daleko, a nawet jeszcze dalej, w tym samym mieście. Ruch na drodze, samochody, klaksony, zapracowani policjanci z drogówki, strażnicy miejscy - ewidentni dyletanci, ale za to eksperci w upierdliwości. Rina, pomoc domowa Gervasich, wychodzi z osiedla Stellari. Żegna się z portierem swoim zwykłym, okraszonym nadmiernym zarostem uśmiechem. I zmierza zdecydowanym krokiem w stronę kontenera na śmieci, roztaczając wokół siebie woń tanich perfum, które nie najlepiej maskują skutek całego, pełnego wysiłku dnia pracy. Otwiera kontener, następując z impetem stopą na żelazny drążek. I zataczając idealny łuk, lepiej od niejednej siatkarki, która jest przy piłce, wrzuca do środka worek ze śmieciami. Kontener się zamyka, niczym ostrze gilotyny, nad którym jakiś nieprzytomny kat zupełnie stracił kontrolę. Ale klapa się nie domyka. Z jednego bowiem rogu wystaje zwinięty plakat. To tamto powiększone zdjęcie chłopaka i dziewczyny, obydwójce siedzą okrakiem na motorze, który jedzie na jednym kole.. Zbuntowany krzyk w chwili szczęścia... skowyt miłości, która już

dawno uległa erozji czasu. Wszystko minęło. I teraz, jak to często bywa, wylądowało na śmietniku.

Pallina w pośpiechu wychodzi ze swojej kamienicy. Wesoła i rezolutna, elegancka, od dawna nikt jej takiej nie oglądał. Wsiada do samochodu i cała uśmiechnięta obejmuje chłopaka, który siedzi za kierownicą. Znow chce kierować własnym życiem.

- No, to gdzie jedziemy?

- Gdzie chcesz.

Pallina patrzy na niego i się śmieje. Postanowiła znow się zaangażować. I on jest tą właściwą osobą.

- Sam coś zdecyduj, w końcu jednego wieczora możemy wybrać się gdzieś bez celu.

Demie nie trzeba tego powtarzać dwa razy. Od lat czekał na tę chwilę. Miętko wrzuca bieg i swobodnie włącza się do ruchu. I zaraz nastawia głośniejsze grajło i się uśmiecha.

Eva, stewardesa, właśnie przyleciała do Rzymu. Kładzie walizkę w swoim pokoju w hotelu i natychmiast próbuje się do niego dodzwonić. Nic. Jego komórka jest wyłączona, szkoda, bardzo chętnie by się z nim zobaczyła. Ale to nic. Chwilę się namyśla. I zaraz się uśmiecha, wybiera kolejny numer. Kto jest wiecznie w podróży, zawsze ma w zanadrzu jakiś kolejny numer.

Daniela siedzi u siebie w pokoju. Dopiero co się dowiedziała, że to chłopczyk. Niezdecydowana kartkuje skorowidz imion. Alessandro, Francesco, Giovanni... szuka pochodzenia i znaczenia każdego po kolei. To musi być ważne imię, najlepiej jakiegoś wojownika, albo chociaż oryginalne, nietypowe, takie, które trudno zapomnieć. I szczęśliwa uśmiecha się do samej siebie. Przynajmniej tę decyzję mogę podjąć samodzielnie. Ale zaraz ogarnia ją niepokój. A jeśli imię, które wybiorę, będzie takie samo, jak jego ojca? Zaczyna się wahać i w końcu odpuszcza sobie tego „Fabio”, który wydawał jej się w sam raz. Chce mieć absolutną pewność... i tylko nie ma pojęcia, jak jałowe są jej wątpliwości. Z całą pewnością to dziecko w życiu nie pozna imienia swojego ojca.

Babi jest u siebie w pokoju. Cała szczęśliwa studiuje listę zaproszonych gości. To już niedługo. O rany, mamó, uparłaś się, żeby zaprosić też Pentestich, których nie znoszę, i kuzynów, których w życiu na oczy nikt nie widział. Mama i te jej zasady. I przez chwilę nawet rozważa pomysł, który zwaliłby Raffaellę z nóg. Tak, pomysł doprawdy obłądny. Zaprosić Stepa na swój ślub. Byłoby zajebiście. I nawet nie zdaje sobie sprawy, jak bardzo wdała się we własną matkę. Chociaż nie do końca. Szczerze mówiąc, jest od niej znacznie gorsza.

Dwie kobiety rozglądają się dookoła. Chcą być pewne, że w pobliżu nikogo nie ma. I zaraz, już spokojne, spiskujące niewolnice na usługach jałowej plotki, nareszcie mogą sobie ulżyć.

- Zapewniam cię, widziałam go z młodą dziewczyną, była cała opalona...

- Nie wierzę... ale widziałas to na własne oczy?

- Nie, ale wiem to od kogoś bardzo zaufanego.

- Chyba już wiem, kto ci to powiedział, ja też od niej to słyszałam, ale musiałam obiecać, że nikomu o tym nie pisnę ani słowa. W każdym razie nie jest opalona, tylko czarna! To Brazylijka!

- Naprawdę? Dziwne, w życiu bym się po nim czegoś podobnego nie spodziewała.

- Dlaczego nie? Ona jest przecież nieznoszna!

Obydwie zanoszą się śmiechem. Po chwili milkną i trochę im się robi głupio z powodu tego śmiechu. Może nawet same siebie zapytują: a bo co, my to niby jakie jesteśmy dla swoich mężów? Dochodzi do tego, że czują się winne, bo same nie potrafią sobie udzielić uczciwej odpowiedzi. Być może wcale aż tak znowu bardzo się od niej nie różnią. Raffaella siedzi w głębi pomieszczenia. Obydwie na nią spoglądają. Ona patrzy na nie z daleka, ich spojrzenia krzyżują się ze wzrokiem Raffaelli, która się do nich uśmiecha. One też się uśmiechają, zgodne i nieco nieporadne. Po czym znów popatrują na siebie. Czyżby je przejrzała? Czyżby się zorientowała, że właśnie o niej mówiły? Same muszą się uporać z dręczącym je niepokojem, a tymczasem Raffaella nie poświęca im już ani chwili uwagi. Teraz całkowicie pochłania ją przeciwniczka.

- Et voila... I już po drugiej talii. Sama popatrz na moje karty... Żadnej nie brakuje, wygrałam!

Zaczyna szybko podliczać punkty, szczęśliwa, nic sobie nie robiąc z całego tego jałowego gadania.

- Ej, sędzio, nie było! - Claudio podrywa się na równe nogi, ma czapkę z daszkiem, która prawie zsuwa mu się z głowy, tak bardzo jest podekscytowany i szczęśliwy. Poprawia sobie czapeczkę i wraca na miejsce obok Franceski.

- Też to widziałas, Fra'... nie było, prawda?

A ona potakuje skinieniem głowy. Choć w sumie to raczej niespecjalnie zna się na piłce nożnej.

- Szkoda gadać, zawsze to samo! Chcą dać wygrać Aniene, tu na Canottieri Lazio zawsze się tak kończy! Bo tamci mają więcej członków. - Claudio, usatysfakcjonowany tym, co właśnie mu podpowiedziała jego genialna intuicja, obejmuje Francescę, a nawet całuje ją w same usta, mając gdzieś wszystkich i wszystko, ewentualnych znajomych, tych, którzy mogliby go zobaczyć, którzy chcieliby go oceniać... a także tych, którzy mogliby skomentować: „Ależ jak to, jest od ciebie dwadzieścia lat młodsza!”. I po chwili Claudio znów zaczyna bacznie śledzić mecz, ale zaraz zauważa, że nieopodal siedzi Filippo Accado z żoną. Słyszeli, jak wrzeszczał, i teraz wpatrują się w

niego. On do nich macha, szeroko się uśmiechając, i rozkłada ręce w geście serdecznego powitania.

- Cześć, Filippo. Cześć, Marina. - I znów, obejmuje Francescę, chcąc w ten sposób dać raz na zawsze, wszem wobec, do zrozumienia, że jego znakomity wybór jest nieodwołalny. Także dlatego, że gwoli ścisłości, ona jest od niego młodsza o dwadzieścia cztery lata. Małżonkowie Accado uśmiechają się dosyć niewyraźnie, nie są najszczęśliwsi, że sami Bogu ducha winni stali się świadkami tego, co przynajmniej dla nich było do tej pory jedynie zwykłą pogłoską. Claudio dobrze o tym wie. I jest szczęśliwy, mogąc ją definitywnie potwierdzić. Po chwili spogląda na Francescę. Piękna, gładka, naturalnie opalona, młoda i przede wszystkim... nieupierdliwa! I uśmiecha się do niej.

- Pewnie, gdybym się tylko nazywał Paolo... bylibyśmy jak Paolo i Francesca trzeciego tysiąclecia!

A ona, która już wcześniej nic nie rozumiała z tego, co się dzieje na boisku, i tym razem potakuje. Do Claudia dociera, że trochę się przeliczył. To prawda, nie można mieć wszystkiego. Toteż, by odzyskać pewność, że wybór, którego dokonał, jest słuszny, wyciąga papierosa. Już ma go zapalić, kiedy odzywa się Francesca, która tym razem dobrze wie, co ma powiedzieć.

- Ależ, Claudio, dopiero co paliłeś...

- Masz rację, kochanie. - Uśmiecha się, wkłada papierosa z powrotem do pudełka i wraca do oglądania meczu. Kątem oka, tak by się nie zorientowała, wciąż przygląda się Francescę. Żuje gumę, wcale nie zamykając przy tym ust, i nuci jakąś dziwną brazylijską melodię. Ma lekko nieprzytomny wzrok, jakby myślała nie wiadomo o czym. Czy dobrze zrobiłem? Czy tego naprawdę chciałem? Claudio przez chwilę czuje nagły przyпіływ paniki. No... tak, myślę, że jak najbardziej. Przynajmniej póki jest fajnie. I zaraz przypomina sobie swoją brzemienną w skutki decyzję. Ten wielki przewrót, którego dokonał zaledwie tydzień temu. W gruncie rzeczy to Francesca ostatecznie utwierdziła mnie w przekonaniu co do jego słuszności. Tak, to ona jest kobietą, na którą czekałem. Wszystko jej zawdzięczam. To jej zasługa, że błękitne bmw Z4 stoi teraz zaparkowane przed stadionem. Więc Claudio wraca do oglądania meczu, cały zachwycony i szczęśliwy.

- Naprzód, chłopaki! Wyrównajcie! Strzelcie im gola jak należy! - I nawet nie ma pojęcia, że dokładnie w tej samej chwili jakiś pierwszy lepszy buc z Garbatelli właśnie mu zwinął jego beemkę Z4. Przy użyciu zwykłego ostrza za 1 euro od ręki zgarnął 42000... Euro mniej, euro więcej.

Paolo i mój ojciec postanowili się wybrać do Chińczyka na via Valadier. Tego, do którego chodzą wszyscy i skąd wychodzą przesiąknięci kuchennymi wyziewami. Siedzą przy stole. Śmieją się i żartują w towarzystwie swoich kobiet. Zamówili całą masę różnych rzeczy. Począwszy od smażonych alg aż po nieśmiertelne sajgonki, od wieprzowiny w sosie słodko-kwaśnym po kaczkę po pekińsku. Poprzez zupę z rekina, chrupiącą wieprzowinę, pierożki na parze i z

grilla oraz danie nowość. Wszystkiego skosztowali. Napchali się, próbując wszelkich możliwych sosów, które sobie nabierali z tego dziwnego, obracającego się talerza, który Chińczycy specjalnie umieszczają na samym środku stołu, byś mógł się poczuć jak rodowity Azjata. Ale kiedy przynoszą ci rachunek, wprawdzie napisany po chińsku, z dziwnym zygzakiem na końcu, który świadczy o jakiejś pseudozniżce, to wówczas powinno do ciebie dotrzeć, że dla nich zawsze będziesz tylko i wyłącznie człowiekiem z dalekiego Zachodu. Paolo wraz z ojcem wrywają sobie rachunek z rąk. Chińczycy stoją przed nimi. Sprawiają wrażenie rozbawionych tym, co widzą, i szeroko się uśmiechają. Im to przecież i tak wisi... Po tej tradycyjnej, żalostnej pantomimie zawsze jeden z dwóch gości i tak zapłaci.

Martina i Thomas siedzą na stopniach na osiedlu. Jedzą kawałek pizzy. Z sosem pomidorowym.

- Naprawdę... jest pyszna. Gdzie ją kupujesz?

- Tutaj niedaleko. Smakuje ci?

- Bardzo.

- Wiesz, chciałam cię nią poczęstować już od dawna, ale nie wiedziałam, czy masz ochotę.

- Pewnie, że mam! A wiesz, może jutro sam ją kupię i zjemy sobie po kawałku na podwieczorek, tu gdzie dzisiaj. Wygodnie się tak siedzi na schodach. Co ty na to?

- Czadowo, okay.

Potem Thomas, z grubsza wycierając sobie twarz w koszulkę, postanawia jej o tym opowiedzieć.

- Wiesz, Marti, kilka dni temu chodziłem sobie po placu, kiedy przydarzyło mi się coś bardzo dziwnego.

- Co takiego?

- No, dokładnie tutaj. Czekałem na Marco, który miał mi oddać piłkę, i w pewnym momencie zatrzymał się jakiś koleś na niebieskiej hondzie. Ale mówię ci, taki dorosły, miał przynajmniej z dwadzieścia lat. Zsiadł, wyjechał mi z liścia prosto w twarz, po czym wiesz, co mi powiedział?

- Nie, co?

- Zostaw w spokoju Michełkę.

Po czym wsiadł na motor i odjechał. Masz pojęcie? Michela jest z kolesiem, który skończył dwie dychy!

To raptem tylko jedna chwila. Martina się uśmiecha, ale tak, żeby się nie zorientował. Wierzyć jej się nie chce. Step. A to ci dopiero świr. Jeden z tych rzadkich okazji, których nie spotyka się na co dzień. Ale jeśli już się na niego trafi, to nic, tylko się cieszyć. A Thomas nie odpuszcza.

- A wiesz, do kogo był podobny? Pamiętasz tego kolesia, z którym gadałaś jakiś czas temu? No wiesz, wtedy kiedy ja siedziałem na łańcuchu i do

ciebie machnąłem, a wy staliście tam i gadaliście, wiesz, przed kioskiem?
Wiesz, o kogo mi chodzi?

- Tak, wiem, o kim mówisz. Ale mówię ci, że się mylisz. To nie ten koleś. A poza tym, sorry, ale czy myślisz, że ktoś taki jak on zwiąże się z Michela? Z Michela może być ktoś taki jak ty.

- Ja? Odbiło ci? Łażę za nią, bo mi zwinęła płytę Simple Plan, wiesz *Still Not Getting Any?* Pożyczyła ją ode mnie miesiąc temu. Ale widać, że po tym jak jej powiedziałem: „to, co pożyczone, się odwraca i do właściciela wraca”, ta zrozumiała, że samo sobie wróci!

Martina się uśmiecha. Nie tyle z powodu samego żartu, który jest ewidentnym kwasem, ale dlatego, że zaczyna się domyślać, jak się sprawy mają.

- W każdym razie jeśli to ten sam koleś, to weź mu ode mnie powiedz: „Ej, Michela, wisi mi równo i powiewa”.

- Pewnie, bo żeś spękał...

- Spękał, co ty wygadujesz! Jak tylko dorwę gościa, to go urządzę tak, że popamięta. To znaczy, za jakieś parę lat. Przysięgam, że zacznę chodzić na siłownię. Lepiej, już wiem, zapiszę się na kurs wrestlingu, będę jak John Cena, może nawet nagram jakiś raperski kawałek. Gościu jest zajebisty, wiesz, o kim mówię?

- Nie.

- Ty to w ogóle nie masz pojęcia, kto jest kto!

Thomas wzrusza ramionami i bierze słusznego gryzą pizzy. - Mmm, ale dobra... - W końcu on też się uśmiecha, zapominając o całym zajściu. I ma rację. W życiu stale szukamy wytłumaczenia. Marnujemy czas, usiłując się dowiedzieć dlaczego. Ale czasami nie ma żadnego dlaczego. I jakkolwiek smutno by to brzmiało, do tego właśnie sprowadza się całe wytłumaczenie. Thomas rozmawia z Martina, śmieją się i żartują na rozmaite tematy. W pewnym momencie spoglądają na siebie. Ona patrzy na niego tak jak zawsze. On na nią tak jak jeszcze chyba nigdy dotąd. I się uśmiecha. Może dlatego, że go uspokoiła, co do tego wymierzonego mu policzka. A może zwyczajnie dlatego, że ta dziewczyna właściwie wcale nie jest taka znowu zła. Sam nie wie. Tymczasem kończy im się pizza. A jednocześnie zaczyna coś całkiem nowego.

Trochę dalej. Inna okolica. Miejsce, do którego tak czy inaczej w końcu wszyscy trafimy. Bez specjalnych aktów notarialnych, bez konieczności wykazywania się trafionymi inwestycjami, bez liczenia na łut szczęścia. Gdzie człowiek spotyka się z bezwarunkową gością. Nie musi się użerać z żadnymi zebraniem spółdzielni ani nudnym administratorem czy też zbyt głośnym sąsiadem. W tym miejscu już się nie liczy, ile zarabiasz, ale ile byłeś w stanie z siebie dać. To cmentarz. W ciszy wypielegnowanych trawników, ta cała masa nazwisk i pojedynczych zdjęć nie jest w stanie wyrazić całej złożoności tych wszystkich egzystencji. Ale twarze, uśmiechy, ból odwiedzających przez chwilę wyrażają piękno tego wszystkiego, co wiąże się z życiem ludzi, którzy już

odeszli, i świadczy o tym, jak dojmujące jest uczucie pustki po ich stracie. Właśnie. Od jakiegoś czasu Pollo nie jest już sam. Teraz towarzystwa dotrzymuje mu ktoś, kto też był częścią życia Stepa. Jego matka. Obydwoje: Pollo i matka mają przepiękne kwiaty, wciąż świeże, emanują życiem i miłością. Tą miłością, której Step nigdy nie żałował, której nigdy nie miał możliwości okazać tak do głębi. I w ciszy każdego dnia, przy dźwiękach stonowanej muzyki, echa życia, które się toczy dalej, przyjaciel i matka rozmawiają ze sobą. O nim. O tym wszystkim, co było, o tym, czego z racji wyznaczonych ról nie wolno im było powiedzieć. Te słowa, które nigdy nie zostały powiedziane, ale które zawsze docierały do celu. Bo miłość nigdy nie ginie.

Kiedy wsiadam na motor, właśnie zachodzi słońce. I dokładnie w tej samej chwili widzę, jak wraca. Gin. Prowadzi jak zwykle szybko, bo sama też jest taka. Wchodząc w zakręt, przechyla głowę, nuci sobie piosenkę, której akurat słucha. Kto wie, co to za kawałek. Znowy wygląda na radosną. Jak zawsze. Jak wcześniej. Piękna, bo promiennie uśmiechnięta, bo tak pełna życia, bo ma marzenia i dąży, by je spełnić, bo nic nie robi sobie z ograniczeń. Wolna. Wolna od tego wszystkiego, co jej nie interesuje, a nawet bardziej. Toteż odjeżdżam, mając przed oczami wyraz zaskoczenia na jej uśmiechniętej twarzy. I jestem szczęśliwy. Jak już dawno nie byłem... Bo na sumieniu mam teraz tylko ten napis. Olbrzymi. Na całej ścianie kamienicy, z przodu. Imponujący, szczery, prawdziwy. I teraz nie mam już żadnych wątpliwości. Nie mam wyrzutów sumienia ani żadnych mrocznych sekretów, jestem bez grzechu, nie mam już przeszłości. Mam jedynie nieprzeparte pragnienie, by zacząć raz jeszcze. I by być szczęśliwym. Z tobą. Gin. Jestem tego pewien. Tak, dokładnie tak. Widzisz, nawet ci to napisałem. Tylko ciebie chcę.

Moje podziękowania

Chciałbym podziękować tym wszystkim, którzy na dobre i na złe, a zwłaszcza zupełnie nieświadomie jakoś mnie zainspirowali. W gruncie rzeczy życie jest piękne właśnie dlatego, bo nie zależy wyłącznie od ciebie. Za to książka tak. Chcę podziękować tym wszystkim, którzy mi świadomie pomogli.

Dziękuję Giulii za jej nieocenione wskazówki. Za cudowne chwile, które mi podarowała. Żadnych w tej książce nie pominąłem, bo nie mogą odejść w niepamięć.

Dziękuję Ricardo Tozziemu i jego krewnej Marghericie, Francesce Longardi i całej Cattleya, bo bez nich ta moja druga książka chyba nigdy by się nie ukazała.

Dziękuję Kedowi (Kylee Doustowi)! Za jego entuzjazm, za przyjemność przysłuchiwania się jego wspomnieniom, które w końcu i tak porównuję z własnymi i które okazują się nieocenionymi wprost wskazówkami.

Dziękuję Inge i Carlowi Feltrinellim i wszystkim przyjaciołom z działu sprzedaży, którzy „fizycznie” zadbali o to, by moja książka mogła dotrzeć do każdego.

Dziękuję Maddy, która mnie poprawia, wiele się od niej uczę, a w zamian ją rozśmieszam i dostarczam jej rozrywki, odwiedzając się jej z kolei lekcjami cokolwiek czerstwego „rzymskiego slangu”.

Dziękuję Giulii Maldifassi, Valerii Pagani i wszystkim pozostałym przyjaciółkom z biura prasowego, dzięki którym poznałem i objechałem całe Włochy!

Dziękuję Alberto Rollo, który w sposób wprawdzie surowy, ale wdzięczny potrafi mi zawsze wskazać, co zrobić, by pisać jeszcze lepiej, a ja oczywiście się go słucham.

Dziękuję kumplom z siłowni, Budokanom, moim przyjaciołom, tym prawdziwym, tym, którzy są bez względu na wszystko, i to nie tylko na kartach książki i we wspomnieniach.

Dziękuję wszystkim moim krewnym, którzy mnie znoszą i wspólnie ze mną zasiadają na „kanapie rozmyślań”.

Dziękuję Carlantoinie, szlachetnemu natchnieniu!

Dziękuję mojemu „Brotherowi” Mimmo. Kiedy mu czytam to, co napisałem, zamyka oczy. A już po chwili się uśmiecha i potakuje, jakby chciał powiedzieć: „Tak, dobrze jest”. Tak samo robi też na pełnym morzu, kiedy steruje, czujny na zmiany prądu i wiatru.

Dziękuję Luce i jego wyborным ciasteczkom morselleti, za którymi tak przepadam.

Wreszcie niektóre wskazówki zawdzięczam mojemu niezawodnemu przyjacielowi Giuseppe. Jest przy mnie, słucha, a na koniec śmieje się razem ze mną. Muszę przyznać, że bardzo często ma rację. A zatem, wielkie dzięki również dla Ciebie.